

JULJUSZ VERNE

DZIECI KAPITANA GRANTA

DZIECI KAPITANA GRANTA



Wzięto się więc do roboty... (str. 354)

JULJUSZ VERNE

DZIECI KAPITANA GRANTA

PODRÓŻ FANTASTYCZNO-NAUKOWA

TRZY TOMY W JEDNYM

WYDANIE TRZECIE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Zakł. Graf. „NASZA DRUKARNIA", Warszawa, Sienna 15.

1929

I.

BALANCE - FISH.

Dnia 26-go lipca r. 1864, podczas mocnego wiatru północno-wschodniego, wspaniały jacht sunął całą siłą pary po grzbiecie spienionych fal kanału Północnego. Na tylnym jego maszcie powiewała flaga Anglji; na wierzchołku zaś wielkiego masztu chorągiew błękitna nosiła na sobie dwie wielkie głoski: E. G., wyhaftowane złotem i w górze książęcą przyozdobione koroną. Jacht ten nazywał się *Duncan;* był własnością lorda Glenarvan, jednego z szesnastu parów szkockich, zasiadających w Izbie Wyższej, i zarazem jednego z najcelniejszych członków królewskiego klubu jachtowego na Tamizie (Royal-Thames-Yacht-Club), tak słynnego w całej Wielkiej Brytanji.

Na pokładzie jachtu znajdował się w tej chwili lord Edward Glenarvan z młodą małżonką, lady Heleną, i jednym ze swych krewnych, majorem Mac Nabbs.

Świeżo zbudowany *Duncan* wypłynął na próbę o kilka mil poza odnogę Clyde i zdążał do Glasgowa; już wyspa Arran wynurzała się na horyzoncie, gdy majtek, siedzący na czatowni, dał znać, że w tyle jachtu ukazała się olbrzymia ryba. Kapitan statku, John Mangles, doniósł o tem zaraz lordowi Glenarvan, a ten, wszedłszy na rufę wraz z majorem Mac Nabbs, pytał kapitana, co myśli o tym potworze.

— Doprawdy, wasza dostojność — odpowiedział John Mangles — sądzę, że to jest ogromny rekin i nic więcej.

— Rekin w tej okolicy? — ze zdziwieniem zawołał Glenarvan.

— Bezwątpienia — odrzekł kapitan — ryba ta należy do rodzaju rekinów, spotykanych na wszystkich morzach i pod wszystkiemi szerokościami geograficznemi. Głowę daję, że jest to „Balance-fish",*) i z tem zapewne lichem mieć będziemy do czynienia. Jeśli wa-

*) Balance-fish (Squalus Zygaena, Lin.) nazwany jest przez marynarzy angielskich od tego, że głowa jego ma kształt wagi albo raczej kształt podwójnego młota. Dla tejże właśnie przyczyny we Francji nazywają go Młotem (requin-marteau), a w Niemczech podobnie Hammerfisch. Z polskich naturalistów, Kluk nazwę Squalus tłumaczył przez *Ludojad,* a Waga przez *Żarłacz.*

sza dostojność pozwoli, a lady Glenarvan zechce przypatrzyć się ciekawemu połowowi, zaraz weźmiemy się do roboty i dowiemy się rzetelnej prawdy.

— Jak myślisz, Mac Nabbs — rzekł lord Glenarvan do majora — możeby popróbować tej nowości.

— Przystaję na wszystko, co ci się spodoba — powolnie odpowiedział major.

— Zresztą tępienie tych straszliwych bestyj nigdy nie może być zbyteczne — zawołał znowu John Mangles. — Korzystajmy ze sposobności; a jeśli wasza dostojność zgodzić się raczy, to i widok będziemy mieli zachwycający i dobry zarazem spełnimy uczynek.

— A więc wydaj rozkazy, kapitanie — rzekł Glenarvan.

Poczem posłał z uwiadomieniem do lady Heleny, która ciekawością zdjęta, pośpieszyła do męża.

Morze było wspaniałe; na powierzchni jego wyraźnie rysowały się gwałtowne i silne poruszenia potwora. Gdy John Mangles wydał rozkazy, majtkowie zarzucili przez parapet prawego boku jachtu w morze długą i grubą linę z ogromnym na końcu hakiem, na który dla przynęty założyli spory kawał słoniny. Chociaż rekin był jeszcze w odległości pięćdziesięciu co najmniej jardów (przeszło 45 metrów), poczuwszy nęcący zapach ofiarowanego sobie przysmaku, zwrócił się szybko ku statkowi. Ogromne płetwy jego, szare po bokach a czarne przy osadzie, z nadzwyczajną siłą i szybkością pruły morskie bałwany, i zwierzę płynęło wciąż w prostej linji. W miarę jak się rekin zbliżał, rozeznać było można blask jego ślepiów, pałających żarłoczną chciwością; a gdy otworzył spragnioną paszczę, ukazały się w niej cztery rzędy ogromnych zębów. Szeroka jego głowa podobna była do dwu młotów, osadzonych na jednym trzonku. John Mangles nie omylił się; był to rzeczywiście Balance-fish, najżarłoczniejszy z rodziny Skwalów czyli Żarłaczy.

Cała osada *Duncana* śledziła z żywem zajęciem wszystkie ruchy rekina. Wkrótce potwór dopłynął do przynęty, przewrócił się na grzbiet, aby ją lepiej pochwycić, i w mgnieniu oka ogromny kawał słoniny wraz z ostrym hakiem utonęły w jego paszczy, a majtkowie szybko pociągnęli linę, przeciągniętą przez blok, umieszczony na wierzchołku wielkiej rei masztu.

Rekin zaczął się szarpać gwałtownie, widząc się wyrywanym ze swego żywiołu, lecz na szarpanie znalazł się sposób: mocny postronek z pętlicą, uchwyciwszy rekina za ogon, paraliżował wszelkie jego ruchy. W chwilę potem potwór leżał rozciągnięty na pomoście jachtu; jeden z marynarzy, ostrożnie przybliżywszy się do niego, silnem uderzeniem siekiery odciął ogromny ogon zwierzęcia.

Połów był skończony; rekin leżał bezsilny i nikomu szkodzić nie mógł — zemście marynarzy stało się zadość, lecz ciekawość ich jeszcze nie była zaspokojona. Na pokładzie wszystkich statków mor-

skich przyjęty jest w podobnych razach zwyczaj, żeby ściśle rewidować żołądek schwytanego potwora. Majtkowie, znając jego żarłoczność, zawsze spodziewają się znaleźć tam coś nadzwyczajnego i prawie nigdy nie mylą się w swych oczekiwaniach.

Lady Glenarvan, nie chcąc być obecną przy tej krwawej operacji, poszła do kajuty. Rekin dyszał jeszcze. Ogromne to zwierzę miało dziesięć stóp długości i ważyło przeszło sześćset funtów; waga ta i miara nie są niczem nadzwyczajnem.

Wkrótce ogromna ryba została rozpłatana kilkoma silnemi cięciami siekiery. Hak z przynętą doszedł aż do żołądka, pustego zresztą zupełnie; widocznie potwór pościł od dość dawna, i zawiedzeni w swych nadziejach marynarze już porąbane sztuki chcieli napowrót rzucić w morze, gdy nagle sternik dostrzegł jakiś duży przedmiot, okryty wnętrznościami.

— A to co? — zawołał.

— To jakiś kawałek skały — odpowiedział jeden z majtków — bestja widać z głodu go połknęła, biorąc za przysmak zapewne.

— Nie, nie! — krzyknął drugi — to musi być wiązka zielska, której dotąd strawić nie zdołał.

— Lepiej milczeć, gdy się nic nie wie — zawołał Tomasz Austin, porucznik jachtu — czy nie widzicie, że bestja była pijakiem nałogowym, a nie chcąc nic stracić, nietylko wypiła wino, ale jeszcze i butelkę połknęła?

— Co! — zawołał lord Glenarwan — rekin ma butelkę w żołądku?

— Prawdziwą butelkę — odpowiedział sternik — ale widać, że nie z piwnicy ją wyniesiono!

— Poruczniku, wydobądź ją ostrożnie — rzekł lord Edward — butelki, znajdowane na morzu, ważne nieraz zawierają dokumenty.

— Tak mniemasz? — zapytał major Mac Nabbs.

— Nie twierdzę, ale przypuszczam, że tak być może.

— Nie sprzeczam się bynajmniej — odrzekł major. — I bardzo być może, iż tu dowiemy się jakiej tajemnicy.

— Zaraz to zobaczymy! A cóż, Tomaszu?

— Oto jest — rzekł porucznik, podając jakiś niekształtny przedmiot, który z trudem niemałym wydobył z żołądka ryby.

— Wybornie! — zawołał Glenarvan. — Każ obmyć to paskudztwo i przynieś do mojej kajuty.

Tomasz Austin spełnił rozkaz i za chwilę potem butelka, w tak szczególnych znaleziona okolicznościach, złożona została na kwadratowym stoliku, wokoło którego zasiedli: lord Glenarvan, major Mac Nabbs, kapitan John Mangles i lady Helena, ciekawa, jak każda kobieta.

Każdy z niecierpliwą ciekawością radby się był dowiedzieć, co obejmuje w sobie ta szklana powłoka — czy opis jakiego wielkiego

nieszczęścia, czy też nic nie znaczące wiadomości, puszczone na morze przez marynarza, nie mającego nic lepszego do roboty.

Wypadło jednak dowiedzieć się prawdy — i Glenarvan, nie czekając dłużej, przystąpił do zbadania butelki, ze wszelką, w takich razach przezornością. I miał słuszność, bo w podobnych wypadkach najdrobniejsza często napozór wskazówka prowadzi do bardzo ważnych odkryć.

Najprzód obejrzano butelkę dokładnie zwierzchu; na potężnej szyjce znaleziono jeszcze owinięty drut, już dobrze przez rdzę zjedzony, a grube szkło, mogące wytrzymać ciśnienie kilku atmosfer, wyraźnie wykazywało szampańskie pochodzenie — mogło przeto wytrzymać wszystkie wypadki długiej nawet podróży, bez najmniejszego uszkodzenia.

— Jest to butelka domu Cliquot — odezwał się major, a nikt mu nie zaprzeczał, bo major powinien był znać się na tem.

— Mój kochany majorze — odpowiedziała lady Helena — cóż nas obchodzić może, jaka to jest butelka, jeśli nie wiemy, skąd ona do nas przypływa?

— Dowiemy się, droga Heleno — rzekł lord Edward — a zgóry można być pewnym, że przybywa zdaleka. Czy widzisz, jak ją grubo pokrywają różne materje, skamieniałe pod wpływem wód morskich? Długo ona widać przebywała w Oceanie, zanim ją ten rekin połknął.

— Podzielam twe zdanie, lordzie — odezwał się major — że to kruche naczynie długą i daleką po morzu podróż zrobić musiało.

— Ale skądże do nas przybywa? — z lekką niecierpliwością powtórzyła lady Glenarvan.

— Poczekaj, droga Heleno, poczekaj chwilkę, a zdaje mi się, że butelka ta samą treścią swą odpowie na wszystkie nasze pytania.

I to mówiąc, Glenarvan zaczął zdrapywać nożem grubą z szyjki powłokę, i niedługo też ukazał się korek, ale mocno przez wodę morską uszkodzony.

— To źle, to bardzo źle! — powtarzał lord Glenarvan — bo jeśli tam wewnątrz są jakie papiery, to je znajdziemy w bardzo złym stanie.

— To być bardzo może — machinalnie powtórzył major.

— Ponieważ butelka ta — mówił dalej lord Edward — źle była zakorkowana, więc byłaby z pewnością zatonęła, gdyby nie wypadek, że rekin ją połknął i przyniósł na pokład *Duncana*.

— Zapewne — odezwał się John Mangles — dobrze, że tak się stało, ale byłoby lepiej, gdybyśmy ją złowili na pełnem morzu, pod pewną wiadomą długością i szerokością geograficzną; bo w takim razie, badając prądy atmosferyczne i morskie, możnaby było niemal odgadnąć, jaką przebyła drogę. Ale gdy ją przynosi taki posłaniec, jak rekin, który płynie pod prądy i wiatry, to trudno coś odgadnąć.

— Zaraz zobaczymy — powiedział lord Edward, wyjmując ostrożnie korek. I w tejże chwili po kajucie rozszedł się mocny zapach soli.

— I cóż? — pytała lady Helena.

— Tak jest — rzekł Glenarvan — nie omyliłem się, bo są w środku papiery.

— Papiery! Dokumenty! — wołała lady Helena.

— Jednakże — mówił dalej Glenarvan — zdają się być przez wilgoć uszkodzone i tak przylgnęły do ścian butelki, że trudno je będzie stamtąd wydobyć.

— Stłuczmy szkło — doradził Mac Nabbs.

— Wolałbym je zachować w całości — odpowiedział Glenarvan.

— I ja także — dorzucił sentencjonalnie major.

— Zapewne — rzekła lady Helena — że dobrzeby to było; ależ znowu z drugiej strony warto poświęcić butelkę dla ocalenia kosztownych może dokumentów.

— Niech wasza dostojność odtrąci szyjkę — rzekł John Mangles — a będzie można wydobyć papiery bez uszkodzenia ich.

II.

TRZY DOKUMENTY.

Na tych kawałkach papieru, nawpół zniszczonych przez wodę morską, można było rozeznać pojedyńcze wyrazy, szczątki całych przedtem zdań, niepodobnych już teraz do odczytania. Lord Glenarvan przypatrywał się im z największą uwagą przez kilka minut; obracał je na wszystkie strony, wystawiał do słońca, badając najdrobniejsze ślady pisma, nie spłókane wodą morską, i nareszcie zwrócił się do swych przyjaciół i rzekł:

— Są tu trzy różne dokumenty, albo raczej, jak mi się zdaje, trzy kopje jednego dokumentu w potrójnem tłumaczeniu na język angielski, francuski i niemiecki. Pozostałe wyrazy, wyczytać się dające, wątpić o tem nie pozwalają.

— A czy przynajmniej można się czego domyślić z tych pojedyńczych wyrazów? — zapytała lady Glenarvan.

— Trudno coś z tego wnioskować, kochana Heleno — myśl w wielu miejscach poprzerywana.

— Możeby wyrazami jednego dokumentu dały się uzupełnić braki drugiego — rzekł major ze zwykłą sobie flegmą.

— Major ma słuszność — odezwał się John Mangles — niepodobna bowiem przypuścić, aby woda morska na wszystkich trzech papierach wygryzła pismo w tychże samych miejscach. Próbujmy przeto zbliżyć jedne resztki do drugich, a może się złoży całość jaka.

— To właśnie chcę zrobić — rzekł lord Glenarvan; zacznijmy od dokumentu angielskiego.

Dokument ten przedstawiał się w sposób następujący:

62 Bri gow
sink stra
aland
skipp Gr.
that monit of long
and ssistance
lost

— Z tego doprawdy niewiele dojść można — odezwał się major.

— Przyznać jednak potrzeba, wtrącił kapitan, że to dość wyraźnie po angielsku.

— Pod tym względem niema wątpliwości — rzekł lord Glenarvan — wyrazy *sink, aland, that, and, lost* są nietknięte; *skipp* widocznie jest początkiem wyrazu *skipper* i, jak się zdaje, mowa jest o jakimś Gr... może kapitanie statku rozbitego *).

— Już to wystarcza, aby się czegoś domyślić.

— Na nieszczęście — przerwał major — brak całych wierszy; jakże więc dojść do nazwiska okrętu rozbitego i jak się dowiedzieć o miejscu, w którem go wypadek spotkał?

— Wynajdziemy i to — rzekł lord Glenarvan.

— Bezwątpienia — odpowiedział major — lubiący podzielać cudze zdanie — bezwątpienia wynajdziemy, tylko jakim sposobem?

— Uzupełniając jeden dokument przez drugi.

— Próbujmy więc! — zawołała lady Helena.

Na drugim kawałku papieru, więcej jeszcze uszkodzonym, widniało kilka niezrozumiałych wyrazów.

7 Juni Glas
zwei atrosen
graus
bringt ihnen

— To jest pisane po niemiecku — mówił John Mangles.

— A ty, kapitanie, znasz podobno ten język? — spytał lord Glenarvan.

— Doskonale, wasza dostojność.

— Powiedz nam przeto, co znaczyć może tych kilka wyrazów.

Kapitan z uwagą wpatrywał się w papier przez chwilę, a nareszcie rzekł:

---

*) Wyrazy *sink, aland, that, and, lost,* znaczą: *zatonąć, na ląd, ten, i, zgubiony. Skipper* nazywa się w Anglji kapitan marynarki handlowej. *Monition* znaczy *ostrzeżenie, zawiadomienie; assistance; pomoc* lub *ratunek.*

— Przedewszystkiem mamy już datę wypadku; 7 Juni znaczy 7 czerwca. Cyfra ta przyłożona do liczby 62, znalezionej na dokumencie angielskim, da nam całkowitą datę: 7-go czerwca 1862 r.

— Doskonałe tłumaczenie! — zawołała lady Helena.

— W tymże samym wierszu — mówił dalej młody kapitan — znajduję wyraz *Glas,* który zestawiony z wyrazem *gow,* znajdującym się na pierwszym dokumencie, da nam całą nazwę *Glasgow.* Widocznie mowa jest o okręcie z portu Glasgowa.

— Tak i ja sądzę — wtrącił major.

— Drugiego wiersza całkiem brakuje — mówił dalej John Mangles — lecz w trzecim znajduję dwa bardzo ważne wyrazy: *zwei,* co znaczy *dwaj,* i *atrosen,* albo raczej *Matrosen, majtkowie.*

— A zatem — mówiła lady Helena — mowa jest o jakimś kapitanie i dwóch majtkach.

— Być to bardzo może — odezwał się lord Glenarvan.

— Przyznam się waszej dostojności, że następny wyraz *graus* niemałego nabawia mię kłopotu. Nie wiem, jak go tłumaczyć. Może go nam wyjaśnić trzecia kartka. Co zaś do dwu ostatnich wyrazów, te objaśnić bardzo łatwo: *bringt ihnen* znaczy *nieście im* — co, przyłożywszy do angielskiego wyrazu *assistance,* jak i tamte znajdującego się w siódmym wierszu, będziemy mieli razem; *nieście im pomoc.*

— Tak, nieście im pomoc! — zawołał lord Edward — lecz gdzież są ci nieszczęśliwi? Dotąd nie mamy najmniejszej wskazówki miejsca, w którem się przytrafił wypadek rozbicia.

— Może kartka, pisana po francusku, da nam w tym względzie jakie objaśnienie — dodała lady Helena.

— Przejdźmy do francuskiego dokumentu, a tem łatwiejsze będą nasze badania i domysły, że język ten znamy wszyscy.

Trzecia kartka nosiła te wyrazy:

troi	*ats*		*tannia*
	gonie		*austral*
			abor
contin	*pr*	*cruel*	*indi*
	jeté		*ongit*
et 37° 11'			

— A widzicie panowie — zawołała lady Helena — tu już mamy i cyfry...

— Idźmy porządkiem — mówił lord Glenarvan — zaczynajmy od początku. Pozwólcie mi rozebrać jeden po drugim te wyrazy rozrzucone i niezupełne. Z pierwszych zaraz liter widać, że chodzi o jakiś statek trzymasztowy, którego nazwę *Britannia* łatwo złożyć można z kartek angielskiej i francuskiej. Z dwu następnych wyrazów: *gonie* i *austral* ostatni tylko ma jakieś znaczenie.

— Jest to szczegół bardzo ważny — wtrącił John Mangles — rozbicie miało miejsce na półkuli południowej.

— Nie jest to jeszcze tak bardzo jasne — odezwał się major.

— Idę dalej — mówił lord Edward. — Następuje wyraz *abor*, rdzeń słowa *aborder*. Ci nieszczęśliwi przybili więc gdzieś do brzegu. Ale gdzież? *Contin!* czyżby ten wyraz miał znaczyć *continent* (ląd stały?) *Cruel!...*

— *Cruel* — zawołał John Mangles — ależ to doskonale tłumaczy niemiecki wyraz *graus... grausam... okrutny!*

— Idźmy dalej! idźmy dalej! — wołał niecierpliwie Glenarvan rozciekawiony. — *Indi*, znaczy zapewne *Indje*, gdzie ci biedacy zostali wyrzuceni. Cóż znowu znaczy wyraz *ongit?* — Ach! *longitude* (długość)! a tu szerokość: *trzydzieści siedem stopni, jedenaście minut.* Mamy nakoniec jakąś wskazówkę dokładniejszą.

— Lecz brakuje stopnia długości — rzekł Mac Nabbs.

— Trudnoż wszystkiego naraz żądać, kochany majorze — odpowiedział lord Edward — dokładnie oznaczony stopień szerokości także ma swoją wartość. Kartka, po francusku pisana, jest ze wszystkich najdokładniejsza. Widoczną jest rzeczą, że wszystkie trzy są tylko dosłownem tłumaczeniem tegoż samego tekstu, bo wszystkie mają jednaką liczbę wierszy. Trzeba je przeto złożyć teraz razem, przetłumaczyć na jeden język i wynaleźć najprawdopodobniejsze i najzrozumialsze ich znaczenie.

— A na jakiż język chcecie zrobić to tłumaczenie? — zapytał major.

— Na francuski — odpowiedział Glenarvan — bo w nim najwięcej przechowało się wyrazów zrozumiałych.

— Wasza dostojność ma rację — odezwał się John Mangles — tem więcej, że wszyscy, jak tu jesteśmy, znamy ten język wybornie.

— Zaczynam tedy; spróbuję złożyć w całość te wyrazy i ułamki zdań, zachowując ściśle przerwy, jakie pomiędzy niemi natrafiamy, i uzupełniając sens tam, gdzie on jest widoczny i niewątpliwy. Potem wszystko to porównamy i osądzimy, co wnosić należy.

Glenarvan pochwycił pióro i wkrótce potem podał towarzystwu papier, na którym nakreślone były wiersze następujące:

7 juin 1862 troismâts Britannia Glasgow
sombré gonie austral
à terre deux matelots
capitaine Gr abor
contin pr cruel indi
jeté ce document de longitude
et 37° 11', de latitude Portez-leur secours
perdus

W tej chwili jeden z majtków przyszedł uwiadomić kapitana, że *Duncan* wpływał do zatoki Clyde, i pytał go o rozkazy.

— Jakie są zamiary waszej dostojności? — rzekł John Mangles, zwracając się z zapytaniem do lorda Glenarvan.

— Dostać się do Dumbarton jak najprędzej, skąd lady Helena powróci do Malcolm Castle, a ja pojadę do Londynu i przedstawię dokument ministerstwu marynarki.

John Mangles wydał potrzebne rozkazy, które majtek odniósł do spełnienia porucznikowi.

— Teraz, kochani przyjaciele — mówił lord Edward — prowadźmy dalej nasze poszukiwania; zdaje się, że trafiliśmy na ślad ważnej jakiejś katastrofy. Życie kilku ludzi zależy od naszej domyślności, użyjmy więc wszystkich sił naszej inteligencji do odgadnięcia tej nieszczęsnej zagadki.

— Jesteśmy gotowi, kochany Edwardzie — rzekła lady Helena.

— Najprzód — mówił Glenarvan — trzeba w tym dokumencie zwrócić uwagę na trzy rzeczy: 1-mo, co wiemy, 2-do, czego się domyślamy i 3-tio, czego nie wiemy. Cóż tedy wiemy? — Wiemy, że 7-go czerwca r. 1862 trzymasztowy okręt *Britannia* z Glasgowa zatonął; że dwaj majtkowie i kapitan rzucili niniejszy dokument na morze pod 37°-11' szerokości i że żądają pomocy.

— Nic prawdziwszego — odezwał się major.

— Przejdźmy do tego, czego się domyślamy — mówił dalej Glenarvan. — Najprzód: że rozbicie zdarzyło się na wodach południowych, a dalej zwracam uwagę waszą na wyraz *gonie:* czy nie jest on zakończeniem francuskiem nazwy kraju, o który chodzi?

— Ach! Patagonja *(Patagonie)* — zawołała lady Helena.

— Niezinaczej, kochana żono.

— Ale czy przez Patagonję przechodzi trzydziesty siódmy równoleżnik? — zapytał major.

— To łatwo sprawdzić — rzekł John Mangles, rozkładając mapę Ameryki Południowej. — Tak jest, niezawodnie: trzydziesty siódmy równoleżnik przecina Araukonję i północne prowincje Patagonji, wreszcie ginie w Atlantyku.

— Dobrze — ciągnął Glenarvan — posuwajmyż się w naszych domysłach. Dwaj majtkowie i kapitan dostają się na ląd, jak to wskazują niedokończone wyrazy *abor...* (aborder) i *contin...* (continent). Uważajcież dobrze: dostają się na ląd, a nie na wyspę. Cóż się dalej z nimi dzieje? — To odgadnąć mamy z dwu niepojętych głosek, *pr..* Ci nieszczęśliwi są widocznie schwytani *(pris),* lub niewolnikami *(prisonniers),* ale czyimi? *Okrutnych Indjan.* W moim przynajmniej umyśle miejsca próżne na papierze w taki wypełniają się sposób. Nie wiem wszakże, czy i wy, kochani towarzysze, podzielacie ten mój sposób widzenia rzeczy.

Glenarvan mówił z gruntownem przekonaniem, które w oczach jego czytać się dawało; zapał jego przeniknął wszystkich obecnych i ci zgodnie zawołali:

— Tak jest! tak jest! widocznie! inaczej być nie może!

Po krótkiej przerwie, lord Edward tak mówił dalej:

— Wszystkie te przypuszczenia, drodzy moi przyjaciele, zdają mi się być dostatecznie usprawiedliwione. Według mojego przekonania, wypadek zdarzył się na wybrzeżach Patagonji. Zresztą każę zapytać w Glasgowie, dokąd odpłynął okręt *Britannia* — z tego łatwo odgadniemy, czy mógł być zapędzony w te okolice.

— Nie potrzebujemy posyłać tak daleko — wtrącił John Mangles. — Ja mam tu cały komplet handlowego dziennika *Mercantile and Shipping Gazette,* z którego najdokładniejsze powziąć możemy wiadomości.

— Zobaczmyż, zobaczmyż! — niecierpliwie domagała się lady Glenarvan.

John Mangles wziął pakę gazet z roku 1862 i zaczął je szybko przerzucać; po niedługiem szukaniu, z radością zawołał:

„30 maja r. 1862 Peru. Z Callao ładunek do Glasgowa, okręt *Britannia,* kapitan Grant".

— Grant! — zawołał Glenarvan — ten śmiały Szkot, który chciał założyć Nową Szkocję na wodach Oceanu Spokojnego!

— Tak jest — odrzekł John Mangles — ten sam, który w roku 1861 wypłynął z Glasgowa na okręcie *Britannia* i o którym aż dotąd żadnej niema. wiadomości.

— To już najmniejszej nie ulega wątpliwości — zawołał Glenarvan. — To on! to ten sam! Wszystko jest jasne i oczywiste. Okręt *Britannia* opuścił Callao 30-go maja, a 7-go czerwca, to jest w ośm dni po odjeździe, zatonął na wybrzeżach Patagonji. W tych kilku napozór niezrozumiałych i nieczytelnych wyrazach mamy całą tę historję. Tak tedy domysły nasze okazują się zupełnie uzasadnione. Jednej więc już tylko rzeczy nie wiemy, to jest stopnia długości...

— Który nam jest zupełnie teraz niepotrzebny — odezwał się John Mangles — skoro znam kraj i wiem stopień szerokości, to podejmuję się trafić odrazu do miejsca, w którem okręt uległ rozbiciu.

— Więc tedy wiemy wszystko, co nam wiedzieć potrzeba? — spytała lady Glenarvan.

— Wszystko, droga moja Heleno; wyrazy, które woda morska zmyła na dokumencie, dopełnię teraz bez trudu, jakby mi je sam kapitan Grant dyktował.

To mówiąc, lord Glenarvan pochwycił pióro i bez najmniejszego namysłu zredagował notatkę następującą:

Dnia 7-go czerwca 1862 r. trzymasztowy okręt *Britannia* z Glasgowa zatonął na wybrzeżach Patagonji, na półkuli południowej. Kierując się ku ziemi, dwaj majtkowie i kapitan Grant próbuje, czy nie uda im się dobić do lądu, gdzie popadną w niewolę okrutnych Indjan. Rzucają ten dokument pod... stopniem długości i 37° 11' szerokości. Nieście im pomoc, lub zginą.

— Wybornie! wybornie! drogi Edwardzie — zawołała lady Helena — i jeśli ci nieszczęśliwi wrócą kiedy do swej ojczyzny, tobie to tylko samemu zawdzięczać będą.

— A wrócą z pewnością — zawołał Glenarvan. — Dokument ten zbyt jest jasny i wyraźny, aby Anglja namyślać się mogła, czy biec z pomocą trzem swoim synom, zapędzonym gdzieś na puste wybrzeża. — A to, co uczyniła dla Franklina i tylu innych, uczyni dziś dla nieszczęśliwych rozbitków z okrętu *Britannia.*

— A może — dodała lady Helena — ci biedacy mają rodziny, które opłakują ich stratę. Może ten biedny kapitan Grant ma żonę, dzieci...

— Masz słuszność, kochana lady, zaraz ich uwiadomię o losie ojca i zapewnię, że bynajmniej nadziei tracić nie powinni. Teraz zaś, kochani przyjaciele, każdy na swoje miejsce, bo się zbliżamy do portu.

Istotnie *Duncan,* płynąc całą siłą pary, minął brzegi wyspy Bute, wpłynął na wąską zatokę, zawrócił około Greenock i o szóstej wieczorem zarzucił kotwicę u stóp bazaltowej skały Dumbartonu, na której wierzchołku stał sławny pałac znanego bohatera szkockiego, Wallace'a.

Tam czekał powóz, zaprzężony w konie pocztowe, mający odwieźć do Malcolm-Castle lady Helenę i majora Mac-Nabbs. Lord Glenarvan, uścisnąwszy młodą małżonkę, siadł na pośpieszny pociąg drogi żelaznej glasgowskiej.

Lecz przed odjazdem jeszcze szybszemu na wszystko posłańcowi powierzył ważną depeszę i rzeczywiście w kilka minut potem telegraf elektryczny przyniósł do gazet: *Times* i *Morning-Chonicle* ogłoszenie następującej treści:

„Kto chce mieć wiadomości o losie trzymasztowego okrętu *Britannia,* który z kapitanem Grant wypłynął z Glasgowa, niech się zgłosi do lorda Glenarvan; Malcolm-Castle, Luss, hrabstwo Dumbarton — w Szkocji.

III.

MALCOLM - CASTLE.

Zamek Malcolm, jeden z najpoetyczniejszych w Szkocji, wzniesiony jest ponad piękną doliną wioski Luss, a czyste wody jeziora Lomond obmywają granitowe podstawy jego murów. Od niepamiętnych

czasów należał on do rodziny Glenarvan, która w ojczyźnie Rob-Roya i Fergusa Mac-Gregora przechowała w czystości tradycje gościnnych obyczajów starych bohaterów walterskotowskich. W epoce rewolucji socjalnej w Szkocji, ci z wasalów, którzy nie mogli dawnym naczelnikom klanów zbyt wygórowanych opłacać dzierżaw, zostali usunięci; jedni poumierali z głodu, drudzy zostali rybakami, a inni nareszcie wyemigrowali. Rozpacz była powszechna. Jedna tylko rodzina Glenarvanów zachowała to przekonanie, że dotrzymanie słowa równie obowiązuje wielkich i małych, i nie naruszyła stosunków swych z dzierżawcami. Ani jeden z nich nie opuścił rodzinnej swej strzechy i ziemi, w której spoczywały prochy jego przodków; wszyscy pozostali w klanie swych dawnych wodzów. Dlatego też w tej epoce nawet, w tym wieku obojętności i niezgody, rodzina Glenarvan miała samych jedynie Szkotów tak w zamku Malcolm, jak i na pokładzie *Duncana;* wszyscy oni byli potomkami wasalów Mac-Gregora, Mac-Farlane'a, Mac-Nabbsa, Mac-Naugthonsa, to jest byli synami hrabstw Sterlingu i Dumbartonu. Dzielni ci ludzie duszą i ciałem oddani byli swemu panu, a niektórzy z nich dotąd jeszcze nie zapomnieli dawnego narzecza starej Kaledonji.

Lord Glenarvan był panem ogromnego majątku, którego używał szczodrze na cele dobroczynne; dobroć serca przewyższała jeszcze wrodzoną mu szlachetność i hojność. Pan Lussy, laird Malcolmu, był reprezentantem swego hrabstwa w izbie lordów, lecz w charakterze legitymisty-jakóbity. Niewiele dbając o przypodobanie się domowi Hanowerskiemu, źle też był widziany przez angielskich mężów stanu, szczególniej zaś dlatego, że trzymał się starych tradycyj swych przodków i energiczny stawiał opór wdzieraniu się „tradycyj południowych" w sferę polityczną.

Przy tem wszystkiem lord Edward Glenarvan nie był człowiekiem ani zacofanym, ani krótkowidzącym, ani ograniczonej inteligencji. Owszem, bramy jego hrabstwa otworem stały dla wszelkiego postępu; ale w duszy pozostawał Szkotem i dla sławy to Szkocji z jachtami swemi stawał do zapasów na wszystkie gonitwy i walki, ogłaszane przez „Królewski Jachtowy Klub na Tamizie".

Edward Glenarvan miał trzydzieści dwa lata; był wysokiego wzrostu, rysów twarzy nieco surowych; miał nieopisaną słodycz spojrzenia, a cała postawa jego tchnęła urokiem górskiej poezji „highlandu". Znany był jako waleczny, przedsiębiorczy, zuchwały „Fergus" XIX wieku, lecz zarazem dobry nad wszelki wyraz.

Lord Glenarvan od trzech dopiero miesięcy zaledwie był żonaty; poślubił on miss Helenę Tuffnel, córkę słynnego podróżnika Wiliama Tuffnela, który sam był jedną z licznych ofiar nauk geograficznych i zgubnej namiętności do odkryć.

Miss Helena nie należała do szlacheckiej rodziny, ale była Szkotką, co w oczach lorda Glenarvan miało największą wartość —

i młodą tę, powabną, odważną i przywiązaną dziewicę pan na Lussy wybrał na dozgonną swą towarzyszkę. Poznał ją żyjącą samotnie, sierotę, prawie bez majątku, mieszkającą w domu ojcowskim w Kilpatrick. Odrazu odgadł w niej zacną niewiastę i poślubił ją bez namysłu. Miss Helena miała dwadzieścia dwa lata, blond włosy i oczy jasno-niebieskie, jak woda na szkockich jeziorach w pięknym wiosny poranku. Miłość jej dla męża była większa jeszcze niż wdzięczność. Kochała go tak, jakgdyby to ona była bogatą dziedziczką, a on ubogim sierotą opuszczonym. Dzierżawcy, włościanie i słudzy duszęby za nią oddali z ochotą i nazywali ją: nasza dobra pani z Luss.

Lord Glenarvan i lady Helena żyli szczęśliwi w Malcolm-Castle, w pośród wspaniałej i dzikiej zarazem natury kraju górzystego, przechadzając się pod cieniem starych kasztanów, brzmiących jeszcze niekiedy echem dawnych wojennych pieśni *(pibrochs)*, lub błądząc wśród opustoszałych wąwozów, gdzie historja Szkocji w odwiecznych wypisana jest zwaliskach. To błądzili po lasku brzezinowym czy modrzewiowym, wpośród obszernych płaszczyzn, zasianych pożółkłym wrzosem, to wdzierali się na strome szczyty Ben Lomondu, albo konno przebiegali puste odłogi, napawając się pięknościami tej poetycznej krainy, dotąd jeszcze nazywanej „Krainą Rob Roya", którą z takim czarującym talentem opiewał Walter-Scott nieśmiertelny. Przy zapadającym zmroku, gdy na horyzoncie rozbłysła jasna *latarnia Mac-Farlane'a,* przy świetle jej chodzili po galerji, okalającej zamek Malcolm, a tam zadumani, samotni, nie pomnąc o reszcie świata, wśród poważnego milczenia natury, marzyli długo, mile... aż ich noc chłodna ostrzegła nareszcie, że potrzeba powrócić do komnat zamczyska.

Tak im przeszły pierwsze po ślubie miesiące. Lecz lord Glenarvan nie zapomniał, że żona jego była córką wielkiego podróżnika; domyślał się, że lady Helena musi żywić w duszy wszystkie skłonności swego ojca, i nie mylił się w tym względzie. *Duncan* został zbudowany nato jedynie, aby lorda i lady Glenarvan przeniósł do najpiękniejszych w świecie krain, na wody morza Śródziemnego, a nawet aż do wysp archipelagu. Łatwo odgadnąć, jaką radość lady Helenie sprawiło oddanie *Duncana* do jej rozporządzena. Bo i rzeczywiście, czyż jest większe szczęście, jak upajać się wrażeniami pierwszej miłości pod zachwycającem niebem Grecji i miesiąc miodowy spędzić na czarownych wybrzeżach Wschodu!

Tymczasem lord Glenarvan pojechał do Londynu. Ponieważ chodziło o ocalenie biednych rozbitków, zatem chwilowe to oddalenie się męża więcej niecierpliwiło, niżeli zasmucało lady Helenę. Nazajutrz rano depesza od męża otrzymana uwiadamiała ją o rychłem jego powrocie; wieczorem tegoż dnia odebrała list, w którym prosił ją o przedłużenie urlopu, bo propozycje jego napotkały na nieja-

kie trudności; trzeciego dnia lady Helena znowu otrzymała od męża list, w którym lord nie taił swego niezadowolenia z admiralicji.

Od tej chwili lady Helena poczęła być niespokojna. Wieczorem, gdy sama siedziała w swym pokoju, intendent zamku, p. Halbert, wszedł z zapytaniem, czy lady pozwoli wprowadzić do siebie nieznane dziewczę z chłopczykiem, którzy pragną widzieć się z lordem Glenarvan.

— Czy są z tych stron? — spytała lady Helena.

— Nie, pani — odrzekł intendent — nie znam ich; do Balloch przybyli koleją, a z Balloch do Luss przyszli pieszo.

— Poproś ich, panie Halbert — rzekła lady Glenarvan.

Intendent wyszedł. W chwilę potem młoda para wprowadzona była do pokoju lady Heleny. Byli to brat i siostra; podobieństwo rysów pokazywało to na pierwszy rzut oka. Siostra miała lat szesnaście; piękna jej, choć tchnąca niejakiem strudzeniem twarzyczka, oczy, na których znać było, że często i długo płakały, postawa pełna rezygnacji i odwagi, skromna, lecz porządna i czysta odzież, dobrze o niej świadczyły. Trzymała ona za rękę chłopczyka dwunastoletniego, który z postawy pragnąłby uchodzić za opiekuna i protektora swej starszej siostry. I rzeczywiście, ktoby chciał jej ubliżyć, niełatwą miałby sprawę z tym zuchwałym malcem.

Siostra zmieszała się trochę w obecności lady Heleny, lecz ta, zachęcając ją uprzejmem, dobrotliwem wejrzeniem, rzekła:

— Macie mi coś do powiedzenia, moje dzieci?

— Nie — odpowiedział śmiało chłopiec — nie z panią, lecz z lordem Glenarvan pragnęlibyśmy pomówić.

— Daruj mu pani jego śmiałość — rzekła wtedy dziewczynka, karcąc brata wzrokiem.

— Niema w tej chwili w zamku lorda Glenarvana — powiedziała lady Helena — lecz jestem jego żoną i mogę go wam w zupełności zastąpić.

— Pani jest lady Glenarvan? — zawołało dziewczę.

— Tak jest, miss.

— Żoną lorda Glenarvan z Malcolm-Castle, który w Timesie ogłosił, że ma wiadomość o rozbitym okręcie *Britannia?*

— Tak, tak! — z niecierpliwością powtórzyła lady Helena — a wy...

— Ja jestem miss Grant, pani, a on jest moim bratem.

— Miss Grant! miss Grant! — zawołała lady Helena, chwytając dziewczynkę za ręce i ciągnąc ją ku sobie — a potem nagle obróciła się do malca i szczerze go ucałowała.

— Pani — rzekło dziewczę — co wiesz o nieszczęściu mojego ojca? Czy on żyje? Czy go kiedy zobaczymy? Powiedz mi, błagam cię!... zaklinam na wszystko.

— Moje dziecię — odparła lady Helena — nie chciałabym lekkomyślnie odpowiedzieć na tak ważne pytanie, aby cię nie łudzić.

— Mów pani, mów na Boga! mam siłę do zniesienia wszelkiej boleści... mogę słuchać wszystkiego.

— Moje drogie dziecię — rzekła znowu lady Helena — bardzo słabą mamy nadzieję, lecz przy Bożej pomocy może kiedyś zobaczycie jeszcze waszego ojca.

— Boże mój, Boże! — zawołała miss Grant, nie mogąc powstrzymać łez radości; mały Robert tymczasem pocałunkami okrywał ręce lady Heleny.

Gdy minęło to pierwsze wrażenie bolesnej radości, dziewczę zarzuciło pytaniami dobrą lady Glenarwan, która opowiedziała jej całe zdarzenie ze znalezionemi w butelce papierami, pozwalającemi się domyślić, że okręt *Britannia* zabłąkał się na wybrzeżach Patagonji; że po jego rozbiciu się, kapitan z dwoma, jacy przy życiu zostali, majtkami, musiał dostać się na ląd; że nareszcie w tym dokumencie, spisanym w trzech językach i powierzonym falom oceanu, żądają, by im przybyć z pomocą.

W czasie tego opowiadania, Robert Grant pożerał oczyma lady Glenarvan; życie jego zdawało się zależeć od słów, przez nią wymawianych. W dziecięcej jego wyobraźni żywo rysowały się obrazy niebezpieczeństw, na jakie ojciec jego w tej chwili mógł być narażonym; widział go jużto na pokładzie *Britannji*, jużto tonącego w falach oceanu, lub też pomagał mu myślą wspinać się na skałę, mającą uratować mu życie. Po kilkakroć przerywał opowiadanie lady Heleny wykrzyknikami:

— Mój ojcze! mój biedny ojcze!

Dziewczę ze złożonemi rękami, całe drżące, powstrzymując dech, słuchało opowiadania, nie przerywając go ani jednym wyrazem; po skończeniu zaś zawołała, zalewając się łzami:

— Ten papier, oh! daj mi pani ten papier!

— Nie mam go już, moje dziecię — odpowiedziała lady Helena.

— Już go pani nie masz!

— W interesie waszego ojca lord Glenarvan musiał go zabrać do Londynu; lecz upewniam cię, że co do słowa powtórzyłam ci treść jego.

— Ale pragnęłabym widzieć pismo mojego ojca.

— Jutro może lord Glenarvan powróci. Mąż mój przez pokazanie tego dokumentu chce nakłonić ministra marynarki do bezzwłocznego wysłania okrętu na poszukiwanie kapitana Granta.

— Czy być może pani! uczyniliście to dla nas?

— Tak, moja droga miss, i co chwila oczekuję powrotu mojego męża.

— Pani! — rzekło dziewczę głęboko wzruszone i podniecone — niech wam Niebo zapłaci za tę dobroć i łaskę!

— Drogie dziecię — rzekła lady Helena — nie zasługujemy na żadną wdzięczność: każdy inny na naszem miejscu zrobiłby toż samo. Oby się tylko spełniły błogie nasze nadzieje! Tymczasem, do powrotu lorda Glenarvan pozostańcie w zamku...

— Pani — odezwała się miss Grant — nie śmiemy nadużywać współczucia, jakie raczysz okazywać nieznajomym...

— Nieznajomym! moje drogie dziecię, ani ty, ani brat twój nie jesteście obcymi w tym domu, a przedewszystkiem pragnę, aby za swym powrotem lord Glenarvan mógł powiedzieć dzieciom kapitana Granta o tem, co się da uczynić dla ocalenia ich ojca.

Nie można było nie przyjąć tak serdecznej ofiary. Stanęło więc na tem, że miss Grant i brat jej Robert czekać będą w Malcolm-Castle powrotu lorda Glenarvan.

IV.

PROPOZYCJA LADY GLENARVAN.

Podczas opowiadania lady Helena nie wspomniała ani o obawach swego męża, wyrażonych w liście jego, pisanym z Londynu, ani też o przypuszczalnej niewoli kapitana Granta u Indjan Ameryki Południowej. Bo i nacóż było zasmucać biedne dzieci obrazem okropności położenia ich ojca? Dlaczego niszczyć lub umniejszać nadzieje, rodzące się w ich duszy? W każdym razie nicby to ani pomóc, ani odmienić nic mogło. Lady Helena wolała zatem przemilczeć wszystkie niemiłe okoliczności, a odpowiedziawszy na zapytania miss Grant, zkolei rozpytywać ją poczęła o szczegóły jej życia i o stanowisko w tym świecie, w którym zdawała się być jedyną opiekunką swego braciszka.

Wzruszające a szczere opowiadanie dziewczęcia zwiększyło tylko sympatję, jaką od pierwszej chwili uczuła dla niej lady Glenarvan.

Miss Mary i Robert Grant byli jedynemi dziećmi kapitana. Harry Grant utracił żonę, która umarła przy wydaniu na świat Roberta, a wyjeżdżając na długie i dalekie podróże, dzieci swe powierzał opiece poczciwej staruszki, swej krewnej. Kapitan Grant był odważnym marynarzem, znał wybornie swe rzemiosło, był zarówno dobrym żeglarzem, jak i kupcem — to jest posiadał dwa przymioty nieodzownie potrzebne w marynarce handlowej. Mieszkał wraz z dziećmi swemi w mieście Dundee, w hrabstwie Perth w Szkocji, i stamtąd też pochodził. Ojciec jego był pastorem; dał mu wykształcenie wszechstronne w tem przekonaniu, że ono każdemu, nawet marynarzowi, przydać się może.

Kapitan Harry prowadził i na swoją rękę niewielkie interesy handlowe, które mu się dość powodziły, tak, że w kilka lat po urodzeniu się Roberta zebrał już był maleńką fortunę.

Wtedy to w umyśle jego zrodziła się myśl, która imię jego rozsławiła w całej Szkocji. Jak Glenarvanowie oraz kilka innych znakomitych rodzin, tak Grant nie przylgnął sercem do zaborczej Anglji. Według jego przekonań i pojęć interesy jego kraju nie mogły się pogodzić z interesami i widokami Anglosasów; dla nadania tym interesom rozwoju bardziej samoistnego, postanowił założyć wielką osadę szkocką na jednym z lądów Oceanji. Czy marzył on o takiej niezawisłości, jakiej przykład dały Stany Zjednoczone, jaką kiedyś zdobędą dla siebie Indje i Australja? Być może. Być może nawet, że nie wahał się wygłaszać swych nadziei. Łatwo więc zrozumieć, że rząd odmawiał swej pomocy w owych projektach kolonizacyjnych, a nawet stawiał mu trudności, które w każdym innym kraju byłyby zniechęciły umysł najbardziej nawet przedsiębiorczy. Lecz Harry nie tak łatwo dawał się zniechęcić: odwołał się do patrjotyzmu swych rodaków, poświęcił cały swój majątek, zbudował okręt, a dobrawszy sobie ludzi pewnych i powierzywszy dzieci swoje opiece zacnej staruszki krewnej, puścił się na zwiedzenie wielkich wysp Oceanu Spokojnego. Było to w roku 1861. Przez rok cały, to jest aż do 1862, miano o nim ciągle wiadomości; lecz od wyjazdu jego z Callao w czerwcu nie słyszano już więcej o statku *Britannia,* a *Gazeta Morska* nic nie donosiła o losie kapitana.

W tym właśnie czasie umarła stara krewniaczka Granta, a dzieci pozostały bez opieki.

Marja Grant miała wtedy lat czternaście; mężnego umysłu dziewczynka nie ulękła się nowego, acz nader krytycznego położenia i poświęciła się całkowicie swemu braciszkowi, który podówczas był jeszcze dziecięciem. Potrzeba go było wychowywać i uczyć. Biedna dziewczynka pracowała po dniach i nocach, wszystkiego sobie odmawiała, żyła jak najoszczędniej, i przy tak roztropnem a wytrwałem postępowaniu, zdołała godnie odpowiedzieć przyjętym na się obowiązkom matki.

Dzieci mieszkały w Dundee, znosząc szlachetną nędzę z nadzwyczajną siłą i wytrwałością. Marja myślała tylko o swym bracie; przyszłość jego stała się marzeniem jej życia. Miała głębokie przekonanie, że okręt *Britannia* na zawsze już był stracony, i że ojciec nie żyje; łatwo więc zgadnąć, z jakiem wzruszeniem przeczytała wypadkowo w *Timesie* wezwanie lorda Glenarvana, które natchnęło ją nagle otuchą.

Nie było się co namyślać. Zdecydowała się stanowczo pojechać, choćby poto tylko, aby się dowiedzieć, że zwłoki kapitana Granta i szczątki rozbitego okrętu znaleziono gdzieś daleko na bezludnem

wybrzeżu. W każdym razie było to jeszcze lepsze, aniżeli owa wieczna niepewność i niepokój.

Myślą swą podzieliła się z bratem i tego samego dnia, wsiadłszy na pociąg, dojechali do Perth, a stamtąd przed wieczorem stanęli w Malcolm-Castle, gdzie po tylu przebytych cierpieniach w duszy jej zabłysnął słaby promyczek nadziei.

Wszystkie te szczegóły Marja z całą naiwnością i prostotą opowiadała lady Helenie, która do głębi serca wzruszona, cisnęła do swojej piersi niewinne główki dzieci kapitana Granta, oblewając je łzami serdecznego współczucia.

Robert, jakby po raz pierwszy słyszał całą tę historję, z niezmiernem zajęciem chwytał wyrazy opowiadania swej siostry.

Tymczasem zmrok zapadł; lady Helena, wiedząc, jak dzieci utrudzone są podróżą, prosiła je, aby udały się na spoczynek. Odprowadzone do przeznaczonego im pokoju, usnęły wkrótce, marząc o lepszej dla siebie przyszłości.

Po ich odejściu, lady Helena kazała poprosić do siebie majora i opowiedziała mu wszystko.

— Zuch dziewczyna z tej Marji Grant — rzekł Mac-Nabbs, wysłuchawszy opowiadania kuzynki.

— Daj Boże, aby mężowi mojemu powiodły się jego starania — powiedziała lady Helena — bo inaczej, położenie tych dwojga dzieci byłoby okropne.

— Zamiary mojego dostojnego kuzyna powiodą się — odrzekł Mac-Nabbs — powiodą się pewno, chybaby lordowie admiralicji mieli serca twardsze od kamienia portlandzkiego.

Pomimo takiego zapewnienia, lady Helena spędziła noc bardzo niespokojnie i nie mogła usnąć ani na chwilę.

Nazajutrz, ledwie świtać poczęło, Marja Grant i brat jej, Robert, przechadzali się już po wielkim dziedzińcu zamkowym, gdy nagle słyszeć się dał turkot nadjeżdżającego powozu. Lord Glenarvan wracał śpiesznie do Mancolm-Castle, a w parę minut potem lady Helena wybiegła na spotkanie męża; za nią zaś podążał major.

Lord Edward zdawał się smutny, zawiedziony, gniewny; żonę uścisnął w milczeniu.

— I cóż, drogi Edwardzie! — zawołała lady Helena.

— Ha! kochana Heleno — odrzekł lord Glenarvan — ci ludzie są bez serca.

— Odmówili...

— Tak jest, odmówili mi okrętu! Mówili wciąż o miljonach, straconych napróżno przy poszukiwaniach Franklina! Utrzymywali, że dokument, przeze mnie przedstawiony, jest niejasny, niewyraźny; powiedzieli, że ci nieszczęśliwi zaginęli już przeszło od dwu lat i że niepodobna przeszukiwać całej Patagonji dla wynalezienia trzech ludzi — trzech Szkotów! — że poszukiwanie to będzie nadaremne i nie-

bezpieczne, bo może kosztować więcej ludzi, aniżeli ocalić można. Słowem, przytoczyli wszystkie najbezzasadniejsze powody, jakie tylko dać mogą ludzie, chcący odmówić. Ne zapomnieli widać o zamiarach kapitana, i biedny Grant jest już, jak się zdaje, na zawsze stracony!

— Mój ojciec! mój nieszczęśliwy ojciec! — krzyknęła Marja Grant, padając do nóg lorda Glenarvan.

— Twój ojciec! Jakto miss? — zapytał lord zdziwiony.

— Tak, Edwardzie, to jest miss Marja i jej brat Robert, dwoje dzieci kapitana Granta, które wyrok admiralicji skazuje na wieczne sieroctwo.

— Ah! miss — rzekł lord Glenarvan, podnosząc dziewczę — gdybym był wiedział o twojej tu obecności...

Nie dokończył swej myśli! Przykre, łkaniami tylko przerywane milczenie panowało przez chwilę. Nikt nie. śmiał się odezwać, ani lord Glenarvan, ani lady Helena, ani major, ani tem bardziej nikt ze służby zamkowej, otaczającej w milczeniu swego pana; lecz z postawy i rysów całego tego zgromadzenia Szkotów widać było, że protestowali w duszy przeciw postąpieniu rządu angielskiego.

Po dość długiej przerwie, major, zwracając się do lorda Glenarvana, rzekł:

— Więc już żadnej niema nadziei?

— Żadnej.

— No, to ja — zawołał mały Robert — ja pójdę jeszcze do tych ludzi, zajrzę im w oczy, a zobaczymy...

Robert nie dokończył pomyślanej groźby, bo go siostra powstrzymała — ale zaciśnięta pięść dowodziła niebardzo pokojowego usposobienia chłopca.

— Nie, Robercie, nie — rzekła Marja Grant — podziękujmy tym zacnym i szlachetnym ludziom za wszystko, co dla nas uczynili, przechowajmy w sercach wieczną dla nich wdzięczność i oddalmy się stąd oboje.

— Marjo! — zawołała lady Helena,

— Dokąd chcesz iść miss? — zapytał lord Glenarvan.

— Pójdę rzucić się do nóg królowej — odpowiedziało dziewczę — a zobaczymy, czy zdoła pozostać głuchą na prośby dwojga dzieci, żebrzących o ocalenie życia ich ojca.

Lord Glenarvan potrząsnął głową; nie żeby miał wątpić o sercu swej najdostojniejszej monarchini, ale dlatego, że pewnym był, iż nie dopuszczą do niej biednej dziewczyny. Suplikanci rzadko docierają do stopni tronu, i zdaje się, że Anglicy na kracie pałacu królewskiego umieścili ten sam napis, jaki kłaść zwykli na kole sterowem każdego ze swych okrętów:

„Passengers are requested not to speak to the man at the wheel".
(Podróżni proszeni są, aby nie rozmawiali ze sternikiem.)

Lady Helena zrozumiała myśl swego męża; wiedziała dobrze, iż daremne byłyby zabiegi biednej dziewczyny. Myślą przewidywała smutną, okropną przyszłość tych dwojga dzieci — i nagle powzięła zamiar wielki, szlachetny.

— Marjo Grant — zawołała — powstrzymaj się, dziecię moje, i wysłuchaj, co ci chcę powiedzieć.

Marja, trzymając brata za rękę, gotowa była już odejść, ale na te słowa zatrzymała się jeszcze.

Wtedy lady Helena, mając oczy łez pełne, lecz rysy twarzy ożywione, przystąpiła do swego męża i głosem czystym, śmiałym rzekła:

— Edwardzie! Gdy kapitan Grant pisał ten list i rzucał go w morze, powierzał los swój Bogu. Bóg nam go oddał, nam! i zgodzisz się na to, że nas chciał obrać za narzędzie ocalenia tych nieszczęśliwych.

— Nie rozumiem cię, lady Heleno — rzekł lord Glenarvan.

W całem zgromadzeniu panowało głębokie, uroczyste milczenie.

— Chcę powiedzieć — odparła lady Helena — że dobrze byłoby, gdybyśmy pierwsze chwile naszego małżeństwa dobrym oznaczyli uczynkiem. Drogi mężu, dla zrobienia mi przyjemności projektowałeś wycieczkę na naszym jachcie! Lecz czyż może być większa i prawdziwsza przyjemność, jak ocalić nieszczęśliwych, przez kraj swój opuszczonych?

— Heleno! — zawołał lord Glenarvan.

— Ty mnie rozumiesz, Edwardzie; nasz *Duncan* jest wybornym i dobrze zbudowanym statkiem. Może śmiało puścić się na morza południowe! Może świat objechać dokoła i objedzie w razie potrzeby! Jedźmy Edwardzie! Płyńmy szukać kapitana Granta!

W odpowiedzi na te śmiałe wyrazy, lord Glenarvan wyciągnął rękę do młodej małżonki, z uśmiechem radości przycisnął ją do serca, a Marja i Robert pocałunkami okrywali jej ręce.

Podczas tej niemej, wzruszającej sceny, słudzy zamkowi wzruszeni do żywego, jednym, zgodnym zawołali głosem:

— Wiwat! Niech żyje nasza pani! Wiwat! Po trzykroć wiwat! Na cześć lorda i lady Glenarvan!

V.

ODJAZD „DUNCANA".

Powiedzieliśmy już, że lady Helena miała duszę równie mężną, jak szlachetną; ostatni jej postępek był świeżym, niezaprzeczonym tego dowodem. Lord Glenarvan słusznie chlubił się żoną, która zdol-

na była zrozumieć go i wszędzie mu towarzyszyć. Myśl pośpieszenia z pomocą kapitanowi Grantowi już mu się zrodziła w sercu, gdy odjeżdżał do Londynu i gdy zgóry przewidywał, że prośba jego odrzucona zostanie. Nie wyjawiał tego aż dotąd, bo nie mógł się oswoić z myślą opuszczenia żony ubóstwianej. Lecz gdy lady Helena sama domagać się tego poczęła, wszystkie przeszkody były usunięte. Słudzy zamkowi wdzięcznym okrzykiem radości powitali propozycję swej zacnej pani — chodziło o ocalenie ich braci, Szkotów; a więc i lord Glenarvan sercem powtarzał okrzyki swych podwładnych.

Skoro odjazd był już postanowiony, nie pozostawało ani jednej godziny do stracenia. Tego samego dnia lord Glenarvan wyprawił do Johna Mangles rozkaz przyprowadzenia *Duncana* do Glasgowa i przysposobienia wszystkiego, co było potrzebne do dalekiej podróży po morzach południowych, a może i do opłynięcia kuli ziemskiej. Robiąc swą propozycję, lady Helena nie przesadziła bynajmniej przymiotów *Duncana*, zbudowanego tak dobrze, iż posiadał wszystkie warunki trwałości i szybkości, a przeto mógł przedsiębrać i najbardziej oddalone podróże.

Był to jeden z najpiękniejszych jachtów parowych, pojemności 210 ton, a pierwsze okręty, jakie przybyły do Nowego Świata z Kolumbem, Wespucjuszem, Pinzonem i Magellanem, były daleko mniejsze. *)

Duncan był dostatecznie zaopatrzony w żagle, lecz najwięcej mógł liczyć na potężny mechanizm, ukryty w jego wnętrzu. Machina jego, o sile stu sześćdziesięciu koni, zbudowana podług nowego systemu, posiadała wszystkie ulepszone przyrządy, zwiększające działanie pary, poruszającej podwójną śrubę. W razie potrzeby, przy całem natężeniu pary, *Duncan* mógł przewyższyć wszystkie szybkości, dotąd w żegludze morskiej osiągnięte. I rzeczywiście, na próbach w zatoce Clyde robił po siedemnaście mil na godzinę, **) a przeto mógł się śmiało puścić w podróż naokoło świata. John Mangles nie miał więc innego kłopotu, jak zaopatrzyć okręt w to, co potrzebne było do podróży.

Najpierwszem jego staraniem było powiększyć, jak można, składy na węgiel, o który bardzo trudno w drodze; tę samą przezorność zachował i co do śpiżarni, tak, że mógł na dwa lata zabrać zapasów żywności. Pieniędzy mu nie brakło, a więc sprawił jeszcze i armatę, którą umieścił na przednim pokładzie jachtu: niewiadomo było, co zajść może, a w każdym razie narzędzie to dawało możność wyrzucenia ośmiofuntowego pocisku na odległość czterech mil morskich.

*) W czwartej swej podróży Krzysztof Kolumb miał cztery okręty, z których największy brał 70, a najmniejszy 50 tylko ton ładunku.

**) 17 mil, czyli 17 węzłów; a ponieważ mila morska ma 1852 metry, szybkość więc jego przekraczała 32 kilom. na godzinę.

John Mangles, trzeba to przyznać, znał się na swem rzemiośle i uchodził w Glasgowie za jednego z najlepszych żeglarzy. Miał trzydzieści dwa lata, rysy nieco surowe, lecz znamionujące dobroć i odwagę. Był wychowańcem zamku i rodziny Glenarvanów, która go na dzielnego wykształciła marynarza; John Mangles w kilku odleglejszych podróżach złożył niezaprzeczone dowody zręczności, energji i zimnej krwi. Gdy mu lord Glenarvan ofiarował dowództwo *Duncana,* z radością przyjął zaszczyt, bo duszą całą kochał, jak brata swego, pana zamku Malcolm i szukał sposobności do złożenia mu dowodów swego przywiązania.

Porucznik okrętu, Tom Austin, był starym marynarzem, na zupełne zasługującym zaufanie; licząc z kapitanem i porucznikiem, dwudziestu pięciu ludzi składało osadę *Duncana,* a wszyscy pochodzili z hrabstwa Dumbarton. Majtkowie dobrze wyćwiczeni byli synami dzierżawców i stanowili na pokładzie okrętu jakby całkowity klan zuchów, któremu nie brakowało nawet tradycyjnego dudarza (piper), jakiego dotąd jeszcze posiadają wszystkie pułki szkockie. Lord Glenarvan stał tedy na czele niewielkiego oddziału, złożonego z ludzi dobrych, odważnych, sumiennych i gotowych, jak to mówią, skoczyć w ogień na rozkaz jego. Gdy ludzie załogi *Duncana* dowiedzieli się, dokąd mają popłynąć, nieposiadali się z radości, a echa skał Dumbartonu długo powtarzały radosne odgłosy ich okrzyków, pełnych zapału.

John Mangles, myśląc o naładowaniu, uzbrojeniu i zaopatrzeniu swego okrętu, nie zapomniał także o urządzeniu na tak długą podróż apartamentów dla dzieci kapitana Granta, które także miały odbyć drogę na pokładzie *Duncana,* na życzenie lady Heleny.

Co do małego Roberta, pragnącego, bądź co bądź, stać się marynarzem, to musiano się zgodzić, że przyjęty będzie na pokład *Duncana* nie w charakterze podróżnego, lecz chłopca okrętowego, jak niegdyś Nelson i Franklin. Oddany więc był w ręce Johna Manglesa, który miał go uczyć swego rzemiosła.

— Doskonale! — zawołał chłopiec — a niech kapitan nie żałuje dyscypliny, gdy będę niezgrabny.

— Bądź o to spokojny, mój chłopcze — odezwał się poważnie obecny temu lord Glenarvan, nie dodając, że użycie dyscypliny nie było w zwyczaju na pokładzie *Duncana.*

Dla dokładniejszego zapoznania czytelników z osadą *Duncana,* wypada jeszcze wspomnieć o majorze Mac Nabbs. Był to człowiek pięćdziesięcioletni, o rysach twarzy spokojnych i regularnych. Szedł tam, gdzie mu kazano, i robił, co mu polecono; skromny, małomówiący, spokojny i nader łagodny, zgadzający się na wszystko i ze wszystkimi, nigdy nie dysputował, o nic się nie sprzeczał. Takim samym krokiem wchodził na schody, do jego sypialni wiodące, jakim wspinał się na wyłom twierdzy oblężonej; nic w świecie nie zdołałoby go wzruszyć, nic przerazić, choćby to nawet była kula armatnia—i nie-



O piątej godzinie rano podróżni znajdowali się na wysokości 7.500 stóp... (str. 71).

zawodnie człowiek ten umrze, nie znalazłszy przez całe życie ani jednej sposobności do rozgniewania się na cokolwiek. Człowiek ten posiadał w najwyższym stopniu nietylko zwykłą odwagę żołnierską, ale także i odwagę moralną — to jest stałość duszy. Jedyny błąd, jedyną jego wadę stanowiło to, że od stóp do głów był Szkotem, Kaledończykiem czystej krwi — zapalonym przestrzegaczem starych zwyczajów krajowych. Dlatego też nigdy nie chciał służyć w Anglji, a stopień majora wysłużył sobie w 24-ym pułku Highland-Black-Watch, czarnej gwardji, której kompanje utworzone były z samej tylko szkockiej

szlachty. Mac Nabbs, jako krewny Glenarvana, mieszkał w zamku Malcolm, a jako major uważał za zupełnie naturalne uczestniczyć w wyprawie *Duncana.*

Taki był skład osób na jachcie, który całkiem niespodzianie użyty został do jednej z najbardziej zadziwiających podróży czasów nowoczesnych. Od chwili przybycia do Steamboat-Quay w Glasgowie, zwrócił on na siebie całą uwagę zaciekawionej publiczności; codzień tłumy ogromne cisnęły się dla obejrzenia go; nim się tylko zajmowano, o nim tylko mówiono, ku wielkiemu niezadowoleniu innych kapitanów, w porcie stojących, a szczególniej też kapitana Burtona, dowodzącego pysznym steamerem *Scotia,* który stał na kotwicy tuż obok *Duncana* i gotował się w podróż do Kalkuty. Przy olbrzymich rozmiarach steamera, *Duncan* wyglądał jak mucha, a mimo to ciekawość ogólna wyłącznie zwrócona była na jacht lorda Glenarvan.

Szybko nadchodziła chwila odjazdu. John Mangles zręcznie i szybko się uwinął, bo w miesiąc po próbach szybkości w zatoce Clyde, *Duncan* był naładowany, zaopatrzony i urządzony tak, że mógł wypłynąć na morze. Dzień odjazdu oznaczony był na 25 sierpnia, a termin ten dozwalał jachtowi dopłynąć na wiosnę do szerokości geograficznej, pod którą leżą kraje półkuli południowej.

Skoro się rozeszła pogłoska o zamiarze lorda Glenarvana, zwrócono się do niego z wielu stron z rozmaitemi uwagami i spostrzeżeniami nad trudami i niebezpieczeństwem podobnej podróży; pomimo to jednak trwał niezłomnie w zamiarach opuszczenia Malcolm-Castle. Najprzód zazdrość podniosła przeciw niemu głosy, które ustały wtedy dopiero, gdy opinja publiczna oświadczyła się wyraźnie za lordem szkockim. I wtedy to wszystkie dzienniki (prócz organów rządowych) głośno i jednozgodnie potępiły komisarzy admiralicji w tej sprawie. Lorda Glenarvana tyle obchodziły nagany, co i pochwały — nie troszczył się o nie bynajmniej i robił swoje.

Dnia 24-go sierpnia Glenarvan, lady Helena, major Mac Nabbs, Marja i Robert Grant, kamerdyner Olbinett i jego żona, oraz panna Olbinett, służąca lady Glenarvan, wyjechali wśród błogosławieństw służby zamkowej i po najczulszych pożegnaniach, z Malcolm-Castle, a w kilka godzin potem już wszyscy znaleźli się na pokładzie okrętu. Ludność sympatycznem uwielbieniem powitała lady Helenę, młodą, piękną i odważną kobietę, która, wyrzekając się dobrowolnie wygodnego życia, biegła na pomoc nieszczęśliwym rozbitkom. Pokoje lorda i lady Glenarvan zajmowały prawie cały tył *Duncana;* urządzono tam dla nich dwie sypialnie, salonik i dwie szatnie; dalej, naokoło ogólnej kwadratowej izby, znajdowało się sześć kajut, z których pięć zajmowali: Marja i Robert Grant, państwo Olbinett i major Mac Nabs. Na reszcie statku wygodne pomieszczenie miała służba okrętowa, gdyż jacht, oprócz węgla, broni i żywności, żadnego innego ładunku nie zabierał.

Duncan miał wypłynąć w nocy z 24-go na 25-go sierpnia, o godz. trzeciej, zaraz po odpływie morza. Zanim to jednak nastąpiło, ludność Glasgowa była świadkiem wzruszającego obrzędu. O ósmej godzinie z wieczora, lord Glenarvan ze swymi gośćmi i całą załogą, począwszy od palacza do kapitana, opuścił jacht i udał się do Saint-Mungo, starożytnej katedry glasgowskiej. Świątynia ta, która tak cudownie ocalała od ruiny w czasach reformy, a którą z takim wdziękiem i prawdą opisał Walter - Scott, przyjęła pod swe ciężkie sklepienie podróżnych i marynarzy *Duncana*. Ogromny tłum ciekawych zaległ wszystkie pozostałe miejsca w kościele. W wielkiej nawie, jak cmentarz zapełnionej grobowcami, wielebny Morton wzywał na głowy podróżnych błogosławieństwa Niebios, błagał o pomoc Wszechmocnej Opatrzności. W chwilach uroczystego milczenia słyszeć było można głos Marji Grant, modlącej się za swych dobroczyńców i roniącej łzy wdzięczności. Całe zgromadzenie do głębi duszy wzruszone opuściło świątynię.

O jedenastej w nocy, gdy wszyscy byli już na pokładzie, John Mangles z całą załogą zajął się ostatniemi przygotowaniami.

O północy rozpalono ognie pod kotłami ogniska, a kapitan kazał pilnie je podtrzymywać; wkrótce kłęby czarnego dymu zmieszały się z ciemnością nocną. Żagle *Duncana* zostały starannie owinięte w pokrowce, aby ich nie powalał pył węglowy; bo właśnie podniósł się wiatr południowo-zachodni, nie sprzyjający żegludze.

O drugiej rano *Duncan* zaczął drgać pod działaniem pary w kotłach; manometr wskazywał ciśnienie czterech atmosfer; silnie ogrzana para świszczała przez klapy; przypływ morza ustępował. Pierwsze brzaski dozwalały już rozpoznać dokładnie drogę na kanale Clyde — pora była bardzo stosowna do odjazdu.

John Mangles zawiadomił o tem lorda Glenarvana, który też bezzwłocznie wyszedł na pomost.

Odpływ morza kończył się w tej chwili i zaraz też *Duncan* świstem pary napełnił powietrze, podniósł kotwicę i wypłynął z pomiędzy otaczających go okrętów; śruba została w ruch wprawiona i popchnęła jacht w odnogę rzeki. John nie zabrał pilota. Znał on doskonale wszystkie przejścia i zakręty Clyde; sam wybornie umiał kierować poruszeniami statku; prawą ręką przesyłał w milczeniu sygnały do maszyny, a lewą sternikowi, z pewnością i spokojem. Wkrótce ostatnie kominy fabryczne, znikły z oczu, a miejsce ich zajął widok wiosek, tu i owdzie na pagórkach porozrzucanych wzdłuż wybrzeży.

W godzinę później *Duncan* żegnał ostatnie skały Dumbartonu, we dwie godziny wypłynął na pełną zatokę, a o szóstej z rana, opłynąwszy Cantyre, wypłynął z kanału Północnego na pełny Ocean.

VI.

PASAŻER Z KAJUTY NR. 6.

W ciągu pierwszego dnia żeglugi morze było dość wzburzone, a pod wieczór powstał wiatr silny, który pochylał jacht na wszystkie strony; damy, znajdujące się na statku, musiały pozostać w swych kajutach.

Lecz następnego dnia wiatr zmienił kierunek; kapitan John kazał zaciągnąć kilka żagli, czem wzmocniony *Duncan* silniej opierał się falom. Lady Helena i Marja Grant o brzasku wyszły na pomost, gdzie znajdowali się już lord Glenarvan, major i kapitan. Słońce wschodziło wspaniale; *Duncan* sunął szybko po gładkiej przestrzeni wód, odbijającej jasne promienie. Podróżni w niemym zachwycie podziwiali ten wspaniały widok.

— Ślicznie się dzień zaczyna — rzekła wreszcie lady Helena — żeby tylko wiatr nie chciał się zmienić i opóźnić naszej podróży.

— Nie można lepszej pragnąć pogody, droga Heleno; wyprawa nasza zaczyna się wybornie.

— Czy długo będziemy w drodze, kochany Edwardzie?

— Kapitan John może nam na to odpowiedzieć — rzekł lord Glenarvan. — Czy dobrze płyniemy? Czy zadowolony jesteś kapitanie ze statku?

— Najzupełniej, wasza dostojność — odpowiedział John. — Jacht nasz jest dobry i piękny; rzadko w którym okręcie zdarzy się, aby kadłub jego w takiej z machiną był zgodzie; to też jacht sunie gładko po falach, jak ptak wodny; robimy po siedemnaście mil na godzinę. Gdyby taka szybkość trwała jednostajnie, to za pięć tygodni najdalej opłynęlibyśmy przylądek Horn.

— Czy słyszysz, Marjo? — rzekła lady Helena — najdalej za pięć tygodni.

— Słyszę, pani; serce mocniej mi zabiło przy pierwszych zaraz wyrazach kapitana.

— A jakże znosisz podróż morską, miss Marjo? — zapytał lord Glenarvan.

— Dość dobrze, milordzie; niewiele czuję przykrości, a zresztą przyzwyczaję się z łatwością.

— A nasz mały Robert?

— Oh! Robert — rzekł John Mangles — jeśli nie siedzi przy maszynie, to pewno wdrapał się gdzie na maszt. Ten wcale nie dba o chorobę morską — i w tej oto chwili, proszę patrzeć...

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę, gdzie kapitan wskazywał palcem Roberta, zawieszonego na linach w powietrzu, o sto przeszło stóp nad pokładem. Na twarzy Marji widać było przerażenie.

— Oh! uspokój się, miss — rzekł John Mangles — ręczę ci za niego i spodziewam się, że niedługo będę mógł kapitanowi Grantowi przedstawić tęgiego zucha w osobie jego syna; bo pewny jestem, że znajdziemy tego zacnego kapitana.

— Niechaj niebo wysłucha słów twoich i życzeń, panie John — odpowiedziała miss Grant.

— Moje drogie dziecię — mówił lord Glenarvan — uważam, że w tem wszystkiem jest coś opatrznościowego, co powinno nam dodać odwagi i otuchy. Patrz, ilu tu dzielnych ludzi z taką ochotą poświęca się dla tej pięknej sprawy. To mi daje pewność, że nasz zamiar nietylko udać się musi, ale celu zamierzonego dosięgniemy bez wielkich trudności. Przyrzekłem lady Helenie przejażdżkę dla przyjemności i bodaj czy nie dotrzymam mego przyrzeczenia.

— Edwardzie — rzekła lady Glenarvan — nie znam lepszego od ciebie człowieka.

— Bynajmniej, moja droga — nie jestem najlepszym z ludzi; ale na najlepszym okręcie mam najlepszą, jaka być może, osadę. Czy nie podziwiasz naszego *Duncana*, miss Marjo?

— I owszem, milordzie, podziwiam go, i to jako prawdziwa znawczyni.

— Czy istotnie!

— Dzieckiem będąc, bawiłam się nieraz na okrętach mojego ojca i obeznałam się z żeglarstwem o tyle, że od biedy mogłabym uchodzić za niezłego marynarza, gdyby tego była konieczna potrzeba.

— Czy być może, miss? — zawołał John Mangles.

— Jeśli tak — wtrącił lord Glenarvan — to w krótkim czasie nasz kapitan stanie się wielkim twoim przyjacielem; bo on nie pojmuje, aby co w świecie mogło dorównać zawodowi marynarza. Według jego pojęć, kobiety nawet marynarce poświęcać się powinny. Nieprawdaż, kapitanie?

— Bezwątpienia — odpowiedział młody kapitan — a chociaż wolę widzieć miss Marję na pokładzie, niż na maszcie, niemniej jednak przyjemnie mi słyszeć ją tak mówiącą.

— A szczególnie też, gdy chwali *Duncana* — dodał lord Glenarvan.

— Który na to w zupełności zasługuje.

— Doprawdy, kapitanie — rzekła lady Helena — takiś dumny ze swego jachtu, że bierze mnie ochota zwiedzić go aż do spodu i zobaczyć, jak tam nasi poczciwi majtkowie są pomieszczeni.

— Przewybornie — odrzekł John — w domu lepiej im być nie może.

— Bo też rzeczywiście są w domu, droga Heleno — wtrącił lord Glenarvan. — Ten jacht, toć to cząstka naszej starej Kaledonji. Jest to kawałek, oderwany od hrabstwa Dumbartonu; możemy sobie wyobra-

żać, żeśmy bynajmniej nie opuścili naszego kraju! *Duncan*, to zamek Malcolm, a ocean, to jezioro Lomond.

— A więc, kochany Edwardzie, czyńże nam honory zamku — odpowiedziała lady Helena.

— Jestem na rozkazy pani — rzekł Glenarvan — lecz przedewszystkiem pozwól mi uprzedzić Olbinetta.

Kamerdyner lorda był zarazem stewardem jachtu. Przywykły do ścisłego spełniania poleceń swego pana, na wezwanie stawił się natychmiast, gotowy do usług.

— Olbinett! Przed śniadaniem idziemy na przechadzkę — rzekł lord Glenarvan, zupełnie jakby szło o zrobienie wycieczki do Tarbet, lub na jezioro Katrine. — Spodziewam się, że za powrotem znajdziemy stół zastawiony.

Olbinett odpowiedział głębokim i pełnym poszanowania ukłonem.

— Majorze, czy pójdziesz z nami? — spytała lady Helena.

— Jeśli rozkażesz — odpowiedział Mac Nabbs.

— Oh! major utonął w dymie swego cygara — rzekł lord Glenarvan — nie przeszkadzajmy mu; przedstawiam ci go, miss Marjo, jako namiętnego palacza, który, śpiąc nawet, nie wypuszcza z ust cygara.

Major, nie rzekłszy słowa, pozostał na swem miejscu, a reszta towarzystwa ruszyła na spód okrętu.

Mac-Nabbs swoim zwyczajem mruknął coś pod nosem i nieporuszony, jak skała, otaczając się coraz gęstszemi kłębami dymu, spoglądał na smugi, jakie jacht poza sobą na wodzie zostawiał. Po kilku minutach takiego niemego zadumania, obejrzał się nagle i spostrzegł obok siebie zupełnie obcego człowieka. Gdyby major zdolny był dziwić się czemukolwiek, niezawodnie spotkanie to niespodziewane byłoby go zdziwiło niezmiernie.

Nieznajomy był to mężczyzna wysoki, chudy i suchy, mogący mieć lat około czterdziestu; podobny był do długiego gwoździa o dużym łebku — głowę bowiem w rzeczy samej miał szeroką i silną, czoło wysokie i rozumne, podbródek przedłużony, usta duże, a nos bardzo cienki i długi; oczy zaś, ukryte poza ogromnemi okularami, zdawały się posiadać własność widzenia lepiej w ciemności, niż przy blasku światła. Fizjognomja jego wogóle zdawała się zdradzać, zanim jeszcze przemówił, człowieka rozumnego, wesołego, towarzyskiego, rozmownego i jakby roztargnionego, który nie widzi tego, na co patrzy, nie słyszy tego, czego słucha. Na głowie miał czapkę podróżną, na nogach mocne, żółte trzewiki ze skórzanemi kamaszami, spodnie i żakiet z aksamitu orzechowego, a liczne kieszenie, wypchane książkami, albumami, notatkami, pugilaresami i tysiącem innych przedmiotów, więcej kłopotu niż pożytku przynoszących — nie mówiąc już o długiej lunecie, którą nosił przewieszoną w futerale na pasku przez plecy.

Ruchliwość nieznajomego stanowiła dziwną sprzeczność z marmurową nieruchomością majora; kręcił się wokoło Mac-Nabbsa, patrzył na majora, zapytywał go wzrokiem, a ten ani myślał dowiedzieć się, skąd przybywa nieznajomy, dokąd jedzie, i co robi na pokładzie *Duncana*.

Gdy zagadkowy człowiek spostrzegł, że wszystkie jego usiłowania rozbijają się o lodowatą obojętność, pochwycił swą lunetę, która, rozsunięta całkowicie, miała cztery stopy długości, i w pozycji słupa drogowego wymierzył ją tam, gdzie niebo z wodą schodzą się na jednym horyzoncie. Po pięciu minutach badania opuścił rozsuniętą lunetę, postawił ją na podłodze i sam oparł się na niej, jak na lasce; tymczasem luneta pod ciężarem ręki zsunęła się nagle, a pasażer, pozbawiony podpory, o mało że nie upadł na pokład.

Każdy inny na miejscu majora byłby się przynajmniej uśmiechnął — Mac-Nabbs jednak ani się zmarszczył. Wtedy nieznajomy, zniecierpliwiony już widać, zawołał akcentem, po którym można było poznać cudzoziemca:

— Hej! Steward!

Czekał chwilę, lecz nikt nie nadchodził.

— *Steward!* — krzyknął silniejszym głosem.

Jan Olbinett przechodził właśnie do kuchni i zdziwił się mocno, że go woła ten długi, a całkiem nieznany człowiek.

— Co to jest za figura? Czyby jaki przyjaciel lorda Glenarvan? To być nie może. — Zbliżył się jednak do nieznajomego.

— Czy pan jest *stewardem?* — zapytał go nieznajomy.

— Tak jest, panie — odpowiedział Olbinett — ale nie mam zaszczytu...

— Jestem pasażerem z kajuty numer szósty.

— Numer szósty? — powtórzył *steward*.

— Tak jest. A nazywasz się?...

— Olbinett.

— Otóż, mój panie Olbinett — rzekł pasażer z kajuty Nr. 6 — trzebaby pomyśleć o śniadaniu, i to co prędzej. Już od trzydziestu sześciu godzin nic nie jadłem, albo raczej spałem przez trzydzieści sześć godzin bez przerwy, co nareszcie łatwo wybaczyć człowiekowi, który jednym tchem przypędził z Paryża do Glasgowa. O której godzinie, jeśli łaska, podają tu śniadanie?

— O dziewiątej — machinalnie odpowiedział Olbinett.

Nieznajomy chciał spojrzeć na zegarek, ale czynność ta zabrała mu niemało czasu, gdyż znalazł zegarek dopiero w jakiejś tam dziewiątej czy dziesiątej kieszeni.

— Do licha! — zawołał — jeszcze niema ósmej. A więc, kochany Olbinett, daj mi tymczasem biszkopt i szklankę sherry, bo umieram z głodu i pragnienia.

Olbinett słuchał, nic nie rozumiejąc, a nieznajomy tymczasem mówił wciąż to o tem, to o owem, z nadzwyczajną gadatliwością.

— A gdzież kapitan? — trzepotał coraz prędzej — gdzież kapitan? Czy nie wstał jeszcze? A porucznik? Co robi porucznik? Czy także śpi dotąd? Pogoda jest prześliczna, wiatr bardzo przyjazny, okręt więc płynie sam...

Właśnie, gdy domawiał tych słów, John Mangles ukazał się na schodach.

— Otóż i kapitan! — rzekł Olbinett.

— Ah, bardzo mi przyjemnie! — zawołał nieznajomy. — Bardzo mi przyjemnie, że cię poznaję, kochany panie Burton.

John Mangles osłupiał i niewiadomo, co go więcej dziwiło: czy to, że go nazywano kapitanem Burtonem, czy też, że widzi na pokładzie *Duncana* tego intruza, ciągnącego najspokojniej w świecie:

— Pozwól, niech ci dłoń uścisnę serdecznie. Przedwczoraj nie uczyniłem tego, bo wiem, że przed odjazdem każdy marynarz bardzo jest zatrudniony, i tobie też przeszkadzać nie chciałem. Ale dziś, kochany kapitanie, uszczęśliwiony jestem, nawiązując z tobą stosunki i znajomość na czas dłuższy.

John Mangles coraz szerzej otwierał oczy, patrząc to na Olbinetta, to na nieznajomego.

— Teraz, kochany kapitanie, gdy się już znamy i jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, powiedz mi szczerze, czy zadowolony jesteś ze swojej *Scottii*?

— O jakiej *Scottii* pan mówisz? — zapytał John Mangles.

— O tej, na której płyniemy; o dzielnym parowcu, którego fizyczne przymioty zachwalano mi narówni z moralnemi przymiotami jego dowódcy, dzielnego kapitana Burtona. Czy jesteś krewnym wielkiego i sławnego podróżnika po Afryce, noszącego toż samo nazwisko? Jeśli tak, to jest ci czego powinszować.

— Panie — odpowiedział John Mangles — nietylko że nie jestem krewnym podróżnika Burtona, ale i sam nie jestem kapitanem Burtonem.

— Ah! więc to z porucznikiem parowca *Scottii*, panem Burdnessem, mam przyjemność w tej chwili?

— Panem Burdnessem? — powtórzył John Mangles, nie wiedząc już wreszcie, co ma sądzić. Rozważając, czy ma do czynienia z warjatem, czy z oszustem, chciał już przystąpić do kategorycznego wyświetlenia prawdy — gdy wtem lord Glenarvan z żoną i miss Marją wyszli na pokład. Nieznajomy, spostrzegłszy ich, zawołał:

— Ah! pasażerowie! pasażerowie! wybornie! bądź łaskaw, panie Burdness, przedstaw mnie i zapoznaj...

I zbliżając się bardzo żwawo do wchodzącego towarzystwa, nie czekając na odezwanie się Johna Mangles...

— Pani!... miss... — powiedział do lady Heleny — panie!... — odezwał się, zwracając mowę do lorda Glenarvan.

— Lord Glenarvan — rzekł John Mangles.

— Milordzie! — poprawił się wtedy nieznajomy, przepraszam cię, że sam się przedstawiam; ale na morzu trzeba czasem odstąpić od przepisów etykiety. Mam nadzieję, że wkrótce się zapoznamy, a w towarzystwie tych dam podróż na *Scottii* odbędziemy równie prędko, jak przyjemnie.

Lady Helena i miss Grant nie umiały znaleźć słowa odpowiedzi, nie wiedząc, skąd się wziął ten intruz na pokładzie *Duncana.*

— Panie — rzekł wtedy lord Glenarvan — z kimże mam przyjemność mówić?

— Jestem Jakób - Hiacynt - Franciszek - Marja Paganel, sekretarz paryskiego Towarzystwa Geograficznego; członek korespondent towarzystw w Berlinie, Bombaju, Darmsztadzie, Lipsku, Londynie, Petersburgu, Wiedniu i New-Yorku; członek honorowy Królewskiego Instytutu Geograficznego i Etnograficznego Indyj Wschodnich — który po dwudziestu latach mozolnej nad geografją pracy w gabinecie przy stoliku, chciał nareszcie popróbować praktyki i wybrał się w drogę do Indyj, aby tąm na miejscu sprawdzić, zestawić i powiązać ze sobą prace wielkich podróżników.

VII.

SKĄD PRZYBYWA I DOKĄD DĄŻY JAKÓB PAGANEL.

Sekretarz Towarzystwa Geograficznego był bardzo przyjemnym człowiekiem i, co miał do powiedzenia, wypowiedział bardzo wdzięcznie. Lord Glenarvan wiedział zresztą, z kim ma do czynienia, znał bowiem doskonale i nazwisko, i zasługi Jakóba Paganela. Jego prace geograficzne, jego sprawozdania o najświeższych odkryciach, drukowane w biuletynach Towarzystwa, jego stosunki naukowe z całym prawie światem — czyniły go jednym z najznakomitszych uczonych francuskich. Dlatego też Glenarvan z przyjemnością podał rękę swemu wcale niespodziewanemu gościowi.

— A teraz, skorośmy się nawzajem zaznajomili — dodał — pozwól mi, panie Paganel, zadać ci jedno pytanie.

— Dwadzieścia pytań! milordzie — odpowiedział Jakób Paganel — rozmowa z panem największą jest dla mnie przyjemnością.

— Wszak przedwczoraj wieczorem przybyłeś na pokład tego statku?

— Tak jest, milordzie, przedwczoraj wieczór o godzinie ósmej. Prosto z kolei kaledońskiej skoczyłem w czółno, a z czółna wysiadłem na *Scottię,* gdzie z Paryża jeszcze miałem zamówioną kajutę, oznaczoną numerem szóstym. Noc była ciemna. Na pokładzie nie widziałem nikogo, a ponieważ byłem mocno strudzony po trzydziestu godzinach podróży, i wiedziałem, że najlepszym środkiem uchronienia się od choroby morskiej było położyć się natychmiast i nie wstawać z posłania przez kilka pierwszych dni podróży — położyłem się tedy i spałem najskrupulatniej, jak być może, przez trzydzieści sześć godzin bez przerwy.

Słuchacze Jakóba Paganela wiedzieli od tej chwili, co mają myśleć o jego obecności na pokładzie. Podróżnik francuski przez pomyłkę wszedł na *Duncana* w chwili właśnie, gdy cała załoga była na nabożeństwie w katedrze. Wszystko się wyjaśniło. Lecz co powie uczony geograf, skoro się dowie o nazwisku i przeznaczeniu statku, na którym się znajduje?

— Więc, panie Paganel — rzekł wobec tego lord Glenarvan — z Kalkuty pan zamierzasz puścić się na wycieczkę naukową?

— Tak jest, milordzie! Widzieć i zwiedzić Indje, to pragnienie całego mojego życia, to najpiękniejsze i najmilsze marzenie, które nareszcie urzeczywistni się w ojczyźnie słoni i tygrysów.

— A czy nie byłoby ci wszystko jedno, panie Paganel, pojechać do innego kraju i zwiedzić go?

— O! bynajmniej, milordzie! wcale nie wszystko jedno i mocnoby mnie to nawet zmartwiło, bo mam listy polecające do lorda Sommerset, gubernatora Indyj, i pewne zlecenie od Towarzystwa Geograficznego, którebym rad wypełnić.

— Ah! masz pan zlecenie?

— Tak jest, polecono mi zrobić bardzo ciekawą i pożyteczną wycieczkę, której program redagował mój uczony przyjaciel i towarzysz, p. Vivien de Saint Martin. Chodzi tu o pójście w ślady braci Schlagintweit, pułkownika Webba, Hodgsona, Wangha, misjonarzy Huca i Gabeta, Moncrofta, Juljusza Remy i tylu innych sławnych podróżników. Chcę próbować, czy mi się nie powiedzie to, co się w roku 1846 nie powiodło misjonarzowi Krick — słowem, pragnę poznać dokładnie bieg rzek Yaro-Dzangbo-Tchou, płynącej przez Tybet na przestrzeni tysiąca pięciuset kilometrów i obmywającej od północy spód Himalajów — a z tego wnieść, czy ta rzeka nie łączy się z Bramaputrą w północno-zachodniej części Assanu. Medal złoty, milordzie, czeka szczęśliwego podróżnika, któremu uda się rozwiązać jedno z najciekawszych zadań geograficznych, tyczących się Indyj.

Paganel był wspaniały, mówiąc z wzniosłym zapałem. Ulatywał na skrzydłach rozbujałej fantazji. Powstrzymać go było równie niepodobna, jak powstrzymać Ren przy wodospadzie pod Szafuzą.

— Panie Jakóbie Paganel — rzekł lord Glenarvan po krótkiem milczeniu — zapewne, że o pięknej myślisz podróży, i nauka wieleby ci z niej zawdzięczała wiadomości, zupełnie dotąd nieznanych; lecz nie chcę cię dłużej w błędzie utrzymywać i powiem ci, że, jak na teraz przynajmniej, musisz się wyrzec przyjemności zwiedzenia Indyj.

— Wyrzec się? a to dlaczego?

— Bo w przeciwną zupełnie płyniesz stronę.

— Co? co?... Kapitanie Burton...

— Ja nie jestem kapitanem Burtonem — odpowiedział John Mangles.

— Ależ *Scottia*?

— Ten statek nie jest *Scottią!*

Trudno opisać zdziwienie Paganela. Spoglądał kolejno to na lorda Glenarvan, wciąż poważnego, to na lady Helenę i Marję Grant, na obliczu których malowały się żal i współczucie, to na uśmiechającego się Johna Manglesa, to na nieruchomego majora; potem wzruszył ramionami, opuścił z czoła na nos okulary i zawołał:

— Cóż to za żarty?

Lecz w tej właśnie chwili wzrok jego padł na koło sterowe, noszące napis:

DUNCAN

G L A S G O W

— *Duncan! Duncan!* — zawołał z przerażeniem.

Potem, zbiegając co tchu po schodach, rzucił się ku swej kajucie.

Zaledwie znikł biedny uczony, nikt na pokładzie, prócz jednego majora, nie potrafił wstrzymać się od głośnego śmiechu. Omylić się w pociągu kolejowym, mniejsza o to; wziąć pociąg edynburski za pociąg idący do Dumbartonu, to jeszcze nic tak wielkiego; ale omylić się co do okrętu i wsiąść na statek, odpływający do Chili, gdy się ma zamiar pojechać do Indyj — nato już trzeba być dziwnie roztargnionym!

— Koniec końców, nie dziwi mnie bynajmniej, że się to stało Paganelowi — rzekł lord Glenarvan — znany on jest i sławny z roztargnienia. Przypominam sobie, że pewnego razu wydał pyszną i wspaniałą kartę Ameryki, na której umieścił Japonję. Mimo to wszystko, jest on jednym z najlepszych i najznakomitszych geografów we Francji.

— Ale cóż my zrobimy z tym biedakiem? — zapytała lady Helena. — Nie możemy go przecie zawieźć do Patagonji.

— A czemużby nie? — zapytał poważnie Mac-Nabbs — nie możemy być odpowiedzialni za jego roztargnienie. Przypuśćmy, że się znajduje w pociągu kolejowym: czyżby go zatrzymać zdołał?

— Zapewne, że nie — odrzekła lady Helena — aleby wysiadł na najbliższej stacji.

— Toż samo — rzekł lord Glenarvan — uczynić może na pierwszym naszym przystanku, jeśli mu się podoba.

W tej chwili zawstydzony i pomieszany Paganel wracał na pokład, upewniwszy się, że wszystkie jego rzeczy i pakunki są w całości na okręcie. Powtarzał on wciąż tę złowrogą dla siebie nazwę: *Duncan! Duncan!* W tej chwili nie mógł w całym swoim słowniku żadnego innego znaleźć wyrazu. Chodził jak nieswój, oglądał w milczeniu maszty, patrzył bezmyślnie na horyzont i wkońcu, zwracając się do lorda Glenarvana, zapytał:

— A ten *Duncan* płynie?

— Do Ameryki, panie Paganel.

— Do którego mianowicie miejsca?

— Do miasta Conception.

— Do Chili! do Chili! — zawołał nieszczęsny geograf. — A moje zlecenie do Indyj! Cóż powie pan Quatrefages, prezes komisji centralnej! a pan Avezac! a pan Cortambert! a pan Vivien de Saint-Martin! a jakżeż się pokażę na posiedzeniach Towarzystwa!...

— Uspokój się, panie Paganel — rzekł lord Glenarvan — nie rozpaczaj, wszystko się da naprawić; prócz opóźnienia, żadnej innej nie doznasz stąd szkody, ani przykrości. Yaro-Dzangbo-Tchou poczeka na ciebie w górach Tybetu. Przystaniemy niedługo na Maderze, a tam znajdziesz okręt, który cię odwiezie do Europy.

— Dziękuję ci, milordzie; oczywiście, muszę przystać na to, gdy inaczej być nie może. Ale przyznacie państwo, że to zdarzenie nadzwyczajne i że coś podobnego mnie tylko jednemu przytrafić się mogło. Ciekawym, co się teraz stanie z kajutą Nr. 6, którą dla mnie na *Scottii* zatrzymano.

— Ah! panie Paganel, co do *Scottii*, o tym i marzyć ci nie wolno.

— Ależ — rzekł Paganel, na nowo oglądając statek — *Duncan*, jak widzę, jest jachtem spacerowym.

— Tak jest, panie — odezwał się John Mangles — i należy do jego dostojności lorda Glenarvana.

— Który cię prosi, panie Paganel, abyś przyjął gościnność jego i korzystał z niej, jak długo zechcesz — rzekł lord Glenarvan.

— Dzięki ci, milordzie, dzięki — odpowiedział Paganel — wdzięczny jestem za twą grzeczność i łaskę; ale na ten raz pozwól, niech mię tłumaczy konieczność... zlecenie ważne... Nawet, jeżeli pozwolisz milordzie, to ośmieliłbym się zrobić jedną uwagę; Indje to kraj przepyszny! Podróżni tam przybywający znajdują tysiące cudów i niespodzianek! Te damy zapewne także nie znają dotąd Indyj. Rozkaż, milordzie, sternikowi, aby zawrócił w przeciwną stronę, a *Duncan* zamiast do Chili popłynie do Kalkuty, co mu zapewne wszystko jedno. Kto podróżuje dla przyjemności jedynie, to i tam...

Wszyscy zaczęli potrząsać głowami, przecząc. Paganel zmieszany zaciął się nagle i już nie kończył swej propozycji.

— Panie Paganel — rzekła wtedy lady Helena — gdyby podróż nasza była rzeczywiście spacerową tylko wycieczką, to ja pierwsza głosowałabym za twym wnioskiem, a lord Glenarvan pewnoby mi nie odmówił podróży do Wielkich Indyj. Ale *Duncan* płynie do wybrzeży Patagonji dla dania ratunku nieszczęśliwym rozbitkom i nie może zmienić swego kierunku, powziętego w tak ludzkim zamiarze.

W krótkich wyrazach opowiedziano rzecz całą podróżnikowi francuskiemu, który dowiedziawszy się, o co idzie, zwrócił się do lady Heleny i rzekł:

— Pani! pozwól mi złożyć hołd zacnej twej i szlachetnej duszy. Niechaj jacht płynie w swą drogę szczęśliwie; za ciężki grzech poczytałbym sobie, gdybym opóźnił podróż waszą choć o jedną chwilę.

— A może się pan zechce do nas przyłączyć? — zapytała lady Helena.

— Niepodobna, pani! nie mogę! Muszę spełnić dane mi zlecenie... dlatego też wysiądę na pierwszym przystanku...

— To jest na Maderze — dodał John Mangles.

— Niech sobie będzie i na Maderze. Będę o sto ośmdziesiąt mil tylko od Lizbony i tam poczekam na sposobność do dalszej podróży.

— Dobrze, panie Paganel, stanie się, jak żądasz — rzekł lord Glenarvan — a tymczasem szczęśliwy jestem, że mogę ci ofiarować gościnę na pokładzie mojego statku, bylebyś tylko nie znudził się w naszem towarzystwie!

— Oh! milordzie — zawołał uczony — uważam się za bardzo szczęśliwego, żem się w taki omylił sposób. W każdym jednak razie, przyznacie państwo, że zabawne jest położenie człowieka, który się wybrał do Indyj, a przypadkiem płynie do Ameryki.

Pomimo tej przykrej dla siebie uwagi, Paganel pogodził się z losem; usiłował być miłym, rozmownym, a nawet wesołym — zachwycał damy swoim dobrym humorem, a do wieczora poznajomił się już i poprzyjaźnił ze wszystkimi. Prosił o pokazanie mu owego sławnego dokumentu; przypatrywał mu się i badał go długo, uważnie, z wielką starannością; zgodził się nareszcie, że inaczej go odcyfrować i wytłumaczyć nie można. Zajął go mocno los Marji Grant i jej brata. Pocieszał ich nadzieją w sposób tak ujmujący, że lice słuchającej go Marji ożywiło się uśmiechem. Gdyby nie owo zlecenie dla niego tak ważne, może byłby się puścił na poszukiwanie rozbitków. Gdy się zaś dowiedział, że lady Helena jest córką Wiliama Tuffnela, z uniesieniem zaczął mówić o znakomitym jej ojcu, o pracach jego, o listach, jakie do siebie pisywali, gdy Tuffnel był człon-

kiem korespondentem Towarzystwa; on to właśnie poznajomił głośnego podróżnika z p. Malte-Brunem.

— Co za szczęśliwe spotkanie! — wołał uczony geograf — co za rozkosz podróżować z córką Wiliama Tuffnela!

Skończyła się cała radość na tem, że Paganel prosił lady Heleny, aby mu się pozwoliła ucałować, na co przystała z ochotą, nie zważając, że to będzie trochę *„improper"*.

VIII.

O JEDNEGO JESZCZE POCZCIWEGO CZŁOWIEKA WIĘCEJ NA POKŁADZIE DUNCANA.

Tymczasem jacht przy sprzyjającym wietrze podążał szybko ku równikowi, tak, że 30-go sierpnia ujrzano Maderę. Glenarvan, wierny słowu, chciał tu zatrzymać swój jacht, aby wysadzić na ląd uczonego geografa.

— Kochany lordzie — odpowiedział Paganel — mówmy otwarcie. Czy przed ukazaniem się mojem na pokładzie miałeś zamiar zatrzymać się na Maderze?

— Nie — odrzekł Glenarvan.

— Pozwól mi więc skorzystać ze skutków mojego niedołężnego roztargnienia. Madera jest zbyt dobrze znana, geograf nie znajdzie tam nic dla siebie ciekawego; wszystko już napisano i opowiedziano o tej grupie wysp, które zresztą znajdują się już w zupełnym upadku pod względem uprawy wina, niema już prawie winnic na Maderze. Zbiór wina, który w roku 1813 dochodził do dwudziestu dwu tysięcy pip [1]), w roku 1845 spadł do dwu tysięcy sześciuset sześćdziesięciu dziewięciu, a dziś i pięciuset nie wynosi! Przykre to wspomnienie. Jeśli ci więc, milordzie, wszystko jedno, to zatrzymajmy się przy wyspach Kanaryjskich.

— Niech będzie przy wyspach Kanaryjskich, boć leżą po drodze.

— Wiem, kochany lordzie, a przytem na wyspach Kanaryjskich trzy są grupy do zwiedzenia, nie mówiąc już o górze Teneryffie, którą zawsze widzieć pragnąłem; teraz nadarza mi się sposobność po temu. Jakże z niej nie korzystać? Tem więcej, że, czekając na okręt, który mnie odwiezie do Europy, będę mógł wspiąć się na tę sławną górę.

— Jak ci się spodoba, mój kochany Paganelu — odpowiedział lord Glenarvan z uśmiechem.

---

[1]) Pipa = 50 hektolitrom, czyli 1250 garncom.

I nie bez racji uśmiechnął się, bo wyspy Kanaryjskie leżą bardzo blisko Madery; dwieście pięćdziesiąt mil zaledwie oddziela te dwie grupy, co dla tak dobrego, jak *Duncan,* statku jest odległością nic prawie nie znaczącą.

Dnia 31-go sierpnia, o drugiej po południu, John Mangles i Paganel przechadzali się po tylnym pokładzie. Francuz żywo dopytywał się swego towarzysza o Chili; nagle kapitan przerwał mu i, ukazując w stronie południowej pewien punkt na horyzoncie, rzekł:

— Panie Paganel!

— Co, kochany kapitanie? — odpowiedział uczony.

— Zechciej pan zwrócić wzrok w tę stronę; czy nic nie widzisz?

— Nic.

— Bo nie patrzysz tam, gdzie trzeba. Nie na horyzont, lecz spojrzyj wyżej w obłoki...

— W obłoki?... doprawdy — nic nie widzę.

— O! teraz... patrz naprzód nad sam szczyt przedniego masztu..

— Nic nie widzę.

— Bo nie chcesz widzieć. Jakkolwiek jesteśmy jeszcze o czterdzieści mil oddaleni, to jednak wierzchołek Teneryffy ukazuje się już bardzo wyraźnie.

W kilka godzin potem Paganel, chcąc nie chcąc, musiał dojrzeć bardzo już bliski wierzchołek góry.

— Więc to się nazywa owym słynnym „pikiem" Teneryffy? — rzekł tonem nieco pogardliwym.

— Nieinaczej.

— Ale przecież nie jest znów tak wysoki.

— Jednakże wyniesiony jest na jedenaście tysięcy stóp ponad powierzchnię morza.

— To nie tak, jak Mont-Blanc!

— Pomimo to uznasz, że cel dość wysoki, gdy zechcesz wspiąć się na niego.

Oh! wspinać się? I naco wspinać się tam, kochany kapitanie, po Humbolcie i Beauplanie? Po takim genjuszu, jak Humboldt, raz jeszcze powtarzam! Wszedł on na tę górę i opisał ją tak, że nic już do życzenia nie pozostaje; zbadał wszystkie pięć jej pasów, a mianowicie: wina, laurów, sosen, zarośli i nareszcie pas jałowy. Dotarł do takiego jej wierzchołka, gdzie usiąść nie było można, jeno zaledwie nogę postawić. Stamtąd wzrokiem ogarniał przestrzeń, dorównywającą czwartej części Hiszpanji. Następnie zwiedził wulkan i dotarł aż głębi wygasłego krateru. Po tem wszystkiem cóżbym ja tam robił? Pytam cię, mój kapitanie.

— Zapewne — odpowiedział John Mangles — ale to tem gorzej dla ciebie, kochany panie Paganel, bo znudzisz się śmiertelnie, czekając na okręt w porcie Teneryffy, gdzie spodziewać się możesz bardzo mało rozrywek.

— Ha! wina to już mojego roztargnienia; ale powiedz mi, kochany panie Mangles, czy na wyspach Zielonego Przylądka nie łatwiej mi będzie znaleźć okręt?

— Zapewne, zapewne! Nic łatwiejszego, jak znaleźć sposobność w Villa da Praia.

— A prócz tego — dodał Paganel — tę jeszcze mam korzyść na widoku, że wyspy Zielonego Przylądka niezbyt są oddalone od Senegalu, gdzie znaleźć mogę moich współrodaków; a jakkolwiek mówią o tej grupie, że jest dzika i niezdrowa, to przecież dla badawczego geografa wszystko jest ciekawe. Zobaczyć, to — czegoś się nauczyć. Są wprawdzie ludzie, którzy nic widzieć nie umieją, ale wierzaj mi, że nie należę do ich liczby...

— Jak zechcesz, panie Paganel — odparł John Mangles — co do mnie, przekonany jestem, że na twojej bytności wyspy Zielonego Przylądka zyskać tylko mogą. W każdym razie zatrzymać się tam musimy dla nabrania węgla, w niczem przeto nie opóźnisz naszej podróży.

To powiedziawszy, kapitan wydał rozkazy, aby zwrócono się na zachód od wysp Kanaryjskich i *Duncan* ze zwiększoną szybkością w dalszą puścił się drogę. Dnia 2-go września o 5-ej godzinie z rana pogoda nagle się zmieniła. Nastąpiła pora deszczów, *„lo tempo das aguas"*, jak nazywają ten czas Hiszpanie, czas przykry dla podróżnych, lecz pożyteczny dla mieszkańców wysp afrykańskich, którym brak drzew, a przeto i wody. Morze bardzo wzburzone nie dozwalało pasażerom przebywać na pomoście; wewnątrz jednakże statku rozmowa bardzo była ożywiona.

Następnego dnia Paganel zaczął zbierać swe manatki, z powodu niedalekiej już chwili opuszczenia statku. *Duncan* przepływał pomiędzy wyspami Zielonego Przylądka; minąwszy ogromną ławicę koralową, przepłynął około wyspy Świętego Jakóba, przerzniętej od północy ku południowi dość wyniosłemi górami bazaltowemi. Następnie John Mangles wpłynął do zatoki Villa-Praia i pod miastem zarzucił kotwicę. Czas był okropny, morze spienione i pokryte ogromnemi bałwanami; przez deszcz ulewny zaledwie widzieć było można miasto, wzniesione na płaszczyźnie w kształcie tarasu, opartego na skałach wulkanicznych, mających trzysta stóp wysokości.

Z powodu gęstego deszczu, lady Helena nie mogła zwiedzić miasta, a nawet nabranie węgla z niemałemi połączone było trudnościami. Pasażerowie *Duncana* pozostać musieli w swoich kajutach, nie wychylając głowy na świat Boży; przykra dla wszystkich pogoda dostarczyła naturalnego do rozmowy wątku. Każdy coś powiedział, prócz jednego majora, któregoby chyba nawet potop powszechny ze zwykłej obojętności wyrwać nie zdołał. Paganel biegał niespokojny, potrząsając głową.

— A! to jakby naumyślnie!

— Rzeczywiście — rzekł Glenarvan — żywioły zbuntowały się przeciw tobie, kochany panie Paganel.

— O! potrafię im stawić opór.

— Przecież nie zechcesz narażać się na taki deszcz — wtrąciła lady Helena.

— Dla mnie, pani, deszcz nic nie znaczy, ale boję się o moje pakunki, a szczególniej narzędzia. Wszystkoby się popsuło!

— Najgorzej z wysiadaniem na ląd — dodał znów lord Glenarvan — bo dostawszy się do Villa-Praia, nieźle się tam ulokować możesz, choć niebardzo porządnie, bo w sąsiedztwie małp i wieprzów, z któremi stosunki niezbyt są przyjemne. Ale podróżnik nie zważa na takie drobnostki. Zresztą możesz być pewny, że za siedem, najdalej osiem miesięcy znajdzie się sposobność powrócenia do Europy.

— Siedem lub osiem miesięcy! — krzyknął przerażony Paganel.

— Co najmniej. Okręty niebardzo chętnie zawijają do wysp Zielonego Przylądka w porze deszczów. Lecz możesz dobrze czas zużytkować: archipelag ten mało jest jeszcze znany, szczególniej pod względem topograficznym, klimatologicznym, etnograficznym i hypsometrycznym.

— Poznasz pan i opiszesz rzeki — dodała lady Helena.

— Kiedy ich tu niema, pani.

— To rzeczki.

— Ani tych nawet.

— Zawszeć są jakieś wody?

— Żadnych.

— Rozejrzysz się pan po lasach — wtrącił poważnie major.

— Aby mieć lasy, potrzeba drzew, a tu właśnie drzew niema.

— To mi śliczny kraj — zauważył major — gdzie nie znajdziesz ni wody, ni drzewa!

— Pociesz się, kochany Paganelu — dodał lord Glenarvan — gór ci przynajmniej nie zabraknie.

— Oh! co mi to za góry, milordzie! Niewysokie i nie odznaczające się żadną osobliwością, a prócz tego już i opisane.

— Już opisane! — powtórzył Glenarvan.

— Takie to moje szczęście! Na wyspach Kanaryjskich uprzedził mnie sławny Humboldt, tu znów znany geolog, p. Karol Saint-Claire-Deville.

— Czy być może!

— Tak jest, niestety! — westchnął Paganel tonem żałosnym. — Uczony ten znajdował się na pokładzie korwety *La Décidée*, gdy zatrzymała się u wysp Zielonego Przylądka i zwiedził najciekawszy wierzchołek grupy, wulkan na wyspie Fogo. Cóż więc dla mnie zostało?

— A to doprawdy bardzo nieprzyjemnie. Cóż więc poczniesz, panie Paganel? — zapytał lady Helena.

Paganel milczał przez chwilę.

— Byłbyś może lepiej zrobił, wysiadając na Maderze, choć tam już niema wina — zauważył lord Glenarvan.

Uczony sekretarz Towarzystwa Geograficznego milczał, jak skała.

— Jabym czekał — rzekł major zupełnie takim samym tonem, jakgdyby mówił: jabym niewytrzymał.

— A teraz, szanowny milordzie — spytał wreszcie Paganel — gdzie myślisz przystanąć?

— O! chyba już aż w Conception.

— Do licha! to mnie djabelnie od Indyj oddala.

— Przeciwnie, od chwili, gdy opłyniemy przylądek Horn, znajdziesz się bliżej Indyj.

— A to jakim sposobem?

— Dla jadącego do Indyj — mówił Glenarvan poważnie — powinno być wszystko jedno, czy one są Wschodnie czy Zachodnie.

— Jakto wszystko jedno?

— Nie mówiąc już o tem, że mieszkańcy Patagonji nazywają się także Indjanami, jak krajowcy Pendżabu.

— Ach! milordzie! Doprawdy, nigdybym nie wymyślił takiego dowodzenia!

— Zresztą, kochany panie Paganel, na medal złoty wszędzie zarobić można; wszędzie robić można poszukiwania i odkrycia. Tak wśród łańcucha Kordyljerów, jak w górach Tybetu.

— Ależ bieg rzeki Yaro-Dzangbo-Tchou?

— Weź na jej miejsce Rio Colorado! Rzeka ta naprawdę jest niewiele znana, a na mapach zazwyczaj płynie wedle fantazji geografów.

— Wiem, kochany milordzie, że są tam liczne błędy, czekające sprostowania; nie wątpię także, iż na żądanie moje Towarzystwo Geograficzne byłoby mnie wysłało tak do Patagonji, jak i do Indyj; ale cóż, gdy o tem wcale nie myślałem!

— To już wina twego zwykłego roztargnienia.

— No, zdecyduj się, panie Paganel, i płyń z nami — rzekła lady Helena z ujmującą grzecznością.

— Pani! radbym!... ale moje polecenie!

— Przyrzekam ci popłynąć przez cieśninę Magellańską — dodał lord Glenarvan.

— Milordzie! jesteś kusicielem.

— A zwiedzimy także Port Głodowy (Port Famine).

— Port Głodowy! — zawołał Francuz, oblegany ze wszech stron — ten port, tak sławiony w rocznikach geografji!

— Pamiętaj także, panie Paganel — mówiła dalej lady Helena — że w tem przedsięwzięciu imię Francji będzie miało prawo przez twój współudział figurować obok imienia Szkocji, a to także coś warto.

— Oh! zapewne! zapewne!

— W naszej wyprawie geograf bardzo przydać się może, a cóż piękniejszego nad poświęcenie nauki na usługi ludzkości?

— Nic nadto prawdziwszego, pani.

— Wierzaj mi, panie Paganel, że powinieneś w tym razie ulec zrządzeniu wypadku, albo raczej Opatrzności. Bierz z nas przykład. Zrządzeniem tej samej, jak się zdaje, Opatrzności dokument ten dostał się do rąk naszych — pojechaliśmy; los rzucił cię na pokład *Duncana* — nie opuszczaj go.

— Widzę oczywiście, moi drodzy przyjaciele — rzekł wobec tego Paganel — że macie wszyscy wielką ochotę, abym tu pozostał.

— A ty, kochany Paganelu, umierasz z chęci pozostania z nami! — dodał Glenarvan.

— Tak jest, do licha! — zawołał uczony geograf — ale, powiedziawszy otwarcie, obawiałem się być natrętny!

IX.

CIEŚNINA MAGELLAŃSKA.

Powszechna radość zapanowała na pokładzie, gdy się wieść rozniosła o postanowieniu Paganela. Młody Robert rzucił mu się na szyję z takim zapałem, że o mało nie przewrócił zacnego sekretarza.

— Tęgi chłopak! — zawołał uczony — popróbuję uczyć go geografji.

Ponieważ zaś John Mangles podjął się już wyuczyć go marynarki, lord Glenarvan uczynić człowieka z sercem, major wszczepić w niego powagę i krew zimną, lady Helena zrobić go dobrym i szlachetnym, Marja Grant obudzić w nim uczucie wdzięczności dla tak zacnych nauczycieli — Robert przeto miał wszelkie widoki zostania *gentleman*'em co się zowie.

Duncan pośpieszył się z nabraniem węgla i, opuszczając co prędzej smutne te strony, zwrócił się ku zachodowi, dążąc do wybrzeży brazylijskich; 7-go września, przy łagodnym wietrze północnem przebywszy równik, wpłynął na półkulę południową.

Podróż odbywała się szczęśliwie i bez trudu; w serca wszystkich wstąpiła błoga nadzieja. W wyprawie tej, przedsięwziętej w celu poszukiwania kapitana Granta, przyjazne okoliczności codziennie się

mnożyły. Najwięcej ufności w powodzenie miał kapitan statku, a to najbardziej może dlatego, że radby miss Marję jak najprędzej widzieć szczęśliwą i pocieszoną. Obchodziła go bardzo ta młoda panna, a uczucie to tak zręcznie ukrywał, że je widzieli wszyscy, prócz Marji Grant.

Najszczęśliwszym chyba człowiekiem na południowej półkuli był w tej chwili uczony geograf. Całe dnie przepędzał przy stoliku, pochylony nad rozłożonemi mapami — a pan Olbinett sprzeczał się z nim codziennie o stół, na którym jadano, a który geograf zaściełał swemi papierami. Ale Paganel miał po swej stronie wszystkich, prócz majora, którego kwestje geograficzne bardzo mało obchodziły, szczególnie w godzinie obiadowej. Uczony sekretarz znalazł był w kufrze porucznika okrętowego stos książek, a w tej liczbie dość znaczną liczbę dzieł hiszpańskich; postanowił przeto wyuczyć się języka Cervantesa, którego na pokładzie nikt nie umiał, a który mógł o wiele ułatwić poszukiwania na wybrzeżach chilijskich. Przy wrodzonej sobie łatwości wyuczania się języków, Paganel spodziewał się, że za przybyciem do Conception biegle już będzie mówił tym językiem. To też zawzięcie się jął tej pracy i ciągle szeptał jakieś oderwane wyrazy.

W chwilach wolnych od zajęć, udzielał praktycznych nauk młodemu Robertowi, obznajmiając go najprzód z historją krajów, do których *Duncan* z takim dążył pośpiechem.

Dnia 10-go września znajdowano się pod 5° 37' szerokości i 81° 15' długości, i tego to właśnie dnia Paganel dowiedział się szczegółu, którego być może i najuczeńsi nawet nie znają. Opowiadając historję Ameryki, sięgnął wspomnieniem aż do Krzysztofa Kolumba, a kończąc opowiadanie dodał, że sławny Genueńczyk umarł, nie wiedząc o tem, że odkrył świat nowy.

Wszyscy słuchacze zaprzeczyli temu. Paganel uporczywie obstawał przy swem twierdzeniu.

— Nic pewniejszego — mówił z zapałem. — Nie myślę umniejszać przez to sławy Kolumba, ale fakt jest niezawodny. W końcu piętnastego wieku wszystkie umysły zajęte były ułatwieniem komunikacji z Azją, wynalezieniem zachodniej drogi do Wschodu, czyli krócej mówiąc, wyszukaniem najkrótszej drogi do kraju „korzeni i bakalij". O to samo kusił się i Kolumb, jak wielu innych. W tym celu odbył cztery podróże; dopływał do Ameryki w okolicach Cumana, Honduras, Mosquitos, Nikaragua, Veragua, Costa-Rica, Panamy, które brał za krainy japońskie i chińskie, i umarł, nie wiedząc o istnieniu wielkiego lądu, któremu imienia nawet swego nie przekazał.

— Wierzę ci, kochany panie Paganel — rzekł Glenarvan — jednakże dziwne mi się to wydaje — i dlatego też proszę cię, powiedz mi, którzy to żeglarze poznali się pierwsi na odkryciach Kolumba?

— Wszyscy, którzy po nim tę samą podróż odbywali[1]). A najprzód Ojeda, który mu już w poprzednich towarzyszył wyprawach; dalej Wincenty Pinzon, Wespucjusz, Mendoza, Bastidas, Cabral, Solis, Balboa. Wszyscy ci żeglarze opłynęli wzdłuż wschodnie brzegi Ameryki, a przekroczyli je, zstępując ku południowi, gnani tym samym prądem, który nas dziś naprzód popycha z taką siłą! Patrzcie oto, kochani przyjaciele, przepłynęliśmy równik w tem samem miejscu, w którem go przebył Pinzon w ostatnim roku piętnastego wieku i zbliżamy się do tego samego stopnia szerokości południowej, pod którym on pierwszy postawił nogę na ziemi brazylijskiej. W następnym roku Portugalczyk Cabral dotarł do portu Seguro. Dalej Wespucjusz w trzeciej swojej wyprawie 1502 r. jeszcze się bardziej na południe posunął. W roku 1508 Wincenty Pinzon i Solis wspólnie wypłynęli na rozpoznanie wybrzeży amerykańskich, a w r. 1514 Solis odkrył ujście rzeki la Plata, gdzie pożarty został przez dzikich krajowców, Magellanowi przekazując sławę i zasługę opłynięcia wielkiego lądu. Znakomity ten żeglarz wyjechał w r. 1519 z pięciu okrętami, a trzymając się wybrzeża Patagonji, odkrył port Ś-go Dezyderjusza, port Ś-go Juljana, gdzie długo się zatrzymał; dalej pod 52-im stopniem szerokości odkrył cieśninę „Jedenastu tysięcy dziewic”, która później od jego imienia nazwana została, a 28-go listopada 1520 r. wypłynął na Ocean Spokojny. Ach! jakiejże musiał doznać radości, z jakąż siłą serce mu bić musiało, gdy ujrzał na horyzoncie wody nieznanego sobie morza, błyszczące w jasnych promieniach słońca!

— Oh tak! tak, panie Paganel — zawołał Robert Grant, uniesiony opowiadaniem geografa — chciałbym tam być i podzielać tę jego radość.

— Ja także, mój chłopcze, i upewniam cię, że nie byłbym chybił tej sposobności, gdyby mi niebo było pozwoliło urodzić się o trzysta lat wcześniej.

— Znów dla nas byłaby strata, panie Paganel — rzekła lady Helena — bo nie znajdowałbyś się w tej chwili z nami na pokładzie Duncana i nie opowiadałbyś nam tej historji.

— Kto inny opowiedziałby ją państwu, dodając, że poznanie wybrzeży zachodnich zawdzięczamy braciom Pizarrom. Odważni ci awanturnicy i ich towarzysze upamiętnili się założeniem miast: Cusco, Quito, Lima, Santjago, Villarica, Valparaiso i Conception, do którego niesie nas w tej chwili *Duncan*. Ówczesne odkrycia Pizarrów i Magellana dopełniały się wzajemnie i dały możność dokładniejszego skreślenia karty wybrzeży amerykańskich, z wielkiem zadowoleniem uczonych starego świata.

---

[1]) Nie wszyscy. Balboa odkrył ocean Spokojny, nie płynąc wzdłuż wybrzeży południowej Ameryki. Ojeda, Bestidas, Wespucjusz docierali tylko do ujścia Orinoka (P. T.).

— Ja — rzekł Robert — byłbym się tem wszystkiem jeszcze nie zadowolił.

— Dlaczego? — spytała Marja, ciekawie patrząc na swego braciszka, zapalającego się do historji wielkich odkryć.

— Tak jest, dlaczego, mój chłopcze? — powtórzył lord Glenarvan, zachęcając go i ośmielając uśmiechem dobroci.

— Bo pragnąłbym się dowiedzieć, co było poza cieśniną Magellańską.

— Brawo, mój mały zuchu! I ja także byłbym ciekawy, czy ląd ten ciągnie się aż do bieguna, czy też jest tam morze czyste, jak się domyślał Drake, jeden z twych współrodaków, milordzie. Stąd łatwy wniosek, że gdyby Robert Grant i Jakób Paganel żyli w siedemnastym wieku, byliby się niezawodnie zaciągnęli do orszaku Shoutena i Lemaire'a, dwu Holendrów, bardzo ciekawych rozwiązania tej zagadki geograficznej.

— Czy to byli uczeni? — spytała lady Helena.

— Nie, pani; byli to odważni kupcy, których bynajmniej nie obchodziła naukowa strona odkrycia. Istniała naówczas holenderska kompanja Indyj Wschodnich, posiadająca monopol handlu, prowadzonego przez cieśninę Magellańską. A ponieważ w owym czasie nie znano innego zachodniego przejścia do Azji, przywilej zatem taki prawdziwem był dla innych skrępowaniem. Niektórzy z handlujących chcieli zwalić ten monopol przez odkrycie innej cieśniny; w tej właśnie liczbie był Izaak Lemaire, człowiek wykształcony i zręczny. Chętnie ofiarował się on ponieść koszta wyprawy, którą dowodzili: synowiec jego, Jakób Lemaire, i Shouten, tęgi marynarz rodem z Horn. Żeglarze ci wypłynęli w czerwcu 1615 r., to jest w sto lat prawie po Magellanie i odkryli cieśninę Lemaire'a a 12-go lutego 1616 r. opłynęli sławny przylądek Horn, który bardziej może, niż przylądek Dobrej Nadziei, zasłużył na nazwę przylądka Burz[1]).

— O jakżebym chciał tam być! — zawołał Robert.

— I doznałbyś prawdziwej rozkoszy, mój chłopcze, — odparł Paganel — bo czyż jest większe i prawdziwsze dla żeglarza szczęście, niż oznaczać na mapie własne odkrycia! Pod okiem jego kształtują się zwolna krainy; wyspa za wyspą, przylądek za przylądkiem zdają się występować z głębi wód. Linje graniczne są najpierw niewyraźne, przerywane, nieforemne. Tu jakiś przylądek samotny lub przystań opuszczona, tam zatoka, ginąca w dali, indziej znowu naga, opustoszała wyniosłość. Zwolna wszystko to wypełniać się poczyna; linje się łączą, rysunek wydatnieje i pewniejsze przybiera kształty; aż wkońcu na karcie z całym przepychem i wspaniałością rozwija się ląd

---

[1]) Verne popełnił tu niedokładność. Tow. Indyj Wschodnich posiadało monopol handlu z Indjami drogą *wschodnią*. Droga zaś *zachodnia* przez cieśninę Magellańską była w rękach Hiszpanów. Wobec tego współzawodnicy Towarzystwa szukali drogi innej. (P. T.).

nowy, ze swemi jeziorami, rzekami i rzeczkami, górami, dolinami, płaszczyznami, miastami i stolicami. Ah! moi przyjaciele! ten, co odkrywa kraj nowy, jest prawdziwym wynalazcą! Lecz niestety! W tej chwili kopalnia tych bogactw jest nieledwie wyczerpana. Wszystko już zwiedzono, poznano, odkryto, zbadano, a my, biedacy dziś żyjący, nic już prawie do zrobienia nie mamy.

— Owszem, kochany Paganelu! — powiedział Glenarvan.

— A cóż takiego, jeśli łaska?

— Zostały nam te poszukiwania, na które obecnie płyniemy.

Tymczasem *Duncan* z zadziwiającą szybkością płynął po owej drodze Wespucjuszów i Magellanów; 15-go września minął zwrotnik Koziorożca i skierował się ku sławnej cieśninie. Niskie brzegi Patagonji ukazywały się po wielekroć, ale tylko jak niewyraźna, zaledwie dojrzana linja na dalekim horyzoncie — a nawet i przez wyborną lunetę Paganela słabe zaledwie można było powziąć wyobrażenie o tych wybrzeżach amerykańskich.

W dziesięć dni później *Duncan* znajdował się u wejścia do cieśniny Magellańskiej i puścił się na nią bez wahania. Wszystkie parowce, udające się na ocean Spokojny, tę pospolicie obierają drogę, bo długość jej wynosi tylko trzysta siedemdziesiąt sześć mil (130 lieues). Największe nawet statki znajdują dla siebie wodę wszędzie dość głęboką i liczne miejsca wypoczynku, pewne, bezpieczne, gdzie zaopatrzyć się mogą we wszystkie zapasy; kiedy przeciwnie wszystkich tych korzyści nie mają ani na cieśninie Lemaire'a, ani na strasznych skałach przylądka Horn, wciąż nawiedzanych przez burze i huragany.

Na przestrzeni pierwszych sześćdziesięciu lub ośmdziesięciu mil, aż do przylądka Ś-go Grzegorza, brzegi są niskie i piaszczyste. Jakób Paganel nie chciał stracić najdrobniejszego nawet szczegółu z całej tej podróży; przejście przez cieśninę trwać miało zaledwie trzydzieści sześć godzin, a panorama obu brzegów tak była wspaniała, mianowicie przy świetnym blasku słońca południowego, że nie można się dziwić ciekawości uczonego geografa. Żadna ludzka postać nie ukazała się na wybrzeżach północnych, a kilku zaledwie nędznych tubylców błąkało się po nagich skałach Ziemi Ognistej.

Paganela martwiło i gniewało bardzo, że nie mógł widzieć Patagończyków, czem serdecznie się bawili wszyscy jego towarzysze podróży.

— Co mi to za Patagonja — mruczał — bez Patagończyków!...

— Cierpliwości, przezacny geografie! cierpliwości! — mówił lord Glenarvan — będziemy jeszcze widzieli i Patagończyków!

— Nie wiem, skąd ta pewność?

— Przecież istnieją mieszkańcy tej krainy — rzekła lady Helena.

— Wątpię, pani, gdyż ich nie widzę.

— Toż wreszcie nazwa „Patagonów", która po hiszpańsku znaczy „wielkie nogi", nie została zapewne nadana jakimś wymarzonym istotom.

— Oh! nazwa nic nie znaczy — odpowiedział Paganel, umyślnie upierający się dla ożywienia dyskusji — a zresztą, prawdę powiedziawszy, nikt nie wie, jak oni się nazywają.

— Czy być może! — zawołał Glenarvan. — Majorze, czy wiesz co o tem?

— Nic — odrzekł Mac-Nabs — i nie dałbym ani pensa za to, żeby się dowiedzieć.

— Dowiesz się jednak, obojętny majorze, bo ja wam to powiem — mówił dalej Paganel. — Magellan nazwał wprawdzie Patagończykami krajowców tej okolicy; jednakże pomimo to Fuegeńczycy nazywają ich *Tiremeneu,* Chilijczycy *Caucalhues,* koloniści z Carmenu *Tehuetches,* Araukańczycy *Huiliches;* Bougainville daje im nazwę *Chacuha,* a Falkner *Tehuetchet.* Oni sami nazywają się ogólnem mianem *Taukenów.* Proszę się teraz zorjentować w takiej mieszaninie nazw i zapewnić mnie, że istnieje naród o tylu nazwiskach.

— Jest wtem słuszność, doprawdy — rzekła lady Helena.

— Przypuśćmy nawet, że tak jest — odparł Glenarvan — to w każdym razie, chociaż niema pewności co do nazwy Patagończyków, ale sam przyznasz, kochany Paganelu, że o wzroście ich wątpić się nie godzi.

— Nigdy się na to nie zgodzę — odpowiedział zaperzony Paganel.

— Patagończycy są ogromnej postawy — rzekł Glenarvan.

— Nie wiem.

— A więc niscy? — spytała lady Helena.

— Nikt tego twierdzić nie może z pewnością.

— Więc średniego wzrostu? — dodał Mac-Nabbs dla pogodzenia wszystkiego.

— I tego także nie wiem.

— A! tego już nadto — zawołał Glenarvan — podróżni, którzy ich widzieli...

— Podróżni, którzy ich widzieli — odpowiedział geograf — nie zgadzają się w tym względzie: Magellan, naprzykład, utrzymuje, że głową dostawał im zaledwie do pasa.

— A widzisz!

— To prawda; lecz znowu Drake twierdzi, że każdy Anglik jest wyższy od największego Patagończyka.

— Oh! Anglicy, być może — z pogardą odpowiedział major — ale gdyby szło o Szkota!...

— Cavendish zapewnia, że są wielcy i otyli — ciągnął Paganel. — Hawkins robi z nich olbrzymów; Lemaire i Shouten oceniają wysokość ich na jedenaście stóp.

— Jak widzisz, ludzie ci zasługują przecież na wiarę! — rzekł Glenarvan.

— Tak samo, jak Wood, Narborough i Falkner, którzy opisują ich, jako ludzi średniego wzrostu. Byron znowu, la Girandais, Bougainville, Wallis i Carteret twierdzą, że Patagończycy mają sześć stóp i sześć cali wysokości; gdy tymczasem pan d'Orbigny, uczony i znający najlepiej te okolice, przyznaje im średni wzrost, wynoszący pięć stóp i cztery cale.

— Cóż więc jest prawdą w tych wszystkich zdaniach tak różnych i przeciwnych sobie? — spytała lady Helena.

— Prawdą jest, pani — odpowiedział Paganel — że Patagończycy mają nogi krótkie a korpus rozrośnięty. Można więc dowolnie sobie o nich tworzyć wyobrażenie i najłatwiej jest twierdzić, że mają sześć stóp, gdy siedzą, a pięć tylko, gdy stoją. Najzabawniejsze byłoby, gdyby wcale nie istnieli; pogodziłoby to wszystkich. Ale dość już o tem, kochani przyjaciele: tymczasem bądź co bądź wyznać trzeba, że cieśnina Magellańska jest wspaniała, nawet i bez Patagończyków!

W tej właśnie chwili *Duncan* opływał półwysep Brunświcki, mając po obu stronach cudowną panoramę. O siedemdziesiąt mil dalej, minąwszy przylądek Gregory, podróżni ujrzeli pomiędzy drzewami flagę chilijską i dzwonek kościelny pustelni Punta Arena. Dalej cieśnina wiła się pysznie pomiędzy masami granitowemi; spody gór tonęły w lasach niezmiernych, a szczyty ich, wiecznemi bielejące śniegami, w gęstych ginęły obłokach. W stronie południowo-zachodniej góra Tarn wznosiła się na sześć tysięcy pięćset stóp wysoko. Długi zmrok poprzedził nadejście nocy; wreszcie zagasło wszelkie światło, niebo świetnemi okryło się gwiazdami; przed oczami zdumionych widzów majestatycznie roztaczała się droga do bieguna Południowego. Wśród tej świetlnej ciemności, przy blasku jedynie gwiazd, zastępujących latarnie morskie krajów ucywilizowanych, jacht płynął śmiało, nie chcąc zarzucać kotwicy nawet w żadnej z przystani, których tak wiele znajduje się w cieśninie. Często maszty jego i reje ocierały się o gałęzie buków antarktycznych, zwieszające się ponad falami morza; często także śruba *Duncana* rozbijała wody wielkich rzek, płosząc gęsi, kaczki, bekasy i mnóstwo innych pierzastych mieszkańców wodnej przestrzeni. Nieco dalej ukazały się ruiny budynków i smutne szczątki kolonji opustoszałej, której imię wiecznie świadczyć będzie o niepłodności ziemi i jałowości lasów ją otaczających. *Duncan* mijał sławny Port Głodowy.

W tem to właśnie miejscu w 1581 r. Hiszpan Sarmiento osiedlił się z 400-stu emigrantami i założył miasto Santo Felipe. Okrutne mrozy zdziesiątkowały kolonję, głód wytrzebił to, co przed mrozami ocalało, a w roku 1587 korsarz Cavendish znalazł ostatniego z tych czterystu nieszczęśliwych, umierającego z głodu wśród zwalisk miasta, tak

już staro wyglądających w sześć lat po założeniu, jakgdyby sześć wieków istnienia liczyło.

Duncan płynął wzdłuż tych opustoszałych brzegów; o wschodzie słońca sunął ciasnemi przejściami pomiędzy lasami buków, brzóz i jesionów, z pośrodka których wynurzały się zieleniejące zbocza, wzgórki, okryte silnym porostem ostrokrzewu, i ostre szczyty, z wysoko sterczącym ku niebu pikiem Buclanda. Statek minął zatokę Ś-go Mikołaja, dawniej zatokę Francuską, tak nazwaną przez Bougainville'a; w oddaleniu igrały stada fok i olbrzymich wielorybów, widzialne z odległości czterech mil morskich. Nareszcie opłynął przylądek Froward, najeżony jeszcze ostatkami zimowych lodowisk. Z drugiej strony cieśniny, na Ziemi Ognistej, na wysokość sześciu tysięcy stóp wznosiła się góra Sarmiento — ogromne nagromadzenie skał, porozdzielanych tumanami obłoków, z których wyglądały szczyty, jakby archipelag wysp wietrznych.

U przylądka Froward naprawdę kończy się ląd amerykański, gdyż przylądek Horn jest tylko skałą wysuniętą w morze, pod pięćdziesiątym szóstym stopniem szerokości.

Dalej cieśnina zwęża się pomiędzy półwyspem Brunświckim i Ziemią Rozpaczy (Terre de la Désolation), długą wyspę, ciągnącą się wśród tysiąca wysepek. Jakaż to różnica pomiędzy nierówno zapadającemi się krańcami lądu amerykańskiego, a równemi i gładkiemi brzegami Afryki, Australji lub Indyj! Jakiż to zamęt natury pogruchotał w ten sposób ów olbrzymi przylądek, między dwa oceany wciśnięty?

Po żyznych i urodzajnych wybrzeżach nastąpił szereg nagich pagórków, pociętych w niezbadany labirynt tysiącem drobnych kanałów. *Duncan* płynął wciąż, nie myląc się co do drogi, a kłęby jego dymu mieszały się z mgłą, na skałach porozszarpywaną. Nie zatrzymując się, ominął kilka faktoryj hiszpańskich, tu i owdzie rozrzuconych na tem pustkowiu. U przylądka Tamar znowu cieśnina się rozszerza; jacht miał dosyć miejsca, by opłynąć urwiste brzegi wysp Narborough, i zbliżył się ku brzegom południowym cieśniny. Nakoniec, po trzydziestosześciogodzinnej żegludze, ujrzano wychylające się w dali skały przylądka Pilares, na ostatnim krańcu Ziemi Rozpaczy. Rozległe, czyste, błyszczące morze rozciągało się w przestrzeni okiem nieobjętej; a Jakób Paganel, witając je niememi, lecz pełnemi zapału ruchami, był w tej chwili tak wzruszony, jak niegdyś Ferdynand Magellan w uroczystej chwili, gdy *Trinidad,* okręt, na którym płynął, po raz pierwszy owiany został powietrzem oceanu Spokojnego.



Kondor trzymał za suknię w szponach obwisłe ciało Roberta... (str. 85).

X.

TRZYDZIESTY SIÓDMY RÓWNOLEŻNIK.

W ośm dni po opłynięciu przylądka Pilares, *Duncan* całą siłą pary pędził do wspaniałej, długiej na dwanaście, a szerokiej na dziesięć mil zatoki Talcahuano. Pogoda była prześliczna. Na czystem niebie tego kraju ani jedna chmurka nie postanie od listopada do mar-

ca, a wiatr południowy stale wieje na całej długości tych wybrzeży, osłoniętych łańcuchem Andów. Stosownie do rozkazów lorda Glenarvana, John Mangles starannie okrążał archipelag Chiloe i inne liczne szczątki rozbitego tu lądu amerykańskiego. Cokolwiek mogącego należeć do zatonionego okrętu, ułamek masztu lub innego drzewa, ręką ludzką obrobionego, mógł wprowadzić podróżnych na ślady rozbitków. Lecz niestety! Nic nie dostrzeżono, a *Duncan*, płynąc wciąż, zarzucił nareszcie kotwicę w porcie Talcahuano, w czterdzieści dwa dni po opuszczeniu mętnych wód portu Clyde.

Lord Glenarvan kazał spuścić czółno i wraz z Paganelem wysiadł na tamę nadbrzeżną. Uczony geograf, korzystając ze sposobności, chciał użyć do rozmowy języka hiszpańskiego, którego z takim wyuczył się mozołem; lecz ku wielkiemu swemu zdziwieniu krajowcy nic a nic go nie rozumieli.

— Źle wymawiam, nie mam prawdziwie hiszpańskiego akcentu — powtarzał zmartwiony Paganel.

— Chodźmy na komorę — rzekł wtedy lord Glenarvan.

Tam, przy pomocy kilku wyrazów angielskich, a bardziej jeszcze gestów, objaśniono ich, że konsul brytański rezydował w Conception, o godzinę drogi stamtąd odległem. Glenarvan wyszukał parę rączych koni i wkrótce potem wraz z Paganelem wjeżdżał w mury tego miasta, założonego przez Hiszpana Valdivia, dzielnego towarzysza Pizarrów.

Jakże ono wiele straciło z dawniejszej swej świetności! Często napadane i rabowane przez dzikich krajowców, spalone w 1819 r., opustoszałe w zwaliskach nawpół stojącego jeszcze muru, noszące ślady pożaru i zniszczenia, przyćmione wziętością świeżo wzrastającego Talcahuano, zaledwie ośm tysięcy liczyło mieszkańców, których lenistwo pozwalało zarastać trawą ulicom. Żadnego handlu, żadnego życia, żadnej przedsiębiorczości. Z każdego balkonu odzywał się głos mandoliny, przez żaluzje każdego okna przedzierał się śpiew cichy, lecz namiętny. Conception, niegdyś miasto dzielnych i przemyślnych ludzi, dziś zostało osadą kobiet i dzieci.

Glenarvan niebardzo był ciekawy dochodzić przyczyn tego upadku i, nie zważając na uwagi i nalegania Jakóba Paganela, bez straty czasu udał się wprost do J. R. Bentocka, esq., konsula najjaśniejszej królowej angielskiej, który przyjął go jak najlepiej, a dowiedziawszy o historji kapitana Granta, przyrzekł zarządzić poszukiwania w całej nadbrzeżnej okolicy.

Na zapytanie, czy trzymasztowiec *Britannia*, dążąc ku trzydziestemu siódmemu równoleżnikowi, przepływał wzdłuż brzegów chilijskich lub araukańskich, lord Glenarvan przeczącą otrzymał odpowiedź. Żaden raport o wypadku tego rodzaju nie doszedł ani do konsula, ani do jego kolegów. Glenarvan nie zniechęcił się tem bynajmniej. Powrócił do Talcahuano i, nie szczędząc ani zabiegów, ani starań, ani kosztów, wysłał w różne strony ajentów dla powzię-

cia w tym względzie wiadomości. Wszystkie poszukiwania okazały się daremne i do niczego nie doprowadziły; trzeba było wnosić, że *Britannia* żadnego nigdzie nie pozostawiła śladu swego rozbicia. .

Glenarvan uwiadomił wtedy swych towarzyszy o bezskuteczności zabiegów. Marja Grant i Robert mocno tem byli zmartwieni. Było to w sześć dni po przybyciu *Duncana* do Talcahuano. Wszyscy pasażerowie zebrali się na tylnym pokładzie. Lady Helena nie wyrazami już — bo i cóż mogła powiedzieć? — ale pieszczotami pocieszała biedne dzieci kapitana Granta. Jakób Paganel raz jeszcze z uwagą odczytał zagadkowy dokument, jakby mu chciał wydrzeć tajemnice dotąd nieznane. Od godziny już prawie wpatrywał się w papier, gdy Glenarvan przerwał mu zamyślenie.

— Paganelu! — rzekł — odwołuję się do twej przenikliwości: może błędne jest nasze tłumaczenie tego dokumentu? Czy w tłumaczeniu tem jest jaka nielogiczność?

Paganel, zamyślony głęboko, nie odpowiedział.

— Może być, że mylimy się co do miejsca zaszłej katastrofy?— ciągnął Glenarvan. — Czyż nazwa *Patagonji* nie przyjdzie najprzód na myśl każdemu, najmniej nawet przenikliwemu człowiekowi.

Paganel wciąż milczał.

— Wkońcu czy nazwy tej nie usprawiedliwia jeszcze wyraz *Indjanie?*

— Najzupełniej — wtrącił obojętnie Mac Nabbs.

— I czy z tego nie wynika jasno, że rozbitki, pisząc to, obawiali się popaść w niewolę Indjan?

— Tu ci przerywam, kochany lordzie — rzekł nareszcie Paganel — i twierdzę, że jeśli wszystkie twoje wnioski, dotąd przytoczone, są usprawiedliwione, to ostatni bynajmniej nie zdaje mi się uzasadniony i racjonalny.

— Co przez to rozumiesz, panie Paganel? — spytała lady Helena, a oczy wszystkich zwróciły się ku geografowi.

— Rozumiem to — odpowiedział Paganel z naciskiem — że kapitan Grant *jest obecnie u Indjan w niewoli*, i dodam, że dokument w tym względzie żadnej nie pozostawia wątpliwości.

— Na Boga! wytłumacz się pan jaśniej — nalegała miss Grant.

— Nic łatwiejszego, kochana panno Marjo; zamiast czytać *staną się niewolnikami*, czytajmy *są niewolnikami*, a wtedy już wszystko będzie jasne, jak na dłoni.

— Ależ to być nie może! — powiedział lord Edward.

— Być nie może? A dlaczegóżby nie, mój szlachetny przyjacielu — spytał Paganel z uśmiechem.

— Bo butelka musiała być w morze rzucona w chwili, gdy okręt rozbijał się o skały. Stąd konieczny wniosek, że stopnie dłu-

gości i szerokości stosują się do miejsca, w którem rozbicie nastąpiło.

— Żadnego na to niema dowodu — żywo odparł Paganel — i nie wiem, dlaczegoby ci nieszczęśliwi, będąc już przez Indjan zawleczeni w głąb kraju, nie mieli sposobu uwiadomienia zapomocą tej butelki o miejscu swej niewoli?

— Dla prostej przyczyny, kochany Paganelu, że, chcąc rzucić butelkę do morza, przedewszystkiem trzeba mieć morze wpobliżu.

— Albo też w braku morza — odrzekł Paganel — rzekę, do niego wpadającą.

Z milczącem zdziwieniem przyjęto tę niespodziewaną, choć tak prostą odpowiedź. Po ożywionym wzroku, jakim na Paganela patrzyli jego słuchacze, poznał geograf zarazem, że każdemu z nich nowy w sercu błysnął promyk nadziei. Lady Helena pierwsza zawołała:

— Co za myśl!

— I wcale dobra myśl! nieprawdaż! — z naiwnością dodał geograf.

— Twojem więc zdaniem?... — pytał Glenarvan.

— Moje zdanie jest: szukać trzydziestego siódmego równoleżnika w miejscu, gdzie się styka z wybrzeżem amerykańskiem, a znalazłszy to miejsce, iść w kierunku równoleżnika, nie oddalając się od niego ani na pół stopnia, aż do punktu, w którym on zachodzi w Ocean Atlantycki. W takim kierunku najprędzej możemy spotkać rozbitków z okrętu *Britannia*.

— Słaba to szansa — odezwał się major.

— Jakkolwiek słaba — odrzekł Paganel — zawsze sądzę, że nie powinniśmy i tej zaniedbywać. A jeśli prawdziwe jest moje przypuszczenie, że butelka ta mogła wypłynąć z rzeki na morze, to w takim razie niezawodnie trafimy na ślad biednych niewolników. Przypatrzcie się, kochani przyjaciele, z uwagą karcie tego kraju, a niezawodnie zgodzicie się na moje zdanie.

To mówiąc, Paganel rozłożył na stole mapę Chili i prowincyj argentyńskich.

— Patrzcie — mówił — przejdźmy się niejako po tym lądzie amerykańskim. Przerzućmy się za Kordyljery i Andy, zstąpmy na płaszczyznę Pampa. Czyż mało w tym kraju rzek, rzeczek i innych wód rozmaitych? Bynajmniej. Oto Rio-Negro, oto Rio-Colorado, a oto inne wpadające do nich rzeki, przecinające trzydziesty siódmy stopień szerokości; a ręczę, że każda z nich mogła posłużyć do przeniesienia na morze tego dokumentu. Tam może wpośród jakiego dzikiego pokolenia, w ręku Indjan, na brzegu jednej z tych rzek nieznanych, w jakim ciasnym wąwozie, ci, których mam prawo nazywać przyjaciółmi naszymi, oczekują z upragnieniem cudu Opatrzności! Czyż powinniśmy zawieść ich nadzieje? Nie zgodzicież się

ze mną, że powinniśmy ściśle pilnować się tej linji, jaką palec mój kreśli w tej chwili na karcie? A jeśli wbrew wszelkim przewidywaniom i ja mylę się jeszcze, to czy nie jesteśmy obowiązani postępować aż do końca wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika, a nawet gdyby tego było potrzeba dla odnalezienia rozbitków, to wraz z nim okrążyć świat dokoła?

Słowa te, wymówione ze szlachetnym zapałem, żywe wywarły wrażenie na słuchaczach Paganela. Wszyscy powstali z miejsc i uścisnęli mu rękę.

— Tak, mój ojciec musi być tam! — zawołał Robert Grant, pożerając oczyma kartę, na stole rozłożoną.

— Gdziekolwiek jest — rzekł lord Glenarvan — znajdziemy go, moje dziecię! Dowodzenie naszego przyjaciela Paganela zdaje mi się być nader logiczne, i bez wahania wypada nam udać się drogą, przez niego wskazaną. Kapitan Grant znajduje się albo w ręku licznych osiadłych tu Indjan, albo też jest niewolnikiem u którego z drobnych pokoleń koczujących. W ostatnim wypadku oswobodzimy go z łatwością; w przeciwnym razie, zbadawszy dobrze położenie, połączymy się z osadą Duncana na wybrzeżu wschodniem, dostaniemy się do Buenos-Ayres, a tam utworzymy oddział pod wodzą majora Mac Nabbsa i zmożemy choćby wszystkich Indjan prowincji argentyńskiej.

— Wybornie, wasza dostojność, wybornie! — zawołał John Mangles — ręczę, że przejdziemy ląd amerykański bez najmniejszego niebezpieczeństwa.

— Bez niebezpieczeństwa i bez trudu — dodał Paganel. — Iluż tego już dokazało podróżników, którzy nie mieli ani takich, jak my, środków ku temu, ani ich nie podtrzymywała w wytrwaniu wielkość przedsięwzięcia! Oto w roku 1782 niejaki Basilio Villarmo z Carmen dostał się już aż do Kordyljerów. W 1806 znowu pewien Chilijczyk, alkad prowincji Conception, don Luis de la Cruz, wyjechawszy z Antuco, nie trzymał się ściśle trzydziestego siódmego stopnia a, przebywszy Andy, dostał się aż do Buenos-Ayres, po czterdziestu siedmiu dniach podróży. Nareszcie pułkownik Garcia, Alcide d'Orbigny i mój szanowny kolega, doktór Marcin de Moussy, przebiegli cały ten kraj we wszystkich kierunkach i zrobili dla nauki to, czego my teraz mamy dokonać dla ludzkości.

— Panie! panie! — rzekła Marja Grant głosem drżącym ze wzruszenia — jakże ci wynagrodzić poświęcenie, które się na tyle naraża niebezpieczeństw?

— Niebezpieczeństw! — zawołał Paganel. — Kto mówi o niebezpieczeństwach?

— Pewno nie ja — odrzekł śmiało Robert, w którego oku błyszczała odwaga i gotowość na wszystko.

— Niebezpieczeństwa! — raz jeszcze powtórzył Paganel — czyż one istnieją! Zresztą o cóż tu idzie? O przebycie trzystu pięćdziesięciu mil zaledwie, gdy trzymać się będziemy linji prostej; o podróż odbyć się mającą pod tą samą szerokością, pod jaką na drugiej półkuli leżą Hiszpanja, Sycylja i Grecja, a zatem i w takim samym klimacie; o podróż, która miesiąc najwyżej trwać może! Toż to przechadzka, spacer dla przyjemności, nic więcej!

— Sądzisz więc, panie Paganel — zapytała lady Helena — że jeśli nasi przyjaciele wpadli w moc Indjan, to ci oszczędzili im życia?

— Jakto, czy sądzę, pani! Ależ Indjanie przecie nie są ludożercami! Bynajmniej! Jeden z moich rodaków, którego znałem w Towarzystwie Geograficznem, niejaki Guinnard, przez trzy lata był w niewoli u Indjan stepowych. Cierpiał, coprawda, wiele, źle był traktowany, ależ koniec końców żywy i cały wyszedł z tej biedy. Europejczyk jest istotą bardzo w tym kraju użyteczną; Indjanie wiedzą o tem i szanować go umieją, jak zwierzę nader rzadkie i kosztowne.

— A więc niema się co namyślać dłużej — zawołał lord Glenarvan — trzeba jechać i to jechać bez najmniejszej straty czasu. Jakąż drogę obierzemy?

— Łatwą i przyjemną — odpowiedział Paganel. — Trochę gór z początku, dalej niewielka spadzistość na wschodniej pochyłości Andów, a wkońcu gładka, piaszczysta i trawiasta naprzemian płaszczyzna; istny ogród, wabiący wdziękami przyrody.

— Poradźmy się lepiej karty — rzekł poważnie Mac Nabbs.

— Oto jest, kochany majorze. Ruszymy od trzydziestego siódmego równoleżnika na wybrzeżu chilijskiem, pomiędzy cyplem Rumena i zatoką Carnera. Przeszedłszy stolicę Araukanji, wąwozem Antuco przedrzemy się przez Kordyljery, pozostawiając wulkan Antuco na południu; potem przez Neuquem i Rio-Colorado dotrzemy do Pampy, jeziora Salinas, rzeki Guamini, i Sierra Tapalquen. Tam już rozpoczynają się granice prowincji Buenos-Ayres, którą przebywszy, wejdziemy na Sierra Tandil, a stamtąd poszukiwania nasze posuniemy aż do cypla Medano na wybrzeżach oceanu Atlantyckiego.

Tak rozwijając program wyprawy, Paganel nie rzucił nawet okiem na leżącą przed nim kartę — umiał ją bowiem napamięć doskonale. Pełne zasług i wartości prace takich podróżników jak Frésier, Molina, Humboldt, Miers i d'Orbigny wyryły się głęboko w jego umyśle. Skończywszy owo wyliczanie geograficzne, dodał:

— A więc, moi przyjaciele, widzicie, że droga jest prosta; możemy ją odbyć w ciągu trzydziestu dni i równocześnie z *Duncanem*, a nawet może i wcześniej stanąć na wybrzeży wschodniem, gdyż jego bieg wstrzymany być może przez wiatry przeciwne.

— Tak więc — rzekł John Mangles — *Duncan* będzie musiał krążyć pomiędzy przylądkami Corrients i Św. Antoniego?

— Nieinaczej.

— A jakże nas podzielisz na tę wyprawę? — zapytał Glenarvan.

— To rzecz bardzo łatwa. Chodzi tu o zbadanie położenia, w jakiem się znajduje kapitan Grant, a nie o walkę z Indjanami. Sądzę przeto, że lord Glenarvan, jako nasz dowódca i zwierzchnik, major, który miejsca swego nikomu nie zechce ustąpić, wasz sługa Jakób Paganel!...

— A ja! — zawołał młody Grant.

— Robert! Robert! — powtórzyła Marja.

— A czemużby nie? — odpowiedział Paganel. — Podróże kształcą młodzież. Więc my czterej i trzech marynarzy z Duncana...

— Jakto — przerwał John Mangles, zwracając się do swego pana — czy wasza dostojność nie raczy się wstawić za mną?

— Mój kochany Mangles — odrzekł Glenarvan — na pokładzie zostawiamy nasze pasażerki, to jest wszystko, co mamy najdroższego na świecie. Któż nad niemi czuwać będzie, kto bronić i strzec naszych kobiet, jeśli nie waleczny kapitan Duncana?

— Nie możemy więc towarzyszyć wam? — rzekła lady Helena, której oczy zaszły mgłą smutku i żalu.

— Moja droga Heleno — odpowiedział Glenarvan — podróż nasza odbyć się musi w wyjątkowych warunkach pośpiechu; rozłączenie nasze będzie krótkie i...

— Rozumiem cię, mój przyjacielu — rzekła z pośpiechem lady Helena — idźcie i daj Boże, aby się wam jak najpomyślniej powiodło wasze przedsięwzięcie!

— Zresztą, nie jest to podróż — wtrącił Paganel.

— A cóż takiego? — spytała lady Helena.

— Przejście, nic więcej. Przejdziemy po ziemi, jak uczciwi ludzie, robiąc jak można najwięcej dobrego — weźmiemy sobie za godło: *Transire benefaciendo*. — Na tych wyrazach Paganela skończyła się dyskusja, jeśli tak nazwać można rozmowę, w której wszyscy zgadzali się na jedno. Tegoż samego jeszcze dnia rozpoczęto przygotowania i postanowiono w tajemnicy zachować wyprawę, aby nie zbudzić przedwcześnie czujności Indjan.

Wyjazd oznaczony był na 14-go października. Gdy przyszło do wyboru majtków, wszyscy ofiarowali swe usługi — tak, że Glenarvan był w kłopocie, kogo wybrać; żeby więc nikomu nie zrobić przykrości, wybór zostawił losowi. Włożono w kapelusz kartki z nazwiskami całej osady, a wyciągnięte trzy wskazały: 1) porucznika Tomasza Austina, 2) Wilsona, tęgiego i silnego zucha, oraz 3) Mulradyego, któryby się samego Toma Sayersa [1]) nie ulákł w walce.

Lord Edward żywo prowadził przygotowania; chciał być gotowy na dzień oznaczony — i tak się też stało. Jednocześnie John

[1]) Sławny bokser londyński.

Mangles zaopatrywał Duncana w węgiel, aby móc także bezzwłocznie wypłynąć na morze. Chodziło mu bardzo o to, aby wyprzedzić podróżnych i wcześniej od nich stanąć przy wschodniem wybrzeżu amerykańskiem.

Dnia 14 października, o oznaczonej godzinie, obie partje gotowe były do drogi. W chwili odjazdu pasażerowie *Duncana* zebrali się na pomoście; jacht gotów był do wyruszenia i już skrzydła jego śruby mąciły czystą wodę Talcahuano. Glenarvan, Paganel, MacNabbs, Robert Grant, Tomasz Austin, Wilson i Mulrady, uzbrojeni w karabiny i rewolwery, żegnali się z pozostającymi na jachcie; przewodnicy z mułami czekali na nich u tamy.

— Czas już — rzekł nareszcie Glenarvan.

— Idź, drogi przyjacielu — rzekła lady Helena, kryjąc wzruszenie — Bóg dobry niechaj prowadzi twe kroki.

Lord Glenarvan przycisnął ją do serca, a Robert Grant rzucił się na szyję swej siostrze.

— A teraz, kochani moi towarzysze — rzekł Jakób Paganel — uściśnijmy sobie ręce po raz ostatni i niech nam ten uścisk przyjazny wystarczy aż do spotkania się na wybrzeżach Atlantyku.

Po chwili czułego pożegnania siedmiu podróżnych opuściło pokład *Duncana* i wkrótce byli na brzegu. Lady Helena zdaleka jeszcze żegnała drogich sercu swemu podróżników ostatniem: — „Niech was Bóg prowadzi!”

— Bóg nas poprowadzi i dopomoże — zawołał Jakób Paganel, bo i my sami pomagać sobie będziemy!

— W drogę! — krzyknął John Mangles na swego mechanika.

— W drogę! — powtórzył lord Glenarvan do swych towarzyszy.

I w tej samej chwili, gdy podróżni, dosiadłszy mułów, postępowali drogą wzdłuż wybrzeża wiodącą, *Duncan* całą siłą swej śruby szybko pruł pieniące się pod nim fale Oceanu.

XI.

PRZEJŚCIE PRZEZ CHILI.

Przewodnicy, z krajowców wybrani i najęci przez lorda Glenarvana, byli to trzej mężczyźni i jedno dziecko. Starszy mulnik był Anglikiem osiadłym i naturalizowanym w tym kraju od lat przeszło dwudziestu. Trudnił się on wynajmowaniem mułów podróżnym i przeprowadzaniem ich przez różne przejścia w Kordyljerach, a następnie oddawał ich przewodnikowi argentyńskiemu (baqueano), znającemu

dobrze drogi w *pampach*[1]). Anglik ten nie zapomniał zupełnie, w towarzystwie mułów i Indjan, swego języka rodowitego i mógł rozmówić się z podróżnymi. Korzystał z tego lord Glenarvan, tem bardziej, że hiszpańszczyzny Jakóba Paganela nigdzie jeszcze nie rozumiano.

Ten starszy mulnik, „capataz", jak Chilijczycy mówią, miał do pomocy dwu krajowców i dzieciaka dwunastoletniego. Indjanie pilnowali mułów, objuczonych pakami, a chłopiec popędzał małą klacz (madrina), okrytą dzwonkami, która prowadziła za sobą dziesięć innych mułów. Na siedmiu z nich siedzieli podróżni, na jednym „capataz", a dwa pozostałe dźwigały żywność i kilka sztuk materji, na podarunki dla miejscowych kacyków w razie potrzeby. Indjanie, wedle zwyczaju, szli pieszo. Tak więc i bezpieczeństwo, i pośpiech zapewnione były w tej podróży przez Amerykę Południową. Niełatwa to i niezwykła podróż przez ogromne łańcuchy Andów. Nie podobnaby jej odbyć bez pomocy mułów, z których najlepsze są argentyńskie. Wyborne te stworzenia pod względem siły i wzrostu przewyższały w tym kraju nawet pierwotne okazy swego rodzaju. W pożywieniu są wcale niewybredne; piją raz tylko na dzień, odbywają po dziesięć mil (lieues) w ciągu ośmiu godzin i bez trudności dźwigają czternaście arrobów (arroba waży przeszło 28 funtów).

Na tej drodze, wiodącej od jednego oceanu do drugiego, niema żadnej oberży. Trzeba jeść mięso suszone, ryż z pieprzem tureckim, lub zwierzynę ubitą po drodze. Za napój służy woda z górskich potoków lub ze strumyków na płaszczyźnie, zaprawiona kilku kroplami rumu, którego każdy ma pewien zapas w rogu wolim. Trzeba się też wystrzegać wszelkiego nadużycia napojów spirytusowych, bo te nic służą w klimacie, gdzie system nerwowy człowieka jest do najwyższego stopnia rozstrojony. Całą pościel stanowi siodło krajowe, zwane „recado", które zrobione jest ze skór baranich, wyprawnych wraz z wełną, przewiązanych szerokiemi pasami, przepysznie haftowanemi. Podróżny, owinąwszy się w to ciepłe okrycie, żartuje z nocnych chłodów i wilgoci i śpi wybornie.

Glenarvan, jako człowiek przywykły do podróży, stosujący się do zwyczajów różnych krajów, przyjął kostjum chilijski dla siebie i dla wszystkich swych towarzyszy. Paganel i Robert — dwa dzieciaki, stary i młody — nie posiadali się z radości, przebierając głowy w „poncho"[2]) narodowe i wkładając na nogi buty, wyrobione ze skóry zdartej z tylnych łap źrebięcia. Trzeba było widzieć ich muły bogato osiodłane, mające w pyskach arabskie wędzidła, długie plecione skórzane uzdeczki, służące za bicz zarazem, łby bogato przystrojone w różne metalowe ozdoby i dźwigające sakwy z żywnością, zwieszone

[1]) Bujne, stepowe pastwiska. *Capataz*—przodownik, starszy robotnik.

[2]) Koc barwny, z przeciętym pośrodku otworem na głowę.

z obu stron. Paganel, zawsze roztargniony, o mało że nie spadł, wsiadając na swego muła; lecz wdrapał się nareszcie na siodło, mając u boku nieodstępną swą lunetę, a włożywszy nogi silnie w strzemiona, zaufał całkowicie zmyślności zwierzęcia i bynajmniej tego nie żałował. Młody Robert odrazu dowiódł, że posiada wszystkie przymioty tęgiego jeźdźca.

Wyruszono. Pogoda była cudowna, niebo nadzwyczaj czyste, atmosferę odświeżał wietrzyk od morza wiejący, łagodząc zbyt palące promienie słońca. Gromada szybkim krokiem stąpała po nierównych wybrzeżach zatoki Talcahuano, chcąc co rychlej dostać się do równoleżnika, leżącego o 30 mil na południe. W ciągu pierwszego dnia podróżni, niewiele mówiąc, dość prędko jechali przez zarosłe trzciną, wyschnięte moczary. W duszach ich tkwiły jeszcze świeżo wyryte wrażenia pożegnania. Dotąd jeszcze w oddaleniu widzieli dym maszyny *Duncana*, ginący na horyzoncie. Wszyscy milczeli prócz Paganela; uczony ten geograf sam sobie zadawał pytania po hiszpańsku i sam też na nie w tym nowym dla siebie języku odpowiadał. Kapataz z natury był milczący, a rzemiosło mulnika niewiele go też gadatliwszym uczyniło. Zaledwie że odzywał się niekiedy do swoich pomocników, którzy nieczęsto potrzebowali rozkazów, znając doskonale swe obowiązki.

Zwyczajem jest mulników, by, wyjechawszy o ósmej godzinie po śniadaniu rannem, nie zatrzymywać się na wypoczynek aż o czwartej wieczorem; Edward Glenarvan ściśle zastosował się do tego zwyczaju. Tego dnia kapataz dał znak do wypoczynku przy mieście Arauco, leżącem na południowem wybrzeżu zatoki. Stamtąd trzeba by'o iść jeszcze ze dwadzieścia mil na zachód aż do zatoki Carnero, dla znalezienia krańcowego punktu trzydziestego siódmego równoleżnika. Poprzednio już wysłani przez Glenarvana ludzie przebiegli całą tę część pobrzeża, nie napotkawszy nigdzie śladów rozbicia. Nowe poszukiwania byłyby więc bezużyteczne; postanowiono tedy obrać Arauco za punkt wyjścia i stamtąd kierować się na wschód, wciąż trzymając się ściśle linji prostej.

Gromadka zatrzymała się na noc w mieście i rozłożyła się na dziedzińcu oberży, w braku jakiegokolwiek pomieszczenia wewnątrz.

Arauco jest stolicą Araukanji, stanu, mającego rozległości sto pięćdziesiąt mil (francuskich) wzdłuż i trzydzieści wszerz; mieszkają tam Molukowie, ci starsi synowie rasy chilijskiej, opiewanej w utworach poety Ercilla. Plemię to dumne i silne, jedyne było ze wszystkich plemion, zamieszkujących obie Ameryki, które nigdy nie zostawało pod obcem panowaniem. Arauco należało wprawdzie niegdyś do Hiszpanów, ale ludność nigdy się nie poddała, tak jak dziś opiera się zaborczym projektom Chilijczyków, a sztandar ich niepodległości — biała gwiazda na błękitnem polu, powiewa jeszcze na wierzchołku pagórka ufortyfikowanego, który służy do obrony miasta.

Podczas gdy przygotowywano wieczerzę, Glenarvan, Paganel i kapataz przechadzali się pomiędzy domami o słomianych strzechach. Oprócz kościoła i zwalisk klasztoru franciszkańskiego, Arauco nic nie ma ciekawego. Glenarvan chciał zebrać jakieś wiadomości, lecz mu się to nie udało, Paganela do rozpaczy przyprowadzało to, że go mieszkańcy tamtejsi nie rozumieli; lecz ponieważ mówili po araukańsku, to jest językiem narodowym, używanym tam powszechne aż do cieśniny Magellańskiej, hiszpańszczyzna przeto Paganela czyniła na nich takie wrażenie, jakgdyby odzywał się do nich, naprzykład, po hebrajsku. Nie mogąc słuchu zaspokoić, pasł on przynajmniej wzrok widokiem różnych typów rasy moluckiej, z prawdziwą radością uczonego badacza. Mężczyźni byli wysokiego wzrostu, o twarzach płaskich, cerze miedzianej, z zarostem rzadkim, oka ponurego, o głowach szerokich, pokrytych długiemi włosami czarnemi. Widoczna na nich była ta bezczynność nużąca, właściwa wszystkim ludom wojowniczym, które nie wiedzą, co zrobić w czasie pokoju. Kobiety mizerne, lecz mocne, oddane były całkowicie mozolnym zajęciom gospodarskim: opatrywały konie, czyściły broń, orały, polowały dla swych panów i znajdowały jeszcze czas na wyrabianie tych błękitno-turkusowych ponszy, których robota wymaga około dwu lat pracy, a z których każde kosztuje co najmniej sto dolarów (pięćdziesiąt franków).

— To prawdziwi Spartanie! — powtarzał Paganel, gdy po przechadzce zasiadał do wspólnej wieczerzy.

Każdy łatwo zrozumie, ile było przesady w tym wykrzykniku uczonego geografa; tem więcej, gdy dodał jeszcze, że serce silniej mu biło przy zwiedzaniu miasta Arauco. Spytany przez majora o powód tego nadzwyczajnego i niespodziewanego „bicia serca", odpowiedział, że wzruszenie jego było bardzo naturalne wobec wspomnienia, że jeden z jego rodaków zasiadł niegdyś na tronie araukańskim; tym eks-monarchą był Tonneins, wyborny człowiek, były adwokat z Peringueux, wrażliwego usposobienia a nawet nieco awanturniczego. Żartowano z przygód i upadku jego królewsko-murzyńskiej mości Aureljusza Antoniego I-go, a wkońcu za jego zdrowie spełniono toast wódką z kukurydzy, zwaną w krajowym języku *chicha*. W chwilę potem podróżni, owinąwszy się w swe ponsza, smacznie zasnęli.

Następnego dnia, o ósmej z rana, orszak podróżny wyruszył w drogę, dążąc na wschód według trzydziestego siódmego równoleżnika. Podróżni przechodzili przez urodzajne terytorja Araukanji, bogate w stada i winnice. Zwolna jednak coraz częściej bezludne znajdowali przestrzenie. Zaledwie co mila napotykali nędzną chatę „restreadora", to jest indyjskiego poskromiciela koni, których sława znana jest w całej Ameryce. Gdzie niegdzie stało pustkowie po opuszczonej stacji pocztowej, służące za schronienie błąkającym się po płaszczyźnie krajowcom. Po drodze podróżni napotkali dwie rzeki: Reque i Tubal, ale kapataz, obeznany z miejscowością, znalazł bród

i przeszli szczęśliwie. Na horyzoncie ku północy roztaczał się majestatycznie łańcuch Andów — lecz była to tylko niewielka cząstka ogromnego grzbietu, na którym wspiera się całe rusztowanie Nowego Świata.

Po przejściu trzydziestu pięciu mil, o czwartej godzinie wieczorem, zatrzymano się na równinie, pod cieniem olbrzymich mirtów. Rozkiełznano muły i puszczono je na łąki, obficie porosłe trawą. Ludzie, posiliwszy się, jak zwykle, ryżem i mięsem, snem pokrzepili nieco znużone członki, a kapataz tymczasem i pomocnicy jego stróżowali zkolei.

Ponieważ pogoda sprzyjała stale, a wszyscy podróżni, nie wyłączając nawet młodego Roberta, wybornem cieszyli się zdrowiem, wypadało korzystać z tak przyjaznych okoliczności i, póki można, posuwać się jak najszybciej. Następnego dnia z większym postępowano pośpiechem; przebyto potok Bell, a odpoczynek przypadł nad brzegiem Biobio, oddzielającej Chili hiszpańskie od Chili niepodległego. Odległość zamierzonej podróży zmniejszyła się znowu o trzydzieści pięć mil. Kraj w niczem się nie zmienił. Na żyznym gruncie wszędzie widać było rozrzucone amarylisy, fiołki krzewowe, bieluń (Datura Stramonium) i kaktusy złoto - kwieciste. To znowu spostrzegać się dawały rysy, amerykańskie czaple, sowy samotne, drozdy i nury czubate. Mieszkańców bardzo niewielu napotykano; czasami ukazywali się „gauchos", zrodzeni z Indjan i Hiszpanów, galopujący na koniach pokrwawionych od olbrzymich ostróg, przyczepionych do nóg bosych jeźdźców. Na drodze żadnych i od nikogo nie można było powziąć objaśnień ni wiadomości. Glenarvan rozumował sobie, że kapitan Grant, dostawszy się w niewolę Indjan, musiał być przez nich zawleczony poza Andy. W pampach więc dopiero można rozpocząć poszukiwania z lepszym skutkiem, a do tej pory iść tylko, iść naprzód i z największym pośpiechem.

Dnia 17-go o zwykłej godzinie i w zwyczajnym wyruszono porządku. Niecierpliwy Robert radby się był wyrwać naprzód i zaledwie surowy rozkaz lorda Glenarvana zdołał go powstrzymać.

Okolica stawała się coraz nierówniejsza, tu i owdzie napotykane pagórki wskazywały bliskość gór; rzeki coraz głośniej szumiały, spadając z wyżyn. Paganel często zaglądał do swego atlasu; gdy nie znajdował na karcie oznaczonego strumienia, krew geografa żywiej wrzała i udawał, że się gniewa, a w duszy rad był temu za każdym razem.

— Potok nie mający nazwiska — mruczał — to tak, jakby nie miał stanu cywilnego, a zatem nie istnieje wobec prawa geograficznego.

I wślad za tem chrzcił te wody bezimienne i oznaczał je na karcie najszumniej brzmiącemi w hiszpańskim języku przymiotnikami.

— Co to za język wspaniały! — powtarzał — co za język dźwięczny i pełny! To język prawdziwie metaliczny! Założyłbym się, że składało się na niego siedmdziesiąt ośm części miedzi i dwadzieścia dwie mosiądzu, jak na śpiż, z którego dzwony leją!

— Ale czy robisz w nim przynajmniej postępy? — zapytał lord Glenarvan.

— Rozumie się, kochany milordzie! Ach, gdyby jeszcze ten język nie miał akcentu tak trudnego — ale ten przeklęty akcent! Ten akcent!

I w drodze Paganel łamał się z trudnościami wymawiania, nie zaniedbując przytem i robienia spostrzeżeń geograficznych. W tej materji był zupełnie pewny siebie. Gdy lord Edward zapytywał starszego przewodnika o jaką naprzykład osobliwość lub właściwość kraju, uczony geograf zawsze uprzedzał w odpowiedzi kapataza, zdziwionego mądrością człowieka, który wiedział o wszystkiem.

Tego samego dnia, około drugiej po południu, podróżni nową na swej drodze napotkali ścieżkę. Glenarvan naturalnie zapytał o jej nazwisko i naturalnie, że Jakób Paganel pośpieszył z odpowiedzią:

— To droga wiodąca z Yumbel do los Angeles.

Glenarvan spojrzał na mulnika.

— Tak jest w rzeczy samej — odpowiedział zapytany, a potem, zwracając się do geografa, rzekł: — Więc pan już kiedyś przebywał ten kraj?

— Tak jest, do licha! — odpowiedział Paganel z największą powagą.

— Na mułach?

— Nie, w mojem krześle!

Kapataz nic zrozumiał; wzruszył ramionami i powrócił do swych mułów, idących na przedzie.

O piątej wieczorem zatrzymał się pochód w bardzo głębokim wąwozie, o kilka mil powyżej niewielkiego miasteczka Loja. Noc tę podróżni spędzili u podnóża *Sierras*, pierwszego ogniwa wielkiego łańcucha Kordyljerów.

XII.

NA WYSOKOŚCI 12.000 STÓP.

Dotychczas przejście przez Chili nie odznaczyło się żadnym ważniejszym wypadkiem, zato teraz spotkano się ze wszystkiemi wypadkami i przeszkodami, jakie nastręczają się zwykle przy przebywaniu gór. Walka z naturą rozpoczęła się na serjo.

Przed wyruszeniem w drogę wypadało rozstrzygnąć ważną kwestję: którędy i w jakim punkcie przejść Andy, aby się nie oddalić od drogi obranej? Radzono się najprzód zdania starszego mulnika.

— Ja — odpowiedział kapataz — znam tylko dwa możliwe przejścia w tej części Kordyljerów.

— Przejście Arica, zapewne — rzekł Paganel — które odkrył Valdivia Mendoza.

— Tak, tak jest.

— I drugie przejście Villarica, leżące na południe od Nevady (Śnieżny szczyt) tej samy nazwy.

— Nieinaczej!

— Otóż, mój przyjacielu, oba te przejścia tę mają niedogodność, że zbyt nas oddalają na północ lub na południe.

— A czy pan znasz inne przejście? — zapytał major.

— Znam — odrzekł Paganel. — Oto, naprzykład, przejście Antuco, leżące na pochyłości wulkanicznej, pod trzydziestym siódmym stopniem, trzydziestą minutą, to jest o pół stopnia tylko od naszej drogi. Wzniesione jest ono na tysiąc zaledwie sążni, a odkrył je Zamudio de Cruz.

— Dobrze to jest, ale czy nasz przewodnik zna to przejście?

— Znam milordzie, a nawet nieraz je przebywałem, lecz nie wspomniałem o niem, jako o drożynie, którą indyjscy pasterze ze wschodnich stoków bydło tylko przepędzają.

— A więc, mój przyjacielu — rzekł lord Glenarvan — sądzę, że i my potrafimy przejść tamtędy i pomieścimy się tak dobrze, jak stada mułów, baranów lub wołów. Tem bardziej powinniśmy pilnować się przejścia Antuco, że przy niem nie zejdziemy z prostej linji.

Dano znak do odjazdu niezwłocznie i orszak puścił się na dolinę Las Lajas, pomiędzy ogromne masy skrystalizowanych pokładów wapiennych. Wgórę wiodła pochyłość prawie nieznaczna. Około jedenastej wypadało obejść brzegi niewielkiego jeziora, będącego naturalnym i nader malowniczym zbiornikiem rzek sąsiednich, do którego wpadały ze szmerem i mieszały swe wody w spokojnem przezroczu. Powyżej jeziora, na obszernych płaszczyznach, pokrytych trawą, pasły się stada indyjskie. Dalej podróżni natrafili na wielkie błota, zalegające dużą przestrzeń od południa ku północy, z których jednak, dzięki instynktowi mułów, wydostali się szczęśliwie. O pierwszej po południu na wyniosłej skale ukazał się port Ballenare, ze zrujnowanemi wieżami obronnemi; poza nim stoki były już coraz bardziej nierówne, kamieniste. Ułamki skał, co krok prawie strącane kopytami mułów, spadały z szumem. Około trzeciej ujrzano malownicze zwaliska warowni, zburzonej w czasie powstania 1700 r.

— Widać — rzekł Paganel — że góry niedostatecznie rozdzielają ludzi, skoro trzeba je jeszcze fortyfikować.

Od tego miejsca droga stawała się coraz przykrzejsza, a nawet niebezpieczna; pochyłości były coraz większe, a strome zbocza ich zwężały się, tworząc przepaści głębokie, przerażające. Muły postępowały ostrożnie, z nozdrzami wdół spuszczonemi, jakby węchem szukały drogi. Podróżni szli jeden za drugim. Niekiedy, przy naglejszym zakręcie, *madrina* znikała na chwilę, a reszta orszaku kierowała się odgłosem jej dzwonka. Często także kapryśna nierówność drogi sprowadzała kolumnę na dwie linje równoległe i wtedy przewodnik rozmawiał ze swymi pomocnikami, oddzielony od nich rozpadliną, mierzącą zaledwie parę sążni szerokości, ale zato kilkaset stóp głębokości, tworzącą przeto przepaść nieprzebytą.

Rośliny ukazywały się tam jeszcze, ale już widocznie walczyły z królestwem mineralnem. O bliskości wulkanu pozwalały wnioskować napotykane tu i owdzie kawałki lawy koloru żelaza, najeżone żółtemi kryształami, jakby szpilkami. Sterczące skały zdawały się tracić równowagę i grozić co chwila upadkiem. Widoczne było, że kataklizm nagły, niedaleki zmieni wkrótce ich postać i wybije ostatnia godzina istnienia tych olbrzymów górzystego państwa.

W takich warunkach bardzo trudno rozpoznawać drogę, której ślady przy częstych trzęsieniach tej górzystej ziemi zacierały się, a pozostawione za sobą znaki i wskazówki trudno było znaleźć za powrotem. Przewodnik wahał się i zatrzymywał się często. Niepewny siebie badał wciąż drogę. Orjentował się po kształcie skał, po śladzie Indjan na kamieniach. Wszystko to jednak niewiele pomagało.

Lord Edward krok w krok postępował za przewodnikiem. Pojmował on dobrze, w jaki go kłopot wprawiały coraz zwiększające się trudności drogi; nie śmiał mu zadawać więcej pytań, i nie bez słuszności może sądził, że lepiej jest spuścić się na instynkt mulnika, niegorszy w każdym razie od instynktu muła.

Przez godzinę jeszcze kapataz błądził tak na niepewne, ciągle jednak postępując wgórę. Nareszcie musiał się zatrzymać. Znajdowano się podówczas na dolinie wąskiej, albo raczej jednym z owych ciasnych przesmyków, które Indjanie nazywają „quebradas". Ściana porfirowa, śpiczasto u góry zakończona, zamykała wyjście. Przewodnik napróżno przez czas pewien szukał przejścia, a nie znalazłszy go, zsiadł z muła, ręce na piersi skrzyżował i czekał. Glenarvan zbliżył się do niego.

— Zbłądziliśmy? — spytał.

— Nie, milordzie, — odpowiedział kapataz.

— Ale nie jesteśmy na przejściu Antuco?

— I owszem.

— Czy się nie mylisz?

— Bynajmniej. Oto jeszcze resztki ognia, jaki Indjanie tu palili, a oto ślady koni i owiec.

— Przechodzili więc tędy?

— Tak, ale już nikt więcej przechodzić nie będzie. Ostatnie trzęsienie ziemi zabarykadowało to przejście.

— Dla mułów — rzekł major, ale nie dla ludzi.

— A, to już do was, moi panowie, należy — odpowiedział mulnik — ja zrobiłem, co mogłem, i gotów jestem wrócić się z memi mułami, jeśli i wy zechcecie powrócić i szukać innego przejścia w Kordyljerach.

— To będzie duże opóźnienie.

— Co najmniej o trzy dni.

Glenarvan słuchał mowy przewodnika w milczeniu, lecz na propozycję powrotu zwrócił się do swych towarzyszy i rzekł:

— Czy chcecie zaryzykować to przejście?

— Pójdziemy za tobą milordzie — odpowiedział Tomasz Austin.

— A nawet jeśli żądasz, to pójdziemy przed tobą milordzie — dodał Paganel. — Bo i o cóż tu zresztą chodzi? O przejście łańcucha gór, których stoki z przeciwnej strony są mniej spadziste, a przeto i zejście łatwiejsze. Tam znajdziemy baquenosów argentyńskich, którzy nas przeprowadzą przez pampę, i konie rącze. Naprzód więc bez wahania!

— Naprzód! — chórem zawołali towarzysze Glenarvana.

— Nie pójdziesz z nami? — zapytał tenże mulnika.

— Ja wiodę muły — odrzekł kapataz.

— Jak ci się podoba, mój przyjacielu.

— Obejdziemy się bez niego — rzekł Paganel — po drugiej stronie tej ściany odszukamy ścieżkę, prowadzącą do Antuco, a ja podejmuję się poprowadzić was do podnóża góry tak dobrze, jak przewodnik najlepiej znający Kordyljery.

Glenarvan zapłacił mulnikowi i odprawił go. Broń, narzędzia i żywność podróżni rozebrali pomiędzy siebie. Jednomyślnie zgodzono się, żeby bez straty czasu iść zaraz wgórę, a nawet przez całą noc nie przerywać podróży, gdyby tego była potrzeba. Po lewym stoku wiła się wąska ścieżka, której muły przejść nie mogły. Niemałe trudności miano do zwalczenia; ale po dwu godzinach ciężkiego mozołu i przebyciu różnych zakrętów Glenarvan ze swymi towarzyszami wydostali się wreszcie na przełęcz Antuco. Znajdowali się wówczas w niewielkiej odległości od wierzchołka Kordyljerów, ale żadnej tam już drogi, żadnego śladu nawet przejścia znaleźć nigdzie nie mogli. Cała ta część gór zupełnemu uległa przewrotowi podczas ostatnich trzęsień ziemi i trzeba było wdzierać się coraz wyżej na grzbiet łańcucha. Paganela mocno to zakłopotało, że nie znalazł drogi wolnej; obawiał się, żeby nie było potrzeba zbyt wielkich wysileń na dostanie się na szczyt Andów, których średnią wysokość obliczają na jedenaście do dwunastu tysięcy sześciuset stóp. Na szczęście, pogoda bardzo sprzyjała: w *zimie* bowiem, to jest *od maja do października,* wejście na górę byłoby niepodobne; nadzwyczaj silne mrozy zabijają

podróżnych, a wytrwalsi na zimno nie unikają gwałtownych skutków huraganów, panujących w tej strefie. Straszliwe te burze corocznie zaściełają licznemi trupami wąwozy Kordyljerów.

Przez całą noc byli w drodze. Musiano sobie pomagać rękami, by się wspinać na urwiska prawie niedostępne; przeskakiwano szerokie i głębokie rozpadliny; ręce splecione służyły za liny, a ramiona za drabiny. Nieustraszeni podróżni podobni byli do trupy gimnastyków, oddających się z zapałem swym ćwiczeniom. Tam dopiero Mulrady i Wilson mieli sposobność użycia swej siły i zręczności. Dzielni ci dwaj Szkoci okazali się nader potrzebni; nieraz odwagą swą i poświęceniem ułatwiali przejście całemu orszakowi tam, gdzie zdawało się pozornie niepodobne. Glenarvan z oka nie spuszczał młodego Roberta, którego wiek i żywość do częstych wiodły nieroztropności. Paganel kroczył przodem z wytrwałością i zapałem prawdziwego Francuza. Major, jak zwykle, tyle się tylko poruszał, ile musiał koniecznie; właził przeto na górę raczej, aniżeli wchodził, a może być nawet, że sam nie wiedział dobrze, czy wgórę idzie, czy nadół zstępuje.

O piątej godzinie rano podróżni znajdowali się na wysokości siedmiu tysięcy pięciuset stóp (jak to pokazywały spostrzeżenia barometryczne), to jest na ostatnim krańcu pasa, w którym drzewa rosną. Dawały się tam jeszcze spostrzegać niektóre zwierzęta; lecz jakby przeczuwały, że znaleźli się tu łakomi na nie myśliwcy, zdaleka uciekały obawiając się spotkania z człowiekiem. Lama, naprzykład, nieocenione zwierzę wyżyn, które samo jedno zastępuje wołu, barana i konia, a żyć tam może nawet, gdzie już i muł żyć nie zdoła — albo szynszyla, małe, łagodne a bojaźliwe stworzonko, z pięknem i bogatem futerkiem, podobne z tylnych łapek do kangura; ślicznie ono wygląda, gdy skacze, jak wiewiórka, ze skały na skałę.

— Nie jest to jeszcze ptak — mówił Paganel — ale też także już nie zwierzę czworonożne.

Nie ostatnie to jednak jeszcze były istoty, mieszkające w tej strefie. Na wysokości dziesięciu tysięcy stóp, gdzie śniegi nigdy nie topnieją, stadami błądzą przeżuwające, nieporównanej piękności zwierzątka — jak alpaka, długim, jedwabistym pokryta włosem, lub prześliczna, lekka i zgrabna kózka bez rogów, o miękkiej i delikatnej wełnie, którą naturaliści przezwali wigoniem. O zbliżeniu się do tych stworzeń nie można było myśleć; zaledwie zdaleka podróżni widzieli je, z szybkością ptaka sunące po kobiercu olśniewającej białości.

Z tej wysokości odmienny zupełnie był ogólny widok okolicy. Ze wszech stron wznosiły się ogromne słupy lodu niebieskawej barwy, a w nich odbijało się światło dnia wschodzącego. Pochód wgórę stawał się coraz trudniejszy, a nawet niebezpieczny: musiano postępować bardzo ostrożnie, aby nie wpaść w jaką rozpadlinę. Wilson szedł przedtem i nogą próbował mocy lodu; towarzysze postępowali

za nim, trzymając się śladu stóp jego a nie mówili głośno — gdyż najmniejszy hałas, poruszając warstwę powietrza, mógł spowodować zawalenie się masy śniegu, wiszącej na siedmset lub ośmset stóp nad ich głowami.

Orszak podróżny doszedł już do pasu krzewów, ponad którym o tysiąc pięćset stóp wyżej już tylko trawiaste wschodziły rośliny, a na wysokości jedenastu tysięcy stóp i tych nawet nie było na gruncie jałowym, tak, że zaginął wszelki ślad wegetacji. O osmej godzinie podróżni zatrzymali się na chwilę dla skromnego posiłku i zaraz w dalszą puścili się drogę, wytrwale pokonywując rosnące co chwila trudności. Potrzeba było przedzierać się przez ostre skały, lub przechodzić ponad przepaściami, w których oko zagłębić się nie miało odwagi. W niektórych miejscach krzyże drewniane oznaczały drogę, świadcząc zarazem o zaszłych tu nieszczęśliwych wypadkach. Około drugiej godziny podróżni doszli do ogromnej płaszczyzny, pustej, nagiej, bez najmniejszego śladu wegetacji! Powietrze było suche, niebo błękitne; na tej wysokości deszcze są nieznane, a wilgoć opada tylko w kształcie śniegu lub gradu. Tu i owdzie z pośród białego całunu wystawały spiczaste skały bazaltowe lub porfirowe, jakby kości szkieletu, a od czasu do czasu kawałki kwarcu albo gnejsu, odłamujące się pod działaniem powietrza, z głuchym spadały łoskotem.

Pomimo całej wytrwałości i odwagi, podróżni wyczerpali resztę swych sił, co widząc, lord Glenarvan żałować począł, że zapuścili się tak daleko w góry. Nad wiek swój odważny i silny mały Robert musiał wkońcu zaniechać również swych wysiłków.

O trzeciej godzinie Glenarvan się zatrzymał.

— Trzeba odpocząć — rzekł, nie mogąc się doczekać, aby kto pierwszy zrobił tę propozycję.

— Odpocząć? — odpowiedział Paganel — ależ nie mamy żadnego schronienia!

— Jednakże nie możemy iść dalej, choćby tylko dla samego Roberta.

— Broń Boże, milordzie! — zawołał dzielny chłopiec — ja mogę jeszcze iść... nie zatrzymujmy się...

— Poniosą cię, mój chłopcze — odpowiedział Paganel — ale trzeba się koniecznie dostać na stok wschodni góry. Tam znajdziemy może jaką chatkę na schronienie. Proszę jeszcze o dwie godziny wytrwałości.

— Czy zgadzacie się na to wszyscy? — zapytał lord Glenarvan.

— Zgadzamy się — odpowiedzieli towarzysze, a Mulrady dodał: — Ja się podejmuję nieść Roberta.

Puszczono się tedy dalej w kierunku wschodnim, a przez następne dwie godziny wdzierano się rozpaczliwie pod górę, aby się tylko dostać do najwyższych szczytów. Z powodu rozrzedzonego po-

wietrza podróżni czuli bolesne ciśnienie, znane pod nazwą „puna”. Krew wydobywała się przez dziąsła i wargi, czy to przez brak równowagi w ciśnieniu powietrza zewnętrznego i wewnętrznego, czy też pod wpływem śniegów, które na bardzo wielkich wysokościach psują widocznie atmosferę. Częste i przyśpieszone oddychanie z powodu rzadkości powietrza i dla poparcia cyrkulacji krwi męczyło podróżnych, równie jak blask odbijających się o śnieg promieni słonecznych. Jakkolwiek silną przejęci byli wolą, przyszła jednak chwila, że i najwytrwalsi upadli; a zawrót głowy, ta straszna choroba górska, pozbawił ich nietylko sił fizycznych, ale i energji moralnej. Nie można bezkarnie walczyć z trudami tego rodzaju. Upadali coraz częściej, a kto upadł, ten włókł się już tylko na klęczkach.

Zupełne opadnięcie na siłach czyniło dalszy pochód niemożliwym. Glenarvan z trwogą patrzył na niezmierzoną przestrzeń śniegów; drżał na samą myśl, że pomarznąć mogą w tej atmosferze, bez żadnej nadziei schronienia — gdy nagle major zatrzymał go i z największym spokojem rzekł, wskazując palcem:

— Chatka!

XIII.

ZEJŚCIE Z KORDYLJERÓW.

Jeden tylko Mac-Nabbs mógł dostrzec chatkę; każdy inny byłby sto razy przeszedł obok niej, nie domyślając się nawet, że istnieć tam może jakie mieszkanie. Od skał otaczających ją różniła się tylko niewielkiem wywyższeniem ponad kobierzec śniegowy, wejście do niej trzeba było naprzód odkopać.

Po półgodzinnej usilnej pracy, Wilson i Mulrady zdołali tego dokonać, a orszak podróżny wcisnął się pośpiesznie do „casuchy.”

Chatka ta, zbudowana przez Indjan z pewnego gatunku cegły wypalonej na słońcu (adobe), miała kształt sześcianu o bokach długości dwunastu stóp, a wzniesiona była na szczycie skały bazaltowej. Kamienne schody prowadziły do drzwi, jedynego otworu tej nory, do której, pomimo dobrego osłonięcia, dostawały się huragany, grady i śniegi.

Dziesięć osób wygodne tam znajdowało pomieszczenie, a chociaż w porze deszczów ściany nie całkiem były nieprzepuszczalne, jednakże w tej chwili osłaniały przynajmniej od dokuczliwego zimna, dochodzącego do dziesięciu stopni. Zresztą znajdowało się tam niby ognisko z ceglanym na dym wylotem: możnaby więc było rozpalić ogień i walczyć z powietrzem zewnętrznem.

— Otóż — rzekł lord Edward — jeśli nie całkiem wygodne, to przynajmniej wystarczające schronienie. Opatrzność nas tu widocznie doprowadziła i dzięki jej za to złożyć winniśmy.

— Co mówisz, milordzie! — zawołał Paganel — ależ to pałac prawdziwy; brak nam tylko straży i dworu, a mieszkalibyśmy jak monarchowie.

— Szczególniej, gdyby dobry ogień zabłysnął — dodał Tomasz Austin — bo choć prawda, żeśmy głodni potężnie, ale też i zimno niemniej nam dokucza. Co do mnie, to przyznam się, że wiązka drzewa w tej chwili sprawiłaby mi większą przyjemność, niż zraz zwierzyny.

— Nie bój się, Tomaszu! — rzekł Paganel — znajdziemy paliwo.

— Paliwo na szczycie Kordyljerów! — rzekł Mulrady, potrząsając głową z niedowierzaniem.

— Skoro zrobiono tu komin — odezwał się major — to zapewne jest czem i palić.

— Nasz przyjaciel Mac-Nabbs ma słuszność — rzekł Glenarvan — przyrządźcie wszystko do wieczerzy, a ja pójdę po paliwo.

— Ja z Wilsonem będziemy ci towarzyszyli, milordzie — rzekł Paganel.

— A może i ja mogę się przydać?... — powiedział Robert, powstając z miejsca.

— Nie, mój chłopcze — odpowiedział Glenarvan — wypocznij sobie; ty i tak będziesz człowiekiem w wieku, gdy inni jeszcze są dziećmi.

Glenarvan, Paganel i Wilson wyszli z chaty. Była szósta godzina po południu. Pomimo zupełnej ciszy w powietrzu, mróz szczypał dokuczliwie. Już szarzał powoli błękit nieba, a słońce ostatniemi promieniami muskało wysokie cyple płaszczyzn andyjskich. Paganel spojrzał na barometr który miał przy sobie, i spostrzegł, że merkurjusz utrzymywał się na 0,945 milimetrów. Ciśnienie na kolumnę barometru odpowiadało wyniesieniu jedenastu tysięcy siedmiuset stóp nad powierzchnię morza; ten więc punkt Kordyljerów był tylko o dziewięćset dziesięć metrów niższy od góry Mont-Blanc. Gdyby w tych górach groziły te same niebezpieczeństwa, jakiemi najeżony jest olbrzym Szwajcarji, gdyby się tylko były podniosły wichry i huragany, z pewnością ani jeden podróżny nie zdołałby przejść wielkiego łańcucha gór amerykańskich.

Doszedłszy do niewielkiego pagórka porfirowego, Glenarvan i Paganel obejrzeli się naokoło. Stali wtedy na szczycie newadów Kordyljerskich i mogli objąć okiem przestrzeń czterdziestu mil kwadratowych. Od wschodu spadzistość góry była daleko mniejsza i łatwiejsze obiecywała przejście. Zachodzące słońce coraz grubszym cieniem pokrywało dolinę Colorado; stopniowo znikały przed okiem

jedna po drugiej wszystkie wyniosłości i zwolna cały wschodni stok Andów pogrążał się w ciemnościach nocy. Zachodnie boki góry kąpały się jeszcze w świetle, jakie na nie rzucały ostatnie odbłyski kryjącego się słońca. Północ przedstawiała niewyraźne, połamane linje, jakby naszkicowane ręką niewprawnego rysownika. Oko widza tonęło w czemś niewyraźnem. Od strony południowej, przeciwnie — widok był coraz wspanialszy w miarę zapadającego zmroku: wzrok z przyjemnością padał na dziką dolinę Torbido i obejmował Antuco, którego krater w odległości dwu mil wyrzucał słupy płomieni. Wulkan ryczał jak potwór ogromny, podobny do apokaliptycznego Lewjatana, oddychającego gęstemi kłębami dymu. Góry, otaczające go, zdawały się zalane ogniem; grad rozpalonych kamieni, obłok czerwonawej pary i potoki lawy, razem połączone, tworzyły słup ognisty. Ogromny blask, rosnący co chwila, olśniewające rzucał światło, a słońce tymczasem niknęło z przeciwnej strony, jak gwiazda gasnąca w cieniach horyzontu.

Paganel i Glenarvan długo się wpatrywali w tę wspaniałą walkę ognia ze światłem niebieskiem; improwizowani drwale zamienili się w artystów; dopiero mniej poetyczny Wilson przypomniał im rzeczywistość. Drzewa nie było nigdzie, to prawda, ale zato mech suchy obficie pokrywał skały; zebrano go dość znaczną ilość, a następnie nazbierano rośliny zwanej „llaretta", której korzeń pali się doskonale. Nieoceniony ten materjał palny przyniesiono do chaty i rozsypano na ognisku. Powietrze bardzo rozrzedzone nie posiadało dość tlenu do podsycenia i utrzymania ognia — jak przynajmniej objaśnił major, tłumacząc, czemu ogień gasł co chwila.

— Zato — dodał major — woda do zagotowania się nie potrzebuje tutaj tego samego co w nizinach gorąca; można tu mieć wrzątek przy mniej, niż dziewięćdziesięciu stopniach [1]).

Mac Nabbs nie mylił się, gdyż rzeczywiście termometr, zanurzony w wodzie, gdy ta wrzeć poczęła, wskazywał ośmdziesiąt siedm stopni. Każdy z rozkoszą wypił trochę gorącej kawy, mięsa jednak mieli bardzo skąpo.

— Przyznam się wam, kochani koledzy — zawołał Paganel — że nie gniewałbym się, gdybym miał w tej chwili zrazik pieczeni z lamy. Zwierzę to może zastąpić wołu i barana, ale radbym się przekonać, czy także pod względem pożywności.

— Jakto — zawołał major — nie jesteś zadowolony z naszej wieczerzy, uczony Paganelu?

— I owszem, waleczny majorze; jednakże wyznam, że półmisek zwierzyny byłby pożądany.

---

[1]) Na każde 324 metry wysokości potrzeba jest mniej o jeden blisko stopień ciepła do zagotowania wody. W niniejszym opisie obliczano na termometr Celsjusza, którego 100 = 72. (P. T.).

— Jesteś sybarytą — krótko odpowiedział Mac Nabbs.

— Przyjmuję ten przydomek, kochany majorze, ale mów co chcesz, a sam nie gniewałbyś się, gdyby jaki befsztyk podano.

— Być może — odrzekł major.

— I pewny jestem, że gdyby ci zaproponowano stanąć ze strzelbą na stanowisku, pewnobyś to bez wahania uczynił, pomimo nocy i zimna dokuczliwego.

— Naturalnie, i jeśli ci to zrobi przyjemność...

Zdaleka dolatujące przeciągłe wycie nie dało czasu na podziękowanie majorowi za jego dobrą wolę. Nie był to głos pojedyńczego zwierza, lecz krzyk całego stada pędzącego z szybkością. Czyżby Opatrzność, dawszy podróżnikom schronienie, chciała dać im jeszcze i wieczerzę? Paganel przynajmniej tak wnosił, lecz Glenarvan umniejszył jego radość spostrzeżeniem, że czworonogi, zamieszkujące Kordyljery, nie przebywają nigdy na takiej wysokości.

— Skądże więc pochodzi ten hałas? — spytał Tomasz Austin — czy słyszycie, panowie, jak się zbliża?

— Może to lody, z gór spadające? — rzekł Mulrady.

— To być nie może! To jest najwyraźniej wycie — odrzekł Paganel.

— Idźmy zobaczyć — powiedział Glenarvan.

Wszyscy wybiegli z chaty. Noc była ciemna i gwiaździsta, księżyc nie świecił wcale. Wierzchołki gór od strony północnej i wschodniej tonęły w ciemnościach. Wycie, i to zwierząt rozwścieczonych, zwiększało się co chwila. Słyszeć się ono dawało od strony Kordyljerów, w zupełnej ciemności pogrążonych. Nagle, jak nawałnica, wypadła ogromna gromada zwierząt z pamp, czy też tylko stado lam lub wigoni? Glenarvan, Mac Nabbs, Robert, Austin i dwaj majtkowie zaledwie mieli czas rzucić się na ziemię, a tymczasem ta żyjąca nawałnica o kilka zaledwie stóp przeszła ponad nimi, przewróciwszy Paganela, który stał, by lepiej widzieć.

W tej chwili rozległ się strzał w powietrzu. Major dał ognia naoślep. Zdawało mu się, że coś upadło przy jego nogach, a tymczasem cała gromada wystraszona, zdwajając wycie, uciekała na pochyłości, oświetlane blaskiem wybuchu wulkanicznego.

— A! mam cię, mam przecie!... — zawołał Paganel.

— Cóżeś schwytał? — ciekawie zapytał lord Glenarvan.

— Moje okulary, do licha! O mało ich nie zgubiłem w tem zamieszaniu.

— Czy nie jesteś skaleczony?

— Nie, tylko trochę podeptany, ale nie wiem przez kogo.

— Oto winowajca — rzekł major, ciągnąc ubite przez się zwierzę.

Wrócono pośpiesznie do chaty; każdy pragnął przy blasku płomienia widzieć, co też to major zastrzelił.

Było to śliczne zwierzątko, podobne do małego wielbłąda, tylko że bez garbu; miało głowę małą, ciało spłaszczone, nogi cienkie i długie, sierść delikatną, futerko koloru kawy ze śmietanką, a pod brzuchem dość znaczne plamy białe. Paganel, obejrzawszy je, zawołał:

— To guanak!

— Co to znaczy guanak? — spytał lord Glenarvan.

— Zwierzę jadalne — odpowiedział Paganel.

— A dobre!

— Bardzo smaczna potrawa, godna bogów. Wiedziałem, że będziemy mieli świeże mięso na wieczerzę. Wyborne, doskonałe mięso! Ale któż rozćwiertuje naszą zwierzynę?

— Ja — rzekł Wilson.

— Dobrze, a ja podejmuję się ją upiec — dodał Paganel.

— Więc pan jesteś i kucharzem, panie Paganel — rzekł Robert.

— O! mój mały, wiesz przecie, że jestem Francuzem, a każdy Francuz jest kucharzem.

W pięć minut potem Paganel ułożył spore zrazy pieczeni na węglach upalonych z korzeni llaretty i niedługo podał swym towarzyszom wyborne jedzenie, które szumnie tytułował „polędwicą z guanaka”. Podróżni chciwie zabrali się do jedzenia. Lecz ku wielkiemu zdziwieniu geografa, wszyscy skrzywili się ogromnie przy pierwszym zaraz kęsku.

— To obrzydliwe! — mówił jeden.

— Tego jeść niepodobna! — powtarzał drugi.

Wkońcu sam Paganel przyznać musiał, że, choć zgłodniały, nie mógłby jeść tego. Zaczęto więc żartować z niego i wydrwiwać jego „potrawę bogów”. On sam nie mógł pojąć, dlaczego to mięso tak wyborne i poszukiwane, niesmaczne się stało w jego ręku. Nagle błysnęła mu myśl szczęśliwa:

— Ah! już wiem! już wiem! — zawołał.

— Może mięso jest zbyt stare? — z zimną krwią spytał Mac Nabbs.

— Nie, majorze, ale pochodzi ze zwierzęcia zbyt zmęczonego. Jakże, mogłem o tem zapomnieć?

— Co to ma znaczyć, panie Paganel — zapytał Tomasz Austin.

— To znaczy, że mięso guanaka wtedy tylko jest dobre, gdy zwierz został zabity przed zmęczeniem go zbytecznem. Z tego łatwo wnosić, że stado, które widzieliśmy przed chwilą, z bardzo daleka tu przybyło.

— Jesteśże tego pewny? — rzekł Glenarvan.

— Najpewniejszy.

— Ale jakiż wypadek, jaki fenomen mógł tak wystraszyć te zwierzęta i rozpędzić je w porze, gdy powinny spokojnie wypoczywać w swych legowiskach?

— Na to, szanowny milordzie, trudno mi jest odpowiedzieć i zamiast myśleć o tem, chodźmy raczej spać, bo doprawdy umieram ze znużenia. Idziemy spać, majorze.

— Idziemy, panie Paganel.

Każdy z podróżnych owinął się w swoje *poncho;* podsycono ogień, aby wystarczył na całą noc, i wkrótce potem nic już nie było słychać, prócz przyśpieszonego sapania i głośnego chrapania, ponad którem panował silny bas uczonego geografa.

Tylko lord Glenarvan nie mógł zasnąć; tajemny niepokój wprawiał go w bezsenność. Mimowolnie rozmyślał o tych zwierzętach, uciekających zgodnie w tymże samym kierunku, i ich przerażeniu. Nie mogły ich ścigać inne zwierzęta, ani też myśliwi — bo ani jednych ani drugich niema na tej wysokości. Jakaż więc trwoga pędziła je ku przepaściom Antuco? Glenarvan przeczuwał jakieś bliskie niebezpieczeństwo.

Tymczasem pod wpływem senności myśl jego uspokoiła się nieco i po drodze zawitał do duszy promyk nadziei; począł marzyć, jak następnego dnia dostanie się na płaszczyzny Andów i tam rozpocznie swe poszukiwania, które wkrótce może pomyślny uwieńczy skutek. Przyszedł mu na myśl kapitan Grant i dwaj majtkowie, których pragnął wyswobodzić z ciężkiej niewoli. Obrazy te szybko przesuwały się w jego umyśle, a marzenia przerywał tylko silniejszy czasami błysk ognia, mocniejszem nieco światłem oblewający twarze jego śpiących towarzyszy. Nagle smutne myśli powróciły: zdawało mu się, że słyszy jakiś szmer, dochodzący z zewnątrz; głosy, które trudno było sobie wytłumaczyć na tych osamotnionych gór wierzchołkach. Zdawało mu się, że dochodzi do niego odległy huk jakby gromów, nie z nieba pochodzących. Huk ten musiał pochodzić z burzy szalejącej na jednym z boków góry, o kilka tysięcy stóp niżej od jej wierzchołka. Glenarvan chciał się o tem przekonać i wyszedł.

Księżyc wschodził właśnie. Atmosfera była czysta i spokojna. Tu i owdzie odbijały się ruchome światełka płomieni z Antuco. Nigdzie burzy, nigdzie błyskawicy. Ponad niemi błyszczało tysiące gwiazd. Huk jednakże trwał ciągle i zdawał się zbliżać, biegnąc przez łańcuch Andów. Glenarvan wrócił do chaty jeszcze niespokojniejszy, myśląc wciąż nad tem, jaki związek zachodził pomiędzy hukiem podziemnym a ucieczką guanaków? Spojrzał na zegarek — była druga godzina rano.

Nie przypuszczając bezpośredniego niebezpieczeństwa, nie budził swych towarzyszy, śpiących głęboko po utrudzeniu, i sam też zasnął na kilka godzin.

Nagle rozbudził go łoskot gwałtowny, ogłuszający, podobny do odgłosu licznych dział, ciągnionych po bruku pustej ulicy. I w tejże chwili uczuł, że ziemia się pod nim usuwa, a chata trzęsie się i zaczyna rozpadać.

— Wstawajcie! — krzyknął przerażony.

Towarzysze jego, nagle rozbudzeni, pozataczali się w bezładzie i osunęli po spadzistej pochyłości. Słońce wschodzące oświeciło scenę przerażającą. Kształty gór zmieniały się w mgnieniu oka, jakby się przepaść pod niemi roztwierała. Wskutek zjawiska, właściwego Kordyljerom, [1]) przestrzeń, kilka mil obejmująca, zsuwała się ze swej posady ku płaszczyźnie.

— Trzęsienie ziemi! — krzyknął Paganel.

I nie mylił się. Był to jeden z owych strasznych kataklizmów, tak częstych w Chili i właśnie w tej okolicy, gdzie Copiapo po dwakroć było zniszczone, a Santjago zburzone cztery razy w ciągu czternastu lat. Tę część globu pożerają z wewnątrz ognie podziemne, a świeżo w górach powstałe wulkany niedostateczne jeszcze są do odprowadzenia masy gazów z wnętrza ziemi. Stąd też pochodzą te nieustanne wstrząśnienia, znane w tym kraju pod nazwą „tremblores”.

Tymczasem płaszczyzna z przestraszonymi i osłupiałymi siedmiu podróżnikami, czepiającymi się kępek mchu, sunęła nadół z szybkością pociągu pośpiesznego, to jest robiąc po pięćdziesiąt mil na godzinę. Żadnego nie było dla nieszczęśliwych sposobu zatrzymania się gdziekolwiek; niepodobna się było nawet porozumieć wśród huku podziemnych gromów, oraz spadających mas granitu i bazaltu — tumanu w proch zamienionego.

Cała przestrzeń to pędziła bez wstrząśnienia, to znów bujała się, jak okręt burzą rzucany, leciała obok otchłani, w które się staczały gór urwiska, wyrywała drzewa odwieczne, gładziła, jak kosa, wystające wyżyny stoku wschodniego. Trzeba sobie wyobrazić tę masę, ważącą kilka miljardów ton [2]), spadającą z coraz większą szybkością, pod kątem pięćdziesiąt stopni.

Nikt nie mógł oznaczyć, jak długo trwał ten pęd, niepodobny do opisania, nikt nie śmiał przewidywać, do jakiej przepaści dąży — i nikt też nie wiedział, czy żyją jego towarzysze, czy który nie stoczył się już w otchłań. Szybkość pędu tamowała oddech w piersi, zimno przejmowało członki, zamieć śniegowa zasypywała oczy; drżący, strwożeni, nawpół martwi, trzymali się skał, pochwyconych w przystępie instynktu zachowawczego.

Nagle uderzenie niewypowiedziane gwałtownie wytrąciło ich z położenia; rzuceni zostali naprzód i postaczali się aż na samo podnóże góry. Grunt, niosący ich, zatrzymał się nagle w swym pędzie.

Przez kilka minut żaden się nie poruszył — wreszcie pierwszy powstał major, ogłuszony gwałtownością upadku, ale nie rozbity;

---

[1]) Podobne zjawisko zauważono na Mont-Blanc w 1820 r.; w wypadku tym trzech przewodników z Chamounix utraciło życie.

[2]) Tona równa się 25 centnarom.

odegnał od siebie tuman, zasłaniający mu oczy, i obejrzał się naokoło. Towarzysze jego leżeli w niewielkiem kółku, jak czerepy rozpryśniętej kuli.

Major policzył ich; leżeli wszyscy, prócz Roberta Granta.

XIV.

STRZAŁ OPATRZNOŚCIOWY.

Wschodni stok Kordyljerów składa się z długich pochyłości, które w łagodnym spadku dochodzą aż do samej doliny. Tam to właśnie zatrzymała się nagle ogromna masa, od góry oderwana. Okolica to zupełnie nowa, z rozległemi pastwiskami i drzewami pysznemi, a szczególniej zasadzonemi tu jeszcze przez zdobywców tej krainy wspaniałemi jabłoniami, świecącemi złotym owocem.

Ziemia odzyskała dawny spokój; trzęsienie zupełnie ustało; siły podziemne dalej zapewne posunęły swą niszczącą działalność, bo łańcuch Andów zawsze w jakiemś miejscu jest nawiedzany wstrząśnieniami. Tym razem poruszenie było nadzwyczajnie gwałtowne. Kształt całej góry zmienił się do niepoznania; przewodnicy w pampach napróżnoby zapewne szukali oznaczonych przez siebie miejsc zwykłego wypoczynku.

Ranek zapowiadał bardzo piękną pogodę; promienie słońca, powstającego z wilgotnego łoża oceanu Atlantyckiego, rozsyłały ciepło na płaszczyzny argentyńskie i kąpały się już w falach drugiego Oceanu. Była ósma godzina rano.

Lord Glenarvan i jego towarzysze, ocuceni staraniami majora, zwolna powrócili do przytomności; pokazało się, że prócz chwilowego choć silnego odurzenia, żadnej na zdrowiu nie ponieśli szkody. Radość z łatwego i niekosztownego przejścia Kordyljerów byłaby wielka zapewne, gdyby nie brakowało jednego z towarzyszy i to najsłabszego, bo dziecka prawie — Roberta.

Wszyscy kochali odważnego chłopca, nawet zimny major, a najwięcej lord Glenarvan. Ten, gdy się dowiedział o zniknięciu Roberta, był w rozpaczy. Wyobrażał sobie to biedne dziecię, leżące gdzieś na dnie przepaści i wzywające napróżno pomocy tego, którego nazywał swym drugim ojcem.

— Moi przyjaciele! — mówił lord, zaledwie od łez się powstrzymując — trzeba go szukać, musimy go znaleźć koniecznie! Nie możemy go tak opuścić. Trzeba przeszukać wszystkie doliny, wszystkie przepaści, wszystkie rozpadliny. Przywiążecie mnie do sznura i spuścicie wszędzie, gdzie tylko jest jaki otwór. Żądam tego, doma-

gam się, proszę o to. Daj Boże tylko, aby Robert żył, a ja go pewno wynajdę i ocalę. Bez niego jakżebyśmy śmieli szukać jego ojca? Ocalić kapitana Granta za cenę życia jego dziecka!

Towarzysze Glenarvana słuchali w milczeniu i spuszczali wzrok ku ziemi, czując, że mówiący szuka w ich oczach promyka nadziei.

— I cóż — pytał znowu lord Edward — słyszeliście, czego żądam? — Milczycie! Więc żadnej już nie macie nadziei, żadnej?

Po chwili milczenia Mac-Nabbs pierwszy się odezwał:

— Kto z was moi przyjaciele pamięta, w jakiej chwili znikł Robert?

Nikt nie potrafił odpowiedzieć.

— Przynajmniej — rzekł znowu major — powiedzcie mi, przy którym z was znajdował się chłopczyna w chwili spadania odłamu góry.

— Przy mnie — odpowiedział Wilson.

— Jakże długo, do jakiej chwili widziałeś go przy sobie? Przypomnij sobie dobrze.

— O ile pamiętam — mówił Wilson — to Robert był przy mnie jeszcze o dwie minuty przed silnem wstrząśnieniem, które nas rzuciło na ziemię; trzymał się mocno obiema rękami dużej kępy mchu.

— Dwie minuty powiadasz! — Zastanów się, Wilsonie, czy tak było? Czy się nie mylisz? Może ci się minuty zbyt długiemi wydały?...

— Z pewnością się nie mylę, tak... najwięcej dwie minuty.

— A z której go miałeś strony, z prawej, czy z lewej?

— Z lewej; przypominam sobie, że poncho jego zasłaniało mi twarz z tej strony.

— A ty sam w jakiem do nas byłeś położeniu?

— Także na lewo.

— Robert więc musiał zginąć w tej stronie — rzekł major, wskazując prawą stronę góry. Licząc czas, ubiegły od jego zniknięcia, musiał pozostać na górze mniej więcej w oddaleniu dwu mil od jej podstawy. Tam go szukać należy: rozdzielmy się i rozprószmy w okolicy przeze mnie wskazanej, a znajdziemy go z pewnością.

Stało się tak bez słowa protestu. Cała szóstka, wspiąwszy się na zbocza góry, rozciągnęła się w łańcuch na różnych jej wysokościach i rozpoczęła poszukiwania. Dążąc wciąż na prawo od linji, wzdłuż której zsunęło ich trzęsienie ziemi, badali najdrobniejsze szczeliny, opuszczali się w przepaści, zawalone częściowo odłamami skalnemi, i niejeden wracał stamtąd z odzieżą poszarpaną, rękoma i nogami okrwawionemi, narażając swe życie. Cała ta część Andów, oprócz kilku wyżyn niedostępnych, zbadana była skrupulatnie przez dzielnych poszukiwaczów, nie myślących wcale o odpoczynku, w ciągu długich godzin. Próżne jednak były ich wysiłki. Biedny chłopiec znalazł nietylko śmierć w górach, ale i grobowiec, którego wie-

ko, zapewne pod postacią olbrzymiego odłamu skały, zamknęło się nad nim na zawsze.

Około pierwszej Glenarvan i jego towarzysze, znękani i zrozpaczeni, znajdowali się w głębi doliny. Przejęty bólem, lord Edward prawie się nie odzywał. Od czasu do czasu tylko wyrywały mu się z ust, razem z westchnieniem słowa:

— Nie pójdę! nie, nie pójdę dalej!

A każdy z jego towarzyszów pojmował i cenił tę boleść szlachetną.

— Zatrzymajmy się tutaj — rzekł Paganel do majora i Tomasza Austina — wypocznijmy i nabierzmy sił, których w każdym razie potrzebujemy, czy do dalszych poszukiwań, czy też do podróży.

— Tak — odpowiedział Mac Nabbs — zostańmy, choćby dla tego tylko, że Edward tego pragnie. On ma jeszcze nadzieję! — ale czego się spodziewa?...

— Bóg to wiedzieć raczy — rzekł Tomasz Austin.

— Biedny Robert! — powtarzał Paganel, ocierając łzy z oczu.

W dolinie znajdowało się wiele drzew świętojańskich (Ceratonia siliqua), pod których cieniem major wybrał miejsce na chwilowe obozowisko. Całe mienie podróżnych stanowiło kilka kołder, broń, trochę mięsa wędzonego i ryżu. Nieopodal płynąca rzeczka dostarczyła wody, mętnej jeszcze wskutek niedawnej lawiny. Mulrady rozpalił ogień na trawie i w chwilę potem podał swemu panu napój ciepły i wzmacniający. Glenarvan pić nie chciał; leżał na ziemi w głębokiej zadumie.

Tak minął dzień cały. Nadeszła noc, równie jak poprzednia, cicha i spokojna. Podczas gdy towarzysze jego wypoczywali, Glenarvan wyszedł i wdarł się na zbocze Kordyljerów. Przysłuchiwał się, nadstawiał ucha, wciąż mając nadzieję, że ostatni krzyk wołającego o pomoc chłopca dojdzie do niego. Nie myśląc o tem, zaszedł daleko, wysoko, sam jeden... często przykładał ucho do ziemi, wstrzymywał oddech w piersi, bicie serca przytłumiał i wołał Roberta głosem rozpaczliwym.

Przez całą noc biedny lord błądził po górach. Paganel lub major zkolei śledzili go i byli gotowi nieść mu pomoc w razie potrzeby. Wszystkie jednak usiłowania daremne się okazały, a na powtarzane po tysiąckroć wołanie: „Robert! Robert!” same tylko echa odpowiadały, powtarzając to imię.

Poczęło się rozwidniać; potrzeba było gwałtem prawie sprowadzić Glenarvana. Rozpacz jego była okropna. Któżby mu śmiał teraz mówić o dalszej podróży, o opuszczeniu tej nieszczęsnej doliny! A tymczasem żywności już brakowało. Niedaleko stamtąd można już było napotkać przewodników argentyńskich, o których mówił starszy mulnik, i dostać koni potrzebnych do przebycia pampy. Wracać było trudniej, aniżeli iść naprzód; prócz tego *Duncan* czekał na oceanie



...bałwan potworny, wysokości jakich stóp czterdziestu, z niesłychanym szumem zwalił się na uciekających (str. 137).

Atlantyckim. Wszystkie te ważne okoliczności nie pozwalały na dłuższą zwłokę; interes ogółu wymagał natychmiastowego puszczenia się w dalszą drogę.

Mac Nabbs próbował wyrwać Glenarvana z rozpaczy, jakiej się oddawał nad miarę. Długo i napróżno przemawiał do swego przyjaciela, który zdawał się nie słyszeć, co do niego mówią. Potrząsał tylko głową w milczeniu. Dopiero wezwanie do drogi rozwiązało mu mowę.

— Iść dalej? — rzekł.

— Tak, iść dalej.

— Jeszcze godzinę! — prosił.

— Dobrze, jeszcze godzinę — zgodził się zacny major.

Gdy godzina ta upłynęła, Glenarvan prosił, jak o łaskę, o nową godzinę zwłoki. Powiedziałby kto, że skazany na śmierć prosi o przedłużenie mu jeszcze życia. W ten sposób doczekano się prawie południa. Wówczas Mac Nabbs, nalegany przez wszystkich, nie wahał się już dłużej i wręcz oświadczył lordowi, że czas ruszyć w drogę, gdyż od tego zależy życie jego towarzyszów.

— Tak, tak — odparł lord Edward bez myśli prawie — idźmy, idźmy!

Mówiąc to, odwrócił wzrok od majora i utkwił go w jeden punkt uporczywie; nagle podniósł rękę i zatrzymał ją w powietrzu nieporuszoną, jakby skamieniałą.

— Tam, tam! — szeptał przytłumionym głosem — widzicie!...

Oczy wszystkich podniosły się ku niebu w kierunku, wskazanym przez lorda. W tej chwili punkcik czarny począł się zwiększać widocznie; był to ptak bujający w niezmiernej wysokości.

— Kondor, sęp! — zawołał Paganel.

— Tak, kondor — powtarzał Glenarvan. — Kto wie?... nadciąga!.. spuszcza się!... poczekajmy.

Czego się spodziewał lord Edward?... Widocznie rozum mu się pomieszał. Paganel nie omylił się; był to kondor, który stawał się coraz widoczniejszy. Wspaniały ten ptak, niegdyś czczony przez Inków, jest królem Andów południowych. W tych okolicach dochodzi on do niezwykłych rozmiarów; siłę ma nadzwyczajną, tak, że niekiedy woły zrzuca w przepaść. Napada na barany, kozy, młode cielęta, chodzące po płaszczyźnie, porywa je w szpony i unosi do znacznej wysokości. Zdarza się nieraz, że buja o dwadzieścia tysięcy stóp ponad ziemią, to jest tam, gdzie żaden człowiek sięgnąć nie może; stamtąd dopiero, niedościgły okiem, ten król stref powietrznych rzuca przenikliwy wzrok na ziemię i dostrzega najdrobniejsze nawet przedmioty z bystrością, wprowadzającą w podziw przyrodników.

— Cóż dojrzał ten kondor? Trupa zapewne! Trupa poszukiwanego Roberta. Kto wie? — powtarzał wciąż Glenarvan, nie spuszczając go z oka ani na chwilę.

Ogromny ptak zbliżał się, już to bujając w powietrzu, już też szybkiemi zwroty spuszczając się z szybkością ciała martwego, rzuconego w przestrzeń. Niedługo potem, nie wyżej niż o sto sążni nad ziemią, zaczął zakreślać wielkie koła. Widzieć go można było doskonale. Rozpiętość skrzydeł wynosiła przeszło piętnaście stóp. Zawisł w powietrzu, nie bijąc prawie skrzydłami, gdyż właściwością wielkich ptaków jest lot spokojny, majestatyczny, gdy tymczasem drobne

owady muszą tysiąc razy na sekundę poruszać skrzydłami dla utrzymania się w locie.

Major i Wilson porwali za karabiny. Glenarvan powstrzymał ich gestem. Kondor bujał w odległości ćwierci mili ponad nieprzystępną płaszczyzną, leżącą na spadzistości góry; kołował długo, z nadzwyczajną szybkością, otwierając i zamykając szpony, i potrząsając swym czubem chrząstkowym.

— To tam, tam z pewnością! — wołał Glenarvan. Potem nagle, jakby mu myśl szczęśliwa przyszła do głowy, zawołał. — Może Robert jeszcze żyje! Ten ptak zabije go! Ognia moi drodzy! strzelajcie do niego co żywo!

Lecz już było za późno! Kondor się skrył za wysokie występy skał. Upłynęła sekunda, wydająca się wiekiem dla niecierpliwych. Ptak ukazał się na nowo, ale już obładowany, i unosił się wgórę cięższym znacznie lotem.

Rozległ się okrzyk przerażenia. Kondor trzymał za suknię w szponach obwisłe ciało Roberta i kołysał się z niem w powietrzu o sto pięćdziesiąt stóp ponad głowami podróżnych, których spostrzegłszy, z większą siłą począł skrzydłami rozbijać warstwy powietrzne.

— Ach! — zawołał Glenarvan — niechaj trup Roberta rozstrzaska się raczej o te skały, aniżeli ma służyć...

Nie dokończywszy zaczętych słów, porwał strzelbę z ręki Wilsona i zmierzył do sępa; lecz ręka mu drżała, nie mógł celować, jak potrzeba, w oczach mu się dwoiło.

— Pozwól — rzekł major... — i z chłodną krwią, ręką pewną zmierzył do ptaka, znajdującego się już o trzysta stóp w górze.

Lecz nie zdążył jeszcze pociągnąć za cyngiel, gdy z głębi doliny rozległ się huk strzału: gęsty słup dymu podniósł się na chwilę pomiędzy dwiema skałami bazaltowemi, a kondor, ugodzony w samą głowę, począł spadać zwolna, utrzymywany mimowolnie na swych wielkich skrzydłach, jak na spadochronie. Nie puszczając swej zdobyczy ze szponów, opadł pomału na ziemię o dziesięć kroków od brzegu strumienia.

— Za mną, za mną! — wołał Glenarvan i, nie pytając, skąd padł ów strzał opatrznościowy, pośpieszył do ptaka; towarzysze zaś jego dążyli za nim, co sił starczyło.

Gdy przybyli na miejsce, ptak bez życia leżał rozciągnięty, przykrywając swemi skrzydłami ciało biednego Roberta. Glenarvan rzucił się na ciało chłopca, wyrwał je ze szponów ptaka, rozciągnął na trawie i przyłożył ucho do piersi, szukając tam śladu życia.

Nigdy chyba jeszcze usta ludzkie nie wydały tak okropnego okrzyku radości, jak ten, który zabrzmiał w powietrzu, gdy lord Glenarvan, powstając, zawołał:

— On żyje, on jeszcze żyje!

W mgnieniu oka rozebrano Roberta i obmyto mu twarz zimną wodą. Poruszył się, otworzył oczy, powiódł wzrokiem po obecnych i słabym, zaledwie dosłyszalnym głosem wyszeptał!...

— Ah! to ty milordzie... mój ojcze!...

Glenarvan nie mógł odpowiedzieć; wzruszenie głos mu w piersi zatamowało — ukląkł i w milczeniu łzami oblewał to dziecię tak cudownie ocalone.

XIV.

HISZPAŃSZCZYZNA JAKÓBA PAGANELA.

Zaledwie jedno niezmierne niebezpieczeństwo minęło Roberta, a już groziło mu drugie, mianowicie śmierci od uścisków, każdy bowiem z tych dzielnych ludzi uważał sobie za obowiązek uścisnąć chłopca, nie zważając, że jest mocno jeszcze osłabiony. Widocznie jednak takie uściski nie są szkodliwe, skoro Robert od nich nie umarł. Przeciwnie.

Teraz dopiero pomyślano o tym, który ocalił chłopca — i, oczywiście, nie kto inny, tylko major pierwszy jął się oglądać dokoła. W odległości pięćdziesięciu kroków od rzeki, człowiek bardzo wyniosłej postawy, jak posąg nieruchomy, stał u wejścia na górę. U nóg jego leżała długa strzelba. Człowiek ten, który się tak nagle ukazał, miał szerokie barki i długie włosy, związane sznurkiem skórzanym. Mierzył przeszło sześć stóp wysokości; twarz jego bronzowa czerwoną była pomiędzy oczami i ustami, czarną przy spodniej powiece, a białą na czole. Ubrany w strój, jaki noszą Patagończycy pograniczni, krajowiec ten miał prócz tego pyszny płaszcz, ozdobiony różowemi arabeskami, wyrobiony ze spodów, szyjek i z nóg guanaki, zeszytych ścięgnami. Pod tym płaszczem, wełną nazewnątrz obróconym, widniała bluza ze skóry lisiej, ściągnięta w pasie. U pasa wisiał woreczek z farbami, służącemi do malowania twarzy; trzewiki, zrobione ze skóry wołowej, przywiązane były do nóg regularnie krzyżującemi się rzemykami.

Na poważnej i pięknej twarzy tego Patagończyka malowała się inteligencja, pomimo szpecącego ją malowidła. Widząc go tak stojącego w postawie nieruchomej, można go było wziąć za posąg, uosabiający zimną krew.

Spostrzegłszy go, major wskazał Glenarvanowi, który zaraz pobiegł ku niemu. Patagończyk zrobił dwa kroki naprzód. Lord Edward pochwycił jego dłoń i szczerze uścisnął w swojej. W spojrzeniu lorda, w ożywieniu twarzy, w całej jego postaci taki się malował wyraz wdzięczności, że krajowiec nie mógł się mylić pod tym względem.

Skłonił on lekko głowę i wyrzekł kilka wyrazów, których ani major, ani jego przyjaciel zrozumieć nie mogli.

Wtedy Patagończyk, popatrzywszy z uwagą na cudzoziemców, inną odezwał się mową — lecz i tej podróżni nie rozumieli. Jednakże Glenarvana uderzyły niektóre wyrażenia, jakich używał nieznajomy. Wyrazy te zdawały się hiszpańskiemi, o ile lord znał kilka bardziej używanych słów tego języka.

— *Espanol?* — zapytał.

Patagończyk dał głową znak potwierdzający.

— Brawo! — zawołał major. — Nasz przyjaciel Paganel rozmówić się z nim potrafi — jak to dobrze się stało, że mu przyszła ochota uczyć się po hiszpańsku!

Wezwano Paganela. Przybiegł natychmiast i z francuską prawdziwie uprzejmością powitał Patagończyka, jakkolwiek ten nie zdawał się bynajmniej poznawać na tej grzeczności. W kilku wyrazach objaśniono uczonego geografa, o co rzecz idzie.

— Wybornie! — odpowiedział — i dla wyraźniejszego wymawiania otwierając szeroko usta, rzekł:

— *Vos sois um homem de bem.* (Jesteś dzielnym człowiekiem).— Krajowiec wytężył słuch i uwagę, lecz nic nie odpowiedział.

— Nie rozumie widać — rzekł geograf.

— Może nie dobrze wymawiasz? — powiedział major.

— Być może! Do licha z tym przeklętym akcentem!

I na nowo Paganel powtórzył swój komplement, z tym samym znów skutkiem.

— Spróbuję powiedzieć co innego — rzekł i zaczął wolno, poważnie następujące wymawiać wyrazy:

— *Sem duvida, um Patagâo?* (Zapewne jesteś Patagończykiem?)

Krajowiec milczał jak przedtem.

— *Dizeime!* (Odpowiedz!) — odezwał się znowu Paganel.

Patagończyk milczał, jak skała.

— *Vos compriendeis?* — (Czy rozumiesz) — wrzeszczał Paganel, co mu sil starczyło.

Widocznie Indjanin nie rozumiał, bo odpowiedział, ale po hiszpańsku:

— *No comprendo.* (Nie rozumiem).

Teraz znowu Paganel był zaskoczony; szybkim ruchem zsunął okulary z czoła na oczy i, kręcąc się z niepokojem, powtarzał:

— Niech mnie licho porwie, jeśli rozumiem ten bełkot piekielny; to zapewne — po araukańsku.

— Mylisz się — rzekł lord Glenarvan — ten człowiek z pewnością odpowiadał ci po hiszpańsku. — I zwracając się do Patagończyka, powtórzył raz jeszcze pytanie: — *Espanol?*

— *Si, si!* (Tak, tak!) — odpowiedział krajowiec.

Paganel osłupiał, a major i Glenarvan spojrzeli na siebie znacząco.

— Wiesz co, mój uczony przyjacielu — rzekł major z żartobliwym na ustach uśmiechem — zdaje mi się, że przez właściwe sobie roztargnienie popełniłeś w tym razie grubą pomyłkę.

— Jakto? — pytał geograf, baczniej się przysłuchując.

— No tak, widocznie ten Patagończyk mówi po hiszpańsku.

— On!

— Tak, tak, on! Czy czasem nie wyuczyłeś się innego języka, sądząc, że pracujesz nad...

Paganel nie pozwolił dokończyć majorowi; wzruszył ramionami i krótko, tonem suchym rzekł: — Och! majorze, posuwasz się trochę za daleko!

— Ależ — gdy nie rozumiesz, co ten mówi...

— Nie rozumiem, bo ten dziki człowiek mówi źle! — odparł żywo geograf, poczynając się już niecierpliwić.

— To jest mówi źle dlatego, że ty go nie rozumiesz — z najzimniejszą krwią rzekł znowu Mac-Nabbs.

— Majorze — wtrącił lord Glenarvan — ależ to przypuszczenie trudne do wiary. Jakkolwiek roztargniony jest nasz przyjaciel Paganel, to jednak trudno mniemać, aby się uczył jednego języka zamiast drugiego.

— A więc kochany Edwardzie, albo ty raczej, zacny Paganelu, wytłumacz mi, co to wszystko znaczy?

— Ja nic nie tłumaczę — odrzekł Paganel — ale twierdzę na pewnej zasadzie. Oto jest książka, na której codzień męczę się, pokonywując trudności języka hiszpańskiego: zobacz sam, majorze, a przekonasz się, kto ma słuszność...

To powiedziawszy, Paganel zaczął szukać po kieszeniach, wydobył książkę mocno podartą i z wielką pewnością podał ją lordowi. Major, rzuciwszy okiem, zapytał:

— Co to jest za dzieło?

— Jest to *Luzjada* — odpowiedział Paganel — pyszna epopea, która...

— *Luzjada!* — zawołał Glenarvan.

— Tak, tak, mój przyjacielu, ni mniej, ni więcej tylko *Luzjada* — wielki utwór nieśmiertelnego Kamoensa!

— Kamoens był Portugalczykiem — odrzekł lord Glenarvan — otóż teraz rzecz cała się wyjaśnia: od sześciu tygodni, kochany przyjacielu, uczysz się języka portugalskiego.

— Jakto? Kamoens Portugalczyk? a Luzjada...

Paganel nie mógł nic więcej powiedzieć. W oczach mu pociemniało, a w uszach tętniał mu głośny, homeryczny śmiech wszystkich towarzyszy. Patagończyk tymczasem stał wciąż nieporuszony, czekając na wyjaśnienie całkiem niezrozumiałego dlań zajścia.

— Ach! jakiż ze mnie szaleniec! głupiec! — wołał Paganel. — Czy to być może! I ja mogłem zrobić coś podobnego! To jakieś nowe pomieszanie języków, jak przy wieży Babel! Ach, moi przyjaciele! Patrzcie, jakich ja grubych dopuszczam się roztargnień: wybrałem się do Indyj, a płynę do Chili; uczyłem się hiszpańskiego, a mówię po portugalsku! Głowę tracę doprawdy! Obawiam się, abym kiedykolwiek, zamiast wyrzucić cygaro, sam przez okno nie wyskoczył!

Trudno się było powstrzymać od śmiechu, widząc komiczno-serjo postawę biednego Paganela i zabawne, wciąż przez niego popełniane omyłki, tem bardziej, że i on sam śmiał się serdecznie, choć nie bez pewnego przymusu.

— Dobrze to wszystko, moi panowie — przerwał wreszcie major — śmiejemy się i żartujemy, ale tymczasem nie mamy tłumacza, przy którego pomocy moglibyśmy porozumieć się z tym oto dobrym człowiekiem.

— O, bądźcie spokojni! hiszpański język tak jest do portugalskiego podobny, że ja sam się na nim nie poznałem; ale też sądzę, że teraz potrafię skorzystać z tego podobieństwa i podziękować zacnemu Patagończykowi w tym języku, którym on włada tak doskonale.

Paganel miał słuszność, bo wkrótce zdołał zamienić kilka wyrazów z krajowcem; dowiedział się od niego, że się nazywa Thalcave, co w języku araukańskim znaczy „Grzmiący"; przydomek ten otrzymał zapewne z powodu zręczności, z jaką używał broni palnej.

Najbardziej jednakże Glenarvan był zadowolony, gdy się dowiedział, że Patagończyk jest przewodnikiem z rzemiosła i do tego przewodnikiem w pampie. W całem tem spotkaniu było coś tak opatrznościowego, że powodzenie wyprawy coraz więcej nabierało szans prawdopodobieństwa i nikt już nie wątpił o możności ocalenia kapitana Granta.

Podróżni wraz z Patagończykiem powrócili do Roberta. Chłopiec wyciągał ręce do nieznajomego, który, nie mówiąc ani słowa, położył rękę na jego głowie; następnie obejrzał chopczynę, obmacał wszystkie jego członki potłuczone i, uśmiechając się, odszedł na brzeg rzeki; tam uzbierał sporą garść selerów, dziko rosnących, i natarł niemi ciało chorego. Pod wpływem tego masażu Robert uczuł siły i życie powracające, i widoczną było rzeczą, że po kilku godzinach wypoczynku odzyska zdrowie zupełnie.

Postanowiono spędzić w tem miejscu dzień i noc następną; dwie jednak ważne rzeczy mocno niepokoiły podróżnych: skąd wziąć żywności i mułów do odbywania dalszej drogi? Na szczęście, niebo zesłało im Thalcave'a w samą porę. Przewodnik ten, przywykły do przeprowadzania podróżnych wzdłuż stepów patagońskich, przytem jeden z najzręczniejszych w swem rzemiośle, podjął się dostarczyć Glenarvanowi wszystkiego, co potrzeba; przyrzekł on doprowadzić go do koczowiska indyjskiego (tolderia), odległego tylko o cztery

mile, gdzie wszystkiego dostać było można. Propozycję tę zakomunikował napoły migami, napoły po hiszpańsku, o ile Paganel wyrazy tego języka zrozumieć zdołał. I zaraz też Glenarvan ze swym uczonym przyjacielem, pożegnawszy na krótko resztę towarzyszów, poszli wgórę strumienia pod przewodnictwem Patagończyka.

Przez półtorej godziny maszerowali tak wielkiemi krokami, aby nadążyć za obrzymem. Okolica była prześliczna i nadzwyczaj urodzajna. Żyzne pastwiska ciągnęły się jedne za drugiemi i wystarczyłyby z pewnością na wyżywienie stutysięcznego stada. Dostatek wody z licznych stawów, powiązanych strumieniem, zapewniał potrzebną łąkom wilgoć. Czarnogłowe łabędzie pływały swobodnie po rozległych przestrzeniach wód, a strusie poważnie kroczyły po płaszczyznach, bujną zarosłych trawą. Mnóstwo ptaków o piórach różnobarwnych widać było wszędzie. Zręczne turkawki, szare z białemi piórkami, jak żywe kwiatki, skakały po drzewach, gołębie podróżne latały we wszystkich kierunkach — a tłumy drobnego ptastwa ożywionemi krzykami i szczebiotami napełniały powietrze.

Jakób Paganel prawdziwie był zachwycony; wciąż wydawał okrzyki podziwu, których Patagończyk w żaden sposób nie mógł pojąć, znajdując to bardzo naturalnem, że ptaki latają w powietrzu, łabędzie pływają po wodzie, a łąki trawą porastają. Uczony geograf nie żalił się bynajmniej na tę przechadzkę, ale rad był, im dłużej się przeciągała; lecz niezadługo z wielkim jego żalem ukazało się koczowisko Indjan.

Na dość obszernej, kwadratowej prawie płaszczyźnie, pod namiotami z gałęzi uplecionemi przebywało ze trzydzieści koczujących rodzin, które trudniły się pasaniem dużych stad baranów, krów mlecznych, wołów i koni; przechodziły one tak z jednego pastwiska na drugie, znajdując wszędzie stół gotowy dla swych czworonożnych współbiesiadników.

Typ prawdziwych mieszańców pokolenia Araukanów, Pohneuchesów i Aukasów — ci Ando-Peruwjanie byli cery oliwkowej, średniego wzrostu, silnej budowy ciała, z czołem niskiem, twarzą prawie okrągłą, niewielkiemi wargami, wystającą kością policzkową, rysami prawie niewieściemi i fizjognomją zimną i bezbarwną. Słowem, byli to krajowcy, niewiele dla nauki interesu przedstawiający. Glenarvanowi też wcale nie o nich, lecz o ich stada i trzody chodziło; koni pragnął i wołów, a o resztę nie dbał wcale.

Thalcave podjął się pośrednictwa i rozpoczął targ, który naturalnie nie trwał długo. Za siedm koników rasy argentyńskiej, sto funtów mięsa suszonego, kilka miar ryżu i flaszek skórzanych na wodę Indjanie, w braku wódki lub rumu (któreby woleli naturalnie), dostali dwadzieścia uncyj złota (1630 franków), na wartości którego znali się doskonale. Glenarvan chciał kupić ósmego jeszcze konia dla Patagończyka, lecz ten znakami dał poznać, że to było niepotrzebne.

Po dopełnionem kupnie Glenarvan pożegnał swoich „dostawców" — jak się wyrażał Paganel, i w niespełna pół godziny był zpowrotem w obozowisku swych towarzyszy. Ci powitali go z najwyższą radością, tem bardziej, że przyprowadzał tak szacowne i pożądane dla podróżnych nabytki. Wszyscy jedli z wielkim apetytem, wygłodzeni z powodu zupełnego braku zapasów śpiżarnianych. Robert także się posilił, powróciwszy już zupełnie prawie do sił dawniejszych.

Resztę dnia poświęcono na wypoczynek i na rozmowę o drogich osobach, pozostałych na pokładzie *Duncana:* o kapitanie Johnie Manglesie, o jego dzielnej załodze, wreszcie o kapitanie Harrym Grant, który niedaleko może się znajdował.

Paganel ani na chwilę nie odstępował Indjanina: nie posiadał się z radości, patrząc na prawdziwego Patagończyka, przy którym wyglądał jak karzełek. Zarzucał on poważnego i łagodnego przewodnika tysiącem pytań, a wszystko po hiszpańsku — i tym razem, choć bez książki, uczył się naprawdę, naginając do dobrego wymawiania często nieposłuszny język, szczęki lub gardło.

— Jeśli nie będę miał dobrego akcentu — mówił do majora — to już doprawdy nie moja w tem wina; bo któż mógł przewidzieć, że od Patagończyka będę się uczył po hiszpańsku!

XVI.

RIO COLORADO.

Nazajutrz, to jest 22-go października, o ósmej godzinie z rana, Thalcave dał znak do odjazdu. Ziemia argentyńska pomiędzy dwudziestym drugim i czterdziestym drugim stopniem pochyla się od zachodu na wschód; podróżni więc po lekkiej pochyłości spuszczali się ku morzu.

Ponieważ Patagończyk nie chciał przyjąć konia ofiarowanego mu przez lorda Glenarvan, więc zdawało się, że woli iść pieszo, jak wielu innych przewodników, tem bardziej, że długie jego nogi mogły mu ułatwiać taką podróż. Jednak rzecz się miała inaczej.

W chwili odjazdu Thalcave gwizdnął w sposób szczególniejszy. Na ten znak z pobliskiego lasku przybiegł koń argentyński wspaniałej postawy. Piękne to zwierzę posiadało wszystkie cechy szlachetnej rasy: na wysmukłej szyi nosił lekką głowę, nozdrza szerokie, oko ogniste, nogi pod kolanami grube, łopatki wydatne, pierś szeroką, pęciny długie — słowem, wszystkie przymioty, okazujące siłę i zręczność. Major, jako prawdziwy znawca, podziwiał ten śliczny okaz rasy patagońskiej, znajdując w nim niejako podobieństwo do koni angiel-

skich, zwanych „hunter". Piękne to stworzenie nazywało się „Thauka", co w krajowym języku znaczyło „ptak" — i słusznie zasługiwało na to miano!

Gdy Thalcave był już na siodle, koń skoczył pod nim raźno, lecz Patagończyk, jako dzielny jeździec, doskonale umiał nim kierować i powstrzymywać jego zapał. Przy siodle wisiały dwa narzędzia myśliwskie, używane pospolicie na równinach argentyńskich; jedno zwie się „bolas" a drugie „lasso". „Bolas" są to trzy kule, połączone rzemieniem, na którym w pewnej odległości od siebie są umocowane. Indjanin rzuca niemi często o sto kroków na zwierzę lub nieprzyjaciela tak celnie, że, okręcając się około nóg, powala istotę ściganą. Jest to więc straszny oręż w ręku tamtejszego mieszkańca, umiejącego używać go z niezmierną zręcznością. „Lasso" znów nigdy z rąk całkowicie nie bywa wypuszczane; jest to sznur długi na jakie trzydzieści stóp, spleciony silnie z dwu rzemieni i zakończony kółkiem żelaznem, przez który się sznurek przeciąga — co tworzy pętlicę, którą w każdej chwili za pociągnięciem drugiego końca zacisnąć można. Pętlicę zarzuca się prawą ręką na przedmiot, który ma być pochwycony, a drugi koniec, przytwierdzony do siodła, podtrzymuje i zaciąga lewą ręką. Oprócz tych dwu orężów, uzbrojenia Patagończyka dopełniał długi karabin.

Thalcave stanął na czele orszaku i ruszono, posuwając się to galopem, to stępa, gdyż, jak się zdawało, do truchtu konie tamtejsze nie były przyzwyczajone. Robert dobrze się trzymał na siodle i wkrótce też rozproszył wszelkie pod tym względem obawy Glenarvana.

U samych stóp Kordyljerów rozpoczyna się płaszczyzna pampy, którą można podzielić na trzy części: pierwsza część, ciągnąc się od łańcucha Andów, na przestrzeni dwustu pięćdziesięciu pięciu mil pokryta jest karłowatemi drzewami i krzewami. Druga, mająca przestrzeni czterysta pięćdziesiąt mil, porosła bujną trawą, ciągnie się aż do punktu o sto osiemdziesiąt mil odległego od Buenos-Ayres; od tego zaś miejsca do samego morza podróżny stąpa po niezmiernych przestrzeniach lucerny i ostu — i to jest trzecia część pampy.

Wyjechawszy z wąwozów kordyljerskich, podróżni napotkali najprzód wielką ilość wydm piaszczystych, zwanych tam „medanos" — które wiatr ciągle jak fale przerzuca, o ile nie są przytwierdzone do gruntu korzeniami roślin. Piasek ten jest nadzwyczajnie miałki, dlatego też za najmniejszym powiewem wznosi się lekkiemi tumanami, albo tworzy słupy, do trąb powietrznych podobne, wznoszące się do znacznej wysokości. Widok ten jest zajmujący, ale i przykrość sprawia oczom; bo jeśli z jednej strony ciekawie się człowiek przygląda tym kolumnom, błąkającym się w przestrzeni, walczącym z sobą, walącym się jedne na drugie i powstającym znów w nieopisanym nieładzie — to z drugiej strony pył, wywiązujący się tumanami z tych wydm niezliczonych, przeciska się do oczu przez powieki najsilniej nawet zaciśnięte.

Przy wietrze północnym zjawisko to trwało przez większą część dnia; mimo to jechano dość śpiesznie, a około szóstej Kordyljery, odległe już o mil czterdzieści, widniały teraz tylko jako masa czarna, ginąca w mroku wieczornym.

Podróżni byli mocno utrudzeni, radośnie więc powitali godzinę wypoczynku. Zatrzymano się i rozłożono obozem nad brzegiem bystrej rzeki Neuquem, której wody mętne i burzliwe toczą się pomiędzy wysokiemi skałami czerwonemi. Niektórzy geografowie rzekę Neuquem nazywają Ramid, albo Comoe; wypływa ona z jezior, znanych tylko samym krajowcom.

W ciągu nocy i przez cały dzień następny nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego. Jechano prędko i dobrze; podróż ułatwiał grunt wszędzie równy i powietrze bardzo przyjemne, tylko około południa słońce zbytecznie dogrzewało. Wieczorem gęsta mgła zaćmiła horyzont południowo-zachodni, co było niezawodnym znakiem zmiany powietrza. Patagończyk nie mógł się mylić w tym względzie i palcem wskazał Paganelowi zachodnią stronę nieba.

— Dobrze dobrze — już wiem! — odpowiedział Paganel — a zwracając się do swych towarzyszy, rzekł: — Będziemy mieli zmianę powietrza. Pampero da nam się we znaki.

I objaśnił zaraz, że pampero, suchy, południowo-zachodni wiatr bardzo często panuje na równinach argentyńskich. Thalcave nie omylił się — gdyż w nocy, bardzo przykrej dla ludzi, osłoniętych jedynie ponchami, Pampero wiał z siłą nadzwyczajną. Konie położyły się na ziemi, a ludzie przy nich ścisnęli się w szczupłem kółku. Glenarvan obawiał się opóźnienia, jeśli się ten huragan zbytecznie przedłuży, lecz Paganel uspokoił go, spojrzawszy na barometr.

— Zwykle — mówił on — pampero sprowadza burzę tygodniową, którą ciśnienie powietrza na merkurjusz bardzo dokładnie wskazuje; że zaś barometr idzie wgórę, to rzecz cała skończy się w ciągu kilku godzin. — Uspokój się przeto, kochany przyjacielu, bo zapewniam cię, że z nadejściem ranka niebo zupełnie się wypogodzi.

— Mówisz, jak z książki, zacny Paganelu — rzekł Glenarvan.

— I jestem nią na twe usługi — czerp ze mnie wiadomości, ile ci się podoba.

Książka nie omyliła się tym razem. O pierwszej godzinie po północy wiatr nagle ustał, a podróżni uspokojeni mogli już swobodnie ożywczym snem pokrzepić strudzone ciało. Nazajutrz wszyscy obudzili się rzeźwi i zdrowi.

Dzień ten, dwudziesty czwarty października, był dziesiątym od wyjazdu z Talcauhano. Jeszcze miano przebyć dziewięćdziesiąt trzy mile, by się dostać do miejsca, w którem Rio Colorado przerzyna trzydziesty siódmy równoleżnik; czekała więc podróżnych droga jeszcze trzydniowa. Lord Glenarvan niecierpliwie pragnął spotkania jakich krajowców, od których radby powziąć wiadomość o kapitanie Grancie

za pośrednictwem Patagończyka; Paganel mógł się już nareszcie z nim rozmówić. Lecz, jak na nieszczęście, nigdzie żadnych mieszkańców nie spotykali, bo drogi, przez Indjan uczęszczane, a prowadzące z rzeczypospolitej argentyńskiej do Kordyljerów, leżą bardziej na północ; dlatego też nie można było napotkać ani koczujących Indjan, ani osiadłych mieszkańców, żyjących pod rządami kacyków. Jeśli przypadkiem jaki zbłąkany koczownik ukazał się zdaleka na koniu, to uciekał co prędzej, nie myśląc bynajmniej wchodzić w rozmowy z nieznajomymi sobie ludźmi. Bandyta brał ich za zbrojny oddział, szukający podobnych jemu łotrów, a spokojny podróżnik obawiał się spotkania ze złoczyńcami. Nieraz przychodziło żałować, że nie można spotkać się i pogadać z jaką bandą rozbójników, choćby przyszło rozpocząć rozmowę strzałami.

Chociaż Glenarvan, ku wielkiemu swemu żalowi, nie miał od kogo powziąć wiadomości o rozbitkach, jednakże pewna okoliczność utwierdzała go coraz bardziej w przekonaniu, że dobrze tłumaczył sobie znaczenie dokumentu, znalezionego w butelce.

Drogę, którą postępowali nasi podróżni, niejednokrotnie przerzynały różne ścieżki i drożyny, a z tych jedna, wiodącą z Carmen do Mendozy, była nawet dosyć znaczna. Na tej drodze uderzały szczególniej często napotykane kości i szkielety zwierząt domowych, jak mułów, koni, baranów, wołów — obrane z mięsa dziobami ptaków drapieżnych, pożółkłe pod działaniem palących promieni słonecznych. Wątpić nie można, że niejeden szkielet ludzki, w proch już może obrócony, zmieszał się tam z prochem kości zwierząt.

Aż dotąd Thalcave żadnych nie czynił uwag nad drogą, której się trzymano ściśle; wiedział on jednak dobrze, iż gdy ona nie łączy się z żadną z dróg w pampasie, przeto nie prowadzi ani do wiosek, ani do osad prowincyj argentyńskich. Codzień z rana kierunek drogi wskazywało słońce wschodzące, a zawsze trzymano się linji prostej. Thalcave, jako przewodnik, mógł się słusznie dziwić, że nie on prowadzi podróżnych, ale przeciwnie sam był przez nich prowadzony. Z wrodzoną jednak Indjanom zimną krwią i oględnością nie mówił o tem. Lecz tego dnia, przybywszy do wyżej wspomnianej drogi, zatrzymał swego konia, a zwracając się do Paganela, rzekł:

— Droga do Carmen!

— Wiem o tem, dzielny mój Patagończyku — odpowiedział geograf najczystszą, jaką umiał, hiszpańszczyzną — droga, wiodąca z Carmen do Mendozy.

— Czy nie zwrócimy się na nią? — zapytał Thalcave.

— Nie — odpowiedział Paganel.

— Więc gdzież jedziemy?

— Ciągle na wschód.

— To nigdzie nie dojedziemy.

— Kto wie, mój przyjacielu!

Thalcave zamilkł, ale z wielkiem zdziwieniem spoglądał na uczonego geografa, z tem większem, iż nie mógł przypuszczać, aby Paganel żartował. Indjanin, sam zawsze poważny, nie pojmuje, aby ktokolwiek mógł coś mówić lub robić bez celu.

— Więc nie jedziecie do Carmen? — zapytał znowu po chwili.

— Nie — odrzekł Paganel.

— Ani do Mendozy?

— Tem bardziej nie.

W tej chwili Glenarvan podjechał do Paganela, zapytując go, co mówił Thalcave i dlaczego się zatrzymał.

— Pytał mnie, czy nie jedziemy do Carmen lub do Mendozy, i dziwił się, gdy mu odpowiedziałem, że nie.

— Rzeczywiście, nasza droga musi mu się wydawać bardzo dziwną — zauważył Glenarvan.

— I ja tak sądzę; mówił nawet, że nigdzie nie dojedziemy.

— Czy nie mógłbyś, Paganelu, objaśnić go o celu naszej podróży i wytłumaczyć mu, dlaczego wciąż na wschód jedziemy?

— To będzie bardzo trudne — odpowiedział Paganel — bo Indjanin nie rozumie, co to są stopnie geograficzne, a historja znalezionego dokumentu wyda mu się zmyśleniem fantastycznem.

— Ale — wtrącił poważnie major — jak myślisz: czy on opowiadania, czy też opowiadającego nie zrozumie?

— Ach, majorze! — z wymówką odpowiedział Paganel — więc jeszcze powątpiewasz o mojej hiszpańszczyźnie?

— No, spróbuj, mój zacny przyjacielu.

— Spróbuję.

Paganel powrócił do Patagończyka i rozpoczął rozmowę, często przerywaną brakiem wyrazów, lub trudnością wytłumaczenia napół dzikiemu Indjaninowi niektórych szczegółów, całkiem dla jego pojęcia nieprzystępnych. Warto było widzieć uczonego Paganela, jak gestykulował, jąkał się, kręcił na wszystkie strony, a gęste krople potu potokiem z czoła spływały mu na piersi. Gdy mu już język nie chciał być posłusznym, ręka w pomoc przychodziła: zsiadł z konia i na piasku kreślił kartę geograficzną, na której krzyżowały się szerokości i długości, rysował dwa oceany, drogę wiodącą do Carmenu i t. d. Nigdy jeszcze profesor nie był w takim kłopocie. Thalcave spokojnie patrzył na te wszystkie usiłowania, a z twarzy jego nie można było wyczytać, czy rozumie objaśnienia Paganela, czy nie?

Lekcja geografa trwała przeszło pół godziny; potem zamilkł, otarł twarz i zaczął badawczo patrzeć w oczy Patagończyka.

— Czy zrozumiał cię? — spytał lord Glenarvan.

— Zaraz zobaczymy — odpowiedział Paganel — ale jeśli nie zrozumiał, to już nie podejmuję się dalej mu tłumaczyć.

Thalcave w milczeniu stał nieporuszony, ze wzrokiem wlepionym w figury narysowane na piasku, które wiatr już powoli zacierał.

— Cóż, zrozumiałeś? — pytał Paganel.

Thalcave zdawał się nie słyszeć. Paganel dostrzegał już uśmiech żartobliwy, rysujący się na twarzy majora, a dotknięty tem do żywego, już chciał na nowo rozpocząć swe dowodzenia geograficzne, gdy Patagończyk przerwał mu zapytaniem:

— Szukacie zatem niewolnika?

— Tak jest — odrzekł Paganel.

— I to koniecznie na przestrzeni zawartej pomiędzy wschodem i zachodem słońca.

— Tak, tak właśnie.

— I to wasz Bóg — mówił dalej Patagończyk — powierzył falom rozległego oceanu tajemnice tego niewolnika.

— Bóg sam, mój przyjacielu, nie kto inny.

— Niechże się zatem spełni jego wola — odrzekł Thalcave uroczystym głosem — pójdziemy tedy ciągle na wschód, choćbyśmy mieli dojść aż do samego słońca.

Triumfujący Paganel bezzwłocznie przetłumaczył towarzyszom co do słowa odpowiedź Indjanina.

— Co to za pojętna rasa! — mówił — jestem pewny, że na dwudziestu wieśniaków mojego kraju, dziewiętnastu na pewno nie pojęłoby moich objaśnień.

Glenarvan prosił Paganela, aby zapytał Patagończyka, czy nie słyszał o jakich ludziach obcych, którzy wpadli w ręce Indjan z pampy. Thalcave zapytany, krótko odpowiedział: — Być może.

Podróżni otoczyli swego przewodnika, ciekawym wzrokiem chcąc wydobyć z niego tajemnicę. Paganel stał jak na rozpalonem żelazie; zarzucał pytaniami Indjanina, a każdy przez niego po hiszpańsku wymówiony wyraz tłumaczył zaraz na angielski tak, aby towarzysze mogli słuchać rozmowy, jakby w rodowitym ich języku prowadzonej:

— Któż więc był tym niewolnikiem?

— Cudzoziemiec — odpowiedział Thalcave — Europejczyk.

— Czy go widziałeś?

— Nie, lecz Indjanie opowiadają o nim w swych podaniach. Miał to być dzielny człowiek o sercu bawolem.

— Sercu bawolem! — powtórzył Paganel — ach, cóżto za pyszny język, to patagońskie narzecze! Rozumiecie, moi przyjaciele! To znaczy, że był odważny.

— Mój ojciec! — zawołał z uniesieniem Robert Grant, a zwracając się do Paganela, spytał:

— Jak to po hiszpańsku powiedzieć, że to mój ojciec?

— *Es mio padre* — poważnie odrzekł Paganel.

Robert pochwycił obie dłonie poczciwego Patagończyka i drżącym ze wzruszenia głosem rzekł:

— *Es mio padre!*

— *Suo padre!* (Jego ojciec!) — powtórzył Thalcave, okazując wzrokiem, że pojmować zaczyna.

Pochwycił chłopczynę w ramiona, zdjął go z konia i patrzył mu długo w oczy z wyrazem najżywszego współczucia; na szlachetnej twarzy jego malowało się wzruszenie.

Paganel tymczasem wrócił do swego badania i kolejno wypytywał: Gdzie był ten niewolnik? Co robił, kiedy Thalcave słyszał mówiących o nim?

Patagończyk nie dał czekać na odpowiedzi; oznajmił więc, że Europejczyk był niewolnikiem w jednem z pokoleń indyjskich, koczujących pomiędzy Colorado i Rio Negro.

— Lecz gdzież ostatnio przebywał ten nieszczęśliwy? — spytał znowu Paganel.

— U kacyka Calfukara — odpowiedział Thalcave.

— To jest na drodze, którą dotąd postępujemy?

— Tak jest.

— A któż jest ten kacyk?

— Naczelnik pokolenia Poajów, człowiek o dwu sercach i dwu językach.

— To znaczy fałszywy w mowie i czynie — objaśnił Paganel swym towarzyszom. — A czy będziemy mogli uwolnić naszego przyjaciela?

— Być może, jeśli jest dotąd w ręku Indjan.

— Kiedyżeś o nim słyszał po raz ostatni.

— Dawno już; od tej pory słońce już dwa razy lato sprowadziło na niebo pampy.

Trudno wyrazić radość Glenarvana. Odpowiedź ta zgadzała się właśnie z datą dokumentu. Lecz jedno jeszcze zapytanie Paganel rzucił przewodnikowi.

— Mówisz o jednym niewolniku — rzekł — a czy nie było ich czasem trzech?

— Nie wiem — odrzekł Thalcave.

— I nic nie wiesz o teraźniejszem jego położeniu?

— Nic.

Na tem urwała się rozmowa. Być może, iż trzej niewolnicy oddawna zostali rozłączeni; w każdym jednak razie z opowiadania Patagończyka na pewno wiedzieć było można, że się ono tyczyło Europejczyka, popadłego w niewolę u Indjan. Data tego zdarzenia, miejsce, w którem ono przytrafić się mogło, wyrażenie się Patagończyka o odwadze nieznajomego, wszystko to widocznie stosować się mogło do kapitana Harry Granta.

Nazajutrz więc, dnia 25-go października, podróżni z tem większą ochotą puścili się w dalszą drogę na wschód. Płaszczyzna, wciąż posępna i jednostajna, tworzyła przestrzeń nieskończoną, zwaną „travesias” w języku krajowym. Grunt gliniasty, wystawiony na działanie

wiatrów, zupełną przedstawiał równinę; nigdzie kamienia, kamyka nawet najmniejszego, wyjąwszy chyba na jakiej wyrwie, naniesionej burzą, lub nad brzegiem sztucznego stawu, zrobionego rękami Indjan. W znacznych od siebie odstępach ukazywały się niskie lasy o ciemnych wierzchołkach, a wśród nich przebijały gdzie niegdzie białe drzewa świętojańskie, których strąki napełnione są masą słodką i przyjemnie orzeźwiającą; dalej napotykano już drzewa kolczaste, których wzrost i objętość znamionowały jałowość gruntu.

Cały dzień 26-ty był bardzo utrudzający. Trzeba było dotrzeć do Rio - Colorado. Konie, naglone przez jeźdźców, z takim biegły pośpiechem, że przed wieczorem jeszcze pod 66° 45' długości stanęły u wielkiej indyjskiej rzeki. Indyjskie jej nazwisko „Kobu Leubu" znaczy „wielka rzeka". Po długim bardzo przebiegu wpada ona do oceanu Atlantyckiego i przy ujściu swojem tę przedstawia osobliwość, że im bliżej morza, tem masa wody się zmniejsza, czy to wskutek parowania czy wsiąkania; przyczyna tego zjawiska nie jest dotąd wyjaśniona.

Stanąwszy nad Colorado, Paganel za pierwszy geograficzny obowiązek uważał wykąpać się w wodzie, zabarwionej gliną czerwonawą. Zdziwił się niepomału, znalazłszy rzekę tak głęboką, do czego zapewne przyczyniło się topnienie śniegów w pierwszych miesiącach letnich. Szerokość rzeki była tak znaczna, że konie wpław jej przebyć nie mogły. Na szczęście, o kilkaset sążni wgórę rzeki znajdował się most, zwyczajem indyjskim na pasach rzemiennych wiszący. Podróżni zatem mogli przejść rzekę i rozłożyć się obozem na lewym jej brzegu. Paganel, nim się udał na spoczynek, naznaczył sobie starannie na karcie położenie rzeki, zamiast owej Yaron - Dzangbo - Tchou, płynącej w górach Tybetu, od którego obecnie tak był oddalony.

Przez dwa dni następne, to jest 27-y i 28-y października, podróż odbywała się bez żadnego wypadku. Wszędzie napotykano tęż samą jednostajność i niepłodność gruntu. Trudno znaleźć krajobraz mniej ożywiony. Jednakże zauważono, że ziemia była coraz wilgotniejsza; częściej wypadało przebywać tak zwane „canadas", rodzaj płaszczyzn zalanych, i „esteros", naturalne kanały, zarosłe zielskiem wodnem. Wieczorem konie zatrzymały się nad brzegiem wielkiego jeziora mineralnego, Urre Lanquem, zwanego jeziorem „Gorzkiem", które w 1862 r. było świadkiem krwawych represyj ze strony wojska argentyńskiego. Rozłożono obóz jak zwykle, i noc byłaby przeszła bardzo dobrze, gdyby nie sąsiedztwo znacznej liczby małp i dzikich psów, wyciem i krzykami napełniających powietrze — z czego powstała symfonja, jakiejby się nie wyparł kompozytor muzyki przyszłości.

XVII.

PAMPA.

Pampa argentyńska rozciąga się od trzydziestego czwartego do czterdziestego stopnia szerokości południowej. Araukański wyraz „pampa" znaczy „płaszczyzna trawiasta" i bardzo właściwie zastosowany jest do tej okolicy. Roślinność tu rozwija się w warstwie ziemi okrywającej grunt gliniasto-piaszczysty, czerwonawy lub żółty. Badanie tych gruntów, pochodzących z trzeciorzędnego okresu geologicznego, nastręczyłoby obfite źródło nauce; tam w znacznej ilości spoczywają szkielety przedpotopowe, które Indjanie przypisują olbrzymim pancernikom zaginionym; a pod prochem roślinnym zagrzebana jest cała pierwotna historja tego kraju.

Pampa amerykańska jest osobliwością geograficzną, tak samo jak sawany[1]), Wielkie Jeziora lub stepy Syberji. Klimat tamtejszy miewa silniejsze upały i mrozy, aniżeli prowincja Buenos-Ayres, chociaż ta jest bardziej lądową, bo, jak objaśniał Paganel, ocean w zimie bardzo powolnie zwraca ciepło, w lecie przez się pochłonięte. Stąd to właśnie pochodzi, że na wyspach jednostajniejsza jest temperatura, aniżeli na lądach[2]). Dlatego też klimat zachodniej części pampy nie jest tak jednostajny, jak na wybrzeżach; z powodu bliskości oceanu Atlantyckiego, podlega on zbyt częstym zmianom. W jesieni tamtejszej, to jest w kwietniu i maju, deszcze są tam bardzo ulewne i częste. W tej jednakże porze powietrze było suche i gorące.

Po dokładnem oznaczeniu kierunku, ruszono w drogę równo z brzaskiem; grunt, gęsto zarosły krzakami, był dość twardy, nie napotykano już wydm piaszczystych, a przeto nie było i kurzu nieznośnego, jaki wciąż napełniał powietrze.

Konie śpiesznym postępowały krokiem wśród gęstej trawy „paja brava", wśród której Indjanie chronią się podczas burzy. W niejakich odległościach, lecz coraz rzadszych, na wilgotniejszych nieco gruntach rosły brzozy i roślina zwana „Gynerium argentum", krzewiąca się w bliskości wody słodkiej, którą konie piły za każdem spotkaniem, jakby dla zaopatrzenia się na przyszłość. Thalcave, zawsze na przodzie jadący, wystraszał żmije bardzo zjadliwe (cholinas), których ukąszenie zabija wołu w ciągu kwadransa. Zwinny Thaouka zręcznie przeskakiwał zarośla, dopomagając tym sposobem swemu panu do utorowania drogi dla koni za nim postępujących.

Po tych równinach prostych i gładkich podróż szła pośpiesznie i łatwo; łąka wszędzie była jednostajna — ani jednego kamyka nie

---

[1]) Tak nazywają w Gujanie okolice puste, gdzie niema wielkich lasów, lecz rozległe łąki.

[2]) Z tej właśnie przyczyny zimy irlandzkie są łagodniejsze, aniżeli w Lombardji.

było na sto mil dokoła. Żadnych krajobrazów, żadnego kaprysu przyrody. Trzeba było być chyba takim jak Paganel entuzjastą uczonym i widzieć cośkolwiek tam, gdzie inni nic nie widzieli, aby się zajmować szczegółami drogi przebieganej; dla niego dosyć było krzaczka, trawki do rozpoczęcia długiej gawędy, której Robert z prawdziwem przysłuchiwał się zajęciem.

Przez cały ten dzień (29 października) droga ciągnęła się wciąż jednostajnie. Około drugiej godziny pod kopytami końskiemi widzieć się dały na pewnej przestrzeni zbielałe kości i szkielety dużego stada wołów. Szczątki te nie były rozsypane w linji nierównej, jakby je mogły zostawić zwierzęta z sił wyczerpane i upadające jedno za drugiem po drodze. Dlatego też nikt nie umiał wytłumaczyć tego nagromadzenia szkieletów na tak małej stosunkowo przestrzeni; Paganel nawet nic powiedzieć nie umiał — zapytał więc Patagończyka, który odpowiedział mu bez namysłu.

Po otrzymaniu objaśnienia, uczony zawołał: — Czy być może! — Okrzyk ten Paganela i potwierdzający skinienie głową Thalcave'a mocno zaintrygowały ich towarzyszów, to też ciekawie zapytali o objaśnienie.

— Ogień niebieski! — rzekł geograf.

— Jakto, piorun mógłby wywołać takie zniszczenie, trupem położyć przeszło pięćdziesiąt sztuk bydła! — rzekł Tomasz Austin.

— Thalcave tak utrzymuje, a Thalcave się nie myli. Wierzę zresztą temu, bo wiem, że burze w pampie odznaczają się nadzwyczajną gwałtownością. Obyśmy tylko sami nie doświadczyli tego na sobie.

— Bardzo jest parno — odezwał się Wilson.

— Zapewne termometr pokazuje w cieniu z jakie trzydzieści stopni — rzekł Paganel.

— To mnie bynajmniej nie dziwi — rzekł Glenarvan — czuję w całem ciele elektryczność; sądzę, że taka temperatura nie utrzyma się długo.

— Och! och! — odparł Paganel — nie można tak bardzo liczyć na zmianę pogody, skoro widnokręgu nie zakrywa najlżejsza chmurka.

— Tem gorzej — zauważył Glenarvan — tem gorzej, bo nasze konie bardzo są znękane upałem. A tobie, czy nie jest za gorąco, mój chłopcze? — dodał, zwracając się do Roberta.

— Nie, milordzie — odpowiedział Robert — owszem, lubię ciepło.

— Szczególniej w zimie — dorzucił poważnie major, wypuszczając kłąb dymu ze swego cygara.

Wieczorem zatrzymano się wpobliżu opuszczonej lepianki (rancho), skleconej z gałęzi spojonych rozmoczoną ziemią i przykrytych słomą; przytykała ona do ogrodzenia z pali nawpół zgniłych, które jednakże przydało się na schronienie dla koni, broniące ich od napaści lisów, nietyle szkodzących samym zwierzętom, ile raczej ich

uprzęży. O kilka kroków od lepianki był wygrzebany dół, służący za kuchnię, prawie wypełniony zastygłym popiołem. Wewnątrz szałasu znaleziono ławkę, posłanie ze skóry wołowej, kociołek, rożen i rondelek do gotowania *mate*, napoju powszechnie używanego w całej Ameryce Południowej. Jest to herbata Indjan, którą stanowi odwar z liści wyszuszonych na ogniu; pije się go, wciągając w siebie zapomocą długich słomek. Na żądanie Paganela, Thalcave przygotował kilka filiżanek tego napoju, który po jedzeniu bardzo smakował podróżnym.

Nazajutrz, 30-go października, słońce od samego rana piekło dokuczliwie; skwar był nieznośny, a jak na nieszczęście, po drodze nigdzie najmniejszego cienia znaleźć nie było można. Mimo to jechano wytrwale, dążąc ciągle na wschód. Kilka razy podróżni napotkali ogromne stada bydła, które, nie mogąc się paść na takim upale, leżało na ziemi wyciągnięte leniwie bez niczyjego dozoru; psy tylko (przyzwyczajone do ssania owiec, gdy im pragnienie dokucza) strzegły tych licznych stad rogacizny. Trzeba dodać, że zwierzęta te są bardzo łagodne i że nie mają owej wrodzonej odrazy do czerwonego koloru, jaka cechuje rogaciznę europejską.

Około południa znużone jednostajnością oczy podróżnych dostrzegły nareszcie pewną zmianę w krajobrazie pampy. Rośliny trawiaste stawały się coraz rzadsze; miejsce ich zajęły chude łopiany i olbrzymie chwasty, wysokości dziewięciu blisko stóp, któremi uraczyćby się mogły osły całej kuli ziemskiej. Thalcave zwrócił uwagę podróżnych na tę nagłą zmianę i zupełną jałowość gruntu.

— Nie gniewa mnie ta zmiana — rzekł Tomasz Austin — trawa, ciągle trawa i nic więcej, jak tylko trawa, to już wreszcie nudzić zaczynało.

— Ale gdzie trawa tam i woda — odpowiedział major.

— Och! znajdziemy i tak niejedną jeszcze na drodze rzekę.

Gdyby Paganel był słyszał tę rozmowę, nieomieszkałby zapewne powiedzieć, że na przestrzeni pomiędzy Colorado a górami prowincji argentyńskiej rzek jest bardzo mało; lecz w tej chwili zajęty był objaśnieniem Glenarvanowi faktu, na który lord zwrócił jego uwagę.

Od pewnego czasu w powietrzu czuć się dawał zapach dymu, pomimo że na widnokręgu nigdzie nie było widać ognia, nic nie wskazywało pożaru oddalonego i żadna przyczyna naturalna nie usprawiedliwiała tego zjawiska. Wkrótce ten zapach jakby spalonej trawy stał się tak mocny, że począł zadziwiać i niepokoić podróżnych, oprócz Paganela i przewodnika. Uczony geograf rozumiał rzecz całą i tak ją objaśnił swym przyjaciołom:

— Nie widzimy ognia — mówił on — a czujemy dym; ale „niema dymu bez ognia", jak mówi przysłowie tak dobre w Ameryce, jak i w Europie. Musi więc być ogień gdziekolwiek, choćby daleko. Płaszczyzny pampy, niczem nie zatrzymujące przeciągu powietrza, po-

zwalają czuć zapach ziół płonących w odległości może jakich siedemdziesięciu mil angielskich, albo i więcej.

— Siedemdziesięciu mil! — powtórzył major z powątpiewaniem.

— Nieinaczej, kochany majorze — odpowiedział Paganel — i dodam to tylko, że takie pożary zdarzają się tu często na ogromnych przestrzeniach.

— Któż podpala łąki? — spytał Robert.

— Czasem piorun, gdy upał zbytnio wysuszy trawy, a czasami też ręka Indjan.

— I w jakimże to celu?

— Twierdzą oni — i nie wiem już, na czem opierają to swoje twierdzenie — że po każdym takim pożarze trawy lepiej rosną. Byłby to w takim razie środek odżywiania gruntu zapomocą popiołu. Lecz ja sądzę, że pożary te służą raczej do wytępienia miljardów owadów pasorzytnych, bardzo dokuczających bydłu.

— Ależ ten tak energiczny środek — rzekł major — może zabić i bydło, pasące się na tych równinach?

— Zapewne, że ginie go pewna liczba, ale cóż to znaczy na taką masę!

— Nie chodzi mi o nie — mówił Mac Nabbs — ale o podróżnych, przebywających tę prowincję, którzy mogą niespodzianie znaleźć śmierć w płomieniach.

— A właśnie! — zawołał Paganel z wyraźną oznaką zadowolenia — i to się zdarza niekiedy — a nawet przyznam, że radbym być świadkiem podobnego widowiska.

— Ach, wyborny jest ten nasz mędrzec — rzekł Glenarvan — z zamiłowania do nauki gotówby się dać żywcem spalić!

— Nie tak bardzo, mój szanowny lordzie, Cooper bowiem w swych pismach podaje łatwy i prosty sposób uchronienia się od płomieni w takim razie, przez wyrwanie trawy na kilka sążni wokoło. Otóż wiedząc to, nietylko że nie obawiam się pożogi, ale owszem pragnę jej z całej duszy.

Jednakże nie spełniły się gorące pragnienia uczonego Paganela; spiekł się wprawdzie porządnie, ale jedynie od słońca, które paliło bez miłosierdzia. Konie dyszały pod znojem tej podzwrotnikowej temperatury, a nie było nawet nadziei znalezienia gdzie choć trochę cienia; czasem tylko chmurka przelotna na chwilę przesłoniła tarczę słoneczną — lecz i to trwało bardzo krótko, bo słońce zaraz się wychylało, i z nową siłą paliło zwapniony grunt pampy.

Wilson mylił się widocznie, twierdząc, że nieraz jeszcze znajdą podróżni obfitość wody na drodze. Przy nieznośnym upale pragnienie dokuczało okropnie, a tu nietylko żadnej rzeki nie było na gruncie zupełnie płaskim, ale nawet sztuczne sadzawki, wygrzebane przez Indjan, wyschły doszczętu. Widząc taką ciągłą posuchę. Paganel

począł się trwożyć na serjo i z pewnym niepokojem pytał przewodnika, gdzie spodziewa się znaleźć wodę?

— W jeziorze Salinas — odpowiedział Thalcave.

— A kiedyż do niego dojedziemy?

— Jutro wieczorem.

Argentyńczycy, gdy podróżują w pampie, kopią zazwyczaj studnie i znajdują wodę w głębokości kilku sążni; lecz podróżni nasi nie mogli użyć tego środka, jako nie zaopatrzeni w potrzebne do tego narzędzia. Musieli więc poprzestać na bardzo szczupłych porcjach wody ze swego zapasu, które nie zdołały zaspokoić w zupełności pragnienia.

Po przejechaniu trzydziestu mil w ciągu tego dnia, zatrzymano się wieczorem. Każdy pragnął wypoczynku po tylu trudach, a tu jak na nieszczęście noc była jedną z najprzykrzejszych, z powodu chmary natrętnych komarów i innych owadów. Pojawienie się ich było zapowiedzią zmiany wiatru, który rzeczywiście zwrócił się na północ. Dokuczliwie te owady znikają zwykle z nastaniem wiatru południowego, lub południowo-zachodniego.

O ile major potrafił zachować swoją zimną krew nawet wobec tych drobnych nieprzyjemności życia, o tyle Paganel niecierpliwił się i zżymał. Klął komary i wszystkie owady, żałując, że nie ma wody kwasem zaprawnej, któraby uśmierzała nieco ból, wywołany przez ich ukąszenia, a chociaż go major uspokajał, jak mógł i umiał, tłumacząc, że Bogu raczej dziękować wypada za to, że z trzechkroć stu tysięcy gatunków owadów, jakie liczą naturaliści, ma się tylko z dwoma z nich do czynienia — wstał jednak nazajutrz w bardzo złym humorze.

Chcąc zdążyć na wieczór do jeziora Salinas, potrzeba było o brzasku wyruszyć w drogę. Konie były bardzo zmęczone; upadały z pragnienia, a jeźdźcy mogli im dać tylko bardzo małą i całkiem niewystarczającą porcję napoju. Posucha stała się jeszcze większą, a upał dokuczał coraz bardziej pod wpływem wiatru północnego, który w pampie jest tem, czem *simum* w Afryce.

Jednostajność podróży dnia tego przerwana była na chwilę. Mulrady, jadący przodem, zawrócił konia i oznajmił zbliżanie się oddziału Indjan. Każdy z innem uczuciem przyjął wiadomość o takiem spotkaniu. Glenarvan myślał o wiadomościach, jakich mu będą mogli dostarczyć dzicy o losie rozbitków z *Britanji*. Thalcave przeciwnie całkiem nie był zadowolony ze spotkania na drodze Indjan koczujących, których miał poprostu za złodziei i rabusiów i wolałby ich uniknąć. Idąc za jego radą, podróżni skupili się i broń nabili. Wypadało być wpogotowiu na wszelki wypadek.

Wkrótce ujrzano oddział Indjan, lecz ponieważ składał się tylko z dziesięciu ludzi, Patagończyk uspokoił się znacznie. Gdy Indjanie zbliżyli się na jakie sto kroków, można ich było rozróżnić z łatwością. Byli to dzicy z owego pokolenia, które generał Rosas zniósł w 1833 r.

Czoła ich wyniosłe, wzrost wysoki, cera oliwkowa cechowały piękny typ plemienia indyjskiego. Odziani byli w skóry guanaków; dzidy długości dwudziestu stóp, noże, proce i lassa stanowiły ich uzbrojenie, a łatwość w kierowaniu końmi wykazywała bardzo zręcznych jeźdźców.

Zatrzymawszy się, jak powiedzieliśmy, w odległości stu kroków, usiłowali widocznie krzykami i znakami nawiązać rozmowę z podróżnymi. Glenarvan chciał podjechać ku nim; lecz zaledwie zrobił kilkanaście kroków, cały oddział zawrócił konie i znikł z szybkością nadzwyczajną, a zmęczone konie podróżnych nigdyby go doścignąć nie zdołały.

— Ha, tchórze! — krzyczał Paganel.

— Rzeczywiście — zauważył Mac Nabbs — jak na uczciwych ludzi, za prędko uciekają.

— Kto są ci Indjanie? — spytał Paganel przewodnika.

— Gauche — odpowiedział Patagończyk.

— Gauche! — powtórzył Paganel, zwracając się ku swym towarzyszom — gauche! — A więc niepotrzebnie tyleśmy robili przygotowań! Nie było się czego obawiać!

— A to dlaczego? — spytał major.

— Ponieważ gauche są to spokojni mieszkańcy wiosek.

— Tak sądzisz, Paganelu?

— Pewny tego jestem. Musieli nas wziąć za rabusiów i dlatego uciekli.

— Jabym sądził raczej, że nie śmieli nas zaczepiać — odpowiedział Glenarvan, niezadowolony z tego, że nie mógł pomówić z nimi.

— I ja tegoż samego jestem zdania — dodał major — bo jeśli się nie mylę, to gauchy bardzo są niebezpieczni i zuchwali złodzieje.

— Bardzo przepraszam! — zawołał Paganel i zaczął tak gorąco bronić swej tezy etnograficznej, że zdołał poruszyć zimnego nawet majora do tego stopnia, iż ten mu odpowiedział:

— Zdaje mi się, że jesteś w błędzie, panie Paganelu.

— Jestem w błędzie! — wrzasnął zapalony geograf.

— Tak. Thalcave nawet uważał tych Indjan za rabusiów, a Thalcave z pewnością zna się na tem dobrze.

— Otóż Thalcave omylił się tym razem — odparł Paganel z widocznem niezadowoleniem. — Gauche są rolnikami i pasterzami, nic więcej; ja sam pisałem o tem w znanej broszurze o mieszkańcach pampy.

— Więc popełniłeś gruby błąd, panie Paganelu, pisząc takie rzeczy.

— Ja popełniłem błąd, panie Mac Nabbs?

— Może być, że przez roztargnienie tylko — odrzekł major z naciskiem — i życzę ci sprostować to przy następnem wydaniu.

Paganel do żywego był dotknięty tą sprzeczką a bardziej jeszcze żartami ze swych wiadomości geograficznych, i stopniowo tracił coraz bardziej na humorze. Aż wreszcie wybuchnął:

— Wiedz, mój panie, że moje książki nie potrzebują sprostowań tego rodzaju.

— Mniemam, że i owszem, a przynajmniej w tym razie — odparł uparty Mac Nabbs.

— Widzę, że pan jesteś w kłótliwem usposobieniu! — zawołał Paganel.

— A ja widzę, że pan jesteś cierpki! — odrzekł major.

Rozmowa, jak widzimy, przybierała obrót całkiem niespodziany, a w rzeczy samej przedmiot niewart był sporu. Glenarvan uważał za potrzebne wdać się w tę sprawę.

— Istotnie — rzekł — widzę, że jeden z was jest cierpki, a drugi w usposobieniu do sprzeczki i dziwi mnie jedno i drugie.

Patagończyk, nie rozumiejąc nawet powodu sprzeczki, odgadł, że dwaj przyjaciele byli w nieporozumieniu; począł się więc uśmiechać i rzekł spokojnie:

— To wiatr północny.

— Wiatr północny! — krzyknął Paganel. — Cóż tu wiatr północny ma do tego wszystkiego?

— Ach, tak, tak — wtrącił Glenarvan — to prawda, że to wiatr północny jest przyczyną waszego usposobienia! Słyszałem już o tem, że w Południowej Ameryce wiatr ten bardzo wpływa na rozdrażnienie systemu nerwowego!

— Klnę się na świętego Patryka, Edwardzie, że masz słuszność — rzekł major z głośnym śmiechem.

Lecz zawzięty Paganel nie mógł się uspokoić i zwrócił znów swe rozdrażnienie przeciwko Glenarvanowi, biorąc za żart jego wmieszanie się w tę sprawę.

— Tak jest, milordzie, naprawdę czuję, że mój system nerwowy jest całkiem rozstrojony.

— Wierzaj mi, Paganelu, że to nic innego, jak wpływ północnego wiatru, który w pampie do zbrodni czasami przywodzi.

— Do zbrodni! — wrzasnął uczony. — Jakto, ja wyglądam, jak człowiek, który chce popełnić zbrodnię?

— Nie mówię tego.

— Powiedz więc lepiej odrazu, że ciebie samego chcę zamordować!

— Ach — odpowiedział Glenarvan, śmiejąc się mimowoli — obawiam się tego. Bogu dzięki, że wiatr północny nie trwa dłużej nad dzień jeden!

Na te wyrazy wszyscy głośnym śmiechem zawtórowali Glenarvanowi. Paganel nie posiadał się ze złości; odszedł na stronę, aby nie

wybuchnąć gniewem, a w kwadrans później zapomniał wszelkiej urazy.

O ósmej wieczorem Thalcave, wysunąwszy się przodem, oznajmił bliskość jeziora tyle upragnionego. W kwadrans później podróżni wjechali na urwiste wybrzeża jeziora Salinas, gdzie jednak smutne czekało ich rozczarowanie... Jezioro wyschło aż do dna.

XVIII.

POSZUKIWANIE WODY.

Jezioro Salinas kończy szereg lagun, wiążących się z górami Ventana i Guamini. Liczne wyprawy przybywały tam dawniej z Buenos-Ayres dla zaopatrzenia się w sól, której wody jego zawierają w sobie znaczną ilość. Lecz w tej chwili woda, ulotniwszy się wskutek nadzwyczajnych upałów, pozostawiła na dnie jeziora tylko ogromne błyszczące zwierciadło soli.

Thalcave, mówiąc o wodzie zdatnej do picia w jeziorze Salinas, miał na myśli wodę rzek do niego wpadających, które jednak teraz, równie jak i ono, wyschły zupełnie. Palące promienie słońca wypiły wszystko. Grono podróżnych ciężko było zasmucone, widząc, że dokuczliwego pragnienia zaspokoić nie będzie mogło.

Trzeba się było na coś zdecydować. Reszta wody, dochowanej w workach skórzanych, tak była zepsuta, że w żaden sposób za napój służyć nie mogła. Pragnienie dokuczało straszliwie. Głód i bezsenność niczem były wobec tego uczucia. Strudzeni podróżni znaleźli schronienie pod skórzanym namiotem *(rukah),* opuszczonym przez dzikich; biedne koniska legły nad brzegami jeziora i ze wstrętem szczypały słone rośliny i wyschłą trzcinę.

Skoro się wszyscy jako tako umieścili w namiocie, Paganel spytał przewodnika, co radzi czynić. Dość długą prowadzili rozmowę, z której Glenarvan kilka zaledwie słów pochwycić zdołał. Thalcave mówił ze zwykłym sobie spokojem; Paganel machał rękami i dowodził za dwu. Po kilku minutach takiej rozmowy, Patagończyk najobojętniej skrzyżował ręce na piersi.

— Co on mówi? — zapytał Glenarvan — jeżeli dobrze zrozumiałem, to zdaje mi się, że radzi, abyśmy się rozdzielili.

— Tak, na dwa obozy — odpowiedział Paganel. — Ci, których konie tak są wycieńczone trudami i pragnieniem, że już dalej iść nie zdołają, niechaj się wloką, jak mogą, ciągle wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika. Inni, mający lepsze konie, wyprzedzając ich na tejże samej drodze, pojadą na poszukiwanie rzeki Guamini, która

o trzydzieści mil stąd wpada do jeziora San-Lucas. Jeśli znajdą wodę w dostatecznej ilości, poczekają na swych towarzyszy nad brzegami tej rzeki — jeśli zaś wody brak, w takim razie wyjadą naprzeciw nich, aby im oszczędzić podróży bezużytecznej.

— A wtedy? — zapytał Tomasz Austin.

— Wtedy trzeba się będzie zdecydować na zawrócenie ku południowi i przejechać co najmniej siedmdziesiąt pięć mil, aż do pierwszych rozgałęzień gór Ventana, gdzie rzeki są bardzo liczne.

— Rada jest dobra — powiedział Glenarvan — i powinniśmy posłuchać jej bezzwłocznie. Mój koń niezbyt jeszcze na siłach wycieńczony, ja więc gotów jestem towarzyszyć Thalcave'owi.

— Och! milordzie, weź i mnie ze sobą — prosił Robert, jakgdyby chodziło o miłą przechadzkę.

— Ale czy siły ci pozwolą, mój chłopcze?

— Bądź spokojny, milordzie; koń mój tak ochoczy, że gwałtem rwie się naprzód.

— Dobrze, moje dziecię, dobrze, jedź z nami — odpowiedział Glenarvan rad w duszy, iż nie rozłączy się z Robertem. — Bylibyśmy chyba bardzo niezdarni, gdybyśmy nie zdołali we trzech znaleźć wody świeżej i zdatnej do picia.

— A ja? — spytał Paganel.

— Ty, kochany panie Paganelu — odezwał się major — musisz zostać przy rezerwie. Znasz zanadto dobrze i trzydziesty siódmy równoleżnik i rzekę Guamini, i całą pampę, abyś nas miał opuszczać. Ani ja, ani Wilson, ani Mulrady nie potrafilibyśmy znaleźć przewodnika w punkcie umówionym. Tymczasem śmiało i z zupełnem zaufaniem będziemy postępować pod twą zaszczytną wodzą, dzielny Jakóbie Paganelu.

— Poddaję się okolicznościom — poważnie odrzekł Paganel, zadowolony z objęcia dowództwa.

— Ale strzeż się roztargnień, na miłość Boską — dodał major — nie zaprowadź nas czasem przez pomyłkę tam, gdzie iść nie potrzeba — na wybrzeża oceanu Spokojnego, naprzykład.

— Wartoby ci to zrobić, nieznośny majorze! — zawołał Paganel z uśmiechem. — Jednakże powiedz mi, kochany milordzie, jak zrozumiesz mowę przewodnika?

— Przypuszczam — odpowiedział Glenarvan — że nie będziemy potrzebowali o niczem mówić. Zresztą, przy pomocy kilku wyrazów hiszpańskich, jakie umiem, w razie nagłej potrzeby może jakkolwiek potrafię się z nim porozumieć.

— Jedź więc, mój zacny przyjacielu — odparł Paganel.

— Zanim to wszakże nastąpi, zjedzmy wieczerzę i spróbujmy snem trochę pokrzepić zmęczone ciało.

Po wieczerzy tem przykrzej czuć się dawał brak wody; udano się na spoczynek. Paganelowi śniły się jakieś wielkie potoki, kaska-

dy, rzeki, rzeczułki, stawy, źródła, a nawet karafki z wodą. Widmo to, jak zmora, ścigało go we śnie.

Nazajutrz o szóstej z rana już konie Thalcave'a, Glenarvana i Roberta czekały osiodłane; napojono je resztką wody, którą biedne stworzenia połknęły z chciwością, jakkolwiek wcale nie była świeża, ani smaczna. Trzej jeźdzcy wskoczyli na siodła.

— Do zobaczenia! — zawołali major, Austin, Wilson i Mulrady.

— A starajcie się nie wracać — dorzucił Paganel.

Wkrótce potem Glenarvan, Robert i Patagończyk, nie bez pewnego wzruszenia i żalu, stracili z oczu oddzialik, powierzony przezorności i zręczności uczonego geografa.

„Desertio de las Salinas", przez które obecnie przejeżdżali, była to rozległa płaszczyzna gliniasta, pokryta wynędzniałemi krzewinami wysokości dziesięciu stóp, niewielkiemi mimozami, które Indjanie zowią „curra-mammel" — i pewną krzewiastą rośliną (jume) obfitującą w sodę. Tu i owdzie słońce odbijało się jaskrawo w dużych płytach soli, zdaleka wyglądających, jak ogromne bryły lodu: nadawało to pustyni charakter bardzo oryginalny.

Inny całkiem widok przedstawiały góry Ventana o ośmdziesiąt mil dalej na południe, to jest w punkcie, do którego może podróżni byliby zmuszeni dojść, gdyby się przekonali, że rzeka Guamini wyschła. Kraj ten, zwiedzany w 1835 r. przez kapitana Fitz-Roya, dowodzącego wówczas wyprawą fregaty „Beagle", nadzwyczaj jest żyzny; znajdują się tam najlepsze na całem terytorjum Indjan pastwiska. Północno-zachodnia pochyłość gór pokryta jest bujną trawą i roślinami drogocennemi: pomiędzy innemi znajduje się tam „algarrobo", rodzaj świętojańskiego drzewa, którego owoc ususzony i utarty służy do robienia chleba, przez Indjan dosyć lubionego: „quebracho białe", o gałęziach długich i giętkich, zwieszonych, jak u brzozy europejskiej; „quebracho czerwone", o drzewie niezniszczalnem; „nandubay", drzewo zapalające się z wielką łatwością i będące powodem częstych pożarów; „viraro", którego kwiaty fiołkowe układają się stożkowato; wreszcie „timbo", którego wielka korona strzela do 80 stóp wgórę, dając pod swemi konarami całemu stadu bydła schronienie przed skwarem słonecznym.

Argentyńczycy pokilkakroć już próbowali rozkolonizować tę bogatą krainę, ale im zawsze przeszkadzała nieprzyjaźń Indjan.

Łatwo można było wnosić, że z grzbietu tych gór spływają rzeki bardzo obfite, dostarczające wody potrzebnej do utrzymania takiej urodzajności; i rzeczywiście znajdowały się one, ale w odległości stu trzydziestu co najmniej mil na południe. Thalcave zatem miał słuszność, że dążył najpierw do Guamini, która nietylko, że znajdowała się najbliżej, ale ponadto nie zwracała podróżnych z ich drogi.

Konie galopowały z ochotą, jakby przeczuwając, dokąd zdążają. Thauka szczególniej zdawał się być niezmordowany: jak ptak

przebiegał przez źródła wyschnięte i krzaki mimoz, ze rżeniem radosnem, stanowiącem wróżbę pomyślną. Przykład ten zagrzewał powolniejsze konie Glenarvana i Roberta, to też podążały za swym dzielnym przewodnikiem. Thalcave siedział na siodle jak przykuty — niekiedy tylko oglądał się poza siebie, aby nie stracić z oka Roberta, i widocznie był zadowolony, widząc, jak chłopiec wybornie kieruje swym rumakiem.

— Brawo, Robercie — mówił Glenarvan — Thalcave jest z ciebie zadowolony, wyczytuję to z jego twarzy.

— Nie wiem czemu — milordzie.

— Że się tak wybornie trzymasz na koniu.

— O, tylko że mocno siedzę i nic więcej — odpowiedział Robert, lecz rumieniec zadowolenia oblał piękne jego lica.

— To najważniejszy przymiot jeźdzca — rzekł Glenarvan — jesteś skromny, mój chłopcze, to dobrze: ale ja ci przepowiadam, że będziesz kiedyś chlubą sportu londyńskiego.

— A cóżby na to powiedział mój ojciec, który chce, żebym był żeglarzem?

— Jedno drugiemu nie przeszkadza; bo chociaż nie wszyscy kawalerzyści są dobrymi marynarzami, jednakże każdy marynarz może być dobrym jeźdźcem; bujanie się okrętu na falach uczy dobrego trzymania się na nogach, a przeto i na siodle; reszta łatwo się nabywa.

— Biedny mój ojciec! Ach! jakże on ci podziękuje, milordzie, jeśli go ocalić zdołamy.

— Bardzo kochasz ojca, Robercie?

— O! bardzo, milordzie! On był dla nas tak dobry, o nas tylko myślał zawsze: z każdej swej podróży przywoził nam pamiątki ze wszystkich krajów, jakie zwiedzał. O! gdybyś go znał, jestem pewny, że kochałbyś go także. Marja bardzo jest do niego podobna; jej głos łagodny i miły zupełnie przypomina mowę naszego drogiego ojca, choć głos taki dziwny jest u marynarza, nieprawdaż?

— Zapewne, Robercie — odrzekł Glenarvan.

— Widzę go jeszcze — mówił dalej chłopiec, jakby mówiąc sam do siebie — poczciwe, dzielne nasze ojczysko. Gdy byłem mały, usypiał mnie na kolanach starą szkocką piosenką o jeziorach naszego kraju. Dziś jeszcze niewyraźnie snuje mi się ta nuta w pamięci; Marja także niekiedy ją sobie przypomina. Ach, milordzie! Nie wiem, czy dziś potrafiłbym go tak kochać; zdaje się, że trzeba być małym dzieckiem, aby umieć tak bardzo kochać swego ojca.

— A dorosłem, aby go potrafić szanować — odpowiedzał lord Edward, wzruszony słowy, wyrywającemi się z młodzieńczej duszy.

W czasie tej rozmowy konie zwolniły biegu i szły stępa.

— Znajdziemy go, nieprawdaż? — odezwał się znów Robert po chwili milczenia.

— Tak, sądzę, że powinniśmy go znaleźć — odrzekł Glenarvan — Thalcave już nas na ślad wprowadził, a ja ufam temu człowiekowi.

— To dzielny człowiek, ten Indjanin! — zauważył Robert.

— Niezawodnie.

— Wiesz co, milordzie?

— Cóż takiego.

— Masz samych zacnych ludzi przy sobie. Lady Helena, którą tak bardzo kocham, major ze swoją powagą, poczciwy kapitan Mangles, uczony a zabawny Paganel i ci majtkowie z załogi *Duncana,* tacy odważni i tak do ciebie przywiązani!

— Wiem o tem dobrze, mój chłopcze, znam ich wszystkich.

— Ale ty, milordzie, jesteś najlepszy ze wszystkich.

— O tem to już nie wiem, moje dziecię.

— Powinieneś wiedzieć, milordzie — odrzekł Robert, chwytając rękę Glenarvana i niosąc ją do ust z poszanowaniem.

Lord Edward potrząsnął lekko głową. Rozmowę dalszą przerwał przewodnik, dający ręką znaki, aby pośpieszali. Czas był bardzo drogi i śpieszyć się wypadało, pomnąc na tych, którzy zostali.

Przyśpieszono biegu, lecz dla koni widocznie trudno już było biec dalej — trzeba było dać im wypoczynek; biedne stworzenia nie chciały nawet jeść podanej im suchej, wypalonej na słońcu lucerny.

Glenarvan coraz bardziej się niepokoił; jałowość gruntu nie zmniejszyła się bynajmniej, a brak wody mógł bardzo nieszczęśliwe sprowadzić następstwa. Thalcave nic nie mówił, sądząc zapewne, że dość będzie czasu, aby rozpaczać, gdy się pokaże, że Guamini wyschła — jeśli tylko rozpacz ma wogóle przystęp do duszy Indjanina.

Trzeba było ruszać dalej; konie, znaglane biczem i ostrogą, chcąc nie chcąc, musiały w dalszą wyruszyć drogę, ale szły krokiem bardzo powolnym.

Thalcave mógł był ich wyprzedzić. Koń jego w przeciągu najwyżej kilku godzin byłby go zaniósł nad brzegi rzeki. Indjanin myślał już może nawet o tem, ale nie chciał pozostawić swych towarzyszów wśród tej nagiej pustyni.

Thauka drżał i pienił się z niecierpliwości, postępując tak wolno, ale powstrzymywała go ręka wprawna pana, a bardziej jeszcze jego wyrazy. Thalcave naprawdę rozmawiał ze swym koniem, który go rozumiał wybornie, chociaż nie odpowiadał. Jeździec nawzajem też pojmował swego konia; zmyślne zwierzę, podnosząc łeb wgórę, klaskało językiem, jakby smakując wilgoć, napełniającą powietrze; Indjanin ufał instynktowi swego konia, i pewny był, że woda jest niedaleko. Zachęcał więc swych towarzyszów, tłumacząc im niecierpliwość swego konia; ich konie także rzecz zrozumiały, bo, dobywając ostatnich sił, pogalopowały za Patagończykiem.

Około trzeciej godziny, w niedalekim załamie, ukazała się biała wstęga, w której drgał odblask jasnych promieni słonecznych.

— Woda! — zawołał Glenarvan radośnie.

— Woda! woda! — powtarzał mały Robert.

Nie potrzebowali już popędzać koni; biedne stworzenie poczuły w sobie odżywające siły i same unosiły ich pędem niepowstrzymanym. To też po kilku minutach stanęły u rzeki Guamini i, choć nierozkiełznane, rzuciły się po piersi w płyn dobroczynny.

— Ach! jak to przyjemnie! — mówił Robert, pijąc z chciwością.

— Bądź umiarkowany, chłopcze — radził Glenarvan, nie dając bynajmniej z siebie przykładu. Thalcave pił pomału, ale długo; myślałby kto, że całą rzekę wypije.

— Przyjaciele nasi — rzekł Glenarvan — nie doznają zawodu. Przybywszy tu, znajdą obfitość czystej i smacznej wody, jeśli tylko Thalcave nie wypije wszystkiego.

— Czy nie możnaby wyjechać naprzeciw nich? — zapytał Robert — oszczędzilibyśmy im kilka godzin męczarni i niepokoju.

— Zapewne, mój chłopcze, ale w czemże zanieść im wodę? Flaszki nasze pozostały przy Wilsonie. Lepiej już poczekać, jakeśmy się umówili. Miarkując po czasie i licząc, że stępa jadą, sądzę, że powinniby zdążyć tu na noc; przygotujmy więc raczej dla nich dobre posłanie i wieczerzę.

Thalcave, nie czekając propozycji Glenarvana, sam się domyślił i począł szukać miejsca wygodnego na spoczynek. Szczęśliwym trafem znalazł na brzegu rzeki miejsce z trzech stron ogrodzone dla stad, jakie tam przypędzano; a ponieważ towarzysze Thalcave'a nie obawiali się spać pod gołem niebem, nocleg przeto był już zapewniony. Tymczasem strudzeni podróżą wyciągnęli się na słońcu, aby wysuszyć choć trochę odzienie wodą przesiąknięte.

— No — rzekł Glenarvan — teraz, gdy już mamy miejsce na wypoczynek, pomyślmy o wieczerzy; trzeba, aby nasi przyjaciele byli zadowoleni z kurjerów naprzód wysłanych. Możeby nieźle było popolować z godzinkę; czy masz ochotę, Robercie?

— Owszem — odpowiedział Robert, zrywając się ze strzelbą w ręku.

Wybrzeża rzeki zdawały się być miejscem schadzki dla zwierzyny całego tego kraju. Stadami unosiły się w powietrzu *tinamusy* [1]), jarząbki czarne, siewki, zwane tam „teru - teru", chróściele z żółtemi piórkami i kurki wodne o pysznej zielonej barwie.

Czworonożnej zwierzyny nie było widać, lecz Thalcave znakami pokazywał, że ukrywa się w gęstej trawie i zaroślach. Strzelcy zaledwie o kilka posunęli się kroków, a już mieli do czego strzelać i to do najgrubszej zwierzyny pampy. Zaczęły pomykać w ogromnych sta-

---

[1]) Rodzaj kuropatwy czerwonej, właściwy tylko pampie.

dach sarny i guanaki — ale stworzenia te były tak lękliwe, że trudno je było na strzał podejść. Myśliwcy zwrócili się zatem do zwierzyny mniej płochej, a równie jak tamta smacznej i pożywnej, tak, że w niedługim czasie ubili dwanaście sztuk kuropatw i ogromnych chróścieli. Thalcave ze swej strony odbył polowanie na rodzaj strusia, właściwego tylko pampie i zwanego tam „nandu". Ponieważ ptak ten bardzo szybko bieży, Indjanin przeto wprost na niego wypuścił swego konia i usiłował doścignąć go w pierwszym zaraz pędzie, gdyż inaczej *nandu* zmęczyłby zanadto konia częstem rzucaniem się na różne strony. Thalcave, zbliżywszy się na pewną odległość, z nadzwyczajną szybkością i bardzo zręcznie zarzucił lasso na strusia: w kilka minut potem olbrzymi ptak już leżał na ziemi.

Patagończyk schwytał go nie dla samej tylko przyjemności polowania; nandu ma wyborne mięso, a Thalcave chciał także przyłożyć się do wspólnej uczty.

Powróciwszy do miejsca wypoczynku, podróżni zajęli się zaraz przyrządzeniem wieczerzy, której część zjedli z wielkim smakiem, popijając wyborną wodą, lepszą może w tej chwili od wszystkich win całego świata, a nawet od sławnej *usquebaugh* [1]), tak wysoko cenionej w całej Szkocji.

Nie zapomniano ani o mających nadjechać towarzyszach, ani o koniach, którym podano świeżej trawy na paszę i na posłanie. Posiliwszy się, trzej podróżni, owinięci w swe poncha, układli się na miękkiej trawie, zwykłem posłaniu myśliwskiem w pampie.

XIX.

CZERWONE WILKI.

Nadeszła noc. Była to noc na nowiu,podczas której księżyc niewidzialny jest dla wszystkich mieszkańców ziemi. Drogę rozjaśniało tylko słabe, niewyraźne światełko gwiazd. Na widnokręgu zachmurzonym niknęły konstelacje zodjaku. Wody rzeki Guamini bez najmniejszego szmeru płynęły, jak długa smuga oliwy, rozlanej na płycie marmurowej. Ptaki, zwierzęta i płazy wypoczywały po dziennym trudzie; cisza pustyni zalegała niezmierzoną przestrzeń pampy.

Glenarvan, Robert i Thalcave ulegli powszechnemu prawu natury — leżących na miękkiej trawie zmorzył sen głęboki. Konie zmęczone rozciągnęły się na ziemi; jeden tylko Thauka, jak prawdziwy rasowiec, spał stojąc, w samym śnie nawet wspaniały, piękny, gotów

[1]) Wódka z jęczmienia.



Takie to schronienie znaleźli towarzysze Glenarvana (str. 139).

wyskoczyć na pierwsze skinienie swego pana. Cisza zupełna panowała w ogrodzeniu, i tylko węgle dogorywającego ogniska, powoli gasnąc, rzucały ostatnie swe blaski, rozjaśniające chwilami ciemność milczącą.

Jednakże około godziny dziesiątej Indjanin obudził się po śnie krótkim i, utkwiwszy pod ściągniętemi brwiami oczy w punkt jeden, nastawił ucha w stronę stepu. Widocznie starał się zbadać dźwięk jakiś nieuchwytny. Wkrótce wyraz niepokoju wystąpił na twarz jego,

zwykle tak nieruchomą. Czy odczuwał zbliżanie się włóczęgów indyjskich, albo też jaguara i innych zwierząt niebezpiecznych, nierzadko spotykanych w sąsiedztwie rzek? Ostatnie przypuszczenie wydało mu się widać prawdopodobne, bo szybko rzucił okiem na nagromadzony zapas paliwa, a widząc, że ten nie na długo wystarczyć może, zatrwożył się na samą myśl nadejścia dzikich bestyj, rozzuchwalonych ciemnością.

Nie można było nic innego robić, jak tylko czekać. Thalcave oparł łokcie na kolanach, na dłoniach twarz i wytężył wszystkie swe zmysły, jak człowiek, którego ze snu zbudziła nagła trwoga.

Przeszła godzina. Każdy na miejscu Thalcave'a byłby, wobec zupełnej ciszy w powietrzu, rzucił się na posłanie; lecz tam, gdzie obcy niczego się niedomyślał, instynkt wrodzony Indjanina przeczuł i odgadł bliskie niebezpieczeństwo.

Gdy tak czuwał bacznie, koń jego zarżał głucho i nozdrza wyciągnął, jakby coś wietrzył. Patagończyk podniósł się szybko.

— Thauka czuje nieprzyjaciela — rzekł sam do siebie i zaczął się rozglądać po równinie. Cicho tam jeszcze było, ale niezupełnie spokojnie. Thalcave dostrzegł cienie, ostrożnie przesuwające się przez gęstwinę trawy. Tu i owdzie błyszczały jasne jakieś punkty, krzyżujące się w różnych kierunkach. Przelotne te gwiazdki można było wziąć za *lampyry* (owady fosforyczne), tak gęsto w tamtych stronach ukazujące się wśród nocy. Lecz Thalcave nie omylił się — wiedział on, z jakim ma do czynienia nieprzyjacielem; nabił swój karabin i stanął na czatach tuż przy ogrodzeniu.

Niedługo czekał. Dziwny, okropny wrzask, będący połączeniem wycia i szczękania, rozległ się na pampie. Odpowiedzią na niego był wystrzał z karabinu, po którym nastąpił hałas piekielny.

Glenarvan i Robert, zbudzeni nagle, zerwali się z posłania.

— Co to jest? — zawołał młody Grant.

— Czy Indjanie? — spytał Glenarvan.

— Nie — odpowiedział Thalcave — są to aguary.

Robert spojrzał na Glenarvana i powtórzył zdziwiony: — Aguary?

— Tak jest — mówił Glenarvan — są to czerwone wilki pampy.

Obaj pochwycili za broń i przyłączyli się do Indjanina. Wskazywał on im równinę, z której dochodziło okropne wycie.

Robert mimowolnie cofnął się o krok.

— Czy obawiasz się wilków, chłopcze? — zapytał Glenarvan.

— Nie, milordzie — odpowiedział Robert głosem pewnym — zresztą przy tobie niczego się nie obawiam.

— Tem lepiej. Aguary nie są to zwierzęta zbyt niebezpieczne— i gdyby nie taka ich liczba, nie lękałbym się ich wcale.

— Cóż to znaczy! — powiedział Robert — jesteśmy dobrze uzbrojeni, niechaj się zbliżą.

— A będą dobrze przyjęte.

Tak mówiąc, Glenarvan chciał uspokoić chłopca, ale naprawdę nie bez tajemnej trwogi myślał o tem wściekłem stadzie krwiożerczych zwierząt, napadających w nocy. Bóg wie, ile ich tam było, może kilkaset, a przeciw takiej liczbie trudno było walczyć trzem ludziom, choćby nawet najlepiej uzbrojonym.

Jak tylko Patagończyk wymówił wyraz aguary, Glenarvan domyślił się zaraz, że to jest nazwa nadawana czerwonym wilkom przez Indjan. To zwierzę, zwane przez naturalistów *Canis jubatus,* ma wzrost dużego psa, a głowę lisa. Sierść jego jest koloru czerwono-cynamonowego, a na grzbiecie ma czarną, długą grzywę; bardzo jest lekkie, zręczne i silne; mieszka zwykle w miejscach błotnistych i wpław ściga zwierzęta wodne; noc wypędza je z kryjówki, w której śpi przez dzień cały. Najwięcej obawiają się go w osadach, gdzie chowają dużo bydła — bo, przyciśnięte głodem, rzuca się na największe nawet sztuki i znaczne w stadach robi spustoszenia. Pojedyńczo aguary nie są straszne, ale niebezpiecznie jest spotkać się z wielką ich liczbą.

Po wyciu, rozlegającem się dokoła, po mnóstwie cieni, przesuwających się w ciemności, Glenarvan poznał, że ogromna liczba czerwonych wilków zgromadziła się na wybrzeżu Guamini; czuły one tam pewną zdobycz, położenie więc było zatrważające.

Tymczasem koło napastników ścieśniało się powoli. Konie zbudzone dawały oznaki najwyższej trwogi; tylko Thauka bił kopytem, usiłując zerwać swą uździenicę i gotów wybiec w pole; Thalcave uspokajał go ciągłem gwizdaniem.

Glenarvan z Robertem bronili wdarcia się do ogrodzenia: stojąc z bronią nabitą, gotowi byli dać ognia do wilków, gdy nagle Thalcave ręką powstrzymał ich karabiny już wycelowane.

— Czego chce Thalcave? — spytał Robert.

— Zabrania nam strzelać! — odpowiedział Glenarvan.

— Dlaczego?

— Może uważa, iż jeszcze nie potrzeba.

Ważniejsza jednak przyczyna była powodem postępowania Indjanina, a Glenarvan zrozumiał ją, gdy Thalcave, podnosząc swą ładownicę i przewracając ją, pokazał, że była próżna.

— Cóż z tego? — rzekł Robert.

— To, że trzeba oszczędzać amunicji. Dzisiejsze polowanie kosztowało nas drogo, gdyż bardzo mało pozostało nam ołowiu i prochu; może i na dwadzieścia nabojów nie starczy.

Robert nic nie odpowiedział.

— Nie obawiasz się, Robercie?

— Nie, milordzie.

— Dobrze, mój chłopcze.

W tej chwili znowu strzał się rozległ. Thalcave powalił nie-

przyjaciela najzuchwalszego; wilki, posuwające się ścieśnionym szeregiem, odstąpiły o jakie sto kroków.

Glenarvan na znak Indjanina zajął jego miejsce, a Thalcave, zebrawszy co prędzej cały zapas nagromadzonego paliwa, zniósł je na jedną kupę u wejścia i zapalił. Wkrótce łuna rozlała się po czarnem sklepieniu niebios; przy blasku płomieni Glenarvan ujrzał niezliczoną chmarę wilków, z którą walczyć mieli. Widok ognia bardziej ich jeszcze rozdrażnił. Kilku zuchwalszych zbliżyło się do stosu gorejącego i poparzyło sobie łapy.

Wypadało strzelać od czasu do czasu, dla powstrzymania tej hordy wyjącej; po upływie godziny piętnaście trupów leżało rozciągniętych na łące.

Oblężeni znajdowali się teraz w położeniu stosunkowo mniej niebezpiecznem; dopóki starczy amunicji, dopóki ogień palić się będzie, można się było nie lękać napadu. Lecz co zrobić, gdy naraz zbraknie wszystkich tych środków odstraszania nieprzyjaciela?

Glenarvan z uczuciem bólu spojrzał na Roberta; o sobie zapomniał już całkiem, myśląc jedynie o tym chłopcu nad wiek swój odważnym. Robert był blady, lecz ani na chwilę z ręki nie wypuszczał strzelby i czekał odważnie napadu wilków rozdrażnionych.

Glenarvan ochłonął tymczasem ze wzruszenia i z zimną już krwią zastanowił się nad położeniem.

— Za godzinę — rzekł — zabraknie nam prochu, ołowiu i ognia; nie należy czekać tej ostateczności, ale przedsięwziąć coś stanowczego.

Podszedł więc do Indjanina i przy pomocy kilku słów hiszpańskich, jakie pamiętał, rozpoczął z nim rozmowę, niekiedy strzałami przerywaną. Niełatwo im się było porozumieć. Na szczęście jednak Glenarvan znał obyczaje czerwonych wilków; gdyby nie to, nie pojąłby z pewnością ani słów, ani gestów Patagończyka. Po kwadransie zaledwie zdołał Robertowi wytłumaczyć odpowiedź Thalcave'a na zapytanie, co do groźnego ich położenia.

— I cóż odpowiedział? — spytał ciekawie Robert.

— Powiedział, że bądź co bądź potrzeba wytrzymać to oblężenie aż do dnia. Aguar wychodzi tylko w nocy, a o brzasku powraca do swej kryjówki, Jest to wilk nocny, stworzenie tchórzliwe, sowa czworonożna.

— A więc brońmy się aż do dnia!

— Tak jest, mój chłopcze; gdy nie będziemy mogli strzelbą, to bronić się będziemy nożami, a bronić się musimy koniecznie.

Już Thalcave dał dobry przykład, bo ile razy wilk jaki zbliżał się do stosu płonącego, zawsze Patagończyk dosięgał go przez płomienie kolbą i cofał ją skrwawioną. Pomimo to środków obrony brakło coraz bardziej. Około drugiej godziny po północy Thalcave

rzucił na ogień ostatnią wiązkę chróstu, a nabojów pięć już tylko pozostało.

Glenarvan z rozpaczą obejrzał się dokoła. Myślał o Robercie, o swych towarzyszach, o wszystkich, których kochał. Robert nic nie mówił; może być, że jego żywej i pewnej siebie wyobraźni niebezpieczeństwo nie przedstawiało się ani tak wielkiem, ani tak rzeczywistem, jak było. Glenarvan, biorąc rzeczy rozważniej, obawiał się tej okropnej, teraz nieuniknionej już prawie perspektywy, że mogą być żywcem pożarci. Nie umiał zapanować nad swem wzruszeniem; pochwycił chłopca w objęcia, tulił go do serca, całował w czoło, a dwie duże łzy spłynęły mu po twarzy. Robert, wzruszony tą dobrocią, zawołał wesoło:

— Ja się nie obawiam, milordzie!

— Dobrze, moje dziecię, dobrze! Nie lękaj się niczego; za parę godzin rozwidni się i będziemy ocaleni. Dobrze, Thalcave, wybornie, mój dzielny Patagończyku! — dodał lord po chwili, gdy Indjanin trupem położył dwa ogromne wilczyska, usiłujące gwałtem przedrzeć się przez ogień. Niemal jednocześnie ogień zaczął przygasać i lord ujrzał ogromne stado aguarów, walące wprost na ogrodzenie.

Zbliżało się rozwiązanie tego krwawego dramatu. Ognia nie było już czem podsycać: jasność słabła powoli, równinę zalegała ciemność, a wśród niej błyszczały ślepie wilków. Jeszcze kilka tylko minut, a cała ta zgraja wpadnie na bezbronnych.

Thalcave wystrzelił ostatni nabój, kładąc trupem jeszcze jednego nieprzyjaciela, poczem skrzyżował ręce, pochylił głowę na piersi i zamyślił się głęboko. Czyżby szukał jakiego zuchwałego, niepodobnego do prawdy sposobu pozbycia się tej niebezpiecznej zgrai? Glenarvan nie śmiał go zapytać.

W tej chwili zaszła zmiana w napadzie wilków; zdawało się, że odchodzą: ogłuszające wycie ustało naraz — głębokie milczenie zaległo równinę.

— Odchodzą! — zawołał Robert.

— Być może — odpowiedział Glenarvan, pilnie przysłuchując się najmniejszemu szmerowi.

Lecz Thalcave, jakby odgadując myśl jego, potrząsnął głową z niedowierzaniem; dobrze wiedział, że zwierzęta nie porzucą tak łatwo pewnej zdobyczy, dopóki światło dzienne nie zapędzi ich do ciemnych kryjówek.

Bądź co bądź, taktyka nieprzyjaciela zmieniła się widocznie; nie usiłował on już zdobyć wejścia do ogrodzenia, ale nowe jego manewry większem jeszcze groziły niebezpieczeństwem. Aguary, widząc, że wejścia broni ogień i żelazo, obiegły dokoła ogrodzenie, usiłując zdobyć je od strony przeciwnej.

Wkrótce usłyszano, jak pazurami drapały drzewo nawpół przegnite — i już silne ich łapy, ich zakrwawione paszcze przeciskały się

przez słupki nadwątlone. Konie wystraszone pozrywały uzdy i z trwogą szukały schronienia przy swych jeźdźcach.

Glenarvan objął Roberta, gotując się bronić go do ostatka. Może nawet w myśli układał zamiar ucieczki, jakkolwiek niemożliwej, a tymczasem z oka nie spuszczał Indjanina.

Thalcave, jak dziki zwierz obiegłszy dokoła ogrodzenie, zbliżył się nagle do swego konia, drżącego z niecierpliwości, i zaczął go siodłać starannie, nie zapominając ani o jednym pasku, ani o jednej sprzączce. Zdawało się, że nie dba już teraz o zwiększające się coraz wycie wilków. Glenarvan patrzył nań z przerażeniem.

— Porzuca nas! — zawołał, widząc Indjanina chwytającego za cugle, jakby chciał wskoczyć na siodło.

— Nie — rzekł Robert — to być nie może!

W rzeczy samej Thalcave nie chciał opuścić swych przyjaciół, ale ocalić ich, poświęcając siebie. Thauka był gotów; żuł wędzidło niecierpliwic, skakał, nie mogąc ustać na miejscu, ogniste jego oczy rzucały błyskawice. Rozumiał swego pana. W chwili gdy Indjanin chwytał za grzywę konia, Glenarvan porwał go za rękę z konwulsyjną gwałtownością i, wskazując na rozległą płaszczyznę, z boleścią zapytał:

— Ty jedziesz?

— Tak — odpowiedział Indjanin, zrozumiawszy gest swego towarzysza. Potem dodał kilka wyrazów hiszpańskich, które znaczyły:

— Thauka! Dobry koń. Rączy. Pociągnie za sobą wilki.

— Ach, Thalcave! — krzyknął Glenarvan.

— Prędzej! prędzej! — powtarzał Indjanin. A Glenarvan tymczasem drżącym ze wzruszenia głosem mówił do Roberta:

— Robercie, dziecię moje! Czy słyszysz? On chce się poświęcić dla nas! Chce pędzić na koniu w pole, aby pociągnąć za sobą wściekłe wilki i od nas tym sposobem odwrócić niebezpieczeństwo!

— Przyjacielu! — zawołał Robert, rzucając do nóg Patagończyka. — Przyjacielu, nie opuszczaj nas!

— Nie — rzekł Glenarvan — on nas nie opuści — a zwracając się do Indjanina, rzekł, wskazując na konie: — Jedźmy razem!

— Nie — rzekł Indjanin, zrozumiawszy znaczenie tych słów.— Nie. Liche bydlęta. Wystraszone. Thauka, dzielny koń!

— A więc — rzekł Glenarvan — czekaj, Robercie, Thalcave cię nie opuści. Uczy mnie on, co zrobić powinienem! Ja pójdę. On niech przy tobie zostanie! — To mówiąc, pochwycił za cugle konia.

— Nie — odrzekł spokojnie Patagończyk.

— Ja pojadę! — krzyknął Glenarvan, wydzierając cugle Indjaninowi. — Ja pojadę, powtarzam ci. Ocal to dziecię! Powierzam ci je, Thalcave!

Glenarvan w uniesieniu mieszał angielskie wyrazy z hiszpańskiemi. Lecz cóż znaczy język w takich razach! W tak okropnem

położeniu gesty mówią wszystko, a ludzie różnej narodowości rozumieją się z łatwością. Thalcave opierał się jednak, sprzeczka nie ustawała, a niebezpieczeństwo tymczasem wzmagało się co chwila; już słupki i łaty nadbutwiałe trzeszczały pod zębami i pazurami wilków rozwścieczonych.

Ani Thalcave, ani Glenarvan ustąpić nie chcieli. Indjanin odciągnął Glenarvana aż ku wejściu do ogrodzenia; pokazywał mu płaszczyznę uwolnioną od wilków, na migi dawał mu do zrozumienia, że nie było ani chwili do stracenia, że on sam tylko znał swego konia tak dobrze, iż potrafi dla dobra ogólnego skorzystać z jego przymiotów lekkości i rączości. Glenarvan uparł się i nie chciał ustąpić, gdy nagle uczuł się odepchniętym. Thauka poskoczył, wspiął się na tylnych nogach, a potem jednym susem przesadził ognisko i cały rząd zabitych wilków, a głos chłopięcy zawołał:

— Niech cię Bóg ma w swej opiece, milordzie!

Glenarvan i Thalcave ledwie dojrzeli Roberta, trzymającego się grzywy Thauka, znikającego w ciemności.

— Robercie! Nieszczęsny! — wołał Glenarvan, ale Indjanin już nie dosłyszał tych wyrazów. Zagłuszyło je wycie okropne. Wilki rzuciły się wślad za koniem, pomykającym ku wschodowi z szybkością nieopisaną.

Thalcave i Glenarvan wyskoczyli z ogrodzenia; na równinie cicho już było i zaledwie woddali tylko dostrzec mogli ruchomy szereg, posuwający się wśród ciemności.

Glenarvan rzucił się na ziemię znękany, zrozpaczony, i patrzył na Indjanina, uśmiechającego się z właściwym sobie spokojem.

— Thauka dobry koń! Dzielny chłopiec umknie! — powtarzał wciąż, potakując głową.

— A jeśli spadnie? — rzekł Glenarvan.

— Nie spadnie, z pewnością!

Pomimo tej ufności i spokoju Patagończyka, lord Glenarvan noc spędził w najstraszniejszej trwodze. Zapomniał nawet o tem, że wraz z odejściem wilków przestało im grozić niebezpieczeństwo. Chciał pędzić za Robertem, lecz go Indjanin powstrzymał, dając mu do zrozumienia, że konie ich nie wydążą, że Thauka musiał wyprzedzić swych nieprzyjaciół, że niepodobna szukać Roberta.

O czwartej z rana świtać poczęło. Przezroczyste kropelki rosy osiadały na płaszczyźnie; trawy podniosły się pod wpływem pierwszych blasków światła dziennego. Już można było puścić się w drogę. Thalcave wyprowadził konie i zawołał: — Jedźmy! Glenarvan w milczeniu wskoczył na konia Roberta i wkrótce dwaj jeźdźcy pocwałowali w stronę wschodnią, trzymając się wciąż linji prostej, z której i towarzysze ich schodzić nie byli powinni.

Tak przez godzinę blisko pędzili, szukając oczyma Roberta, obawiając się dostrzec gdzie jego zwłoki skrwawione. Glenarvan

niecierpliwie kłuł konia ostrogą. Nareszcie w powietrzu rozległ się huk strzałów, systematycznie po sobie następujących, jakby szereg sygnałów wywiadowczych.

— To oni! — zawołał Glenarvan.

Popędzili konie, nagląc je do szybkiego biegu, i w chwilę potem złączyli się z oddziałem, prowadzonym przez Paganela. Glenarvan krzyknął radośnie, spostrzegłszy Roberta żywego i zdrowego, siedzącego na grzbiecie wspaniałego konia, który zarżał z radości, ujrzawszy swego pana.

— Ach, moje dziecię, moje dziecię! — zawołał Glenarvan z wyrazem czułości nieopisanej.

Robert i Glenarvan zeskoczyli z koni i padli sobie w objęcia! Zkolei i Indjanin przycisnął do piersi dzielnego syna kapitana Granta.

— Żyje, żyje! — wołał Glenarvan.

— Tak — odpowiedział Robert — i to dzięki koniowi Thalcave'a.

Patagończyk nie czekał tej pochwały, aby podziękować swemu rumakowi; rozmawiał z nim i całował go, jak człowieka, a potem, zwracając się do Paganela i wskazując na Roberta, rzekł — Zuch! — A używając metafory indyjskiej, wyrażającej odwagę, dodał: — Ostrogi jego nie zadrżały!

Glenarvan, objąwszy rękę Roberta, mówił.

— Dlaczegoś nie chciał, mój chłopcze, abym ja lub Thalcave próbowali ci życie ocalić?

— Milordzie — odpowiedział chłopiec z wyrazem najwyższej wdzięczności — czyż nie ja to raczej poświęcić się byłem powinien? Thalcave już mi raz ocalił życie! A ty ocalisz mego ojca!

XX.

RÓWNINY ARGENTYŃSKIE.

Po przejściu pierwszej radości, Paganel, Austin, Wilson, Mulrady, słowem ci, którzy pozostali, oprócz jednego może majora, spostrzegli się, że umierają z pragnienia. Na szczęście, Guamini płynęła niedaleko. Puszczono się tedy w drogę i o siódmej z rana cały orszak był już przy ogrodzeniu, do którego wejście zawalone było trupami wilków, świadczącemi o gwałtowności napadu i o dzielności obrony. Wkrótce podróżni, pokrzepiwszy się czystą i smaczną wodą, zasiedli do śniadania, jakiego nigdy może jeszcze to miejsce nie widziało. Polędwicę ze strusia uznano za wyborną, a mięso pancernika, upieczone w jego własnej skorupie, rozkosznie łechtało podniebienie.

— Byłoby to niewdzięcznością dla Opatrzności, jeść z umiarkowaniem — mówił Paganel — trzeba jeść jak najwięcej.

To też jadł, ile się zmieściło — a jednak nic mu się nie stało, dzięki przeczystej wodzie z Guamini, która mu się zdawała znakomicie do trawienia pomocną.

O dziesiątej z rana Glenarvan, nie chcąc powtarzać błędów Hannibala pod Kapuą, dał znak do odjazdu. Zrobiono sobie zapas świeżej wody i pojechano. Konie dobrze posilone, ochoczo stąpały i prawie ciągle drobnym szły galopem. W miarę, jak się zwiększała wilgoć, okolica też była coraz żyźniejsza, chociaż zawsze pusta. Żaden wypadek nie zaszedł w ciągu 2-go i 3-go listopada, a wieczorem podróżni, znużeni już zupełnie trudami długiej podróży, rozłożyli się obozem na samej granicy pampy z prowincją Buenos-Ayres. Ponieważ z zatoki Talcahuano wyjechali 14-go października, przeto w dwudziestu dwu dniach zrobili czterysta pięćdziesiąt mil, to jest prawie dwie trzecie całej drogi.

Na drugi dzień z rana przekroczyli granicę, dzielącą równiny argentyńskie od pampy. Tam to spodziewał się Thalcave spotkać kacyków, w ręku których niepłonną miał nadzieję znaleźć kapitana Granta i dwu towarzyszów jego niewoli.

Z czternastu prowincyj, składających Rzeczypospolitą Argentyńską, Buenos-Ayres najobszerniejsza jest i najwięcej zaludniona. Granica jej dotyka do południowych terytorjów indyjskich, pomiędzy sześćdziesiątym czwartym a piątym stopniem. Grunt jej nadzwyczajnie płodny, klimat bardzo zdrowy — a cała ta równina, ciągnąca się poziomo aż do stóp gór Tandil i Tapalquem, pokryta jest obficie trawami i roślinami krzaczasto - warzywnemi.

Od chwili opuszczenia okolic rzeki Guamini, podróżni z wielką radością spostrzegali, że temperatura jest coraz milsza. Średnia jej wysokość nie przenosiła siedmnastu stopni (100 stopniowego termometru), a to dzięki dość silnym i chłodnym wiatrom Patagonji, wciąż poruszającym atmosferę; ludzie zatem i zwierzęta wypoczęli po tylu trudach, wycierpianych wskutek suszy i upału. Z ufnością i zapałem posuwano się naprzód — lecz pomimo wszystkich zapewnień Thalcave'a kraj zdawał się wcale niezaludniony, albo raczej *wyludniony*.

Często od strony wschodniej dotykały drogi lub przecinały ją małe laguny, utworzone bądź przez słodkie, bądź przez słonawe wody. Nad ich brzegiem lub pod cieniem krzaków skakały lekkie strzyżyki i śpiewały wesołe skowronki w towarzystwie *taugarów*, pod względem barw o pierwszeństwo z kolibami walczących. Miłe te ptaszyny biły żwawo skrzydełkami, nie zważając na szpaki napastnicze, gromadnie latające. Na kolczastych krzakach, jak hamak kreola zawieszone w powietrzu, bujało gniazdo *annubisów*, a na wybrzeżach lagun stadami przechadzały się wspaniałe czerwonaki, rozwijając swe skrzydła płomiennej barwy! Gniazda ich kształtu stożkowato-ściętego, wysokie na stopę, w tak znacznej znajdowały się ilości, że

tworzyły jakby niewielkie miasteczko. Czerwonaki nie obawiały się bynajmniej podróżnych, z czego Paganel niezupełnie był zadowolony.

— Dawno już — mówił do majora — ciekaw byłem widzieć czerwonaka w locie.

— Więc cóż z tego? — zapytał major.

— To, że ponieważ znajduję obecnie do tego sposobność, chcę z niej korzystać.

— Korzystaj, panie Paganel, ja ci nie bronię.

— Chodź ze mną, majorze, pójdź i ty Robercie — potrzebuję świadków.

I Paganel z Robertem i majorem zwrócili się ku stadu czerwonaków. Zbliżywszy się do nich na niewielką odległość, strzelił prochem, nie mając zamiaru zabić żadnego z tych ptaków; całe stado zerwało się wgórę, a uczony geograf przypatrywał się im bacznie przez okulary.

— A co — spytał majora, gdy już stado znikło — czy widziałeś je w locie?

— Przecież nie jestem ślepy — zimno odrzekł Mac Nabbs.

— Czy uważałeś, że w locie podobne są do strzał nasadzonych piórami?

— Bynajmniej tego nie spostrzegłem.

— Ani ja — dodał Robert.

— Byłem tego pewny! — mówił uczony z zadowoleniem. —. A jednakże najpyszniejszy ze wszystkich skromnych ludzi, mój znakomity rodak, Chateaubriand, uczynił to nietrafne porównanie! Ach! bo widzisz, Robercie, porównanie jest to postać mowy najniebezpieczniejsza ze wszystkich; strzeż się jej przez całe życie i używaj chyba w nagłej ostateczności.

— Więc zadowolony jesteś ze swego doświadczenia? — spytał major.

— Jak najzupełniej.

— I ja także; ale wróćmy do naszych koni, bo przez twego znakomitego Chateaubrianda o milę pozostaliśmy za naszymi towarzyszami.

Dopędziwszy towarzyszów, zastał Paganel Glenarvana na żwawej rozmowie z Indjaninem, którego zdawało się, że nie rozumie. Thalcave często się zatrzymywał i bacznie patrzał na widnokrąg, a na twarzy jego malował się wyraz niejakiego podziwienia.

W braku tłumacza, Glenarvan sam usiłował coś od niego się dowiedzieć, ale napróżno; dlatego też, jak tylko spostrzegł Paganela, krzyknął zdaleka:

— Pośpieszaj, przyjacielu, bo nie możemy się w żaden sposób zrozumieć.

Paganel przez kilka minut rozmawiał z Patagończykiem, a potem rzekł, zwracając się do Glenarvana:

— Thalcave zastanawia się nad faktem, rzeczywiście bardzo dziwnym.

— Jakimże to?

— Że nie znajduje tu ani Indjan, ani nawet ich śladów na tych równinach, przez które zwykle przechodzą, pędząc bydło skradzione, albo idąc do Andów dla sprzedaży swych wyrobów, a szczególniej biczów ze skóry plecionych.

— I czemuż Thalcave to przypisuje?

— Właśnie, że nie wie, i sam się mocno temu dziwi.

— Ale jakichże Indjan spodziewał się on tu znaleźć w tej części pampy?

— Właśnie tych, u których byli obcy niewolnicy, to jest krajowców, pozostających pod władzą kacyków Kalfukura, Katriel, albo Yanchetruz.

— Cóż to są za ludzie?

— Naczelnicy band, którzy byli wszechwładnymi przed trzydziestu laty, to jest przed wypędzeniem ich poza góry. Od tego czasu poddali się oni o tyle, o ile Indjanin poddać się może — i włóczą się po równinach pampy, lub plondrują prowincję Buenos-Ayres. Dziwię się zatem wraz z Thalcavem, że nie napotykamy żadnego po nich śladu, tu właśnie, gdzie najwięcej trudnią się grabieżą.

— Cóż więc począć mamy? — spytał Glenarvan.

— Zapytam zaraz — odrzekł Paganel — i po krótkiej z Thalcavem rozmowie oświadczył:

— Oto, co nasz przewodnik mówi i co mi się zdaje bardzo rozsądnem. Trzeba iść dalej na wschód, aż do fortu Indépendance, a tam, jeśli nie otrzymamy wiadomości o kapitanie Grancie, to przynajmniej będziemy wiedzieli, co się stało z Indjanami równiny argentyńskiej.

— A daleko jest stąd do fortu Indépendance? — zapytał Glenarvan.

— Niebardzo; leży on w górach Tandil, stąd nie więcej nad mil sześćdziesiąt.

— Kiedyż tam być możemy?

— Pojutrze wieczorem.

Glenarvan bardzo był z tego niezadowolony. Trudno było przypuścić nawet, że nie znajdą ani jednego Indjanina w pampie, gdzie ich zazwyczaj bywa zanadto wielu; jakaś szczególniejsza okoliczność musiała być powodem tego. Lecz najważniejsze było to: jeśli Harry Grant jest w niewoli u jednego z tych pokoleń, to gdzie uprowadzono go: na północ czy na południe? Niepewność ta mocno trapiła Glenarvana. Potrzeba było bądź co bądź trafić na ślad kapitana i koniec końców na ten raz najlepiej było usłuchać rady Thalcave'a i iść do wioski Tandil; tam przynajmniej była nadzieja powzięcia jakichś wiadomości.

Około czwartej godziny wieczorem na horyzoncie ujrzano niewielką wyniosłość, która w kraju tak płaskim za górę uchodzić mogła. Była to góra Tapalquem, u stóp której podróżni rozłożyli się obozem na noc następną.

Nazajutrz przejście przez tę górę odbyło się jak może być najłatwiej; nie mogła ona w rzeczy samej stanowić jakiejś trudności dla ludzi, którzy przeszli Kordyljery andyjskie; konie nawet bardzo mało bieg swój zwolniły. W południe podróżni przeszli około fortu opustoszałego na Tapalquem, który był pierwszym pierścieniem łańcucha forteczek, wzniesionych na całem wybrzeżu południowem, dla obrony od napadu krajowych rozbójników. Lecz z wielkiem zadziwieniem Thalcave'a, nigdzie ani jednego Indjanina nie napotkano. Tylko około południa trzech konnych, dobrze uzbrojonych, ukazało się zdaleka na równinie; przypatrywali się oni przez chwilę orszakowi podróżnych, lecz dostąpić do siebie nie dozwolili i uciekli z szybkością nadzwyczajną. Glenarvan nie posiadał się z gniewu.

— To są Gauche — rzekł Patagończyk, dając tym dzikim nazwisko, które było powodem sprzeczki majora z Paganelem.

— Ach! Gauche! — powtórzył Mac Nabbs. — No, Paganelu, dziś gdy nie mamy wiatru północnego, cóż myślisz o tych zwierzętach?

— Myślę, że wyglądają na tęgich bandytów i takimi być muszą w rzeczy samej.

Wyznanie to Paganela wywołało śmiech ogólny, na który on przecież nie zważał, owszem z powodu tych Indjan zrobił jedno bardzo ciekawe spostrzeżenie.

— Czytałem gdzieś, że Arabowie mają w ustach dziwny wyraz dzikości, a w spojrzeniu ich łagodność i ludzkość się rozlewa. Otóż u dzikich Amerykan rzecz ta ma się zupełnie odwrotnie: ci ludzie mają szczególniej złośliwe spojrzenie.

Najbieglejszy fizjognomista nie potrafiłby lepiej scharakteryzować rasy indyjskiej.

Na zalecenie Thalcave'a postępowano w ścieśnionym szeregu, bo jakkolwiek okolica pusta była zupełnie, trzeba się jednak było mieć na baczności, aby coś nie zaskoczyło niespodzianie. Na ten raz ostrożność okazała się zbyteczna. Tegoż samego dnia wieczorem obozowano na obszernym placu ogrodzonym, gdzie kacyk Katriel zgromadzał zwykle swoją ludność. Nigdzie tu nie znaleziono śladu świeżej bytności ludzi; widocznie miejsce to oddawna już nie było odwiedzane.

Nazajutrz podróżni w dalszą puścili się drogę. Niedługo spostrzeżono pierwsze *estancias*[1]), leżące najbliżej góry Tandil, lecz Thalcave postanowił nie zatrzymywać się tam i iść prosto do fortu

---

[1]) *Estancias* (stacje) są to wielkie zakłady hodowli bydła na równinach argentyńskich.

Indépendance, gdzie pragnął powziąć niektóre wiadomości, szczególniej zaś o przyczynie takiego opuszczenia kraju.

Drzewa, rzadko gdzie od samych Kordyljerów napotykane, rosły tutaj dość gęsto i to przeważnie zasadzone już po przybyciu Europejczyków na terytorjum ameykańskie. Były tam drzewa brzoskwiniowe, topole, wierzby i akacje, dziko a bardzo szybko rosnące. Otaczały one zazwyczaj tak zwane „corrales", obszerne place kołami ogrodzone, gdzie stawiano bydło. Tam tysiącami pasły się woły, barany, krowy i konie, opatrzone znakami, wyciśniętemi rozpalonem żelazem, strzeżone przez duże psy, bardzo czujne i złośliwe. Grunt słonawy, rozciągający się u stóp góry, wydaje obfitą paszę, chciwie przez bydło pożeraną; dlatego też miejsca te tak chętnie wybierane są na urządzanie tych stanowisk, pozostających zwykle pod zarządem starszego pasterza, który ma do pomocy tylu ludzi, ile tysięcy sztuk liczy jego stado.

Ludzie ci prowadzą życie na wzór starożytnych pasterzy biblijnych; stada ich są tak liczne, a może i liczniejsze nawet niż stada, zapełniające niegdyś płaszczyzny Mezopotamji; lecz pasterze ci nie mają rodzin i dlatego też posiadają wszystkie przywary i całe nieokrzesanie handlarzy wołów, a brak im zupełnie patrjarchalności biblijnej.

Paganel bardzo trafnie zwrócił na to uwagę swych towarzyszów i z tego powodu wywiódł nader zajmujące rozumowanie antropologiczno-porównawcze o różnych rasach ludzi, czem nawet zajął mocno zimnego majora.

Przy tej sposobności, uczony geograf wskazał też na złudzenie optyczne, spotykane zwykle na poziomych płaszczyznach. *Estancias* zdaleka podobne były do wysp dużych, a otaczające je topole i wierzby zdawały się odbijać w zwierciadle czystych wód, uciekających przed podróżnymi; złudzenie było tak doskonałe i zupełne, że oko nie mogło do niego przywyknąć.

W ciągu tego dnia (6-go listopada) napotkano po drodze wiele takich stacyj, a nawet „saladeros", w których bydło, dostatecznie już utuczone na bujnych pastwiskach, pada pod nożem rzeźnika i bywa solone. Pod koniec wiosny zazwyczaj rozpoczynają się te odrażające roboty. Ludzie, zajmujący się soleniem, chwytają wtedy na *lasso* upasione woły, buhaje, krowy i barany, ciągną je do saladeros, secinami zabijają i obdzierają ze skóry. Zdarza się nieraz, że buhaj stawia opór i nie da się prowadzić; wtedy rzeźnicy zamieniają się w torreadorów i staczają ze zdziczałem zwierzęciem walkę zaciętą, w której dają dowody niepospolitej odwagi i zręczności. Wogóle szlachtuzy te bardzo nieprzyjemny sprawiają widok. Okolica zarażona jest niemiłemi i szkodliwemi wyziewami, a napełniona wciąż przerażającym rykiem nieszczęsnych ofiar na rzeź prowadzonych — szczekaniem psów, i posępnem krakaniem ogromnych sępów argentyńskiej pła-

szczyzny; tysiącami zlatują się one na krwawą ucztę, złożoną z odpadków, wyrzucanych przez rzeźników.

W tej chwili „saladeros" były ciche i bezludne, bo nie była to pora do tych strasznych zapasów.

Thalcave naglił do pośpiechu, bo chciał tego jeszcze wieczora przybyć do fortu Indépendance; konie szybko biegły wśród traw bujnie wyrosłych. Napotkano kilka małych wiosek, dobrze oszańcowanych i głębokiemi obwiedzionych rowami. Prócz tego w każdej z nich jeden dom opatrzony był wysokim tarasem, z którego mieszkańcy, uorganizowani wojskowo, mogli się bronić strzałami od napadów włóczęgów i rabusiów; Glenarvan byłby tam może i znalazł wiadomości upragnione, ale najbezpieczniej było dojść do wioski Tandil. Nie zatrzymano się zatem, przebyto wpław rzekę Huesos, a o kilka mil dalej Chapaleofu. Wkrótce też i konie zmęczone przybyły do pierwszych pochyłości góry Tandil, a w godzinę później wioska ukazała się wśród ciasnego wąwozu, ponad którym sterczały zębate mury fortu Indépendance.

XXI.

FORT INDÉPENDANCE.

Góry Tandil wznoszą się na tysiące stóp ponad poziom morza. Jest to łańcuch pierwotny, to jest starszy od wszystkich stworzeń organicznych i metamorficznych dlatego, że powstanie jego i spójność zwolna dokonane były pod wpływem ciepła wewnętrznego; powstał on z połączenia się mnóstwa półkolistych pagórków gnejsowych, pokrytych trawą. Obwód Tandil, biorący swe nazwisko od gór, zajmuje całą południową część prowincji Buenos-Ayres, a granicą jego jest stok, po którym ku północy spływają wszystkie rzeki, biorące początek na pochyłościach gór.

Obwód ten ma około czterech tysięcy ludności, a stolicą jego jest wioska Tandil, leżąca u stóp północnego grzbietu gór, pod zasłoną fortu Indépendance, bardzo szczęśliwie położona tuż nad ważną rzeczką Chapaleofu. Rzecz szczególna, o której wiedział uczony Paganel, wioska ta zamieszkana jest przez Basków francuskich i kolonistów włoskich. W istocie Francja najpierwsza posiadała swe osady w tej części prowincji La Plata. W r. 1828 Francuz Parchappe założył tu fort Indépendance, dla obrony kraju od częstych napadów dzikich Indjan. Pomagał mu w tem przedsięwzięciu uczony Alcide d'Orbigny, który najlepiej poznał, zbadał i opisał wszystkie południowe kraje Ameryki Południowej.

Wioska Tandil jest punktem bardzo ważnym. Zapomocą swoich „galeras", to jest wielkich wozów, zaprzężonych w woły, komunikuje się z Buenos Ayres w ciągu dwunastu dni, a wskutek tego prowadzi handel dość ożywiony; posyła bydło ze swych *estancias,* solone mięso i bardzo ciekawe produkty przemysłu indyjskiego, jak materje bawełniane, tkaniny lniane, bardzo poszukiwane wyroby z plecionej skóry i t. p. Dlatego też Tandil, nie licząc już pewnej liczby dość wygodnych i porządnych domów, ma nawet szkoły swoje i kościoły.

Opowiedziawszy wszystkie te szczegóły swoim towarzyszom, Paganel dodał, że nie wątpi, iż w Tandil powezmą wiadomości tak upragnione, tem więcej, że w forcie zawsze znajduje się oddział wojska narodowego. Glenarvan kazał przeto umieścić konie w stajni dość przyzwoicie wyglądającej gospody, poczem wraz z majorem, Paganelem i Robertem, prowadzeni przez Thalcave'a, poszli do fortu Indépendance.

Po przejściu niewielkiej wyniosłości, przybyli do bramy strzeżonej przez jednego tylko szyldwacha argentyńskiego, co dowodziło wielkiego niedbalstwa, albo też nadzwyczajnej pewności. Kilku żołnierzy uczyło się musztry na stoku fortecy, lecz najstarszy z tych żołnierzy miał może lat dwadzieścia, a najmłodszy nie więcej nad siedem; słowem, był to tuzin dzieci i młodych chłopców, nieźle się musztrujących. Mundur ich składał się z koszuli w prążki, w pasie przewiązanej paskiem skórzanym; o spodniach nie było i mowy, a lekkość tę kostjumu usprawiedliwiała zupełnie łagodność temperatury. Paganel powziął z tego dobre wyobrażenie o rządzie, który się nie rujnuje na niepotrzebne stroje i galony. Każdy z tych młodych chłopaków posiadał strzelbę bardzo ciężką i pałasz bardzo długi, jak na swój wzrost. Wszyscy mieli twarze ogorzałe, o rysach jakby rodzinnych, a nawet kapral, czy instruktor dowodzący nimi, także był do nich podobny. Musiało to być i było naprawdę dwunastu braci, maszerujących pod dowództwem trzynastego.

Paganela nie dziwiło to bynajmniej; znał on statystykę argentyńską i wiedział, że w kraju tym przypada na każdą rodzinę przeszło po dziewięcioro dzieci; lecz bardziej go zajmowało to, że ci mali żołnierze musztrowali się na sposób francuski i wybornie wykonywali nabijanie karabinów na dwanaście poruszeń, a często nawet i komenda kaprala odbywała się w ojczystym języku uczonego geografa.

Lecz Glenarvan nie poto przyszedł do fortu Indépendance, aby się przypatrywać ćwiczeniom wojskowych niedorostków, lub zajmować się narodowością ich i pochodzeniem; nie zważając przeto na wykrzykniki Paganela, prosił go, aby się zajął raczej powzięciem od dowódcy garnizonu potrzebnych wiadomości. Jeden z żołnierzy argentyńskich pobiegł do małego domku, służącego za koszary, a w kilka minut potem sam komendant ukazał się we własnej osobie.

Był to człowiek mający około pięćdziesięciu lat, silny, barczysty, z miną wojskową, dużemi wąsami, kośćmi policzkowemi mocno wystającemi, siwiejącym włosem i spojrzeniem surowem, przynajmniej jak się zdawało przez gęste kłęby dymu, wydobywającego się z jego fajki, osadzonej na krótkim cybuszku. Całą postawą przypomniał Paganelowi ruchy i obejście się starych francuskich podoficerów.

Thalcave przedstawił komendantowi lorda Glenarvan i jego towarzyszy; przez cały ten czas komendant oka nie spuszczał z Paganela, który mocno tem zakłopotany, chciał już zapytać o powód tak natarczywego przypatrywania się, gdy dowódca chwycił go za rękę bez ceremonji i po francusku zawołał z radością:

— Pan jesteś Francuzem, nieprawdaż?

— Tak jest — odpowiedział Paganel.

— Ach, bardzo mi przyjemnie! Witajże, miły gościu, witaj! Ja także jestem Francuz — dodał komendant zepsutym akcentem, z siłą niepokojącą ściskając rękę uczonego.

— A to zapewne ktoś z twoich przyjaciół? — spytał major Paganela.

— Tak jest! — z dumą odpowiedział geograf. — Ma się przyjaciół we wszystkich pięciu częściach świata.

I nie bez trudności wydobywszy rękę z tej żywej, gniotącej ją śruby, wszedł już na dobre w rozmowę z komendantem. Glenarvan rad już był co najprędzej dowiedzieć się o tem, co go obchodziło, lecz wojak opowiadał swoją historję, i nie tak łatwo było zatrzymać go w zapale. Widoczną było rzeczą, że dzielny ten człowiek dawno już musiał opuścić Francję, bo niełatwo wysławiał się językiem ojczystym; a chociaż nie pozapominał jeszcze całkiem wyrazów, to przynajmniej trudno mu było zestawiać je z sobą i łączyć w porządną a zrozumiałą całość. Mówił tak prawie, jak mówią murzyni z kolonij francuskich.

I rzeczywiście, jak wkrótce sami podróżni o tem się dowiedzieli, komendant fortu Indépendance był sierżantem francuskim, dawnym towarzyszem Parchappe'a.

Od założenia fortu, to jest od roku 1828, nie opuścił go ani na chwilę, a obecnie sprawował w nim obowiązki komendanta z wielkiem zadowoleniem rządu argentyńskiego. Był to, jak powiedzieliśmy, człowiek pięćdziesięcioletni, Baskijczyk: nazywał się Manuel Ipharaguerre. W rok po przybyciu swojem do tego kraju sierżant Manuel naturalizował się, przyjął służbę w wojsku argentyńskiem i ożenił się z Indjanką, która karmiła wtedy parę bliźniąt półrocznych, rozumie się chłopców. Manuel nie pojmował innego stanu, jak żołnierski, i spodziewał się zczasem, przy Bożej pomocy, dać rzeczypospolitej całą kompanję młodych żołnierzy.

— Widziałeś ich! — powtarzał. — Widziałeś! zuchy, dobrzy żołnierze! Jose! Juan! Miquele! Pepe! Pepe siedmioletni, a już umie odgryźć ładunek!

Pepe, słysząc, że go chwalą, wyciągnął się, stanął frontem i sprezentował broń bardzo zręcznie.

— O! ten zajdzie daleko! — z dumą dodał stary sierżant, kiedyś będzie niezawodnie pułkownikiem lub brygadjerem.

Sierżant Manuel tak był zachwycony swem położeniem, że niepodobna było sprzeczać się z nim ani o pierwszeństwo rzemiosła żołnierskiego, ani o zaszczyty wojskowe, czekające potomstwo jego w przyszłości. Był szczęśliwy, a jak powiedział Goethe: „To, co nas czyni szczęśliwymi, nie jest złudzeniem".

Cała ta historja trwała przeszło kwadrans z wielkiem zadziwieniem Thalcave'a, który nie mógł pojąć, jakim sposobem tyle słów może wyjść z jednej krtani. Nikt nie przerwał komendantowi, ale ponieważ każdy sierżant, choćby nawet francuski, musi nareszcie kiedyś przestać mówić, więc i Manuel, zaprosiwszy uprzejmie swych gości do mieszkania, umilkł wkońcu. Podróżni zgodzili się na przedstawienie ich pani Ipharaguerre, która im się wydała „bardzo dobrą osobą", jeśli to wyrażenie starego świata da się zastosować do Indjanki.

Gdy już spełniono wszystko, czego żądał zacny sierżant, wówczas zkolei on znów zapytał swych gości, czemu zawdzięcza honor ich wizyty. Wypadało korzystać z takiego usposobienia.

Paganel po francusku opowiedział mu całą tę podróż przez pampę i wkońcu zapytał o powód, dla którego Indjanie kraj opuścili.

— Ach! tak... niema nikogo!.. — odpowiedział sierżant, wzruszając ramionami. — Tak, rzeczywiście, ani psa nie zobaczysz... my sami siedzimy spokojnie z założonemi rękami, nie mając nic do roboty.

— Ale dlaczegóż to?

— Wojna.

— Wojna?

— Tak, wojna domowa...

— Wojna domowa? — powtórzył Paganel zdziwiony.

— Tak jest, wojna pomiędzy Paragwajem a Buenos Ayres — odpowiedział sierżant.

— Więc cóż z tego?

— Wszyscy Indjanie są na północy z generałem Flores; a włóczęgi i zbójcy rabują tymczasem.

— A gdzież kacykowie?

— Kacykowie są z nimi.

— Jakto! Katriel?

— Niema Katriela.

— A Kalfukura?

— Ani Kalfukury.

— A Yanchetr?

— Yanchetra też niema.

Przy tej odpowiedzi zwrócił się do Thalcave'a, który skinął głową na znak potwierdzenia. W samej rzeczy Thalcave czy nie wiedział, czy zapomniał o wojnie domowej, dziesiątkującej obie części rzeczypospolitej, dopóki się w nią nie wdała Brazylja. Indjanie chętnie podtrzymują te walki wewnętrzne, w których zyskać tylko mogą na rabunku, a sierżant nie mylił się, podając za powód opuszczenia pampy wojnę domową, prowadzoną podówczas w północnych prowincjach argentyńskich.

Wypadek ten niszczył wszystkie zamiary Glenarvana. Jeżeli Harry Grant był niewolnikiem kacyków, to w takim razie zapędzony jest przez nich obecnie aż do granic północnych. Gdzież go więc tedy i w jaki sposób szukać? Czyż wypadało próbować poszukiwań niebezpiecznych i prawie bezpożytecznych, zapędzając się do północnych krańców pampy? Przedsięwzięcie to było zbyt ważne, aby je można bez głębokiej rozpoczynać rozwagi.

Gdy tak strapieni podróżni spoglądali po sobie w milczeniu, major tymczasem wypytywał sierżanta, czy nie słyszał o Europejczykach w niewoli u kacyków pampy.

Manuel zastanowił się chwilę, jakby sobie coś przypominał, a wkońcu rzekł:

— Tak, tak! Słyszałem! — rzekł wreszcie.

— Ach! — zawołał radośnie Glenarvan, któremu zabłysł nowy promyk nadziei.

Paganel, Mac Nabbs, Robert i lord Edward otoczyli sierżanta.

— Mów na Boga, mów prędzej — wołali, pożerając go wzrokiem.

— Już będzie temu lat kilka — odpowiedział Manuel — tak, tak... niewolnicy Europejczykowie... alem ich nigdy nie widział...

— Kilka lat — przerwał Glenarvan — mylisz się pan... Wiemy przecież, kiedy się rozbiła *Britannia,* okręt, na którym płynęli... Było to w czerwcu 1862 roku; niema więc jeszcze i dwu lat.

— Och, więcej milordzie.

— To być nie może! — zawołał Paganel.

— Upewniam was, że więcej! Było to przy urodzeniu się Pepe... mówiono o dwu ludziach.

— Nie, o trzech! — odezwał się Glenarvan.

— Dwu, powtarzam — odrzekł sierżant z naciskiem.

— Dwu! — szeptał Glenarvan zdziwiony — mówiono o dwu Anglikach?

— Bynajmniej — upierał się sierżant. — Któż tu mówi o Anglikach? Tam był jeden Francuz i jeden Włoch.

— Tego Włocha Pojusze zamordowali! — wtrącił Paganel.

— Tak, a Francuz uszedł, jak się póżniej dowiedziałem.

— Uszedł! — zawołał mały Robert, którego życie zawieszone było na ustach sierżanta.

— Tak, uszedł z rąk Indjan! — odrzekł Manuel.

Wszyscy z podziwieniem patrzyli na Paganela, z rozpaczą bijącego się w czoło.

— Ach, rozumiem — zawołał nareszcie — rozumiem, pojmuję! Wszystko się teraz wyjaśnia!

— Ale my nic nie rozumiemy — rzekł Glenarvan niespokojny i zniecierpliwiony.

— Moi przyjaciele — mówił Paganel, biorąc za rękę Roberta — z boleścią wyznać wam muszę, że fałszywą poszliśmy drogą. To, co poczciwy komendant opowiada nam w tej chwili, nie tyczy się bynajmniej kapitana, ale jednego z moich rodaków, którego towarzysz, Marco Vazello, rzeczywiście był przez Pojuszów zamordowany. Chodzi tu, jak powiadam, o Francuza, który po kilkakroć towarzyszył tym okrutnym Indjanom aż do brzegów Colorado, a który, uszedłszy później szczęśliwie z ich rąk, zdołał powrócić do Francji. Sądząc, że idziemy śladem Harry Granta, wpadliśmy na ślad młodego Guinnarda.

Wiadomość tę przyjęto w ponurem milczeniu. Błąd był widoczny. Glenarvan spoglądał na Thalcave'a, a wzruszenie malowało się na jego twarzy.

Indjanin zwrócił się do sierżanta francuskiego i wypytywał go, czy nie słyszał o trzech Anglikach w niewolę wziętych.

— Nie, nigdy nie słyszałem — odpowiedział Manuel... mówionoby o tem w Tandil... ja wiedziałbym z pewnością... Nie, to być nie może...

Po tak uroczystem zapewnieniu, Glenarvan nie miał już co robić w forcie Indépendance; opuścił więc to miejsce wraz ze swymi towarzyszami, podziękowawszy wprzód uprzejmemu sierżantowi za dobroć jego i gościnność.

Glenarvana do rozpaczy przyprowadzał ten zawód. Robert szedł za lordem, nic nie mówiąc, ale oczy miał łez pełne. Glenarvan nie miał go czem pocieszyć, Paganel rozmawiał sam z sobą, machając rękoma. Major zacisnął zęby bardziej niż zwykle, a Thalcave zdawał się być boleśnie dotknięty wstydem, że choć Indjanin, mógł zabłądzić i wejść na ślad fałszywy, jakkolwiek nikt nie myślał robić mu za to najmniejszego wyrzutu.

Powrócono do gospody.

Wieczerza była bardzo smutna. Rzecz pewna, że żaden z tych ludzi odważnych i pełnych poświęcenia nie żałował tylu trudów nadaremnie poniesionych, ale raczej swych błogich nadziei, rozwianych od jednego razu. I w rzeczy samej, czyż można się było spodziewać znaleźć kapitana Granta pomiędzy górą Tandil i morzem? Nie. Gdyby

jaki niewolnik popadł w ręce Indjan na wybrzeżach Atlantyku, sierżant Manuel wiedziałby o tem niezawodnie. Wypadek taki nie mógłby ujść baczności krajowców — prowadzących ciągły handel pomiędzy Tandilem a Carmen, przy ujściu Rio-Negro. Handlarze z płaszczyzny argentyńskiej wszystko wiedzą i nic zapewne w tajemnicy nie zachowują. Nie pozostawało zatem nic innego, jak połączyć się co najrychlej z *Duncanem* w umówionem miejscu przy cyplu Medano.

Paganel zażądał od Glenarvana dokumentu, na którego podstawie poszukiwania ich tak się nieszczęśliwie pobłąkały. Odczytywał go z gniewem źle utajonym — szukał w nim nowych wskazówek — badał, czy wiadomość w nim zawarta dobrze była zrozumiana.

— Dokument przecież bardzo jest jasny i wyraźny! — powtarzał Glenarvan — dokładnie opisuje rozbicie się okrętu kapitana Granta i miejsce dostania się jego do niewoli.

— Nie! — krzyknął geograf, uderzając silnie pięścią w stół — nie, nie i po tysiąc razy nie! Gdy Granta niema w pampie, to niema go i w Ameryce. Więc gdzież jest? Ten dokument powinien nam to powiedzieć i powie... albo ja się nie nazywam Jakób Paganel.

XXII.

POWÓDŹ.

Przestrzeń stu pięćdziesięciu mil oddziela fort Indépendance od wybrzeża Atlantyku (około sześćdziesięciu mil francuskich). Gdyby się nie nadarzyła jakaś ważna a nieprzewidziana przeszkoda, Glenarvan mógłby w ciągu czterech dni połączyć się z załogą *Duncana;* lecz nie mógł się oswoić z tą myślą, że wraca na pokład bez kapitana Granta, po bezskutecznych poszukiwaniach. Dlatego też następnego dnia nie on, ale major wydał rozporządzenia, potrzebne do odjazdu — zajął się osiodłaniem koni, odświeżeniem zapasów i ułożeniem marszruty. Dzięki jego czynności, o ósmej godzinie z rana podróżni zjeżdzali już z okrytych murawą zboczy gór Tandil.

Glenarvan, mając ciągle Roberta przy boku — jechał w milczeniu; śmiały i stanowczy jego charakter nie pozwalał mu spokojnie przenieść tego przykrego zawodu; serce biło mu gwałtownie, głowa pałała. Paganel, także nie w humorze, na wszystkie sposoby rozbierał wyrazy dokumentu — chcąc z nich wydobyć nowy jaki szczegół lub objaśnienie. Thalcave, milcząc, dozwolił koniowi iść podług instynktu. Na majora niepowodzenie żadnego widocznego nie wywarło wpływu. Tomasz Austin i dwaj jego majtkowie podzielali smutek i niezadowo-

lenie swego pana. W pewnej chwili, gdy spłoszony zając przebiegł im drogę, przesądni Szkoci spojrzeli po sobie.

— Zły to znak — rzekł Wilson.

— Tak twierdzą w naszych stronach — odpowiedział Mulrady.

— Co tam jest złe, nie może być dobre i tutaj — sentencjonalnie dodał Wilson.

Około południa podróżni zjechali z gór i ujrzeli przed sobą obszerną równinę, ciągnącą się aż do morza. Co krok prawie napotykali czyste wody rzek, przerzynających tę żyzną krainę i ginących wśród bujnych pastwisk. Grunt odzyskiwał normalną swą poziomość, jak ocean po burzy. Przebyto ostatnie góry pampy i już tylko monotonna łąka rozpościerała się przed końmi.

Aż dotąd pogoda stale sprzyjała, lecz tego dnia niebo przybrało pozór niepokojący. Poprzednie dni gorące nagromadziły w powietrzu wiele pary, ktra się teraz zebrała w ciężkie chmury, zapowiadające deszcz ulewny. Prócz tego bliskość Atlantyku i zachodni wiatr, stale tam panujący, utrzymywały ciągłą wilgoć, co zresztą okazywało się i z urodzajności ziemi i z tłustości jej pastwisk niezmiernych. Pogoda, choć pochmurna, dotrzymała wszakże do wieczora, a konie, przebywszy przestrzeń czterdziestu przeszło mil, zatrzymały się nad brzegiem głębokich „canadas", to jest jarów, wypełnionych wodą. Nigdzie nie było najmniejszego schronienia; okrycia podróżnych musiały im służyć i za namioty i za kołdry; noc przepędzono pod zachmurzonem i burzą grożącem niebem. Na szczęście jednak, na groźbie się wszystko skończyło.

Następnego dnia, w miarę zniżania się poziomu gruntu, zaczęły występować widome ślady wód podziemnych, zewsząd się wydobywających. Wkrótce też drogę na wschód przerzynać poczęły to utworzone już, to tworzące się dopiero stawy. Dopóki szło o te jary, wodą napełnione, zbiorowiska wód dobrze odgraniczone i niezarosłe, podróż szła bardzo dobrze; ale niebawem zaczęły się rozległe trzęsawiska, zarosłe trawą i wodnem zielskiem; niebezpieczeństwo stawało się wówczas dopiero jasne, gdy się nań narażono. Niejedno stworzenie zginęło w tych roztopach. Robert, który się wysunął znacznie naprzód, wrócił pośpiesznie, wołając, że spotkał las, w którym rosną rogi. Istotnie spotkano wkrótce ogromną przestrzeń, jakby usianą rogami, które należały do zatoniętych tam setkami wołów. Thalcave zwrócił na to uwagę podróżnych i ostrzegł, aby się mieli na baczności ze swemi końmi. Okrążono więc to uroczysko śmierci, mogące zadowolić najbardziej nawet wymagające bóstwa starożytności. Kosztowało to podróżnych godzinę całą drogiego czasu.

Thalcave z pewnym niepokojem spoglądał na okolicę. Stawał często, wspinając się na strzemionach, a ponieważ był bardzo wysoki, mógł przeto wielki widnokrąg ogarniać wzrokiem; lecz, nie widząc nic, coby go objaśnić mogło, popędził konia dalej. Ujechawszy je-

szcze milę — zatrzymał się znowu, a zbaczając z drogi, którą postępowali, odjeżdżał daleko już to na północ, już na południe — i wracał znowu, nie mówiąc słowa o tem, czego się obawiał, lub czego pragnął. Postępowanie to, kilkakrotnie powtórzone, zaciekawiło Paganela i niepokoiło Glenarvana; geograf przeto zaczął badać przewodnika.

Thalcave odpowiedział, że dziwi go, iż równina wszędzie przesiąknięta jest wodą; nigdy bowiem, jak pamięta i jak trudni się rzemiosłem przewodnika, nie zdarzyło mu się jechać po gruncie tak wilgotnym, bo nawet w porze wielkich deszczów prowincja argentyńska przedstawiała przejścia bezpieczne.

— Jakaż przyczyna tej wzrastającej coraz bardziej wilgoci? — zapytał Paganel.

— Nie wiem — odpowiedział Indjanin — a gdybym wiedział...

— Czyż górne rzeki wezbrane po deszczach nie wylewają nigdy?

— Niekiedy.

— A może i teraz?

— Być może — odrzekł Thalcave.

Paganel musiał poprzestać na tej półodpowiedzi i powtórzył Glenarvanowi swą rozmowę.

— A cóż Thalcave uczynić radzi? — zapytał Glenarvan.

— Jechać co najprędzej — odpowiedział Indjanin, zapytany przez Paganela.

Łatwiej było radzić, niż radę wykonać. Konie trudziły się nadzwyczajnie, postępując po gruncie uginającym się pod niemi: grunt zniżał się coraz więcej; była to kotlina, którą natychmiast zalałyby napływające wody. Trzeba więc było jak najśpieszniej przejechać tę okolicę, bo najmniejszy wylew zagrażał zamienieniem jej odrazu w jezioro.

Przyśpieszono kroku — lecz nie skończyło się na wodzie, wydobywającej się z pod nóg końskich. Około drugiej godziny lunął gwałtowny deszcz podzwrotnikowy; zdawało się, że niebo otwarło swe stropy. Nie było sposobu ujść przed tym potopem; na podróżnych ani jedna sucha nitka nie została, a z kapeluszy się lało jak z rynien zapchanych; konie bryzgały na podróżnych wodą, roztrącaną kopytami. Podróżni byli we dwie wody wzięci: z góry i z dołu.

Tak tedy przemokli, zziębnięci i znękani trudami — przybyli wieczorem do bardzo lichej zagrody, gdzie zaledwie jako tako pomieścić się mogli. Nie było jednak w czem wybierać — rozlokowali się przeto z wielką biedą w tej szopie opuszczonej, którą pogardziłby zapewne najuboższy nawet Indjanin z pampy. Z niemałym trudem rozpalono trochę trawy, z której więcej było dymu niż ciepła. Deszcz lał jak z cebra, a na głowę podróżnych spadały gęste krople przez

dach nadgniły. Mulrady i Wilson czuwali ciągle, aby powstrzymać wdzierającą się wodę i nie dopuścić do zalania ognia.

Smutnie spożyto skromną i niezbyt posilną wieczerzę. Nikomu się jeść nie chciało; jeden tylko major jadł ze smakiem, jako wyższy nad wypadki. Paganel, jako Francuz — próbował nadrabiać żartami, ale mu jakoś nie szło, zdecydował więc wkońcu, że mu humor zamókł.

Nie było nic lepszego do roboty, jak iść spać. Noc jednak przeszła niespokojnie; ściany schronienia trzeszczały ciągle i pochylały się za każdem silniejszem zahuczeniem wichru, za każdą mocniejszą falą — jęczały biedne konie, stojąc na odkrytem powietrzu; ludziom też nie o wiele lepiej było w ich schronieniu; ale znużenie przemogło i usnęli, Robert najpierwszy zmrużył oczy, oparłszy głowę na ramieniu Glenarvana; niezadługo też reszta podróżnych zasnęła pod opieką Boga.

I widać, że Niebo w rzeczy samej opiekowało się nimi, bo noc przeszła bez wypadku. Thauka rozbudził ich mocnem rżeniem; poczciwe zwierzę, jakby chcąc panów swych do obowiązku przywołać — uderzało silnie kopytem w ścianę ich schronienia; umiało zastąpić swego pana w nagleniu do podróży. Posłuszni mu byli podróżni.

Deszcz zmniejszył się nieco. Na ziemi jednak, nasyconej wodą, potworzyły się zalewy i jeziora niewiadomej głębokości. Paganel, badając swą mapę, nie bez słuszności może wnioskował, że dwie rzeki, Grande i Vivarota, do których zazwyczaj spływały wody tej płaszczyzny — musiały zlać się w tej chwili i płynąć korytem szerokiem na mil kilka.

Niezbędny był pośpiech nadzwyczajny: on jedynie mógł ocalić od grożącego zalewu. Jak oko zasięgnąć mogło — nigdzie nie można było dojrzeć najmniejszej wyniosłości, a więc tę poziomą równinę woda bardzo szybko zalać mogła.

Wypuszczono zatem konie, co sił starczyło. Thauka szedł na przedzie i bardziej niż niektóre o niedołężnych pletwach zwierzęta ziemnowodne zasługiwał na nazwę konia morskiego; skakał jakby był w swym żywiole.

Nagle, około dziesiątej godziny z rana, Thauka widocznie niepokoić się począł; — rozglądał się on często po niezmiernych płaszczyznach, leżących w stronie południowej, rżał przeciągle, nozdrzami silnie wciągał powietrze i wspinał się gwałtownie. Thalcave z trudnością go powstrzymywał. Piana z krwią pomieszana, wskutek ściągania wędzidła, okryła cały pysk biednego zwierzęcia, które jednak nie uspokajało się, a pan jego wiedział dobrze, że gdyby miało swobodę, uciekłoby co prędzej w stronę północną.

— Co się stało twemu koniowi? — zapytał Paganel — czy go kąsają żarłoczne pijawki wód argentyńskich?

— Nie — odpowiedział Indjanin.

— Czy obawia się jakiego niebezpieczeństwa?

— Tak — przeczuł niebezpieczeństwo...

— Jakie?

— Nie wiem.

Jakkolwiek wzrok nie ostrzegał jeszcze o niebezpieczeństwie, które odgadł Thauka wrodzonym instynktem, ucho jednak już mogło pochwycić jego objawy. Jakiś szmer głuchy, podobny do odgłosu dającego się słyszeć podczas przypływu morza, dochodził z poza granic widnokręgu. Od strony morza dął wiatr, przesycony wilgocią i tumanami wody; ptaki, ulatując przed nieznanem sobie zjawiskiem, szybko pruły powietrze; konie, do kolan brodzące w wodzie, uczuwać poczęły pierwsze dotknięcie prądu. Niedługo potem, z odległości pół mili na południe — słyszeć się dały pomieszane ryki, beczenie, rżenie i wycie niezliczonych stad, w nieładzie i największem przerażeniu uciekających z szybkością nadzwyczajną. Wśród tumanu wodnistego, wywołanego ich biegiem, zaledwie rozpoznać je było można. Sto najtęższych wielorybów nie potrafiłoby z większą gwałtownością wzburzyć fal oceanu.

— *Anda! anda!*[1] — wołał Thalcave silnym głosem.

— Co to jest? — zapytał Paganel.

— Powódź! powódź! — krzyczał Thalcave, dając ostrogę swemu koniowi, i zwracając go w stronę północną.

— Powódź! — powtórzył Paganel i zwrócił się pędem z towarzyszami wślad za rumakiem Patagończyka.

I dobrze się stało. Z odległości niewięcej jak pięciu mil angielskich na południe, toczyła się wysoka i szeroka nawałnica, zamieniająca pola w ocean. Ogromne trawy niknęły jakby skoszone; pęki mimoz, wyrwane prądem, spływały, tworząc jakby wysepki; woda przybierała coraz gwałtowniej; zdawało się, że wszystkie rzeki pampy wystąpiły z brzegów i że nawet wody płynącej na północy rzeki Colorado i płynącej na południu rzeki Negro zlały się tutaj, do jednego łożyska.

Powódź postępowała z szybkością konia wyścigowego; podróżni uciekali przed nią jak chmura, wiatrem burzliwym pędzona, oko napróżno szukało schronienia. Na widnokręgu niebo stykało się z wodą, konie, przeczuwające niebezpieczeństwo, pędziły szalonym galopem, a jeźdźcy zaledwie na siodłach utrzymać się mogli. Glenarvan często poza siebie się oglądał.

— Woda nas dościga — myślał z trwogą w duszy.

— *Anda! anda!* — krzyczał Thalcave z całej siły.

I bardziej jeszcze naglono zwierzęta nieszczęśliwe, którym i tak już z boków, ostrogami poszarpanych, krew płynęła obficie. Biedne koniska to potykały się często w jamach ziemi, to znów plątały się

---

[1]) Prędko! prędko!

w zielskach; a woda tymczasem wciąż przybierała, zapowiadając zbliżanie się straszliwej, pieniącej się fali.

Przez kwadrans cały trwała ta ucieczka przed najstraszniejszym z żywiołów. Podróżni nie umieli obliczyć przestrzeni przebytej, która jednakże, sądząc po tak szybkim biegu, musiała być dość znaczna. Tymczasem konie, brnąc po piersi, z ogromnym wysiłkiem zaledwie posuwały się naprzód. Glenarvan, Paganel i Austin byli pewni śmierci takiej, jaka na morzu spotyka rozbitków: konie ich nie dostawały już niekiedy kopytami gruntu, a do zupełnego ich zatopienia dość było sześciu stóp wody.

Niepodobna opisywać trwogi tych ośmiu ludzi, czujących swą bezsilność wobec walki z takim okropnym kataklizmem przyrody, pokonywającym wszelką siłę ludzką. Ocalenie się nie od nich już zależało.

W pięć minut później konie już płynęły; sam prąd unosił je z nadzwyczajną gwałtownością, równą galopowi, co znaczy przeszło dwadzieścia mil angielskich na godzinę. Już wszelki ratunek zdawał się niemożliwym, gdy nagle major zawołał:

— Drzewo!

— Tam, tam! — potwierdził Thalcave, ukazując palcem w odległości ośmiuset może sążni drzewo z gatunku olbrzymiego orzecha, wznoszące samotnie swój wyniosły wierzchołek z pośrodka wód.

Wszyscy zrozumieli odrazu, że drzewo to jedyną było dla nich nadzieją ratunku, i bądź co bądź dostać się do niego wypadało koniecznie; konie zapewne nie zdołałyby już tam dopłynąć, ale ludzie, pędzeni siłą prądu, mogli go dosięgnąć.

W tej chwili koń Austina zarżał głucho i znikł; pan jego, uwolniwszy nogi ze strzemion, począł płynąć usilnie.

— Uchwyć się za moje siodło! — wołał Glenarvan.

— Dziękuję Waszej Dostojności — odpowiedział Austin — mam silne ręce.

— A twój koń, Robercie?... — rzekł znowu Glenarvan, obracając się ku młodemu Grantowi.

— Idzie, milordzie — idzie! — Płynie jak ryba!

— Baczność! — krzyknął major głosem grzmiącym.

W tejże chwili bałwan potworny, wysokości jakich stóp czterdziestu, z niesłychanym szumem zwalił się na uciekających. Ludzie i zwierzęta znikli w odmęcie piany; masa płynna, ważąca pewne kilka miljonów tonn, porwała ich w swe objęcia.

Gdy fala przeszła, ludzie wypłynęli na powierzchnię i zliczyli się szybko; z koni, prócz Thauki z siedzącym na nim jego panem, wszystkie przepadły w otchłani.

— Śmiało! — śmiało! — powtarzał Glenarvan, podtrzymując jedną ręką Paganela, a płynąc drugą.

— Nie bój się, milordzie! — odpowiedział zacny mędrzec — idzie wybornie! a nawet nie gniewam się wcale...

O co się nie gniewał? — tego już nikt i nigdy nie mógł się dowiedzieć, gdyż resztę zdania szanowny geograf połknął wraz z kwartą może wody zamulonej. Major, jako wyborny pływak, sunął spokojnie po wodzie, majtkowie byli w swym żywiole. Poczciwy Thauka unosił za sobą przyczepionego do jego grzywy Roberta, płynąc stale w kierunku drzewa, ku któremu prąd go unosił.

Drzewo było już tylko o dwadzieścia najdalej sążni i w kilka minut podróżni dostali się do niego. I w samą porę, bo gdyby nie to, znaleźliby niezawodną śmierć w falach, które dochodziły już do pierwszych pnia gałęzi; tem łatwiej można było je pochwycić. Thalcave, porwawszy Roberta, wdrapał się z nim na drzewo pierwszy, a następnie wciągał innych, już zbyt osłabionych.

Lecz Thauka, uniesiony prądem fali, oddalał się szybko; zwracał on często głowę ku swemu panu, potrząsał długą grzywą i rżał, jakby wzywając jego pomocy.

— Opuszczasz to poczciwe stworzenie? — spytał Paganel Indjanina.

— Ja? — zawołał Thalcave.

To rzekłszy, dał nurka i wypłynął dopiero o dziesięć sążni od drzewa.

W chwilę potem trzymał już rękę na szyi wiernego swego rumaka i wraz z nim płynął ku zamglonemu widnokręgowi północy.

XXIII.

ŻYCIE NA DRZEWIE.

Drzewo, na którem Glenarvan i jego towarzysze znaleźli schronienie, podobne było do orzecha z liści połyskujących i kształtu okrągławego; rzeczywiście zaś był to tak zwany „ombu", rosnący samotnie na równinach argentyńskich. Drzewo to, o pniu krzywym i ogromnym, do gruntu przytwierdzone jest nietylko dużemi korzeniami, ale jeszcze i silnemi latoroślami, jakie z siebie wypuszcza; dlatego też wytrzymało gwałtowność powodzi.

Ten *ombu* miał wysokości około pięćdziesięciu łokci, a rzucał cień wokoło siebie na sześćdziesiąt sążni. Całe to wiązanie gałęzi spoczywało na trzech grubych konarach, wyrastających z wierzchołka pnia, mającego sześć stóp szerokości. Dwie z tych gałęzi sterczały prawie prostopadle, dźwigając ogromny z liści parasol, którego gałązki misternie, jakby ręką zręcznego koszykarza powiązane i po-

krzyżowane, tworzyły schronienie prawie nieprzeniknione. Trzecia gałąź przeciwnie miała położenie prawie poziome ponad wodami szumiącemi, w których kąpały się jej listki najniższe; przedstawiała ona jakoby wysunięty przylądek tej wyspy zieloności, otoczonej oceanem. Wewnątrz tego olbrzymiego drzewa było dosyć miejsca. Patrząc na ten ogrom gęsto rozrośniętych gałęzi, wyniesionych prawie pod obłoki i pnącemi się liściami splątanych w jedną całość, przez którą się przeciskało światło słoneczne, możnaby powiedzieć, że pień tego ogromnego ombu dźwigał las cały na sobie.

Za przybyciem podróżnych, skrzydlaci mieszkańcy drzewa ulecieli na najwyższe rozgałęzienia, głośnemi krzykami protestując przeciw temu najściu ich mieszkania. Mnóstwo było tam tego ptactwa, szukającego także schronienia przed powodzią: gdy zaś wzleciały w powietrze, zdawało się, że silniejszy powiew wiatru obnażał drzewo ze wszystkich jego kwiatów.

Takie to schronienie znaleźli towarzysze Glenarvana. Młody Grant i zręczny Wilson wdrapali się zaraz na najwyższe gałęzie, pośrodku zielonego sklepienia z liści utworzonego. Z tego wyniosłego punktu wzrok obejmował obszerny widnokrąg. Ocean powodzią utworzony otaczał drzewo ze wszech stron. Na całej płaszczyźnie zalanej żadnych innych nie widać było drzew, prócz tych, które z korzeniami wyrwane płynęły, niosąc na sobie żywe zwierzęta, szukające schronienia przed straszną klęską, lub też szczątki zatopionych stad, gdy te wyratować się nie zdołały. W oddaleniu czerniał punkcik jakiś niewielki, który zwrócił uwagę Wilsona: był to Thalcave i wierny jego koń, Thauka.

— Thalcave! Thalcave! Nasz przyjaciel — wołał Robert, wyciągając ręce ku odważnemu Patagończykowi.

— Da on sobie radę, panie Robercie! — my zejdźmy do Jego Dostojności.

W chwilę potem Robert Grant i Wilson szybko i zręcznie przebiegli trzy kondygnacje gałęzi i doszli do wierzchołka pnia, gdzie Glenarvan, Paganel, major, Austin i Mulrady siedzieli na gałęziach w najrozmaitszych postawach; wszyscy zgodzili się na to, że się Indjanin wyratuje, i jedną tylko mieli wątpliwość, kto kogo ocali: czy koń jeźdźca, czy jeździec konia?

Położenie tych, którzy się schronili na drzewie, było gorsze. Wprawdzie ombu mógł wytrzymać parcie prądu, jednak powódź, wzmagającą się ciągle, mogła dosięgnąć i najwyższych gałęzi. Glenarvan kazał urządzić miarkę z drzewa, nacinaną karbami, na której obserwował wciąż podnoszenie się wody; woda jednak przestała już przybierać. I to było już pociechą.

— A teraz cóż zrobimy? — zapytał Glenarvan.

— Uścielemy sobie gniazdko! — odrzekł wesoło Paganel.

— Co za gniazdko? — odezwał się Robert.

— Zwykłe gniazdko, mój chłopcze; tak, ulepmy sobie gniazdko i zacznijmy żyć po ptasiemu, gdy nie możemy żyć, jak ryby w wodzie.

— Dobrze — rzekł Glenarvan — ale któż naszym dziobkom dostarczy pożywienia?

— Ja — odpowiedział Mac Nabbs.

Wszystkich oczy zwróciły się na majora, który, siedząc rozparty wygodnie w krześle naturalnem, utworzonem przez dwie giętkie gałęzie, podawał jedną ręką swoje sakwy przemokłe wprawdzie, ale dobrze wypchane.

— Ach, majorze! — zawołał Glenarvan. — Uwielbiam twą przytomność umysłu; pamiętasz o wszystkiem w takich nawet chwilach, gdy o wszystkiem zapomnieć wolno.

— Skoro postanowiliśmy ocalić się od zatopienia — odpowiedział major — to zapewne nie dlatego, aby umrzeć z głodu.

— Jabym także był o tem pomyślał — rzekł naiwnie Paganel— ale jestem tak roztargniony!

— Cóż zawierają te sakwy? — zapytał Tomasz Austin.

— Żywność dla siedmiu ludzi — na całe dwa dni — odpowiedział Mac Nabbs.

— Wybornie, wybornie! — powtarzał Glenarvan — spodziewam się, że do jutra woda znacznie opadnie.

— Albo też, że znajdziemy sposób wydostania się na ląd suchy — dodał Paganel. — Przedewszystkiem więc zabierzmy się do śniadania.

— Osuszywszy się jednak wprzódy — zauważył major.

— A skąd wziąć ognia?

— Trzeba rozniecić — odrzekł Paganel.

— Gdzie?

— Na wierzchołku pnia.

— Z uschłych gałęzi, które poobcinamy z drzewa.

— Ale skąd dostać ognia? — pytał Glenarvan. — Nasza hupka podobna jest do gąbki wodą nasiąkniętej.

— Obejdziemy się bez hupki! — oświadczył Paganel. — Trochę mchu suchego, jeden promyk słońca, sprowadzony zapomocą soczewki, wyjętej z mojej lunety, a zobaczycie, przy jakim to ja się ogrzewam ogniu. Kto idzie po drzewo do lasu?

— Ja! — zawołał Robert — i wraz z Wilsonem znikli pomiędzy gęstwiną gałęzi, jak dwa młode koty; Paganel tymczasem nazbierał dostateczną ilość mchu suchego, który z łatwością zapalił zapomocą soczewki, podłożywszy naprzód liści mokrych, aby się drzewo od płomienia nie zajęło. Wkrótce też Robert z Wilsonem dorzucili do ognia dość sporą wiązkę uzbieranego chróstu. Buchnął ożywczy płomień z tego kominka zaimprowizowanego; ludzie strudzeni poczęli się suszyć, a poncha ich, porozwieszane na gałęziach drzewa, bujały za każdem wiatru poruszeniem. Posilono się potem śniadaniem,



Błyskawice w najdziwaczniejszych objawiały się kształtach...
(str. 155).

nie zapominając jednak i o jutrze, bo zapasy były nader skromne, a wody mogły nie opaść tak prędko, jak się spodziewał i pragnął Glenarvan! Ombu nie wydawał żadnego owocu, ale zato w licznych gniazdach, znajdujących się na nim, zdobyto mnóstwo jaj i piskląt wszelkiego gatunku ptactwa, co było nabytkiem nader pożądanym.

W przewidywaniu dłuższego pobytu w tem przymusowem schronieniu, potrzeba było pomyśleć o wygodniejszem jego urządzeniu.

— Ponieważ kuchnię i pokój jadalny mamy na dole — mówił Paganel, sypiać przeto będziemy na pierwszem piętrze; dom jest obszerny komorne niedrogie — niema sobie czego żałować. Tam w górze natura sama przygotowała kołyski, w których przywiązawszy się dobrze, spać możemy jak w najlepszem łóżku. Obawiać się też niema czego, jest nas bowiem tylu, że odeprzeć potrafimy każdy napad Indjan lub innych dzikich zwierząt.

— Tylko nam broni brakuje — rzekł Tomasz Austin.

— Mam moje rewolwery — odpowiedział Glenarvan.

— Na cóż się one przydadzą — zauważył Tomasz Austin — skoro pan Paganel nie umie fabrykować prochu?

— To jest zbyteczne — rzekł Mac Nabbs, pokazując swoją ładownicę w jak najlepszym stanie.

— Skądże to masz, majorze? — spytał Paganel.

— Od Thalcave'a. Pomyślał on zapewne o tem, że proch może nam się przydać, i oddał mi go, nim rzucił się do wody na ratunek swego rumaka.

— Szlachetny i dzielny człowiek z tego Indjanina! — zawołał Glenarvan.

— Zapewne — dodał Tomasz Austin — jeśli wszyscy tutejsi mieszkańcy są tacy jak on, to uwielbiać należy Patagonję.

— Jak daleko jesteśmy od Atlantyku? — spytał major.

— Najdalej o czterdzieści mil — odrzekł Paganel. — A teraz, kochani przyjaciele, ponieważ każdemu wolno jest robić, co mu się podoba, pozwólcie przeto, że opuszczę was na chwilę; radbym sobie tam na samym wierzchołku urządzić obserwatorjum, z którego przy pomocy mej lunety mógłbym was ciągle uwiadamiać o tem, co się dokoła nas dzieje.

Nikt nie sprzeciwiał się uczonemu geograowi, który, bardzo zręcznie drapiąc się z gałęzi na gałąź, znikł wkrótce poza gęstą zasłoną liści.

Towarzysze jego zajęli się wtedy urządzeniem i przygotowaniem łóżek. Robota była niedługa i łatwa, bo ani kołder nie trzeba było przysposabiać, ani mebli ustawiać; wkrótce też wszyscy powrócili do ogniska.

Zaczęła się rozmowa, ale już nie o położeniu obecnem, które bądź co bądź cierpliwie znosić było trzeba; tym razem powrócono do niewyczerpanego przedmiotu rozmowy o losie kapitana Granta. Jeśli wody opadną i ustąpią, to *Duncan* za trzy dni ujrzy podróżnych na swym pokładzie, ale nie będzie tam biednych rozbitków: Granta i jego dwu majtków. Teraz nawet, po owem bezskutecznem przejściu Ameryki, zdawało się, że wszelka nadzieja odszukania ich stanowczo już jest stracona. Gdzież bowiem nowe zwrócić poszukiwania? A z drugiej znowu strony, jakże odjąć całkowitą nadzieję lady Hele-

nie i Marji Grant, niecierpliwie oczekującym na pomyślne wiadomości o losie wyprawy?

— Biedna moja siostra! — rzekł z westchnieniem Robert. — Wszystko już dla nas stracone.

Glenarvan po raz pierwszy nie znalazł ani jednego słówka pociechy; bo i jakąż nadzieję mógł robić biednemu dziecku, gdy ze swej strony uczynił wszystko, co mógł, idąc za wskazówkami dokumentu z najściślejszą skrupulatnością.

— A jednakże — mówił — ten trzydziesty siódmy równoleżnik nie jest bynajmniej cyfrą urojoną. Czy się tyczy miejsca rozbicia statku, czy też miejsca niewoli Granta, trudno odgadnąć; mimo to zaznaczony jest jak najwyraźniej.

— Wszystko to prawda — odpowiedział Tomasz Austin — a jednak poszukiwania nasze całkiem się nie powiodły.

— Gniewa mnie to i do rozpaczy doprowadza! — zawołał Glenarvan.

— Gniewać może, na to się zgadzam — rzekł Mab Nabbs powolnie — ale desperować i tracić nadziei niema czego; właśnie dlatego, że widzieliśmy i odczytaliśmy tę cyfrę niezaprzeczoną, wypada do końca wyczerpnąć wszystkie jej wskazówki.

— Nie rozumiem cię, majorze — odparł Glenarvan — cóż przeto pozostaje nam uczynić?

— Rzecz bardzo prostą i logiczną, mój kochany Edwardzie. Gdy się dostaniemy na pokład *Duncana,* pozostawmy przylądek na wschód od nas, a płyńmy znowu w kierunku tego trzydziestego siódmego stopnia, choćby nam przyszło dojechać do punktu, z któregośmy wypłynęli.

— Sądzisz więc majorze, iż o tem już nie myślałem? — odrzekł Glenarvan. — Owszem, mało sto razy; ale jakąż tu mamy szansę powodzenia? Opuścić ląd Ameryki, nie jestże to oddalić się od miejsca, które nam wskazuje sam Harry Grant, nie jestże to odsunąć się od Patagonji, tak jasno i wyraźnie w dokumencie nazwanej!

— Chcesz więc na nowo rozpocząć poszukiwania twe w pampie? — spytał major — kiedy nie mamy pewności, czy *Britannia* uległa rozbiciu na brzegach oceanu Spokojnego, czy na wybrzeżach Atlantyku?

Glenarvan nic nie odpowiedział.

— A jakkolwiek słaba jest szansa odnalezienia kapitana Granta, gdybyśmy podążyli w kierunku równoleżnika przezeń wskazanego, czyż nie powinniśmy próbować?

— Nie zaprzeczam temu — odrzekł Glenarvan.

— A wy, moi przyjaciele — dodał major, zwracając się do marynarzy — czy nie podzielacie mego zdania?

— Zupełnie — odpowiedział Tomasz Austin, a Mulrady i Wilson odpowiedź tę potwierdzili niemem skłonieniem głowy.

— Słuchajcie, moi przyjaciele — rzekł znowu Glenarvan po chwili namysłu — ty szczególniej, Robercie, uważaj dobrze, bo rozmowa ta jest bardzo dla nas i dla ciebie ważna. Zrobiłbym wszystko dla odszukania kapitana Granta; wziąłem się do tego i życiebym własne poświęcił, gdyby tego była potrzeba. Cała Szkocja połączyłaby się ze mną, aby ocalić życie człowieka, który z siebie ofiarę zrobił dla sławy swej ojczyzny. Ja sam jestem tego przekonania, że chociaż słabą mamy nadzieję, powinniśmy jednak świat cały opłynąć dokoła, pilnując się wskazanego nam trzydziestego siódmego równoleżnika; powinniśmy, powtarzam, zrobić to — i zrobimy. Lecz nie o to chodzi jedynie; ważniejsze nierównie nastręcza nam się pytanie, czy powinniśmy stanowczo i tak zaraz zaniechać wszelkich dalszych poszukiwań na lądzie amerykańskim?

Kwestja, tak kategorycznie postawiona, pozostała bez odpowiedzi. Nikt nie śmiał się odezwać.

— Cóż wy na to? — pytał Glenarvan, zwracając się głównie do majora.

— Mój kochany Edwardzie — odrzekł Mac Nabbs — na wielką można się narazić odpowiedzialność, odpowiadając ci: tak, lub nie. Tu potrzeba namysłu. Przedewszystkiem chciałbym wiedzieć, przez jakie miejsca przechodzi trzydziesty siódmy stopień szerokości południowej?

— To już jest rzecz Paganela — odrzekł Glenarvan.

— Spytajmyż go zatem.

Uczony geograf ukrył się cały w gęstwinie liści; trzeba go było wołać.

— Paganel! Paganel! — krzyknął Glenarvan.

— Jestem! — odpowiedział głos z góry.

— Gdzie jesteś?

— W mojej wieży.

— Co tam robisz?

— Badam niezmierzony widnokrąg.

— Czy możesz zejść na chwilę?

— Jeśli mnie potrzebujecie...

— Tak.

— Naco?

— Chcemy się od ciebie dowiedzieć, przez jakie kraje przechodzi trzydziesty siódmy równoleżnik.

— Nic łatwiejszego — odpowiedział Paganel — nie potrzebuję nawet schodzić na dół, aby wam to powiedzieć.

— Słuchamy.

— Opuszczając Amerykę, trzydziesty siódmy równoleżnik południowy przerzyna ocean Atlantycki.

— Cóż dalej?

— Po drodze spotyka wyspy Tristan d'Acunha.

— Dobrze.

— Przechodzi o dwa stopnie na południe od przylądka Dobrej Nadziei.

— A potem?

— Biegnie przez ocean Indyjski.

— Następnie...

— Dotyka wyspy św. Piotra z gromady wysp Amsterdamskich, przerzyna Australję w prowincji Wiktorja.

— A dalej?

— Wychodząc z Australji...

Nie dokończył tego zdania. Czy wahał się uczony geograf, czy też nie wiedział może? Ani jedno, ani drugie. Nagle z wierzchołka drzewa dał się słyszeć krzyk przeraźliwy, gwałtowny. Glenarvan i jego towarzysze zbledli, spojrzawszy po sobie. Czyby nowa jaka groziła im katastrofa, czy też biedaczysko Paganel spadł może z drzewa? Już Wilson i Mulrady śpieszyli mu na pomoc, gdy ukazał się długi korpus uczonego geografa. Paganel zsuwał się z gałęzi na gałąź, nie mogąc rąk o nic zaczepić. Czy żył jeszcze, czy też był już martwy? — trudno odgadnąć — ale z pewnością byłby wpadł do wody, gdyby go major nie pochwycił i nie wstrzymał silną ręką.

— Bardzo ci dziękuję, majorze! — zawołał uratowany.

— Cóż to jest, co ci się stało? — pytał major. — Czy nowe jakie roztargnienie?

— Tak, tak! — powtarzał Paganel, głosem ze wzruszenia stłumionym. — Tak! roztargnienie... fenomenalne tym razem!

— Nic nie rozumiem, Paganelu.

— Omyliliśmy się! Mylimy się jeszcze! Mylimy się ciągle!

— Wytłumacz się jaśniej.

— Lordzie Glenarvan, majorze, Robercie, przyjaciele moi — wołał Paganel — powiadam wam, że jesteśmy w błędzie, bo szukamy kapitana Granta tam, gdzie go niema!

— Co to ma znaczyć? — pytał zdumiony Glenarvan.

— Tak jest, powtarzam raz jeszcze, że nietylko niema go tu, ale nawet nigdy tu nie był.

XXIV.

JESZCZE ŻYCIE NA DRZEWIE.

Słowa te zdziwiły wszystkich. Co Paganel przez nie rozumiał? Czy rozum stracił? Jednakże mówił z taką pewnością, że oczy wszystkich zwróciły się na Glenarvana. Twierdzenie to Paganela było pośrednią odpowiedzią na rzucone przez lorda zapytanie. Glenarvan

wszakże poruszył przecząco głową, lecz Paganel, umiejący panować nad sobą, spokojnym głosem w te odezwał się słowa:

— Tak, tak, przyjaciele moi, pomyliliśmy się w naszych poszukiwaniach. Wyczytaliśmy w dokumencie to, czego tam wcale niema.

— Wytłumacz się jaśniej, Paganelu — rzekł major — nikt cię nie rozumie.

— To rzecz bardzo jasna, majorze kochany. Byłem w błędzie jak wy; z wami razem byłem w błędzie, aż dopiero przed chwilą, gdym odpowiadał na wasze zapytania z wysokości tego drzewa i zatrzymałem się na wyrazie „Australja", błyskawica rozświeciła mój umysł i....

— Jakto? — zawołał Glenarvan. — Więc utrzymujesz, że Harry Grant...

— Utrzymuję — odpowiedział Paganel — i przekonany jestem, że wyraz *austral*, znajdujący się w dokumencie, nie jest wyrazem całkowitym, jak to sądziliśmy dotąd, ale że jest tylko początkiem wyrazu *Australie* (Australja).

— To byłoby dziwne! — rzekł major.

— Dziwne? — zawołał Glenarvan, wzruszając ramionami. — Nie dziwne, ale poprostu nieprawdopodobne.

— Nie widzę w tem nic tak nadzwyczajnego i niepodobnego do prawdy.

— Jakto? — spytał żywo Glenarvan — wobec tego dokumentu śmiesz twierdzić, że *Britannia* mogła się rozbić na wybrzeżach Australji?

— Jestem tego pewny! — śmiało odrzekł Paganel.

— Doprawdy, Paganelu — powiedział lord Glenarvan — dziwi mnie, że coś podobnego mogło wyjść z ust sekretarza Towarzystwa Geograficznego.

— A to dlaczego? — spytał urażony do żywego geograf.

— Bo jeśli przypuszczam możliwość wyrazu Australja, to przypuszczam zarazem, że w niej mogą się znajdować indjanie, co jest rzeczą, przynajmniej dotąd, nigdy jeszcze nie słyszaną.

Paganel uśmiechnął się na ten argument, jakby zgóry był nań przygotowany, i bez namysłu odpowiedział:

— Kochany lordzie, nie triumfuj jeszcze, bo pobiję cię z kretesem, choćby tylko dla pomszczenia się nad Anglikami w imieniu całej Francji za porażki, kiedyś przez nas pod Crécy i Azincourt poniesione.

— I owszem, i owszem, kochany Paganelu! Pokonywaj twych nieprzyjaciół.

— Słuchaj więc. W tekście dokumentu niema wyrazu Indjanin, tak samo jak niema Patagonji. Niedokończony wyraz indi... znaczy *indigènes* (krajowcy); a przecież na to zgodzić się musisz, że i w Australji są krajowcy.

Glenarvan ze zdumieniem spoglądał na Paganela.

— Brawo, brawo! Masz słuszność, czcigodny sekretarzu!

— Czy zgadzasz się, milordzie, na takie pojmowanie dokumentu?

— Zgodzę się, jeśli mnie przekonasz, że początek wyrazu *gonie*, nie odnosi się do Patagonji.

— Z pewnością nie — zawołał Paganel — niema i nie może tu być mowy o Patagonji; czytaj to i rozumiej jak chcesz, byle nie *Patagonie*.

— Więc jakże?

— *Cosmogonie! théogonie! agonie!...*

— *Agonie*, (męczarnia), to może będzie najwłaściwsze! — zawołał major.

— Wszystko mi jedno — odpowiedział Paganel. — Wyraz ten czy ów żadnej tu nie ma wartości; nie będę nawet dochodził, co on tu może mieć za znaczenie; główna rzecz jest to, że *austral* oznacza Australję, i nie pojmuję nawet, jak mogliśmy odrazu tego nie widzieć? Gdybym ja był znalazł dokument, albo gdybyście mnie nie byli obałamucili waszem tłumaczeniem, nigdybym nie pojmował inaczej.

Ostatnie wyrazy Paganela przyjęte były żywym oklaskiem, podziękowaniami i wyrazami uznania przez wszystkich, a szczególniej przez Roberta, w którego duszy nadzieja znowu odżyła.

— Jeszcze jedną pozwól sobie zrobić uwagę — rzekł Glenarvan — a i ja uchylę czoła przed twą bystrością naukową.

— Słucham cię, milordzie.

— Jak zestawisz te wyrazy, na nowo przez ciebie tłumaczone, i w jaki sposób odczytasz dokument?

— Nic łatwiejszego. Oto dokument — rzekł Paganel, podając papier szacowny, który od dni kilku badał usilnie.

Nastało głębokie milczenie; Paganel przez chwilę zbierał myśli rozproszone, a wkońcu, wodząc palcem po wierszach urywanych, czytał jak następuje:

Dnia 7-go czerwca 1862 r. trzymasztowy okręt Britannia z Glasgowa zatonął po... (przypuśćmy, *po dwu dniach, po trzech dniach* albo *po długich męczarniach*, rzecz to obojętna) — *przy brzegach Australji. Dwaj majtkowie i kapitan Grant usiłowali wylądować i wydostali się na ziemię, gdzie będą (lub są) niewolnikami dzikich krajowców. Rzucili oni ten dokument* i t. d. Czy to nie jasno?

— W samej rzeczy, jasno i wyraźnie, jeśli tylko nazwę „lądu" można tu odnieść do Australji, która jest wyspą, jak wiadomo.

— Bądź tego pewny, kochany milordzie; najlepsi geografowie zgodzili się już na to, żeby tę wyspę nazywać lądem Australijskim.

— A więc skoro tak, moi przyjaciele, pozostaje nam tylko zawołać jednozgodnie: do Australji! Niech nam Niebo dopomaga!

— Do Australji! Do Australji! — powtórzyli chórem wszyscy towarzysze Glenarvana.

— Przekonywam się teraz, kochany Paganelu, że przybycie twoje na pokład *Duncana* jest zdarzeniem prawdziwie opatrznościowem.

— Przypuśćmy, że jestem posłannikiem Opatrzności, i nie mówmy już o tem — rzekł skromnie uczony sekretarz Towarzystwa Geograficznego.

Tak się skończyła ta pamiętna rozmowa, która w przyszłości tak ważne wydać miała skutki. Zmieniła ona zupełnie moralne położenie podróżnych. Pochwycili oni na nowo nitkę prowadzić ich mającą po tym labiryncie, w którym, jak sądzili, zbłąkali się na zawsze. Nowa nadzieja wykwitała na gruzach zniweczonych zamiarów. Mogli już bez obawy pozostawić poza sobą ląd amerykański i całą myślą ulatywali już ku Australji. Wstępując znowu na pokład *Duncana,* nie przyniosą już złowróżebnych wieści i czarnej rozpaczy, a lady Helena i Marja nie będą potrzebowały opłakiwać niezawodnej zguby kapitana Granta! Dlatego też w obecnej chwili zapomnieli o wszystkich minionych trudach i niebezpieczeństwach; oddali się zupełnej radości i jedyną rzeczą, jaka ich zasmucała, było to, że nie mogli natychmiast puścić się w drogę.

Była godzina czwarta po południu; o szóstej postanowiono wieczerzać. Paganel chciał ten szczęśliwy dzień uczcić wspaniałą biesiadą, ale ponieważ zapasy były bardzo skromne, zaproponował tedy Robertowi, aby się wybrał z nim na łowy „do pobliskiego lasu". Na tę myśl szczęśliwą Robert klasnął w ręce z radości; wzięto ładownicę Thalcave'a, oczyszczono rewolwery, nabito je drobnym śrutem i ruszono na polowanie.

— Tylko się nie zapędzajcie zbyt daleko — rzekł poważnie major do obu myśliwców.

Po oddaleniu się ich, Glenarvan i Mac Nabbs poszli zbadać miarkę na drzewie naciętą, a Mulrady z Wilsonem rozdmuchiwali tymczasem węgle na ognisku.

Glenarvan nie dostrzegł, aby woda opadła, a jednak zdawało się, że dosięgła już najwyższego stopnia; gwałtowność, z jaką płynęła z południa na północ, była najlepszym dowodem, że równowaga rzek argentyńskich jeszcze się nie ustaliła. Ta ogromna masa płynna musiała przed opadaniem czas pewien pozostać nieruchoma jak morze, w chwili gdy przypływ się kończy a odpływ zaczyna. Nie można było zatem liczyć na opadanie wód, dopóki tak gwałtownie płynęły ku północy.

Podczas gdy lord Glenarvan z majorem zajęci byli obserwacjami, na drzewie słyszeć się dał wystrzał, a wślad za nim prawie równie głośny okrzyk radości. Trudno było rozeznać, kto się więcej cieszył: Robert, czy Paganel? Polowanie, pod taką zaczęte wróżbą, cudowne dla kuchni podróżniczej obiecywało rezultaty; tem bardziej, że

dowcipny Wilson na zaimprowizowaną ze szpilki i sznurka wędkę nałowił kilka tuzinów ryb delikatnego smaku, w krajowym języku zwanych „mojarras", mających być ozdobą bankietu.

W tej chwili myśliwi zeszli z wierzchołka ombu. Paganel ostrożnie niósł jajka czarnej jaskółki i sporą ilość wróbli, nanizanych na nitkę; Robert zręcznie ubił kilka par „hilgueros", małych ptaszków zielonych i żółtych, wyborne mających mięso i dlatego bardzo poszukiwanych na rynkach w Montevideo. Paganel, który znał pięćdziesiąt jeden sposobów przyrządzania jaj, tym razem musiał poprzestać na upieczeniu ich w gorącem popiele. Niemniej uczta odznaczała się i delikatnością potraw i wielką rozmaitością: było tam mięso suszone, pieczone jaja, mojarras smażone, a na pieczyste wróble i hilguery.

Towarzyszyła jej rozmowa bardzo wesoła; dziękowano Paganelowi jako myśliwemu i kucharzowi — a mędrzec przyjmował dzięki i powinszowania ze skromnością, właściwą prawdziwej zasłudze. Potem unosił się nad osobliwościami drzewa, służącego im na schronienie.

— Sądziłem — mówił — że jesteśmy z Robertem na polowaniu w jakimś gęstym lesie, i raz nawet obawiałem się, abyśmy nie zabłądzili. Nie mogłem znaleźć drogi zpowrotem, a słońce pochylało się ku zachodowi. Szukałem napróżno śladu własnych kroków; głód okropnie czuć mi się dawał! Już w ponurej gęstwinie rozlegał się straszny ryk dzikich zwierząt... Przepraszam, nie! Właśnie, że niema tu dzikich zwierząt, czego mocno żałuję!

— Jakto — rzekł Glenarvan — żałujesz, że niema dzikich zwierząt?

— Nieinaczej.

— Co do mnie, to sądziłbym, że przeciwnie, obawiaćby się trzeba ich dzikości...

— Dzikość nie istnieje... naukowo rzecz biorąc — odpowiedział geograf.

— A już tego mi nie dowiedziesz, kochany Paganelu — rzekł major — aby zwierzęta dzikie były na coś użyteczne, bo i na cóż przydać się mogą?

— Ale majorze — zawołał Paganel — służą przedewszystkiem do tworzenia klasyfikacji gromad, rzędów, rodzajów, gatunków...

— Piękny mi pożytek — przerwał Mac Nabbs — mógłbym się obejść bez tego zupełnie. Gdybym był należał do rodziny Noego w chwili potopu, z pewnością nie pozwoliłbym temu nieprzezornemu patrjarsze brać po parze lwów, tygrysów, panter, niedźwiedzi i tym podobnych stworzeń, równie złośliwych, jak bezużytecznych.

— I byłbyś to uczynił? — zapytał Paganel.

— Byłbym uczynił najniezawodniej.

— To źlebyś był postąpił z punktu widzenia zoologicznego.

— Ale nie ze względu na ludzkość całą.

— Ja zaś przeciwnie — mówił Paganel — będąc w tem położeniu, zachowałbym wszystkie zwierzęta przedpotopowe, o których teraz, niestety, wyobrażenia nawet dokładnego mieć nie możemy.

— A ja ci powiadam raz jeszcze — odpowiedział Mac Nabbs— że Noe dobrze zrobił, nie troszcząc się o los tych strasznych bestyj.

— Ja obstaję przy swojem, że Noe źle i bardzo nawet źle zrobił, przez co na wieczne czasy zasłużył na złorzeczenie wszystkich naukę miłujących ludzi.

Towarzysze majora i Paganela nie mogli powstrzymać się od śmiechu, słysząc dwu przyjaciół tak zawzięcie sprzeczających się o zasługi Noego; a najbardziej wszystkich zadziwiało to, że major, nie sprzeczający się z nikim i nigdy, wbrew przyjętym przez siebie zasadom, codzień prawie miał spory z uczonym Paganelem.

Glenarvan, jak zwykle, wdał się w sprzeczkę.

— Mniejsza o to — rzekł — z jakiego punktu zapatrywać się będziemy na kwestję przez was podniesioną, kochani moi przyjaciele, w każdym razie, chcąc nie chcąc, w tej chwili musimy się obejść bez drapieżnych zwierząt. Paganel nie mógł się nawet spodziewać znalezienia ich w tym lesie napowietrznym.

— A to dlaczego? — spytał geograf.

— Dzikie zwierzęta na drzewie? — rzekł Tomasz Austin.

— A tak, na drzewie! Puma i jaguar chronią się na drzewa, gdy są silnie napierane przez myśliwych; czemużby przed powodzią który z nich nie miał się ukryć wśród gałęzi tego drzewa?

— Bądź co bądź jednak, sądzę, że nie napotkałeś żadnego — odezwał się znowu major.

— Prawda, że nie spotkałem, choć zwiedziłem wszystkie zakątki naszego schronienia; a szkoda doprawdy: dopierożby to było wspaniałe polowanie! Spotkać naprzykład takiego żarłoka, jak jaguar, który jedną łapą obala konia i całego pożera, a gdy raz zakosztuje ludzkiego ciała, to go już powstrzymać trudno od napadania na ludzi. Wiadomo, że najlepiej mu smakuje mięso Indjanina, dalej murzyna, potem mulata, a najmniej chętnie jada ciało białego Europejczyka.

— Zachwycony jestem tem podrzędnem, albo raczej czwartorzędnem stanowiskiem, jakie na mnie w takim bankiecie przypada — rzekł major poważnie.

— A zarazem służy to także za dowód, że nie jesteś bardzo smaczny, mój majorze — odpowiedział Paganel.

— Cieszy mnie i to także, iż nie jestem smaczny.

— W każdym razie jest trochę upokarzające — odrzekł uparty geograf — biali mają się za najpierwszą z ras ludzkich, ale widać, że nie takie jest zdanie panów jaguarów.

— Mniejsza o to, dzielny mój Paganelu — rzekł Glenarvan — bo chociaż niema pomiędzy nami ani Indjan, ani murzynów, ani na-

wet mulatów, niemniej jednak cieszę się, że niema pomiędzy nami twoich ulubionych jaguarów, bez których i tak położenie nasze nie jest zbyt przyjemne...

— Jakto niezbyt przyjemne? — zawołał Paganel niezadowolony — i ty, milordzie, jeszcze na los swój się uskarżasz?

— Alboż nie mam powodu? — odrzekł Glenarvan. — Ty sam przyznaj, że niebardzo ci przyjemnie jest mieszkać tu wśród gałęzi, bez żadnej wygody, a nawet bez przykrycia.

— Nigdy i nigdzie nie było mi lepiej, nawet w moim gabinecie. Prowadzimy tu życie ptasze! Śpiewamy! Skaczemy z gałązki na gałązkę! Zaczynam nabierać przekonania, że ludzie stworzeni są do mieszkania na drzewach.

— I tylko im skrzydeł brakuje! — dorzucił major.

— Przyjdzie i do tego, że je sobie zrobią.

— Zanim to jednak nastąpi — rzekł Glenarvan — pozwól, kochany przyjacielu, że ja nad to mieszkanie napowietrzne przekładam żwir jakiegoś parku, posadzkę mojego pokoju, lub nareszcie pomost okrętowy!

— Milordzie — odpowiedział Paganel — trzeba się zgadzać z losem i przyjmować położenie, jakie jest; jeśli dobre, to tem lepiej, jeśli złe, to nie zważać na to. Widzę, że zaczynasz tęsknić za wygódkami twego Malcolm-castle!

— Nie, ale...

— Ręczę ci, że Robert jest zupełnie szczęśliwy — śpiesznie dodał Paganel, chcąc choć jednego sobie zyskać stronnika.

— O tak, panie Paganel — zawołał Robert z radością.

— W jego wieku zawsze się jest szczęśliwym — rzekł Glenarvan.

— I w moim także — odpowiedział Paganel. — Im mniej człowiek ma wygód, tem mniej też potrzeb; a im mniej kto potrzebuje, tem jest szczęśliwszy.

— Otóż — zawołał Mac Nabbs — nasz Paganel wypowiada wojnę dostatkom i wygodnemu życiu.

— Nie, majorze — odrzekł uczony — ale jeśli posłuchać zechcesz, odpowiem ci na to powiastką arabską, jaka mi w tej chwili na pamięć przychodzi.

— Wszystkie powiastki niewiele dowodzą — mówił major — a tem mniej arabskie; ale w każdym razie z przyjemnością słuchamy cię, Szeherazado nasza.

— Jeden z synów wielkiego Harun-al-Raszyda — mówił Paganel — nie był szczęśliwy. Poszedł więc szukać porady u pewnego starego derwisza. Mędrzec odpowiedział mu, że szczęście niełatwo znaleźć na tym świecie, że jednak zna sposób niezawodnego zapewnienia go sobie. — Jakiż to? — zapytał młody książę. — Włóż na siebie — odpowiedział derwisz — koszulę szczęśliwego człowieka! Mło-

dzieniec podziękował mędrcowi za radę i pobiegł szukać swego talizmanu. Zwiedził więc wszystkie stolice całego świata; ubierał się w koszule królów, książąt, panów i dostojników różnego rodzaju, lecz napróżno! Szczęście nie przychodziło. Popróbował dalej koszuli artystów, żołnierzy, kupców — a szczęścia jak nie było, tak nie było. Nareszcie znudzony przymierzaniem tylu koszul, powracał już smutny i zagniewany do pałacu swego ojca, gdy w polu napotkał pracowitego rolnika, orzącego ziemię, który śpiewał radośnie przy pracy. — Oto człowiek szczęśliwy — zawołał — albo, jeśli się mylę, to już chyba szczęścia niema na ziemi! Zbliżywszy się tedy do kmiotka, rzekł: — Mój poczciwy człowieku, powiedz mi szczerze, czy jesteś szczęśliwy? — O! i bardzo! — odpowiedział zagadnięty. — I niczego nie pragniesz? — Nie. — Czy nie pomieniałbyś się na los z królem? — Nigdy! — To sprzedaj mi, proszę, swoją koszulę, dobrze ci za nią zapłacę! — Chętniebym to uczynił, mój panie, ale ja nie mam wcale koszuli.

XXV.

POMIĘDZY OGNIEM A WODĄ.

Wszyscy pochwalili powiastkę Paganela, każdy jednak pozostał przy swem zdaniu, czyli, co na jedno wychodzi, że uczony nie przekonał nikogo. Zgodzono się jednak na to, że zawistnemu losowi trzeba zawsze odważnie stawić czoło i poprzestać na drzewie, skoro niema pałacu ani nawet chatki.

Na takich rozmowach zeszło do wieczora; tylko sen ożywczy i spokojny mógł zakończyć ten dzień pełen wzruszeń. Mieszkańcy ombu byli utrudzeni, nietylko przypadłościami powodzi, ale jeszcze i niesłychanym upałem. Już ich skrzydlaci towarzysze zabierali się do spoczynku; hilguery i słowiki pampy przestały wywodzić melodyjne trele i całe ptactwo znikło w zaciemnionej gęstwinie liści. Najwłaściwiej więc było iść za jego przykładem.

Przed udaniem się na spoczynek, Glenarvan, Paganel i Robert wdrapali się na najwyższe gałęzie, aby raz jeszcze obejrzeć płaszczyznę zalaną. Była dziewiąta godzina wieczorem; słońce zaszło. Świetne konstelacje półkuli południowej zdawały się być pokryte lekką gazą, z poza której migotały niewyraźnie; wszakże nie tak były zamglone, aby ich rozpoznać nie było można, i Paganel zwrócił uwagę Roberta na ten pas podzwrotnikowy, gdzie gwiazdy są błyszczące. Pomiędzy innemi pokazał mu „Krzyż południowy”, gromadę czterech gwiazd pierwszej i drugiej wielkości, rozłożonych w kształt rozwarto-

kąta prawie na wysokości bieguna; pokazał też „Centaura”, w którym świeci gwiazda najbliższa ziemi, bo tylko o ośm tysięcy miljardów mil (lieues) oddalona; „obłoczki Magellana”, dwa wielkie obłoki, z których większy zajmuje przestrzeń dwa razy większą od pozornej powierzchni księżyca, nareszcie tę „Czarną dziurę”, w której, jak się zdaje, brak jest zupełny materji gwiaździstej.

Żałował bardzo, że Orion, którego z obu półkul widzieć można, nie pokazywał się jeszcze; ale objaśnił swym słuchaczom jedną ciekawą właściwość kosmografji patagońskiej. W oczach tych poetycznych Indjan Orion reprezentuje ogromne lasso i trzy bolas, rzucone ręką myśliwca, przebiegającego łąki na firmamencie niebieskim. Wszystkie te konstelacje, odbite w zwierciadle wód, budziły podziw w oczach widzących jakby dwa nieba.

Gdy tak uczony Paganel rozprawiał, od wschodu zbierało się na burzę. Szeroka ciemna chmura przesłoniła gwiazdy i roztoczyła się szeroko. Musiała się ona posuwać coraz dalej własną siłą, bo powietrze było ciche zupełnie i najlżejszy nawet wietrzyk nie mącił spokoju, jaki panował w warstwach atmosferycznych. Żaden się listek nie poruszył na drzewie, najmniejsza zmarszczka nie przerwała gładkiej powierzchni wód; powietrza nawet zdawało się brakować, jak gdyby je rozrzedziła ogromna maszyna pneumatyczna. Atmosfera przesycona była elektrycznością, przebiegającą po nerwach wszystkich istot żyjących.

Te fale elektryczne szczególniej uczuć się dały Glenarvanowi, Robertowi i Paganelowi.

— Będziemy mieli burzę — oświadczył ten ostatni.

— Czy nie obawiasz się grzmotów? — spytał lord Edward Roberta.

— Och! milordzie! — odparł chłopiec — jak możesz przypuszczać coś podobnego?

— Tem lepiej, bo zdaje się, że burza już niedaleko.

— I będzie bardzo silna — dodał Paganel — o ile ze stanu nieba wnosić mogę.

— Nie burza to niepokoi mnie — mówił Glenarvan — ale te potoki deszczu, jakie jej towarzyszyć będą. Przemokniemy do szpiku. Mów, co chcesz, Paganelu, a ja zawsze twierdzę, że gniazdo nie może wystarczyć człowiekowi i sam się zaraz o tem własnym kosztem przekonasz.

— Ależ cokolwiek filozofji, kochany milordzie!

— Filozofja nie uchroni od zmoknięcia.

— Ale rozgrzewa.

— Chodźmy więc do naszych towarzyszy i zachęćmy ich, aby się filozofją i ponchami okryli, a nadewszystko uzbroili się w cierpliwość, której bardzo będziemy potrzebowali.

Glenarvan ostatni jeszcze raz rzucił okiem na groźne niebo; chmury całkiem je już okryły. Woda podobna była także do chmury niżej położonej i gotowej się połączyć z tamtą. Pociemniało niezmiernie, cisza zalegała ziemię. Nic nie było widać, ani słychać.

— Zejdźmy — rzekł Glenarvan — tylko patrzeć pioruna!

Wszyscy trzej zsunęli się po gładkich gałęziach i ze zdziwieniem ujrzeli na dole jakieś półświatło, powstające z mnóstwa punkcików świetlanych, latających z brzękiem ponad powierzchnią wody.

— To robaczki fosforyczne, diamenty żyjące i niekosztowne, któremi damy w Buenos-Ayres zdobić się lubią.

— Jakto — zawołał Robert — to robaczki, te latające gwiazdeczki?

— Nieinaczej, mój chłopcze!

Robert złapał kilka tych robaczków i pokazało się, że Paganel miał słuszność. Był to rodzaj sporych owadów, długości cala, które Indjanie nazywają „tuko-tuko". Ciekawe te owady (pochewkowate) wydawały z dwu plam, znajdujących się na przodzie szyjki, światło tak mocne, że czytać przy niem można było w ciemności. Paganel, przysunąwszy taki owad do swego zegarka, zobaczył, że była dziesiąta.

Zszedłszy na dół, Glenarvan zalecał wszystkim baczność i przygotowanie się do strasznej burzy, gdyż po pierwszych grzmotach silny zapewne wiatr się zerwie i wstrząsać będzie drzewem; każdy więc powinien był mocno trzymać się gałęzi. Gdy nie można uniknąć wody z nieba, to przynajmniej warto się było zabezpieczyć przed spadnięciem w gwałtowny potok, płynący na ziemi.

Wszyscy życzyli sobie dobrej nocy, niewiele wszakże licząc na spełnienie się tego życzenia; poczem każdy owinął się w swe poncho i czekał snu.

Zbliżanie się wielkich zjawisk przyrody budzi niepokój w żyjących istotach, przed którym i najdzielniejsi ludzie obronić się nie mogą. Mieszkańcy ombu napróżno usiłowali zamknąć powieki, a pierwszy odgłos gromów zastał ich czuwających. Dał się on słyszeć o jedenastej godzinie, jak turkot oddalony. Glenarvan wspiął się na gałąź pionową i wytknął głowę przez gęstwinę liści.

Czarne tło nocy było już porysowane linjami jasnemi, odbijającemi się w wodzie. Miejscami rozdzierała się chmura, ale bez odgłosu, jak tkanka miękka, bawełniasta; zenitu i widnokręgu nie można było rozeznać wśród ciemności. Glenarvan wrócił do swoich.

— Co o tem myślisz, milordzie? — zapytał Paganel.

— Myślę, że zaczyna się nieźle, i jeśli tak dalej pójdzie, to burza będzie straszna.

— Tem lepiej — odpowiedział stary entuzjasta — lubię wspaniałe widoki, gdy ich uniknąć nie mogę.

— To jeszcze jedna z twoich teoryj — dodał spokojnie major.

— Tak i bodaj czy nie jedna z najlepszych, panie Mac Nabbs. Podzielam zdanie lorda Glenarvana: burza będzie pyszna. Przed chwilą, gdy próbowałem usnąć, przychodziły mi na myśl różne rzeczy, potwierdzające bardziej jeszcze me nadzieje; bo trzeba wam wiedzieć, że znajdujemy się w pasie wielkich burz elektrycznych. Nie pamiętam już, gdzie czytałem, że 1793 r., właśnie w prowincji Buenos-Ayres, w czasie jednej takiej burzy piorun uderzył trzydzieści siedm razy. Kolega mój, pan Marcin de Moussy, był sam świadkiem grzmotu, trwającego przez pięćdziesiąt pięć minut bez przerwy.

— I obliczał to z zegarkiem w ręku? — zapytał major.

— Nieinaczej. Jedna tylko rzecz niepokoiłaby mnie — dodał Paganel — gdyby niepokój mógł pomóc do uniknienia niebezpieczeństwa — że punktem najwyniośIejszym tej płaszczyzny jest właśnie nasz ombu. Piorunochron przydałby nam się tu bardzo, bo ze wszystkich drzew pampy piorun najczęściej podobno w ombu uderza; wiadomo też, że uczeni ostrzegają, aby podczas burzy pod drzewem nie szukać schronienia.

— Ostrzeżenie przychodzi w samą porę — zauważył major.

— Trzeba przyznać, kochany Paganelu — rzekł Glenarvan, — że wyborną i nader właściwą obrałeś chwilę, aby nam to wszystko opowiedzieć.

— Ech, do licha! — zawołał Paganel — każda chwila jest właściwą do nauczenia się czegoś. Ale oto zaczyna się!

Gwałtowne grzmoty przerwały tę niewczesną rozmowę. Cały przestwór stanął w ogniu błyskawic i niesposób było rozróżnić, któremu z tych wyładowań elektrycznych przypisać należy owe wstrząsy, przeciągające się bez końca, a których echa sięgały aż gdzieś do głębi niebios.

Błyskawice w najdziwaczniejszych objawiały się kształtach: to jakby spadając prostopadle ku ziemi po pięć lub sześć, jedna po drugiej; to znowu inne, które do najwyższego stopnia mogłyby zaciekawić niejednego uczonego niezwykłą swą formą widełkową. Bo jakkolwiek Arago w zajmującej swej statystyce wspomina o dwu rodzajach takiej błyskawicy, tu było ich może ze sto gatunków; niektóre rozpadały się na tysiące rozgałęzień i migały jak zygzaki, tworząc zadziwiającą grę światła wśród czarnego sklepienia niebios.

Wkrótce całe niebo od wschodu do północy pokryło się bardzo jasnem światłem fosforycznem. Pożar ten rychło ogarnął cały widnokrąg, zapalając chmury jakby wielkie zbiorowisko materjałów palnych, a odbity w zwierciadle czystych wód, utworzył niezmierzoną sferę ognia, której ombu był ośrodkiem.

Glenarvan i jego towarzysze w milczeniu przypatrywali się temu przerażającemu widokowi; rozmowa była niepodobna. Za każdem mignięciem błyskawicy ukazywały się albo spokojna i poważna twarz majora, albo zaciekawione oblicze Paganela, energiczne i wy-

raziste rysy lorda Glenarvana, pobladła i wystraszona głowa młodego Roberta, lub wreszcie nieruchome twarze majtków, nieczułych na zjawiska takie.

Deszcz jednak nie padał jeszcze i wiatru nie było. Lecz wkrótce otworzyły się upusty niebieskie, a z szarego tła niebios lunęły ku ziemi smugi wody, jak nitki na warsztacie tkackim napięte. Wielkie krople, spadające na powierzchnię jeziora, rozpryskiwały się w tysiące iskier, połyskujących przy świetle błyskawic.

Czy deszcz ten zapowiadał koniec burzy? Czy na tem tylko miało się kończyć przerażenie i obawa biednych podróżnych? Nie. Wśród najgwałtowniejszej walki tych ogni napowietrznych ukazała się nagle kula płomienista. Kula ta, wirując przez kilka sekund w powietrzu, pękła, jak bomba, z ogromnym hukiem. Zapach siarki napełnił atmosferę. Nastała chwila uroczystego milczenia, poczem słyszeć się dał gromki głos Tomasza Austina, wołającego donośnie.

— Nasze drzewo się pali!

Nie mylił się. W jednej chwili płomień ogarnął całą zachodnią stronę drzewa, jakby było ogniem sztucznym, gotowym do zapalenia. Suche gałęzie, gniazda, biel gąbczasta podsycały ogień. A przytem zerwał się wiatr i rozdmuchiwał pożar. Trzeba było uciekać. Glenarvan i jego towarzysze schronili się na wschodnią stronę ombu, nieogarniętą jeszcze płomieniem. Tymczasem gałęzie zaczęły trzeszczeć, łamać się i zwijać w ogniu, jak węże żywcem palone; głownie płonące padały do wody, a unoszone jej pędem, jeszcze zdala błyskały ogniem płowym. Płomienie to wznosiły się do niezmiernej wysokości, to obniżając się pod działaniem wiatru, oblekały całe drzewo w całun ognisty. Glenarvana, Roberta, majora, Paganela i obu marynarzy ogarnęło przerażenie. Dusił ich dym gęsty; parzyło gorąco nieznośne; pożar zagarnął niższą część drzewa po ich stronie; nic nie było w stanie ugasić go lub pohamować.

Wkońcu położenie stało się nie do wytrzymania. Z dwu rodzajów śmierci trzeba było wybierać mniej straszny.

— Do wody! — krzyknął Glenarvan.

Wilson, którego już płomienie dosięgały, poszedł pierwszy za tą radą, nagle jednak zaczął wołać:

— Ratujcie! ratujcie!

Austin poskoczył i dopomógł mu wspiąć się zpowrotem na pień, pytając o powód przestrachu.

— Kajmany! kajmany! — odparł Wilson.

I rzeczywiście, cały spód drzewa otoczyły najstraszniejsze zwierzęta z rodzaju jaszczurek. Łuska na nich błyszczała w łunie pożaru; Paganel poznał je po ogonie spłaszczonym, głowie podobnej do żelezca lancy, oczach wypukłych i szczękach rozwartych aż do uszu prawie. Poznał te okrutne aligatory, właściwe Ameryce, a zwane kajmanami w posiadłościach hiszpańskich. Potwory te, w liczbie około

dziesięciu, uderzały silnie ogonami i gryzły drzewo długiemi zębami swej dolnej szczęki.

Na ten widok nieszczęśliwi podróżni poczuli, że są zgubieni. Czekała ich śmierć straszna albo od płomieni, albo też od zębów kajmana; nawet major rzekł głosem, jak zwykle, spokojnym:

— Może być, że to już koniec końca!

Bywają chwile, w których człowiek staje się bezwładnym, a żywioły zwalczone być mogą tylko przez inne żywioły. Glenarvan obłąkanym wzrokiem spoglądał na ogień i wodę, jakby zmówione na zgubę jego, nie wiedząc sam, o jaką pomoc błagać ma niebios.

Burza już słabła, lecz wywiązała w atmosferze znaczną ilość pary, której zjawiska elektryczne nadały gwałtowność niezwykłą. W stronie południowej powstawała zwolna ogromna trąba, jakby lejek z mgły, podstawą do góry, a wierzchołkiem na dół obrócony, który łączył wody kipiące z burzliwemi chmurami. Zjawisko to sunęło, wirując z szaloną szybkością i wciągając w siebie ogromną kolumnę wody, a przez silny ruch wirowy zagarniało wszystkie okoliczne prądy powietrzne.

W mgnieniu oka olbrzymia trąba rzuciła się na omb i objęła wszystkie jego zagięcia. Drzewo wstrząsnęło się aż do korzeni. Glenarvan odniósł wrażenie, że kajmany wyrywają je potężnemi swemi szczękami. Biedni podróżni, trzymając się jeden drugiego, czuli, że drzewo się chyli, że gałęzie jego z przeraźliwem syczeniem zanurzają się we wzburzonych wodach. Wszystko to było dziełem jednej chwili. Trąba powietrzna przeszła, niosąc gdzie indziej swą niszczącą siłę, a w pochodzie swym wypijała wodę z jeziora, jakby chcąc je do dna wypróżnić.

Wtedy ombu, powalony na wodę, ulegając działaniu wiatru i prądu, począł płynąć. Kajmany uciekły; jeden tylko pozostał i, pełznąc po korzeniach drzewa, zbliżał się z otwartą paszczęką, lecz Mulrady, porwawszy gałąź niedopaloną, silnem uderzeniem zgruchotał mu żebra. Kajman stoczył się do wody, uderzając jeszcze swym potężnym ogonem.

Glenarvan i jego towarzysze, uwolnieni od zażartego wroga, swobodniej rozsiedli się na gałęziach, do których wiatr ognia nie dopuszczał — a drzewo w płomieniach, rozdymających się na podobieństwo żagli ognistych, płynęło w cieniach nocy, jak statek niedopalony.

XXVI.

ATLANTYK.

Przez dwie godziny płynął tak ombu po ogromnem jeziorze, nie dobijając nigdzie do lądu; pożerające go płomienie gasły pomału; najgówniejsze zatem niebezpieczeństwo tej dziwnej podróży minęło. Major, uspokojony, lakonicznie zauważył, że nie byłoby nic dziwnego, gdyby się ocalić zdołał.

Prąd wody, zachowując pierwotny swój kierunek, popychał ciągle podróżnych z południowo-zachodu na północno-wschód. Ciemność ponurą, zalegającą niebo, przerywała zaledwie niekiedy tu i owdzie błyskawica, a Paganel napróżno szukał punktu oparcia na widnokręgu. Burza jednak była bliska końca: miejsce grubych kropli zastąpił deszcz drobny, rozwiewany przez wiatr; chmury się przerzedziły i rozpadać poczęły, oczyszczając sklepienie niebios.

Ombu sunął po bystrym strumieniu z nadzwyczajną szybkością, jakby go popychała jakaś niewidzialna siła, ukryta pod jego korą. Nie można było przewidzieć, jak długo tak płynąć będzie. Jednakże około trzeciej godziny z rana major zauważył, że korzenie dotykały zlekka gruntu. Tomasz Austin, oderwawszy jedną z gałęzi, począł nią sondować głębokość i przekonał się, że grunt coraz się podnosi. We dwadzieścia minut potem silne wstrząśnienie ostrzegło podróżnych o nagłem zatrzymaniu się ich statku improwizowanego.

— Ląd, ląd! — zawołał Paganel ogromnym głosem.

Opalone gałęzie uderzyły o wyniosłość gruntu. Nigdy zapewne żeglarze z większą radością nie przybijali do lądu. Skała była im portem.

Robert i Wilson rzuceni na płaszczyznę twardą, krzyknęli radośnie, gdy nagle rozległo się w powietrzu dobrze znane gwizdnięcie, posłyszano tętent kopyt końskich i wkrótce z pośród cieni wynurzyła się wyniosła postać Indjanina.

— Thalcave! — krzyknął Robert ucieszony.

— Thalcave! — jednozgodnie powtórzyli wszyscy jego towarzysze.

— *Amigos!* — zawołał Patagończyk, który czekał na podróżnych tam, gdzie, jak przypuszczał, prąd ich zniesie, bo i jego zniósł w to miejsce. Pochwycił on małego Roberta w ramiona i serdecznie do piersi przycisnął. Glenarvan, major i marynarze, uszczęśliwieni odzyskaniem wiernego przewodnika, uścisnęli mu rękę kolejno. Patagończyk powiódł ich do szopy opuszczonej estancji.

Płonął juó tam ogień suty, przy którym mogli się rozgrzać, i piekły się zrazy pieczeni, z której wnet nie pozostało nawet okruszyny. Gdy zaś wypoczęci i syci byli w stanie zastanowić się nad swemi

przejściami, wierzyć się im nie chciało, że uniknęli tylu niebezpieczeństw: wody, ognia i groźnych kajmanów argentyńskich.

Thalcave w kilku słowach opowiedział swą przygodę Paganelowi, dodając, że dzielności i nieustraszności swego rumaka zawdzięcza życie. Paganel ze swej strony usiłował mu objaśnić nowe zrozumienie dokumentu i nadzieje, jakie na nim opiera. Czy Indjanin pojął genjalne hipotezy uczonego geografa? Wątpić o tem należy; ujrzał on znowu swych przyjaciół swobodnych, szczęśliwych i nową ożywionych nadzieją. Dość mu było tego: nie pytał o więcej!

Łatwo zrozumieć, że odważni podróżni, wypocząwszy, puścili się chętnie w dalszą drogę. O godzinie ósmej z rana już byli gotowi do odjazdu. Z miejsca, w którem obecnie przebywali, niepodobna było zaopatrzyć się w jakiekolwiek środki transportowe; musieli przeto iść pieszo — lecz droga nie była długa. Należało przejść jakich mil czterdzieści (15 lieues), a przecież poczciwy Thauka nie odmówi poniesienia od czasu do czasu na swym grzbiecie jednego albo nawet dwu zmęczonych piechurów.

Omijając zalane jeszcze niziny, podróżni ruszyli wzgórzami. Okolica, jak zwykle w Argentynie, była monotonna: kilka kęp drzew, zasadzonych przez Europejczyków, stało ponad pastwiskami; drzewa tamtejsze rodzime tylko na pobrzeżu kotlin zrzadka się rozsiadały.

Następnego dnia czuć się dała bliskość oceanu. *Virazon,* wiatr szczególniejszy, wiejący podczas drugiej połowy dnia i nocy, naginał wysokie trawy. Na chudym gruncie rosły rzadkie zagajniki, karłowate mimozy, krzaki akacji i kępy „curra-mabol". Tu i owdzie błyszczały, jak odłamki szkła potłuczonego, jeziora słone, utrudniające drogę, gdyż trzeba je było okrążać. Podróżni śpieszyli się, chcąc tego jeszcze dnia dojść do jeziora Salado na wybrzeżach oceanu, i, pomimo wielkiego utrudzenia, około ósmej godziny wieczorem ujrzeli wydmy piaszczyste, wysokości jakich 20 sążni, okalające pieniące się wody jeziora. Wkrótce też i przeciągły szmer morza doleciał ich uszów.

— Ocean! — zawołał Paganel.

— Tak, ocean! — potwierdził Thalcave.

Na te słowa biedacy, z sił już prawie wyczerpani, z zadziwiającą lekkością wspięli się na wyniosłe wydmy. Ale było już zupełnie ciemno, napróżno więc wzrokiem szukali *Duncana.*

— Jednakże on tu być musi — zawołał Glenarvan — i z pewnością czeka niecierpliwie naszego powrotu, opływając wciąż wybrzeża.

— Jutro go ujrzymy niezawodnie — rzekł Mac-Nabbs.

Tomasz Austin próbował wołać na okręt niewidzialny, aby się zbliżył do brzegu, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Dął zresztą wiatr gwałtowny, a morze było silnie wzburzone; chmury nadciągały od zachodu, a piana z bałwanów morskich, pędzona wiatrem, osiadała aż na wierzchołkach wydm. Chociażby zatem *Duncan* był w bliskości,

nie mógł nic słyszeć. Brzeg tymczasem żadnego nie przedstawiał schronienia; żadnej przystani, żadnego portu, żadnego miejsca wygodnego do wylądowania. Całe wybrzeże składało się z długich ławic piasku, zachodzących w morze, do których okręt nie mógł się zbliżać bez widocznego niebezpieczeństwa.

Nic zatem dziwnego, jeśli *Duncan* trzymał się w pewnem oddaleniu, na pełnem morzu. John Mangles doświadczonym był i zręcznym dowódcą. Tak przynajmniej utrzymywał Tomasz Austin i był przekonany, że *Duncan* nie może się bliżej znajdować, jak o dobre pięć mil od brzegu.

Major zachęcał przyjaciela swego do cierpliwości. Nie było sposobu rozpędzania ciemności, pocóż więc wytężać wzrok napróżno i szukać po widnokręgu, gdy nic dojrzeć nie było można.

Poważny i flegmatyczny, jak zwykle, major urządził pod zasłoną wydm małe obozowisko; resztki zapasów posłużyły podróżnym na ostatnią ucztę, poczem każdy, idąc za przykładem majora, wygrzebał sobie improwizowane łoże w dziurze dość wygodnej i, aż po brodę zakopany w piasku, zasnął głęboko i smacznie.

Sam tylko Glenarvan czuwał; wiatr silny dął nieustannie, a na oceanie czuć jeszcze było burzę, która dopiero co minęła. Wzburzone fale morskie z hukiem, do gromu podobnym, rozbijały się o ławice piasku. Glenarvan wierzył statecznie, że *Duncan* jest bardzo blisko niego, nie chcąc przypuszczać, by statek mógł nie przybyć na miejsce umówione. Glenarvan opuścił przystań Talcahuano 14-go października, a 12-go listopada przybywał na wybrzeża Atlantyku. Otóż w przeciągu tych trzydziestu dni, które użyto na przebycie Chili, Kordyljerów, pampy i płaszczyzny argentyńskiej, *Duncan* miał czas opłynąć przylądek Horn i przybyć na brzeg przeciwny. Tak dzielny statek nie powinien się opóźnić, a choć burza była bardzo silna i walkę wypadało odbyć nielada, jacht jednak był dobrym statkiem, jego kapitan tęgim marynarzem — powinien przeto być na miejscu i był niezawodnie.

Uwagi te i myśli nie uspokoiły jednak Glenarvana. Gdy serce walczy z rozsądkiem, ten ostatni rzadko zwycięża. „Laird" z Malcolm-Castle odczuwał wśród ciemności obecność wszystkich, których kochał: swej drogiej Heleny, Marji Grant, całej osady swego *Duncana*. Błądził po pustym brzegu, patrzył, słuchał; zdawało mu się niekiedy, że widzi na morzu niewyraźne jakieś, błąkające się światełko.

— Tak, nie mylę się — rzekł sam do siebie — widziałem ogień okrętowy! To ogień *Duncana!* Ach, czemuż wzrok mój niezdolny jest przedrzeć się przez tę chmurę ciemności!

Przyszło mu nagle na myśl, że Paganel chwalił się kiedyś, iż widzi w ciemności; pobiegł więc zbudzić Paganela.

Uczony głęboko zasypiał, jak kret w norze, gdy silne ramię pochwyciło go niespodzianie i wyciągnęło z pośrodka grubej warstwy piasku.

— Kto tam? — krzyknął zbudzony.

— To ja, Paganelu.

— Kto taki? Co za ja?

— Glenarvan. Chodź, potrzebne mi są twe oczy.

— Moje oczy? — odpowiedział Paganel, przecierając je silnie.

— Tak, twoje oczy, aby wśród tej ciemności rozeznały *Duncana*. Chodź, chodź żywo, mój przyjacielu!

— Niech licho porwie takie oczy — odparł Paganel, zadowolony zresztą, że może być użyteczny Glenarvanowi.

Glenarvan prosił go, aby zechciał się rozejrzeć w zaciemnionym widnokręgu morza. Paganel przez kilka minut pilnie, ale napróżno wpatrywał się w widnokrąg.

— I cóż? — pytał niecierpliwy Glenarvan. — Nic nie widzisz?

— Nic, zupełnie nic. Kot nawet nieby nie dojrzał o dwa kroki od siebie.

— Patrz, czy nie ujrzysz latarni okrętowej, zielonej lub czerwonej?

— Ani jednej, ani drugiej nie widzę! Wszystko jest czarne! — odrzekł Paganel, któremu powieki kleiły się mimowolnie.

Przez pół godziny chodził tak za swym przyjacielem, nawpół śpiący, to opuszczając na piersi głowę, to nagle ją podnosząc; nie mówił nic, nie odpowiadał nawet. Od czasu do czasu zataczał się, jak człowiek pijany. Glenarvan spojrzał na niego, Paganel spał, idąc. Widząc to, lord wziął go za rękę, doprowadził do nory i zakopał w piasku wygodnie.

Równo z jutrzenką wszystkich zbudził okrzyk Glenarvana: — *Duncan! Duncan!*

— Hurrah, hurrah! — zawołali wszyscy w odpowiedzi i pobiegli na brzeg morza.

Rzeczywiście jacht kołysał się zwolna na pełnem morzu, w odległości pięciu mil angielskich; lekki dym, wychodzący z jego komina, ginął w mgle porannej. Morze było wzburzone, a statek takiej objętości nie mógł się bez niebezpieczeństwa zbliżyć do ławic piaszczystych.

Glenarvan przypatrywał się przez lunetę Paganela ruchom *Duncana;* z tych ruchów było widoczne, że nie dostrzeżono jeszcze ludzi, stojących na brzegu.

W tej chwili Thalcave, nabiwszy dużym ładunkiem karabin, strzelił w kierunku jachtu.

Słuchano i patrzono z największą uwagą. Po trzykroć zagrzmiał karabin Indjanina, budząc echa samotnych wydm piaszczystych.

Wreszcie z boku jachtu wytrysnął dym biały.

— Zobaczyli nas, zobaczyli! — wołał Glenarvan. — To armata *Duncana!*

I w kilka sekund potem głuchy, przeciągły huk konał na wybrzeżu. *Duncan,* podsyciwszy ogień pod maszyną, skierował się ku brzegowi.

Wkrótce przez lunetę ujrzano szalupę, odłączającą się od jachtu.

— Lady Helena nie będzie mogła tu przypłynąć — rzekł Tomasz Austin — morze zbyt jest wzburzone.

— Tem bardziej też John Mangles — dodał Mac Nabbs — nie może on w takiej chwili opuszczać swego okrętu.

— Moja siostra! moja siostra! — wołał Robert, wyciągając rękę ku szybko sunącemu jachtowi.

— Ach, jakżebym pragnął być już na pokładzie — rzekł Glenarvan.

— Cierpliwości, Edwardzie! Będziesz, ale nie prędzej, jak za parę godzin — mówił major ze zwykłym spokojem.

Parę godzin! Istotnie, szalupa sześciowiosłowa nie mogła przepłynąć drogi z okrętu do wybrzeża i zpowrotem prędzej, niż w ciągu dwu godzin. Glenarvan podszedł więc do Thalcave'a, który, z założonemi nakrzyż rękami, mając przy sobie wiernego swego rumaka, patrzał spokojnie na wzburzoną powierzchnię fali.

Glenarvan pochwycił go za rękę i, wskazując na jacht:

— Jedź z nami — rzekł.

Indjanin potrząsł zlekka głową.

— Jedź, przyjacielu! — powtórzył lord.

— Nie — odpowiedział Thalcave łagodnie. — Tu jest mój Thauka — a tam... pampa! — dodał, obejmując namiętnym gestem rozległą przestrzeń płaszczyzny.

Glenarvan zrozumiał, że Indjanin nie zechce nigdy opuścić łąk, na których bielały kości jego ojców. Znał on religijną cześć i przywiązanie tych dzieci pustyni do kraju rodzinnego. Uścisnął tedy rękę Patagończyka i nie nalegał dłużej; nie nalegał także, gdy Indjanin, z uśmiechem sobie właściwym, odmówił przyjęcia zapłaty za swe usługi, mówiąc:

— Dla przyjaźni!

Glenarvan, wzruszony, nie mógł nic odpowiedzieć; chciał jednak przynajmniej zostawić zacnemu Indjaninowi pamiątkę jakąś, przypominającą mu przyjaciół Europejczyków; lecz nie miał nic takiego: broń swą i konia utracił w powodzi, a towarzysze jego także nie byli bogatsi. W kłopocie był niemałym, jak wynagrodzić bezinteresowność poczciwego przewodnika, gdy nagle przyszła mu myśl. Wydobył z pugilaresu kosztowny medaljon, w którym był cudowny portret, arcydzieło Lawrence'a, i podał go Indjaninowi, mówiąc:

— To moja żona.

Thalcave długo i z widocznem wzruszeniem przypatrywał się portretowi, a wkońcu te tylko wymówił słowa:

— Dobra i piękna!

Następnie Robert, Paganel, major, Tomasz Austin i dwaj majtkowie zkolei żegnali się z Patagończykiem niemem, lecz serdecznem i wymownem uściśnięciem ręki; wzruszenie było ogólne; Thalcave przyciskał wszystkich do swej piersi szerokiej. Paganel darował mu kartę Ameryki Południowej, której Indjanin z taką się zawsze przypatrywał ciekawością. Uczony geograf nie miał nic kosztowniejszego nad ten podarek. Robert, prócz uścisku, nic dać nie mógł, pieścił więc i całował swego zbawcę, nie zapominając i o jego poczciwym koniu.

W tej właśnie chwili szalupa wślizgnęła się przez wąski kanał pomiędzy dwiema ławicami, wkrótce przybiła do brzegu.

— Moja żona? — spytał Glenarvan.

— Moja siostra? — zawołał Robert.

— Lady Helena i miss Grant oczekują na pokładzie — odpowiedział sternik. — Ale ruszajmy prędko, Wasza Dostojność; nie mamy ani chwili do stracenia, bo czuję już bliski przypływ morza.

Jeszcze po raz ostatni uściskano Indjanina. Thalcave odprowadził swych przyjaciół do szalupy; porwał w ramiona Roberta, długo i czule patrzył mu w oczy, nareszcie z rozrzewnieniem rzekł:

— Jedź, jedź, młodzieńcze! Jesteś już mężczyzną!

— Bądź zdrów, przyjacielu, bądź zdrów! — zawołał Glenarvan.

— Czyż się już nigdy nie zobaczymy? — pytał Paganel.

— *Quien sabe?* (Kto wie?) — odrzekł Thalcave, wznosząc ręce ku niebu.

Były to ostatnie wyrazy Indjanina, uniesione przez podmuch wiatru i niedosłyszane już może przez podróżnych. Czółno wypłynęło na pełne morze, szybko oddalając się od brzegów, unoszone przez odpływ. Długo jeszcze nieruchoma postać Thalcave'a rysowała się poprzez bryzgi fal, malała zwolna, aż nareszcie całkiem znikła z oczu jego przyjaciół — prawie jednodniowych.

W godzinę potem Robert pierwszy skoczył na pokład *Duncana* i rzucił się na szyję Marji Grant, a osada jachtu napełniała powietrze głośnemi okrzykami radości.

Tak się odbyła ta podróż przez Amerykę Południową, w której trzymano się ściśle linji prostej. Ani góry, ani rzeki nie sprowadziły z drogi obranej podróżników. Wprawdzie nie potrzebowali walczyć z ludźmi, ale mieli przeciw sobie rozhukane żywioły, które szlachetną ich wytrwałość na ciężkie narażały doświadczenia.

XXVII.

POWRÓT NA OKRĘT.

Pierwsze chwile minęły na ogólnej radości ze szczęśliwego powrotu wyprawy. Lord Glenarvan nie chciał jej mącić wiadomością o niepowodzeniu poszukiwań, już tedy wchodząc na pokład jachtu, zawołał:

— Ufności, przyjaciele, ufności! Kapitana Granta niema jeszcze tutaj, ale jesteśmy pewni, że go odnajdziemy.

Słowa te były konieczne, aby nadzieja nie wygasła w sercach uczestników podróży na *Duncanie*.

Istotnie, gdy szalupa powracała do okrętu, lady Helena i Marja Grant do najwyższego stopnia miotane były niepewnością, a każda minuta wiekiem im się wydawała. Stojąc na tylnym pokładzie, z wytężonym wzrokiem, z sercem bijącem gwałtownie, liczyły powracających na okręt. Biednej Marji to zdawało się, że widzi ojca, to znów całkiem traciła nadzieję. Ze wzruszenia słowa przemówić nie mogła; nogi pod nią drżały tak, że ledwie się na nich utrzymać zdołała. Lady Helena objęła ją rękoma. — John Mangles w milczeniu wytężał oko; bystry jego wzrok marynarski nie mógł dostrzec kapitana pomiędzy wracającymi.

— On jest tam, powraca, mój ojciec drogi! — szeptało dziewczę.

Lecz w miarę zbliżania się szalupy, rozwiewało się złudzenie. Gdy powracający byli już tylko w odległości stu sążni od okrętu, nietylko lady Helena i John Mangles, ale sama nawet Marja, łzami zalana, wszelką utraciła nadzieję. W samą więc porę lord Glenarvan odezwał się słowami pociechy i nadziei.

Po pierwszych powitaniach, Glenarvan opowiedział żonie, Marji i Manglesowi ważniejsze wypadki swej wycieczki, a przedewszystkiem zapoznał ich z nową interpretacją dokumentu, którą zawdzięczać należy przenikliwości Jakóba Paganela. Chwalił też bardzo odwagę i poświęcenie Roberta, mówiąc o niebezpieczeństwach, na jakie bywał narażony. Zakłopotany chłopiec nie wiedział, co z sobą zrobić, wreszcie znalazł schronienie w objęciach siostry.

— Nie masz się czego wstydzić, Robercie — rzekł John Mangles — postępowałeś, jak przystoi na syna kapitana Granta.

To mówiąc, wyciągnął rękę do brata Marji i dotknął ustami policzka, zroszonego łzami dziewczęcia.

Major i uczony geograf niemniej serdecznie byli powitani; a gdy Glenarvan opowiedział o upominku, danym przez siebie Thalcave'owi, lady Helena wyraziła żal, iż nie mogła uścisnąć dłoni zacnego Indjanina. Mac-Nabbs wymknął się zaraz po przywitaniu do swej kajuty, aby się ogolić; Paganel zaś biegał jak pszczoła, zbierając słodycz

uśmiechów i pochwał. Chciał uściskać całą osadę *Duncana*, a utrzymując, że lady Helena i Marja Grant również do niej należą, zaczął od nich, a skończył dopiero na p. Olbinecie, który, jakby wywdzięczając tę uprzejmość, poprosił towarzystwo na śniadanie.

— Śniadanie! — zawołał Paganel.

— Tak jest, panie Paganel — odpowiedział Olbinett.

— Prawdziwe śniadanie, na prawdziwym stole, z nakryciem i serwetami?

— Bezwątpienia, panie Paganel.

— I nie będziemy jedli jaj na twardo, ani polędwicy ze strusia?

— Bynajmniej, panie Paganel — rzekł z powagą steward, urażony nieco w swej godności.

— Nie chciałem cię obrazić, mój przyjacielu — mówił z uśmiechem geograf — ale widzisz, przez cały ten miesiąc nie mieliśmy prawie nic innego i musieliśmy to jadać nie przy stole, jak wszyscy ludzie, ale leżąc na ziemi, lub siedząc skurczeni na drzewie, jak to bywało w ostatnich dniach naszego pobytu w tym pięknym kraju. Nie dziw się przeto, że śniadanie, zapowiedziane przez ciebie, wziąłem za marzenie, za fikcję, za chimerę jakąś.

— Chodźmyż, panie Paganel, przekonać się o jego rzeczywistości — rzekła lady Helena, zaledwie powstrzymując się od śmiechu.

— Czy Wasza Wysokość nie wyda rozkazów, co do kierunku drogi *Duncana?* — zapytał John Mangles.

— Po śniadaniu, mój drogi — odpowiedział Glenarvan pogawędzimy wszyscy wspólnie o programie nowej naszej wyprawy.

Wszyscy zeszli do jadalni; mechanikowi polecono mieć parę wpogotowiu do wyjazdu na znak dany. Major ogolony, jak należy, i reszta podróżnych, przebrawszy się szybko, zasiedli do stołu.

Śniadanie było wyborne; jedzono też z apetytem, a Paganel, przez roztargnienie, jak mówił, po dwakroć wracał do każdego półmiska. Tak jedząc i gawędząc zarazem, nie zwrócił nawet uwagi na rzecz, która wszakże nie uszła bacznego oka lorda Glenarvana: uczony i czcigodny sekretarz Towarzystwa Geograficznego nie dostrzegł względów i zabiegów, jakiemi John Mangles na każdym kroku otaczał młodziutką Marję Grant. Glenarvan z serdecznem współczuciem patrzył na tę piękną parę i począł wypytywać Johna Manglesa... ale całkiem o co innego.

— A jakże ci się twoja podróż powiodła, kapitanie?

— Jak może być najlepiej; tylko mam zaszczyt donieść Waszej Dostojności, że nie wracaliśmy przez cieśninę Magellańską.

— Więc opłynęliście przylądek Horn! — zawołał Paganel. — Mój Boże, jakaż to szkoda, że ja tam nie byłem!

— Nie można, kochany Paganelu, być w dwu miejscach jednocześnie; skoro przebiegałeś płaszczyzny pampy, to nie mogłeś żadną miarą w tym samym czasie opływać przylądka Horn.

— Niemniej przeto żałuję tego — odrzekł uczony.

John Mangles opowiadał dalej lordowi Glenarvan, jak płynąc wzdłuż brzegu amerykańskiego, obserwował wszystkie archipelagi zachodnie, lecz nigdzie nie znalazł najmniejszego śladu *Britanji*. Przybywszy do przylądka Pilares, u wejścia do cieśniny Magellana, zwrócił się z powodu wiatru przeciwnego na południe; *Duncan*, płynąc wzdłuż wysp *Desolation*, dosięgnął sześćdziesiątego siódmego stopnia szerokości południowej, opłynął przylądek Horn, minął ziemię Ognistą, a przebywszy cieśninę Le Maire, pilnował się już wybrzeży Patagonji. Tu, na wysokości przylądka Corrientes, wytrzymać musiał gwałtowność tego samego wiatru, który podróżnych trapił podczas burzy; na szczęście jednak jacht zniósł dobrze tę próbę, a od trzech już dni to zbliżał się, o ile można, do brzegów, to odpływał znowu na pełne morze. Dopiero huk wystrzału karabinowego oznajmił pożądany powrót gości, tak niecierpliwie oczekiwanych. Przy sposobności dowódca jachtu oddał hołd zasłużony rzadkiej nieustraszoności lady Glenarvan i panny Grant, które, jeśli okazały obawę podczas burzy, to tylko o los serdecznych przyjaciół, tułających się naówczas po płaszczyznach argentyńskich.

Po tem opowiadaniu, lord Glenarvan rzekł, zwracając się do Marji Grant:

— Miło mi słyszeć, kochana miss Marjo, to, co mówi kapitan, i wnosić, iż nie przykrzy ci się pobyt na pokładzie naszego statku.

— Czyż mogłoby być inaczej? — odpowiedziała Marja, spoglądając na lady Helenę, a może i na kapitana.

— Och! moja siostra kocha cię bardzo, panie John — zawołał Robert — i ja cię także kocham.

— Ja ci szczerą płacę wzajemnością, mój chłopcze — odrzekł John Mangles, cokolwiek zmieszany słowami Roberta, które i na twarz Marji wywołały lekki rumieniec.

Poczem, chcąc zwrócić rozmowę na przedmiot mniej drażliwy, John Mangles dodał:

— Ponieważ skończyłem opowiadanie o podróży *Duncana*, Wasza Dostojność raczy może zkolei udzielić nam choć nieco szczegółów waszej wycieczki po Ameryce i opisze nam czyny młodego naszego bohatera.

Żadne opowiadanie nie mogło być przyjemniejsze dla lady Heleny i miss Grant. Lord Glenarvan zaspokoił ich ciekawość i wypadek po wypadku opisał całą swą podróż od jednego oceanu do drugiego, przejście Kordyljerów Andyjskich, trzęsienie ziemi, zniknięcie Roberta, porwanie go przez kondora, zręczny strzał Thalcave'a, spotkanie się



...Duncan, pędzony burzą, sunął z szybkością niezmierną...
(str. 196).

z czerwonemi wilkami, odwagę i poświęcenie młodego chłopca, rozmowę z sierżantem Manuelem; powódź, ucieczkę na wierzchołek ombu, uderzenie piorunu, pożar, napaść kajmanów, trąbę powietrzną, noc na wybrzeżu Atlantyku, różne wreszcie szczegóły zabawne lub straszne — które zkolei budziły trwogę lub wywoływały uśmiech na usta słuchaczów. Po skończonem opowiadaniu, lady Helena i miss Grant uścisnęły serdecznie młodego Roberta, a lord Glenarvan dodał:

— Kochani przyjaciele, wypada pomyśleć o teraźniejszości; przeszłość już minęła, lecz przyszłość do nas należy. Mówmy o kapitanie Grancie.

Przeszli więc do saloniku lady Glenarvan, gdzie zasiedli wokoło stolika, założonego mapami i planami.

— Droga Heleno — rzekł lord Glenarvan — powiedziałem ci już, że jakkolwiek uratowani z osady *Britanji* nie wracają jeszcze z nami, niemniej mamy nadzieję ich odszukania. Z naszej przejażdżki po Ameryce wynieśliśmy to przekonanie, więcej nawet, tę pewność, że rozbicie się tego statku nie nastąpiło ani na wybrzeżach oceanu Spokojnego, ani Atlantyckiego. Stąd wynika wniosek bardzo naturalny, żeśmy źle zrozumieli dokument, a przynajmniej błędnie go sobie tłumaczyli w tem, co się tyczy Patagonji. Na szczęście, przyjaciel nasz Paganel, jakby natchnieniem jakiemś oświecony, odgadł ten błąd, przekonał nas, że fałszywą postępujemy drogą, i wytłumaczył znaczenie dokumentu tak jasno, że już żadnej, jak się zdaje, nie powinno ulegać wątpliwości. Mowa tu o dokumencie w języku francuskim i proszę Paganela o wytłumaczenie go raz jeszcze, aby nikt już nie miał wątpliwości pod tym względem.

Uczony geograf nie dał się prosić; z głębokiem przekonaniem dowodził, że kapitan Grant, opuszczając wybrzeża Peru na skołatanym statku, dla dostania się do Europy, mógł być zapędzony aż do wybrzeża Australji przez silne wiatry południowe, panujące na oceanie Spokojnym. John Mangles nawet uległ wpływowi zręcznych jego wywodów i genjalnych przypuszczeń, jakkolwiek dowódca *Duncana* surowym był w takich rzeczach sędzią i niełatwo dał się uwodzić złudzeniom wyobraźni.

Gdy Paganel skończył swą uczoną dysertację, lord Glenarvan oznajmił, że *Duncan* bezzwłocznie popłynie do Australji. Zanim jednakże wydano ostateczne w tym względzie rozkazy, major prosił o pozwolenie zrobienia swoich jeszcze uwag.

— Nie mam zamiaru podawać w wątpliwość, albo też osłabiać rozumowań mego przyjaciela; owszem, uważam je za bardzo poważne, uzasadnione, zewszechmiar na uwagę naszą zasługujące, i sądzę, że powinny służyć za podstawę przyszłych naszych poszukiwań. Lecz pragnąłbym. aby je raz jeszcze pod najściślejszą wziąć rozwagę, choćby tylko w celu uznania niezaprzeczonej ich wartości.

— Słucham cię, majorze — rzekł Paganel — gotów jestem odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania.

— Postaram się być zwięzłym — rzekł major. — Kiedy przed pięciu miesiącami badaliśmy owe trzy dokumenty w zatoce Clyde, zdawało nam się, żeśmy je dokładnie zrozumieli i że miejscem rozbicia nie mógł być inny punkt, jak zachodnie wybrzeże Patagonji; pod tym względem nie było cienia wątpliwości.

— Bardzo słuszna uwaga — rzekł Glenarvan.

— Później — ciągnął dalej major — gdy Paganel, zrządzeniem opatrznościowego jakiegoś roztargnienia, wszedł na pokład naszego statku, pokazaliśmy mu dokumenty i zgodził się wraz z nami na czynienie poszukiwań na wybrzeżu amerykańskiem.

— Przyznaję to — odpowiedział geograf.

— A jednakże omyliliśmy się — dodał major.

— Omyliliśmy się — powtórzył Paganel — to prawda, kochany Mac Nabbs; ale pomnij, że błądzić jest rzeczą ludzką, a szalonym jest ten tylko, kto trwa w błędzie.

— Poczekaj, Paganelu — odpowiedział major — nie zapalaj się. Nie obstaję bynajmniej za dalszem poszukiwaniem w Ameryce.

— Więc czegóż żądasz? — wtrącił Glenarvan.

— Wyznania, nic więcej jak uroczystego wyznania, że wierzymy, iż okręt *Britanja* rozbił się przy brzegach Australji, jak wierzyliśmy, że się to stało przy brzegach Ameryki.

— Zeznajemy to chętnie — odpowiedział Paganel.

— Trzymam cię za słowo, kochany przyjacielu, i notuję ten fakt, który kiedyś przypomnę twej wyobraźni, tak skłonnej do dawania wiary najsprzeczniejszym nawet przypuszczeniom. Kto wie, czy po Australji nie wypadnie nam gdzie indziej zwrócić naszych poszukiwań.

Glenarvan i Paganel spojrzeli jeden na drugiego, uderzyła ich bowiem słuszność uwag majora.

— Pragnę więc — mówił Mac Nabbs — aby raz jeszcze dobrze zastanowić się, zanim puścimy się do Australji. Mamy przed sobą i dokumenty i mapy. Zbadajmy kolejno wszystkie punkty, przez które przechodzi trzydziesty siódmy równoleżnik, i zobaczmy, czy nie nastręczy się inny jeszcze punkt jaki, wskazany dokładnie w dokumencie.

— Nic łatwiejszego — powiedział Paganel — tem więcej, że pod tą szerokością niewiele krajów znajdziemy.

— Zobaczymy — rzekł major, biorąc do rąk mapę, opracowaną według rzutu Mercatora, a przedstawiająca całą kulę ziemską. Mapę rozłożono na stoliku przed lady Heleną, tak, że wszyscy mogli, stojąc wokoło, widzieć, co Paganel na niej pokaże.

— Otóż, jak wam już mówiłem — wykładał geograf — przerznąwszy Amerykę Południową, trzydziesty siódmy stopień szerokości przechodzi dalej przez wyspy Tristan d'Acunha, których, jak sądzę, żaden z wyrazów dokumentu tyczyć się nie może.

Przejrzano skrupulatnie dokumenty i uznano, że Paganel ma słuszność zupełną co do wysp Tristan d'Acunha.

— Idźmy dalej — ciągnął geograf. — Opuściwszy Atlantyk, płyniemy o dwa stopnie poniżej przylądka Dobrej Nadziei i spotykamy ocean Indyjski. Na tej drodze znajduje się jedyna gromada wysp Amsterdam, których także nie tyczy się najmniejsza wzmianka

w naszym dokumencie. Teraz zkolei przybywamy do Australji; trzydziesty siódmy równoleżnik przecina ten ląd u przylądka Bernuili, a opuszcza go u zatoki Twofold. Zgodzicie się zapewne ze mną, że wyraz angielski *stra* i wyraz francuski *austral* mogę stosować do Australji.

— Zdaje się masz zupełną słuszność, kochany Paganelu; ale idźmy dalej — nalegał major.

— Idźmy — rzekł Paganel — podróż jest łatwa. Opuściwszy zatokę Twofold, przebywamy odnogę morską, ciągnącą się na wschód Australji, i dopływamy do Nowej Zelandji. Tu wypada mi przypomnieć, że wyraz francuski *contin*, bez najmniejszej wątpliwości znaczy „continent" (ląd), a przeto kapitan Grant nie mógł znaleźć schronienia na Nowej Zelandji, która jest wyspą. Pomimo to badajcie, porównywajcie, rozbierajcie wyrazy i przekonajcie się, czy mogą mieć co wspólnego z tym krajem.

— Bynajmniej! — odpowiedział John Mangles, po ścisłem obejrzeniu dokumentów i karty geograficznej.

— Bynajmniej — powtórzyli wszyscy obecni, a nawet sam major przyznał, że nie mogło tu być mowy o Nowej Zelandji.

— Teraz — mówił dalej geograf — na całej tej ogromnej przestrzeni, dzielącej tę wielką wyspę od wybrzeży amerykańskich, trzydziesty siódmy równoleżnik przechodzi przez jedną tylko wysepkę pustą i nieurodzajną.

— Która się zowie... — spytał major.

— Zobacz na karcie. To wysepka Marji Teresy, której nazwiska nawet najmniejszego śladu nie znajduję w żadnym z trzech dokumentów.

— Tak jest — wtrącił Glenarvan.

— Odwołuję się więc do was, kochani przyjaciele, czy wszelkie prawdopodobieństwo, iż nie powiem, pewność zupełna nie przemawiają za lądem australijskim?

— Nieinaczej — jednozgodnie odpowiedzieli podróżni i kapitan *Duncana*.

— Słuchaj John — rzekł wtedy lord Glenarvan — czy masz wystarczające zapasy węgla i żywności?

— Mam, Wasza Dostojność. Dostatecznie zaopatrzyłem się w Talcahuano, a zresztą w Capetown łatwo dostaniemy węgla.

— A więc w drogę!...

— Jeszcze jedna uwaga — rzekł major, przerywając swemu kuzynowi.

— Słuchamy cię, majorze.

— Bez względu na to, jakie szanse powodzenia możemy mieć w Australji, nie zaszkodzi wypocząć jeden dzień lub parę przy wyspach Tristan d'Acunha i Amsterdam. Leżą one na naszej drodze; nie po-

trzebujemy zbaczać ani trochę, a przekonamy się przynajmniej, czy *Britannia* nie pozostawiła tam jakiego śladu swego rozbicia.

— O niewierny majorze — zawołał Paganel — o to ci idzie!

— Idzie mi o to, żebyśmy nie potrzebowali wracać, jeśli przypadkiem i Australja zawiedzie nasze nadzieje.

— Pochwalam tę przezorność — rzekł Glenarvan.

— A ja jej nie ganię — mówił Paganel.

— A więc, kapitanie — mówił dalej Glenarvan — podążaj ku wyspom Tristan d'Acunha.

— Natychmiast — odpowiedział kapitan i wybiegł na pokład dla dania rozkazów, a tymczasem Robert i Marja Grant żywo wynurzali swą wdzięczność lordowi.

W chwilę potem *Duncan,* oddalając się od wybrzeża amerykańskiego i płynąc szybko na wschód, pruł fale oceanu Atlantyckiego.

XXVIII.

TRISTAN D'ACUNHA.

Gdyby jacht ściśle się był trzymał linji równika, to sto dziewięćdziesiąt sześć stopni, dzielących Australję od Ameryki, albo raczej przylądek Bernuili od przylądka Corrientes, wynosiłyby jedenaście tysięcy siedmset sześćdziesiąt mil morskich (4900 lieues); lecz na trzydziestym siódmym równoleżniku te sto dziewięćdziesiąt sześć stopni (z powodu kształtu globu) znaczą tylko dziewięć tysięcy czterysta ośmdziesiąt mil (4000 lieues). — Od wybrzeża amerykańskiego do Tristan d'Acunha liczą 2100 mil (896 lieues); jest to odległość, którą John Mangles spodziewał się przebyć w dniach dziesięciu, jeśli wschodnie wiatry nie opóźnią biegu jachtu. Ku wielkiemu jego zadowoleniu, pod wieczór wiatr znacznie się uspokoił, a *Duncan* na morzu zupełnie spokojnem miał sposobność okazania swych niezrównanych przymiotów.

Tego samego jeszcze dnia na pokładzie wszystko wróciło do dawnego porządku. Z wód oceanu Spokojnego okręt przepłynął na wody Atlantyku, z małą barwy różnicą bardzo do tamtych podobne. Żywioły uciszone sprzyjały zupełnie podróży. Ocean był spokojny, wiatr z przyjaznej wiał strony, a przytem żagle, pod wiatr zachodni rozpięte, dzielnie wspierały parę w kotle nagromadzoną.

Szybko ta podróż przeszła bez żadnego wypadku; z ufnością wyglądano brzegu australijskiego. Rozmawiano o kapitanie Grancie, jakgdyby jacht płynął na pewno do portu, z którego miał go zabrać; już nawet przygotowano dla niego kajutę i wyznaczono miejsca dla

jego towarzyszów. Marja Grant własną ręką stroiła przyszłe swego ojca mieszkanie, ustąpione przez pana Olbinetta, który przeniósł się do pokoju swej żony. Kajuta, o której mowa, przytykała do owego numeru szóstego, który Paganel zamówił sobie, jak mniemał, na pokładzie okrętu *Scottia*.

Uczony geograf ciągle prawie siedział tam zamknięty, pracując od rana do nocy nad dziełem, które miało nosić tytuł: „Wzniosłe wrażenia geografa w pampie argentyńskiej". Słyszano często, jak głosem wzruszonym wypowiadał okresy wytworne, zanim je zapisał do swego dziennika, jak nieraz, sprzeniewierzając się muzie historji, wzywał boskiej Kaliopy, opiekującej się wielkiemi utworami epicznemi.

Paganel zresztą nie taił się z tem bynajmniej. Czyste córy Apollina opuszczały chętnie dla niego wierzchołki Parnasu lub Helikonu. Lady Helena szczerze mu tego winszowała, a major nie był niechętny tym odwiedzinom bóstw mitologicznych.

— Tylko — dodawał zawsze — wystrzegaj się, kochany Paganelu, zwykłych twych roztargnień; a jeśli przypadkiem przyjdzie ci ochota uczyć się mowy australijskiej, nie bierz się do tego zapomocą gramatyki chińskiej.

Tak więc wszystko składało się wybornie na pokładzie *Duncana*. Lord i lady Glenarvan z upodobaniem patrzyli na Johna Mangles i Marję Grant, lecz nie zaczepiali tej drażliwej kwestji, skoro jej nie dotykał sam kapitan.

— Co pomyśli stary Grant? — rzekł pewnego razu Glenarvan do lady Heleny.

— Pomyśli, że Mangles godny jest jego córki, i z pewnością się nie omyli.

Tymczasem jacht szybko posuwał się, dążąc do swego celu. W pięć dni po opuszczeniu przylądka Corrientes, 16-go listopada, wiać poczęły bardzo przyjazne jego żegludze wiatry zachodnie. *Duncan* rozwinął wszystkie swe żagle i pędził, jakby szedł o lepsze z jachtami Królewskiego Klubu na Tamizie; mało wstrzymywały jego bieg porosty, szeroko pokrywające morze i zamieniające je prawie w staw zielskiem zasłany. *Duncan* sunął po nich, jakby po łąkach pampy.

Nazajutrz, o brzasku, słyszeć się dał głos majtka z czatowni:

— Ziemia!

— W którym kierunku? — spytał Tomasz Austin, będący na służbie.

— Pod wiatr — odpowiedział majtek.

Okrzyk taki zawsze na okręcie sprawia pewne wzruszenie; to też wszyscy zaraz wybiegli na pomost, a Jakób Paganel skierował swą lunetę w stronę wskazaną, lecz nie mógł dostrzec nic takiego, coby było ziemi podobne.

— Spojrzyj w obłoki — rzekł do niego John Mangles.

— W rzeczy samej — odrzekł Paganel — widzę jakby jakiś szczyt, zarysowujący się jeszcze niewyraźnie.

— To jest Tristan d'Acunha — oświadczył John Mangles.

— A więc mamy jeszcze przebyć ośmdziesiąt mil (angielskich), bo z takiej odległości widzialny jest szczyt Tristan, mający siedm tysięcy stóp wysokości.

— Tak jest rzeczywiście — odpowiedział kapitan John.

W kilka godzin później gromada wysp bardzo wysokich i nader stromych zaczęła się rysować wyraźnie na widnokręgu. Stożkowaty wierzchołek Tristana czarno się odznaczał na jasnem tle nieba, błyszczącem promieniami wschodzącego słońca.

Tristan d'Acunha leży pod 37° 8' szerokości południowej i 10° 44' długości na zachód od południka Greenwich [1]). O ośmnaście mil na południo-zachód wyspa, zwana: *Niedostępną,* a o dziesięć mil na południo-wschód wyspa *Słowicza* tworzą tę drobną grupę, samotnie rzuconą na tę część Atlantyku. O trzeciej godzinie po południu *Duncan* wpływał do przystani Falm, którą cypl Help (Pomocy) osłania przed wiatrami zachodniemi.

Stało tam na kotwicy kilka statków do połowu fok i innych zwierząt morskich, w jakie te wybrzeża bardzo obfitują.

John Mangles zajął się wyszukaniem miejsca wygodnego do zapuszczenia kotwicy, bo ta przystań nieosłonięta bardzo jest niebezpieczna z powodu gwałtownych wiatrów północno-zachodnich i północnych. W tem to właśnie miejscu w roku 1829 zginął całkowicie bryg angielski *Julja.* Jacht zbliżył się na odległość pół mili od brzegu. Zaraz też potem wielkie czółno przewiozło podróżnych na brzeg, gdzie wysiedli na drobny, czarny piasek, powstały ze zwietrzałych skał wyspy.

Stolicą wysp Tristan d'Acunha jest mała wioska, leżąca w głębi przystani, nad dużym i głośno szumiącym strumieniem. Podróżni znaleźli tam z pięćdziesiąt domków dość porządnych i czystych, rozrzuconych z tą matematyczną regularnością, która zdaje się być ostatnim wyrazem architektury angielskiej. Poza tem miasteczkiem w minjaturze rozciąga się tysiąc pięćset hektarów równiny, a nad nią stożkowaty szczyt wznosi swe czoło ku niebu, na siedm tysięcy stóp wysoko.

Glenarvana przyjął gubernator, zależny od zarządu angielskiej kolonji Przylądka Dobrej Nadziei. Nie umiał on nic powiedzieć ani o kapitanie Grancie, ani o statku *Britannia* — a nawet nazwiska te nie były mu znane. Wyspy Tristan d'Acunha rzadko bywają nawiedzane przez okręty. Od głośnego rozbicia się okrętu *Blendon-Hall* w roku 1821, dwa jeszcze podobnie nieszczęśliwe wypadki trafiły się tutaj, mianowicie w 1845 roku rozbił się statek *Primanguel,* a w 1857

---

[1]) 13° 4' na zachód od południka paryskiego, gdyż różnica pomiędzy temi dwoma południkami wynosi 2° 20'.

trzymasztowy okręt amerykański *Philadelphia*. Te tylko trzy katastrofy wymienia kronika archipelagu Tristan d'Acunha.

Glenarvan przygotowany był na to, że się tam niczego stanowczego nie dowie, i jeśli pytał gubernatora, to jedynie tylko dlatego, aby sobie nie mieć nic do wyrzucenia. Wysłał nawet parę łodzi, aby opłynęły wyspę, której obwód wynosi nie więcej nad siedmnaście mil; ani Londyn ani też Paryż nie zmieściłby się na niej, gdyby nawet była trzy razy większa.

Przez ten czas podróżni *Duncana* zwiedzali miasteczko i jego okolice. Ludność w Tristan d'Acunha wynosi zaledwie sto pięćdziesiąt mieszkańców. Są to Anglicy i Amerykanie, pożenieni z murzynkami i Hotentotkami z Przylądka Dobrej Nadziei, nie ustępującemi nikomu pod względem brzydoty. Dzieci, z tych małżeństw zrodzone, sztywne są jak Saksonowie, a czarne jak Afrykanie.

Turyści nasi, radzi, że czują ziemię pod nogami, przedłużyli swą przechadzkę po wybrzeżu, stykającem się z rozległą płaszczyzną, jedyną, która jest na tej wyspie uprawna; reszta kraju to skalista i lawowa pustynia, na której żyje mnóstwo albatrosów ogromnych i głupowatych tłuścieli.

Podróżni, zwiedziwszy skały, podążyli ku płaszczyźnie. Żywe i liczne strumienie, podsycane wiecznemi śniegami wierzchołka góry, szemrały tu i owdzie; zielone krzaki, na których tyle było wróbli, ile kwiatków, ożywiały i rozweselały okolice. Jedyny gatunek drzewa, wysokiego na dwadzieścia stóp, a raczej krzew olbrzymi, kolące krzewy wiciowate, inne znów wonne, mchy, wrzosy i t. d., stanowiły nieliczną, ale świetną florę i świadczyły, że wiosna nieustająca wywiera swój błogi wpływ na tę wyspę uprzywilejowaną. Paganel ze zwykłym sobie zapałem utrzymywał, że to jest właśnie owa słynna *Ogygia*, opiewana przez Fenelona w jego dziele „Przygody Telemaka". Proponował nawet lady Glenarvan, aby, wyszukawszy sobie grotę, zajęła miejsce nadobnej Kalipso, a dla siebie prosił tylko o urząd jednej z nimf jej posługujących.

Tak gawędząc i podziwiając naturę, podróżni o zmroku powrócili na pokład jachtu; w okolicach wioski pasły się stada wołów i baranów, a pola, okryte zbożem, kukurydzą i roślinami warzywnemi, dopiero od czterdziestu lat tam sprowadzonemi, ciągnęły się aż do ulic stolicy.

Powróciły też łodzie, na zwiady wysłane; w przeciągu kilku godzin opłynęły wyspę, nie znalazłszy nigdzie najmniejszego śladu *Britannii*.

Duncan mógł już przeto spokojnie opuścić tę gromadę wysp afrykańskich i płynąć dalej na wschód. Wieczór poświęcono na połów fok, które znajdują się tam w niezmiernej ilości i pod imieniem cieląt, lwów, niedźwiedzi i słoni morskich zalegają wybrzeża zatoki Falmouth. Dawniej na tych wodach przebywały też i wieloryby, lecz

tyle na nie robiono wypraw, że pozostało ich w tych okolicach niewiele; natomiast napotykano duże i częste gromady różnych zwierząt ziemnowodnych. Osada jachtu postanowiła odbywać połów przez noc całą, a następny dzień użyć na zrobienie zapasu tranu; tak więc odjazd *Duncana* odłożono do pojutrza, to jest do dnia 20-go listopada.

Przy wieczerzy Paganel udzielił swym towarzyszom kilku zajmujących szczegółów o wyspach Tristan, a mianowicie, że ta gromada odkryta była w 1506 roku przez Portugalczyka, Tristana d'Acunha, jednego z towarzyszów Albuquerque'a. Lecz nie zwiedzano jej przez wiek cały, uważając ją nie bez zasady, tak samo jak Bermudy, za gniazdo burz. Rzadko tam więc statek jaki przybywał, chyba zagnany burzą.

W 1697 roku zawinęły tam trzy statki holendersko-indyjskie. Spostrzeżenia ich przeglądał w 1700 roku sławny astronom Halley. Od roku 1712 do 1767 kilku żeglarzy francuskich korzystało z tych wiadomości, a między innymi La Pérouse w swej podróży, odbytej w 1785 roku.

Wyspy te, rzadko odwiedzane, pozostały zupełnie puste. Dopiero w roku 1811 Amerykanin, nazwiskiem Jonathan Lambert, postanowił je zaludnić. Przybywszy tam z dwoma towarzyszami w miesiącu styczniu, wziął się czynnie do pracy. Gubernator angielski z Przylądka Dobrej Nadziei, dowiedziawszy się, że dobrze się tam mają, ofiarował im opiekę Anglji, którą Jonathan Lambert przyjął i na chacie swej zatknął flagę Wielkiej Brytanji. Zdawało się, że powinien był panować spokojnie nad swym narodem, złożonym z jednego starego Włocha i jednego mulnika portugalskiego — gdy pewnego dnia, przy zwiedzaniu wybrzeży swego państwa, utopił się lub może był utopiony. Tymczasem nadszedł rok 1816. Napoleona uwięziono na wyspie Św. Heleny, a Anglja, dla zapewnienia sobie lepszej nad nim straży, osadziła jeden garnizon na wyspie Wniebowzięcia, a drugi na Tristan d'Acunha. Ten ostatni składał się z kompanji artylerji, z Cap, oraz oddziału Hotentotów — i pozostał tam aż do roku 1821, to jest do śmierci więźnia z wyspy Św. Heleny.

— Jeden pozostał tylko Europejczyk — dodał Paganel — jeden kapral, Szkot...

— Ach, Szkot! — zawołał major, którego uwagę zawsze zajmowali szczególniej jego rodacy.

— Nazywał się William Glass — odrzekł Paganel — i pozostał na wyspie ze swoją żoną i dwoma Hotentotami. Wkrótce do tego Szkota przyłączyli się dwaj Anglicy: jeden majtek, a drugi rybak, były dragon armji argentyńskiej — a nareszcie w 1821 jeden z rozbitków okrętu *Blendon - Hall* wraz ze swą żoną znalazł schronienie na wyspie Tristan. Takim więc sposobem w 1821 roku wyspa liczyła już sześciu mężczyzn i dwie kobiety; w 1829 było już na niej siedmiu

mężczyzn, sześć kobiet i czternaścioro dzieci; w 1835 cyfra ludności wzrosła do czterdziestu, a teraz już jest trzykroć liczniejsza.

— Taki to bywa początek narodów — rzekł Glenarvan.

— Dla uzupełnienia dziejów Tristan d'Acunha, dodam — mówił Paganel — że ta wyspa tyle, co i Juan Fernandez, zasługuje na nazwę wyspy Robinsona, bo jeżeli na jednej pozostawiono zkolei dwu marynarzy, to na drugiej omal nie porzucono dwu uczonych. W roku 1793 jeden z moich rodaków, przyrodnik Aubert Dupetit-Thouars, wyszedłszy na wycieczkę botaniczną, zabłądził i nie mógł trafić do swego statku, aż do chwili, gdy już podnoszono kotwicę; a w r. 1824, jeden z twoich znowu rodaków, milordzie, zdolny rysownik August Earle, przez ośm miesięcy pozostawał na wyspie. Kapitan jego okrętu zapomniał, że Earle wysiadł na ląd, i odpłynął do Przylądka Dobrej Nadziei.

— Prawdziwie roztargniony kapitan — rzekł major. — Czy nie był to czasem jaki twój krewny, Paganelu?

— Jeśli nim nie był, kochany majorze, to wart nim być.

Odpowiedź geografa zakończyła tę rozmowę.

Nocny połów *Duncana* udał się bardzo szczęśliwie. Ubito pięćdziesiąt ogromnych fok, z których przez cały dzień następny wydobywano tran i ściągano skóry. Reszta towarzystwa zrobiła znów wycieczkę na wyspę. Major i Glenarvan wyszli ze strzelbami, chcąc popróbować zwierzyny tamtejszej. Na przechadzce dnia tego posunięto się aż do podnóża góry, na grunt zasłany szczątkami wybuchów wulkanicznych; angielski kapitan Carmichaël słusznie uważał tę wyspę za wulkan wygasły.

Myśliwi spostrzegli kilka dzików, a nawet jednego z nich kula majora powaliła. Na wyniosłej płaszczyźnie widziano znaczną ilość kóz dzikich; było też tam mnóstwo kotów zdziczałych, śmiałych i silnych, groźnych nawet dla psów; być może, zrobią się z nich zczasem drapieżniki jak należy.

O ósmej wieczorem wszyscy już byli zpowrotem na pokładzie, a w nocy *Duncan* opuścił wyspę Tristan d'Acunha, aby jej nigdy już więcej nie zobaczyć.

XXIX.

WYSPA AMSTERDAM.

John Mangles miał zamiar zawinąć do Przylądka Dobrej Nadziei dla zrobienia zapasu węgla; musiał więc nieco zboczyć z trzydziestego siódmego równoleżnika i posunąć się o dwa stopnie wyżej ku północy. *Duncan* płynął z prądem wiatru, stale wiejącego od za-

chodu i bardzo mu przyjaznego. W niespełna sześć dni przebył tysiąc trzysta mil, tak, że 24-go listopada ujrzeli górę *Stołową*, a nieco później jacht opłynął górę *Znaków*, oznaczającą wejście do zatoki, do której wpłynął około 8-ej wieczorem i zarzucił kotwicę w porcie Cape-Town.

Paganel, jako członek Towarzystwa Geograficznego, nie mógł nie wiedzieć, że kończyny Afryki dostrzeżone były po raz pierwszy już w 1486 r. przez portugalskiego admirała Bartolomea Diaza, choć je opłynął dopiero w 1497 r. sławny Vasco de Gama. I jakże Paganel mógłby nie wiedzieć o tem, skoro już Kamoens w swojej „Luzjadzie" opiewał sławę wielkiego żeglarza? Z tego jednak powodu uczynił ciekawą uwagę, mianowicie, gdyby Diaz w 1486 roku, czyli na sześć lat przed pierwszą podróżą Krzysztofa Kolumba, opłynął Przylądek Dobrej Nadziei, to odkrycie Ameryki mogłoby być nieskończenie opóźnione. Rzeczywiście, droga około Przylądka jest najkrótsza i najprostsza do Indyj Wschodnich [1]; a tymczasem, posuwając się ciągle na zachód, czegoż szukał wielki marynarz genueński, jeżeli nie skrócenia drogi do krajów, obfitujących w korzenie cenne?

Miasto Cap, leżące w głębi Cap-Bay, założył w 1652 r. Holender nazwiskiem Van-Riebeck. Była to stolica ważnej kolonji, która mocą traktatu z roku 1815 stała się własnością Anglji. Podróżni skorzystali z przystanku *Duncana,* by zwiedzić miasto; mieli tylko dwanaście godzin do rozporządzenia, bo dzień jeden wystarczał kapitanowi Manglesowi do odświeżenia potrzebnych mu zapasów, a lord chciał odjechać koniecznie 26-go z rana.

I nie potrzeba było zresztą więcej czasu na przebieżenie regularnych kratek tej szachownicy, która się zowie Cape-Town, a na której, jak mówił Paganel, trzydzieści tysięcy mieszkańców, białych i czarnych, odgrywa role króli, królowych, skoczków, pionów, laufrów i t. d. Gdy już obejrzano zamek, wznoszący się w stronie południowo-wschodniej miasta, dom i ogród gubernatora, giełdę, muzeum, krzyż kamienny, ustawiony jeszcze przez Bartolomea Diaza na pamiątkę dokonywanego odkrycia; gdy wychylono szklankę krajowego wina — nie pozostawało nic więcej, jak tylko puścić się w dalszą drogę, i tak właśnie zrobili nasi podróżni. Wcześnie dnia następnego *Duncan* rozwinął wszystkie swoje żagle, a w kilka godzin potem okrążał już przylądek Burz, któremu prawdziwy optymista, Jan II, król portugalski, bardzo niezręczną dał nazwę: Dobrej Nadziei.

Przebyć 2000 mil (1200 lieus), dzielących Cap od wyspy Amsterdam, po gładkiem morzu i pod oddechem wiatrów sprzyjających, była to sprawa dni dziesięciu. Żeglarze, szczęśliwsi od podróżników w pampie, nie mogli się uskarżać na opór żywiołów. Powietrze i wo-

---

[1]) Kanał Sueski nie był jeszcze przekonany, gdy Verne tworzył niniejsze opowiadanie. (P. W.).

da, zbuntowane przeciwko nim na lądzie stałym, teraz wspólnie ułatwiały im drogę na oceanie.

— Ach, morze, morze — powtarzał Paganel — to jedyne pole, na którem mogą się wyćwiczyć i wykształcić siły ludzkie! Okręt jest prawdziwą arką cywilizacji! Przyznajcie, moi przyjaciele, że gdyby kula ziemska była tylko jednym rozległym lądem stałym, to w XIX-m wieku nie znanoby jeszcze tysiącznej jej części. Bo zobaczymy, co się to dzieje na wielkich lądach: w stepach Syberji, na płaszczyznach Azji środkowej, w pustyniach Afryki, na niezmierzonych stepach Ameryki, na obszarach Australji, na osamotnionych lodowiskach podbiegunowych? Człowiek nie ma odwagi zapuścić się tam, najodważniejszy cofa się, najzuchwalszy upada na duchu. Niema sposobu przebycia tych przestrzeni; na przeszkodzie staje już to zupełny brak, już niedostateczność środków przewozowych, gorąco, choroby, dzikość krajowców. Dwadzieścia mil pustyni bardziej oddala ludzi od siebie, aniżeli 500 mil na oceanie! Mieszkańcy dwu wybrzeży uważają się za sąsiadów, gdy tymczasem za obcych sobie, za cudzoziemców uważają się mieszkańcy dwu krańców lasu! Anglja graniczy nieledwie z Australją, gdy tymczasem Egipt np. zdaje się być o miljony mil odległy od Senegalu, a Pekin uważać można za antypody Petersburga. Morze przebywa się dzisiaj łatwiej, aniżeli najmniejszą pustynię i dzięki tej ułatwionej komunikacji wodnej, jak to słusznie powiedział amerykański uczony, komendant Maury, obecnie istnieje pewien stopień ogólnego jakoby pokrewieństwa pomiędzy wszystkiemi częściami świata [1]).

Paganel mówił z zapałem, a major nawet nie miał nic do zarzucenia temu hymnowi na cześć oceanu. Gdyby dla odszukania kapitana Granta potrzeba było lądem jechać wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika, to przedsięwzięcie byłoby niepodobne do urzeczywistnienia; morze zaś łatwo przenosiło z jednego kraju do drugiego odważnych poszukiwaczów, którzy dnia 6-go grudnia spostrzegli nową wyniosłość, wydobywającą się z głębi wód oceanu.

Była to wyspa Amsterdam, leżąca pod 37° 47' szerokości i 77° 24' długości; wyniosły jej wierzchołek w czas pogodny widzialny jest z odległości mil pięćdziesięciu. O ósmej godzinie kształty jej, niezupełnie jeszcze wyraźne, czyniły ją zupełnie podobny do Teneryfy.

— A przeto — dodał lord Glenarvan — podobna jest również do Tristan d'Acunha.

— Bardzo słuszna i trafna uwaga — odpowiedział Paganel — do której dodałbym jeszcze, że tak samo, jak Tristan d'Acunha, wyspa Amsterdam obfituje w foki i Robinsonów.

— Wszędzie więc byli Robinsonowie? — spytała lady Helena.

---

[1]) Jakże inaczej pisałby Verne, gdyby się był doczekał naszej ery lotnictwa, automobilizmu i radjotelegrafji? (P. T.).

— Rzeczywiście, pani — odrzekł Paganel — mało jest wysp, któreby nie miały swej historji w tym rodzaju; i na długo przed napisaniem przez waszego nieśmiertelnej sławy rodaka, Daniela de Foe, książki o Robinsonie, wypadki w niej opisane bywały rzeczywistością.

— Pozwól, panie Paganel — odezwała się Marja Grant — uczynić ci jedno zapytanie.

— Choćby dwa nawet, kochana miss; przyrzekam ci na nie odpowiedź.

— Powiedz szczerze, czy bardzoby cię zatrwożyło, gdyby cię opuszczono na jakiej wyspie bezludnej?

— Mnie? — zawołał Paganel.

— Ciekaw jestem — wtrącił major — czy nie oświadczysz czasem, kochany przyjacielu, że to jest najgorętszem twojem życzeniem.

— Nie powiem tego, ale wyznam szczerze, że nie sprawiłoby mi to wielkiej przykrości. Stworzyłbym sobie nowe życie. Polowałbym lub łowił ryby; przez zimę mieszkałbym w grocie, latem na drzewie; pobudowałbym składy na me zapasy, a w końcu rozkolonizowałbym moją wyspę.

— Jak to, sam jeden?

— Sam jeden, gdyby tego była potrzeba. Zresztą, czy można być zupełnie samotnym na świecie? Czy nie można znaleźć sobie przyjaciół w rasie zwierzęcej: przyswoić młodą kozę, papugę gadatliwą, lub rozkoszną małpeczkę? A jeśli przypadek zeszle ci jeszcze wiernego towarzysza, jak ów „Piątek" Robinsona, to czegóż więcej do zupełnego szczęścia potrzeba? Dwu przyjaciół na samotnej skale — ale cóż to za szczęście! Przypuśćmy naprzykład, że tak major i ja...

— Och! dziękuję pokornie — przerwał major — nie nęci mnie bynajmniej rola Robinsona i z pewnością źlebym ją odgrywał.

— Kochany panie Paganel — rzekła lady Helena — widzę, że znowu bujna twa wyobraźnia wyprowadza cię na pole fantazji. Lecz sądzę, iż rzeczywistość bardzo się różni od marzeń. Masz w pamięci tych Robinsonów zmyślonych, porzuconych na wyspie umyślnie na to upatrzonej, którym natura sama dogadza, jak dzieciom kapryśnym, widzisz przeto samą tylko piękną stronę położenia.

— Jakto? Pani nie wierzysz, aby można być zupełnie szczęśliwym na wyspie bezludnej?

— Nie wierzę. Człowiek stworzony jest do towarzystwa, a nie do samotności, która jest matką rozpaczy. Że zrazu troska o potrzeby materjalne zajmuje nieszczęśliwego, dopiero co ocalonego od śmierci w bałwanach morskich; że potrzeby chwili każą mu zapominać o przyszłości — to być bardzo może. Lecz później, gdy się ujrzy samotnym, oddalonym od bliźnich, bez nadziei ujrzenia kiedyś jeszcze kraju swego i tych, których kochał — jakże cierpieć będzie! Jego wysepka, to dla niego świat cały. Cała ludzkość kończy się na nim jed-

nym; a gdy śmierć przyjdzie, śmierć straszna w takiem osamotnieniu, jest on wtedy jak ostatni człowiek w ostatnim dniu świata. Wierzaj mi, panie Paganel, że nie do zazdrości jest los takiego człowieka.

Paganel nie bez żalu uległ wymownemu dowodzeniu lady Heleny. Rozmowa o korzyściach i przykrości osamotnienia przeciągnęła się aż do chwili, w której *Duncan* zarzucił kotwicę w odległości mili od brzegu wyspy Amsterdam.

Samotny ten archipelag na oceanie Indyjskim składa się z dwu wysp oddzielnych, leżących prawie o trzydzieści trzy mile jedna od drugiej i właśnie na samym południku półwyspu Indyjskiego. Na północ leży wyspa Amsterdam albo Świętego Piotra; na południe wyspa Świętego Pawła — jakkolwiek wspomnieć tu nie zawadzi, że geografowie i żeglarze biorą je często za jedno.

Wyspy te odkrył w grudniu 1796 r. Holender, nazwiskiem Vlaming: potem zwiedzał je Entrecasteaux, który ze statkami *Espérance* i *la Recherche* wyprawił się na poszukiwanie zaginionego De la Pérouse. Od tej podróży datuje się branie tych wysp za jedną. Marynarz Barrow, Beautemps-Beaupré w atlasie Entrecasteaux, później Horsburg, Pinkerton i inni geografowie ciągle brali wyspę Ś-go Piotra za wyspę Ś-go Pawła i przeciwnie. W 1859 roku oficerowie austrjackiej fregaty *Novarra,* w swej wyprawie naokoło świata, uniknęli tego błędu, do którego sprostowania Paganel tak wielką przywiązywał wagę.

Wyspa Świętego Pawła, leżąca na południe od wyspy Amsterdam, jest wysepką bezludną, uformowaną z góry stożkowatego kształtu, dawniejszego, jak się zdaje, wulkanu. Przeciwnie, wyspa Amsterdam, do której szalupa dowiozła podróżnych *Duncana,* ma do dwunastu mil obwodu. Zamieszkana jest przez kilku ludzi, dobrowolnie skazujących się na to smutne wygnanie. Są to stróże rybołóstwa, należącego tak, jak i cała wyspa, do niejakiego p. Otovana, kupca z wyspy Reunion. Ciągnie on z tej posiadłości siedmdziesiąt pięć do ośmdziesięciu tysięcy franków rocznego dochodu, za połów, solenie i wysyłanie do odległych krain ryby morskiej, znanej pod nazwą dorsza.

Zresztą ta wyspa Amsterdam przeznaczona już widać była Francji. Przedewszystkiem należy do niej dlatego, że pierwszy zajął ją niejaki Camin, armator z Saint-Denis na wyspie Bourbon; potem, na mocy jakiegoś kontraktu międzynarodowego, ustąpiona była pewnemu Polakowi, który uprawiał ją przy pomocy niewolników Malgaszów. Właściciel Polak, to jakby Francuz; dziś posiada ją p. Otovan i pod jego rządami stała się osadą zupełnie francuską.

Gdy *Duncan* przybył do niej dnia 6 grudnia 1864 r., ludność jej składała się z trzech mieszkańców: jednego Francuza i dwóch mulatów. Paganel mógł przeto uścisnąć rękę swego rodaka, czcigodnego p. Viot, staruszka w bardzo już podeszłym wieku. Ten „mądry sta-

rzec" z wielką grzecznością robił honory swej wyspy. Szczęśliwy to dla niego był dzień, w którym mógł przyjąć miłych gości. Do wyspy Świętego Piotra przybywają tylko rybacy, trudniący się połowem fok, i niekiedy wielorybnicy; ludzie bardzo prostych obyczajów, którzy wcale nie nabyli ogłady w ciągłem obcowaniu z psami morskiemi. P. Viot przedstawił swych podwładnych dwu mulatów. Oprócz nich jedynemi istotami żywemi na wyspie było kilka dzików, gnieżdżących się w jej głębi, i kilka tysięcy głupich tłuścieli (pingwinów) na jej wybrzeżach. Domek, w którym mieszkali trzej wyspiarze, leżał w głębi portu naturalnego, powstałego z zawalenia się jednej części góry.

Oddawna już wyspa Świętego Piotra służyła za schronienie rozbitkom. Paganel zaciekawił bardzo swoich słuchaczy, rozpoczynając pierwsze swe opowiadanie temi słowy: Historja dwu Szkotów, opuszczonych na wyspie Amsterdam.

Było to w roku 1827. Okręt angielski Palmira, przepływając w pewnej odległości od wyspy, spostrzegł dym, unoszący się w powietrzu. Kapitan zbliżył się do brzegu i zobaczył wkrótce dwu ludzi, dających znaki rozpaczliwe. Wysłał więc do lądu czółno i zabrał na okręt Jakóba Paine, młodzieńca dwudziesto-dwuletniego, i Roberta Proudfoota, mającego lat czterdzieści ośm. Dwaj ci biedacy byli strasznie wyczerpani. Od półtora roku bez pokarmu prawie i wody słodkiej, żyli muszlami, które łowili zapomocą starego gwoździa zakrzywionego; niekiedy udało im się schwytać przebiegające prosię dzikie, ale też często i po trzy dni nie mieli co do ust włożyć, a czuwać wciąż musieli nad ogniem, roznieconym przy pomocy ostatniego kawałka łupki. Gdy się wybierali na jaką wyprawę lub wycieczkę, zawsze ten skarb szacowny zabierali z sobą, nie dozwalając mu nigdy zagasnąć. Tak wiedli życie w nędzy, niedostatku i cierpieniach. Przywiózł ich na tę wyspę skuner, trudniący się połowem fok. Stosownie do zwyczajów rybackich, przez cały miesiąc mieli gromadzić skóry i tran, czekając na powrót skunera. ale skuner nie powrócił. W pięć miesięcy później okręt *Hope,* płynący do Van-Diemen, zawinął do wyspy; lecz kapitan jego, przez barbarzyński i niczem usprawiedliwić się nie dający kaprys, odmówił zabrania Szkotów. Odjechał, nie zostawiwszy im ani jednego suchara, ani krzesiwa — i z pewnością dwaj nieszczęśliwi byliby pomarli z głodu, gdyby *Palmira* nie przyjęła ich na swój pokład.

Drugi wypadek, o jakim wspomina historja wyspy Amsterdam, jest to zdarzenie kapitana Pérona, Francuza, zupełnie podobne do poprzedniego i tak samo zakończone: pozostanie dobrowolne na wyspie, okręt nie powracający i okręt obcy, przypadkiem zapędzony w te strony po czterdziestu miesiącach. Tylko że pobyt kapitana Pérona zaznaczył się krwawym dramatem, przypominającym dziwnie wypad-

ki zmyślone, jakie miały oczekiwać bohatera Daniela de Foe, po jego powrocie na swą wyspę.

Kapitan Péron wylądował z czterema majtkami: dwoma Anglikami i dwoma Francuzami, i miał przez piętnaście miesięcy polować na lwy morskie. Łowy były pomyślne; lecz gdy po piętnastu miesiącach okręt nie powrócił, gdy zwolna wyczerpały się zapasy żywności — pożycie z towarzyszami niedoli stało się bardzo trudne. Dwaj Anglicy zbuntowali się przeciw kapitanowi Peronowi, któryby byłby niezawodnie zginął z ich ręki, gdyby nie pomoc rodaków. Od tej chwili obie strony czuwały dzień i noc uzbrojone, napadając na siebie nawzajem. To jako zwycięzcy, to znów jako pokonani byliby niezawodnie wymordowali jedni drugich, gdyby na szczęście okręt angielski nie zabrał ich zpowrotem do ojczyzny i tym sposobem nie zakończył strasznego ich położenia.

Wyspa Amsterdam była zatem po dwakroć przytułkiem majtków opuszczonych, których Opatrzność ocaliła od nędzy i śmierci. Lecz od tej pory żaden statek nie zabrnął na te wybrzeża; a gdyby nawet burza wyrzuciła jakich rozbitków, to ci znaleźliby posterunek pana Viot. Starzec zaś przez długie już lata mieszkał na wyspie, a nigdy jeszcze nie nastręczyła mu się sposobność ofiarowania gościnności zabłąkanym lub rozbitkom żeglarzom. O *Britannii* i o kapitanie Grancie nic nie wiedział. Ani wyspa Amsterdam, ani wysepka świętego Pawła, którą wielorybnicy i rybacy często nawiedzali, nie były teatrem tej katastrofy.

Glenarvan ani się zadziwił, ani zmartwił takiem objaśnieniem. Na przystankach tych i wypoczynkach nie spodziewano się znaleźć kapitana Granta i chciano tylko stanowczo się przekonać o jego nieobecności na wszystkich tych punktach równoleżnika. Odjazd tedy *Duncana* zdecydowany był na dzień następny.

Do wieczora podróżni zwiedzili wyspę, której pozór bardzo jest ponętny. Pomimo to fauna jej i flora nader są ubogie; rząd czworonożnych, ptaków i ryb, składały: kilka dzików, petrele, albatrosy, okonie i foki. Wody gorące i źródła mineralne wydobywały się tu i owdzie z pośrodka lawy czarnej, utrzymując gęste kłęby pary ponad tym gruntem wulkanicznym. Niektóre z tych źródeł miały bardzo wysoką temperaturę. Jedno z nich wykazywało przeszło 75° według term. Réaumura. Ryby, złowione w morzu o kilka kroków stamtąd, w ciągu pięciu minut gotowały się wybornie w tych wodach prawie wrzących, i to jedynie skłoniło Paganela, że się w nich nie kąpał.

Wieczorem, po długiej przechadzce, lord Glenarvan pożegnał poczciwego Viota. Każdy zkolei życzył mu jak największej pomyślności na jego samotnej wysepce — a starzec na wzajem błogosławił swych gości i wzywał łaski Niebios dla ich zacnego przedsięwzięcia.

XXX.

ZAKŁADY JAKÓBA PAGANELA Z MAJOREM MAC NABBSEM.

Dnia 7-go grudnia kominy *Duncana* sapały już o trzeciej godzinie z rana; podniesiono kotwicę, wprawiono w ruch śrubę i jacht wypłynął na pełne morze. Gdy podróżni wyszli o ósmej godzinie na pomost, już wyspa Amsterdam niknęła we mgle widnokręgu. Był to ostatni przystanek na drodze po trzydziestym siódmym równoleżniku i już tylko trzy tysiące mil (1300 lieues) pozostawało do wybrzeży australskich. *Duncan*, dla dotarcia do swego celu, potrzebował nie więcej, niż dwanaście dni pogody i przyjaznego wiatru zachodniego.

Marja Grant i Robert nie bez wzruszenia spoglądali na wody, które okręt *Britannia* pruł zapewne na kilka dni przed swem rozbiciem. Może w tem właśnie miejscu nieszczęśliwy kapitan Grant walczył z groźnemi huraganami oceanu Indyjskiego i pędzony był ku brzegom siłą nieprzepartą. John Mangles wskazywał prądy, oznaczone na kartach, objaśniając zarazem stały ich kierunek. Jeden, naprzykład, z takich prądów, panujący na oceanie Indyjskim, pędzi ku lądowi australijskiemu, a jego działanie czuć się daje od zachodu ku wschodowi na oceanie Spokojnym, również jak i na Atlantyku. Tak więc *Britannia*, pozbawiona masztów i steru, to jest bezbronna wobec gwałtowności nieba i morza, musiała posuwać się ku brzegom, o które się rozbiła.

Jednakże nastręczała się tu pewna zagadka. Ostatnie wiadomości o kapitanie Grant były z Callao, 30-go maja 1862 r., według *Mercantile and Shipping Gazette*. Jakżeż więc 7-go czerwca, czyli w ośm dni po opuszczeniu wybrzeża Peru, *Britannia* mogła znajdować się na oceanie Indyjskim? Paganel, zapytany w tym względzie, dał odpowiedź mogącą zaspokoić najbardziej nawet wymagających.

Było to wieczorem dnia 12-go grudnia, czyli sześć dni po odjeździe z wyspy Amsterdam. Lord i lady Glenarvan, Robert i Marja Grant, kapitan John, Mac Nabbs i Paganel rozmawiali, siedząc na wyższym pomoście. Według zwyczaju, mówiono o *Britannii*, bo o niczem więcej na pokładzie jachtu nie myślano. Otóż wtedy to właśnie wyłoniła się trudność wspomniana, a rozwiązano ją tak, że wszystkie umysły znowu do błogiej wróciły nadziei.

Paganel na uwagę, niespodziewanie przez Glenarvana rzuconą, podniósł żywo głowę. Potem, nic nie odpowiadając, poszedł po dokument. Za powrotem wzruszył tylko ramionami, jak człowiek wstydzący się, że choć na chwilę mogła go zatrzymać taka bagatela.

— Ależ, kochany przyjacielu — rzekł Glenarvan — odpowiedzże nam coś przynajmniej.

— Przeciwnie — odrzekł Paganel — ja tu zadam pytanie, i zwrócę je wyłącznie do kapitana Johna.

— Słucham cię, panie Paganel — powiedział John Mangles.

— Czy dobry i zdolny do szybkiej podróży okręt może w ciągu jednego miesiąca przebyć całą część oceanu Spokojnego pomiędzy Ameryką i Australją?

— Tak jest, robiąc po dwieście mil na dobę.

— I czy taki bieg jest nadzwyczajny?

— Bynajmniej. Klippery żaglowe często z większą posuwają się szybkością.

— Otóż — mówił Paganel — zamiast czytać „7-go czerwca" na dokumencie, przypuśćmy, że woda morska wygryzła jedną cyfrę z tej daty — i czytajmy „17-go czerwca" lub „27-go czerwca", a wszystko się odrazu wyjaśni.

— W rzeczy samej — zauważyła lady Helena — od 31-go maja do 27-go czerwca...

— Kapitan Grant mógł przebyć ocean Spokojny i znaleźć się na morzu Indyjskiem.

Odpowiedź Paganela przyjęli wszyscy z żywem zadowoleniem.

— Jeszcze więc jedna zagadka wyjaśniona! — zawołał lord Glenarvan — i to dziki biegłości naszego przyjaciela. Pozostaje nam więc tylko dotrzeć do Australji i na zachodnim jej brzegu szukać śladów *Britannii*.

— Albo na brzegu wschodnim — dodał John Mangles.

— Istotnie, masz słuszność, kapitanie; nic w dokumencie nie wskazuje, czy wypadek zdarzył się na brzegu wschodnim czy też zachodnim. Poszukiwania nasze zatem muszą zwrócić się do obu tych punktów Australji, przeciętych trzydziestym siódmym równoleżnikiem.

— Więc milordzie — odezwała się Marja Grant — jest wątpliwość w tym względzie?

— Och! nie, miss — pośpieszył z odpowiedzią John Mangles, pragnąc przedewszystkiem uspokoić biedne dziewczę. — Wasza Dostojność zechce zwrócić uwagę, że gdyby kapitan Grant przybił do wschodniego brzegu Australji, to byłby natychmiast znalazł pomoc i opiekę. Całe to wybrzeże, można powiedzieć, jest angielskie i zaludnione przez kolonistów. Osada *Britanii* nie potrzebowałaby przewędrować nawet dziesięciu mil dla spotkania się ze swymi rodakami.

— Wybornie mówisz, kapitanie — potwierdził Paganel. — Na brzegu wschodnim, czy to w przystani Twofold, czy w mieście Eden, Harry Grant znalazłby nietylko schronienie w jednej z kolonij angielskich, ale nawet nie zabrakłoby mu tam środków do powrócenia do Europy.

— A zatem — rzekła lady Helena — rozbitkowie nie mogli znaleźć tych samych środków i ułatwień w tej części Australji, ku której obecnie płyniemy?

— Nie, pani — odpowiedział Paganel — brzeg ten jest pusty i bezludny. Żadna droga komunikacyjna nie łączy go z Melburnem ani Adelajdą i jeśli tu *Britannię* zapędziła burza, to okręt mógłby być pozbawiony wszelkiej pomocy, tak samo, jakgdyby się rozbił na niegościnnych brzegach Afryki.

— Ależ w takim razie — rzekła Marja Grant — cóżby się stało z moim ojcem od dwu lat?

— Kochana Marjo — odpowiedział Paganel — jesteś przekonana, jak sądzę, że kapitan Grant dostał się na ląd australijski po utracie swego okrętu?

— Tak jest, panie Paganel.

— A więc idzie o to, co się mogło stać z kapitanem Grantem, gdy już był na lądzie? Można tu przypuścić trzy przypadki: albo Harry ze swymi towarzyszami dostał się do kolonij angielskich, albo wpadł w ręce krajowców, albo nareszcie zabłąkał się wśród ogromnych pustyń australijskich. Co do pierwszego przypuszczenia, to stanowczo je odrzucam. Harry Grant nie mógł się dostać do kolonij angielskich, bo znalazłby był pomoc niezawodną i oddawna już byłby przy swych dzieciach w poczciwem swem mieście Dundee.

— Biedny ojciec — szepnęła Marja Grant — od dwu lat z nami rozłączony!

— Pozwól, siostro — przerwał Robert — mówić dalej panu Paganelowi, on nam wyjaśni...

— Niestety, mój chłopcze, wszystko, co mogę przypuszczać, jest chyba to, że kapitan Grant dostał się do niewoli u Australczyków, lub....

— Ależ ci krajowcy — żywo wtrąciła lady Glenarvan — czy nie są czasem?...

— Uspokój się, pani — przerwał Paganel, zgadujący myśl lady Heleny — ci krajowcy są wprawdzie dzikusami nieokrzesanymi, stojącymi na ostatnim szczeblu inteligencji, ale obyczajów łagodnych i nie krwiożerczy, jak ich sąsiedzi z Nowej Zelandji. Jeśli wzięli do niewoli rozbitków z *Britanji*, to ręczę, że nigdy życiu ich nie zagrażali. Wszyscy podróżnicy zgadzają się na to, że Australijczycy mają wstręt do rozlewu krwi, a nawet nieraz świadczą, że znajdowali w nich wiernych sprzymierzeńców przeciwko bandom skazańców, zbiegłych z miejsca zesłania.

— Słyszysz, co mówi pan Paganel? — rzekła lady Helena, zwracając się do Marji Grant. — Jeśli twój ojciec znajduje się w ręku krajowców, co przynajmniej dokument potwierdzać się zdaje, odszukamy go i...

— A jeśli się zabłąkał w tym ogromnym kraju? — spytało dziewczę, patrząc badawczo w twarz Paganela.

— To i tak — zawołał geograf z zupełnem przekonaniem — znajdziemy go, nieprawdaż, moi przyjaciele?

— Bezwątpienia — odezwał się Glenarvan, chcąc rozmowie nadać inny tok, mniej posępny. — Nie przypuszczam, aby się można zabłąkać?...

— Czy rozległa jest Australja? — zapytał Robert.

— Australja, mój chłopcze, ma coś około siedmiuset siedmdziesięciu pięciu miljonów hektarów rozległości, czyli jest tak wielka, jak cztery piąte Europy.

— Tak wielka? — zauważył Mac Nabbs.

— Tak, tak, kochany majorze; prawie co do jarda, i sam przyznasz, że kraj podobny ma już prawo nazywać się „lądem" — jak go nasz dokument oznacza!

— Niezawodnie, panie Paganel.

— Dodam jeszcze — mówił dalej uczony — że niewielu istnieje podróżników, którzyby zabłąkali się w tym rozległym kraju. Zdaje mi się, że Leichardt jest może jedynym, o którego losach nic niewiadomo; a i o nim już mówiono w Towarzystwie Geograficznem, przed samym moim wyjazdem, że podobno Mac Intyre trafił na jego ślady.

— Czy Australja nie cała jest znana? — spytała lady Glenarvan.

— Nie, pani — odpowiedział Paganel — ląd ten nie więcej jest znany, niż wnętrze Afryki; ale bynajmniej nie dla braku odważnych i poświęcających się podróżników. Od 1606 do 1862 roku przeszło pięćdziesięciu ich pracowało nad zbadaniem wnętrza i wybrzeży Australji.

— Och, czyżby pięćdziesięciu! — rzekł major z niedowierzaniem.

— Tak, panie Mac Nabbs! Właśnie tylu. Oczywiście, mówię tu o marynarzach, którzy oznaczyli wybrzeża Australji śród niebezpieczeństw żeglugi po wodach nieznanych, i o podróżnikach, którzy puścili się wpoprzek tego wielkiego lądu.

— Nawet i w takim razie pięćdziesięciu, to chyba zanadto.

— Posunę się jeszcze dalej, panie Mac Nabbs — ciągnął geograf, zapalając się w miarę, jak mu zaprzeczano...

— Słucham, co mi powiesz więcej, panie Paganel.

— Jeśli wątpisz, jeśli mi nie wierzysz, jednym tchem wymienię ci te pięćdziesiąt nazwisk.

— Och! och! — zaśmiał się flegmatycznie major. — Ci uczeni o niczem nie wątpią w swej zarozumiałości.

— Majorze — krzyknął Paganel — załóż się o twój karabin Purdey Moore and Dickson — a ja stawiam moją lunetę Secretana.

— I owszem, panie Paganel, jeśli ci to zrobi przyjemność — odpowiedział Mac Nabbs.

— Słowo, majorze! — zawołał mędrzec. — Trzymam cię za słowo i ręczę, że karabinem twoim nie zabijesz już więcej ani jednego

lisa, ani jednej kozy, chyba, że ci go pożyczę, na co zresztą zawsze liczyć możesz.

— Panie Paganel — odparł poważnie major — moja luneta będzie zawsze na twe rozkazy, ile razy tego zażądasz.

— Zaczynajmy więc — napierał Paganel. — Panowie i panie, biorę was za sędziów; a ty Robercie będziesz liczył wymieniane przeze mnie nazwiska.

Lord i lady Glenarvan, Marja i Robert, major i John Mangles, których bawiła i żywo zajmowała ta sprzeczka, gotowi byli słuchać Paganela; szło zresztą o Australję, ku której niósł ich *Duncan*, a historja jej nie mogła nie być zajmująca. Proszono więc Paganela, aby zaczął składać dowody swej pamięci.

— Mnemozyno — zawołał geograf — ty bogini pamięci, matko muz czystych, natchnij twego wiernego i gorliwego sługę! — Po tym wstępie, tak rzecz swą rozpoczął:

— Przed dwustu pięćdziesięciu ośmiu laty Australja nie była jeszcze znana. Domyślano się istnienia jakiegoś wielkiego lądu; dwie karty geograficzne, zachowane w bibljotece waszego Muzeum Brytyjskiego, a pochodzące z 1550 roku, wspominają o ziemi na południe od Azji leżącej, nazywając ją Wielką Jawą Portugalską. Lecz karty te nie są autentyczne — przechodzę więc do XVII wieku. W roku 1606 żeglarz hiszpański, niejaki Quiros, odkrył ziemię, którą nazwał Australja Espiritu Santo. Niektórzy autorowie twierdzili, że to była gromada Nowych Hebrydów, nie zaś Australja. Nie myślę tu rozstrzygać sporu. Policz, Robercie, tego Quirosa i przejdźmy do następnego.

— Jeden! — rzekł Robert.

— W tymże samym roku Luiz Vaz de Torres, porucznik floty tego samego Quirosa, posunął się dalej na południe, dla zwiedzenia ziem nowo odkrytych. Dopiero jednak Holendrowi, Teodorowi Hertoe, przypada zaszczyt dokonania wielkiego odkrycia. Wylądował on przy zachodniem wybrzeżu Australji, pod 25° szerokości, i nadał jej nazwisko swego okrętu, *Eendracht*. Po nim widzimy coraz większą liczbę żeglarzy w tych stronach. W 1618 r. Zeachen zwiedził na wybrzeżu północnem ziemię Arnheim i Diemen. W 1619 Jan Edels chrzci swem nazwiskiem część wybrzeża zachodniego. W 1622 Leuwin dociera aż do przylądka, który nosi dotąd jego nazwisko. W 1627 Nuitz i Witt, jeden na zachodzie, drugi na południu, uzupełniają odkrycia swych poprzedników i torują drogę komendantowi Carpenterowi, który ze swemi okrętami wpływa do obszernej zatoki, noszącej także jego nazwisko. Nareszcie w 1642 roku sławny marynarz Tasman opływa wyspę Van-Diemen, o której mniemał, że przylega do lądu, i nadaje jej nazwisko gubernatora generalnego Batawji — lecz wdzięczna potomność przezwała ją Tasmanją. W ten sposób ląd australijski opłynięto dokoła i dowiedziano się, że otaczają go oceany: Spokojny i Indyjski, a w 1665 r. nazwano tę wielką wyspę Nową Holandją. Lecz

była to pora, w której kończyła się już rola żeglarzy holenderskich, to też nazwa Nowej Holandji utrzymała się niedługo. Ilu już mamy, Robercie?

— Dziesięciu.

— Dobrze! Załatwiwszy się z Holendrami, przejdźmy teraz do Anglików. W roku 1686 dowódca korsarzy amerykańskich, głośny i sławny w swoim czasie flibustier mórz południowych, William Dampier, po wielu wypadkach, przeplatanych najwyższą pomyślnością i ostatnią nędzą, przybił na okręcie *Cygnet* do północno-zachodniego brzegu Nowej Holandji, pod 16° 50' szerokości: zapoznał się z dzikimi krajowcami i bardzo dokładnie opisał później ich obyczaje, ubóstwo, w jakiem żyli, i stopień rozwoju umysłowego. W 1699 roku Dampier zawinął do tej samej przystani, w której i Hertoge kiedyś wylądował, ale już nie w charakterze flibustiera, lecz jako dowódca okrętu *Roebuck,* należącego do marynarki królewskiej. Dotychczas jednak odkrycie Nowej Holandji, oprócz faktu wzbogacającego geografję, żadnego innego nie przedstawiało interesu. Ani pomyślano o jej kolonizowaniu; a w ciągu trzech ćwierci wieku, od 1699 do 1770 roku, ani jeden żeglarz nie zawinął do jej wybrzeży. Wtedy to wystąpił na scenę najsławniejszy ze wszystkich marynarzy świata, kapitan Cook, a wślad za nim nowy ląd zapełnił się wychodźcami z Europy. Podczas trzech swoich słynnych podróży, James Cook zawsze zawijał do krajów Nowej Holandji, a po raz pierwszy w d. 31-go marca 1770 roku. Na wyspie Otahiti bardzo pomyślnie obserwował przejście Wenery przez słońce[1]), a potem niewielki swój okręt *Endeavour* przerzucił na zachód oceanu Spokojnego. Zwiedziwszy Nową Zelandję, przybył do pewnej zatoki na zachodnim brzegu Australji, i takie tam znalazł bogactwo roślin, że nazwał ją *Botaniczną.* Jest to dzisiejsza Botany - Bay. Stosunki jego z dzikimi mieszkańcami niewiele przedstawiają szczegółów. Następnie zwrócił się ku północy i pod szesnastym stopniem szerokości, niedaleko od przylądka Utrapień, *Endeavour* natrafił na rafę koralową w odległości ośmiu mil od brzegu. Niebezpieczeństwo zatonięcia było wielkie. Żywność i armaty rzucono w morze i rzeczywiście okręt, jakby cudem, nie zatonął; kawał rafy koralowej utkwił w spodzie okrętu, zatykając dostatecznie otwór, przez który mogła woda się przedostać. Cook zdołał swój statek doprowadzić do małej przystani, gdzie wpadała rzeczka, którą nazwał Endeavour. Tam przez trzy miesiące naprawiali Anglicy swój okręt i przez ten czas starali się zawiązać pożyteczne dla siebie stosunki z krajowcami, lecz niebardzo im się to powiodło. Po ukończeniu reparacyj niezbędnych, wypłynęli znowu na morze, trzymając się

---

[1]) Przejście planety Wenus przez tarczę słoneczną miało nastąpić w 1769 roku. Zjawisko to dość rzadkie przedstawiało bardzo ważny interes dla nauki astronomji, bo przy jego pomocy można było dokładnie obliczyć odległość ziemi od słońca.

wciąż kierunku północnego. Cook chciał się przekonać, czy istnieje jaka cieśnina pomiędzy Nową Gwineą i Nową Holandją, i po wielu nowych niebezpieczeństwach, po dwudziestokrotnem może narażaniu swego okrętu na rozbicie lub zatopienie, ujrzał nareszcie morze, ciągnące się szeroko w stronę południowo-zachodnią. Była więc cieśnina. Przebyto ją. Cook wylądował na niewielkiej wyspie, a zabrawszy w imieniu Anglji w posiadanie długą przestrzeń wybrzeży przez siebie zwiedzonych, nadał im arcybrytańską nazwę: Nowej Walji Południowej. W trzy lata potem śmiały marynarz stanął na czele statków *Aventure* i *Résolution;* kapitan Furneaux na okręcie *Aventure* udał się dla zwiedzenia wybrzeży kraju Van-Diemen i powrócił z tem przekonaniem, że te ziemie stanowiły część Nowej Holandji. Dopiero w 1777 roku, podczas trzeciej swojej podróży, Cook z okrętami swemi *Résolution* i *Découverte* zawinął do przystani w kraju Van Diemen i stamtąd to w kilka miesięcy potem udał się na wyspy Sandwiskie, gdzie, jak wiadomo, był zamordowany.

— Wielki to był człowiek — rzekł Glenarvan.

— A przynajmniej najznakomitszy ze wszystkich marynarzy, jacy istnieli na kuli ziemskiej. Towarzysz jego, Banks, podał rządowi angielskiemu myśl założenia kolonji karnej w Botany Bay. Po nim dopiero ruszają w te strony żeglarze wszystkich narodowości. W ostatnim liście, otrzymanym od De la Pérouse'a, a datowanym z Botany-Bay 7-go lutego 1787 roku, nieszczęśliwy ten marynarz oznajmia swój zamiar zwiedzenia zatoki Carpentarie i całego wybrzeża Nowej Holandji aż do kraju Van-Diemen. Pojechał i nie powrócił więcej. W 1788 r. kapitan Philipp założył w Port Jackson pierwszą osadę angielską. W 1791 Vancouver opłynął wybrzeża południowe nowego lądu. W 1792 d'Entrecasteaux, wyprawiwszy się dla odszukania zaginionego De la Pérouse'a, opłynął Nową Holandję od zachodu i z południa, odkrywając po drodze wyspy nieznane. W 1795 i 1797 Flinders i Bass, dwaj młodzieńcy odważni, w łodzi długości ośmiu stóp puścili się na zwiedzenie wybrzeży południowych, a w 1797 Bass przepłynął pomiędzy krajem Van-Diemen i Nową Holandją przez cieśninę, która nosi jego nazwisko. Tego samego roku Vlaming, odkrywca wyspy Amsterdam, zwiedzał na wybrzeżach wschodnich rzekę Swan-River, na której znalazł najpyszniejszy gatunek czarnych łabędzi. Co do Flindersa, to w 1801 roku ponowił ciekawe swe poszukiwania, i pod 138° 58' długości, a 35° 50' szerokości w Encounter-Bay spotkał dwa francuskie okręty *Géographe* i *Naturaliste*, któremi dowodzili kapitanowie: Baudin i Hamelin.

— A, kapitan Baudin? — przerwał major.

— Tak jest! Ale co znaczy ten wykrzyknik? — spytał Paganel.

— Och, nic! Mów dalej, kochany Paganelu!

— Do wymienionych już osób — ciągnął znowu uczony członek Towarzystwa Geograficznego — dodam jeszcze kapitana Kinga, któ-

ry pomiędzy 1817 i 1822 rokiem uzupełnił zwiedzanie i poznanie wybrzeży międzyzwrotnikowych Nowej Holandji.

— Już mam dwadzieścia cztery nazwiska — rzekł Robert.

— Wybornie — odpowiedział Paganel — majorze, mam już połowę twej strzelby. A teraz, gdy już skończyłem z marynarzami, przejdźmy do podróżników.

— Doskonale, panie Paganel — zauważyła lady Helena — trzeba przyznać, że masz pamięć zadziwiającą.

— Co tem szczególniejszą jest rzeczą — dodał Glenarvan — w człowieku tak...

— Tak roztargnionym — śpiesznie dokończył Paganel. — Och, ja bo też mam tylko pamięć specjalną do zatrzymywania dat i wypadków.

— Dwadzieścia cztery! — powtórzył Robert.

— Dwudziestym piątym będzie porucznik Daws. Było to w r. 1789, to jest w rok po założeniu osady w Port-Jackson. Opłynięto już ląd nowy, znano jego rozległość i położenie, lecz nikt nie wiedział dotąd, co się na nim znajduje. Długie pasmo gór równoległych, ciągnące się od wschodu, zdawało się wzbraniać wszelkiego przystępu do środka kraju. Porucznik Daws, po dziewięciu dniach daremnych usiłowań, musiał powrócić do Port-Jackson. W tymże samym roku kapitan Tench usiłował przebyć ten wysoki łańcuch, lecz także mu się nielepiej powiodło. Te dwa daremne usiłowania przez następne trzy lata powstrzymywały podróżników od nowych prób trudnych a bezowocnych. W r. 1792 pułkownik Paterson, śmiały podróżnik afrykański, postanowił raz jeszcze spróbować, lecz także mu się nie powiodło. W następnym roku prosty sternik marynarki angielskiej, odważny Hawkins, posunął się o dwadzieścia mil dalej od swoich poprzedników. W ciągu osiemnastu lat następnych dwa tylko nazwiska wymienić mogę, to jest sławnego marynarza Bassa i p. Bareiller, inżyniera osady, którzy zresztą nie byli szczęśliwsi od swoich poprzedników. Aż dopiero w roku 1813 znaleziono przejście na zachód od Sydney. Gubernator Macquarie puścił się niem w r. 1815 i wtedy to z drugiej strony gór Błękitnych powstało miasto Bathurst. Odtąd już zaczął się szereg odkryć, które zbogaciły wiadomości geograficzne i wiele pomogły do rozwoju kolonji. I tak: Throsby w 1819, po nim Oxley, który zwiedził trzysta mil kraju, następnie Hewel i Hume, którzy za punkt wyjścia obrali sobie Twofold-Bay, to jest właśnie punkt, przez który przechodzi trzydziesty siódmy równoleżnik, a nareszcie kapitan Sturt, który w 1829 i 1830 badał bieg dwóch rzek Darling i Murray.

— Trzydzieści sześć! — zawołał Robert.

— Wybornie, posuwam się naprzód! — rzekł Paganel. — Przypominam zatem, że Eyre i Leichardt przebiegli i zwiedzili znaczną część kraju w 1840 i 1841 r.; Sturt w 1845, bracia Gregory i Helpman

w 1846 zwiedzili Australję zachodnią; Kennedy w 1847 robił poszukiwania na rzece Wiktorji, a w 1848 w Australji północnej; Gregory w 1852; Austin w 1854; bracia Gregory od 1855 do 1858 w północno-zachodniej stronie lądu; Babbage od jeziora Torrens do jeziora Eyre i nareszcie dochodzę do słynnego podróżnika po obszarach Australji, Stuarta, który po trzykroć odbył śmiałą wędrówkę przez cały ląd nowy. Pierwszą z tych wypraw do środka Australji przedsięwziął w roku 1860. — Później, jeśli zechcecie, opowiem wam, w jaki sposób Australja po czterykroć zwiedzona była w kierunku od południa ku północy. Dziś radbym już skończyć tę długą litanję nazwisk, do których jeszcze dodać muszę, że pomiędzy 1860 a 1862 zwiedzili Australję bracia Dempster, Clarkson i Harper, Burke i Wills, Neilson, Walker, Landsborough, Mackinlay, Howit...

— Pięćdziesiąt sześć! — krzyknął Robert.

— No, majorze — rzekł na to Paganel — już pięćdziesiąt sześć, a jeszczem ci nie wymienił takich ludzi, jak Duperrey, Bougainville, Fitz-Roy, Wickam, Stokes...

— Dosyć już, dosyć! — zawołał major, oszołomiony temi liczbami.

— Pérou, Quoy — mówił dalej Paganel, rozpędzony jak lokomotywa — Bennet, Cuningham, Nutchell, Tiers,...

— A zmiłuj się, dosyć!

— Dixon, Strzelecki,[1]) Reid, Wilkes, Mitchell...

— Stój, Paganelu — rzekł, śmiejąc się serdecznie, Glenarvan — nie upokarzaj tak biednego majora! Bądź szlachetny! Wszak uznaje się za zwyciężonego.

— A jego karabin? — spytał geograf triumfująco.

— Twoim jest, Paganelu — odparł major — chociaż szczerze go żałuję; ale przekonałeś mnie, że twoją pamięcią zdolny byłbyś wygrać cały arsenał.

— Trudno — rzekła lady Helena — lepiej znać Australję, oraz wszystkie nazwiska i drobne nawet wypadki, towarzyszące jej odkryciu.

— Och, drobne wypadki — powtórzył major, potrząsając głową.

— Co to ma znaczyć majorze? — spytał zaperzony Paganel.

— Mówię, że nie wszystkie może wypadki, tyczące się odkrycia Australji, są ci znane.

— A to mi się podoba! — zawołał Paganel, dotknięty do żywego.

— A jeżeli wymienię ci jeden, o którym nie wiesz, to zwrócisz mi mój karabin? — spytał Mac Nabbs.

---

[1]) Edmund hr. Strzelecki, ur. w 1796 r. w Londynie, odkrył najwyższy szczyt Alp australijskich i nazwał go górą Kościuszki. P. T.

— Natychmiast, majorze.

— Słowo?

— Słowo!

— Dobrze. Czy wiesz, Paganelu, dlaczego Australja nie należy do Francji?

— Ależ, zdaje mi się...

— A przynajmniej, jak o tem sądzą Anglicy.

— Nie, majorze — odpowiedział Paganel zmieszany.

— Oto poprostu dlatego, że kapitan Baudin, choć wcale nie tchórz, tak się zląkł w 1802 r. skrzeczenia żab australijskich, że kazał co prędzej podnieść kotwicę i uciekł, aby już tam nigdy więcej nie powrócić.

— Jakto — wrzasnął uczony — tak utrzymują w Anglji? Ależ to jest żart złośliwy i niedorzeczny!

— Bardzo złośliwy i nader niedorzeczny, przyznaję — odrzekł major — ale uchodzi za historyczny w Wielkiej Brytanji.

— To niegodziwość! — krzyczał patrjota geograf... — I taką brednię na serjo powtarzają Anglicy?

— Muszę to potwierdzić z przykrością — rzekł lord Glenarvan, wśród ogólnego śmiechu.—Jakto! nie znasz tego drobnego szczegółu?

— Zupełnie nie znam. Lecz protestuję, choćby tylko dlatego, że Anglicy nazywają nas pospolicie „zajadaczami żab” — a przecież nikt nie je tego, czego się obawia.

— Pomimo to fakt jest niezawodny, Paganelu — dodał major, uśmiechając się skromnie.

I tym oto sposobem słynny karabin fabryki Purdey Moore and Dickson pozostał własnością majora Mac Nabbsa.

XXXI.

WYBRYKI OCEANU INDYJSKIEGO.

W dwa dni po tej rozmowie John Mangles, zwróciwszy się ku południowi, oświadczył, że *Duncan* znajduje się pod 113° 37’ długości. Pasażerowie spojrzeli na kartę okrętową i z wielkiem zadowoleniem spostrzegli, że tylko pięć stopni oddziela ich od przylądka Bernouilli. Pomiędzy tym przylądkiem a cyplem Entrecastaux, wybrzeże australijskie zakreśla łuk, którego podstawą jest trzydziesty siódmy równoleżnik. Można było śmiało liczyć na to, że za cztery dni najdalej przylądek Bernouilli ukaże się na widnokręgu.

Wiatr zachodni sprzyjał dotąd podróży jachtu, lecz od kilku dni widocznie zmniejszał się, uspokajał, aż nareszcie 13-go grudnia zu-

pełnie wiać przestał, a żagle bezwładnie zawisły na masztach. Gdyby nie potężna siła śruby, *Duncan* byłby stanął w miejscu, przykuty ciszą oceanu.

Taki stan atmosfery mógł trwać Bóg wie jak długo. Wieczorem Glenarvan mówił o tym przedmiocie z kapitanem statku, który, widząc wyczerpujące się zapasy węgla, mocno był zaniepokojony tym brakiem wiatru, którego, według wyrażenia majtków, nie było nawet tyle, ileby się w kapeluszu zmieściło.

— Zawsze jednak — rzekł Glenarvan — niema na co tak bardzo narzekać; lepszy brak wiatru, aniżeli wiatr przeciwny.

— Wasza dostojność ma słuszność — odpowiedział John Mangles — lecz właśnie taka cisza nagłą sprowadza zmianę pogody i dlatego jej się obawiam. Znajdujemy się w strefie wiatrów mussonów, które od października do kwietnia dmą od strony północno-wschodniej, i jeśli nas tu pochwycą, podróż nasza bardzo się opóźni.

— Cóż robić, kochany kapitanie? I tej jeszcze przeciwności poddać się musimy; zresztą, prócz opóźnienia, żadne nam inne nie grozi niebezpieczeństwo.

— Jeśli do wiatrów nie przyłączy się burza.

— Czy ją przewidujesz? — spytał Glenarvan, rozglądając się po niebie czystem.

— Tak jest — odparł kapitan — mówię to waszej dostojności, nie chciałbym jednak przestraszać ani lady Glenarvan, ani też miss Marji Grant.

— Bardzo słusznie. Z czego wnioskujesz o burzy?

— Widzę wiele oznak nieprzyjaznych; nie ufaj, milordzie, tej pozornej czystości nieba, bo nic niema nad nią bardziej zwodniczego. Od dwu dni barometr opada gwałtownie; w tej chwili wskazuje dwadzieścia siedm cali [1]). Przestrogi tej lekceważyć nie trzeba; ja obawiam się bardzo wybryków mórz południowych, bo już ich doświadczyłem. Pary, zbierające się na ogromnych lodowcach bieguna południowego, sprowadzają nadzwyczajnie gwałtowny ciąg powietrza. Stąd powstaje walka wiatrów biegunowych z równikowemi, wytwarzająca cyklony, tornady i te nawałnice różnorodne, tak niebezpieczne dla okrętów.

— Słuchaj, John — rzekł na to Glenarvan — *Duncan* jest silny, a jego kapitan zręczny i biegły marynarz. Niech przyjdzie burza, potrafimy się obronić.

John Mangles, wynurzając swe obawy, szedł poprostu za głosem instynktu marynarskiego. Był to zręczny, jak Anglicy nazywają: „Weather-wise" (obserwator pogody). Ciągłe i uporczywe spadanie barometru nakazywało mu przedsięwziąć wszelkie środki ostroż-

---

[1]) 73,09 centymetrów. Normalna wysokość kolumny barometrycznej jest 76 centymetrów.

ności na pokładzie okrętu. Spodziewał się burzy gwałtownej, której nie wskazywał jeszcze obecny stan nieba, ale którą zapowiadało narzędzie nieomylne.

John przez noc całą pozostał na pomoście. Około godziny jedenastej niebo zachmurzyło się od strony południowej. John rozkazał natychmiast zwinąć wszystkie większe żagle. O północy wiatr czuć się dawał silniejszy, tak, że pędził atomy powietrzne z szybkością sześciu sążni na sekundę; trzeszczenie masztów oraz wewnętrznych wiązań statku zwróciło uwagę podróżnych, nie wiedzących dotąd o niczem. Paganel, Glenarvan, major i Robert wyszli na pomost — jedni przez ciekawość, drudzy, żeby pomagać w robocie. Po niebie czystem i gwiaździstem jeszcze niedawno toczyły się teraz gęste chmury, tu i owdzie poprzerywane plamami, jak wielka skóra lamparcia.

— Czy to huragan? — spytał krótko lord Glenarvan.

— Jeszcze nie, ale wkrótce będzie — odrzekł John.

Jako doświadczony marynarz, kapitan wydał rozkazy stosowne i sam ani na chwilę z pomostu się nie oddalał. Robił, co należało, aby nie oddać statku na wolę wichrów, a okręt od zbytniego kołysania się bronić.

W tej chwili barometr opadł do dwudziestu sześciu cali, co bardzo rzadko się zdarza, a *stormglas*[1]) wskazywał burzę.

Była to pierwsza godzina po północy. Lady Helena i miss Grant, doznając silnego kołysania w swej kajucie, odważyły się wyjść na pomost. Wiatr dął gwałtownie z szybkością czternastu sążni na sekundę; liny metalowe dźwięczały, jak struny instrumentu muzycznego, po których przesuwa się smyczek olbrzymi; bloki uderzały o siebie; marynarze biegali, wydając okrzyki chrapliwe; żagle, których jeszcze nie zwinięto, strzelały, jak działa; fale, już wyolbrzymiałe, rzucały się na okręt, unoszący się, jak delfin, na ich grzywach.

Gdy kapitan spostrzegł kobiety, pobiegł śpiesznie ku nim i prosił, aby wróciły do kajuty; burza w tej chwili tak się już wzmogła, że lady Helena zaledwie słyszeć mogła słowa kapitana.

— Czy niema niebezpieczeństwa? — spytała, gdy się na krótko uciszyło.

— Żadnego, pani — uspokajał John Mangles — ale ani pani, ani miss Grant nie możecie zostać na pomoście.

Lady Glenarvan i jej towarzyszka nie opierały się temu rozkazowi, brzmiącemu raczej jak prośba. Zaledwie weszły do swej kajuty, szyby, jakkolwiek osłonięte zasuwami, zatrzęsły się od huku silnie uderzającego bałwana; gwałtowność wiatru zwiększyła się, maszty zgięły się pod naciskiem żagli, i jacht zdawał się podnosić na falach.

---

[1]) Szkła, zawierające w sobie mieszaninę chemiczną, zmieniającą swój wygląd odpowiednio do kierunku wiatru i natężenia elektryczności atmosferycznej.

Czuwający nad wszystkiem kapitan kazał zwinąć jeszcze kilka żagli.

Majtkowie szybko i zręcznie spełniali polecenia, a *Duncan*, którego komin wyrzucał wciąż ogromne kłęby czarnego dymu, nierówno uderzał w wodę śrubą, której śmigi wyłaniały się niekiedy z fal.

Glenarvan, major, Paganel i Robert z podziwem i trwogą przypatrywali się tej strasznej walce *Duncana* z falami; stali oni w milczeniu, silnie trzymając się parapetu i nie mogąc słowa do siebie przemówić. Nad ich głowami, wśród szalonych wichrów, bujały stada petreli, tych żałobnych zwiastunów burzy.

W tej chwili świst przeciągły i ogłuszający przytłumił wrzaski huraganu. Para puściła się gwałtownie przez klapy kotła, świst alarmowy rozległ się z nadzwyczajną siłą, jacht przechylił się okropnie, a Wilson, stojący u koła sterowego, runął wskutek niespodziewanego ruchu koła. *Duncan*, uderzony przez fale z boku, nie słuchał już steru.

— Co się to stało — pytał John Mangles, wybiegając na pomost kapitański.

— Okręt kładzie się na bok! — odparł Tomasz Austin.

— Czy utraciliśmy ster?

— Do maszyny, do maszyny! — dał się słyszeć głos maszynisty.

John zbiegł na dół.

Kłęby pary napełniały komorę maszyn. Tłoki stały nieruchomo w cylindrach, drągi przestały obracać wał śruby. Wówczas maszynista, widząc bezskuteczność wszelkich wysiłków i w obawie o kotły, zamknął dopływ pary i pozwolił jej uchodzić przez wylot w rurze kominowej.

— Co to znaczy? — zapytał kapitan.

— Śruba skrzywiła się, czy też uwięzła — odrzekł mechanik — i przestała całkiem działać.

— Czy nie da się to naprawić?

— Niesposób.

Nie było zresztą czasu na naprawianie uszkodzeń; śruba nie posuwała statku, para zaś, nie działając na nią, otworzyła sobie klapy. Trzeba było uciec się do żagli i szukać pomocy u tego wiatru, który w tej chwili był najniebezpieczniejszym nieprzyjacielem.

John wrócił na pokład, w dwu słowach uwiadomił lorda Glenarvana o tem, co zaszło, i naglił go, aby wraz z resztą podróżnych zeszedł do kajuty. Glenarvan jednak chciał pozostać na pomoście.

— Nie! — odpowiedział John tonem stanowczym. — Muszę być tu sam z moją załogą. Proszę zejść do kajuty. Okręt mógłby się pochylić, a wtedy fale zmiotłyby was z pomostu bez miłosierdzia.

— Lecz możemy być wam przydatni...

— Proszę odejść, milordzie. To jest konieczne! Bywają chwile, że ja jestem panem na pokładzie. Proszę odejść, żądam tego!

Tylko zbyt ważne i trudne położenie mogło sprawić, że John Mangles odzywał się w ten sposób. Glenarvan zrozumiał, że obowiązkiem jego było dać przykład posłuszeństwa. Opuścił więc pomost, pociągając za sobą swych towarzyszów i udał się do kobiet z trwogą i niepewnością oczekujących końca tej walki żywiołów.

— To energiczny człowiek, ten mój kapitan — rzekł, wchodząc do kajuty, a Paganel potakiwał jego wyrazom, okazując zadowolenie z tak właściwej energji młodego dowódcy.

John nie tracił ani minuty, aby wydobyć statek z niebezpiecznego położenia, w jakiem stawiało go popsucie się śruby. Szło mu głównie o to, aby się nie oddalić od drogi wskazanej; wypadało też oszczędzać żagli i nie narażać ich na działanie burzy.

Jacht, posiadając wielkie zalety żaglowe, zwijał się jak rączy rumak, czujący ostrogę. Żagle, wyrobione z najlepszego płótna dundejskiego, wielce ułatwiały żeglugę; szło tylko o to, czy długo zdołają opierać się gwałtowności wichury.

W takiem położeniu przeszła reszta nocy. Liczono na to, że z nadejściem dnia burza się zmniejszy; nadzieja ta jednak okazała się próżna. Około ósmej godziny rano wiatr bardziej się jeszcze zwiększył i zmienił w huragan.

John nic nie mówił, ale drżał o statek i tych, którzy się na nim znajdowali. *Duncan,* rzucany jak piłka, nieraz przechylał się tak, że sądzono, iż więcej nie powstanie. A wreszcie przechylił się do tego stopnia, że już majtkowie z siekierami w ręku gotowi byli przecinać liny żaglowe wielkiego masztu, gdy żagle, oderwane gwałtownie od rej, uleciały w powietrze, jak olbrzymie albatrosy.

Duncan znowu powstał, lecz, pozbawiony wszelkiej podpory na falach i bez kierunku, rzucany był na wszystkie strony z taką siłą, że obawiano się, aby maszty nie skruszyły się aż do osady. Statek nie mógłby długo wytrzymać w takich okolicznościach i lada chwila woda mogła się doń przedostać przez otwory, powstające wskutek pękania kadłubu.

John Mangles, żeby uniknąć tego niebezpieczeństwa, postanowił rozpiąć na pochyłym maszcie zprzodu jachtu mały żagiel trójkątny i uciekać z wiatrem. Powiodło mu się to jednak dopiero około godziny 3-ej po południu, po kilku godzinach pracy mozolnej. Pod tym kawałkiem płótna *Duncan,* pędzony burzą, sunął z szybkością niezmierną, w kierunku północno-wschodnim. Szybkość ta jednak zbawiła go, choć się zdarzało nieraz, że bałwany morskie, huraganem ciskane, przeskakiwały nad statkiem, a opadająca z nich woda zalewała cały pokład.

W takiem położeniu, wśród nadziei i rozpaczy, przeszedł dzień 15-sty grudnia i cała noc następna. John Mangles ani na chwilę nie zeszedł ze swego stanowiska, nie przyjął żadnego pokarmu: spokojna postać jego i rysy twarzy nie zdradziły ani razu okropnej trwogi, mio-



Nie upłynęło dwudziestu sekund, a już Duncan znalazł się na wodach znacznie spokojniejszych... (str. 199).

tającej duszą jego, a wzrok usiłował uporczywie przebić chmury nagromadzone na północy.

I w rzeczy samej było się o co trwożyć. *Duncan,* zepchnięty ze swej drogi, pędził ku wybrzeżu australijskiemu z szybkością niepowstrzymaną. John Mangles instynktem pojmował, że szalony prąd niesie jego statek. Co chwila obawiał się uderzenia o skałę i rozbicia jachtu na drzazgi. Obliczał, że do wybrzeża jest co najmniej jeszcze mil dwanaście. Lecz spotkanie się z ziemią było to samo, co rozbicie,

zatracenie okrętu. Stokroć lepiej było pozostać na ogromnym oceanie, przeciw którego wściekłości statek łatwiej jeszcze obronić się zdoła; jeśli natomiast burza zapędzi go do lądu, to jacht zginie.

John ruszył do lorda Glenervana. W rozmowie poufnej opisał mu szczerze całą okropność położenia i wkońcu oświadczył, że po ścisłym namyśle gotów jest skierować *Duncana* ku wybrzeżu i poświęcić go dla ocalenia, jeżeli to się okaże możliwe, osób na nim płynących.

— Rób, co uważasz za dobre — odpowiedział Glenarvan.

— A lady Helena, miss Grant?...

— Zawiadomię je w ostatniej dopiero chwili, gdy już wszelka nadzieja utrzymania się na morzu będzie stracona. Uprzedzisz mnie o tem.

— Dobrze, milordzie!

Glenarvan powrócił do kobiet. Nie wiedziały one o całem niebezpieczeństwie, ale czuły jego wielkość; okazywały jednak nie mniej odwagi od swych towarzyszów. Paganel zupełnie nie wporę rozwijał teorję o kierunku prądów atmosferycznych; major, jak muzułmanin, wierzący w przeznaczenie, czekał, co się stanie.

Około jedenastej huragan zdawał się zmniejszać. Pierzchała mgła wilgotna i przez chwilową w niej przerwę John mógł dojrzeć ląd niski w odległości mil sześciu w kierunku wiatru. Jacht pędził ku temu lądowi. Fale wzbijały się do pięćdziesięciu z górą stóp wysokości. John rozumiał, że muszą tam mieć mocny punkt oparcia, o który odbijają się tak potężnie.

— Muszą tam być ławice piasku — zauważył Austin.

— I ja tak sądzę — potwierdził porucznik.

— W Bogu więc tylko nadzieja — rzekł John. — Jeśli on nie znajdzie dla *Duncana* dogodnego przejścia i nie przeprowadzi go przez nie, jesteśmy zgubieni.

— Morze teraz jeszcze jest wysokie — odrzekł porucznik — może się nam uda przebyć te ławice.

— Ależ patrz, mój drogi, jak strasznie fale się srożą. Jakiż okręt oprzeć się im zdoła! Módlmy się, mój przyjacielu!

Duncan tymczasem pędził ku wybrzeżu z szybkością przerażającą. Wkrótce był już tylko o dwie mile od ławic. Mgły co chwila zasłaniały ziemię; John jednak miał wrażenie, że poza tem pasmem bałwanów widzi wody spokojniejsze, na których *Duncan* byłby stosunkowo bezpieczniejszy. Lecz jakże się do nich dostać?

John wezwał podróżnych na pokład; nie chciał, aby w chwili rozbicia się okrętu byli zamknięci w kajutach. Glenarvan z towarzyszami trwożnie patrzyli na rozhukane morze. Marja Grant zbladła.

— John! — rzekł Glenarvan przyciszonym głosem. — Będę usiłował ocalić żonę lub zginę z nią razem. Ty pamiętaj o miss Grant.

— Dobrze! — odpowiedział John drżącym od wzruszenia głosem.

Duncan był już bardzo blisko ławicy, którą przebyłby niezawodnie, bo woda była dość głęboka, gdyby silne wzburzenie fal, wznoszących gwałtownie statek a potem usuwających się z pod niego, pozwoliło na to.

W tej chwili Johnowi przyszła jeszcze jedna myśl do głowy.

— Olej! — zawołał — lejże olej co prędzej.

Osada zrozumiała odrazu znaczenie tych słów. Chodziło o użycie środka, który udaje się czasami: można uspokoić wściekłość nawałnicy, pokrywając powierzchnię bałwanów warstwą płynu tłustego, powstrzymującą burzliwość fal. Skutek jest zawsze niezawodny, choć trwa krótko. Zazwyczaj morze w tem miejscu tem gwałtowniej potem szaleje i biada statkowi, któryby w tej chwili wypłynął na rozhukane fale.

Osada, której siły wzmagało grożące niebezpieczeństwo, prawie w mgnieniu oka wytoczyła na pomost baryłki z zapasem oleju i rąbiąc je siekierami, wylewała zbawczy płyn na wodę.

— Dobrze idzie! — zawołał John, wypatrując chwili dogodnej...

Nie upłynęło dwudziestu sekund, a już *Duncan* znalazł się na wodach znacznie spokojniejszych i poza zgubnemi ławicami piaszczystemi. Ocean tymczasem rzucał się z tamtej strony ławic z wściekłością nieopisaną.

XXXII.

PRZYLĄDEK BERNOUILLI.

John Mangles naprzód pomyślał o tem, aby swój statek dobrze umocować i zabezpieczyć na dwóch kotwicach; tem łatwiej to się udało, że grunt był twardy, a więc bardzo do tego przyjazny. *Duncan,* po tylu godzinach groźnych, znalazł się nareszcie w pewnego rodzaju małym porcie naturalnym, osłoniętym od wiatrów morskich przez wysoki, okrągły przylądek.

— Dziękuję ci, John! — rzekł lord Glenarvan, ściskając rękę młodego kapitana.

A John uważał się za wspaniale wynagrodzonego temi wyrazami. Glenarvan nie wydał się poprzednio ze swym niepokojem i ani lady Helena, ani Marja Grant, ani Robert nawet nie domyślali się całej grozy niebezpieczeństwa tylko co minionego.

Pozostawało do wyjaśnienia, do jakiego punktu wybrzeża *Duncana* zapędziła ta straszna burza, jak powróci do swego równoleżnika

i jak daleko na południowo-zachód był oddalony od przylądka Bernouilli? Przedewszystkiem o to dopytywano Johna, który też niezwłocznie zabrał się do obserwacji.

I oto okazało się, że *Duncan* niewiele zboczył z drogi, bo zaledwie o dwa stopnie. Jacht znajdował się pod 136° 12' długości, i 35° 07' szerokości, u przylądka Katastrof, leżącego na jednym z cyplów Australji Południowej, a o trzysta mil od przylądka Bernouilli.

Naprzeciw przylądka Katastrof znajduje się przylądek Borda, stanowiący przedłużenie wyspy Kangurowej. Pomiędzy temi dwoma przylądkami ciągnie się cieśnina Investigator, wiodąca do dwu zatok dość głębokich, jednej na północ: *Spencera* — drugiej na południe: *Świętego Wincentego*. Na wschodnim brzegu tej ostatniej znajduje się port Adelajdy, stolicy tej prowincji, zwanej Australją Południową. To miasto, założone w 1836 r. i liczące czterdzieści tysięcy mieszkańców, posiada bardzo korzystne warunki handlowe i przemysłowe; głównie jednak mieszkańcy jego trudnią się uprawą żyznych gruntów, hodowaniem winnej latorośli, drzew pomarańczowych i wszystkich bogactw rolnych. Mniej tam znaleźć można inżynierów, aniżeli rolników, a usposobienie ogółu bardziej skłania się do zajęć gospodarczych, niż do obrotów handlowych, lub nauk technicznych.

Czy *Duncan* będzie mógł tam naprawić swe uszkodzenia? Była to kwestja do rozwiązania. John Mangles chciał wiedzieć coś stanowczego pod tym względem; kazał więc nurkom zbadać część podwodną rufy. Nurkowie donieśli mu, że zgięcie się jednej ze śmig śruby przeszkadzało jej do wykonywania obrotów. Uszkodzenie to było tak ważne, iż trudno było przypuszczać, aby w Adelajdzie znaleźć było można potrzebne do naprawy przyrządy.

Glenarvan, naradziwszy się z kapitanem, postanowił, że *Duncan* pod żaglami opłynie brzegi australijskie, szukając śladów *Britannii;* zatrzyma się u przylądka Bernouilli, gdzie ostatecznych jeszcze zasięgnie wiadomości, i puści się w dalszą na południe podróż, dążąc do Melbourne i tam dopiero uszkodzenia jego będą mogły być naprawione. Skoro śruba będzie w porządku, *Duncan* puści się w dalszą wędrówkę wzdłuż wybrzeży wschodnich, w celu uzupełnienia poszukiwań.

Postanowienie to wszyscy przyjęli i zatwierdzili, a John Mangles czekał tylko na pierwszy przyjazny wiatr, aby wypłynąć na morze. Niedługo czekał. Przed wieczorem huragan ustał zupełnie, a po nim nastąpił łagodny wiatr południowo-zachodni. Porobiono wszystkie przygotowania do dalszej podróży, zaciągnięto świeże żagle i o czwartej z rana ruszono z wiatrem wzdłuż wybrzeży australijskich.

We dwie godziny potem osada jachtu straciła z oczu przylądek Katastrof i ominęła cieśninę Investigator. Wieczorem opłynięto przylądek Borda i wyspę Kangurową. Jest to największa z pomiędzy ma-

łych wysepek australijskich; służy ona głównie za schronienie deportowanym. Widok jej był czarujący. Ogromny kobierzec zieloności okrywał skaliste jej brzegi, a pomiędzy zaroślami i na płaszczyznach skakały niezliczone stada kangurów, tak samo, jak to widziano przy odkryciu tej wyspy w r. 1802. Nazajutrz łodzie jachtu badały wybrzeża urwiste wyspy. *Duncan* znajdował się wówczas pomiędzy trzydziestym szóstym, a trzydziestym ósmym równoleżnikiem; Glenarvan postanowił nie zostawić ani jednego punktu niezwiedzonego dokładnie.

Przez cały dzień 18-go grudnia jacht krążył pod rozpiętemi wszystkiemi żaglami około wybrzeża zatoki Encounter. Tam to właśnie w roku 1828 przybył podróżnik Stuart po odkryciu rzeki Murray, największej z rzek Australji Południowej. Nie były to już zieleniejące brzegi wyspy Kangurowej, lecz ponure, jałowe, wijące się nierówności niskiego wybrzeża, na których tu i owdzie dojrzeć było można skały szare, lub wydmy piaszczyste i prawdziwą suszę lądu podbiegunowego.

W czasie tej żeglugi osady łodzi *Duncana* pracowały ciężko, ale marynarze nie uskarżali się na to. Ciągle prawie towarzyszył im lord Glenarvan z nieodłącznymi ani na chwilę Paganelem i młodym Robertem. Chcieli oni własnemi oczami wyśledzić jakiekolwiek ślady *Britannii;* wszystkie jednak usiłowania ich były próżne. Brzegi australijskie nie więcej mówiły pod tym względem od ziem Patagonji. Nie wypadało wszakże tracić nadziei, dopóki punkt wyraźnie wskazany w dokumencie nie będzie osiągnięty.

Dnia 20-go grudnia okręt przybył do przylądka Bernouilli, położonego na samym końcu zatoki Lacépède, gdzie także nic nie znaleziono. Nie wynika jednak z tego, aby dokument miał zawierać fałszywe wskazówki. Rozbicie *Britannii* nastąpiło przed dwoma laty; morze mogło, a nawet musiało roznieść i zniszczyć szczątki trójmasztowca. Zresztą krajowcy, którzy wietrzą rozbitków zdaleka, jak sępy zapach trupa, zebrali niezawodnie i uprzątnęli starannie najdrobniejsze pozostałości, a Harry Grant i jego dwaj towarzysze, wzięci do niewoli, bezwątpienia musieli być uprowadzeni w głąb kraju.

Ale w takim razie upadało jedno z genjalnych przypuszczeń Paganela. Dopóki chodziło o terytorjum argentyńskie, geograf słusznie mógł utrzymywać, że cyfry dokumentu tyczyły się nie miejsca rozbicia okrętu, ale miejsca samej niewoli. W rzeczy samej wielkie rzeki Pampazji i inne mniejsze, do nich wpadające, mogły zanieść do morza szacowny dokument. Lecz w tej, gdzie byli, części Australji, rzek przerzynających trzydziesty siódmy równoleżnik jest bardzo mało. Co więcej, Rio-Colorado i Rio-Negro płyną do morza przez równiny, gdy tymczasem główne rzeki australijskie: Murray, Yarra, Torrens i Darling albo wpadają jedna do drugiej, albo też do oceanu przez ujścia, które stały się przystaniami bardzo uczęszczanemi, portami żeglugi bardzo czynnej. Skądże więc w takim razie mogło być prawdopo-

dobne, aby butelka z dokumentami mogła przepłynąć po wodach ciągle zwiedzanych i dostać się aż do oceanu Indyjskiego?

Niemożliwość taka nie mogła ujść baczności przenikliwych umysłów. Przypuszczenia Paganela, bardzo właściwe co do Patagonji i prowincyj argentyńskich, upadały w Australji. Paganel sam to przyznał w rozmowie z majorem Mac Nabbsem. Widoczne było, że stopnie, oznaczone w dokumencie, tyczyły się jedynie miejsca rozbicia, a zatem i butelka musiała być rzucona w morze tylko w miejscu, gdzie rozbił się okręt *Britannia,* to jest na zachodniem wybrzeżu Australji.

Pomimo to, jak słusznie zauważył Glenarvan, tłumaczenie to, jakkolwiek stanowcze, nie usuwało przypuszczenia o niewoli kapitana Granta. On sam zresztą wspominał o tem w tych słowach: *gdzie staną się niewolnikami okrutnych krajowców.* Nie było więc racji szukać koniecznie niewolników pod trzydziestym siódmym równoleżnikiem, skoro mogli się znajdować i gdzie indziej.

Kwestję tę, długo rozbieraną, rozstrzygnięto ostatecznie w ten sposób, że jeżeli się nie znajdą ślady rozbitego okrętu u przylądka Bernouilli, to lordowi Glenarvanowi nie pozostawało nic innego, jak powracać do Europy. Wprawdzie poszukiwania jego zakończyłyby się w takim razie bez rezultatu, niemniej jednak lord spełniłby swój obowiązek sumiennie i odważnie.

Postanowienie takie zasmuciło bardzo całą osadę jachtu, a przywodziło do rozpaczy Marję i Roberta. Udając się na brzeg w towarzystwie lorda i lady Glenarvan, oraz majora, Paganela i Johna, dzieci kapitana Granta czuły, że kwestja ocalenia ich ojca ma się rozstrzygnąć. Rozstrzygnąć, bo Paganel w jednej z poprzedzających dyskusyj bardzo słusznie dowodził, że rozbitkowie byliby już dawno powrócili do ojczyzny, gdyby ich okręt rozbił się był o skały wybrzeża wschodniego.

— Nie trzeba tracić nadziei — powtarzała lady Helena dziewczęciu, siedzącemu obok niej w czółnie, niosącem je ku lądowi. — Ręka Boża nie opuści nas!

— Tak jest, miss Marjo — rzekł John — zazwyczaj tak bywa, że gdy człowiek wyczerpie środki ludzkie, niebo otwiera mu w sposób nieprzewidziane drogi nowe.

— Oby się słowa pańskie spełniły, panie Johnie — westchnęła Marja.

Brzeg znajdował się już tylko w odległości około 100 sążni i tworzył bardzo lekką pochyłość, którą kończył się przylądek, na dwie mile zachodzący w morze. Czółno przybiło do małej przystani naturalnej, wśród tworzących się dopiero ławic koralowych, które zczasem miały uformować pasmo raf około południowej części Australji. Ale i te, które już istniały w owej chwili, mogły rozedrzeć spód okrę-

tu, i kto wie, czy *Britannia* w tem właśnie miejscu nie uległa zniszczeniu wraz ze wszystkiem, co było na niej.

Pasażerowie *Duncana* bez trudności wysiedli na brzeg zupełnie pusty. Gromady skał urwistych tworzyły linję nadbrzeżną, wysokości sześćdziesięciu do ośmdziesięciu stóp. Trudno byłoby zdobyć ten bastjon naturalny bez pomocy drabin i haków. Na szczęście jednak John Mangles bardzo wporę znalazł wyłom w odległości pół mili na południe, utworzony przez jakieś cząstkowe zawalenie się skał, do czego i rozhukane fale morskie zapewne niemało się przyłożyły podczas burz, przy zrównaniu dnia z nocą.

Glenarvan i jego towarzysze zapuścili się w ten wyłom, i po dość przykrej pochyłości dotarli do wierzchołka skały. Robert, zręczny jak młody kot, wdzierał się na najstromsze ściany, budząc zazdrość w Paganelu, który jednak o wiele wyprzedzał spokojnego i zimnego majora.

Z takiej dopiero wysokości ogarnąć mogli wzrokiem płaszczyznę, rozciągającą się przed nimi. Była to rozległa przestrzeń nieuprawna, zarośnięta krzakami i cierniem. Grunt był całkiem jałowy, Glenarvan porównywał go do glenów niższej Szkocji, a Paganel do nieurodzajnych stepów Bretanji. Lecz jakkolwiek okolica ta zdawała się być niezamieszkana wzdłuż wybrzeża, wdali jednak kilka budynków świadczyło o obecności człowieka i to nie dzikiego, ale człowieka pracowitego i przemyślnego.

— Wiatrak! — zawołał Robert.

Istotnie, w odległości jakich trzech mil widać było obracające się szybko skrzydła wiatraka.

— A prawda, wiatrak! — potwierdził Paganel, zwracając w tę stronę swą szacowną lunetę — budynek równie miły jak pożyteczny, który zawsze rozwesela me oczy.

— Idźmy tam co prędzej — rzekł lord Glenarvan.

Puszczono się w drogę i w pół godziny potem ujrzano ziemię obrobioną ręką ludzką, przyjemnie kontrastującą z gruntem jałowym, po jakim niedawno stąpano. Już nie krzaki i zarośla, ale żywopłoty otaczały przestrzenie świeżo wykarczowane; kilka wołów i z jakie pół tuzina krów pasło się na łąkach, obsadzonych wielkiemi akacjami, sprowadzonemi z wyspy Kangurowej. Wślad zatem ukazały się łany, okryte kłosem, stogi siana, stojące rzędem jak ule, zagajniki świeżo utworzone i śliczny ogródek, godny Horacego, gdzie przyjemność łączyła się z pożytkiem; dalej szopy, budynki gospodarskie, bardzo umiejętnie rozłożone, i nareszcie domek prosty lecz wygodny, ponad którym panowały szerokie skrzydła wiatraka.

W tej chwili, na szczekanie czterech psów, oznajmiające przybycie obcych, wyszedł z domu człowiek o postaci bardzo sympatycznej, mogący liczyć lat około pięćdziesięciu. Za nim postępowało pięciu jego synów; ładni i silni chłopcy, wraz z matką, ogromnie tłu-

stą i wysoką kobietą. Łatwo było odgadnąć, że człowiek ten, otoczony liczną i zdrową rodziną, mieszkający w budynkach jeszcze nowych, wśród pól prawie dziewiczych, był kolonistą irlandzkim — który, znękany nędzą w swym kraju rodzinnym, poszedł szukać majątku i szczęścia daleko poza morzami.

Nie wiedząc nawet, z kim ma do czynienia, powitał on przybyszów temi pełnemi uprzejmości słowy:

— Cudzoziemcy, witajcie jako pożądani goście pod dachem Paddy O'Moore'a!

— Jesteś więc Irlandczykiem? — zapytał Glenarvan, biorąc rękę, podaną mu przez kolonistę.

— Byłem nim — odrzekł Paddy O'Moore — teraz zaś jestem Australijczykiem. Wejdźcie, moi panowie, a ktokolwiek jesteście, ten dom jest waszym.

Wypadło przyjąć bez ceremonji zaproszenie tak uprzejme. Lady Helena i Marja Grant, prowadzone przez mistress O'Moore, weszły do domku, a synowie kolonisty pomagali tymczasem podróżnym do zdjęcia z siebie strzelb i przyborów myśliwskich.

Dół cały zajmowała obszerna widna sala, świeżo z kloców zbudowana. Umeblowanie stanowiło kilka ławek w ściany wmurowanych i pomalowanych barwami żywemi, i dziesięć stołków, dwa kredensy dębowe, napełnione białym fajansem i naczyniami miedzianemi, oraz szeroki i długi stół, przy którym ze dwadzieścia osób mogło zasiąść wygodnie.

Podano obiad. Dymiącą wazę otaczały rozstawione na stole półmiski z rostbefem, udźcem baranim, winogronami i pomarańczami. Wszystkiego było poddostatkiem. Gospodarstwo byli tak uprzejmi, stół tak obficie zastawiony i tak ponętnie wyglądał, że trudno było nie zasiąść do biesiady. Czeladź folwarczna przyszła także do wspólnego z panami stołu. Paddy O'Moore wskazywał ręką miejsca, przeznaczone dla gości.

— Spodziewałem się was, moi panowie, i czekałem na was — rzekł kolonista do lorda Glenarvan.

— Czekałeś na nas? — zapytał lord mocno zdziwiony.

— Oczekuję zawsze na przybywających — odpowiedział Irlandczyk.

Potem głosem poważnym, wśród stojącej z uszanowaniem drużyny, odmówił katolicką modlitwę przed jedzeniem. Lady Helena wzruszona była tą prostotą obyczajów i czytała na twarzy swego męża, iż podziela jej uczucia.

Przystąpiono do pożywania darów Bożych, i zaraz zawiązała się rozmowa ogólna. Irlandczycy są tak bliskimi Szkotów sąsiadami! Tweed [1]), mierząca kilka tylko sążni szerokości, głębszy stanowi po-

[1]) Rzeka dzieląca Anglję od Szkocji.

między Anglją i Szkocją przedział, aniżeli dwudziestomilowy kanał Irlandzki, oddzielający starą Kaledonję od zielonego Erynu. Paddy O'Moore opowiedział swą historję — historję wszystkich emigrantów, których nędza wypędza z własnego kraju. Wielu podąża daleko szukać fortuny, a znajdują troski tylko i nieszczęścia. Skarżą się wtedy na los, zamiast na własne niedołęstwo, lenistwo i złe nałogi. Kto żyje skromnie, oszczędnie i pracuje wytrwale, temu się powodzi i ten opływa w dostatki.

Takim był właśnie Paddy O'Moore. Opuścił on Dundalk, gdzie umierał z głodu, uszedł z całą rodziną do krain australijskich, pogardził zarobkami górników, a wziął się do mniej wprawdzie wdzięcznej, ale pewniejszej pracy rolnika; wylądował w Adelajdzie i w dwa miesiące potem rozpoczął swój nowy zawód, tak już w tej chwili świetnie rozwinięty.

Całe terytorjum Australji Południowej podzielone jest na osady, obejmujące po ośmdziesiąt akrów (120 morgów). Takie działy rząd ustępuje kolonistom, a każdy pracowity rolnik może zarobić na utrzymanie i jeszcze coś odłożyć.

Wiedział o tem Paddy O'Moore. Dopomagały mu wielce jego wiadomości agronomiczne. Żył, oszczędzał, sprzedawał swoje produkty z zarobkiem, z wieśniaka irlandzkiego wyszedł na właściciela ziemskiego, a chociaż w nowym zawodzie dwa lata dopiero pracował, posiadał już pięćset akrów gruntu, własną uprawionego pracą i pięćset sztuk pięknego bydła; z niewolnika, jakim był w Europie, stał się panem niezależnym i do tego w kraju najswobodniejszym na kuli ziemskiej.

Po skończonem opowiadaniu, goście emigranta irlandzkiego serdeczne i szczere złożyli mu życzenia dalszej pomyślności. Paddy O'Moore spodziewał się nawzajem usłyszeć historję swych gości, ale nie zaczepiał ich o to, nie zarzucał pytaniami. Lord Glenarvan sam miał bezpośredni interes rozpocząć rozmowę o *Duncanie*, jego obecności u przylądka *Bernouilli*, o poszukiwaniach, jakie czynił; jednakże, jako człowiek praktyczny i prosto do celu idący, zapytał najprzód Irlandczyka, czy nie wie czego o losie rozbitego okrętu *Britannia*.

Odpowiedź Paddy O'Moore'a nie była pocieszająca. Nie słyszał nigdy o takim okręcie. Od dwu lat żaden statek nie zabłądził do tych wybrzeży, ani powyżej, ani poniżej przylądka. Ponieważ zaś rozbicie się *Britannji* nastąpiło przed dwoma dopiero laty, mógł przeto z największą twierdzić pewnością, że nieszczęśliwi nie byli wyrzuceni na tę część wybrzeży zachodnich.

— Teraz pozwól, milordzie, że ja zapytam, jaki masz interes, dopytując o to?

Glenarvan więc opowiedział zkolei koloniście całą historję dokumentu, podróż swego jachtu i wszelkie usiłowania w celu odszuka-

nia kapitana Granta. Nie tail się z tem, że zapewnieniami swemi Irlandczyk mimowolnie rozpraszał najdroższe jego nadzieje i wiarę w możność odnalezienia kiedyś rozbitków.

Wyznanie to lorda Glenarvana bolesne sprawiło wrażenie na słuchaczach. Oczy Roberta i Marji zaszły łzami. Paganel nie znajdował słów pociechy lub nadziei. John Mangles nie mógł utaić swych cierpień. Już rozpacz ogarniała dusze tych zacnych ludzi, którzy z tak szlachetną bezinteresownością puścili się na bezowocną podróż do tych krain oddalonych, gdy nagle dały się słyszeć te wyrazy:

— Milordzie, podziękuj Bogu. Jeżeli kapitan Grant znajduje się przy życiu, to z pewnością żyje na ziemi australijskiej!

XXXIII.

AYRTON.

Słowa te wywołały zdumienie, trudne do opisania. Glenarvan zerwał się ze swego siedzenia a odpychając stołek, zawołał:

— Kto to powiedział?

— Ja — odrzekł jeden ze służących Paddy O'Moore'a, siedzący na końcu stołu.

— Ty, Ayrtonie — rzekł kolonista, niemniej jak Glenarvan zdziwiony.

— Ja — odpowiedział Ayrton głosem wzruszonym, lecz pewnym — ja, Szkot równie dobry jak wy, milordzie; ja, jeden z rozbitków okrętu *Britannia.*

Oświadczenie to wstrząsnęło obecnymi. Marja Grant nawpół omdlała ze wzruszenia, nawpół umierająca z radości, padła w objęcia lady Heleny. John Mangles, Robert i Paganel, zrywając się ze swych miejsc, poskoczyli ku temu, którego Paddy O'Moore nazywał Ayrtonem.

Był to człowiek czterdziestopięcioletni, o twarzy ponurej, którego bystre spojrzenie kryło się pod gęstemi brwiami. Pomimo chudości ciała, siłę musiał mieć niezwykłą. Cały, jakby złożony tylko z kości i nerwów, nie tracił widocznie, według wyrażenia szkockiego, czasu na tuczenie swego ciała. Wzrost średni, barki szerokie, postawa pewna, twarz inteligentna i energiczna korzystnie za nim przemawiały, mimo ostrych nieco rysów. Sympatję tę zwiększały jeszcze świeże ślady nędzy, wyryte na jego obliczu. Widać było, że cierpiał wiele i długo, chociaż zdawał się być człowiekiem zdolnym znieść cierpienia, a nawet je zwalczyć.

Takie od pierwszego wejrzenia zrobił wrażenie na lordzie i jego towarzyszach. Glenarvan zarzucił go pytaniami, na które chętnie odpowiadał; widocznie obaj jednakowem przejęci byli wrażeniem.

Dlatego też pierwsze pytania Glenarvana były bezładne, jakby bezwiedne.

— Jesteś jednym z tych rozbitków? — zapytał.

— Tak jest, milordzie, byłem kwatermistrzem na okręcie kapitana Granta — odpowiedział Ayrton.

— I ocaliłeś się wraz z nim po rozbiciu waszego statku?

— Nie, milordzie, nie. W tej okropnej chwili byłem z nim rozłączony, porwany z pokładu i rzucony na brzeg.

— Nie jesteś więc jednym z dwu majtków, o których nasz dokument wspomina?

— Nie. Nie wiedziałem o żadnym dokumencie. Kapitan rzucił go w morze wtedy już widać, gdy mnie na okręcie nie było.

— Ależ kapitan, kapitan?

— Myślałem, że utonął, że poszedł na dno oceanu wraz z całą osadą. Sądziłem, że sam tylko ocalałem.

— A przecież sam powiedziałeś, że kapitan Grant żyje.

— Nie, ja powiedziałem: jeżeli kapitan jest przy życiu...

— I dodałeś: „to z pewnością żyje na ziemi australijskiej".

— I rzeczywiście nie może się gdzie indziej znajdować.

— Więc nie wiesz, gdzie on jest?

— Nie, milordzie — powtarzam raz jeszcze, że sądziłem, iż utonął, lub rozbił się gdzie o skały; od was się dopiero dowiaduję, że może się przy życiu dotąd jeszcze znajduje.

— Nic zatem nie wiesz? — pytał Glenarvan z widocznym niepokojem.

— Nic, milordzie, prócz tego, że jeśli żyje, to musi być w Australji.

— Gdzież się rozbił wasz okręt? — zapytał wtedy milczący dotąd Mac Nabbs.

Od tego pytania należało zacząć. Zmieszany niespodzianką Glenarvan, chcąc się co prędzej dowiedzieć, gdzie jest kapitan Grant, zapomniał spytać, gdzie się okręt rozbił. Od tej chwili rozmowa, aż dotąd nielogiczna i bez porządku, stała się rozsądną i konsekwentną, a wskutek tego wkrótce też najdrobniejsze szczegóły tej smutnej i zagadkowej historji zaczęły się przedstawiać jaśniej i dokładniej słuchaczom.

Na zapytanie majora, Ayrton tak odpowiedział:

— Gdy porwany byłem z pokładu, okręt pędził ku wybrzeżu australijskiemu, oddalonemu już tylko o dwa węzły (dwieście czterdzieści sążni); tam też się rozbił.

— Pod trzydziestym siódmym stopniem szerokości? — zapytał John Mangles.

— Pod trzydziestym siódmym stopniem — odpowiedział Ayrton.

— Na wybrzeżu zachodniem?

— Przeciwnie; na wybrzeżu wschodniem — odrzekł żywo kwatermistrz.

— Którego dnia?

— W nocy 27-go czerwca 1862 r.

— Tak, tak właśnie! — zawołał Glenarvan.

— Widzisz więc, milordzie — dodał Ayrton — że miałem prawo mówić, iż jeżeli kapitan Grant żyje, to w Australji, a nie gdzie indziej szukać go należy.

— Więc będziemy szukali, znajdziemy go i ocalimy, mój bracie! — zawołał Paganel. — Ach! nieoceniony dokumencie! — mówił dalej naiwnie — trzeba przyznać, że wpadłeś w ręce ludzi bardzo przezornych!

Nikt zapewne nie słyszał pochlebczych słów Paganela. Glenarvan, lady Helena, Marja i Robert otoczyli Ayrtona, ściskając czule jego dłonie.

Zdawało się wszystkim, że obecność tego człowieka jest pewnym zakładem ocalenia Harry Granta; skoro bowiem majtek uniknął niebezpieczeństw rozbicia, dlaczegóżby kapitan nie miał wyjść zdrów i cały z tej przygody? Ayrton wciąż powtarzał, że kapitan Grant musi być przy życiu tak samo, jak on. Gdzie? Tego nie wiedział, ale niezawodnie na tym lądzie. Odpowiadał na tysiące zapytań bacznych i oględnych. Gdy mówił, miss Marja trzymała go za ręce. Był przecież jednym z towarzyszów jej ojca, był marynarzem z okrętu *Britannia*. Żył obok kapitana Harry Granta, dzielił z nim trudy i niebezpieczeństwa podróży! Marja nie mogła oderwać wzroku od tej surowej postaci. Płakała ze zbytku szczęścia!

Aż dotąd nikomu nie przyszło przez myśl wątpić o prawdomówności i tożsamości Ayrtona. Tylko major i John Mangles, mniej ufni, zadawali sobie pytanie, czy słowa Ayrtona zasługują na zupełną wiarę? Niespodziane jego spotkanie mogło obudzić podejrzenia. Zaiste Ayrton cytował daty i fakta drobiazgowo; lecz szczegóły mogą być dokładne, a nie stanowić pewności; wiadomo wreszcie, że kłamstwa odznaczają się właśnie dokładnością szczegółów. Mac Nabbs powstrzymał się więc z powzięciem zdania.

John Mangles przeciwnie wkrótce pozbył się wątpliwości i uwierzył, że Ayrton był towarzyszem Granta, szczególniej, gdy usłyszał, co mówi z Marją o jej ojcu. Ayrton znał doskonale Marję i Roberta. Widział ich oboje w Glasgowie przy odjeździe okrętu *Britannia;* przypomniał ich obecność na pożegnalnem śniadaniu, jakie kapitan dla swych przyjaciół dawał na pokładzie okrętu. Znajdował się tam szeryf Mac-Intyre; dziesięcioletniego naówczas Roberta powierzono opiece sternika Dicka Turnera, któremu się chłopczyna wymknął potajemnie i wdzierać się począł na jeden z masztów.

— Prawda, prawda! — wołał Robert.

Ayrton przypomniał tysiące drobnych zdarzeń, nie przywiązując do nich takiej wagi, jaką im dawał John Mangles. Gdy ustawał, Marja słodkim swym głosem nagliła:

— Jeszcze, panie Ayrton, jeszcze mów nam o naszym biednym ojcu!

Kwatermistrz czynił zadość tym życzeniom. Glenarvan nie chciał mu przerywać, choć miał dwadzieścia pytań ważniejszych: lady Helena powstrzymywała go, wskazując na radosne wzruszenie dziewczęcia.

W tej rozmowie właśnie Ayrton opowiedział historję *Britanji* i jej podróż przez ocean Spokojny. Marja znała większą część tych szczegółów, bo wiadomości z okrętu dochodziły aż do maja roku 1862. W ciągu jednego roku Harry Grant zawijał do głównych brzegów Oceanji i był na Hebrydach, w Nowej Gwinei, w Nowej Zelandji i Nowej Kaledonji, walcząc dość często ze złą wolą władz angielskich, bo o jego okręcie rozesłano wiadomości do kolonij brytańskich. Jednakże znalazł pewien punkt na zachodniem wybrzeżu Papuazji, zdatny, jak mu się zdawało, do założenia tam osady szkockiej, o której powodzeniu nie wątpił. W rzeczy samej dobry i dostatecznie zaopatrzony przystanek na drodze z wysp Moluckich do Filipinskich mógł ściągnąć wiele okrętów, tem więcej, gdy przekopanie kanału Sueskiego uczyni niepotrzebną podróż dokoła Przylądku Dobrej Nadziei. Harry Grant był jednym z propagujących w Anglji wielkie dzieło Lessepsa i nie mieszał namiętności politycznych z wielką sprawą międzynarodową.

Po zwiedzeniu Papuazji, okręt nabrał jeszcze zapasów żywności w Callao i opuścił ten port dnia 30-go maja 1862 r. z zamiarem powrócenia do Europy przez ocean Indyjski i około Przylądka. W trzy tygodnie po jego odjeździe straszna burza nawiedziła okręt; dla ocalenia go zwalono maszty: woda przeciekać poczęła szparą, której nie można było zatkać. Osada, z sił wyczerpana, nie podołała pompowaniu. Przez ośm dni okręt był igraszką huraganu. Wkrótce woda w okręcie doszła do sześciu stóp wysokości i zatapiała go powoli. Szalupy wszystkie wprzód już woda uniosła. Trzeba było ginąć wraz ze statkiem, gdy nagle w nocy 27-go czerwca, jak to Paganel doskonale zrozumiał, spostrzeżono wschodni brzeg Australji. Zaraz potem okręt uderzył o brzeg; straszne to było wstrząśnienie — i w tej to właśnie chwili Ayrton, porwany falą i uniesiony na morze, stracił przytomność. Gdy przyszedł do siebie, znajdował się w ręku dzikich krajowców, wlokących go w głąb lądu. Odtąd nic już nie słyszał o *Britanji* i nie bez przesady domyślał się, że okręt poszedł na dno ze wszystkiem u podwodnych skał przy Twofoldbay.

Na tem kończyło się opowiadanie, tyczące się kapitana Granta, wywołujące niejednokrotnie bolesne wykrzykniki słuchaczów. Major

nawet nie mógł wątpić o jego autentyczności; lecz pozostawała jeszcze historja samego Ayrtona, przedstawiająca może jeszcze większy i istotniejszy interes.

Istotnie, Grant, jak wiadomo z dokumentu, wyszedł żywy z rozbicia wraz z dwoma majtkami, tak samo jak Ayrton. Z losu więc jednego słusznie wnosić było można o losie drugiego; dlatego też proszono Ayrtona, aby opowiedział swe wypadki. Historja jego była prosta i krótka.

Dostawszy się w niewolę jednego z pokoleń krajowców, uprowadzony był do prowincyj środkowych, przez które przepływa Darling, to jest o czterysta mil na północ od trzydziestego siódmego równoleżnika. Tam żył w nędzy, bo i pokolenie samo bardzo było biedne, ale źle się z nim nie obchodzono. Przeszły dwa lata w tej przykrej niewoli; nie tracił jednak nadziei odzyskania wolności. Szukał sposobności do ucieczki, choć wiedział, że ta na większe jeszcze narazi go niebezpieczeństwa.

Nocą w październiku 1864 r. omylił czujność dzikich i znikł w głębi niezmiernych lasów. Przez miesiąc cały żył korzonkami, paprociami jadalnemi, gumą mimoz; błąkał się po tej ogromnej samotni, kierując swe kroki we dnie słońcem, a w nocy gwiazdami, nieraz do ostatniej przywiedziony rozpaczy. Przebywał tak rozległe błota, góry i całą tę część niezamieszkanego lądu, którą tylko rzadcy podróżnicy przebiegali w śmiałych swych wycieczkach. Nareszcie, umierając prawie z wyczerpania, dowlókł się do osady gościnnego Paddy O'Moore'a, gdzie za swą pracę znalazł byt wygodny.

— Jeżeli Ayrton zadowolony jest ze mnie — rzekł kolonista irlandzki po skończeniu opowiadania — to i ja chwalić go tylko mogę. Jest to człowiek przemyślny, śmiały i dobry, a przytem robotnik wyborny i, dopóki tylko zechce, dom Paddy O'Moore'a będzie jego domem.

Ayrton podziękował Irlandczykowi szorstkim gestem i czekał na nowe pytania. Czuł wprawdzie, że zaspokoił już naturalną ciekawość podróżnych; o wszystko już wypytywano go po sto razy. Glenarvan miał przeto przystąpić do przedstawienia nowego planu poszukiwań, w którym chciał skorzystać ze spotkania Ayrtona i objaśnień przez niego udzielonych, gdy major, zwracając się do majtka, rzekł:

— Więc byłeś kwatermistrzem na pokładzie *Britannji?*

— Tak — bez wahania odrzekł Ayrton. Domyślając się jednak, że może jakie uczucie nieufności dyktuje majorowi to zapytanie, dodał: — A nawet mam mój kontrakt.

Wyszedł zaraz z sali wspólnej, aby przynieść ten dowód urzędowy. Krótka była jego nieobecność, ale Paddy O'Moore miał czas powiedzieć te słowa:

— Milordzie, mam Ayrtona za uczciwego człowieka; od dwu miesięcy, jak jest u mnie, nic mu nie mam do zarzucenia. Znałem już

historję jego rozbicia się i niewoli. Jest to człowiek prawy i zasługuje na wasze zaufanie.

Glenarvan miał odpowiedzieć, że nigdy nie wątpił o dobrej wierze Ayrtona, gdy tenże wszedł i pokazał swe papiery. Akt podpisany był przez armatorów okrętu *Britannia* i przez kapitana Granta, którego rękę Marja poznała. Kontrakt stwierdzał że: „Tomasz Ayrton, majtek pierwszej klasy, ugodzony jest jako kwatermistrz na pokład trzymasztowego okrętu *Britannia* z Glasgowa". Wszelka przeto wątpliwość co do tożsamości osoby Ayrtona ustała, boż trudno było przypuścić, aby papiery te, nie należące do niego, mogły się w jego ręku znajdować.

— Teraz — rzekł Glenarvan — naradźmy się, co nam czynić dalej wypada. Twoje szczególniej zdanie, Ayrtonie, będzie dla nas bardzo szacowne i proszę cię o nie.

Ayrton namyślał się przez chwilę, a nareszcie rzekł:

— Dziękuję ci, milordzie, za zaufanie, jakie we mnie pokładasz, i mam nadzieję, że godnie mu odpowiem. Znam trochę ten kraj, obyczaje krajowców i jeśli mogę wam być użyteczny...

— Bezwątpienia — odparł Glenarvan.

— Tak samo, jak wy — mówił dalej Ayrton — przekonany jestem, że kapitan Grant i dwaj jego majtkowie ocaleli, ale ponieważ nie dostali się do posiadłości angielskich i dotąd nie powrócili, więc ani wątpić, że temu samemu co i ja ulegli losowi, to jest popadli w niewolę jakiego dzikiego pokolenia.

— Popierasz, Ayrtonie, moje zdanie i moje wywody — rzekł Paganel — rozbitkowie są niezawodnie u dzikich w niewoli, tak jak się tego obawiali, lecz czyż mamy sądzić, że tak samo jak ty uprowadzeni byli w kierunku północnym od trzydziestego siódmego stopnia?

— Tak się zdaje, panie — odrzekł Ayrton — pokolenia nieprzyjazne nigdy nie przebywają w bliskości okręgów podległych Anglikom.

— Otóż, toby utrudniało nasze poszukiwania — rzekł Glenarvan z niezadowoleniem. — Jakże tu trafić na ślad niewolników w głębi kraju tak rozległego?

Uwagę tę przyjęto milczeniem. Lady Helena zwracała do wszystkich wzrok pytający, nie otrzymując odpowiedzi. Paganel nawet, wbrew zwyczajowi swemu, pozostał niemy; utracił zwykłą swą bystrość, John Mangles wielkiemi krokami chodził po sali, jakgdyby znajdował się zakłopotany na pokładzie swego okrętu.

— A ty, panie Ayrton — rzekła wreszcie lady Helena — cóżbyś uczynił?

— Pani — żywo odpowiedział Ayrton — wsiadłbym co prędzej na pokład *Duncana* i popłynąłbym do miejsca, w którem rozbił się okręt kapitana Granta. Tam poradziłbym się okoliczności a może i wskazówek, jakieby przypadek mógł nastręczyć.

— Dobrze — rzekł Glenarvan — ale trzeba najpierw naprawić *Duncana.*

— Ach! więc wasz statek jest uszkodzony? — spytał Ayrton.

— Tak jest — odpowiedział John Mangles.

— Czy uszkodzenia są poważne?

— Nie, lecz zawsze wymagają narzędzi, jakich nie posiadamy na pokładzie. Jedna śmiga naszej śruby skrzywiła się i nie może być naprawiona, chyba w Melbourne.

— A czy nie możecie płynąć tylko pod żaglami? — spytał znowu kwatermistrz.

— I owszem, możemy, ale jeśli wiatry będą przeciwne, to dużo czasu będziemy potrzebowali na dostanie się do Twofoldbay, i w każdym razie powrócić trzeba będzie do Melbourne.

— A więc, niech płynie do Melbourne — zawołał Paganel — a my bez niego idźmy do Twofoldbay.

— A to jak?

Przebywając Australję, tak jak przeszliśmy Amerykę, ciągle trzymając się trzydziestego siódmego równoleżnika.

— Lecz z Duncanem co się stanie? — pytał Ayrton z pewnym naciskiem.

— *Duncan* połączy się z nami, lub my się z nim połączymy, stosownie do okoliczności. Jeśli w podróży naszej znajdziemy kapitana Granta, to razem z nim powrócimy do Melbourne. Jeśli przeciwnie poszukiwania nasze posuniemy aż do brzegu, to *Duncan* nas tam spotka. Kto ma co do zarzucenia temu planowi? Może ty, majorze?

— Bynajmniej — odrzekł Mac Nabbs — jeśli tylko przebycie Australji jest możliwe.

— Do tego stopnia możliwe — odpowiedział Paganel — że chcę proponować lady Helenie i miss Grant, aby nam towarzyszyły.

— Czy mówisz serjo, Paganelu? — spytał Glenarvan.

— Najzupełniej serjo, kochany lordzie; to nie dalej niż trzysta pięćdziesiąt mil (około 200 lieues), a licząc po dwanaście mil na dzień, miesiąca zaledwie na to potrzeba; tyle też czasu zajmie naprawa *Duncana.* Ach, gdyby szło o przebycie lądu australijskiego pod niższym stopniem szerokości; gdyby go wypadło przerzynać przez największą jego szerokość, przechodzić przez te ogromne pustynie, gdzie brak wody i upały są tak męczące, dokonać, słowem, tego, czego nie próbowali dotąd najodważniejsi podróżnicy, to byłoby co innego! Ale trzydziesty siódmy równoleżnik przerzyna prowincję Wiktorja, kraj jakby angielski, posiadający drogi, koleje żelazne, i przeważnie zaludniony. Jest to podróż, którą można odbywać w karecie, gdy się komu spodoba, lub na wózku — co byłoby jeszcze wygodniej. To jakby przejażdżka z Londynu do Edynburga i nic więcej!

— Ależ możemy spotkać dzikie zwierzęta — rzekł Glenarvan.

— W Australji niema dzikich zwierząt.

— A dzicy ludzie?

— Niema dzikich ludzi pod tą szerokością a w każdym razie nie są oni tak okrutni, jak w Nowej Zelandji.

— A skazani na wygnanie zbrodniarze?

— Niema ich w południowych prowincjach Australji, lecz tylko w osadach wschodnich. Prowincja Wiktorja nietylko że ich nie przyjęła, ale jeszcze wydała prawo, zabraniające przebywania na swem terytorjum oswobodzonym kryminalistom innych prowincyj. Rząd tej prowincji w tym nawet jeszcze roku zagroził kompanji półwyspu, że jej cofnie wsparcie, jeśli jej okręty zawijać będą po węgiel do portów zachodnich, gdzie przyjmowani są osiedleńcy z osad karnych. Jakto, pan nie wie o tem? Pan, Anglik?

— Naprzód nie jestem Anglikiem — odparł Glenarvan.

— Prawda to najzupełniejsza, co powiedział pan Paganel — odezwał się Paddy O'Moore. — Nietylko prowincja Wiktorja, ale i Australja Południowa, Queensland, Tasmanja nawet wypędzają przestępców ze swych terytorjów. Od czasu, jak mieszkam w mojej posiadłości, nietylko że nie widziałem deportowanego, ale i nic słyszałem o żadnym.

— A ja nigdzie takiego nie spotkałem — dodał Ayrton.

— Widzicie więc, moi przyjaciele — mówił Jakób Paganel — że jest tu bardzo mało dzikich ludzi, a zwierząt i kryminalistów niema wcale. Niewiele istnieje krajów w Europie, o którychby to samo powiedzieć było można! No cóż, zgoda?

— Jak sądzisz, Heleno? — spytał Glenarvan.

— Myślę tak, jak i wszyscy, kochany Edwardzie — odpowiedziała lady Helena, zwracając się do swych towarzyszów — w drogę, w drogę!

XXXIV.

ODJAZD.

Lord Glenarvan nie miał zwyczaju tracić czasu, gdy co postanowił. Skoro propozycję Paganela przyjęto, wydał natychmiast rozkazy, aby przygotowania do tej podróży w jak najkrótszym dokonane były czasie; odjazd naznaczono na pojutrze, to jest 22-go grudnia.

Jakie miały być skutki tej nowej podróży przez Australję? Skoro istnienie kapitana Granta nie ulegało już wątpliwości, to następstwa tej wyprawy mogły być bardzo doniosłe. Nikt zapewne nie mógł liczyć na to, że na pewno spotka się z kapitanem na linji trzydziestego

siódmego równoleżnika, którego się tak ściśle trzymano; lecz może na niej znajdą się jakie ślady jego pobytu a w każdym razie prowadziła ona do miejsca rozbicia się okrętu. To było najważniejsze.

Co więcej, jeśli Ayrton podejmie się przyłączyć do podróżnych, prowadzić ich przez lasy Wiktorji i doprowadzić aż do wybrzeża wschodniego, to jeszcze pewniejsze były widoki powodzenia. Glenarvan wiedział o tem i dlatego też szczególniej starał się o zapewnienie sobie pomocy dawnego towarzysza kapitana Granta: najprzód więc zapytał gościnnego swego gospodarza, czy nie wyrządzi mu przykrości, proponując Ayrtonowi, aby im towarzyszył.

Paddy O'Moore zgodził się, choć nie bez żalu; tracił bowiem w tym człowieku wybornego domownika.

— A więc, Ayrtonie, czy chcesz iść z nami na poszukiwanie rozbitków z okrętu *Britannia?*

Ayrton nie zaraz odpowiedział na to pytanie; zdawał się nawet wahać przez chwilę, aż po namyśle rzekł:

— Dobrze, milordzie, pójdę z wami i jeśli nie zdołam naprowadzić was na ślady kapitana Granta, to przynajmniej doprowadzę was do miejsca, w którem się okręt rozbił.

— Dziękuję ci, Ayrtonie — odrzekł Glenarvan.

— Jeszcze jedno pytanie, milordzie.

— Cóż takiego, mój przyjacielu?

— Gdzie macie zamiar spotkać się z *Duncanem?*

— Jeśli nie przejdziemy Australji od jednego jej brzegu do drugiego, to w Melbourne; albo na wybrzeżu wschodniem, jeśli nas poszukiwania aż tam zaprowadzą.

— A cóż będzie robił kapitan *Duncana?*

— Będzie oczekiwał w Melbourne na moje rozkazy.

— Więc służę panu, milordzie!

Wszyscy dziękowali serdecznie kwatermistrzowi okrętu *Britannia,* a dzieci jego dowódcy najczulszemi obsypały go pieszczotami; wszyscy uszczęśliwieni byli jego postanowieniem, prócz Irlandczyka, tracącego w nim wiernego i zdolnego sługę. Lecz Paddy rozumiał, jak wielkie przysługi oddać mogła w tej wyprawie obecność Ayrtona, dlatego też zgodził się bez szemrania. Glenarvan umówił się z nim o dostarczenie środków transportowych do odbycia tej podróży przez Australję, a porozumiawszy się z Ayrtonem, podróżni nasi wrócili na pokład jachtu.

Zmieniła się postać rzeczy; wszyscy byli weselsi, wahanie ustąpiło. Odważni a szlachetni poszukiwacze nie mieli iść ślepo wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika. Była pewność, że Harry Grant jest na lądzie stałym, i każdy był pod wpływem miłego uczucia, jakie sprawia pewność po zwątpieniu.

Jeśli okoliczności posłużą, to *Duncan* za dwa miesiące może wysadzić kapitana Granta na brzegach Szkocji!

John Mangles, popierając zamiar odbycia tej podróży, sam też miał zamiar przyłączyć się do orszaku i mówił o tem z lordem Glenarvanem. Przedstawiał, co mógł, na poparcie swego projektu, poświęcenie swoje dla lady Heleny i zacnego jej małżonka, pożytek, jaki z niego mieć może wyprawa przy urządzaniu pochodu: że obecność jego na pokładzie jachtu nie jest potrzebna — słowem, przytaczał wszystko, prócz powodu najważniejszego, ale o którym nie potrzeba było mówić Glenarvanowi.

— Powiedz mi, kapitanie, czy ufasz zupełnie porucznikowi?

— Najzupełniej. Tomasz Austin jest dobrym marynarzem; doprowadzi on *Duncana* do miejsca przeznaczenia, naprawi go zręcznie i odprowadzi znów na dzień umówiony. Tom jest niewolnikiem obowiązku i karności, nigdy nie ośmieli się zmienić w czemkolwiek lub opóźnić wykonania danego mu rozkazu. Wasza Dostojność może więc liczyć na niego, jakby na mnie samego.

— Zgoda zatem, pojedziesz z nami, bo nawet — dodał z uśmiechem — radbym, abyś był obecny, gdy odnajdziemy ojca miss Marji Grant.

— Och! Wasza Dostojność!... — szepnął John Mangles.

Nic więcej nie umiał powiedzieć, pobladł i pochwycił podaną sobie dłoń lorda.

Nazajutrz John Mangles w towarzystwie cieśli i majtków, obładowanych zapasami żywności, powrócił do osady Paddy O'Moore'a, z którym wspólnie miał się zająć obmyślaniem i przygotowaniem środków transportowych.

Cała rodzina Irlandczyka czekała już na niego, gotowa poddać się jego rozkazom. Obecny tam Ayrton nie odmawiał pomocy swej i rad, jakie mu dyktowało jego doświadczenie.

Paddy O'Moore i Ayrton zgadzali się na jedno, że damy powinny odbywać tę drogę na wozie zaprzężonym w woły, a mężczyźni konno. Paddy poddjął się dostarczenia koni, wołów i wozu.

Wóz mierzył dwadzieścia stóp długości i nakryty był budą płócienną; unoszące go cztery koła, były to poprostu tarcze drewniane bez obręczy, bez szpryc i bez okucia. Przód, od tyłu znacznie oddalony, połączony był z nim zapomocą bardzo prostego mechanizmu, nie dozwalającego nagle zawrócić. U przodu wozu sterczał dyszel długości 35 stóp, do którego zaprzężono wzdłuż trzy pary wołów. Tak ustawione zwierzęta ciągnęły głową i karkiem zarazem, a to przy pomocy podwójnej kombinacji jarzma przywiązanego do karku i łańcucha przybitego płaską klamrą do jarzma. Wielkiej potrzeba było zręczności do kierowania tą machiną wąską, długą, chwiejącą się i wywrotną, a zarazem do popędzania wołów, stąpających nierówno i leniwie. Lecz Ayrton nauczył się już tego w osadzie Irlandczyka

i Paddy O'Moore pewny był, że da sobie radę. Jemu więc powierzono urząd przewodnika.

Wóz bez resorów był bardzo niewygodny, lecz nie było lepszego. John Mangles nie mógł nic ulepszyć w jego budowie, ale zato wewnątrz urządził go, jak może być najwygodniej. Najprzód więc przegrodził go deskami na dwa przedziały. W tylnym przedziale pomieszczono zapasy żywności, pakunki i kuchnię przenośną pana Olbinetta; przód cały urządzono dla dam. Z pomocą cieśli przedział ten zamienił się na wygodny pokój, pokryty szerokim kobiercem, na którym stała toaleta i dwa łóżka dla lady Heleny i miss Grant. Skórzana firanka zamykała ten apartament improwizowany, osłaniając go przed chłodem nocy. W nagłej potrzebie i mężczyźni mogli się tam schronić przed ulewnym deszczem; zwykle jednak miano rozbijać dla mężczyzn namiot, umyślnie wieziony. John Mangles robił, co mógł, aby na tej ciasnej przestrzeni nagromadzić wszystko, czego mogły potrzebować dwie kobiety — a powiodło mu się to nieźle. Lady Helena i Marja Grant nie miały powodu żalić się, że, zamiast kajut na pokładzie *Duncana,* mają toczący się pokój.

Z mężczyznami sprawa była prostsza; miano siedm koni dla lorda Glenarvana, Paganella, Roberta Granta, Mac Nabbsa, Manglesa i dwu marynarzy—Wilsona i Mulradego, towarzyszących swemu panu w tej podróży. Ayrton miał miejsce na koźle, a pan Olbinett, niebardzo rad jeździć konno, ulokował się z pakunkami w tylnym przedziale.

Konie i woły pasły się na łąkach kolonji i w chwili odjazdu z łatwością stamtąd mogły być sprowadzone.

Urządziwszy wszystko i wydawszy rozkazy cieśli, John Mangles powrócił na pokład wraz z rodziną irlandzką, pragnącą odwiedzić lorda Glenarvana. Ayrton uważał za stosowne przyłączyć się do nich; o czwartej godzinie byli już na statku.

Przyjęto gości z otwartemi rękami. Glenarvan zaprosił ich na obiad, wywdzięczając się za gościnność, jakiej doznał u kolonisty. Paddy O'Moore był zachwycony; umeblowanie kajut, uzbrojenie i przyozdobienie statku, jego kasztele jesionowe i palisandrowe — wszystko to obudzało w nim podziw. Ayrton, przeciwnie, z wielkiem umiarkowaniem pochwalał te zbytkowne dodatki, badał natomiast i oglądał jacht jako marynarz. Zwiedził go aż do samego spodu, zeszedł do przegrody, w której się mieściła śruba, obejrzał maszyny, wypytał się o ich siłę, ilość materjałów palnych, jakiej zużywa; zwiedził składy węgla i wody; interesował się zwłaszcza składem broni i działem, umieszczonem na pomoście przednim. Glenarvan spostrzegł zaraz, że ma do czynienia z człowiekiem, znającym się na rzeczy. Ayrton zakończył swą wizytę obejrzeniem dokładnem omasztowania, żagli, lin i wszystkich porządków okrętowych.

— Piękny masz okręt, milordzie — rzekł nakoniec.

— A nadewszystko dobry — odpowiedział Glenarvan.

— Jaka jest jego pojemność?

— Dwieście dziesięć tonn.

— Jeśli się nie mylę, to *Duncan* przy pomocy dobrej pary musi robić piętnaście węzłów.

— Siedemnaście — poprawił go z zadowoleniem John Mangles.

— Siedemnaście — zawołał kwatermistrz — a więc najlepszy nawet okręt wojenny dopędzić go nie zdoła!

— Bezwątpienia — odrzekł John Mangles — *Duncan* jest prawdziwym jachtem wyścigowym i niełatwo go pokonać.

— Nawet pod żaglem? — pytał Ayrton.

— Nawet pod żaglem.

— Winszuję ci, milordzie, i tobie, panie kapitanie, tego pysznego statku; a możecie mi wierzyć, że znam się na wartości okrętów,

— Zostań więc z nami, Ayrtonie — rzekł lord Glenarvan — a wtedy będzie on i do ciebie należał.

— Pomyślę o tem, milordzie! — krótko odpowiedział kwatermistrz.

Pan Olbinett nadszedł w tej chwili, zawiadamiając Jego Dostojność, że obiad jest gotów. Glenarvan poprowadził swych gości do stołu.

— Ten Ayrton, to zręczny i niegłupi człowiek! — rzekł Paganel do majora.

— Zanadto sprytny — odmruknął Mac Nabbs, któremu bez żadnego powodu nie podobała się ani postać, ani też maniery kwatermistrza.

Podczas obiadu Ayrton ciekawe opowiadał szczegóły o lądzie australijskim, który znał doskonale. Pytał, ilu majtków lord Glenarvan bierze na wyprawę, i zdziwił się niepomału, dowiedziawszy się, że dwu tylko, to jest Wilsona i Mulradego. Utrzymywał, że eskorta powinna się składać z najlepszych marynarzy *Duncana*. Nawet tak nalegał, że to już samo powinno było usunąć wszelkie podejrzenia majora.

— Ależ — odparł Glenarvan — podróż nasza przez Australję południową żadnych nie przedstawia niebezpieczeństw.

— To prawda — śpiesznie potwierdził Ayrton.

— Zostawmy zatem jak można najwięcej ludzi na pokładzie statku; przydadzą się na nim, gdy będzie płynął pod żaglami, lub gdy naprawiać go trzeba będzie na wypadek uszkodzeń. Ważną bowiem jest rzeczą, aby się nie opóźnił z przybyciem na miejsce, które mu wskażemy; nie uszczuplajmy zatem jego załogi.

Ayrton zdawał się uznawać te racje, bo nie nalegał dłużej.

Gdy nadszedł wieczór, Szkoci rozstali się z Irlandczykami. Ayrton wraz z rodziną Paddy O'Moore'a powrócił do kolonji. Konie i wozy miały być gotowe z rana; odjazd naznaczono na ósmą godzinę. Lady Helena i Marja Grant poczyniły ostatnie przygotowania, krótkie, a przynajmniej nie tak drobiazgowe, jak Jakób Paganel. Uczony geograf większą część nocy spędził na odśrubowywaniu, przecieraniu i wśrubowywaniu napowrót szkieł swojej lunety. To też nazajutrz spał jeszcze, gdy major gromkim głosem go zbudził.

John Mangles zajął się przeniesieniem do kolonji wszystkich pakunków. Na podróżnych czekało czółno, mające ich przewieźć na ląd. Kapitan wydał ostatnie rozporządzenia Tomaszowi Austinowi. Zalecił mu przedewszystkiem, aby w Melbourne oczekiwał na rozkazy lorda Glenarvan, i wypełnił je ściśle, nie wdając się w żadne rozumowania.

Stary marynarz zapewnił, że można liczyć na niego, i w imieniu całej osady złożył Jego Dostojności życzenia pomyślnej wyprawy. Czółno odbiło od jachtu, a w powietrzu rozległo się przeciągłe hurra!

W dziesięć minut potem podróżni stali już na brzegu, po kwadransie marszem przybyli do kolonji irlandzkiej.

Wszystko czekało gotowe. Lady Helena bardzo była zadowolona ze swego powozu i z jego zaprzęgu. Wyglądało to bardzo patrjarchalnie. Ayrton z biczem w ręku siadł na koźle i oczekiwał rozkazów nowego swego zwierzchnika.

— Cóżto za pyszny pojazd — mówił Paganel — niech się schowają wszystkie dyliżanse! Trupa linoskoków nie podróżowałaby lepiej. Dom, przenoszący się z miejsca na miejsce, zatrzymujący się, gdzie potrzeba! I czegóż tu więcej żądać można? Sarmaci przed wiekami to już zrozumieli i nie podróżowali inaczej.

— Panie Paganel — mówiła lady Helena — spodziewam się, że będę miała przyjemność przyjmowania pana w moich salonach.

— Ależ pani — odrzekł z galanterją uczony — będzie to dla mnie zaszczyt prawdziwy! Czy pani już oznaczyła dzień w tygodniu?

— Będę zawsze w domu dla przyjaciół — odpowiedziała z uśmiechem lady Helena — a pan jesteś...

— Najbardziej oddanym ze wszystkich! — dokończył Paganel z galanterją.

Tę wymianę grzeczności przerwało przybycie siedmiu osiodłanych koni, które przyprowadził jeden z synów Paddy O'Moore'a. Glenarvan w kilku słowach porozumiał się z Irlandczykiem o cenę dostarczonych przedmiotów i obsypał zacnego kolonistę podziękowaniami, które mu niemniej od gwinei były przyjemne.

Dano znak do odjazdu. Lady Helena i miss Grant zajęły miejsca w wyznaczonym sobie przedziale. Ayrton siadł na koźle, Ol-

binett w tylnym przedziale wozu, a Glenarvan, major, Paganel, Robert, John Mangles i dwaj majtkowie, uzbrojeni w karabiny i rewolwery, dosiedli rumaków. Paddy O'Moore ze łzą rozczulenia w oczach rzucił im ostatnie pożegnanie słowami: „Niech Bóg prowadzi" — co i cała jego rodzina powtórzyła chórem. Ayrton krzyknął na woły i pognał je biczem. Wóz ruszył z miejsca, skrzypiąc, i wkrótce na zakręcie drogi z oczu podróżnych znikła gościnna chatka poczciwego Irlandczyka.

XXXV

WIKTORJA.

Był to dzień 23 grudnia 1864 roku. Grudzień tak smutny, tak ponury i chłodny na północnej półkuli, powinienby w tych stronach nazywać się czerwcem.

Podług obliczeń astronomicznych nastał już był drugi dzień lata, bo słońce wstąpiło 21-go w znak Koziorożca i o kilka już minut wcześniej schodziło z horyzontu; nowa więc podróż lorda Glenarvana miała się odbyć podczas najcieplejszej pory roku, pod promieniami prawie zwrotnikowemi słońca.

Ogół posiadłości angielskich w tej części oceanu Spokojnego, nazywa się Australazją, a składa się z Nowej Holandji, Tasmanji, Nowej Irlandji i kilku wysp sąsiednich.

Stały ląd Australji podzielono na obszerne kolonje bardzo różne pod względem przestrzeni i bogactwa.

Ktokolwiek spojrzy na mapy Petermana albo Preschoella, niezawodnie zadziwi się nad prostym kierunkiem linji tego podziału. Anglicy wyciągnęli pod sznur granicę tych ogromnych prowincyj. Nie zważali ani na górzystość, ani na kierunek rzek, ani na odmienny klimat, ani na różnorodność plemion. Kolonje te stykają się z sobą pod kątem prostym i wyglądają jak szachownica. Z tych linij i kątów prostych widać, że to robota geometry, nie geografa. Tylko wybrzeża, ze swemi nierównościami, zatokami i przylądkami, zachwycającym brakiem symetrji protestują w imię natury.

Widok tej szachownicy wzbudzał zawsze krytyczny zmysł Paganela. Gdyby Australja należała do Francji, nie ulega wątpliwości, że geografowie francuscy nie posunęliby do tego stopnia zamiłowania węgielnicy i grafjonu.

Obecnie liczą sześć kolonij na wielkiej wyspie Oceanji: Nowa Walja Południowa ze stolicą Sydnej, Queensland, ze stolicą Brisbane; prowincja Wiktorja ze stolicą Melbourne, Australja Południowa

ze stolicą Adelajda, Australja Północna, nie mająca jeszcze stolicy. Koloniści zasiedlają tylko wybrzeża. O dwieście mil angielskich w głąb kraju wznosi się zaledwie kilka miast ważniejszych; wnętrze zaś tej krainy, to jest przestrzeń, równająca się dwom trzecim częściom Europy, dotąd jeszcze jest prawie nieznana.

Na szczęście, 37-my równoleżnik nie przechodzi przez te niezmierzone pustynie, te nieprzystępne krainy, które naukę kosztowały tyle ofiar. Wszystkie trudy i usiłowania Glenarvana nicby tu nie pomogły. Miał tylko do czynienia z południową częścią Australji, która się składa z wąskiego pasa prowincji Wiktorji i z wierzchołka przewróconego trójkąta, jaki tworzy Nowa Walja Południowa.

Od przylądka Bernouilli do granicy Wiktorji liczą zaledwie sześćdziesiąt dwie mile angielskie. Nie więcej to niż dwa dni drogi — i Ayrton spodziewał się nocować nazajutrz w Aspley, mieście leżącem na samym zachodzie prowincji Wiktorji.

Początek podróży zwykle odznacza się rzeźwością jeźdźców i koni. Co do pierwszych, niema nic do powiedzenia, lecz należy zawsze hamować zapał ostatnich, bo, mając długą podróż przed sobą, trzeba koniecznie oszczędzać siły wierzchowców. Z tego względu postanowiono nie robić więcej dziennie nad 20 do 30 mil angielskich. Zresztą należało stosować chód koni do powolniejszego stąpania wołów, które, jak narzędzia mechaniczne, tracą na czasie to, co wygrywają na sile. Wóz z podróżnymi i zapasami stanowił środek karawany, ruchomą fortecę. Jeźdźcy mogli jechać z boków, gdzie się komu spodobało, nie oddalając się wszakże zbyt daleko.

Ponieważ nie trzymano się żadnego szczególnego porządku, każdy zatem mógł robić, co zechciał: myśliwi uganiać się po płaszczyźnie, galanci rozmawiać z damami, jadącemi w powozie, a filozofowie prowadzić dysputy uczone. Paganel, posiadający wszystkie te przymioty, musiał być i był wszędzie razem.

Podróż przez prowincję Adelajda nie przedstawiała nic zajmującego: szereg niewysokich, pełnych kurzawy pagórków; ogromne przestrzenie gruntów jałowych, noszących w tym kraju nazwę „bush"; nieco łąk, pokrytych gromadkami krzaków o klinowatym liściu, mającym smak słonawy, a służącym za największy przysmak dla owiec; gdzie niegdzie kilka „pigsfaces" — szczególny gatunek owiec o łbach, przypominających kształtem świńskie, właściwy Nowej Holandji, pasących się między słupami linji telegraficznej, świeżo otwartej między Adelajdą i wybrzeżem, oto jedyny widok, przedstawiający się podróżnym na kilkomilowej przestrzeni.

Dotychczas równiny te zupełnie przypominały nudne krajobrazy pampy; był to ten sam grunt równy, zarosły trawą, ten sam widnokrąg ostro zarysowany. Mac Nabbs utrzymywał, że się znajdują jeszcze w tym samym kraju, lecz Paganel zapewniał, iż wkrótce kraj-

obraz się zmieni. Polegając na jego zapewnieniu, czekano cudownych rzeczy.

Około trzeciej orszak przybył na szeroką, ogołoconą z drzew równinę, znaną pod nazwą „mosquitos plains". Uczony geograf mógł stwierdzić, że zasługuje ona istotnie na swoją nazwę. W rzeczy samej podróżni i ich konie wiele ucierpieli od ukąszeń komarów, których uniknąć nie było można. Dzięki amonjakowi, znajdującemu się w podróżnej apteczce, ból z ich ukłucia łatwo dawał się uśmierzać; niemniej Paganel zaczął przeklinać nieznośne owady, szpilkujące ostremi żądłami wysoką jego postać.

Ku wieczorowi kilka żywopłotów z akacyj, kilka tu i ówdzie porozrzucanych gumowców białych, świeży ślad wozów ożywiły krajobraz. Nakoniec ukazały się dobrze utrzymane ogrodzenia. O ósmej woły, naglone przez poganiacza Ayrtona, przybyły do stacji Red-Gum. Wyraz ten „stacja" oznacza siedzibę wewnątrz kraju, gdzie hodują bydło, stanowiące największe bogactwo Australji. Hodowcy nazywają się „squatters" to jest ludzie siadający na ziemi [1]. Rzeczywiście jest to najpierwsza postawa, jaką przybiera każdy kolonista, znużony długiemi wędrówkami po tych niezmierzonych przestrzeniach.

Stacja Red-Gum była to wcale niewielka osada, jednakże Glenarvan znalazł tam najszczerszą gościnność. W tych odludnych siedliskach zawsze się znajdzie nakryty stół dla podróżnego, a każdy kolonista australijski jest bardzo gościnnym gospodarzem. Nazajutrz Ayrton zaprzągł woły o świcie, chciał bowiem tegoż dnia wieczorem stanąć na granicy Wiktorji. Grunt stawał się coraz nierówniejszy. Małe wzgórki, pokryte czerwonym piaskiem, falowały jak daleko oko mogło dojrzeć; rzekłbyś, że to ogromna płachta czerwona, rzucona na ziemię i pofałdowana powiewem wiatru. Kilka „malleys", rodzaj sosen biało nakrapianych, o pniu gładkim i prostym, roztaczało gałęzie, pokryte ciemno-zielonym liściem, nad żyznemi pastwiskami, na których roiły się wesołe stada skoczków. Potem ukazały się ogromne przestrzenie pokryte zaroślami i młodemi drzewkami gumowemi; nakoniec zarośla znikły, drzewka zamieniły się na drzewa, podróżni mieli przed sobą pierwszą próbkę lasów australijskich.

Im więcej się zbliżali do granicy Wiktorji, tem widoczniej zmieniała się postać kraju. Podróżni czuli, że stąpają po nowej ziemi. Jechali ciągle w prostym kierunku i ani jeziora, ani góry nie zmuszały ich do zbaczania z linji prostej. Stosowali w praktyce główne twierdzenie geometryczne i podróżowali najprostszą, a zatem najkrótszą, drogą.

Myśl o trudach i przeszkodach ani przychodziła im do głowy. Pochód ich stosował się do powolnego kroku wołów; a chociaż te spo-

---

[1]) Od słowa angielskiego „to squat" = siadać.

kojne zwierzęta nie szły prędko, jednak posuwały się naprzód, nie zatrzymując się nigdy.

Tym sposobem orszak, zrobiwszy we dwa dni sześćdziesiąt mil angielskich, 23-go wieczorem stanął w Aspley, pierwszem mieście prowincji Wiktorji, położonem w obwodzie Wimerra, pod sto czterdziestym pierwszym stopniem długości. Ayrton umieścił wóz w Crowns Inn, oberży, która przybrała nazwę *Hotelu pod Koroną*. Wieczerza, składająca się wyłącznie z baraniny, przyrządzonej na rozmaite sposoby, parowała na stole. Jedzono wiele a rozmawiano jeszcze więcej. Wszyscy niecierpliwie pragnęli dowiedzieć się o osobliwościach Australji, a skutkiem tego było zarzucanie pytaniami geografa. Paganel nie dał się długo prosić i opowiadał o tej części prowincji Wiktorji, która otrzymała nazwę „Australji szczęśliwej".

— Mylna to nazwa — mówił on — stosowniej było nazwać ją Australją bogatą, bo i z krajami rzecz tak się ma, jak z ludźmi: bogactwo nie stanowi szczęścia. Australja, dzięki swoim kopalniom złota, stała się pastwą tłumów dzikich, wszystko niszczących awanturników. Przekonacie się o tem, gdy będziemy przejeżdżali okolice złotodajne.

— Kolonja Wiktorja, o ile mi się zdaje, niedawno istnieje? — odezwała się pani Glenarvan.

— Tak, pani, liczy dopiero lat trzydzieści. Działo się to 6-go czerwca 1835 roku, we wtorek.

— O godzinie kwadrans na ósmą wieczorem — dodał major, który lubił żartować z dokładności, z jaką Paganel zwykł określać daty.

— Nie, o godzinie siódmej minucie dziesiątej — odrzekł z powagą geograf. — Batman i Falckner założyli siedzibę w Port-Philippe nad tą samą zatoką, nad którą dziś rozciąga się wielkie miasto Melbourne. Przez piętnaście lat nowa kolonja stanowiła część Nowej Walji Południowej i zależała od jej stolicy Sydnej. W 1851 roku uzyskała niezawisłość i przytem nazwę Wiktorja.

— I dobrze się jej wiodło od tego czasu? — spytał Glenarvan.

— Osądź sam, mój przyjacielu — odpowiedział Paganel — oto są liczby, których nam ostatnie wiadomości statystyczne dostarczają i niech sobie Mac Nabbs mówi, co chce, a niema nic wymowniejszego nad liczby.

— Dalej, dalej, kochany Paganelu — rzekł major.

— Natychmiast... W roku 1836 kolonja Port-Philippe miała 244 mieszkańców, dziś prowincja Wiktorja liczy ich sześćset tysięcy; siedm miljonów krzewów winnych przynosi jej rocznie sto dwadzieścia jeden tysięcy galonów wina. Sto trzy tysiące koni galopuje po jej równinach i sześćset siedmdziesiąt pięć tysięcy sztuk rogatego bydła tuczy się na jej niezmierzonych pastwiskach.

— Czy niema też pewnej ilości nierogacizny? — zapytał Mac Nabbs.

— Tak, majorze, siedmdziesiąt dziewięć tysięcy sześćset dwadzieścia pięć, z pozwoleniem pańskiem.

— A wiele baranów, Paganelu?

— Siedm miljonów sto piętnaście tysięcy dziewięćset czterdzieści trzy, majorze.

— Licząc już z tym, którego jemy w tej chwili, Paganelu?

— Nie, nie licząc go, ponieważ zjedliśmy go już trzy ćwierci.

— Brawo, panie Paganel — zawołała lady Helena, śmiejąc się z całego serca — musimy przyznać, że jesteś mocnym w kwestjach geograficznych, i mój kuzyn, Mac Nabbs, napróżno sili się wynaleźć twą słabą stronę.

— Ależ, pani, wiedzieć te rzeczy i w potrzebie wam ich udzielić jest mojem rzemiosłem; zatem możecie mi wierzyć, kiedy wam mówię, że w tym kraju zobaczymy cuda.

— Jednak dotychczas... — zauważył Mac Nabbs, który lubił drażnić geografa, żeby podniecić jego zapał.

— Poczekajże, niecierpliwy majorze — zawołał Paganel — zaledwie jedną nogą stanąłeś na granicy, a już zaczynasz się niecierpliwić; powiadam ci, powtarzam i potwierdzam, że to jest najciekawszy kraj na ziemi! Jego formacja, przyroda, płody, klimat, a nawet przyszłe jego zniknienie — dziwiły, dziwią i dziwić będą wszystkich uczonych świata. Wyobraźcie sobie, moi przyjaciele, ląd, którego nie środek, lecz brzegi pierwej wystąpiły nad powierzchnią fal, jak pierścień olbrzymi, który zawiera może w okolicach środkowych wewnętrzne, napół wyschłe morze; którego rzeki wysychają z dnia na dzień; gdzie wilgoć nie istnieje ani w powietrzu, ani w gruncie; gdzie drzewa nie liście co rok tracą, ale korę; gdzie liście nie napłask, lecz bokiem obrócone są do słońca i nie dają cienia; gdzie drzewo często bywa niepalne; gdzie kamienie ciosowe topnieją od deszczu; gdzie lasy są niskie, a trawy olbrzymie; gdzie zwierzęta mają dziwaczne kształty; gdzie czworonożne mają dzioby, jak ptactwo, i zmuszają przyrodników do tworzenia nowych rodzajów; gdzie kangur skacze na swych nierównych łapach; gdzie owce mają głowy świńskie; gdzie lisy przeskakują z drzewa na drzewo; gdzie łabędzie są czarne a szczury robią sobie gniazda; gdzie ptaki zdumiewają swemi zdolnościami i rozmaitością śpiewu; gdzie jeden służy zamiast zegara, inny trzaska jak pocztyljon z bicza — jeden naśladuje szlifierza, inny wybija sekundy jak perpyndykuł; jeden śmieje się z rana, kiedy słońce wschodzi, inny płacze wieczorem przy jego zachodzie. O kraino dziwna, nielogiczna, ziemio paradoksalna, stworzona wbrew prawom natury! Toć najsłuszniej uczony botanik Grimard mógł powiedzieć o tobie: „Oto Australja, prawdziwa parodja praw wszechświata, a raczej naigrawanie się z niego”.

Paganel rozpędził swój język, jakby go nigdy nie miał zatrzymać. Wymowny sekretarz Towarzystwa Geograficznego przestał być panem siebie — mówił i mówił, gestykulując do upadłego i wywijając widelcem, co siedzącym obok niego groziło niemałem niebezpieczeństwem. Nakoniec grom oklasków przytłumił głos jego i udało mu się nareszcie zamilknąć.

Po takiem wyliczeniu osobliwości australijskich, nikt nie myślał prosić o więcej, tylko major nie mógł się powstrzymać, żeby go nie zapytać głosem spokojnym:

— I to już wszystko?

— Otóż nie, nie wszystko! — odparł uczony z nową gwałtownością.

— Jakto? — spytała zaciekawiona lady Helena. — Czyż jest jeszcze w Australji coś więcej osobliwego?

— Tak, pani, jej klimat przewyższa swemi dziwactwami wszystko, co ona wydaje.

— Naprzykład? — zawołano.

— Nie mówię o własnościach higjenicznych klimatu australijskiego, tak obfitującego w tlen, a ubogiego w azot; niema tu wiatrów wilgotnych, bo wieją wzdłuż wybrzeży; niema też wielu chorób, np. tyfusu, odry i cierpień chronicznych.

— Jednakże i to korzyść niemała — rzekł Glenarvan.

— Bezwątpienia, lecz ja nie o tem mówię — odpowiedział Paganel. — Tutaj klimat ma pewną własność... nieprawdopodobną.

— Jaką? — zapytał John Mangles.

— Nie uwierzycie nigdy!

— Uwierzymy! — zawołali zaciekawieni słuchacze.

— Zatem jest on...

— Czemże?

— Moralizatorem.

— Jakto moralizatorem?

— Tak jest — odpowiedział uczony, pełnym przekonania głosem — tak, moralizatorem. Tutaj powietrze nie psuje ani kruszców, ani człowieka. Tutaj atmosfera czysta i sucha bieli wszystko prędko, i płótno, i dusze. I w Anglji dobrze zauważono zalety tego klimatu, kiedy postanowiono wysyłać do tego kraju ludzi potrzebujących poprawy.

— Jakto? Czy ten wpływ rzeczywiście daje się zauważyć? — spytała lady Glenarvan.

— Tak, pani, równie na zwierzętach, jak i na ludziach.

— I pan nie żartuje?

— Nie żartuję. Konie, bydło tutejsze odznaczają się znakomitą łagodnością. Zobaczy to pani.



— Idźmy tam co prędzej — rzekł lord Glenarvan (str. 203).

— Niepodobna!

— Ależ tak jest. Złoczyńcy, przewiezieni do tego ożywczego i uzdrawiającego klimatu, w kilka lat zupełnie się tu przekształcają.

— Lecz w takim razie, panie Paganel — rzekła lady Helena — cóż się stanie z panem, który już dziś jesteś tak dobry, na tej ziemi uprzywilejowanej?

— Stanę się doskonałym — odpowiedział Paganel — poprostu doskonałym.

XXXVI.

WIMERRA RIVER.

Nazajutrz, 24-go grudnia, ruszono z noclegu o świcie. Upał już był mocny, lecz znośny, droga równa i nieuciążliwa dla koni. Mały oddział zapuścił się w dość rzadki lasek a wieczorem, po szczęśliwie odbytej tego dnia podróży, zatrzymał się nad brzegiem jeziora Białego, mającego wodę słonawą, niezdatną do picia. Tu Jakób Paganel musiał przyznać, że to jezioro wcale nie było białe, jak morze Czerwone nie jest czerwonem, morze Czarne czarnem, rzeka Żółta żółtą, a góry Niebieskie nie są niebieskiemi. Sprzeczał się jednak gorąco, powodowany miłością własną, jako geograf, lecz dowody jego nikogo nie przekonały.

Pan Olbinett ze zwykłą sobie punktualnością przyrządził wieczerzę, po której podróżni, jedni na wozie, drudzy pod namiotem, nie zważając na żałosne wycie „dingów", tych szakalów Australji, wkrótce zasnęli.

Śliczna równina, ubarwiona *złocieniem,* rozciągała się po drugiej stronie jeziora Białego. Glenarvan i jego towarzysze, obudziwszy się nazajutrz, zachwycali się wspaniałym widokiem, rozpościerającym się przed ich oczami. Ruszyli wreszcie w dalszą drogę. Zaledwie kilka odległych wyniosłości wykazywało nierówność gruntu. Aż do krańców widnokręgu widać było tylko łąki i kwiaty w wiosennym blasku. Niebieski kolor lnu o drobnych liściach mieszał się ze szkarłatem akantusa, pospolitego w tej okolicy. Niezliczone odmiany eremophyllów urozmaicały to morze zieloności, a ziemia, nasycona solą, nikła pod modremi i różowemi lebiodami.

Rośliny te bardzo są pożyteczne dla przemysłu, bo po spaleniu i wypłókaniu popiołu, dają wyborną sodę. Paganel, który zmieniał się w botanika, gdy zobaczył kwiaty, wymieniał nazwy tych rozmaitych roślin — a uniesiony manją podciągania wszystkiego pod liczby, nieomieszkał powiedzieć, że flora australijska liczy dotąd cztery tysiące dwieście gatunków roślin, podzielonych na sto dwadzieścia rodzin.

Przebywszy szybko około dziesięciu mil, podróżni wjechali między wysokie gaiki akacyj, mimoz i drzew gumowych, a wszystko kwitło niezmiernie rozmaicie. Królestwo roślinne w tej krainie, sprongplains"[1]) nie było niewdzięczne dla słońca, bo wonią i kwiatami odpłacało mu hojnie za jego promienie.

Okazy królestwa zwierzęcego były daleko skąpsze; kilka kazuarów skakało po łące, lecz niepodobna było do nich się zbliżyć. Jednakże majorowi udało się zabić dość rzadkiego ptaka z gatunku, który, jak się zdaje, wkrótce zaginie. Był to „jabiru", którego kolo-

---

[1]) Równiny skrapiane licznemi źródłami.

niści angielscy nazywają olbrzymim żórawiem. Ptak ten miał pięć stóp wysokości, a dziób jego czarny, gruby, mocno zaostrzony przy końcu, miał ośmnaście cali długości. Barwa szkarłatna i fioletowa piór jego głowy uderzająco odbijała od połyskującej zieloności szyi, świetnej białości gardła i czerwoności długich nóg. Zdawało się, że natura wyczerpała dla niego całą paletę barw głównych.

Podziwiano długo tego ptaka i bohaterem dnia tego pozostałby niezaprzeczenie major, gdyby młody Robert nie spotkał i nie zabił o kilka mil dalej niekształtnego zwierza: pół jeża, pół mrówkojada, stworzenie jakby tylko naszkicowane przez naturę, jak zwierzęta z pierwszych wieków stworzenia. Długi, lepki, łatwo wydłużający się język, służy mu do łowienia mrówek, stanowiących główne jego pożywienie, wisiał z bezzębnej paszczy.

— To kolczatka — rzekł Paganel, podając nazwę tego jednoodchodowca i dodał: — Widzieliście kiedy takie stworzenie?

— Okropne — odrzekł Glenarvan.

— Okropne, lecz osobliwe — powiedział Paganel — napróżnoby go szukano w innych częściach świata, właściwe jest tylko Australji.

Paganel naturalnie chciał zabrać ten ciekawy okaz i zachować między podróżnemi zapasami, lecz p. Olbinett z takiem oburzeniem sprzeciwił się temu, że uczony zaniechał swego zamiaru.

Dnia tego podróżni przekroczyli o trzydzieści minut setny czterdziesty pierwszy stopień długości. Dotychczas bardzo mało spotykali kolonistów i skwatorów. Kraj zdawał się być bezludny. Nie widać było ani śladu pierwotnych jego mieszkańców; dzikie te pokolenia koczowały więcej na północ, po niezmierzonych pustyniach, skrapianych przez rzeki, wpadające do Darling i Murray. Zdarzało się jednak coś ciekawego podróżnym. Spotkali jedno z tych ogromnych stad, jakie przedsiębiorcy spekulanci sprowadzają z gór wschodniej części kraju do Wiktorji i Południowej Australji.

Około godziny czwartej wieczorem John Mangles dał znać, że w odległości trzech mil ukazał się na widnokręgu ogromny tuman kurzu. Nie umiano rozstrzygnąć, skąd pochodziło to zjawisko. Paganel mniemał, że to jest meteor, a bujna jego wyobraźnia wyszukiwała już naturalnej przyczyny podobnego zjawiska — lecz Ayrton wstrzymał te wnioski, w które już Paganel zaczął się zagłębiać, zapewniając go, że ten tuman pochodzi od stada zwierząt, będącego w pochodzie.

Ayrton nie mylił się. Gęsty obłok zbliżał się i zarazem coraz wyraźniej dawał się słyszeć chór brzmiący bekiem, rżeniem i rykiem; odgłosy ludzkie, objawiające się krzykiem, gwizdaniem i wołaniem, mieszały się też z tą symfonją pasterską.

Nareszcie postać ludzka wysunęła się z hałaśliwego obłoku. Był to główny dowódca tej czworonogiej armji. Glenarvan zbliżył się do

niego i rozmowa zawiązała się bez dłuższych ceremonij. Przewodnik, czyli, nazywając go właściwem imieniem, „stockkeeper”, był właścicielem pewnej części tego stada. Nazywał się Sam Machell; z prowincyj wschodnich udawał się do zatoki Portland.

Stado jego zawierało dwanaście tysięcy siedmdziesiąt pięć głów, a mianowicie tysiąc wołów, jedenaście tysięcy owiec i siedmdziesiąt pięć koni.

Zwierzęta te, chude, zakupione w okolicach gór Niebieskich, szły tuczyć się na żyznych pastwiskach Południowej Australji, gdzie odprzedawane są ze znacznym zarobkiem. Zarabiając na każdym wole dwa funty szt., a pół funta na każdej owcy, powinien był mieć Sam Machell czystego zarobku sto pięćdziesiąt tysięcy franków. Był to więc duży interes. Lecz ileż trzeba cierpliwości, ile energji, ile trudów przyjdzie zwalczyć, nim się doprowadzi do przeznaczonego miejsca to niesforne stado! Niełatwo przychodzi zarobek w tym ciężkim zawodzie.

Podczas gdy stado przechodziło między gromadkami akacyj, Machell w kilku słowach opowiedział swoją historję. Lady Helena i Marja Grant wysiadły z wozu, a jeźdźcy zeskoczyli z koni i, usiadłszy w cieniu gęstego drzewa gumowego, słuchali opowiadania stockkepera.

Sam Machell był już od siedmiu miesięcy w drodze, przebywał około dziesięciu mil dziennie, a podróż jego miała trwać jeszcze trzy miesiące. Miał z sobą do pomocy dwadzieścia psów i trzydziestu ludzi, między którymi pięciu czarnych bardzo zręcznych do wytropienia zbłąkanych zwierząt. Sześć wozów szło za jego karawaną. Poganiacze uzbrojeni w stockwipps — długie bicze, których trzonek ma ośmnaście cali, a rzemień dziewięć stóp długości — przebiegali szeregi i przywracali często naruszany porządek, a psy, jak lekka kawalerja, obiegały skrzydła.

Podróżni podziwiali porządek, w jakim stado przechodziło. Każdy gatunek szedł oddzielnie, bo woły i dzikie owce nie zgadzają się z sobą. Pierwsze nie chcą się paść tam, którędy drugie przechodziły. Z tego powodu trzeba wysyłać woły naprzód; jakoż rzeczywiście woły, podzielone na dwa bataljony, szły przodem. Za niemi szło pięć pułków owiec pod dowództwem dwudziestu poganiaczy, a pluton koni stanowił straż tylną.

Sam Machell zwrócił uwagę swoich słuchaczów na to, że rzeczywistymi przewodnikami jego armji nie były ani psy, ani ludzie, lecz woły, zmyślne „leaders’y”, których wyższość całe stado uznawało. Szły one w pierwszych rzędach poważnym krokiem, instynktem wynajdując dobrą drogę, z zupełnem przekonaniem, że mają prawo do względów, z jakiemi je traktowano. Rzeczywiście, miano o nich wielkie staranie, a całe stado było im ślepo posłuszne. Jeśli się im nie podobało zatrzymać się gdziekolwiek, trzeba było ulec ich woli, a na-

próżno też byłoby chcieć ruszyć je z miejsca, dopóki same nie podadzą hasła do podróży.

Kilka szczegółów, które dodał stockkeper, uzupełniły historję tej wyprawy, godnej, jeśli nie dowództwa, to opisu samego Ksenofonta. Zwykle wszystko szło dobrze, dopóki armja wędrowała po równinach odkrytych. Niewiele było trudów i kłopotu. Zwierzęta pasły się po drodze, piły z licznych „creeks", znajdujących się na pastwiskach, spały w nocy, szły we dnie i na głos psów posłusznie się zgromadzały. Zato w wielkich lasach lub gęstych zaroślach trudności się mnożyły. Plutony, bataljony i pułki mieszały się lub rozpraszały i trzeba było wiele czasu, żeby je znowu zgromadzić. Jeśli na nieszczęście zabłąkał się który leader, musiano go bądź co bądź odszukać dla utrzymania porządku w stadzie, i czarni tracili często po dni kilka na te trudne poszukiwania. Gdy duży deszcz zaczął padać, leniwe bydlęta nie chciały iść; podczas burzy paniczny przestrach padał na nie, rzucały się jak szalone i mąciły wszelki porządek!

Jednakże, przy pomocy energji i wytrwałości, stockkeeper zwyciężał te wciąż wznawiające się trudności. Szedł ciągle naprzód, dodając mile do mil i zostawiając za sobą doliny, lasy i góry. Lecz zdarzał się wypadek, w którym stockkeeper, posiadający tyle przymiotów, musiał wykazać największą swoją zaletę, to jest cierpliwość, cierpliwość niezłomną, której nietylko godziny i dnie, lecz tygodnie nie zdołają zachwiać. Było to przy przeprawach przez rzeki. Stockkeeper zmuszony jest zatrzymywać się na brzegach wód łatwych do przebycia, lecz nie dla niego. Trudność pochodziła jedynie z oporu bydląt. Woły, napiwszy się wody, odchodziły od niej. Owce uciekały w wszystkie strony. Czekano nocy, żeby sprowadzić stado do rzeki, lecz i to nie skutkowało. Rzucano tryki gwałtem do wody, a owce nie decydowały się iść za niemi. Próbowano męczyć zwierzęta pragnieniem i nie pozwolono pić przez dni kilka; stado nie piło i nie ruszało się z miejsca. Przenoszono jagnięta na drugi brzeg, w nadziei, że matki pójdą za niemi; jagnięta beczały, a matki nie ruszały się z miejsca. Trwało to niekiedy przez miesiąc i stokkeeper nie wiedział, co robić ze swoją armją beczącą, rżącą i ryczącą. Nagle, pewnego pięknego dnia, bez żadnej przyczyny, jedynie przez kaprys, niewiadomo jak i dla czego, jeden oddział przebywał rzekę — a wtedy nastawał inny kłopot, to jest, aby nie pozwalać bydlętom tłumami rzucać się do wody. Szyki mieszały się i wiele sztuk ginęło w nurtach.

Takie to szczegóły opowiadał Sam Machell. Tymczasem większa część jego stada przeszła w dobrym porządku. Czas już mu było dopędzić czoło swojej armji dla wyszukania najlepszego pastwiska. Pożegnał więc lorda Glenarvana, a uścisnąwszy z serdecznością ręce jego towarzyszy, dosiadł doskonałego krajowego konia, którego trzymał jeden z jego służących. Po kilku chwilach zniknął w obłoku kurzawy.

Wóz rozpoczął w stronę przeciwną podróż przerwaną i zatrzymał się wieczorem u stóp góry Talbot.

Wówczas Paganel wporę zwrócił uwagę, że był to dzień 25-ty grudnia, a zatem dzień Bożego Narodzenia, tak uroczyście święcony w rodzinach angielskich. Lecz stewart nie zapomniał o tem i obfita wieczerza, którą ustawił pod namiotem, zjednała mu szczere pochwały biesiadników. Trzeba wyznać, że p. Olbinett rzeczywiście przeszedł samego siebie. Śpiżarnia jego dostarczyła całego szeregu potraw europejskich, z któremi rzadko można się spotkać w pustyniach Australji. Szynka z renifera, solona wołowina, wędzony łosoś, placki jęczmienne i owsiane, herbaty do woli, wódki do zbytku i kilka butelek porto stanowiły tę wspaniałą ucztę. Zdawało się podróżnym, że się znajdowali w wielkiej sali jadalnej w Malcolm-castle, pośród gór szkockich.

Rzeczywiście, niczego tej uczcie nie brakło, zaczynając od zupy z imbierem, a kończąc na minced-pies na deser. Jednakże Paganel wyobraził sobie, że niezbędne są i dzikie pomarańcze z drzew, rosnących u stóp pagórka. Były to „moccaly" krajowców. Drzewa te wydają owoc dość niesmaczny, którego ziarnka mają smak palący jak pieprz turecki. Geograf dla miłości nauki jadł je z taką zawziętością, że zaognił sobie podniebienie i nie mógł odpowiadać na pytania, któremi go zarzucał major o osobliwości tego australijskiego deseru.

Dzień następny, 26-ty grudnia, przeszedł bez żadnego godnego wspomnienia wypadku. Natrafiono na źródła strumienia Norton, potem na wpółwyschłą rzekę Mackensie. Pogoda stale była piękna, a upał dość znośny; wiatr dął z południa i odświeżał powietrze, jak na północnej półkuli wiatr północny. Paganel zwrócił na to uwagę swego przyjaciela, Roberta Granta.

— Szczęśliwa to okoliczność — dodał, bo przeciętnie na półkuli południowej cieplej jest, niż na północnej.

— A dlaczego? — spytał chłopiec.

— Dlaczego, Robercie? — odpowiedział Paganel. — Nie słyszałeś więc nigdy o tem, że zimą ziemia jest najbardziej zbliżona do słońca?

— I owszem, panie Paganel.

— I że chłód w zimie winniśmy ukośnemu kierunkowi promieni słonecznych?

— Wiem o tem.

— Zatem, mój chłopcze, z tego właśnie powodu cieplej jest na południowej półkuli.

— Nie rozumiem — odpowiedział Robert, patrząc na niego ze zdziwieniem.

— Zastanów się — rzekł Paganel. — Gdy my tam, w Europie, mamy zimę, jakaż jest pora roku tu w Australji, u antypodów?

— Lato — odpowiedział Robert.

— Ponieważ więc o tej właśnie porze ziemia jest najbardziej zbliżona do słońca... rozumiesz?

— Rozumiem.

— Zatem skutkiem tego przybliżenia, lato stref południowych cieplejsze jest od lata stref północnych.

— Rzeczywiście, panie Paganel.

— Kiedy się więc mówi, że w zimie ziemia jest bliżej słońca, to jest to prawdą tylko dla nas, mieszkańców północnej części kuli ziemskiej.

— Nie zastanowiłem się nad tem nigdy — rzekł Robert.

— Starajże się teraz pamiętać o tem, mój chłopcze.

Robert chętnie przyjął tę małą lekcję kosmografji, a wkońcu dowiedział się, że średnia temperatura prowincji Wiktorji dochodziła do 23° 33, ciepłomierza stustopniowego nad zero.

Wieczorem oddział zatrzymał się o pięć mil za jeziorem Londsdale, pomiędzy górą Drummond, wznoszącą się na północ, a górą Dryden, zakrywającą horyzont od południa.

Nazajutrz o jedenastej podróżni przybyli na brzeg rzeki Wimmery, na setnym czterdziestym trzecim południku.

Rzeka, szerokości pół mili, toczyła swe przezroczyste wody między dwoma rzędami drzew gumowych i akacyj. Kilka wspaniałych drzew z gatunku mirtowych, a między innemi „Metrosideros speciosa", wznosiło do wysokości stóp piętnastu swe długie zwisłe gałęzie, ubarwione czerwonym kwiatem. Tysiące ptasząt, wilg, zięb, gołębi o złotych skrzydłach, nie mówiąc już o gadatliwych papugach, przelatywało z gałęzi na gałąź. Wdali na wodzie igrała para czarnych łabędzi, tak lękliwych, że niepodobna było do nich się zbliżyć. Te „rara avis" rzek australijskich znikły wkrótce w zakrętach Wimerry, kapryśnym zygzakiem skrapiającej tę czarowną okolicę. Tymczasem wóz stał na murawie, jak na kobiercu, którego frendzle wisiały nad bystremi nurtami. Nie było ani promu ani mostu, a należało przebyć rzekę. Ayrton zajął się wyszukaniem brodu. O ćwierć mili wgórę rzeki woda wydała się mu nie tak głęboka i w tem miejscu postanowił odbyć przeprawę. Po kilku gruntowaniach okazało się, że woda nie była głębsza nad cztery stopy. Wóz tedy mógł przejechać bez wielkiego niebezpieczeństwa.

— Czy niema innego sposobu przebycia tej rzeki? — spytał Glenarvan kwatermistrza.

— Nie, milordzie — odpowiedział Ayrton — i nie sądzę, żeby ta przeprawa była niebezpieczna. Odbędziemy ją pomyślnie.

— Czy lady Glenarvan i miss Grant mają wysiąść z wozu?

— Bynajmniej. Woły moje mają dobre nogi a ja biorę na siebie utrzymanie ich w należytym kierunku.

— Ruszaj więc, Ayrtonie — rzekł Glenarvan — zdaję się na ciebie.

Jeźdźcy otoczyli ciężki wóz i wjechano odważnie do rzeki. Zwykle, kiedy przeprawiają w bród wozy, otaczają je jakby różańcem pustemi beczkami, które podtrzymują wóz na powierzchni wody — lecz tutaj nie miano tego pomocniczego pasa i trzeba było spuścić się na roztropność wołów, kierowanych umiejętną ręką Ayrtona. Major i dwaj majtkowie jechali o kilka łokci na przodzie. Glenarvan i John Mangles po obu stronach wozu, gotowi pośpieszyć na pomoc damom; Paganel i Robert zamykali pochód.

Wszystko szło dobrze aż do środka Wimerry, lecz tu rzeka stawała się coraz głębsza i woda dochodziła powyżej kół. Gdyby woły straciły grunt, pociągnęłyby za sobą pojazd. Ayrton odważnie się poświęcił; wskoczył do wody, a schwyciwszy wołu za rogi, utrzymał je na dobrej drodze. W tej chwili wóz uderzył o coś, dał się słyszeć trzask, wóz mocno się pochylił, woda dosięgła nóg kobiet. Wóz zaczął posuwać się za prądem pomimo wysiłków Glenarvana i Johna Manglesa, którzy się uczepili jego boków. Była to chwila okropnej trwogi. Na szczęście, mocne targnięcie posunęło wóz ku brzegowi; woda stawała się coraz płytsza i wkrótce ludzie i konie dostali się szczęśliwie na brzeg zmoczeni, ale zadowoleni.

Jednakże przód wozu złamał się w owem uderzeniu, a koń Glenarvana stracił obie przednie podkowy.

Trzeba było prędko temu zaradzić. Spoglądano na siebie z miną dość zakłopotaną, gdy Ayrton ofiarował się pojechać do stacji Black-Point, położonej o dwadzieścia mil na północ, i stamtąd przyprowadzić kowala.

— Jedź, jedź, mój dzielny Ayrtonie — rzekł na to Glenarvan. — Ile czasu będziesz potrzebował, żeby wrócić do nas?

— Może z piętnaście godzin, lecz nie więcej.

— Ruszaj więc, a my tymczasem rozłożymy się obozem na brzegu Wimerry.

W parę minut potem Ayrton, na koniu Wilsona, znikł za gęstemi mimozami.

XXXVII.

BURKE I STUART.

Resztę dnia podróżni spędzili na pogadance i przechadzkach nad pięknemi brzegami Wimerry. Popielate żórawie i ibisy uciekały na ich widok, wydając chrapliwe okrzyki i kryjąc się pomiędzy wysokiemi gałęźmi dzikich drzew figowych; wiigi skakały po wspaniałych łodygach roślin z gatunku liljowatych; rybitwy porzucały swój połów. Tylko cywilizowańsza rodzina papug „bluemountain", ubar-

wiona siedmiu kolorami, tylko mała „roschill" z czerwoną głową i żółtem gardłem i „lori" strojna w czerwone i niebieskie pióra — nie przestawały ogłuszającego paplania na rozkwieconych drzewach gumowych.

Spoczywając na murawie nad brzegiem wód szemrzących, błądząc na chybił - trafił między kępami mimozy, podróżni podziwiali aż do zachodu słońca tę piękną przyrodę. Noc, poprzedzona bardzo krótkim zmrokiem, zastała ich o pół mili od obozowiska. Wrócili, kierując się już nie gwiazdą północną, niewidzialną na południowej półkuli, lecz konstelacją Krzyża, która jaśniała w połowie odległości między zenitem i horyzontem.

Olbinett ustawił pod namiotem wieczerzę. Okrąsą tej uczty był rodzaj potrawki z papug, których Wilson nastrzelał, a które kucharz umiejętnie przyrządził.

Noc była tak piękna, że po skończonej wieczerzy każdy z podróżnych starał się opóźnić godzinę, w której się uda na spoczynek. Lady Helena pogodziła wszystkich, prosząc Paganela, żeby opowiedział historję znakomitych podróżników po Australji, którą już był dawno przyobiecał.

Paganela nie trzeba było długo o to prosić. Słuchacze rozłożyli się u stóp wspaniałej banksji. Dym z cygar wzniósł się wkrótce aż do liści, ginących w ciemności, a geograf, ufny w swą niewyczerpaną pamięć, tak zaczął:

— Przypominacie sobie moi przyjaciele i major zapewne nie zapomniał jeszcze podróżników, których wam wyliczyłem na pokładzie *Duncana*. Z pomiędzy wszystkich, którzy usiłowali przedrzeć się w głąb kraju, czterem tylko udało się przejść go od południa na północ, albo od północy na południe. Byli to: Burke, w roku 1860 i 1861, Mac Kinlay w 1861 i 1862, Landsborough w 1862, i Stuart także w roku 1862. Niewiele wam powiem o Kinlayu i Landsboroughu. Pierwszy przeszedł od Adelajdy do zatoki Carpentarie, drugi od zatoki Carpentarie do Melbourne. Obaj byli wysłani przez komitety australijskie w celu odszukania Burkego, który nie wracał i nie miał już nigdy wrócić. Burke i Stuart, oto dwaj odważni badacze, o których wam bez długiego wstępu opowiem.

Dnia 20-go sierpnia 1860 roku Towarzystwo Królewskie w Melbourne wysłało w podróż Irlandczyka, byłego wojskowego, byłego inspektora policji w Castlemaine, który się zwał Robertem O'Hara Burke. Towarzyszyło mu jedenaście osób: William John Wills, znakomity młody astronom; doktór Beekler, botanik; Gray King, młody oficer wojsk indyjskich; Landells, Brahe i kilku sepojów, koni 25 i tyleż wielbłądów niosło podróżnych, ich bagaże i żywność na 18 miesięcy.

Wyprawa, trzymając się z początku biegu rzeki Cooper, miała się udać do zatoki Carpentarie. położonej na północnem wybrzeżu.

Przebyła bez przeszkody Murray i Darling i dostała się do stacji Menindie, gdzie się kończą osady. Tu spostrzegli, że za wielka ilość bagaży sprawia im niemało kłopotu. Ta niedogodność i pewna szorstkość charakteru Burkego stały się powodem niezgody w oddziale. Landells, dowódca wielbłądów, z kilku służącymi Indusami oddzielił się od wyprawy i wrócił na brzegi Darlingu; Burke ruszał dalej. To przebywając wspaniałe, obfitujące w wodę pastwiska, to kamieniste bezwodne pustynie, dostał się do rzeczki Cooper; 20-go listopada, we trzy miesiące od dnia wyjazdu, założył pierwszy skład żywności nad jej brzegiem. Tutaj podróż była na pewien czas wstrzymana z powodu że nie mogła znaleźć drogi, wiodącej na północ, na którejby nie brakło wody. Zwalczywszy wiele trudności, przybyli do obozowiska, które nazwali fortem Wills. Zrobili z niego stanowisko otoczone częstokołem, a było to na połowie drogi z Melbourne do zatoki Carpentarie. Tu Burke podzielił swój oddział na dwie części. Jedna pod dowództwem Brahe'a miała pozostać w forcie Wills i czekać powrotu drugiej przez trzy miesiące i dłużej, jeśliby jej na żywności nie brakło; druga składała się tylko z Burkego, Kinga, Graya i Willsa. Zabierali z sobą sześć wielbłądów i żywności na trzy miesiące, mianowicie: trzy centnary mąki, pięćdziesiąt funtów ryżu, tyleż mąki owsianej, centnar suszonego mięsa końskiego, sto funtów słoniny i wieprzowiny solonej i trzydzieści funtów sucharów; wszystko to miało wystarczyć na odbycie sześciuset mil tam i napowrót. Puścili się w podróż. Przebywszy z niemałym trudem kamienistą pustynię, dostali się nad rzekę Eyre, to jest do najodleglejszego punktu, do jakiego dotarł Stuart w 1845 roku, a posuwając się wgórę, o ile mogli najdokładniej, po setnym czwartym południku, udali się na północ. Dnia 7-go stycznia, pod palącemi jak ogień promieniami słońca, przebyli zwrotnik. Łudzeni zwodniczemi widokami (mirażami), nie mając często kropli wody, czasami odświeżani gwałtownemi nawałnicami, spotykając się kiedy niekiedy z koczującymi krajowcami, na których się żalić nie mieli powodu, odbyli podróż niezbyt utrudzającą, bo ani jeziora, ani rzeki, ani góry nie utrudniały im drogi.

Dnia 12-go stycznia ukazało się na północ kilka żwirowatych pagórków, między innemi góra Forbes i łańcuch gór granitowych. Tu zaczęła się podróż trudna. Zmęczone zwierzęta nie chciały iść. „Wielbłądy potnieją ze strachu", pisze w swych notatkach podróżnych Burke. Jednakże, dzięki niezmiennej wytrwałości, podróżni dostali się na brzeg rzeki Turner, potem nad widzianą przez Stokesa w 1841 roku rzekę Flinders, która śród palm i eukaliptusów wpada do zatoki Carpentarie. Grunt błotnisty zapowiadał bliskość oceanu. Jeden wielbłąd zginął w błocie, reszta nie była w stanie iść dalej. King i Gray musieli zostać przy nich; Burke i Wills puścili się dalej na północ i po przebyciu wielu trudności, o których bardzo niejasno wspominają

w swoich notatkach, przybyli do miejsca, gdzie przypływ morza zalewał błota, lecz oceanu nie widzieli. Było to 11-go lutego 1861 roku.

— Więc ci odważni ludzie nie mogli posuwać się dalej? — zapytała lady Glenarvan.

— Nie, pani — odpowiedział Paganel — grzęźli w błotnistym gruncie i musieli wrócić do swych towarzyszy w forcie Wills. Smutny to był powrót, zapewniam was; Burke i Wills, wlokąc się z wycieńczenia i osłabienia, odszukali Kinga i Graya. Potem, opuszczając się na południe drogą, którą byli przyszli, udali się ku rzece Cooper.

Nie wiemy dokładnie o trudach, niebezpieczeństwach i cierpieniach, na jakie byli narażeni, nie znajdujemy tego w ich notatkach podróżnych. Musiało to być okropne, bo trzech tylko przybyło do doliny Cooper. Trudy podróży zabiły Graya. Cztery wielbłądy zginęły. Pomimo to wszystko, gdyby Burke zdołał dojść do fortu Wills, gdzie na niego oczekiwał Brake z zapasem żywności, wszyscy byliby ocaleni. Podwajają więc energję, wloką się jeszcze przez dni kilka, 21-go kwietnia spostrzegają częstokół fortu. Przybywają nareszcie... Właśnie tego samego dnia, po pięciu miesiącach próżnego oczekiwania, Brake odjechał.

— Odjechał! — zawołał młody Robert.

— Tak, odjechał, fatalnym zbiegiem okoliczności odjechali tego samego dnia. Kartka, którą zostawił, była napisana przed siedmiu godzinami. Burke nie mógł nawet myśleć, żeby go dopędzić. Nieszczęśliwi posilili się trochę żywnością, którą znaleźli w składzie, lecz nie mieli o czem jechać dalej, a sto pięćdziesiąt mil oddzielało ich jeszcze od Darlingu. Wtedy to Burke, wbrew zdaniu Wilsa, postanowił udać się do osad australijskich, położonych przy górze Hopeless, w odległości sześćdziesięciu mil od fortu Wills. Puścili się więc w drogę. Z dwu pozostałych wielbłądów jeden zginął w błotach Coopers-creek, drugi nie był już w stanie stąpić kroku. Musiano go dobić i mięso jego obrócono na pokarm. Wkrótce żywności zabrakło. Trzej nieszczęśliwi zmuszeni byli żywić się rośliną wodną, której łodygi są jadalne. Lękając się braku wody a nie mając środków zabrania jej z sobą, nie mogli oddalić się od brzegów Cooperu. Wkońcu pożar strawił ich chatę i rzeczy. Czekała ich tylko śmierć niechybna. Burke zawołał Kinga. „Pozostaje mi zaledwie kilka godzin życia — rzekł — oto mój zegarek i moje notatki. Żądam, żebyście mnie, gdy umrę, nie chowali, ale włożywszy pistolet w prawą rękę, tak mnie zostawili”. To powiedziawszy, umilkł, a nazajutrz o godzinie ósmej z rana wyzionął ducha. Przerażony i zrozpaczony, King poszedł szukać jakiego pokolenia australijskiego. Gdy wrócił, nie znalazł już Willsa przy życiu. Co do Kinga, to przygarnęli go krajowcy, a w miesiącu wrześniu odszukała go wyprawa pod wodzą p. Howitt, który również jak Mac Kinlay i Landsborough był wysłany na odszukanie Burkego. Za-

tem z czterech podróżnych, którzy przejechali wskroś Australję, jeden tylko pozostał przy życiu.

Opowiadanie Paganela sprawiło bolesne wrażenie na umysłach słuchaczy. Każdy z nich myślał o kapitanie Grancie, który być może, jak Burke i jego towarzysze, błąkał się w głębi tego nieszczęsnego kraju. Czy rozbitkowie uniknęli tych okropnych cierpień, które pozabijały odważnych podróżnych? To porównanie było tak naturalne, że oczy Marji Grant zaszły łzami.

— Mój ojcze, mój biedny ojcze! — szepnęła.

— Miss Marjo, Miss Marjo! — zawołał John Mangles. — Aby być narażonym na tyle cierpień, trzeba zapuścić się w głąb kraju. Zaś kapitan Grant równie, jak King, jest w ręku krajowców i jak King będzie ocalony. Ojciec pani nigdy nie był w tak przykrych okolicznościach.

— Nigdy — dodał Paganel — i powtarzam ci, droga miss, że Australijczycy są gościnni.

— Niech Bóg pana wysłucha — odpowiedziała młoda dziewczyna.

— A Stuart? — zapytał Glenarvan, chcąc przerwać myśli smutne.

— Stuart — odpowiedział Paganel — och, Stuart był szczęśliwy i imię jego sławne jest w kronikach australijskich. Od roku 1848 John Mac Donald Stuart, wasz współrodak, moi przyjaciele, sposobił się do owych podróży, towarzysząc Stuartowi w pustyniach Adelajdy północnej. W 1860 roku z dwoma tylko ludźmi próbował, lecz bez skutku, przeniknąć w głąb Australji. Ale był to człowiek, który się byle czem nie zrażał. Dnia 1-go stycznia 1861 roku, na czele jedenastu odważnych towarzyszów wyjechał z nad rzeczki Chambers i zatrzymał się o sześćdziesiąt mil od zatoki Carpentarie, lecz musiał wrócić dla braku żywności — wrócić, nie przejechawszy tego okropnego kraju. Nie zważając na to, odważył się jeszcze raz próbować szczęścia i urządzić trzecią wyprawę, która na ten raz miała osiągnąć tak gorąco pożądany cel.

Parlament Południowej Australji gorliwie opiekował się tą nową wyprawą. Uchwalił dla niej zapomogę; dwa tysiące funtów szterlingów. Stuart przedsięwziął wszelkie ostrożności, jakie mu doświadczenie doradzało. Przyjaciele jego: przyrodnik Waterhouse, dawni towarzysze, Thring, Kekwick, Woodforde, Auld, razem dziesięciu, przyłączyli się do niego. Zabrał z sobą dwadzieścia naczyń ze skóry amerykańskiej, z których każde mogło pomieścić do siedmiu galonów wody i 5-go kwietnia 1862 roku cała wyprawa zebrała się w kotlinie Newcastle-Water poza osiemnastym stopniem szerokości, w tem samem miejscu, z którego Stuart nie mógł był poprzednio ruszyć dalej. Droga jego ciągnęła się blisko setnego trzydziestego pierwszego południka, zatem zbaczała o siedem stopni na zachód od drogi Burkego.

Kotlina Newcastle-Water miała być podstawą nowych badań. Stuart napróżno usiłował przedrzeć się na północ lub na północno-wschód, przez gęsty las, który go otaczał; równegoż niepowodzenia doznał, chcąc podążyć na zachód, do rzeki Wiktorji. Niepodobne do przebycia zarośla ze wszystkich stron zamykały mu wyjście. Wówczas przeniósł obóz swój dalej nieco, do błot Hower. Stąd udał się na wschód i na pokrytych piękną trawą równinach natrafił na potok Daily, a kierując się ku jego źródłom, przebył mil ze trzydzieści. Krajobraz coraz stawał się wspanialszy. Pastwiska ucieszyłyby i zbogaciły niejednego hodowcę; eukaliptusy dochodziły niezmiernej wysokości.

Zachwycony, Stuart jechał dalej. Dostał się nad brzegi rzeki Strangway i rzeczki Roper, odkrytej przez Leihardta. Wody ich płynęły wśród drzew palmowych, godnych tych stref zwrotnikowych. Tu podróżni znaleźli kilka pokoleń krajowców, które ich dobrze przyjęły. Wyprawa skierowała się na północno-zachód, odszukując, wśród kraju pokrytego żwirem i skałami, zawierającemi żelazo, źródła Adelajdy, wpadającej do zatoki Van-Diemen. Wjechali potem do ziemi Arnhem, którą przebyli wśród palm, bambusów, sosen i pendanów. Adelajda coraz stawała się szersza, a brzegi jej coraz błotnistsze; morze było blisko. We wtorek 22-go lipca Stuart stanął obozem w błotach Fresh-Water. Niezmierna ilość strumieni, przerzynających drogę, stawała mu na przeszkodzie. Wysłał trzech swoich towarzyszów dla odszukania dróg możliwych do przebycia. Nazajutrz, to okalając niepodobne do przebycia potoki, to brnąc po bagniskach, dostał się na wzniesioną płaszczyznę, pokrytą kępami drzew gumowych i drzewami o korze włóknistej. Tam stadami latały gęsi, ibisy i inne ptactwo wodne nadzwyczaj dzikie. Krajowców prawie zupełnie nie było. Tylko wdali dawał się widzieć dym kilku obozowisk. Dnia 24-go lipca, w dziewięć miesięcy po wyjeździe z Adelajdy, o godzinie ósmej minucie dwudziestej z rana Stuart skierował się na północ. Chciał tego samego dnia dostać się do morza. Grunt był wzgórzysty, pokryty gdzie niegdzie kawałkami rudy żelaznej i skałami wulkanicznemi; drzewa stawały się coraz mniejsze, jak to się zdarza w okolicach nadmorskich. Wjechali na szeroką dolinę, powstałą z ustąpienia wód, otoczoną wieńcem krzaków. Stuart słyszy wyraźnie szmer fali, lecz nic nie mówi swoim towarzyszom. Wjeżdżają w lasek, gdzie wicie dzikiej winnej latorośli zagradzają im drogę. Stuart posuwa się o kilka kroków naprzód i jest nad brzegiem oceanu Indyjskiego. „Morze, morze"! — woła zdumiony Thring. Inni nadbiegają i trzykrotnem „hurra" witają ocean Indyjski.

Ląd stały przebyto po raz czwarty.

Stuart, stosownie do przyrzeczenia, danego gubernatorowi sir Ryszardowi Macdonnellowi, obmył twarz, nogi i ręce w falach morskich, potem wrócił na dolinę i wyrył na drzewie początkowe litery swego nazwiska J. M. D. S. Następnie podróżnicy rozłożyli się obo-

zem nad niewielkim, lecz bystrym strumieniem. Nazajutrz Thring poszedł zbadać, czy nie możnaby było dostać się do ujścia Adelajdy od strony południowo - zachodniej. Ponieważ grunt był zbyt błotnisty dla koni, musiano zaniechać tego zamiaru. Wtedy Stuart wybrał na łączce wśród lasu wyniosłe drzewo, kazał poucinać niższe gałęzie, a na wierzchołku zatknąć sztandar Australji. Na korze tego drzewa wycięto te słowa: „Rozkop ziemię o stopę na południe”. Jeśli kiedykolwiek podróżny rozkopie ziemię w miejscu wskazanem, znajdzie skrzynkę blaszaną, a w tej skrzynce dokument, którego treść pozostała jakby wyryta w mojej pamięci.

Wielka wyprawa w celu zwiedzenia Australji od południa ku północy.

„Wyprawa pod dowództwem Johna Mac Donalda Stuarta, przejechawszy wpoprzek całą Australję, od morza Południowego do brzegów oceanu Indyjskiego, przybyła tu dnia 25-go lipca 1862 r. Opuściła Adelajdę 26-go października 1861 roku, a 21-go stycznia 1862 r. ostatnią stację osad w kierunku północnym. Na pamiątkę tego szczęśliwego zdarzenia rozwinęła tu sztandar australijski z nazwiskiem dowódcy wyprawy. Wszystko idzie dobrze. Boże zachowaj królowę”.

Następują podpisy Stuarta i jego towarzyszów.

W ten sposób spisano akt o tym wielkim wypadku, głośnym w całym świecie.

— A czy wrócili ci dzielni ludzie do swoich przyjaciół na południe? — spytała lady Helena.

— Tak, pani — odpowiedział Paganel — wszyscy — lecz i to nie obeszło się bez wielkich trudów. Podziałały one najbardziej na Stuarta. Gdy puścił się napowrót do Adelajdy, zdrowie jego było już mocno nadwyrężone przez szkorbut. W początkach września choroba zrobiła tak straszne postępy, że już nie spodziewał się zobaczyć krajów zaludnionych. Nie mógł już jechać konno. Podróżował, leżąc w palankinie, zawieszonym między dwoma końmi. W końcu października plucie krwią osłabiło go ostatecznie. Zabito konia, żeby mu zrobić buljonu; 28-go października był już bliskim śmierci, gdy pomyślne przesilenie uratowało go, a 10-go grudnia mały oddział w całości dostał się do pierwszych osad.

Dnia 17-go grudnia Stuart wjechał do Adelajdy wśród zachwyconej ludności, lecz zdrowie jego ciągle już było wątłe — i wkrótce, otrzymawszy wielki medal złoty Towarzystwa Geograficznego, wsiadł na statek „Indus” i odjechał do swojej drogiej Szkocji, do ojczyzny, gdzie zobaczymy się z nim za powrotem [1]).

— Człowiek ten posiadał w najwyższym stopniu moc ducha —

---

[1]) Jakób Paganel, powróciwszy do Szkocji, widział się ze Stuartem, lecz niedługo cieszył się towarzystwem sławnego podróżnego. Stuart umarł 5-go czerwca 1866 r. w skromnym domku w Nottingham - Hill.

rzekł Glenarvan — a ta pewniej niż siła fizyczna prowadzi do dokonania wielkich rzeczy; Szkocja słusznie jest dumna z tego, że mieści go w liczbie swoich dzieci.

— A czy po Stuarcie — spytała się lady Helena — żaden podróżny nie próbował nowych odkryć?

— I owszem, pani — odpowiedział Paganel. — Mówiłem wam często o Leichardzie; odbył on w 1844 roku znakomitą podróż po Australji Północnej. W 1848 przedsięwziął nową wyprawę na północno-wschód. Od siedemnastu lat jeszcze nie wrócił. W roku przeszłym sławny botanik, doktór Müller z Melbourne, zaproponował publiczną składkę na pokrycie kosztów wyprawy. Wyprawę tę prędko urządzono i oddział odważnych „squattersów", pod dowództwem śmiałego i roztropnego Mac Intyre, 24-go czerwca 1864 roku opuścił pastwiska rzeki Paroo. W tej chwili, gdy do was mówię, musiał już zapuścić się daleko w głąb kraju, odszukując Leichardta. Oby mu się szczęściło, i obyśmy sami wynaleźli drogich nam przyjaciół.

Tak zakończył geograf swoje opowiadanie. Było już późno. Podziękowano Paganelowi i w kilka chwil później wszyscy spali snem spokojnym. Tylko ptak - zegar, ukryty między liśćmi gumowego drzewa, wyśpiewywał regularnie sekundy tej nocy spokojnej.

XXXVIII.

KOLEJ ŻELAZNA Z MELBOURNE DO SANDHURST.

Nie bez obawy spoglądał major na Ayrtona, oddalającego się z obozowiska nad Wimmerą ku stacji Black - Point dla wyszukania kowala. Lecz nie odezwał się ze swemi podejrzeniami do nikogo, mając jednak baczne oko na okolice nadrzeczne. Nic nie mąciło głębokiej ciszy tych pól spokojnych, a po nocy, kilka zaledwie godzin trwającej, słońce na nowo ukazało się na widnokręgu.

Glenarvan przeciwnie, jeżeli się obawiał czego, to chyba tego, aby Ayrton nie powrócił sam jeden. Bez naprawy wóz nie był zdolny do dalszej drogi; podróż mogłaby się opóźnić o dni kilka, a Glenarvan niecierpliwy był na wszelką zwłokę, pragnąc jak najprędzej dojść do celu.

Na szczęście, Ayrton nie napróżno się trudził. Na drugi dzień powrócił o świcie w towarzystwie jakiegoś człowieka, mianującego się kowalem ze stacji Black - Point. Był to tęgi chłop, ogromnej postawy, z fizjognomją pospolitą i zwierzęcą, nieuprzedzającą bynajmniej na jego korzyść. Mniejsza jednak o to, jeśli znał swe rzemiosło. Mówił zresztą bardzo mało, jakby żałując ust na niepotrzebne słowa.

— Czy to jest zdatny rzemieślnik? — spytał John Mangles kwatermistrza.

— Tyle go znam, co i, pan, kapitanie — odpowiedział Ayrton. — Zobaczymy zaraz.

Kowal zabrał się do roboty. Znał on rzecz swą doskonale, co łatwo było poznać po sposobie, w jaki się wziął do naprawy przedniej części wozu. Pracował zręcznie i okazał siłę niezwykłą. Major zauważył na jego spracowanej dłoni liczne ślady krwi sczerniałej i zastygłej; było to wskazówką świeżej rany, źle ukrytej pod wełnianą podartą koszulą. Mac Nabbs zapytał kowala o przyczynę tej blizny, jak się zdawało bardzo bolesnej, lecz zapytany nic nie odpowiedział, pracując dalej w milczeniu. We dwie godziny wszystkie uszkodzenia u wozu były naprawione; koń lorda Glenarvana był także podkuty, bo kowal przyniósł podkowy gotowe. Szczególny kształt tych podków zwrócił uwagę majora, lecz Ayrton objaśnił go, że umyślnie są one tak robione, aby po nich można było poznać ślad koni, oddalających się od stacji, wśród śladów pozostawionych przez inne konie.

Gdy koń był podkuty, kowal upomniał się o zapłatę, a otrzymawszy ją, oddalił się, nie wyrzekłszy ani słowa.

W pół godziny potem podróżni byli już w drodze. Za zasłoną z mimoz ciągnęła się przestrzeń szeroko odkryta, nosząca bardzo właściwe nazwanie „open plain". Szczątki kwarcu i skał żelazistych rozrzucone były tu i ówdzie pomiędzy krzakami i bujną trawą, w której się pasły liczne stada. O kilka mil dalej koła wozu dość głęboko wrzynały się w grunt grząski, po którym płynęło mnóstwo nieregularnych strumyków, nawpół przykrytych powłoką z trzciny olbrzymiej. Potem jechano brzegiem ogromnych jezior słonych, silnie parujących. Podróż była łatwa i bynajmniej nie nudna.

Lady Helena prosiła swych towarzyszów, aby ją odwiedzali pokolei, gdyż salon jej był za szczupły do przyjęcia wszystkich razem; każdy więc, kto się utrudził konną jazdą, znajdował odpoczynek i przyjemność w rozmowie z tą miłą kobietą. Lady Helena wraz z miss Marją Grant z wielką uprzejmością przyjmowały gości w podróżnym salonie. W zaproszeniach codziennych i o Johnie Manglesie nie zapomniano, a rozmowa jego, choć nieco poważna, nie nudziła. Przeciwnie.

Przecięto wpoprzek pocztowy trakt z Crowland do Horsham, jadąc drogą bardzo piaszczystą, nigdy przez pieszych nie uczęszczaną. Na granicy hrabstwa Talbot podróżni przejeżdżali około sporej gromady niewielkich pagórków, a wieczorem stanęli o trzy mile powyżej Maryborough. Padał jakby drobniutki deszczyk; w każdym innym kraju byłby przemoczył grunt, lecz tu powietrze tak szybko i tak cudownie pochłaniało wilgoć, że obozujący nie poczuli jej wcale.

Nazajutrz, 29-go grudnia, pochód opóźniły nieco długie rzędy wzgórz, tworzące coś nakształt Szwajcarji w minjaturze. Podróżni większą część drogi odbywali pieszo, wcale się na to nie uskarżając.

O jedenastej godzinie przybyli do Carlsbrook, miasteczka dość ważnego. Ayrton był zdania, aby okrążyć miasto, nie wstępując do niego, jedynie tylko, jak mówił, żeby zyskać na czasie. Glenarvan podzielał jego zdanie, lecz Paganel, zawsze chciwy nowości, pragnął zwiedzić Carlsbrook. Dozwolono mu zaspokoić uczoną jego zachciankę, a wóz tymczasem ruszył zwolna w dalszą podróż.

Paganel, jak zwykle, zabrał z sobą Roberta. Jakkolwiek niedługo bawił, powziął jednak wyobrażenie o miastach australijskich. Znalazł tam bank, rynek, szkołę, kościół i sto murowanych domów, zupełnie do siebie podobnych. Wszystko to stanowiło czworobok, przecięty ulicami równoległemi, według metody angielskiej. Gdy miasto się powiększa, przedłużają jego ulice, tak, jak się nadsztukowywa majteczki dziecka, gdy ono wyrasta, a symetrja pierwotna nic na tem nie cierpi.

Wielki ruch panował w Carlsbrook, co jest symptomem uwagi godnym w mieście świeżo powstałem. Zdaje się, że w Australji miasta wyrastają, jak drzewa pod ciepłem słonecznem. Po ulicach kręcili się ludzie bardzo zajęci; ekspedytorowie złota oczekiwali na przybycie transportu z Bendigo i góry Aleksandra, prowadzonego pod eskortą krajowej policji. Wszyscy ci ludzie tak byli podnieceni własnym jedynie interesem, że dwaj cudzoziemcy przeszli niepostrzeżeni wśród tej krzątaniny.

Po zwiedzeniu miasta, co trwało nie dłużej niż godzinę, Paganel i Robert wracali do reszty towarzystwa przez pola bardzo starannie uprawne. Za polami ciągnęły się długie łąki, znane pod nazwą: „Low level plains", a na nich pasły się niezliczone stada baranów i sterczały liczne szałasy pasterskie. Dalej następowała nagle pustynia, co jest właściwością przyrody australijskiej. Wzgórza Simpson i góra Tarrangower oznaczały na południe okręg Loddo pod setnym czterdziestym czwartym stopniem długości.

Dotąd wszakże nie napotkano żadnego pokolenia mieszkańców pierwotnych tej ziemi, żyjących w stanie dzikości. Glenarvan pytał sam siebie, czyżby w Australji nie było Australijczyków, jak nie było Indjan w pampie argentyńskiej, lecz Paganel objaśnił go, że pod tą szerokością dzicy przebywają na płaszczyznach Murray, odległych o sto mil na wschód.

— Zbliżamy się do krainy złota — mówił on — zanim dwa dni upłyną, przebywać będziemy bogatą górę Aleksandra. Tam to właśnie w 1852 roku napłynęła chmara górników. Dzicy musieli uciekać do pustyń środkowych. Jesteśmy w kraju ucywilizowanym, choć on na to nie wygląda — i dziś jeszcze przed wieczorem wypadnie nam przeciąć kolej żelazną, łączącą Murray z morzem. Cóż myślicie, kochani przyjaciele, o kolei żelaznej w Australji? Nieprawda, że to rzecz zadziwiająca!

— Dlaczego zadziwiająca, panie Paganel — spytał lord Glenarvan.

— Dlaczego, dlaczego? Och! ja wiem, że dla was, coście przyzwyczajeni do kolonizowania waszych odległych posiadłości, dla was, co macie telegrafy elektryczne i wystawy powszechne w Nowej Zelandji, wszystko wydaje się bardzo proste! Ale mnie, Francuza, rzeczy takie uderzają, bo nie zgadzają się z mojemi o Australji pojęciami.

— Bo wy myślicie o przeszłości, a nie o teraźniejszości — rzekł John Mangles.

— To prawda — odpowiedział Paganel — ależ lokomotywy, turkocące wśród pustyni; kłęby dymu i pary, wijące się wśród mimoz; kazuary, uciekające przed pociągiem pośpiesznym; dzicy, zdążający o naznaczonej godzinie na pociąg, mający ich przewieźć z Melbourne do Kyneton, Castelmaine, Sandburst lub Echuca, to wszystko zadziwić może każdego człowieka, prócz Anglika i Amerykanina. Z waszemi kolejami żelaznemi ulatuje i ginie poezja pustyń.

— Mniejsza o poezję, skoro jest postęp — odpowiedział major.

Silny świst przerwał rozmowę. Podróżni o milę angielską zaledwie byli oddaleni od kolei żelaznej. Lokomotywa, jadąca wolno od południa, zatrzymała się właśnie w punkcie przecięcia się toru kolejowego z drogą, po której wóz postępował. Droga żelazna, jak to powiedział Paganel, łączyła stolicę Wiktorji z największą australijską rzeką Murray, którą odkrył Stuart w 1828 roku. Bierze ona początek w Alpach australijskich, zabiera po drodze Lachlan i Darling, osłania całą północną granicę prowincji Wiktorji i pod Adelajdą wpada do zatoki Eucounter. Przerzyna ona kraje bogate, urodzajne, obfitujące w bydło, hodowane tam z powodu łatwej komunikacji z Melbournem zapomocą kolei.

Droga ta otwarta już była podówczas na przestrzeni stu pięćdziesięciu mil między Melbourne i Sandhurst. Dalszą jej budowę prowadzono na przestrzeni siedmdziesięciu mil aż do Echuca, stolicy kolonji Riverine, tegoż samego roku założonej nad brzegami Murrayu.

Trzydziesty siódmy równoleżnik przerzynał drogę żelazną o kilka mil powyżej Castelmaine, to jest właśnie przy Canden-Bridge, moście rzuconym na Lutton, jednej z licznych rzek wpadających do Murrayu.

Ku temu to właśnie punktowi Ayrton kierował swój wóz, przed którym jadący konno podróżni galopem pędzili do mostu Camden, gdzie ich ciągnęła ciekawość.

Ogromny tłum cisnął się ku mostowi kolejowemu. Mieszkańcy stacyj pobliskich, opuszczając swe domy, pasterze, porzucając trzody, stawali przy drodze. Słychać było ze wszystkich stron powtarzane krzyki:

— Pociąg! pociąg!

Jakiś nadzwyczajny wypadek musiał być przyczyną tego ruchu. Może jaka wielka katastrofa! Glenarvan ze swymi towarzyszami przyśpieszył kroku i w kilka minut stanął u mostu, gdzie dopiero dowiedział się o przyczynie tego tłumnego zebrania. Okropny stał się wypadek: pociąg wykoleił się i przewrócił. Rzeka, przerzynająca drogę, zawalona była szczątkami lokomotyw i wagonów. Czy to, że most uległ pod ciężarem pociągu, czy też koła wyszły z szyn, dość, że z liczby sześciu wagonów, wagonów, stanowiących cały pociąg, pięć wraz z lokomotywą wpadło do rzeki Lutton. Tylko ostatni wagon, cudownie ocalony zerwaniem się z łańcucha, pozostał na drodze nie dalej, niż o pół sążnia od przepaści. Na drodze widać było stos osi poczerniałych i pogiętych, kół zgruchotanych, wagonów, odłamków szyn i t. d. Kawały kotła, który pękł w tej przygodzie, rozleciały się daleko. Z pośród tego stosu niekształtnego buchał jeszcze miejscami płomień i kłęby dymu z parą zmieszanego. Po okropnym wypadku nastąpił straszniejszy jeszcze pożar. Szerokie ślady krwi, członki pojedyńczo rozrzucone, kadłuby trupów, spalone na węgiel, ukazywały się tu i owdzie, a nikt nie był w stanie obliczyć ofiar zagrzebanych pod przedmiotami zniszczonemi.

Glenarvan, Paganel, major i John Mangles, zamieszani w tłumie, słuchali różnych o tem wieści, przypuszczeń i domysłów. Każdy szukał przyczyny wypadku, a tymczasem ratowano, co można było.

— Most się załamał — mówił jeden.

— Gdzie tam! — krzyczeli inni. — Stoi, jak stał, tylko zapomniano zamknąć go przed nadejściem pociągu.

Był to rzeczywiście most zwodzony, który otwierał się przy przejściu większych statków. Czyżby dozorca, przez zapomnienie trudne do przebaczenia, miał go nie zamknąć na czas, a tymczasem pociąg rozpędzony nadbiegł i zwalił się w rzekę? To przypuszczenie zdawało się najpodobniejszem do prawdy, bo gdy jedna połowa mostu była przywalona szczątkami wagonów, druga na brzegu przeciwległym wisiała na swoich łańcuchach nietkniętych. Nie ulegało wątpliwości, że niedbalstwo dozorcy było powodem nieszczęścia.

Nieszczęście to przytrafiło się w nocy, z pociągiem pośpiesznym Nr. 37-my, który wyjechał z Melbourne o jedenastej godzinie, minut czterdzieści pięć wieczorem. Było zdaje się kwadrans na czwartą z rana, gdy pociąg, we dwadzieścia pięć minut po wyjściu ze stacji Castelmaine, przybył do Camden-Bridge i tam uległ wypadkowi. Podróżni i urzędnicy, pozostali w ostatnim wagonie, zajęli się zaraz żądaniem pomocy, lecz telegraf, którego słupy połamane leżały na ziemi, nie funkcjonował. We trzy godziny dopiero władze z Castelmaine przybyły na miejsce wypadku. O szóstej więc dopiero z rana rozpoczęto naprawdę ratunek pod okiem i kierunkiem pana Mitchell, głównego naczelnika osady, przy pomocy znacznego oddziału żołnierzy i oficerów policyjnych. Handlarze bydła ze swymi ludźmi dziel-

nie pomagali i zajęli się najpierw przytłumieniem ognia, z nadzwyczajną szerzącego się gwałtownością. Kilka trupów, trudnych do rozeznania, leżało z boków płonącego stosu, lecz trudno było nawet myśleć o wydobyciu kogokolwiek z płomieni. Ogień szybko dokonał dzieła zniszczenia. Nie wiedziano, jaka była liczba podróżnych w pociągu, a dziesięciu ich tylko żywych pozostało w ostatnim wagonie. Zarząd kolei wysłał umyślną lokomotywę, aby ich przywiozła do Castelmaine.

Lord Glenarvan, przedstawiwszy się głównemu naczelnikowi osady, rozmawiał z nim i z oficerem policji. Ten ostatni był to mężczyzna wysoki i chudy, o niesłychanie zimnej krwi, który jeśli nawet miał kawałek serca w piersi, to nie okazywał tego na swej martwej, posągowej twarzy. Wobec całej okropności nieszczęścia stał on, jak matematyk przed zagadnieniem, które ma rozwiązać i wynaleźć *niewiadomą*. Gdy więc Glenarvan zawołał: — Ach, cóż za okropne nieszczęście!" — oficer policji odrzekł całkiem spokojnie:

— Są jeszcze rzeczy okropniejsze, milordzie.

— Okropniejsze! — krzyknął Glenarvan. — A cóż może być okropniejszego od nieszczęścia?

— Zbrodnia! — brzmiała zimna odpowiedź.

Glenarvan, nie zastanawiając się nad niewłaściwością wyrażenia, zwrócił ku panu Mitchellowi wzrok pytający.

— Tak jest, milordzie — odpowiedział naczelnik — śledztwo doprowadziło nas do przekonania, że cały ten wypadek jest wynikiem zbrodni. Ostatni wagon pakunkowy zrabowano; pozostałych w nim przy życiu podróżnych napadła banda, złożona z pięciu lub sześciu złoczyńców. Most naumyślnie był otwarty, nie przez niedbalstwo; a gdy jeszcze dodamy zniknięcie dozorcy mostowego, to trzeba wnosić, że i ten nędznik należał do zbrodni.

Oficer policji potrząsnął głową, słuchając mowy swego zwierzchnika.

— Jakto, nie podzielasz mego zdania? — zapytał pan Mitchell.

— Przynajmniej w tem, co się tyczy wspólnictwa zbrodni.

— A jednakże trzeba przypuszczać wspólnictwo, gdyby zbrodnię należało przypisać krajowcom, koczującym po wybrzeżach Murrayu. Bez pomocy dozorcy, dzicy nie potrafiliby otworzyć mostu, nie znając jego mechanizmu.

— Prawda — odrzekł oficer policji.

— Dalej — mówił pan Mitchell — jeden z przewoźników zeznał, że przepływał statkiem swoim pod Camden-Bridge o godzinie dziesiątej minut czterdzieści wieczorem i że potem most dokładnie był zamknięty.

— Wszystko to dobrze.

— Tak więc wspólnictwo dozorcy zdaje się być jasne.

Oficer policji wciąż głową potrząsał na znak zaprzeczenia.

— Więc pan — pytał znowu Glenarvan — nie przypisuje dzikim tej zbrodni?

— Bynajmniej.

— Komuż zatem?

W tej chwili dała się słyszeć wrzawa o jakie pół mili wgórę rzeki. Powstało zbiegowisko, rosło szybko i wkrótce przybyło na stację; wśród zgromadzenia dwaj ludzie nieśli trupa. Był to trup dozorcy mostowego, zupełnie już zastygły. Dozorca zamordowany był uderzeniem puginału w samo serce. Mordercy chcieli zapewne przez odciągnięcie jego ciała daleko od Camden-Bridge utrudnić poszukiwania policji w pierwszej chwili.

Odkrycie to usprawiedliwiało w zupełności wątpliwość oficera. Dzicy nie brali udziału w tej zbrodni.

— Ci, którzy zadali ten cios — mówił doświadczony oficer — są to ludzie, którzy mieli już do czynienia z tem niewielkiem narzędziem.

To mówiąc, pokazał parę „darbies", czyli rodzaj kajdanków na ręce, zrobionych z podwójnych ogniw żelaznych, opatrzonych zamkiem.

— Wkrótce spodziewam się — mówił dalej — że będę miał przyjemność ofiarowania im tej bransolety na podarunek noworoczny.

— Przypuszczasz pan więc?...

— Że to zrobili ludzie, którzy darmo odbyli podróż na okrętach jej królewskiej mości.

— Co, kryminaliści, skazani na wygnanie? — krzyknął Paganel, który zrozumiał tę przenośnię, używaną w osadach australijskich.

— Sądziłem — odezwał się Glenarvan — że im nie wolno przebywać w prowincji Wiktorji.

— Ech! — odpowiedział oficer — oni sobie sami pozwalają. Potrafią umknąć niekiedy z pod straży i, jeśli się nie mylę, to ci, o których myślę, przybyli tu wprost z Perth. Powrócą tam, wierzcie mi, panowie.

Pan Mitchell gestem potwierdzał słowa oficera policji. W tej chwili wóz podróżny zbliżał się do linji kolejowej. Glenarvan chciał kobietom oszczędzić okropnego widoku, pożegnał więc pośpiesznie naczelnika głównego osady i dał znak swym towarzyszom, aby poszli za nim.

— Niema powodu — mówił — do przerywania naszej podróży.

Za zbliżeniem się do wozu, Glenarvan w krótkości opowiedział żonie wypadek na kolei żelaznej, nie wspominając o zbrodni, która była powodem tego nieszczęścia; nie wspomniał również o obecności w tym kraju złoczyńców deportowanych, zachowując sobie uwiadomienie o tem Ayrtona, lecz na osobności. Potem orszak podróżny przejechał przez tor o kilkaset sążni powyżej mostu, zwracając się, jak zwykle, w kierunku wschodnim.

XXXIX.

NAGRODA ZA GEOGRAFJĘ.

Na widnokręgu rysował się profil kilku podłużnych pagórków, okalających płaszczyznę, o dwie mile od drogi żelaznej oddaloną. Wóz wjechał w ciasne i nierówne wąwozy, które przytykały do ślicznej okolicy, zapełnionej drzewami, rosnącemi tam z bujnością podzwrotnikową; drzewa te nie tworzyły lasu, lecz rozrzucone były w kępach odosobnionych. Pomiędzy niemi najbardziej zadziwiające były kazuaryny o pniu grubym i rozsiadłym, jak u dęba, mające pączki tak wonne, jak na akacji, a liście ostre i zielonawe jak igły sosny. Z gałęźmi ich mieszały się wierzchołki ciekawego krzewu „Banksia latifolia", odznaczającego się wytworną wysmukłością. Wielkie krzewy o zwisłych gałęziach tworzyły w tym gąszczu jakby masę wody zielonej, przelewającej się z naczyń zbyt pełnych. Oko błąkało się wśród tych cudów natury i nie wiedziało, co wprzód podziwiać.

Orszak przystanął na chwilę. Na rozkaz lady Heleny, Ayrton zatrzymał swój zaprzęg. Koła wozu przestały skrzypieć po piasku kwarcowym. Długie kobierce zieloności rozciągały się pod grupami drzew. Tylko niewielkie wzdęcia gruntu, jeszcze widoczne, a ciągnące się linjami regularnemi, dzieliły tę przestrzeń zieloną na pola jakby ogromnej szachownicy.

Paganel domyślił się odrazu, co znaczy ta zielona samotnia, tak poetycznie nadająca się na odpoczynek wieczny. Poznał te kwadraty pogrzebowe, których ostatnie już ślady okrywała trawa, a które podróżnicy rzadko spotykają na ziemi australijskiej.

— Oto gaj śmierci! — rzekł do swych towarzyszów.

I rzeczywiście, był to cmentarz krajowy, ale wyglądał tak świeży, tak był ocieniony, tak urozmaicony wesołem ptactwa lataniem, że nie budził żadnych smętnych myśli. Możnaby go wziąć raczej za jeden z ogrodów Edenu wtedy, gdy śmierć jeszcze nie zjawiła się na ziemi; zdawał się być przeznaczony dla żywych. Lecz te groby, które dzicy z takiem pielęgnowali staraniem, znikały już pod zielonością. Zdobywcy wygnali Australijczyka daleko od ziemi, w której spoczywały zwłoki jego przodków, a kolonizacja miała wkrótce te pola śmierci zamienić na pastwiska dla licznych stad bydła. Po niejednym już takim gruncie, kryjącym całe pokolenia w swem łonie, stąpała dziś noga obojętnego podróżnika, niedomyślającego się świętości tego miejsca.

Tymczasem Paganel z Robertem, wyprzedzając towarzyszów, przebiegali krótkie cieniste aleje. Rozmawiali oni wciąż, ucząc się nawzajem — bo geograf utrzymywał, że zyskiwał niemało z tych gawęd. Zaledwie ujechali ćwierć mili, gdy lord Glenarvan spostrzegł, jak za-

trzymali się nagle, potem zsiedli z koni, a nareszcie pochylili się ku ziemi, jakby badając przedmiot jakiś bardzo ciekawy.

Ayrton popędził zaprząg i wóz wnet dotarł do miejsca, na którem stali Paganel i Robert. Przyczyną ich zatrzymania się i podziwienia był mały krajowiec, chłopczyna ośmioletni, przybrany w suknie europejskie, spokojnie śpiący pod cieniem wspaniałej banksji. Pochodzenie dziecka widoczne było z charakterystycznych rysów jego rasy: włosy kędzierzawe, cera prawie czarna, nos spłaszczony, szerokie wargi i niezwykła długość rąk świadczyły, że należy do krajowców, od których jednak wyróżniał się bystrą i pojętną fizjognomją; znać było, że wychowanie podniosło już i uszlachetniło tę dziką latorośl.

Zaciekawiona lady Helena wysiadła co prędzej i wkrótce towarzystwo całe otoczyło śpiącego malca.

— Biedne dziecię — zawołała Marja Grant — zapewne zabłądziło w tej pustyni.

— Sądzę — rzekła lady Helena — że musiało przyjść z bardzo daleka, dla odwiedzenia tego gaju śmierci. Tu zapewne spoczywają ci, których kocha.

— Ale nie można go tak zostawić — mówił Robert. — On jest sam!... a może...

W tej chwili chłopczyna śpiący przewrócił się na drugi bok, a wszyscy ujrzeli zdziwieni na jego plecach kartę z następującym napisem:

Toliné
To be conducted to Echuca
Care of Jeffries Smith railway porter.
Prepaid.[1])

— Otóż to Anglicy! — zawołał Paganel. — Ekspedjują dziecko, jak pakę towarów, przylepiając nań adres! Mówiono mi już o tem, ale wierzyć nie chciałem.

— Biedny malec! — rzekła lady Helena. — Musiał być w tym pociągu, który wykoleił się pod Camden - Bridge. Może tam jego rodzice zginęli i on sam pozostał na świecie.

— Przeciwnie, pani — wtrącił John Mangles — ten adres wskazuje, że sam podróżował.

— Budzi się! — zawołała Marja Grant.

W rzeczy samej dziecię zbudziło się; otworzyło zwolna oczy i zamknęło je zaraz, bo je raził mocny blask dzienny. Lady Helena wzięła je za rękę. Chłopczyna powstał, rzucił wzrok zdziwiony na grono podróżnych; rysy jego w pierwszej chwili wyrażały obawę, ale uspokoił się rychło na widok lady Glenarvan.

— Czy rozumiesz po angielsku? — spytała młoda kobieta.

[1]) Toline, ma być przesłany do Echuca. Pod opieką Jeffriesa Smitha, tragarza kolejowego. Opłacone.

— Rozumiem i mówię — odpowiedział chłopiec angielszczyzną dość dobrą, choć mocno akcentowaną; mówił jak Francuzi, używający języka trzech Królestw zjednoczonych.

— Jak się nazywasz? — spytała lady Helena.

— Toliné — odpowiedział mały krajowiec.

— Ach, Toline! — zawołał Paganel. — Jeśli się nie mylę, to ten wyraz w języku australijskim znaczy „kora drzewa".

Toliné potwierdził skinieniem głowy i zwrócił swe oczy na podróżne kobiety.

— Skąd przybywasz, mój przyjacielu? — pytała dalej lady Helena.

— Z Melbourne, drogą żelazną Sandhurst.

— Czy byłeś w tym pociągu, który z szyn wyskoczył na moście Camden? — spytał Glenarwan.

— Tak jest, panie — odpowiedział Toliné — lecz Bóg biblijny mnie ocalił.

— Sam podróżowałeś?

— Sam. Wielebny Paxton powierzył mnie opiece Jeffries Smitha, ale ten zginął w owym wypadku.

— A na pociągu nie znałeś nikogo?

— Nikogo panie, lecz Bóg czuwa nad dziećmi i nigdy ich nie opuszcza.

Toliné mówił to wszystko głosem słodkim, serce przenikającym. Gdy wspominał o Bogu, głos jego poważniał, oczy mu się rozpromieniały i czuć było cały zapał religijny, przejmujący tę młodę duszę.

Ten entuzjazm religijny w tak młodym wieku łatwo było zrozumieć: dziecię to ochrzczone było przez misjonarzy angielskich i wychowane przez nich w surowych zasadach religji metodystów. Jego spokojne odpowiedzi, postawa przyzwoita i ciemny strój już mu dawały minę bardzo poważną i przepowiadały w nim przyszłą *Wielebność*.

Lady Helena wypytywała go, dlaczego oddalił się z Camde Bridge i dokąd dążył przez te puste okolice?

— Wracam do mego pokolenia w Lachlan — odpowiedział. — Pragnę odwiedzić mą rodzinę.

— Twoi rodzice są Australijczycy? — spytał John Mangles.

— Australijczycy z Lachlan — odrzekł Toliné.

— Czy masz ojca i matkę? — rzekł Robert.

— Tak jest, mój bracie — odpowiedział Toliné, podając rękę młodemu Grantowi, bardzo zadowolonemu z tego tytułu brata; uścisnął on szczerze małego krajowca i nie potrzeba było więcej, aby zrobić z nich przyjaciół.

Podróżni, mocno zainteresowani odpowiedziami dzikiego malca, usiedli naokoło drzewa i słuchali go z zajęciem. Już słońce przechylało się poza wielkie drzewa; ponieważ miejsce bardzo było odpo-

wiednie do spoczynku, a nie szło o to, aby przed nocą zrobić kilka mil więcej, Glenarvan przeto polecił przygotować wszystko do obozowiska. Ayrton wyprzęgł woły, spętał je przy pomocy innych i puścił na pastwisko. Rozbito namiot. Olbinett przysposobił wieczerzę, w której i Toliné wziął udział, podrożywszy się cokolwiek, choć był bardzo głodny. Całe towarzystwo zasiadło do stołu — dwaj chłopcy, rozumie się, przy sobie. Robert wybierał najlepsze kęski dla swego nowego towarzysza, a Toliné przyjmował je z nieśmiałością, dodającą nowego wdzięku jego ujmującej postawie.

Rozmowa tymczasem nie ustawała. Każdy zajmował się chłopczyną, każdy go rozpytywał o jego historję. Była to historja bardzo prosta. Przeszłość jego była taka sama, jak wszystkich biednych krajowców, których pokolenia, sąsiadujące z osadami europejskiemi, od dzieciństwa powierzają swe dzieci opiece towarzystw miłosiernych. Australijczycy są obyczajów łagodnych. Do ludzi, nachodzących ich terytorja, nie żywią oni w duszy tej dzikiej nienawiści, jaka charakteryzuje mieszkańców Nowej Zelandji i niektóre ludy Australji Północnej. Zwiedzają oni wielkie miasta, jak: Adelajdę, Sydney, Melbourne; przybywają tam prawie nadzy, dla wyprzedania drobnych przedmiotów swego przemysłu, to jest narzędzi i sprzętów myśliwskich i łowieckich a niektórzy naczelnicy pokoleń, przez oszczędność zapewne, zostawiają swe dzieci, aby korzystały z dobrodziejstwa edukacji angielskiej.

Tak właśnie uczynili i rodzice małego Toliné, prawdziwi dzicy z Lachlan, rozległej prowincji, leżącej poza rzeką Murray. Przez całe pięć lat swego pobytu w Melbourne dziecię nie widziało nikogo ze swoich, a jednak niezatarte uczucie miłości rodzinnej żyło w jego sercu. I w tej oto chwili dzieciak tak młody puścił się w podróż przez pustynie jedynie dlatego, aby ujrzeć swoje pokolenie, rozpędzone już może, lub rodzinę, zdziesiątkowaną.

— A gdy zobaczysz twoich rodziców, to znowu powrócisz do Melbourne, moje dziecię? — pyta lady Glenarvan.

— Tak, pani — odpowiedział Toliné, patrząc na młodą kobietę z wyrazem czułości.

— I co zamyślasz robić w przyszłości?

— Chcę braci moich uwolnić z nędzy i nieświadomości, w jakiej żyją. Chcę ich uczyć, doprowadzić do poznania i miłowania Boga! Chcę być misjonarzem!

Wyrazy te, wyrzucone żwawo przez chłopca ośmioletniego, mogłyby śmiech obudzić w człowieku lekkomyślnym; lecz poważni Szkoci zrozumieli je i uszanowali, podziwiając religijny zapał i męstwo tego młodego apostoła, już gotowego do walki. Paganel czuł się wzruszonym do głębi duszy i uczuł prawdziwą sympatję dla tego małego krajowca.

Wprawdzie aż do tej chwili nie podobał mu się ten dziki w sukniach europejskich, bo nie poto przybył do Australji, aby oglądać Australijczyka w surducie; wolałby go ujrzeć utatuowanego. Ten strój „przyzwoity" mieszał jego pojęcia. Lecz słysząc chłopca, mówiącego z takim zapałem, pogodził się z nim i z zachwytem go słuchał, a koniec tej rozmowy doreszty udobruchał uczonego geografa i stanowczo zrobił go przyjacielem małego Australijczyka.

Na zapytanie lady Heleny, Toliné odpowiedział, że pobiera nauki w szkole normalnej w Melbourne, będącej pod kierunkiem wielebnego Paxtona.

— I czegóż cię uczą w tej szkole? — pytała znowu lady Helena.

— Biblji, matematyki, geografji...

— Ach, geografji! — zawołał Paganel, dotknięty w słabą stronę.

— Tak jest, panie — odrzekł Toliné — a nawet przed wakacjami styczniowemi otrzymałem pierwszą z geografji nagrodę.

— Otrzymałeś nagrodę z geografji, mój chłopcze?

— Oto jest, panie — odrzekł Toliné, wydobywając książkę z kieszeni.

Była to Biblja formatu *in 32,* ładnie oprawna. Na pierwszej karcie po okładce wypisane były następujące wyrazy: „Szkoła normalna w Melbourne. Pierwsza nagroda za geografję dla Toliné z Lachlan".

Paganel nie posiadał się z radości. Australijczyk mocny w geografji — to go rozczulało; ucałował małego Toliné w oba policzki, tak właśnie, jakby to był uczynił sam wielebny Paxton przy rozdawaniu nagród. Paganel jednak powinien był wiedzieć, że wypadki takie nie są rzadkością w szkołach australijskich. Młodzi dzicy okazują bardzo wiele zdolności do umiejętności geograficznych i uczą się ich chętnie, a zato bardzo są tępi i niechętni do rachunków.

Toliné nie mógł zrozumieć tych nagłych uścisków mędrca. Lady Helena musiała mu wytłumaczyć, że Paganel był sławnym geografem i znakomitym w razie potrzeby profesorem.

— Profesorem geografji! — rzekł zdziwiony nieco i uradowany zarazem chłopczyna. — Och, panie, zapytajże mnie o co!

— Zapytać cię, mój chłopcze — mówił Paganel prędko — a i owszem, i owszem. Chciałem to już uczynić bez twego żądania. Rad jestem nawet, że się dowiem, jak też to uczą geografji w szkole normalnej w Melbourne.

— I że się czegoś może nauczę — dodał Mac Nabbs z figlarnym uśmiechem.

— Nauczę się, ja?... sekretarz francuskiego Towarzystwa Geograficznego.?...

Potem poprawiając okulary na nosie i prostując się z powagą, jak przystało na profesora, rozpoczął egzamin.

— Uczniu Toliné — rzekł on — powstań!

Ponieważ Toliné stał, nie mógł już przeto spełnić rozkazu, czekał więc tylko ze skromną minką na zapytanie geografa.

— Uczniu Toliné — mówił dalej Paganel — wylicz mi pięć części świata.

— Oceanja, Azja, Afryka, Ameryka i Europa — odpowiedział Toliné.

— Wybornie. Mówmy najprzód o Oceanji, ponieważ w niej przebywamy obecnie. Jaki jest jej główny podział?

— Oceanja dzieli się na Polinezję, Malezję, Mikronezję i Megalezję. Główne wyspy są: Australja, należąca do Anglików; Nowa Zelandja, należąca do Anglików; Tasmanja, należąca do Anglików; wyspy: Chatham, Auckland, Macquarie, Kermadec, Makin, Maraki i t. d., które należą do Anglików.

— Dobrze — mówił Paganel — lecz nowa Kaledonja, wyspy Sandwich, Mendana, Pomotu?

— Są to wyspy pod protektoratem Wielkiej Brytanji.

— Jakto pod protektoratem Wielkiej Brytanji? — wrzasnął Paganel. — Ale zdaje mi się, że przeciwnie, Francja...

— Francja? — rzekł chłopczyna zdziwiony.

— Otóż — mówił Paganel — widzicie, czego to uczy szkoła normalna w Melbourne.

— Tak jest, panie, tego nas uczy profesor, a czyż tak nie jest?

— I owszem, i owszem! Wybornie — odpowiedział Paganel. — Cała Oceanja należy do Anglików! Zgoda na to! Idźmy dalej.

Paganel napół zmieszany, napół zdziwiony, śmieszną miał trochę minę, co majora cieszyło niezmiernie.

— Przejdziemy teraz do Azji — rzekł geograf.

— Azja — odpowiedział Toliné — kraj bardzo rozległy. Stolica Kalkuta. Miasta główniejsze: Bombay, Madras, Kalkuta, Aden, Malakka, Singapur, Pegu, Kolombo; wyspy: Lakedywskie, Maldywskie, Chagos etc. etc., należą do Anglików.

— Dobrze, dobrze, uczniu Toliné! A teraz Afryka?

— Afryka obejmuje dwie główne kolonje, mianowicie kolonję Cap ze stolicą Cape-town, i na zachód posiadłości angielskie z miastem głównem Sierra Leone.

— Doskonale, wybornie! — powtarzał Paganel, zaczynając się już oswajać z tą geografją angielsko-fantastyczną, tak przedziwnie wykładaną! — Algier, Maroko, Egipt... rozumie się, wykreślone były z atlasu brytańskiego. Bardzobym rad był teraz usłyszeć coś o Ameryce.

— Dzieli się ona — odpowiedział Toliné — na Amerykę Północną i Południową. Pierwsza należy do Anglików z powodu Kanady, Nowego Brunświku, Nowej Szkocji i Stanów Zjednoczonych, pozostających pod zarządem gubernatora Johnsona.

— Gubernatora Johnsona — zawołał Paganel — następcy wielkiego i zacnego Lincolna, którego zamordował szalony fanatyk niewolnictwa! Wybornie! Już nie można lepiej. — Ameryka zaś Południowa z Guyaną, Malwinami, archipelagiem Shetland, Georgja, Jamajka, Trinidad i t. d. należy także do Anglików! — Z pewnością nie ja się o to sprzeczać będę. Ale mój kochany Toliné, chciałbym też usłyszeć twe zdanie, albo raczej zdanie twoich profesorów, o Europie.

— O Europie? — odrzekł Toliné, nie rozumiejąc bynajmniej, co tak wzruszało geografa.

— Tak, o Europie! Do kogo należy Europa?

— Ależ Europa należy do Anglików — odpowiedziało dziecię z zupełnem przekonaniem.

— Domyślałem się tego — rzekł Paganel. — Jednakże radbym wiedzieć, w jaki to sposób.

— Z powodu Anglji, Szkocji, Irlandji, Malty, wysp Jersey i Guernesey, wysp Jońskich, Hebrydów, Szetlandzkich, Orkadzkich...

— Dobrze, dobrze, Toliné! — Ależ są i inne państwa, o których nic nie wspominasz, mój chłopcze.

— Jakież to, panie? — zapytało dziecię, bynajmniej nie zmieszane.

— Hiszpanja, Rosja, Austrja, Prusy, Francja.

— To są prowincje, a nie państwa — odpowiedział Toliné.

— Czy tak? — zawrzasnął Paganel, zrywając z oczu okulary.

— Tak, Hiszpanja, ze stolicą Gibraltar.

— Wybornie! Pysznie! Doskonale! A Francja? Francja na Boga, bo ja jestem Francuzem i pragnąłbym też wiedzieć, do kogo należę.

— Francja — spokojnie odpowiedział Toliné — jest to prowincja angielska, a głównem jej miastem jest Calais.

— Calais! — krzyknął Paganel. — Sądzisz więc, że Calais należy także do Anglji?

— Bezwątpienia!

— I że ono jest głównem miastem Francji?

— Tak jest, panie, i tam właśnie jest rezydencja gubernatora, lorda Napoleona!...

Na te ostatnie słowa, Paganel wybuchnął śmiechem. Toliné nic nie rozumiał. Pytano go, odpowiadał, jak mógł najlepiej. Nie domyślał się nawet, aby ktoś mógł i śmiał zaprzeczyć temu, co mówił; nie zmieszał się przeto ani trochę i czekał z powagą na rozwiązanie niezrozumiałego sobie wybuchu.

— Widzisz — rzekł nareszcie major do Paganela — nie mówiłem ci, że uczeń Toliné może cię czegoś nauczyć?

— I miałeś słuszność, kochany majorze — odpowiedział geograf. — Ach, otóż to tak uczą geografji w Melbourne! Doskonale się urządzają ci panowie profesorowie szkoły normalnej. Europa,



...podróżni nasi wrócili na pokład jachtu (str. 214).

Azja, Afryka, Ameryka, Oceanja, świat cały nareszcie, wszystko należy do Anglików. Teraz pojmuję, że krajowcy tak nauczeni poddają się z taką łatwością. Słuchajno, Toliné, powiedz mi, czy i księżyc jest także angielski?

— Będzie nim — poważnie odpowiedział młody krajowiec.

Paganel zerwał się z miejsca, nie mógł już dłużej usiedzieć. Potrzebował uśmiać się dowoli, odskoczył więc na jaką staję od namiotu.

Glenarvan tymczasem wynalazł w swej podróżnej bibljoteczce książeczkę, p. t. „Rys geografji" Samuela Richardsona, dziełko bardzo w Anglji cenione i lepiej poinformowane, niż profesorowie szkoły normalnej w Melbourne.

— Masz, moje dziecię — rzekł on do Toliné — weź i zachowaj tę książkę. Błędne są twoje wyobrażenia i pojęcia geograficzne, trzeba je sprostować podług tej książki, którą ci ofiaruję na pamiątkę naszego spotkania.

Toliné przyjął książkę, nic nie mówiąc; obejrzał ją uważnie, trzęsąc głową z niedowierzaniem, i nie mógł się zdecydować na schowanie jej do kieszeni.

Noc się zrobiła nadobre. Było już po dziesiątej, wypadało pomyśleć o spoczynku, aby nazajutrz wstać bardzo wcześnie. Robert ofiarował swemu przyjacielowi Toliné połowę swego posłania, które chłopczyna przyjął z wdzięcznością.

Wkrótce potem, lady Helena i Marja Grant odeszły do swego mieszkania na wozie, a podróżni legli pod namiotem; głośny, nieustanny śmiech Paganela długo jeszcze mieszał się z łagodnym i cichym śpiewem srok dzikich.

Lecz nazajutrz, gdy o szóstej godzinie z rana promień słoneczny obudził śpiących podróżników, napróżno szukali chłopca australijskiego; Toliné znikł. Czy chciał co prędzej dostać się do prowincji Lachlan? Czy go obraził śmiech Paganela? Niewiadomo. Tylko po przebudzeniu się lady Helena znalazła na swej piersi świeży bukiet z kwiatków mimozy, a Paganel w kieszeni swej „Geografję" Samuela Richardsona.

XL.

KOPALNIE GÓRY ALEKSANDRA.

W roku 1844 sir Roderick Impey Murchison, późniejszy prezes Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie, zauważył, przez badanie ich formacji, wielkie podobieństwo łańcucha gór Uralskich z pasmem gór australijskich, ciągnącem się z północy na południe, wpobliżu południowego wybrzeża. Że zaś łańcuch Uralski jest złotodajny, przeto uczony geolog przypuszczał, że drogi ten kruszec znajdować się musi i w łańcuchu gór australijskich. I rzeczywiście, we dwa lata potem przysłano mu kilka kawałków złota z Nowej Walji Południowej, co spowodowało emigrację znacznej liczby robotników z Kornwalji do złotodajnych okolic Nowej Holandji.

Niejaki Franciszek Dutton znalazł pierwsze płatki złota w Australji Południowej, a pp. Forbes i Smyth odkryli pierwsze placery w Nowej Walji.

Za przykładem pierwszych emigrantów napływać poczęli górnicy ze wszystkich części świata. Jednakże dopiero 3-go kwietnia 1851 r. Hargraves znalazł bardzo bogate pokłady złota i zaproponował gubernatorowi osady Sydney, że mu je wskaże za skromnem wynagrodzeniem pięciuset funtów szterlingów.

Gubernator nie przyjął tej propozycji, ale wiadomość o odkryciu rozeszła się zaraz. Poszukiwacze zwrócili się ku Summerhill i Lenis Pond. Powstało miasto Ophir, które w przyszłości usprawiedliwiło swą nazwę biblijną przez bogatą eksploatację złota.

Aż dotąd cicho było w prowincji Wiktorja; ona to jednak obfitością swych pokładów miała przewyższyć wszystkie inne. I rzeczywiście, w kilka miesięcy potem, w sierpniu 1851 r., znaleziono tam pierwsze bryłki, a wkrótce już w czterech okręgach rozpoczęto eksploatację na wielką skalę. Okręgi, w mowie będące, były: Ballarat, Ovens, Bendigo i góra Aleksandra — wszystkie bardzo bogate. Lecz nad rzeką Ovens obfitość wód utrudniała roboty; w Ballarat nierówno rozrzucone żyły złota zawodziły często nadzieje poszukiwaczy; w Bendigo grunt był niedogodny do pracy; tylko więc okręg góry Aleksandra posiadał wszystkie przyjazne warunki, a cena złota, stamtąd wydobywanego, doszła do wyższej niż gdziekolwiek cyfry: 1441 franków za funt.

Do tego to miejsca, które było świadkiem tylu ruin majątkowych, lub fortun całkiem niespodziewanych, doszli, dążąc wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika, podróżni, szukający kapitana Granta.

Dnia 31 grudnia, po całodniowym pochodzie po gruncie nierównym i utrudzającym konie i woły, wieczorem spostrzeżono zaokrąglone wierzchołki góry Aleksandra. Rozłożono się obozem w ciasnym wąwozie tego małego łańcucha. Konie i woły spętane szukały sobie paszy pomiędzy stosami kwarcu. Nie był to jeszcze pas kopalni eksploatowanych i dopiero nazajutrz, to jest w pierwszym dniu roku 1866, wóz podróżny wtoczył się na drogi tej bogatej okolicy.

Paganel i jego towarzysze zachwyceni byli widokiem tej słynnej góry, zwanej Geboor w języku australijskim. Tam rzuciła się cała horda awanturników, złodziei i uczciwych ludzi; to jest takich, którzy wieszają i których wieszają. Na pierwszą wieść o tem wielkiem odkryciu, w złotym roku 1851, wszystko, co żyło, opuszczało swe siedziby; miasta stały opróżnione, role odłogiem legły, okręty nie miały marynarzy na obsługi. Gorączka złota stała się zaraźliwą, jak dżuma. Iluż to na nią umarło takich, którzy sądzili, że już w ręku trzymają fortunę! Natura, jak powiadają, hojnie rozsiała miljony na przeszło dwudziestu pięciu stopniach szerokości tej cudownej Australji. Żni-

wiarze biegli po to żniwo. Być kopaczem (digger) stało się najpożądańszym stanem i, jakolwiek wielu upadło pod brzemieniem pracy bezowocnej, zato niejeden zbogacił się jednem zagłębieniem rydla. Zapomniano o niepowodzeniach, sławiono pomyślne wypadki. Te wybryki losu znalazły echo we wszystkich pięciu częściach świata. Wkrótce tłumy chciwców ze wszystkich klas społeczeństwa napłynęły do Australji, tak, że w ciągu ostatnich czterech miesięcy 1852 r. w samem Melbourne znajdowało się pięćdziesiąt cztery tysiące wychodźców. To cała armja, ale armja bez wodza i bez karności, armja rozzuchwalona zwycięstwem jeszcze nieodniesionem; słowem, pięćdziesiąt cztery tysiące rabusiów najszkodliwszego rodzaju.

Podczas tych pierwszych lat szalonego upojenia straszny był tam nieład; jednakże Anglicy przy swej zwykłej energji potrafili opanować położenie. Policjanci i żandarmi krajowi przywrócili ład i zabezpieczyli ludzi uczciwych od złodziei; dlatego też Glenarvan nie znalazł już scen gwałtownych z 1852 r. Trzynaście lat upłynęło od tej epoki; eksploatacja gruntów złotodajnych odbywała się metodycznie, według zasad surowej organizacji.

Już też wyczerpały się płóczkarnie, bo, że korzystano ze skarbów przez naturę nagromadzonych, najlepszym dowodem jest to, że od 1852 do 1858, to jest w ciągu lat sześciu, górnicy wydobyli z gruntów prowincji Wiktorji sześćdziesiąt trzy miljony, sto siedem tysięcy, czterysta siedemdziesiąt osiem funtów szterlingów, czyli przeszło półtora miljarda franków (1.577,686,950 fr.). Emigracja zatem znacznie się zmniejszyła, wychodźcy bowiem rzucali się na grunty jeszcze nietknięte. Dlatego też „gold-fields" (złote pola), świeżo odkryte w Otago i w Marlborough w Nowej Zelandji, dotąd są nawskroś dziurawione przez tysiące termitów dwunożnych i bezpiórych [1].

Około godziny jedenastej podróżni przybyli do środkowego punktu eksploatacji. Tam wznosiło się prawdziwe miasto z warsztatami, domami bankowemi, kościołami, koszarami, redakcjami gazet, hotelami, willami i t. d. Niczego tam nie brakowało; był nawet teatr bardzo uczęszczany, w którym miejsce kosztowało dziesięć szylingów. Grywano w nim z wielkiem powodzeniem sztukę pod tytułem: „Franciszek Obadiah, czyli szczęśliwy kopacz". Bohater w końcu sztuki rozpaczliwie zagłębiał po raz ostatni rydel w ziemię i wydoby-

[1]) Być może jednak, że emigranci się omylili, gdyż pokłady złotodajne nie tak się jeszcze prędko wyczerpią. Według ostatnich wiadomości z Australji, zajmują one w prowincjach Wiktorji i Nowej Walji pięć miljonów hektarów (około 9 miljonów mórg). Waga przybliżona kwarcu, zawierającego żyły złota, wynosiłaby 20,650 miljardów kilogramów (kilogram znaczy 2½ funta), a przy obecnych środkach eksploatacji, na wyczerpanie zupełne tych pokładów sto tysięcy robotników musiałoby pracować przez trzy wieki. Wogóle oceniają bogactwo pokładów złotodajnych Australji na 664 miljardy 250 miljonów franków.

wał z niej „nugget", to jest bryłę złota rodzimego, wagi nieprawdopodobnej.

Glenarvan ciekawy był zwiedzić obszar eksploatowany, kazał więc, aby wóz szedł naprzód pod opieką Ayrtona i Mulradyego. Miał zamiar połączyć się z nimi za kilka godzin. Przewodnikiem i ciceronem wycieczki był, jak się łatwo domyśleć, uczony Jakób Paganel.

Za jego to radą skierowano się ku bankowi. Ulice były szerokie, brukowane i starannie polewane wodą. Oko na każdym kroku spotykało olbrzymie afisze: *Golden Compagny (limited), Digger's General Office, Nuggets Union* i t. d. Stowarzyszenie rąk i kapitałów zastąpiło czynność pojedynczą górnika. Ze wszech stron słyszeć się dawał turkot płóczkarń, lub maszyn, rozbijających kwarc drogocenny.

Poza budynkami mieszkalnemi rozciągały się „placers", to jest obszerne przestrzenie ziemi eksploatowanej. Tam pracowali górnicy na rachunek kompanji, która dobrze ich wynagradzała. Trudno było zliczyć wszystkie otwory, przez nich wykopane; cała przestrzeń ziemi wyglądała, jak jedno wielkie rzeszoto. Żelazo rydlów i łopat, lśniące na słońcu, rzucało blask żywy. Pomiędzy robotnikami znaleźć było można typy wszystkich narodowości; ludzie ci godzili się jednak z sobą i spełniali swój obowiązek milcząco, jako ludzie płatni.

— Nie sądźcie jednak — mówił Paganel do swych towarzyszów — aby na ziemi australijskiej nie było już wcale tych rozgorączkowanych poszukiwaczów, dobijających się gwałtem fortuny w niepewnej grze kopalń. Wiem, że wielu z nich wynajmuje się kompanji i nie mogą inaczej, bo wszystkie grunty złotodajne sprzedane są lub wydzierżawione przez rząd. Lecz i dla tego, kto nic nie ma, kto ani nająć, ani kupić nie może, temu pozostaje jeszcze szansa zbogacenia się bez kosztu.

— A to jak? — zapytała lady Helena.

— Tak — odpowiedział Paganel — że i my nawet, nie mający najmniejszego prawa do tych gruntów, moglibyśmy zbogacić się przy szczęściu.

— Ale jakim sposobem? — rzekł major.

— Przez *jumping*.

— Cóżto jest ten jumping? — pytał dalej major.

— Jest to rodzaj zmowy między górnikami, która często sprowadza gwałty i nieporządki, jakich władze nie potrafiły nigdy przytłumić.

— Ależ do licha, Paganelu — zawołał Mac Nabbs — nadużywasz naszej cierpliwości!

— Już, już kochany majorze, przystępuję do wyjaśnienia. Przyjęte jest, że wszelki grunt, w obrębie eksploatacji leżący, na którym nie pracowano w ciągu dwudziestu czterech godzin (wyjąwszy wielkie święta), przechodzi na własność publiczną. Ktokolwiek go obejmie,

ma prawo kopać na nim i zbogacić się, jeśli mu niebo przyjdzie z pomocą. Tak, tak, mój chłopcze — mówił dalej, zwracając się do Roberta — staraj się znaleźć jeden z takich otworów i próbuj szczęścia.

— Panie Paganel — rzekła Marja Grant — nie nasuwaj pan memu bratu podobnych myśli.

— Żartuję, kochana miss — odpowiedział Paganel — i Robert wie o tem dobrze. On górnikiem! Nigdy! Kopać ziemię, orać, uprawiać, aby ją potem zasiać i doczekać się żniwa, to rozumiem. Ale grzebać w ziemi jak kret, aby w niej znaleźć trochę złota... to smutne rzemiosło i, aby się go chwycić, trzeba być od Boga i ludzi chyba opuszczonym.

Zwiedziwszy główne kopalnie i zbadawszy grunt, złożony z kwarcu, szystu glinianego i piasku, podróżni zbliżyli się do banku.

Był to obszerny budynek, na którego szczycie powiewała flaga narodowa. Lord Glenarvan doznał uprzejmego przyjęcia ze strony głównego inspektora zakładów.

Tam to przedsiębiorcy za pokwitowaniem składają złoto, wydobyte z łona ziemi. Minęły już te czasy, kiedy pierwszych górników wyzyskiwali kupcy kolonji, nabywając od nich po pięćdziesiąt trzy szylingi uncję złota, a odprzedając ją w Melbourne po sześćdziesiąt pięć. Wprawdzie kupiec ryzykował wiele, bo niezawsze eskorta nawet zdołała doprowadzić transport do miejsca przeznaczenia, wobec rozbójników i rabunków, praktykujących się na wszystkich drogach.

Pokazano gościom ciekawe i rzadkie bryłki złota, a inspektor udzielił im zajmujących szczegółów o różnych sposobach wydobywania tego kruszcu.

Znajduje się on zwykle pod dwoma postaciami: albo jako złoto rodzime, albo też jak złoto w rudzie. Jako minerał bywa ono pomieszane z ziemiami napływowemi, lub też zawarte w rudzie kwarcowej. Sposób wydobywania go musi zastosowany być do natury gruntu; kopie się je na powierzchni, lub też w głębi ziemi.

Złoto rodzime spoczywa w głębi potoków, w dolinach i wąwozach, ułożone odpowiednio od miąższości; najprzód ziarnka, potem blaszki, a nareszcie płatki. Złoto w rudzie, która uległa rozkładowi wskutek wpływów atmosferycznych, skupione jest w miejscach, które górnicy nazywają „kieszeniami", i nieraz się zdarza, iż jedna taka „kieszeń" odrazu zbogaca szczęśliwego poszukiwacza.

W kopalniach góry Aleksandra złoto znajduje się głównie w warstwach gliniastych i w przerwach między skałami łupku. Tam to jest główne gniazdo brył złota i niejeden już górnik zdobył tam fortunę ogromną.

Goście, obejrzawszy różne okazy złota, zwiedzili muzeum mineralogiczne banku. Widzieli poklasyfikowane i ponazywane wszystkie minerały, z jakich się składa grunt australijski. Złoto nie jest jedynem jego bogactwem i bez przesady możnaby Australję nazwać

obszerną skrzynią, w której natura złożyła cenne swe klejnoty. W szafach poukładane błyszczały topazy białe, współzawodniczące z topazami brazylijskiemi — granaty, rubiny, gatunek ślicznej zielonej krzemionki, rubiny bladawe, rubiny spinele szkarłatne i ich odmiana różowa nadzwyczajnej piękności; szafiry jasno i ciemno-błękitne, równie rzadkie i poszukiwane, jak szafiry tybetańskie i malabarskie, wreszcie mały kryształik diamentu, znaleziony na brzegach rzeki Turon. Niczego nie brakło w tej świetnej kolekcji drogich kamieni, a po złoto do oprawienia ich niedaleko trzeba było chodzić, gdyby kto chciał mieć je zupełnie do ubrania gotowe.

Podziękowawszy inspektorowi za jego uprzejmość, wrócono jeszcze do placerów.

Paganel, jakkolwiek nie troszczył się o dobra doczesne, na każdym jednak kroku zagłębiał wzrok badawczy w ten grunt tak bogaty. Nie mógł się powstrzymać od tego, pomimo ciągłych żartów swych towarzyszy. Co chwila schylał się, podnosił kamyczek, kawałek rudy, odłamek kwarcu i oglądał je uważnie, a potem odrzucał na bok ze wzgardą.

— Kochany Paganelu — pytał major z uśmiechem — czy ci co zginęło?

— Zapewne — odparł Paganel — zawsze się traci to, czego się nie znalazło w tej krainie złota i drogich kamieni. Sam nie wiem dlaczego, ale radbym stąd wynieść jaką bryłkę, ważącą kilka uncyj, albo i ze dwadzieścia funtów, nie więcej.

— I cóżbyś z nią zrobił, mój zacny przyjacielu? — pytał ciekawie Glenarvan.

— Och, wiedziałbym co zrobić — odpowiedział Paganel. — Ofiarowałbym ją memu krajowi. Złożyłbym ją w Banku Francuskim...

— Któryby ją przyjął?

— Zapewne, za pokwitowaniem w formie obligacyj kolejowych.

Winszowano Paganelowi dowcipnego sposobu ofiarowania bryłki złota „swemu krajowi” — a lady Helena życzyła mu z duszy, aby znalazł największą w świecie bryłę złota rodzimego.

Tak żartując, podróżni przebiegli większą część gruntów eksploatowanych. Wszędzie robota odbywała się regularnie, mechanicznie, ale bez ożywienia.

Po dwugodzinnej przechadzce, Paganel natrafił na oberżę bardzo porządną; gdzie zaproponował wypoczynek aż do nadejścia wozu. Lady Helena przystała na to, a ponieważ wypadało zażądać czegoś w oberży, Paganel prosił o podanie jakiego trunku krajowego.

Podano dla każdej osoby jeden „nobler”, czyli poprostu grog, ale grog odwrotnie przygotowany, bo zamiast kieliszka wódki do dużej szklanki wody, nalewają tu kieliszek wody do ogromnej szklanicy wódki, słodzą to i piją. Było to trochę zanadto po australijsku i z

wielkiem zdziwieniem oberżystki nobler, ochrzczony sporą karafką wody, zmienił się na grog wielkobrytański.

Rozmawiano następnie o kopalniach i górnikach, jako o rzeczy świeżo w pamięci wszystkich będącej. Paganel, bardzo zadowolony ze wszystkiego, co widział, oświadczył jednak, że musiało to być o wiele ciekawsze dawniej, w pierwszych latach eksploatacji góry Aleksandra.

— Ziemia — mówił on — była wtedy nawskroś przeszyta dziurami i zalana legjonami mrówek pracownic, ale jakich mrówek! Wszyscy emigranci byli roznamiętnieni, ale nieoględni na jutro. Złotko płynęło jak szalone: przepijano je lub przegrywano, a ta oberża, w której się znajdujemy, była „piekłem", jak mówiono naówczas. Za każdem prawie rzuceniem kostki z jednej strony, następowało z drugiej uderzenie nożem. Policja nic poradzić nie mogła i nieraz gubernator kolonji musiał wyruszać z wojskiem regularnem przeciw tej zgrai zbuntowanych górników. Jednakże zdołał ich uspokoić; na każdego eksploatującego nałożył podatek konsensowy, który wybierał nie bez trudności. Pomimo to nieporządki były tu daleko mniejsze, niż w Kalifornji.

— Więc każdy, kto chce, może być górnikiem? — zapytała lady Helena.

— Tak jest, pani. Nie trzeba na to posiadać stopnia uniwersyteckiego. Dość jest mieć silne ręce. Awanturnicy, gnani nędzą, przybywali do kopalń przeważnie bez grosza, bogatsi z rydlem, ubożsi z nożem, a każdy z wściekłością i gorączką zysku. Ciekawy był zaiste widok tych ziem złotodajnych! Grunt pokryty był namiotami, chatkami, lepiankami, barakami z ziemi, desek lub chróstu, w pośród których panował namiot gubernatora, ozdobiony flagą brytyjską i namioty jego agentów z grubego płótna niebieskiego, a dalej budy wekslarzy, handlarzy złota, oraz przemysłowców, frymarczących w najrozmaitszy sposób i spekulujących na to nagromadzenie bogactw i nędzy. Ci ostatni bogacili się na pewno. Trzeba było widzieć tych kopaczów z długiemi brodami, w czerwonych wełnianych koszulach, żyjących w błocie i wodzie. Powietrze napełniał bezustanny stuk rydlów i wyziewy smrodliwe, pochodzące ze szkieletów zwierząt gnijących na gruncie. Kurzawa dusząca, jakby mgłą obwijała tych nieszczęśliwych, dostarczając śmierci kontyngens niemały; w klimacie mniej zdrowym tyfus zdziesiątkowałby niezawodnie to ogromne zbiorowisko ludzkie. I gdybyż to choć powiodło się wszystkim tym awanturnikom! Ale przeciwnie; śmiało liczyć można, że na jednego zbogaconego górnika stu, dwustu nawet może umarło z nędzy i rozpaczy.

— Czy mógłbyś nam powiedzieć, Paganelu — zapytał lord Glenarvan — jak postępowano przy wydobywaniu złota?

— Nic prostszego — odpowiedział geograf. — Pierwsi poszukiwacze wydobywali złoto z piasku, jak to jeszcze dotąd praktykuje

się w niektórych częściach gór Seweńskich we Francji. Dziś kompanje postępują inaczej: idą wprost do źródła samego, do żyły wydającej blaszki, płatki i bryłki. Tamci poprzestawali na myciu piasku złotego. Kopali ziemię, wybierali warstwy, jak im się zdawało, produkcyjne, i zlewali je wodą dla oddzielenia drogiego kruszcu. Mycie to odbywało się zapomocą narzędzia pochodzącego z Ameryki, zwanego „craddle" czyli kolebka. Była to skrzynia długości pięciu stóp, jakby rodzaj trumny otwartej i podzielonej na dwie przegrody. W pierwszej umieszczone było rzeszoto, pod którem znajdowały się inne, o drobniejszych dziurkach; druga przegroda była zwężona w spodniej swej części. Kładziono piasek na rzeszoto w jednym końcu, nalewano na niego wodę i poruszano ręką, albo raczej kołysano cały przyrząd. Kamienie pozostawały w pierwszem rzeszocie, kruszec i piasek drobny w następnych, odpowiednio do swej wielkości, a ziemia rozpuszczona uchodziła spodem wraz z wodą. Takiej maszyny używano powszechnie.

— Ale trzeba ją było posiadać — wtrącił John Mangles.

— Kupowano ją od górników zbogaconych lub zrujnowanych, stosownie do okoliczności — odpowiedział Paganel — albo zupełnie bez niej się obchodzono.

— A czemże ją zastępowano? — spytała Marja Grant.

— Miską, kochana panno Marjo, prostą miską żelazną; czyszczono ziemię, jak się czyści zboże; tylko że zamiast ziarn pszenicy zbierano niekiedy ziarnka złota. W pierwszym roku, tym sposobem i bez innych kosztów, niejeden górnik dorobił się fortuny. Widzicie, kochani przyjaciele, że były to dobre czasy, chociaż para butów kosztowała sto pięćdziesiąt franków, a dziesięć szylingów płacono za szklankę limonjady! Najpierw przybywający zawsze dobrze wychodzą. Złota była wszędzie obfitość wielka na powierzchni ziemi; strumienie płynęły w łożyskach, usianych tym kruszcem; znajdowano złoto nawet na ulicach w Melbourne; do brukowania ulic używano piasku złotego. W ciągu niespełna miesiąca, bo od 26 stycznia do 24 lutego 1852 r., pod eskortą rządową przywieziono z góry Aleksandra do Melbourne złota za osiem miljonów dwieście trzydzieści osiem tysięcy siedemset pięćdziesiąt franków, co średnio wynosi po sto sześćdziesiąt cztery tysiące siedemset dwadzieścia pięć franków dziennie!

— Czy też zdarzało się, że zrobiono wielkie odrazu majątki? — zapytała lady Helena.

— Kilka nawet było takich wypadków.

— A wiesz o nich? — rzekł Glenarvan.

— Dlaczego nie? — odpowiedział Paganel. — W roku 1852, w okręgu Ballarat, znaleziono bryłę złota, ważącą pięćset siedemdziesiąt trzy uncje; drugą w Gippsland, ważącą siedemset ośmdziesiąt dwie uncje; a w 1861 r. sztabkę, zawierającą osiemset trzydzieści cztery

uncje złota. Nakoniec znowu w Ballarat pewien górnik znalazł bryłę, ważącą 130 funtów, co licząc po 1722 franki za funt, wyniesie dwieście dwadzieścia trzy tysiące osiemset sześćdziesiąt franków. Przyznacie państwo, że piękne to uderzenie rydla, które przynosi jedenaście tysięcy franków rocznego dochodu.

— A w jakim stosunku wzrosła produkcja złota od chwili odkrycia kopalń? — zapytał John Mangles.

— W ogromnym stosunku, kochany kapitanie; na początku tego wieku produkcja ta wynosiła czterdzieści siedem miljonów rocznie, a obecnie, wliczając w to i produkcję kopalń europejskich, azjatyckich i amerykańskich, oceniają ją na dziewięćset miljonów, czyli prawie miljard.

— Tak więc, panie Paganel — rzekł młody Robert — tu w tem miejscu, pod naszemi stopami, może się znajduje wielka ilość złota.

— Tak jest, mój chłopcze, po miljonach stąpamy; ale ponieważ depcemy miljony, przeto pogardzamy niemi.

— Australja przeto jest krajem uprzywilejowanym.

— Nie, Robercie — odpowiedział geograf. — Krainy złotodajne nie są bynajmniej uprzywilejowane; rodzi się w nich ludność próżniacza, a nigdy rasa silna i pracowita. Dowodem tego najlepszym Brazylja, Meksyk, Kalifornja, Australja. Krainami błogosławionemi nazwać można ziemie, wydające nie złoto, lecz żelazo!

XLI.

AUSTRALIAN AND NEW ZEALAND GAZETTE.

Dnia 2-go stycznia podróżni o wschodzie słońca przekroczyli granicę okolic złotodajnych i zarazem hrabstwa Talbot. Konie ich stąpały naówczas po piaszczystych ścieżkach hrabstwa Dalhuzji. W kilka godzin później wbród przebyli rzeki Colban i Campaspe pod 144° 35' długości. Przebyli tedy połowę drogi. Jeszcze piętnaście dni podróży tak pomyślnej, a staną nad brzegami zatoki Twofold.

Zresztą wszyscy byli zdrowi; to, co mówił Paganel o zdrowotności klimatu, spełniało się zupełnie. Wilgoć niewielka lub żadna, upały bardzo znośne; konie i woły znieść je mogły, a zatem i ludzie.

Od wyjścia z Camden - Bridge jedna tylko w porządku podróży zaszła zmiana. Zbrodniczy wypadek na drodze żelaznej zniewolił Ayrtona do przedsięwzięcia pewnych środków ostrożności, aż dotąd wcale niepotrzebnych. Strzelcy musieli wciąż pilnować wozu. Na obozowiskach i przystankach ktoś wciąż był na straży. Z rana i wieczorem i każdego dnia odświeżano ładunki. Pewną bowiem było rze-

czą, że jakaś banda złoczyńców włóczyła się po kraju, a chociaż nic nie budziło obawy, wypadało jednak mieć się na baczności.

Nie potrzeba dodawać, że o wszystkich tych ostrożnościach nic nie wiedziała lady Helena, ani Marja Grant, których lord Glenarvan nie chciał przestraszać.

Działano bardzo rozsądnie. Nierozwaga, nieprzezorność lub nawet niedbalstwo mogły kosztować bardzo drogo. Zresztą nie sam tylko Glenarvan dbał o to. W wioskach samotnych i na stacjach, mieszkańcy byli zawsze wpogotowiu na przypadek napadu niespodziewanego. Za nadejściem nocy zamykano domy, a psy, rozpuszczone w ogrodzeniach, szczekaniem ostrzegały o zbliżaniu się kogokolwiek. Pasterz, spędzający konno swe trzody na noc, miał przewieszony przy siodle karabin. Wiadomość o świeżej zbrodni, popełnionej na moście Camden, narobiła takiego popłochu, że każdy kolonista, który dotąd sypiał przy otwartych drzwiach i oknach, teraz zamykał się na zamki i rygle za nadejściem zmroku.

Sam nawet zarząd prowincji uznał potrzebę zwiększenia baczności i przezorności. Po wioskach rozesłano oddziały żandarmów krajowych, zdwojono ostrożność przy przesyłaniu depesz. Aż dotąd powozy pocztowe jeździły po traktach bez eskorty. I tego dnia, właśnie w chwili, gdy towarzystwo Glenarvana przebywało drogę z Kilmore do Heatcote, dyliżans przebiegł, co konie wyskoczą, wznosząc na drodze tumany kurzawy. Ale pomimo całej szybkości, Glenarvan ujrzał błyszczące karabiny policjantów, jadących przy drzwiczkach powozu z jednej i z drugiej strony. Zdawało się, że wraca ta straszna epoka, w której odkrycie pierwszych kopalni złota wyrzuciło na ląd australijski szumowiny społeczeństwa europejskiego.

W odległości mili angielskiej od drogi do Kilmore wiodącej, wóz wjechał w gęstwinę drzew olbrzymich; od pobytu na przylądku Bernouilli po raz pierwszy podróżni ujrzeli się wśród jednego z tych lasów, ciągnących się na przestrzeni kilku stopni geograficznych.

Okrzyk podziwu wyrwał się ze wszystkich piersi na widok *eukaliptusów* wysokości dwustu stóp, których kora miała pięć cali grubości. Pień, liczący dwadzieścia stóp obwodu, poprzerzynany smugami wonnej żywicy, wznosił się na pięćdziesiąt sążni ponad ziemię. Ani jedna gałąź, ani jedna gałązka, najmniejsza narośl, ani jeden pączek nawet nie szpeciły czystego profilu drzew; nie wyszłyby one gładszemi z ręki tokarza. Był to jakby las kolumn ściśle rozgatunkowanych. Na znacznej dopiero wysokości rozwijały się gałęzie krzywe, mające na końcu liście naprzemianległe; przy zetknięciu się liścia z łodygą wisiały kwiaty samotne, których kielich miał kształt urny przewróconej.

Pod tem wiecznie zielonem sklepieniem powietrze krążyło swobodnie, ciągły przewiew pochłaniał wilgoć gruntu; konie, stada wołów i wozy swobodnie mogły przechodzić pomiędzy temi drzewami, do-

statecznie od siebie oddalonemi i sterczącemi jak tyki w lesie na poręby podzielonym. Nie była to ani gęstwina najeżona gałęźmi i cierniem, ani dziewiczy las zawalony pniami połamanemi i gęstemi zwojami pnących się roślin, przez który tylko ogień i żelazo mogą drogę utorować. Kobierzec trawy u stóp tych drzew i zieloność u ich wierzchołka; daleka perspektywa słupów wyniosłych; niewiele cienia i chłodu; światło osobliwe, jakby przedzierające się przez cienką tkaninę; odbłyski jednostajne, wyraźne migotanie gruntu — wszystko to razem wzięte tworzyło widok dziwaczny, bogaty w efekty nieznane. Las na lądzie Oceanji bynajmniej nie przypomina lasów Nowego Świata; a eukaliptus, przez krajowców zwany „Tara", należący do rodziny mirtów, której mnogie gatunki ledwie zliczyć można, jest drzewem, należącem wyłącznie do flory australijskiej.

Pod sklepieniem tych drzew niema ani cienia zupełnego, ani ciemności głębokiej. Pochodzi to z dziwnego układu liści, z których żaden nie jest ku słońcu obrócony napłask, lecz ostrym bokiem; i dlatego też ta gęstwina w profilu tylko okazuje się oku, a promienie słoneczne przenikają aż do ziemi, jakgdyby przedzierały się przez podniesione otwory żaluzyj.

Wszystkich uwagę zwrócił i zadziwił ten szczególny układ liści. Naturalnie, że z zapytaniem zwrócono się do Paganela, który odpowiedział bez najmniejszej trudności.

— Nie dziwi mnie ta dziwaczność natury — rzekł geograf — natura bowiem zawsze wie, co robi, ale botanicy niezawsze wiedzą, co mówią. Przyroda nie omyliła się, odziewając te drzewa w liść tego rodzaju, lecz ludzie zbłądzili, dając im nazwę „eukaliptus".

— Co znaczy ten wyraz? — spytała Marja Grant.

— Pochodzi on z greckiego języka od wyrazów „eu kalypto„ i znaczy *okrywam dobrze*. Błąd ten umyślnie popełniono po grecku, aby nie był tak rażący; ale widoczną jest rzeczą, że eukaliptus źle okrywa.

— Zgoda, Paganelu — rzekł Glenarvan — ale powiedz nam, dlaczego te liście w taki sposób rosną?

— Z przyczyny czysto fizycznej, którą bardzo łatwo zrozumiecie. W kraju tym, gdzie powietrze jest suche, gdzie deszcze są rzadkie, gdzie grunt tak wysuszony — drzewa nie potrzebują ani wiatru, ani słońca. Za brakiem wilgoci idzie niedostatek soków pożywnych. Dlatego liście są wąskie, chronią się same od słońca, a więc i od zbytniego parowania, zwracając się do słońca bokiem, nie zaś powierzchnią. Niema nic inteligentniejszego niż ten liść!

Każdy w pewnej mierze zgadzał się ze zdaniem majora, wyjąwszy jednego Paganela, który, pomimo, iż ocierał bezustannie czoło zlane potem, rad był jednak, że chodzi pod drzewami, nie dającemi cienia. Ten wszakże układ liści jest nieprzyjemny, gdyż sprawia, że

podróż przez lasy eukaliptusowe, trwająca nieraz bardzo długo, staje się uciążliwa.

Przez cały dzień wóz toczył się wśród nieskończonych rzędów eukaliptusów. Nigdzie nie napotkano ani zwierzęcia, ani krajowca. Na wierzchołkach drzew widziano czasem papugi z gatunku *kakadu,* ale na takiej wysokości, że dostrzec ich nawet nie można było dobrze, a szczebiotanie ich dochodziło do uszu tylko jako szmer ledwie słyszalny. Niekiedy rój papug przeleciał szpalerem między drzewami i ożywiał go na chwilę promieniem różnobarwnym. Wogóle jednak głębokie milczenie panowało w tej rozległej świątyni zieloności, a ciszę ogromnej samotni przerywało w tej chwili tylko stąpanie koni, czasem wyraz rozmowy urywanej, skrzypienie kół u wozu lub głos Ayrtona, wołającego na powolne woły.

Wieczorem rozłożono się obozem u stóp eukaliptusów, noszących świeże ślady palonego pod niemi ognia. Wyglądały one jak wysokie kominy w hutach, bo ogień wypalił ich wnętrza na całą wysokość. Pozostała tylko kora, a i tak dobrze wyglądały. Jednakże zły ten obyczaj pasterzy i krajowców wyniszczy kiedyś całkowicie te drzewa, tak, że znikną, jak cedry Libanu, liczące po cztery wieki, które wypala niebaczny płomień obozowisk.

Olbinett za radą Paganela rozniecił ogień do ugotowania wieczerzy w jednym z pni wydrążonych, a kłęby dymu wiły się wśród gęstwiny liścia. Za nadejściem nocy nie zapomniano o zwykłych środkach ostrożności, a Mulrady, Wilson, Ayrton i John Mangles zkolei czuwali nad bezpieczeństwem podróżnych, aż do wschodu słońca.

Przez cały dzień 3-ci stycznia jechano wciąż przez symetrycznie rozłożone aleje tego, jak się zdawało, nieskończonego lasu. Jednakże pod wieczór rzędy drzew stawały się coraz rzadsze, a o kilka mil dalej, na małej płaszczyźnie, ukazało się regularnie zabudowane zbiorowisko domów.

— To Seymour! — zawołał Paganel. — Ostatnie to miasto, jakie spotykamy przed opuszczeniem prowincji Wiktorji.

— Czy duże to miasto? — spytała lady Helena.

— Pani — odrzekł Paganel — to dopiero wieś, która wyrasta na miasteczko.

— Czy znajdziemy tam hotel wygodny? — rzekł Glenarvan.

— Spodziewać się należy — odpowiedział geograf.

— A więc śpieszmy do miasta, bo sądzę, że nasze mężne i wytrwałe podróżniczki z ochotą wypoczną choćby przez jedną noc wygodniej.

— Mój drogi Edwardzie — odezwała się lady Helena — przyjmuję w mojem i Marji imieniu, ale pod tym jedynie warunkiem, żeby to nie wywołało przeszkody, ani też opóźnienia w podróży.

— Bynajmniej — odpowiedział lord Glenarvan — woły i konie nasze mocno są strudzone, a zresztą jutro o świcie puścimy się w dalszą drogę.

Była wtedy godzina dziewiąta. Księżyc zbliżał się do widnokręgu i rzucał już promienie ukośne, ginące we mgle. Robiło się coraz ciemniej. Podróżni wjechali na szerokie ulice miasteczka, pod przewodnictwem Paganela, który zdawał się zawsze doskonale znać to, czego nigdy nie widział. Instynkt prowadził go prosto do hotelu Campbell's North British.

Konie i woły umieszczono w stajni, wóz zatoczono do szopy, a podróżni weszli do pokojów dość przyzwoicie urządzonych. O dziesiątej wszyscy zasiedli do stołu, który Olbinett obrzucił wprawnem swem okiem. Paganel z Robertem wrócił z wycieczki po mieście i w nader krótkich wyrazach opowiedział swe nocne wrażenia. Nic nie widział.

A jednak ktoś mniej roztargniony byłby spostrzegł pewien ruch na ulicach miasta; tu i owdzie zbierały się gromadki ludzi, ciągle wzrastające; rozmawianno przed sieniami, jedni drugich wypytywali o coś z trwogą niekłamaną; czytano głośno jakieś gazety z dnia dzisiejszego, robiono uwagi, sprzeczano się, objaśniano. Wszystko to nie mogło ujść baczności choć cokolwiek uważnego dostrzegacza. Paganel wszakże nic nie spostrzegł.

Major jednak, choć nie wychodził nawet z hotelu, spostrzegł i zrozumiał, że coś kłopotało mieszkańców miasteczka. Po dziesięciu minutach rozmowy z gadatliwym oberżystą, Dicksonem, wiedział już o wszystkiem — ale nie powiedział ani słówka. Tylko, gdy po skończonej wieczerzy lady Glenarvan, Marja Grant i jej brat Robert udali się na spoczynek, Mac Nabbs zatrzymał swych towrzyszów i rzekł:

— Znani są już sprawcy zbrodni, popełnionej na drodze żelaznej w Sandhurst.

— Czy ich schwytano? — żywo zapytał Ayrton.

— Nie — odpowiedział major, zdając się nie zwracać uwagi na porywczość pytania, dającego się łatwo usprawiedliwić okolicznościami.

— Tem gorzej — dodał Ayrton.

— I komuż tedy — zapytał Glenarvan — przypisują tę zbrodnię?

— Czytaj — odrzekł major, podając lordowi Glenarvan numer *Australian and New - Zealand Gazette* — a zobaczysz, że nie mylił się inspektor policji.

Glenarvan przeczytał głośno ustęp następujący:

„Sydney, 2-go stycznia 1866 r. Wiadomo, że w nocy z 29 na 30-ty grudnia roku zeszłego zdarzył się straszny wypadek na moście Camden, o pięć mil od stacji Castelmaine, na drodze żelaznej, wiodącej z Melbourne do Sandhurst. Pociąg pośpieszny, wychodzący o 11

godzinie 45 minut w nocy, wpadł w największym pędzie do rzeki Lutton.

„Most Camden otwarty był przed nadejściem pociągu.

„Liczne kradzieże, spełnione po tym wypadku, i ciało zamordowanego dozorcy, znalezione w odległości pół mili od mostu, kazały się domyślać, że wypadek był prostem następstwem zbrodni.

„Rzeczywiście, jak wynika ze śledztwa, przeprowadzonego przez koronera, zbrodnię tę przypisać należy bandzie złoczyńców, zbiegłych przed sześciu miesiącami z osady karnej w Perth (Australja Zachodnia), właśnie gdy mieli być przeprowadzeni na wyspę Norfolk [1]).

„Zbiegłych złoczyńców jest dwudziestu dziewięciu; znajdują się oni pod wodzą niejakiego Ben Joyce, niebezpiecznego i zakamieniałego zbrodniarza, od kilku miesięcy przybyłego do Australji niewiadomo na jakim okręcie, a którego sprawiedliwość nigdy pochwycić nie zdołała.

„Ostrzega się mieszkańców miast, osadników, pasterzy i hodowców bydła, aby się mieli wciąż na baczności i ostrzegali inżyniera naczelnego o wszystkiem, coby mogło ułatwić poszukiwania.

J. P. Mitchell, S—G."

Skoro Glenarvan skończył czytanie tego artykułu, Mac Nabbs zwrócił się do geografa i rzekł:

— Widzisz, Paganelu, że i w Australji mogą być złoczyńcy zesłani na wygnanie.

— Zbiegli, rozumie się! — odpowiedział Paganel — ale nie ci, których wysyłają za wyrokiem; tacy bowiem nie mają prawa tu się znajdować.

— Bądź co bądź, są tu w tej chwili — mówił Glenarvan — nie sądzę jednak, aby to mogło zmienić nasze projekty, lub wstrzymać dalszą podróż. Jak myślisz, panie Mangles?

John Mangles nie odpowiadał: wahał się, myśląc z jednej strony o boleści, jakąby sprawiło biednym dzieciom zaniechanie dalszych poszukiwań, a z drugiej nie chciał wyprawy narażać na niebezpieczeństwo.

— Gdyby lady Glenarvan i miss Grant nie były z nami — rzekł nareszcie — bardzo mało obchodziłaby mnie banda tych złoczyńców.

Glenarvan zrozumiał go i dodał:

— Rozumie się, że niema tu mowy o odstąpieniu od naszego zamiaru; ale możeby wypadało, właśnie z powodu obecności naszych towarzyszek, połączyć się z osadą *Duncana* w Melbourne, i dalej na

---

[1]) Na wyspę Norfolk, leżącą na wschód od Australji, rząd przesyła złoczyńców niepoprawnych, którzy powtórnie dopuścili się jakiegoś występku. Znajdują się oni tam pod jak najściślejszym dozorem.

wschód szukać śladów kapitana Harry Granta? Jakie jest twoje zdanie, majorze?

— Zanim coś powiem, radbym wiedzieć, co Ayrton myśli o tem.

Tak zagadniony kwatermistrz spojrzał na lorda Glenarvan.

— Sądzę — rzekł nareszcie — że ponieważ jesteśmy o dwieście mil (angielskich) od Melbourne, to niebezpieczeństwo, jeśli istnieje, tak samo zagrażać nam może na drodze południowej, jak i na wschodniej. Oba te trakty mało są uczęszczane. Zresztą nie przypuszczam, aby trzydziestu złoczyńców mogło przestraszać ośmiu dobrze uzbrojonych ludzi, to też, w braku lepszej rady, szedłbym naprzód tą samą, co dotąd, drogą.

— Dobrze mówisz, Ayrtonie — rzekł Paganel. — Idąc naprzód, możemy trafić na ślady kapitana Granta; wracając na południe, prawdopodobnie oddalimy się od nich. Jestem więc tego samego co i ty zdania i kpię sobie z tych zbiegów w Perth, których zapewne nie obawia się żaden odważny człowiek.

Propozycję niezmieniania podróży oddano pod głosowanie i przyjęto ją jednogłośnie.

— Jeszcze jedną zrobię uwagę, milordzie — rzekł Ayrton w chwili, gdy się już rozejść mieli.

— Mów, Ayrtonie!

— Czy nie dobrze byłoby posłać na okręt rozkaz, aby się nie oddalał od brzegów?

— A to na co? — spytał John Mangles. — Gdy przybędziemy do zatoki Twofold, dość będzie czasu posłać taki rozkaz. Gdyby zaś jaki nieprzewidziany wypadek zmusił nas powrócić do Melbourne, moglibyśmy żałować, że niema tam *Duncana*. Zresztą, uszkodzenia jego dotąd nie muszą być jeszcze naprawione. Z tych przeto wszystkich powodów sądziłbym, że lepiej może zaczekać.

— Niech i tak będzie — odpowiedział Ayrton bez dalszych nalegań.

Nazajutrz grono podróżnych, dobrze uzbrojonych i gotowych na wszelki wypadek, opuściło Seymour. W pół godziny potem wóz znowu wjeżdżał w las eukaliptusów, położony w stronie wschodniej. Glenarvan wolałby jechać czystem polem; płaszczyzna zawsze jest bezpieczniejsza, mniej bowiem aniżeli las sprzyja zasadzkom wszelkiego rodzaju. Ale nie było wyboru i musiano posuwać się wśród jednostajnej gęstwiny drzew. Cały dzień jechano wzdłuż północnej granicy hrabstwa Anglesey; wieczorem dopiero podróżni przekroczyli setny czterdziesty szósty południk i rozłożyli się obozem na krańcu okręgu Murray.

XLII.

MAJOR UTRZYMUJE, ŻE SĄ TO MAŁPY.

Nazajutrz, 5-go stycznia, podróżni wstąpili na rozległe terytorjum Murray. Pusty ten i niezamieszkały okręg ciągnie się aż do wyższego krańca Alp Australijskich. Cywilizacja jeszcze go nie podzieliła na hrabstwa. Jest to część kraju najmniej znana i najmniej uczęszczana. Lasy jej padną zapewne kiedyś pod siekierą, łąki zapełnią liczne stada pasterzy; lecz dotąd jeszcze grunt jest dziewiczy, taki, jaki się wynurzył z wód oceanu Indyjskiego. Jest to pustynia.

Ogół tych ziem na kartach geograficznych angielskich nosi znaczącą nazwę: „Reserve for the blacks" (schronienie dla czarnych) — tam bowiem koloniści siłą wparli krajowców. Na oddalonych płaszczyznach, wśród nieprzystępnych lasów, pozostawiono im pewne oznaczone miejsca, w których zwolna wygaśnie zapewne rasa pierwotna. Każdy człowiek biały, czy to kolonista czy wychodźca, czy też hodowca bydła czy wreszcie karczownik lub pasterz, może przekraczać granice tych schronień. Czarnym tylko nie wolno się nigdy z nich wydalać.

Paganel, jadąc konno, rozbierał tę ważną kwestję ras krajowych. Ogólne w tym względzie zdanie zgadzało się na to, że system brytyjski dążył do wyniszczenia ludów podbitych, odejmując im ziemię, na których żyli ich przodkowie. Ta zgubna dążność zwracała powszechną uwagę, a w Australji bardziej niż gdziekolwiek. W pierwszych chwilach zakładania osad deportowani i koloniści sami uważali czarnych mieszkańców za dzikie zwierzęta. Polowali na nich, mordowali i zabijali strzałami z karabinów myśliwskich. Powoływano się na powagę prawników, aby dowieść, że ponieważ Australijczyk wyjęty jest z pod prawa, przeto zabijanie tych biedaków nie jest zbrodnią. Dzienniki sydnejskie proponowały nawet, aby pozbyć się zapomocą trucizny pokoleń z nad jeziora Hunter.

Widzimy więc, że Anglicy zaraz po zdobyciu tego kraju używali morderstwa, jako pierwszego środka kolonizacji. Okrucieństwa ich były straszne. W Australji postępowali tak samo jak w Indjach, gdzie znikło zupełnie pięć miljonów mieszkańców, jak w Cap, gdzie z miljona Hotentotów pozostało zaledwie sto tysięcy. Dlatego też ludność krajowa, zdziesiątkowana złem obchodzeniem się i pijaństwem, marnieje coraz bardziej pod wpływem morderczej cywilizacji. Prawda, że niektórzy gubernatorowie wydawali surowe wyroki na nieludzkich karczowników, karali chłostą białego, gdy ten murzynowi uciął nos lub uszy, albo pozbawił go małego palca, aby sobie zrobić zatyczkę do fajki! Lecz próżne groźby! Morderstwo i nieludzkość rozkrzewiły się na wielką skalę i wytępiały całe pokolenia. Dość wspomnieć wyspę Van Diemen, która na początku XIX stulecia liczyła pięćdziesiąt ty-

sięcy krajowców; w r. 1863 liczba jej mieszkańców spadła do siedmiu tysięcy, a niedawno jeszcze dziennik *Mercure* donosił o przybyciu do Hobart-town ostatniego Tasmańczyka.

Ani Glenarvan, ani major, ani John Mangles nie zaprzeczali Paganelowi. Gdyby nawet byli Anglikami, nie mogliby bronić swych rodaków wobec faktów tak wymownych i niezaprzeczonych.

— Przed pięćdziesięciu laty — ciągnął dalej Paganel — bylibyśmy już na drodze naszej spotkali jakie pokolenie dzikich; obecnie ani jeden krajowiec jeszcze się nam nie pokazał. Nim jeden wiek upłynie, na lądzie tym nie będzie całkiem czarnej rasy.

I w rzeczy samej miejsca, wyznaczone dla krajowców, zdawały się być całkiem opuszczone: żadnego śladu chat, ani nawet obozowisk; pola tylko puste i zarośla — a okolica przybierała widok coraz dzikszy. Zdawało się nawet, że żadna istota żyjąca nie przebywa w tym kraju odległym, gdy nagle Robert, zatrzymując się przed kupą eukaliptusów, zawołał:

— Małpa! Patrzcie, małpa!

To mówiąc, ukazywał palcem wielkie czarne ciało, z nadzwyczajną sprawnością przesuwające się z gałęzi na gałąź, z jednego wierzchołka na drugi, jakby je jakiś przyrząd na kształt błon utrzymywał w powietrzu. Czyżby w tym kraju małpy latały, jak pewien gatunek lisów, któremu natura dała skrzydła nietoperza?

Wóz się zatrzymał, a każdy ciekawie ścigał wzrokiem to stworzenie, niknące zwolna wśród oddalonych zarośli. Wkrótce potem widziano je, zsuwające się z eukaliptusa z szybkością błyskawicy; w dziwnych podskokach stworzenie to biegło przez czas pewien, a potem długiemi swemi rękami pochwyciło za gładki pień ogromnego drzewa gumowego. Wszyscy byli ciekawi, jak wdrapie się na to drzewo proste i gładkie, którego objąć nie mogło. Lecz małpa, narzędziem podobnem do siekiery nacinała coraz wyżej pień drzewa i po tych równo prawie od siebie oddalonych nacięciach dotarła do gałęzi i tam znikła wśród gęstwiny liścia.

— Ciekawa rzecz, co to za małpa? — rzekł major.

— Ta małpa — odpowiedział Paganel — to jest czystej krwi Australijczyk i nic więcej.

Towarzysze uczonego geografa nie mieli jeszcze czasu wzruszyć ramionami, gdy z niedalekiej odległości rozległy się okrzyki: „Koo-ch! koo-ch”. Ayrton popędził woły, a o sto kroków dalej podróżni trafili niespodzianie na obozowisko krajowców.

Cóż za smutny widok! Na nagim gruncie wznosiło się dziesięć szałasów „gunyos”, skleconych z kory, poukładanych jak dachówka; szałasy te z jednej zaledwie strony osłaniały nędznych swych mieszkańców. Odrażający był widok tych istot wyniszczonych nędzą. Było tam ze trzydzieści osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, odzianych w skóry kangurów, podarte jak łachmany. Za zbliżeniem się wozu,

najpierw zaczęli uciekać, lecz uspokoili się nieco i zatrzymali, gdy Ayrton wymówił kilka niezrozumiałych wyrazów w nieznanym jakimś bełkocie. Wreszcie powrócili z niedowierzaniem i trwogą, jak zwierzęta, gdy im się podaje kawałek nęcącego je mięsa.

Dzicy mierzyli od pięciu stóp czterech cali, do pięciu stóp siedmiu cali wysokości; cerę mieli niezupełnie czarną, ale koloru starej sadzy; włosy poskręcane, ręce długie, brzuch wystający, ciało kosmate, licznemi usiane bliznami z powodu tatuowania i pewnych nacięć, praktykowanych przy obrzędach pogrzebowych. Twarze ich były odrażającej brzydoty: usta ogromne, nos spłaszczony przy policzkach, wydatne szczęki dolne, opatrzone rzędem białych zębów. Nigdy jeszcze może człowiek nie przedstawiał większego do zwierząt podobieństwa.

— Robert nie omylił się — powtórzył major — to są małpy, nie czystej krwi, jeśli się komu spodoba — ale w każdym razie małpy!

— Panie Mac Nabbs — rzekła lady Helena łagodnie — czyż chciałbyś usprawiedliwić tych, którzy polowali na te nieszczęsne istoty, jak na dzikie zwierzęta? To są ludzie!

— Ludzie? — zawołał Mac - Nabbs. — Nie, co najwięcej są to istoty pośrednie pomiędzy człowiekiem i orangutangiem, i ręczę, że, gdybyśmy zmierzyli kąt ich twarzy, przekonalibyśmy się, że jest tak ostry, jak u małp.

Pod tym względem major miał słuszność zupełną; kąt twarzowy krajowca australijskiego jest bardzo ostry, tak samo jak orangutanga, i nachylenie jego wynosi od sześćdziesięciu do sześćdziesięciu dwu stopni. Dlatego też nie bez słuszności p. de Rienzi proponował, aby tych nieszczęśliwych zaliczyć do oddzielnej rasy, którą nazywał „pithecomorphes”, to jest ludzie o małpich kształtach.

Lecz lady Helena miała jeszcze więcej niż Mac Nabbs słuszności, biorąc za istoty obdarzone duszą krajowców, stojących na najniższym szczeblu ludzkości. Pomiędzy bydlęciem i Australijczykiem istnieje niezgłębiona przepaść, dzieląca te dwa rodzaje stworzeń. Pascal słusznie powiedział, że człowiek nigdzie nie jest bydlęciem, ani też aniołem.

Lady Helena i Marja Grant, jakby dla zadania fałszu tej ostatniej części zdania wielkiego myśliciela, wysiadły z wozu i, wyciągając pieszczotliwie rękę ku tym nędznym istotom, podawały im pożywienie, które dzicy z nadzwyczajną chwytali żarłocznością. Dzicy mogli tem bardziej wziąć lady Helenę za jedno ze swych bóstw, że według ich wyobrażeń religijnych biali ludzie są to dawniejsi murzyni, wybieleni po śmierci.

Największe współczucie w litościwych sercach dam europejskich obudziły kobiety dzikich. Z niczem porównać się nie da stanowisko kobiety australijskiej; macosza natura odmówiła jej nawet najmniejszego powabu; jest to niewolnica, porwana siłą brutalną, która za

cały podarunek ślubny otrzymuje od swego męża razy kijem zakrzywionym, zwanym „waddie”. Odtąd, dotknięta przedwczesną i zabijającą starością, obarczona jest wszystkiemi najcięższemi trudami życia koczującego; prócz dzieci, owiniętych w sitowie, dźwiga liczne przyrządy rybackie i myśliwskie, oraz znaczny zapas „Phormium tenax”, z którego wyrabia sieci. Obowiązana jest dostarczać pożywienia dla rodziny; chwyta jaszczurki lub wdziera się aż na wierzchołki drzew dla schwytania węża; rąbie drzewo, przysposabia korę na szałasy. Jak bydlę pociągowe, biedna ta istota nie zna nigdy spoczynku i zjada obrzydłe resztki, któremi pogardził jej mąż i pan zarazem.

W tej chwili niektóre z tych kobiet, pozbawione oddawna już może wszelkiego pożywienia, usiłowały wabić ptactwo pokazywanem mu ziarnem. Całemi godzinami leżały one tak na ziemi spieczonej skwarem, nieporuszone, jakby martwe, czekając, czy jaki naiwny ptak nie wejdzie im sam w rękę. Na inne sidła przemysł ich zdobyć się nie umiał — i trzeba było chyba australijskiego drobiu, aby się dać w taki sposób złapać.

Tymczasem dzicy, przynęceni dobrocią podróżnych, otoczyli ich wkrótce, i już teraz trzeba się było bronić przeciw ich rabusiowskim instynktom. Mówili jakiemś narzeczem gwiżdżącem, składającem się z uderzeń języka, podobniejszem do krzyku zwierząt niż do mowy ludzkiej. Jednakże głos ich miewał często pieszczotliwe tony, przyjemnie w ucho wpadające; ciągle powtarzali wyraz: „noki, noki”, a gesty ich wyraźnie świadczyły, że to znaczy „daj, daj”. Pan Olbinett dzielnie musiał bronić swoich zapasów żywności. Wygłodniali biedacy spoglądali strasznym wzrokiem na wóz, pokazując ostre zęby, nieraz już może zaprawione na kawałkach ciała ludzkiego. Większa część pokoleń australijskich nie jest zapewne ludożerczą w czasie pokoju; ale rzadko się zdarza, aby dziki nie pozwolił sobie zjeść pokonanego nieprzyjaciela.

Na prośbę żony, lord Glenarvan polecił rozdać trochę żywności. Dzicy, zrozumiawszy to, zaczęli oddawać się radości zdolnej wzruszyć serce najmniej czułe. Ryczeli, jak dzikie zwierzęta, gdy im stróż przynosi dzienną strawę — i nie dzieląc bynajmniej zdania majora, trudno było nie przyznać, że rasa ta bardziej, niż inne, zbliżała się do zwierząt.

Pan Olbinett, jako człowiek dobrze wychowany, sądził, że wypada naprzód usłużyć kobietom; lecz biedne te istoty nie śmiały jeść, póki mężowie ich się nie nasycą; ci zaś rzucili się na suchary i mięso suszone, jakby na zdobycz.

Na myśl, że jej ojciec pozostaje w niewoli u ludzi podobnie dzikich, Marja Grant zaczęła płakać. Wyobrażała sobie, co musiał wycierpieć człowiek taki jak Henryk Grant, będąc niewolnikiem tych pokoleń koczujących, wystawiony na nędzę, głód i obejście się jak najgorsze. John Mangles, nie spuszczający jej z oka, odgadł myśli, na-

pełniające jej serce, i uprzedzając jej chęcie, spytał dawnego kwatermistrza *Britannji,* czy uszedł z rąk takich, jak ci, dzikich krajowców.

— Tak jest, kapitanie — odpowiedział Ayrton. — Wszystkie te pokolenia są do siebie podobne. Tylko, że tu widzicie państwo małą gromadkę tej hołoty, gdy tymczasem na brzegach rzeki Darling przebywają pokolenia bardzo liczne, będące pod rozkazami wodzów, których władza jest bardzo groźna i niebezpieczna.

— Ale cóż robić może Europejczyk pomiędzy tymi dzikimi? — pytał dalej John.

— To, co i ja robiłem — odrzekł Ayrton. — Poluje lub łowi ryby wraz z nimi, bierze udział w ich walkach i, jak to już powiedziałem, traktowany jest wedle usług, jakie oddaje. A jeśli jest człowiekiem zręcznym i odważnym, zajmuje ważne w pokoleniu stanowisko.

— Ale zawsze jest niewolnikiem — rzekła Marja Grant.

— I wciąż go pilnują tak, że nigdy ani na krok sam się oddalić nie może.

— A jednak tyś zdołał uciec, Ayrtonie — rzucił major, wtrącając się do rozmowy.

— Tak jest, panie Mac Nabbs, dzięki walce pokolenia, w którem przebywałem, z ludnością sąsiednią. Udało mi się, Bogu dzięki, i nie żałuję tego; ale gdyby mi przyszło jeszcze raz to uczynić, to wolałbym wieczną niewolę, aniżeli męki i niepokój, jakie wycierpiałem, przebywając pustynię. Niech Bóg zachowa kapitana Granta od próbowania podobnego środka ocalenia.

— Tak jest — odrzekł John — powinniśmy pragnąć, miss Marjo, aby ojciec pani był trzymany wśród pokolenia krajowców, choćby tylko dlatego, że łatwiej możemy trafić na jego ślady, aniżeli gdyby błądził po lasach tego lądu.

— Pan więc zawsze ma nadzieję? — spytało dziewczę.

— Mam nadzieję, miss Marjo, że przy Bożej pomocy widzieć panią będę kiedyś szczęśliwą!

Oczy dziewczęcia, zaszłe łzami, wymownie podziękowały młodemu kapitanowi.

W czasie tej rozmowy wszczął się śród dzikich ruch niezwykły. Zaczęli ogromnie krzyczeć, biegać na wszystkie strony, chwytali za broń i zdawali się być czegoś bardzo zagniewani.

Glenarvan nie mógł pojąć, co to znaczy. Dopiero major, zwróciwszy się do Ayrtona, rzekł:

— Ponieważ tak długo przebywałeś pomiędzy Australijczykami, to i mowę ich zrozumiesz zapewne.

— Być może — odpowiedział kwatermistrz — ale nie ręczę, bo u nich tyle narzeczy, ile pokoleń. Jednakże, o ile mi się zdaje, to ci dzicy chcą przez wdzięczność pokazać Waszej Dostojności, jak u nich walczą.

Istotnie, taka była przyczyna owych ruchów. Krajowcy bez żadnego przygotowania poczęli się atakować nawzajem i to z tak dobrze udaną zawziętością, że możnaby wziąć na serjo tę małą wojnę. Lecz Australijczycy, jak się na to zgadzają wszyscy podróżni, wybornie umieją udawać; więc i w tym razie znakomity okazali talent.

Narzędzia wojenne, służące im do napadu i obrony, składały się z maczugi drewnianej, zdolnej strzaskać najtwardszą czaszkę, i z narzędzia, utworzonego przez umocowanie gumą w rozszczepionym kawałku drzewa ostrego krzemienia. Siekiera taka posiada rękojeść długości dziesięciu stóp. Narzędzie to bardzo jest niebezpieczne w czasie wojny, a użyteczne podczas pokoju: służy ono do ucinania głów lub gałęzi, do rąbania drzew lub ciał ludzkich, stosownie do okoliczności.

Wśród ogłuszających krzyków, wszystkie te bronie zawzięcie poruszały się w dłoniach walczących; jedni padali, jakby zabici, inni wrzaskami głosili zwycięstwo. Kobiety, a szczególniej stare, jakby opętane przez ducha wojny, zagrzewały do walki, rzucały się na mniemane trupy i szarpały je, niby z zawziętością doskonale udaną. Lady Helena wciąż się obawiała, aby ta zabawka nie zmieniła się naprawdę w bitwę. Dzieci także uczestniczyły w tej wace; chłopcy i dziewczęta z dziką wściekłością wymierzali sobie razy.

Cała ta komedja trwała już z dziesięć minut, gdy nagle walczący zatrzymali się, broń upadła im z ręki; głębokie nastało milczenie. Dzicy pozostali w ostatnich swoich postawach, jakby w żywych obrazach; możnaby mniemać, że skamienieli.

Jaka była przyczyna tej zmiany i dlaczego ta nagła nieporuszona posągowość? Podróżni rychło się o tem dowiedzieli.

Ze szczytów wyniosłych drzew gumowych zerwało się wielkie stado papug kakadu; głośnem szczebiotaniem napełniały one powietrze, a mieniącą się barwą pierza tworzyły jakby tęczę latającą. Ukazanie się tych ptaków było powodem przerwania walki, po której nastąpiło daleko pożyteczniejsze od niej polowanie.

Jeden z krajowców pochwycił narzędzie dziwnego kształtu, na czerwono pomalowane; odłączył się od swych towarzyszów ciągle nieruchomych i ruszył pomiędzy drzewa i krzewy, gdzie bujało stado kakadu. Czołgając się, nie sprawił najmniejszego szmeru, nie poruszył żadnego listka, nie trącił nigdzie kamyka. Był to prawdziwy cień pełzający.

Dziki, zbliżywszy się na stosowną odległość, rzucił swe narzędzie w kierunku poziomym na wysokości dwu stóp nad ziemią. Broń przeleciała tak przestrzeń około czterdziestu stóp, potem nagle, nie dotykając ziemi, podniosła się pod kątem prostym na sto stóp w powietrze, śmiertelnie raniła około tuzina ptaków i, zakreślając łuk, padła znowu u stóp myśliwca.

Podróżni stali w osłupieniu, nie mogąc wierzyć oczom własnym.

— Jest to „boomerang" — rzekł Ayrton.

— Boomerang! — zawołał Paganel. — Australijski boomerang!

I jak dziecię ogląda cacko, tak Paganel pobiegł podnieść cudowne narzędzie, aby zobaczyć, co jest w niem we środku.

Możnaby istotnie przypuszczać, że jakiś mechanizm wewnętrzny, że jakaś sprężyna zmieniła tak nagle kierunek lotu tego narzędzia. Bynajmniej. Boomerang jest to kawał twardego, zakrzywionego drzewa, długości od trzydziestu do czterdziestu cali, pośrodku szerokości blisko trzech cali, a z obu końców ostro zaciosany. Po stronie wewnętrznej posiada wklęsłość, dochodzącą sześciu linij, a strona wypukła tworzy dwa wąziutkie brzeżki. Budowa równie prosta, jak niezrozumiała.

— Otóż to jest ów sławny boomerang! — rzekł Paganel, obejrzawszy uważnie dziwaczne narzędzie. — Kawałek drzewa i nic więcej. Dlaczego w pewnej chwili swego biegu poziomego podnosi się wgórę i wraca do ręki, która go wyrzuciła? Uczeni i podróżni nie umieli nigdy objaśnić tego zjawiska.

— Czy nie dzieje się tutaj to samo, co z obręczą, która, wyrzucona w pewien sposób, wraca na dawne swe miejsce? — zauważył John Mangles.

— Lub może — dodał Glenarvan — wskutek cofania się takiego, jak cofają się na bilardzie bile, uderzone w pewien sposób oznaczony.

— Bynajmniej — odpowiedział Paganel — w obu tych wypadkach jest punkt oparcia, sprawiający reakcję: ziemia lub sukno na bilardzie. Lecz tu właśnie brak tego punktu oparcia; narzędzie nie dotyka się ziemi, a przecież wznosi się wgórę, do znacznej wysokości.

— Jakże więc pan tłumaczy ten fakt, panie Paganel? — spytała lady Helena.

— Wcale go nie tłumaczę, pani; sądzę, że cała tajemnica leży w sposobie wyrzucenie boomeranga i w jego szczególnej budowie; rzucać w taki sposób, zdaje się, umieją sami tylko Australijczycy.

— W każdym razie jest to dosyć dowcipne... jak na małpy — dodała lady Helena, spoglądając na majora, który potrząsał głową z niedowierzaniem.

Czas jednak upływał na tych zabawkach; Glenarvan nie chciał dłużej opóźniać swego pochodu na wschód. Prosił więc damy, aby powróciły do swoich miejsc na wozie, gdy jeden z dzikich nadbiegł w całym pędzie i głosem bardzo ożywionym wymówił kilka wyrazów.

— Ach! — rzekł Ayrton — spostrzegli kazuary.

— Jakto, czy będzie polowanie? — spytał Glenarvan.

— Trzeba zobaczyć — zawołał Paganel — to musi być bardzo ciekawe! Może znowu boomerang będzie użyty.

— Jak myślisz, Ayrtonie?

— To niedługo potrwa, milordzie — odpowiedział kwatermistrz.

Dzicy nie stracili ani minuty czasu. Rzadko im się zdarzała tak piękna gratka, jak ubicie kilku kazuarów; całe pokolenie ma zapewnioną na pewien czas żywność. Dlatego też myśliwi rozwijają całą swą zręczność, aby dostać taką zdobycz. Lecz jakże bez strzelby ubiją, lub bez psów dościgną stworzenie tak zwinne? To właśnie było najciekawsze w widowisku, które tak bardzo pragnął widzieć Jakób Paganel.

Emu albo kazuar bez hełmu, zwany przez krajowców „murekiem", staje się coraz rzadszy na płaszczyznach australijskich. Ptak ten wysokości półtrzeciej stopy, ma mięso białe, jak indyk. Na głowie posiada trzycalowy wyrostek kościany, oczy ciemne, błyszczące, dziób czarny, zgóry nadół zakrzywiony, nogi trójpalczaste, uzbrojone długiemi pazurami zgiętemi, skrzydła krótkie, nie służące do lotu, chorągiewki piór zdaleka podobne do wiszących włosów, na szyi oraz na piersiach ciemniejsze. Nie lata on wprawdzie, ale w biegu prześciga najbystrzejszego konia. Można go więc pochwycić tylko podstępem i to podstępem sprytnym.

Na znak dany przez jednego z krajowców, dziesiątek Australijczyków rozwinęło się, jak oddział tyraljerów. Było to na ślicznej płaszczyźnie, gdzie indygo, rosnące dziko, znaczyło cały grunt niebieską barwą kwiatów. Podróżni zatrzymali się na polance lasku mimoz.

Za zbliżeniem się dzikich, sześć kazuarów zerwało się, poczęło uciekać i spoczęło dopiero o milę angielską. Gdy wybrany z pokolenia myśliwy pewny był miejsca, w którem ptaki zapadły, dał znak towarzyszom, aby się zatrzymali. Ci położyli się na ziemi, a on tymczasem, wydobywszy ze swej sieci dwie skóry kazuara, zręcznie zeszyte, przyodział się w nie bardzo prędko, a podnosząc prawą rękę ponad głową i opuszczając ją, naśladował wybornie chód kazuara żerującego.

Dziki kierował swe kroki ku stadu, jużto udając, że szuka ziarna, jużto wyrzucając nogami w powietrze piasek i otaczając się chmurą kurzawy. Wszystkie te manewry doskonale były wykonane. Naśladowanie postawy i chodu ptaka bardzo było naturalne. Myśliwy od czasu do czasu wydawał głos, podobny do głuchego krząkania, a tak zręcznie, że kazuary dozwoliły mu wejść w środek stada; wówczas nagle zatoczył maczugą i na sześć będących tam ptaków pięć padło dokoła niego.

Polowanie powiodło się i skończyło. Wówczas Glenarvan ze swem towarzystwem pożegnał dzikich, niebardzo, jak się zdawało, zasmuconych z rozstania. Może pomyślny rezultat łowów kazał im na chwilę zapomnieć o głodzie, zaspokojonym przez białych gości. Nie znali oni nawet wdzięczności żołądka, trwalszej podobno aniżeli wdzięczność serca, przynajmniej u ludzi niewykształconych i u bydląt.

Bądź co bądź jednak trudno było odmówić im pod pewnym względem zręczności i inteligencji.

— No, majorze — rzekła lady Helena — teraz przynajmniej zgodzisz się już zapewne, że Australijczycy nie są małpami?

— Czy dlatego, że tak dobrze naśladują inne zwierzęta? — zapytał Mac Nabbs. — To właśnie utwierdza tylko moje przekonanie.

— Żart, to jeszcze nie odpowiedź — odparła lady Helena. — Pragnę, majorze, abyś zmienił swoje przekonanie.

— A więc dobrze, albo raczej nie! Australijczycy nie są małpami, lecz małpy są Australijczykami.

— Cóż znowu!

— A wiesz, co murzyni utrzymują o tej interesującej rasie orangutangów?

— Nie wiem — odpowiedziała lady Helena.

— Oto utrzymują — odpowiedział major — że małpy to tacy sami, jak oni, ludzie czarni, tylko że złośliwsi. „Ja wolę nie mówić, byle nie pracować", mawiał pewien murzyn, z zazdrością patrzący na to, że jego pan żywił dobrze orangutanga, nic nie robiącego.

XLIII.

HODOWCY BYDŁA MILJONERZY.

Przebywszy spokojnie noc pod 146° 15' długości, podróżni puścili się w dalszą drogę, 6-go stycznia, o siódmej godzinie z rana, idąc wciąż na wschód, a ślady ich kroków tworzyły wciąż linję ściśle prostą. Dwa razy trafiali na ślady hodowców bydła, dążących na północ, i wówczas ślady ich pomieszałyby się z innemi i byłyby trudne do rozeznania, gdyby koń lorda Glenarvana nie zostawiał na gruncie odcisku podków z Black-point, tak łatwo dającego się rozeznać po dwu listkach koniczyny.

Płaszczyznę miejscami przerzynały otoczone bukszpanowemi krzewami strumienie kręte, które woda czasowo tylko, a nie stale zapełniała. Wypływały one ze stoków „Buffalos Ranges", łańcucha średnich gór, których linja malownicza rysowała się na widnokręgu.

Tam właśnie postanowiono obozować tego wieczora. Ayrton popędzał woły, zmęczone już pod koniec dnia trzydziesto-pięciomilową podróżą. Namiot rozbito pod wielkiemi drzewami i za nadejściem nocy wieczerzano naprędce; po trudach całodziennych każdy więcej myślał o śnie, niż o jedzeniu.

Paganel, na którego przypadał dyżur, nie kładł się wcale, lecz z karabinem na ramieniu pilnował obozu, chodząc wielkiemi krokami dla odpędzenia snu.

Chociaż księżyc nie świecił, noc była prawie jasna od blasku konstelacyj australijskich. Uczony geograf czytał w tej wielkiej księdze firmamentu, zawsze otwartej i tak zajmującej dla każdego, kto w niej czytać potrafi. Głębokie milczenie przyrody uśpionej przerywał tylko odgłos kopyt końskich, Paganel utonął tedy w dumaniach astronomicznych i więcej był zajęty sprawami nieba, aniżeli ziemi — gdy dźwięk jakiś, zdala dolatujący, zbudził go nagle i wyrwał z zaczarowanego koła marzeń.

Nadstawił uważnie ucho i z wielkiem zdziwieniem zdało mu się, że słyszy tony fortepianu, że jakby głęboki dźwięk kilku szybkich akordów wpada mu w ucho.

— Fortepian w pustyni! — mówił sam do siebie Paganel. — O doprawdy! tegobym się nigdy nie spodziewał.

Było to rzeczywiście bardzo zadziwiające, i Paganel wolał raczej wierzyć, że to jakiś nieznany ptak australijski naśladuje tony Pleyelowskiego lub Erardowskiego instrumentu, jak inne naśladują głos idącego zegara, lub szmer, dający się słyszeć przy szlifowaniu.

Lecz w tejże chwili rozległ się w powietrzu głos bardzo czysty i dźwięczny — do fortepianisty przyłączył się jeszcze śpiewak. Paganel słuchał z niedowierzaniem, jednakże po krótkiej chwili bardzo wyraźnie dosłyszał pyszną arję z Don Juana:

„Il mio tesoro tanto."

Geograf pomyślał sobie, że jakkolwiek dziwne są ptaki australijskie i że choćby to były nawet najmuzykalniejsze w świecie papugi, to jednak wątpić należało, aby mogły śpiewać Mozarta.

Potem wysłuchał do końca tego wzniosłego utworu mistrza mistrzów. Trudno opisać, jakie wrażenie robiła ta słodka melodja, rozlegająca się wśród ciszy pięknej nocy. Paganel przez długi czas stał w zachwyceniu niewymownem, aż głos umilkł i wszystko wróciło do dawnego milczenia.

Gdy Wilson przyszedł na zmianę — zastał Paganela pogrążonego w głębokiej zadumie. Geograf nie zwierzył się z tego, co zaszło, majtkowi, postanowił jednak uwiadomić nazajutrz lorda Glenarvan o szczególniejszem zdarzeniu i wsunął się pod namiot.

Nazajutrz niespodziane szczekanie rozbudziło podróżnych. Glenarvan zerwał się pierwszy. Dwa pyszne „pointers" na wysokich nogach, cudowne okazy wyżłów rasy angielskiej, skakały na krawędzi lasku. Za zbliżeniem się podróżnych cofnęły się pod drzewa, podwajając natarczywe szczekanie.

— Jest więc stacja w tej pustyni — rzekł Glenarvan — są i strzelcy widać, sądząc po psach myśliwskich.

Paganel już miał zacząć opowiadanie o tem, co mu się zeszłej nocy zdarzyło, gdy ukazali się dwaj młodzieńcy na prześlicznych koniach czystej krwi, prawdziwych „hunters".

Dwaj gentlemani w eleganckich kostjumach myśliwskich zatrzymali się na widok tylu osób, obozujących, jak cyganie. Zdawało się, że ciekawi są, co ma znaczyć obecność w tem miejscu ludzi uzbrojonych, gdy spostrzegli damy, wysiadające z wozu.

Natychmiast zeskoczyli z koni i z odkrytemi głowami zbliżyli się do nieznajomych.

Lord Glenarvan wyszedł na ich spotkanie i, jako obcy, wymienił swe nazwisko i tytuły. Młodzi ludzie ukłonili się, a starszy z nich rzekł:

— Milordzie — prosimy te damy, pana i pańskich towarzyszów, abyście dla wypoczynku raczyli przyjąć gościnę w naszym domku.

— Panowie!... — mówił Glenarvan — z kimże mam zaszczyt...

— Michał i Sandy Pettersonowie, właściciele stacji Hottam. Jesteście już państwo na gruntach naszej posiadłości, odległej stąd zaledwie o ćwierć (angielskiej) mili.

— Obawiam się, panowie, abyśmy nie nadużyli gościnności, tak uprzejmie nam ofiarowanej...

— Milordzie, przyjmując nasze zaproszenie, zobowiążesz nieskończenie biednych wygnańców, szczęśliwych, że będą mogli czynić panu honory pustyni.

Glenarvan skłonił głową na znak zgody.

— Panie — wtedy rzekł Paganel, zwracając się do Michała Pettersona — nie weźmiesz mi za złe, gdy zapytam, czy to pan śpiewał wczoraj tę cudną arję boskiego Mozarta?

— Tak jest, panie — odpowiedział gentleman — a mój brat Sandy akompanjował mi na fortepianie.

— Ach, panie — ciągnął Paganel — racz przyjąć szczere powinszowanie od Francuza, namiętnie uwielbiającego tę muzykę.

Paganel podał rękę gentlemanowi, który ją uścisnął nader uprzejmie. Potem Michał Petterson wskazał na prawo drogę. Konie pozostawiono pod opieką majtków i Ayrtona, a pieszo wśród wesołej rozmowy, prowadzeni przez dwóch młodzieńców, podróżni udali się do zabudowań Hottam.

Była to prześliczna osada, utrzymana, jak prawdziwy park angielski. Rozległe łąki, otoczone szaremi barjerkami, rozciągały się daleko. Na nich pasły się tysiące wołów i miljony baranów. Tej tłumnej gromady liczni pilnowali pasterze i liczniejsze jeszcze gromady psów. Z bekiem i rykiem zwierząt mieszały się szczekania psów i klaskanie biczów pasterzy (stockwips).

Od wschodu wzrok zatrzymywał się na lasku majollisów i drzew gumowych, ponad któremi na siedm tysięcy pięćset stóp wznosił się potężny szczyt góry Hottam. We wszystkich kierunkach ciągnęły się długie aleje, wysadzone drzewami zielonemi, o liściach nigdy nieopadających. Tu i owdzie widniały gęste zarośla „grass-trees”, krzewów wysokości dziesięciu stóp, podobnych do palmy karłowatej,

osłoniętych przykryciem długich i wąskich liści. Powietrze było przesycone zapachem laurów miętowych, z których bukiety białych kwiatów, pod tę porę będących w pełnym rozkwicie, wydzielały najdelikatniejsze wonie aromatyczne.

Obok tych ślicznych drzew krajowych, rosły krzewy, przeszczepione z klimatów europejskich.

Brzoskwinie, gruszki, jabłonie, figi, pomarańcze a nawet i dęby miłe na podróżnych czyniły wrażenie, podziwienie zaś ich bardziej jeszcze budziły stada ptasząt cudnej barwy, pierza, lśniącego blaskiem złota i miękkością aksamitu. Pomiędzy innemi pierwszy raz podróżni mogli podziwiać menurę, czyli tak zwanego lirygona, którego okazały ogon przedstawia kształt instrumentu Orfeusza. Uciekał on pomiędzy paprocie olbrzymie, a gdy ogonem uderzał o gałęzie, można się było dziwić prawie, że nie słychać ponętnych tonów, w jakich Amfion szukał natchnienia do odbudowania murów tebańskich. Paganel miał szczerą ochotę zagrać na tej lutni.

Lord Glenarvan nie poprzestał na niemem podziwianiu uroczych cudów tej oazy, zaimprowizowanej wśród pustyni australijskiej. Słuchał on z zajęciem opowiadania młodych gentlemanów. W Anglji, wśród kół ucywilizowanych, świeżo przybywający byłby najprzód powiedział swemu gospodarzowi, skąd przybywa i dokąd dąży; lecz tu, przez delikatność ściśle przestrzeganą, Michał i Sandy Pettersonowie uważali za właściwsze dać się sami poznać podróżnym, ofiarując im gościnność u siebie. Opowiedzieli więc swą historję.

Była to historja wszystkich młodych Anglików dobrze wychowanych i przemyślnych, nie mniemających, że majątek może zwalniać od pracy. Michał i Sandy Pettersonowie byli synami bankiera londyńskiego. Gdy mieli po lat dwadzieścia, ojciec rzekł do nich: „Młodzieńcy, macie tu oto miljony. Udajcie się do odległych kolonij i tam zacznijcie prowadzić jakie przedsiębiorstwo użyteczne; w pracy czerpcie naukę życia. Jeśli wam się powiedzie, tem lepiej. Jeśli się nie uda, mniejsza o to. Nie będziemy żałować miljonów, które z was zrobią ludzi". Dwaj młodzi ludzie posłuchali. Obrali osadę Wiktorja w Australji i na niej zasiali banknoty ojcowskie. I nie mieli czego żałować. Po upływie trzech lat ich zakład handlowy był w pełnym rozwoju.

W prowincjach Wiktorji, Nowej Walji Południowej i Australji Południowej liczą przeszło trzy tysiące stacyj; w jednych mieszkają *squatters*, czyli hodowcy bydła, w innych *settlers*, głównie rolnictwem się trudniący. Przed przybyciem dwóch młodych Anglików, największy zakład tego rodzaju należał do pana Jamesona; zajmował sto kilometrów wybrzeża nad Paroo, jedną z rzek, wpadających do Darlingu.

W tej chwili stacja Hottam była najznaczniejszą pod względem rozległości i obrotów. Dwaj młodzieńcy byli hodowcami i rolnikami



... wóz mocno się pochylił... (str. 232).

zarazem. Bardzo umiejętnie, a co najważniejsza, bardzo energicznie kierowali swemi zakładami.

Jak widać, ta stacja była bardzo odległa od główniejszych miast i zasunięta w mało uczęszczaną pustynię Murray. Zajmowała ona przestrzeń pomiędzy 146° 48' a 147°' to jest obszar długości i szerokości pięciu mil francuskich, pomiędzy łańcuchem Buffalos i górą Hottam. W dwu północnych kątach tego obszernego czworoboku wznosiły się: na lewo góra Aberdeen, a na prawo szczyty High-

Barven. Wody tam było poddostatkiem w licznych strumieniach i rzeczkach, wpadających do rzeki Oven, płynącej w kierunku północnym do łożyska Murrayu. Zarówno udawała się tam hodowla bydła, jak i uprawa gruntu. Na dziesięciu tysiącach akrów (15.000 morgów) ziemi, doskonale podzielonej, mieszały się produkty krajowe i egzotyczne, a kilka miljonów zwierząt tuczyło się na bujnych pastwiskach. Dlatego też produkty stacji Hottam zawsze były wysoko cenione na targach w Castlemaine i Melbourne.

Gdy bracia Petterson kończyli swoje opowiadanie, mieszkanie ich ukazało się na końcu alei, wysadzonej kazaurynami.

Był to prześliczny domek z drzewa i cegły, otoczony klombami emerofilów. Kształtem przypominał wytworną willę szwajcarską, otoczoną dokoła werandą, obwieszoną chińskiemi lampami, jak starożytne impluvium. Przed oknami rozwijały się osłony różnokolorowe, jakby kwieciem zasłane, wabiące zalotnie oko. Na trawnikach i klombach wznosiły się kandelabry bronzowe z pięknemi latarniami. Za nadejściem nocy cały ten park jaśniał białem światłem gazowem, z małego gazometru, ukrytego wśród majolisów i paproci drzewiastych.

Zresztą nie było widać nigdzie ani chat czeladzi, ani też stajen lub szop; nic, coby wykazywało zajęcia rolne. Wszystkie te budynki, prawdziwe miasteczko, złożone z dwudziestu przeszło chat i domków — leżały o ćwierć mili, w głębi niewielkiej doliny i z domem właścicieli połączone były drutami elektrycznemi dla natychmiastowej komunikacji. Dwór sam otoczony był laskiem drzew egzotycznych.

Za aleją, kazurynami wysadzoną, żelazny, elegancki mostek, rzucony na strumieniu szemrzącym, prowadził do parku. Na spotkanie podróżnych wyszedł marszałek dworu o minie poważnej; otwarły się drzwi domu w Hottam, a goście weszli do wspaniałych apartamentów, ukrytych pod tą osłoną cegieł i kwiatów.

Oczom ich przedstawił się cały przepych życia artystycznego i magnackiego. Z przedpokoju, zawieszonego przyborami myśliwskiemi i sportowemi, wchodziło się do obszernego salonu o pięciu oknach. Tam stał fortepian, zarzucony nutami i dawniejszych i najświeższych wydań; stalugi z malowidłami rozpoczętemi, postumenty z posągami marmurowemi; na ścianach kilka obrazów pendzla mistrzów flamandzkiej szkoły; pod nogami dywany miękkie jak trawnik; kobierce, przedstawiające powabne sceny z mitologji, z pułapu zwieszał się duży świecznik staroświecki. Kosztowne fajansy, drogocenne puhary kunsztownej roboty, tysiące drobiazgów drogich i delikatnych, jakich nie można się było spodziewać znaleźć w Australji, wszystko to dowodziło poczucia piękna, jak równie dbałości o przyjemność i wygodę. Co tylko mogło się podobać i rozweselić nudę wygnania dobrowolnego, a zarazem przypominać nawyknienia europejskie,

zgromadzone było w tym czarownym salonie; każdy mógłby sądzić, że się znajduje w jakim książęcym pałacu we Francji lub Anglji.

Pięć okien, przesłoniętych tkanką delikatną, przepuszczało lekkie światło, już i tak przyćmione półcieniami werandy. Lady Helena była prawdziwie zachwycona. Z tej strony domu widok rozciągał się na obszerną dolinę, ciągnącą się aż do podnóża gór wschodnich. Łąki, przeplatane laskami, obszerne tu i owdzie polanki, gromady pagórków wdzięcznie zaokrąglonych, wypukłości gruntu nierównego utworzyły obraz przewyższający wszelkie opisy. Okolicy tej nie można było porównać z żadną inną w świecie, nawet z ową sławną *Rajską Doliną,* u granic Norwegji leżącą. Rozległa ta panorama, mieniąca się warstwami cienia i światła, co chwila zmieniała swe widoki, stosownie do kapryśnych odbłysków słońca. Wyobraźnia najbujniejsza nawet nieby nadto wymyślić nie zdołała, a zachwycający ten widok zadowalniał wszystkie pragnienia wzroku.

Na rozkaz młodszego Pettersona, marszałek dworu zastawił wytworne dla podróżnych śniadanie w ciągu niespełna kwadransa. Wina i potrawy były wyborne, a bardziej jeszcze ożywiała tę ucztę radość młodych hodowców z tego, że mogli pod swym dachem taką komuś ofiarować gościnność.

W krótkich wyrazach opowiedziano im cel wyprawy; młodzieńcy żywo się zainteresowali poszukiwaniami Glenarvana, a dzieciom kapitana Granta jak najlepsze rokowali nadzieje.

— Henryk Grant — rzekł Michał — wpadł zapewne w ręce krajowców, skoro dotąd nigdzie nie ukazał się w osadach nadbrzeżnych. Znał on dokładnie położenie miejsca, jak tego dokument dowodzi, i chyba zaraz na samym wstępie dostał się do niewoli dzikich, jeśli dotychczas nie mógł przebić się do której z kolonij angielskich.

— Tak właśnie stało się Ayrtonem, kwatermistrzem z jego okrętu — zauważył John Mangles.

— A wy, panowie — pytała lady Helena — czy nigdy nie słyszeliście o rozbiciu się okrętu Britannia?

— Nigdy, pani — odpowiedział Michał.

— A co pan sądzi o traktowaniu kapitana Granta przez Australijczyków?

— Australijczycy nie są okrutni — odrzekł młody kolonista — i miss Grant pod tym względem może być zupełnie spokojna. Bywają częste przykłady łagodności ich charakteru, a ilu tylko Europejczyków żyło pomiędzy nimi, żaden nigdy nie uskarżał się, aby źle się z nim obchodzili.

— King naprzykład — wtrącił Paganel — jedyny człowiek, który pozostał przy życiu z całej wyprawy Burkego.

— Nietylko ten śmiały poszukiwacz — dodał Sandy — ale również pewien żołnierz angielski nazwiskiem Buckley, który, umknąwszy

w 1803 r. na wybrzeża Port-Philippe, przyjęty był przez dzikich i żył z nimi przez lat przeszło trzydzieści.

— Od tego czasu — rzekł Michał Petterson — jeden z ostatnich numerów dziennika *Australasian* donosi znów, że niejaki Morrill powrócił do swych rodaków po szesnastu latach niewoli. Z kapitanem musi być to samo właśnie, bo i Morrill, po rozbiciu się okrętu *Peruvienne* w 1846 r., wzięty do niewoli przez dzikich, uprowadzony był w głąb kraju. Tak więc sądzę, że nie wypada tracić nadziei.

Słowa te nadzwyczajną sprawiły radość, tem więcej, że potwierdzały objaśnienia, jakie już w tym względzie dali Ayrton i Paganel.

Gdy kobiety wstały od stołu, zaczęto mówić o zbrodniarzach zbiegłych. Młodzi koloniści wiedzieli już o wypadkach na moście Camden, lecz nie obawiali się bynajmniej odwiedzin zbiegłych przestępców. Nie śmieliby oni napadać na osadę, mającą przeszło stu ludzi; nie przypuszczano zresztą, aby się mogli zaawanturować aż w pustynie Murrayu, gdzie nie było co robić, a tem bardziej do osad Nowej Walji, gdzie wszystkie drogi bardzo były strzeżone. Takie też właśnie było zdanie Ayrtona.

Na prośbę uprzejmych gospodarzy, lord Glenarvan dzień cały przepędził na stacji Hottam. Te dwanaście godzin opóźnienia były zarazem godzinami odpoczynku, tak dla ludzi jak i dla zwierząt, które wszelką znalazły wygodę w dobrze zaopatrzonych stajniach osady.

Uzyskawszy przyzwolenie swych gości, dwaj młodzieńcy ułożyli program, według którego miano dzień przepędzić; całe towarzystwo chętnie się nań zgodziło.

W samo południe siedm pięknych rumaków niecierpliwie tratowało ziemię u bram domu, a elegancki powozik, w cztery zaprzężony konie i kierowany ręką zręcznego woźnicy, przygotowany był dla dam. Mężczyznom podano wyborną broń myśliwską, a dojeżdżacze na koniach pilnowali psów, wesoło skaczących i szczekających wśród zarośli.

Przez cztery godziny towarzystwo przebiegało drogi i aleje tego parku, rozległego jak niewielkie jakie państewko dawniejszej Rzeszy Niemieckiej; pomieściłyby się w nim takie Reuss - Schleitz, lub Saxen-Coburg-Gotha. A chociaż było tu mniej ludzi, zato o wiele więcej baranów. Zwierzyny był też dostatek wielki, często więc rozlegały się strzały, niepokojące cichych mieszkańców tych płaszczyzn i lasów. Młody Robert, jadący obok majora Mac Nabbsa, cudów dokazywał. Śmiały ten chłopiec, pomimo przestróg i zaleceń swej siostry, zawsze był na czele i pierwszy do strzału. John Mangles uspokajał Marję zapewnieniem, iż czuwa nad nim.

W tej wycieczce myśliwskiej zabito kilka zwierząt właściwych temu tylko krajowi, a które Paganel aż dotąd znał zaledwie z nazwiska — pomiędzy innemi: wombata i bandicoota.

Wombat jest to roślinożerne zwierzę, ryjące ziemię nakształt borsuka; jest ono wielkości barana, a mięso ma wybornego smaku. Bandicoot należy do workowatych; przypomina lisa europejskiego, którego mógłby jednak nauczyć, jak się kurniki rabuje. Zwierzę to dość odrażającej powierzchowności, długości półtorej stopy, padło pod strzałem Paganela, który przez miłość własną myśliwca uznał je bardzo pięknem i ślicznem nazywał zwierzątkiem.

Robert, oprócz wielu innych sztuk dużych, zabił „dasyure viverrin", gatunek małego lisa, którego futerko czarne, biało kropkowane, warte jest skórki kuny.

Lecz najbardziej ze wszystkiego zajmujące było polowanie na kangury. Około czwartej godziny psy ruszyły stado tych ciekawych zwierząt; młode pokryły się zaraz do worków swych matek a całe stado poczęło uciekać. Najbardziej zadziwiają skoki tego zwierzęcia, mającego tylne nogi dwa razy dłuższe od przednich; w skakaniu długi ogon dopomaga mu jak sprężyna. Na czele postępował stary samiec, wysokości pięciu stóp, wspaniały okaz „Macropus giganteus", „starzec", jak go nazywają karczownicy.

Gonitwa bez przerwy ciągnęła się na przestrzeni czterech do pięciu mil angielskich. Kangury były niestrudzone a psy, nie bez słuszności obawiające się ich silnej łapy, uzbrojonej ostrym pazurem, niebardzo się ochoczo do nich zbliżały. Lecz nareszcie zmęczone stado przystanęło, a stary samiec oparł się o pień drzewa w postawie obronnej. Jeden z psów w zapędzie rzucił się na niego, lecz w chwilę potem wyrzucony silnie w powietrze, upadł na ziemię z brzuchem rozdartym. Cała psiarnia z pewnością nie dałaby rady tym zwierzętom, dlatego też dopiero kule myśliwych mogły zwalić z nóg olbrzyma.

W tej chwili Robert o mało co nie padł ofiarą swej nieroztropności. Podszedł tak blisko do kangura, że ten rzucił się na niego. Robert upadł, Marja krzyknęła, a potem odrętwiała z przerażenia, nic nie widząc i nie słysząc, wyciągnęła ręce ku bratu. Nikt nie śmiał strzelać do zwierzęcia, bo mógłby trafić i chłopca zarazem.

Lecz John Mangles z otwartym nożem myśliwskim rzucił się nagle na kangura i, nie zważając na grożące sobie niebezpieczeństwo, ugodził zwierzę w samo serce. Robert zerwał się z ziemi bez szkody, a w chwilę potem był już w objęciach swej siostry.

— Dziękuję, panie John! — dziękuję — rzekła Marja Grant, podając rękę młodemu kapitanowi.

— Wziąłem go na moją odpowiedzialność — odrzekł John Mangles, chwytając drżącą dłoń dziewczęcia.

Na tym wypadku zakończyło się polowanie. Stado kangurów rozbiegło się po stracie swego przewodnika, którego przeniesiono do pałacu. Była wtedy szósta godzina wieczorem. Myśliwych czekał obiad wspaniały, na którym najważniejszą rolę odgrywała zupa z ogona kangura, na sposób krajowy przygotowana.

Po lodach i sorbetach, biesiadnicy przeszli do salonu. Wieczór poświęcono muzyce. Lady Helena, jako wyborna pianistka, nie drożyła się ze swym talentem. Bracia Pettersonowie z poprawnym smakiem śpiewali różne wyjątki z ostatnich utworów Gounoda, Masseneta, Felicjana Dawida, a nawet Ryszarda Wagnera.

O jedenastej podano herbatę, przysposobioną z tą angielską wytwornością, jakiej żaden inny naród nie posiada. Paganel prosił, aby mu pozwolono skosztować herbaty australijskiej — przyniesiono mu więc płyn czarny, jak atrament; była to kwarta wody, w której gotowano pół funta herbaty przez cztery godziny. Paganel krzywił się, pijąc, ale mówił, że wyborny to napój.

O północy odprowadzono gości do chłodnych i wygodnych pokoi, gdzie w miłych snach znaleźli dalszy ciąg przyjemności dnia tego.

Nazajutrz o świcie pożegnali obu młodych hodowców bydła, dziękując im serdecznie za tyle doznanej uprzejmości; ci ze swej strony uroczyście przyrzekali odwiedzić lorda Glenarvana w jego zamku Malcolm, za pierwszą w Europie bytnością. Poczem wóz puścił się w drogę, objechał podnóże góry Hottam i wkrótce pałacyk osadników zginął podróżnym z oczu, jak przelotne widzenie. Jeszcze przez pięć mil (angielskich) konie ich stąpały po ziemi, należącej do stacji, i dopiero o dziewiątej godzinie przebyli ostatnie ogrodzenie i wjechali na nieznane prawie przestrzenie prowincji Wiktorja.

XLIII.

ALPY AUSTRALIJSKIE.

Od strony południowo - wschodniej ogromna zapora przecinała drogę. Był to łańcuch Alp Australijskich, jakby rozległa fortyfikacja, której nierówne bastjony ciągną się na przestrzeni tysiąca pięciuset mil angielskich i wstrzymują obłoki na wysokości czterech tysięcy stóp.

Z zachmurzonego nieba mało spływało na ziemię ciepła, przedzierającego się przez gęstą tkaninę mgły. Temperatura była więc znośna, ale podróż bardzo trudna po gruncie coraz nierówniejszym. Tu i owdzie sterczały pagórki, porosłe zielonemi drzewkami gumowemi. Dalej wzgórza już bardziej wyniosłe tworzyły pierwsze wielkich Alp szczeble. Trzeba było jechać ciągle pod górę. Znać to już było po wysiłku wołów, których jarzma skrzypiały pod oporem ciężkiego wozu; woły sapały mocno i ciężko oddychały, a naprężone muskuły na ich nogach zdawały się pękać. Osie u wozu jęczały za każdem

silniejszem stuknięciem, nieuniknionem pomimo całej zręczności Ayrtona. Damy dość wesoło, a przynajmniej cierpliwie, znosiły swe położenie.

John Mangles z dwoma majtkami jechał o jakie sto kroków naprzód, torując drogę i wyszukując najłatwiejszych do przebycia miejsc, bo wóz ciągle prawie przesuwać się musiał pomiędzy zdradliwemi skałami. Była to jakby żegluga po kołyszących się gruntach.

Trudne to było a często i niebezpieczne. Nieraz Wilson siekierą musiał torować przejście przez gęste zarośla. Gliniasty i wilgotny grunt usuwał się z pod nóg. Drogę przedłużały liczne zakręty i kołowania, jakie musiano robić z powodu często napotykanych wysokich skał, głębokich wąwozów lub ukrytych trzęsawisk. To też dobrze, iż do wieczora zdołano posunąć się choć o pół stopnia naprzód. Rozłożono się obozem u podnóża Alp przy strumieniu Cobongra, na skrawku niewielkiej płaszczyzny, pokrytej krzakami, sięgającemi czterech stóp wysokości, które mile rozweselały oko jasno-różową barwą swych liści.

— Trudne będziemy mieli przejście — rzekł Glenarvan, spoglądając na łańcuch gór, których profil ginął już w ciemności wieczornej. — Alpy, oto nazwa, dająca niemało do myślenia.

— Trzeba im dać radę — odpowiedział Paganel. — Nie wyobrażaj sobie, kochany milordzie, że mamy przebyć całą Swajcarję. Australja ma swoje Grampiany, Pireneje, Alpy, góry Błękitne, jak Europa i Ameryka, ale to wszystko w minjaturze. To dowodzi tylko, że wyobraźnia geografów nie jest zbyt płodna, lub że język ich bardzo ubogi w nazwy.

— A więc te Alpy Australijskie? — pytała lady Helena.

— Są to góry kieszonkowe — odrzekł Paganel. — Ani będziemy wiedzieli, kiedy je przejdziemy.

— Mów tylko o sobie! — odezwał się major. — Pomiędzy nami jeden jest tylko człowiek tak roztargniony, że może przejść łańcuch gór, nie wiedząc prawie o tem.

— Roztargniony! — zawołał Paganel — ależ nie jestem już roztargniony. Owołuję się do świadectwa pań. Od chwili wstąpienia na ląd stały, czyż nie dotrzymałem obietnicy? Czyż choć raz byłem roztargniony? Czyż choć jedną popełniłem niedorzeczność?

— Ani jednej, panie Paganel — rzekła Marja Grant. — Jesteś teraz najdoskonalszym z ludzi.

— Zanadto doskonałym! — dodała z uśmiechem lady Helena.— Z twojemi roztargnieniami było ci bardzo do twarzy.

— A więc — rzekł Paganel — skoro już nie mam żadnej wady, to będę człowiekiem, jak wszyscy inni ludzie. Spodziewam się zatem, że lada chwila zbroję znowu coś takiego, z czego się naśmiejecie dowoli. Inaczej zdawałoby mi się, że mi czegoś brakuje.

Nazajutrz, to jest 9-go stycznia, pomimo najuroczystszych zapewnień geografa, orszak podróżny nie bez wielkiej trudności rozpoczął przejście Alp. Trzeba było iść naoślep i brnąć coraz dalej w ciasne i głębokie wąwozy, które wkońcu mogły doprowadzić do miejsca niemożliwego do przebycia.

Ayrton w niemałym już był kłopocie, gdy na szczęście, po godzinnym przeszło, utrudniającym pochodzie, na jednej ze ścieżek górskich ukazała się licha oberża.

— Doprawdy — zawołał Paganel — wątpię, aby właściciel tej karczmy robił majątek w podobnem miejscu! Naco się tu ona przydać może?

— Nato, aby nam dać objaśnienia o drodze — odpowiedział Glenarvan. — Wejdźmy!

Glenarvan w towarzystwie Ayrtona wszedł do oberży. Gospodarz w Bush - Inn (taka nazwa widniała na szyldzie) — był to człowiek ordynarny, z twarzą odrażającą, dowodzącą, że lubił gin, brandy i whisky, a w karczmie swojej zwykł był widywać samych tylko wędrownych hodowców bydła lub ludzi dozorujących stada.

Cierpko odpowiadał na zapytania, ale odpowiedzi jego wskazały dostatecznie Ayrtonowi kierunek drogi. Glenarvan kilku koronami[1]) wynagrodził oberżyście przysługę i już miał wyjść z oberży, gdy nagle uwagę jego zwrócił afisz, przylepiony na murze.

Było to obwieszczenie policji kolonjalnej o wyłamaniu się i ucieczce złoczyńców z Perth, zapewniające sto funtów szterlingów wynagrodzenia temu, ktoby ujął i wydał dowódcę ich Ben Joyce'a.

— Prawdziwie — rzekł Glenarvan do kwatermistrza — wartoby powiesić tego nędznika.

— A lepiej jeszcze schwytać go! — odpowiedział Ayrton — sto funtów, to sumka znakomita! Nie dałbym tyle za niego.

— Co zaś do oberżysty — odparł Glenarvan — nie ufałbym mu nawet pomimo tego afisza.

— Ani ja — dorzucił Ayrton.

Glenarvan z kwatermistrzem powrócili do wozu. Skierowano się ku punktowi, w którym kończy się droga do Lucknow. Wiło się tam wąskie przejście, przecinające ukośnie łańcuch górski. Zaczęto się niem wdzierać wyżej.

Wejście było bardzo przykre. Nieraz musiały panie opuszczać wóz, a mężczyźni zsiadać z koni; trzeba było rękami obracać ciężkie koła i popychać wóz naprzód — zatrzymywać się dość często na spadkach niebezpiecznych, wyprzęgać woły, podkładać coś pod koła wozu, grożącego stoczeniem się na dół — i nieraz Ayrton musiał używać pomocy koni, już i tak ledwie wlokących nogi z utrudzenia.

---

[1]) Crown — 2½ szylinga.

Czy to wskutek tego trudu ciągłego, czy też z innej przyczyny, dość, że tego dnia padł jeden z koni, ale to tak nagle, że nikt się tego nie mógł spodziewać. Był to koń Mulradyego.

Ayrton obejrzał zwierzę, rozciągnięte na ziemi, i zdawał się nie pojmować przyczyny nagłej jego śmierci.

— Musiało w sobie coś zerwać to biedne stworzenie — rzekł Glenarvan.

— Zapewne — odpowiedział Ayrton.

— Weź mego konia, Mulrady — odrzekł lord — ja siądę na wozie, przy żonie.

Mulrady spełnił polecenie. Konia padłego zostawiono krukom na pastwę i dalej pracowano nad wdzieraniem się na górę.

Łańcuch Alp Australijskich nie jest szeroki, podstawa jego zajmuje wszerz przestrzeń zaledwie ośmiu mil angielskich. Jeżeli więc przejście, jakie obrał Ayrton, prowadziło do wschodniego stoku, to we dwie doby można się było spodziewać przebycia tej wysokiej zapory. A dalej, do samego już morza, droga będzie łatwa i bez żadnych przeszkód.

Dnia 10-go podróżni dosięgnęli najwyższego punktu przejścia, wzniesionego blisko na dwa tysiące stóp. Znajdowali się na otwartej płaszczyźnie, skąd wzrok sięgał bardzo daleko. Na północ migotały spokojne wody jeziora Omeo, upstrzone mnóstwem wodnego ptactwa, a poza niemi rozległe płaszczyzny Murrayu. Na południe roztaczały się zieleniejące łany Gippslandu z gruntami, obfitującemi w złoto, i wysokiemi lasami i z całą powierzchownością kraju dziewiczego. Tam natura była jeszcze panią swych płodów, biegu swych wód, wielkich drzew, nietkniętych dotąd siekierą: a niewielka liczba hodowców bydła, jaka się tam dotąd pojawiła, walczyć z nią nie miała odwagi. Zdawało się, ze ten łańcuch Alp rozdzielał dwa różne kraje, z których jeden dotąd zachował całą swą dzikość pierwotną. Właśnie zachodziło słońce, a ostatnie jego promienie, przedzierające się przez czerwone obłoki, ożywiały tło okręgu Murray. Przeciwnie Gippsland, ukryty poza osłoną gór, ginął w mroku i możnaby powiedzieć, że noc przedwczesna zanurzała w cieniu cały ten pas zaalpejski. Podróżni, stojąc pomiędzy temi dwoma krajami, tak od siebie oddzielonemi, żywo odczuwali tę sprzeczność i dziwne wzruszenie ogarnęło ich serca, na widok tej ziemi prawie nieznanej, którą przebywać mieli aż do samych granic prowincji Wiktorji.

Przenocowano na miejscu, a nazajutrz zaczęto schodzić ze zbocza. Nadzwyczaj gwałtowny grad spotkał podróżnych, tak, że aż musieli szukać schronienia pod skałami. Nie były to zwykłe ziarnka gradu, ale całe kawały lodu, wielkie jak dłoń, spadające z chmur, burzą ładownych. Z procy wyrzucone, nie padałyby z większą gwałtownością. Wóz uległ przedziurawieniu w kilku miejscach, a zapewne nie każdy dach wytrzymałby ciężar tych lodów, tak gwałtownie pa-

dających, że niektóre więzły w pniach drzew. Trzeba było czekać przejścia nawałnicy, aby nie być przez nią ukamienowanym. Trwało to blisko godzinę, poczem podróżni weszli znowu na skały spadziste, śliskie jeszcze od resztek topniejącego gradu.

Pod wieczór, wóz podziurawiony, chwiejący się, ale mocno jeszcze stojący na kołach, spuszczał się z ostatnich pochyłości Alp, posuwając się wśród pojedyńczo rosnących jodeł. Przejście prowadziło na płaszczyzny Gippslandu. Przebyto więc szczęśliwie Alpy i zabrano się, jak zwykle, do rozbicia namiotów na nocny wypoczynek.

Dnia 12-go o świcie, z zapasem nowych sił i zapału, puszczono się w dalszą drogę. Wszystkim pilno już było stanąć co najrychlej u celu, to jest dojść do tego punktu na oceanie Spokojnym, w którym nastąpiło rozbicie się okrętu *Britannia*. Tam tylko można się było spodziewać trafienia na ślady pewniejsze rozbitków; dlatego też Ayrton nalegał na lorda Glenarvana, aby wyprawił do *Duncana* rozkaz udania się ku wybrzeżu, celem zgromadzenia pod ręką wszystkich środków do dalszych poszukiwań. Według jego zdania, wypadało korzystać z drogi, prowadzącej z Lucknow do Melbourne, gdyż później trudno będzie znaleźć bezpośrednią komunikację ze stolicą.

Zdawało się, że wypada słuchać rady kwatermistrza. Paganel zgadzał się na nią w zupełności; podzielał on także przekonanie, że obecność jachtu bardzo w podobnych okolicznościach może być pożyteczna i że jeżeli nie skorzysta się z drogi z Lucknow, potem nie będzie można znaleźć sposobności przesłania pisma de Melbourne.

Glenarvan był niezdecydowany i już może byłby wysłał rozkazy, które Ayrton usilnie zalecał, gdyby major nie sprzeciwiał się temu uporczywie. Dowodził on, że wyprawie koniecznie była potrzebna obecność Ayrtona; że za zbliżeniem się do wybrzeży kraj będzie mu lepiej znany; że gdyby wypadkiem trafiono na ślady kapitana Granta, to kwatermistrz lepiej, niż ktokolwiek inny, potrafi z nich skorzystać; że nareszcie on tylko jeden może wskazać miejsce rozbicia się *Britanji*.

Mac Nabbs nalegał przeto, aby jechać dalej, nie zmieniając pierwotnego programu. John Mangles był tego samego zdania i silnie popierał majora. Młody kapitan zrobił nawet uwagę, że rozkazy Jego Dostojności łatwiej dojdą do *Duncana,* gdy będą wyprawione z zatoki Twofold, aniżeli przez posłańca, zmuszonego przebiec dwunastomilową przestrzeń całkiem dzikiego kraju.

Zdania ich przeważały. Postanowiono zatem nic nie przedsiębrać aż za przybyciem do zatoki Twofold. Major obserwował Ayrtona, który mu się wydawał dosyć niezadowolony. Major jednak nie wspomniał o tem nikomu i, jak było jego zwyczajem, spostrzeżenia swe zachował dla siebie.

Płaszczyzny, ciągnące się u stóp Alp Australijskich, były równe i lekko ku wschodowi pochylone. Jednostajność położenia przerywały tylko gdzie niegdzie porozrzucane kępy mimoz, eukaliptusów i rozmaitych drzew gumowych. Grunt najeżony był wszędzie krżewem, „Gastrolabium grandiflorum", o kwiatach świetnej barwy. Drogę często przerzynały strumyki niewielkie, zarośnięte sitowiem. Przebywano je najczęściej w bród. Za zbliżeniem się podróżnych zrywały się i odlatywały stada dropiów i kazuarów. Przez krzaki przeskakiwały kangury, jak figurki elastyczne. Lecz nikomu przez myśl nie przeszło polować, tem więcej, że konie padały już prawie z utrudzenia.

Powietrze też było duszne wskutek wielkiego upału, atmosfera przesycona elektrycznością. Ludzie i zwierzęta ulegali jej wpływowi, posuwali się przeto ciągle naprzód, nie zajmując się czem innem. Tylko głos Ayrtona, wołającego na strudzone woły, przerywał niekiedy milczenie.

Od południa do godziny drugiej przebyto bardzo ciekawy las paproci, który obudziłby zapewne podziw ludzi mniej, niż nasi podróżni, strudzonych. Rośliny te w pełnym rozwoju miały do trzydziestu prawie stóp wysokości. Konie i jeźdźcy swobodnie przesuwali się pod ich zwisłemi gałęziami, a często ostroga zabrzęczała, uderzywszy o ich drzewną gałązkę. Pod tym nieruchomym parasolem panował przyjemny chłód, na który nikt się nie użalał. Tylko Paganel, zawsze objawiający nazewnątrz swe uczucia, wyrażał swe zadowolenie tak głośno, że zrywały się stada papug i kakadu, z wrzaskiem ogłuszającym.

Geograf wciąż wydawał okrzyki podziwienia i radości, gdy nagle towarzysze jego spostrzegli, że zachwiał się na koniu i spadł ciężko na ziemię. Czy to było omdlenie, czy gorzej może — osłabienie, spowodowane zbyt wysoką temperaturą?

Wszyscy pobiegli do niego.

— Paganelu! Paganelu! Co ci jest? — wołał lord Glenarvan.

— To znaczy, że nie mam już konia — odpowiedział Paganel, wydobywając nogi ze strzemion.

— Jakto! Twój koń?

— Zdechł, piorunem rażony! Tak samo, jak koń Mulradyego.

Glenarvan, John Mangles i Wilson obejrzeli konia. Paganel miał słuszność — koń jego nie żył.

— To coś szczególnego — rzekł John Mangles.

— Prawdziwie, że coś szczególnego — mruknął major.

Glenarvana mocno dotknął ten nowy wypadek. Trudno było myśleć o znalezieniu innych koni w tej pustyni, a jeśli epidemja jakaś dotyka tu konie, to wkońcu trudno będzie dalej odbywać podróż.

Do wieczora bardziej jeszcze utwierdziło się przekonanie o jakiejś epidemji; trzeci koń padł pod Wilsonem, a co gorsza padł także

jeden z wołów, do wozu zaprzęgniętych. Pozostały tylko trzy woły i cztery konie.

Położenie stawało się coraz trudniejsze. Jeźdźcy, pozbawieni koni, musieli zdecydować się na podróż pieszą. Niejeden hodowca bydła tak samo przebywał tę pustynię. Ale jeśli przyjdzie wóz opuścić, cóż wtedy stanie się z damami? Czyż będą mogły przejść sto dwadzieścia mil, dzielących je od zatoki Twofold?

John Mangles i Glenarvan bacznie obejrzeli konie, pozostałe przy życiu; możeby się dało zapobiec nowym wypadkom. Lecz po najściślejszem zbadaniu nie dostrzegli żadnych objawów choroby, ani oznak słabości. Konie te były zupełnie zdrowe i z rzadką wytrwałością znosiły trudy podróży. Glenarvan miał nadzieję, że żaden już nie padnie ofiarą tej dziwnej epidemji.

Takie też było zdanie Ayrtona, przyznającego się do zupełnej nieświadomości przyczyn tej nagłej śmierci zwierząt.

Jechano dalej. Idący pieszo przysiadywali się na wóz w razie mocnego utrudzenia. Przez cały dzień ujechano zaledwie dziesięć mil. Wieczorem dano znak do wypoczynku — urządzono obóz i noc przeszła spokojnie pod rozległą kępą paproci olbrzymich, pomiędzy któremi przelatywały ogromne nietoperze, zwane właściwie lisami latającemi.

Następny dzień, 13- sty stycznia, przeszedł szczęśliwie; nie powtórzyły się wypadki wczorajsze. Sanitarny stan wyprawy był zupełnie zadowalający. Konie i woły wesoło spełniały swe obowiązki. Salon lady Heleny ożywił się bardzo z powodu coraz większego napływu wizytujących. Pan Olbinett był niestrudzony w rozdawaniu chłodzących napojów, tak potrzebnych przy upale trzydziestostopniowym.

Poszła cała półbeczka szkockiego piwa (scotch-ale); zgodzono się, że wyrabiający je Barclay et Comp. jest największym człowiekiem w całej Wielkiej Brytanji, większym nawet od Wellingtona, który nigdy nie wyrabiał tak dobrego piwa. Może być, że w tem zdaniu i miłość własna Szkotów pewną odgrywała rolę. Paganel pił dużo, a więcej jeszcze rozprawiał o tem i owem, i o wszystkiem.

Zdawało się, że dzień, tak dobrze zaczęty, równie dobrze zakończyć się powinien. Ujechano tęgich piętnaście mil po czerwonawym gruncie górzystym. Wszystko pozwalało przypuszczać, że tegoż samego wieczora orszak podróży obozować będzie nad brzegami Snowy, wielkiej rzeki, wpadającej do oceanu Spokojnego w południowej części prowincji Wiktorji. Wkrótce wóz wjechał na szerokie płaszczyzny gruntu czarnego pomiędzy gęstwiny bujnych traw. Pod wieczór mgła, rysująca się na widnokręgu oznaczała bieg rzeki Snowy. Na zakręcie drogi, poza niewielką wyniosłością, wznosił się lasek drzew wysokich. Ayrton skierował woły, dobrze już zmęczone,

pomiędzy pnie drzew cienistych i już wyjeżdżał na kraj lasu w odległości pół mili od rzeki, gdy nagle wóz zapadł do połowy kół.

— Ostrożnie, baczność! — zawołał Ayrton na jadących tuż za nim.

— Co to takiego? — spytał Glenarvan.

— Ugrzęźliśmy — odpowiedział Ayrton, głosem i batem poganiając woły, które do kolan stojąc w błocie, z miejsca ruszyć nie były w stanie.

— Zanocujmy tutaj — rzekł John Mangles.

— To będzie najlepiej — odrzekł Ayrton. — Jutro o dniu łatwiej sobie poradzimy.

Glenarvan zgodził się na to.

Noc zapadła raptownie, po bardzo krótkim zmroku; gorąco się jednak nie zmniejszało. Atmosfera była dusząca. Na widnokręgu ukazywały się od czasu do czasu błyskawice, olśniewające dowody dalekiej burzy.

Przygotowano naprędce nocleg i skorzystano, o ile było można, z ugrzęzłego wozu. Ciemne sklepienie wielkich drzew osłaniało namiot; podróżni dobrze byli umieszczeni, byle im tylko ulewa nie dokuczała.

Ayrton z niemałym trudem zdołał wyciągnąć swoje trzy woły z trzęsawiska, w którem biedne stworzenia aż po brzuch tonęły. Kwatermistrz ustawił je wraz z czterema końmi i nikomu nie pozwolił wybierać dla nich paszy. Przyznać zresztą trzeba, że znał się na tem, a tego wieczora Glenarvan uważał, że z podwojoną pracował gorliwością. Dziękował mu więc za to szczerze, uważając za rzecz wielkiej wagi oszczędzanie i zachowanie tak potrzebnych do dalszej podróży stworzeń.

Podróżni tymczasem zjedli skromną wieczerzę. Upał i utrudzenie odejmowały im apetyt. Potrzebowali więcej snu, niż posiłku. Lady Helena i miss Grant, pożegnawszy swych towarzyszów, poszły na swoje zwykłe miejsce na wozie. Mężczyźni zaś jedni wcisnęli się pod namiot, inni według upodobania legli pod drzewami na trawie, co w tym klimacie zdrowym żadnem nie grozi zdrowiu niebezpieczeństwem.

Zwolna wszyscy zasnęli głęboko. Gęste chmury, zalegające niebo, zwiększyły jeszcze ciemność nocy. Najmniejszy wietrzyk nie odświeżał atmosfery. Ciszę nocy przerywało tylko kukanie ptaka *morepork*, odzywającego się, jak kukułki europejskie, odgłosem tercji małej.

Około godziny jedenastej, po krótkim, ciężkim i niespokojnym śnie, major się obudził. Napół przymknięte jeszcze oczy jego uderzyło światło wśród drzew migające. Było to coś nakształt płachty białawej, migocącej jak woda na powierzchni jeziora; Mac Nabbs sądził zrazu, że to pożar, snujący się po ziemi.

Powstał tedy i podszedł ku lasowi, lecz zdziwił się ogromnie, widząc, że to było zjawisko zupełnie naturalne; ogromna przestrzeń, zarośnięta grzybami, wydawała z siebie to światło fosforyczne; świetlne pryszcze tych roślin skrytopłciowych z dość znacznem natężeniem błyszczały wśród ciemności [1]).

Niesamolubny major chciał już obudzić Paganela, aby na własne oczy stwierdził to zjawisko, gdy niespodzianie nowy go zatrzymał wypadek.

Blask fosforyczny oświecał las na przestrzeni półmilowej, i majorowi zdawało się, że widzi szybko przesuwające się cienie na oświetlonym skraju lasu. Czyżby go wzrok mylił? Byłożby to proste przywidzenie, skutek sennego rozmarzenia?

Mac Nabbs położył się na ziemi i po ścisłem a cierpliwem zbadaniu spostrzegł wyraźnie kilku ludzi, którzy, nachylając się często, wyraźnie na ziemi szukali świeżych jeszcze śladów.

Trzeba się było dowiedzieć, czego chcieli ci ludzie!

Major nie wahał się, co ma zrobić; nie budząc swych towarzyszów, ruszył, pełzając na brzuchu, jak dziki mieszkaniec stepów, i zniknął śród wysokich traw.

XLV.

NIESPODZIEWANE ZAJŚCIE.

Była to noc okropna. O drugiej godzinie z rana zaczął padać deszcz ulewny, który trwał aż do dnia. Namiot okazał się już schronieniem niedostatecznem; Glenarvan i jego towarzysze szukali go na wozie. Nikt nie spał; noc cała przeszła na rozmowie o tem i owem. Tylko major, którego krótkiej nieobecności nikt nie dostrzegł, słuchał i nic nie mówił. Straszna ulewa nie ustawała, obawiano się, aby nie spowodowała wylewu rzeki Snowy, coby znowu zaszkodziło wozowi, zagrzęzłemu w nadbrzeżnym gruncie błotnistym. To też Mulrady, Ayrton i John Mangles chodzili oglądać kilkakrotnie stan wody na rzece i wracali przemoczeni do nitki.

Nareszcie nadszedł dzień. Deszcz ustał wprawdzie, ale promienie słoneczne nie mogły się jeszcze przedrzeć przez gęsto zaciągnięte chmury. Szerokie kałuże wody żółtawej, mętnej i cuchnącej, rozlewały się po gruncie. Ciepłe wyziewy wydobywały się z ziemi, wodą przesiąkniętej, i nasycały atmosferę niezdrową wilgocią.

---

[1]) Drumond już obserwował to zjawisko w Australji i także na grzybach, które, jak się zdaje, należą do rodziny *Agaricus olearicus*.

Glenarvan zajął się najpierw wozem, co według niego było rzeczą najważniejszą. Obejrzano ten ciężki wehikuł, zagrzęzły w ściśliwej glinie. Przodu zupełnie widać nie było, a tylna część tkwiła w błocie po osie. Kto wie, czy na wydobycie tego ciężaru starczą siły połączone wszystkich ludzi, koni i wołów.

— W każdym razie trzeba się śpieszyć — mówił John Mangles — bo gdy glina zaschnie, jeszcze trudniej będzie wóz wydobyć.

— A więc śpieszmy się — dodał Ayrton.

Glenarvan, dwaj majtkowie, John Mangles i Ayrton poszli do lasu, w którym zwierzęta noc spędziły.

Był to ponury las wysokich, gumowych drzew, uschłych, rzadko rozsianych, oddawna z kory odartych. Do dwustu stóp wysokości wznosiły one nagą, jak szkielet, sieć gałęzi bezlistnych. Żaden ptak nie gnieździł się na tych szkieletach nadpowietrznych; żaden listek nie kołysał się na tych suchych gałęziach, trzeszczących za każdym wiatru powiewem. Niewiadomo, jakiemu kataklizmowi przypisać należało to dość częste w Australji zjawisko lasów całych, dotkniętych jakby śmiercią epidemiczną. Ani najstarsi krajowcy, ani ich przodkowie, oddawna pogrzebani wśród tych cmentarzysk, nie widzieli tych drzew w zieloności.

Glenarvan spoglądał idąc na niebo szare, na którem, jak delikatne rysy, odbijały się najmniejsze gałązki drzew gumowych. Ayrton zdziwił się, nie znalazłszy wołów i koni w tem miejscu, na które był je odprowadził; zwierzęta spętane nie mogły same oddalić się zbytecznie.

Szukano ich w tym lesie, lecz nie znaleziono. Ayrton, zdziwiony, powrócił na brzeg Snowy, zasadzony wspaniałemi mimozami. Wydawał przytem okrzyki dobrze znane jego zaprzęgowi, ale napróżno. Kwatermistrz zdawał się być mocno tem zaniepokojony, a wszyscy spoglądali na siebie niespokojnie.

Godzina minęła na daremnych poszukiwaniach i Glenarvan miał wrócić do wozu, stojącego w odległości mili, gdy nagle posłyszał rżenie, a zaraz potem ryk wołu.

— Są tam! — zawołał John Mangles, przeciskając się przez gęstwinę gastrolabium i trawy dość wysokiej, aby się w niej zwierzęta ukryć mogły.

Glenarvan, Mulrady i Ayrton pośpieszyli za nim, aby niebawem stanąć, jak on, zdumieni.

Dwa woły i trzy konie leżały rozciągnięte na ziemi. Trupy ich ostygły już, a stado kruków wygłodniałych krążyło między mimozami, czyhając na tę zdobycz niespodziewaną.

Wszyscy spojrzeli po sobie, a Wilson nie mógł powstrzymać się od przekleństwa.

— Przestań, Wilsonie — rzekł lord Glenarvan, zaledwie panujący nad sobą — to nam nic nie pomoże. Ayrtonie, odprowadź wołu

i konia, które nam pozostają, trzeba sobie z ich pomocą radzić, jak można.

— Gdyby wóz nie był tak głęboko zagrzązł — rzekł John — to te zwierzęta, idąc pomaleńku, dociągnęłyby go do wybrzeża. Przedewszystkiem więc trzeba wydobyć ten wóz przeklęty.

— Będziemy próbować, Johnie — odpowiedział Glenarvan. — Powróćmy do obozowiska, gdyż tam zapewne niepokoją się długą naszą nieobecnością.

Ayrton i Mulrady rozpętali zwierzęta; wracano, trzymając się wciąż nierównego brzegu rzeki.

W pół godziny potem Paganel, Mac Nabbs, lady Helena i miss Grant — wiedzieli już, co się stało.

— Doprawdy — zauważył szyderczo major — szkoda, Ayrtonie, że nie potrzebowałeś podkuć wszystkich naszych zwierząt w Wimera.

— A to dlaczego, panie? — zapytał Ayrton.

— Bo ze wszystkich koni pozostał nam tylko ten jeden, któregoś powierzył twemu kowalowi.

— Prawda! — rzekł John Mangles. — Czy to nie dziwny zbieg okoliczności?

— Wypadek i nic więcej — odpowiedział kwatermistrz, patrząc bacznie na majora.

Mac Nabbs zacisnął wargi, jakby powstrzymując się od powiedzenia czegoś; wszyscy czekali, czy nie dokończy swej myśli — lecz major, milcząc, odszedł do wozu, który Ayrton oglądał.

— Co on chciał powiedzieć? — zapytał Johna Glenarvan.

— Nie wiem — odparł kapitan — jednakże major nie ma zwyczaju mówić bez powodu.

— Tak jest, panie John — rzekła lady Helena — Mac Nabbs musi podejrzewać o coś Ayrtona.

— Podejrzewać? — odezwał się Paganel, wzruszając ramionami.

— O co? — zapytał Glenarvan. — Czyżby go posądzał o zabicie naszych koni i wołów? Ale w jakimże celu? Czyż Ayrton nie ma wspólnego z nami interesu?

— Masz słuszność, kochany Edwardzie — rzekła lady Helena — dodałabym jeszcze, że Ayrton od samego początku podróży dawał nam ciągle niezaprzeczone dowody przychylności.

— To prawda — potwierdził John. — Ale w takim razie cóżby znaczyła uwaga majora? Muszę dojść tego koniecznie.

— Czyżby go posądzał, że jest w zmowie z tymi zesłańcami?... — zawołał nieoględnie Paganel.

— Jakimi zesłańcami? — spytała miss Grant.

— Pan Paganel omylił się — wtrącił żywo John Mangles. — Wie on dobrze, iż niema zbiegłych zesłańców w prowincji Wiktorji.

— Ech! do licha, to prawda! — rzekł Paganel, chcąc naprawić to, co powiedział. — Gdzież u djabła mam głowę! Co za zesłańcy!

Jacy zesłańcy? Kto gdzie kiedy słyszał o zesłańcach w Australji? Co znowu! Zresztą zaledwie staną na tym lądzie, zamieniają się w ludzi uczciwych! Sam klimat! Nieprawdaż, miss Marjo... klimat moralizator...

Biedny uczony, chcąc naprawić swą pomyłkę, robił to samo, co wóz, to jest brnął coraz głębiej. Lady Helena patrzyła nań, a to go mieszało jeszcze bardziej. Nie chcąc więc dłużej w kłopot wprowadzać geografa, odeszła z miss Marją do namiotu, gdzie pan Olbinett zajęty był zastawianiem śniadania według wszelkich prawideł sztuki.

— Wartoby mnie samego zesłać gdzie za takie głupstwo! — rzekł Paganel upokorzony.

— Zapewne! — potwierdził sucho Glenarvan.

Po tej odpowiedzi, dobijającej biednego Paganela, lord Glenarvan i John Mangles odeszli do wozu.

W tej właśnie chwili Ayrton z dwoma majtkami pracowali nad wydobyciem go z zaklęsłości. Koń i wół, zaprzężone jeden obok drugiego, ciągnęły z natężeniem ostatnich sił; postronki i rzemienie omal nie pękały z naprężenia. Wilson i Mulrady popychali koła, a kwatermistrz głosem i razami przynaglał biedne zwierzęta. Glina już obeschła, trzymała wóz, jakgdyby zatonął w cemencie hydraulicznym.

John Mangles kazał wodą zlać glinę, aby rozmiękła, lecz napróżno. Wóz ani drgnął z miejsca. Po dalszych jeszcze wysiłkach, ludzie i zwierzęta ustali. Trzeba było chyba rozebrać wóz na części i po kawałku wydobywać, ale do takiej roboty brakło im narzędzi potrzebnych.

Jednakże Ayrton, pragnący pokonać bądź co bądź tę trudność, zabierał się do dalszych prób, gdy go powstrzymał lord Glenarvan.

— Dość, Ayrtonie, dość tego; trzeba oszczędzać tego konia i wołu, które nam pozostały. Jeśli nam przyjdzie pieszo odbywać dalszą drogę, jeden z nich będzie dźwigał nasze panie, a drugi zapasy żywności. Mogą nam zatem być jeszcze bardzo użyteczne.

— Dobrze, milordzie — odpowiedział kwatermistrz, wyprzęgając zwierzęta, z sił wyczerpane.

— Teraz, moi przyjaciele — mówił dalej Glenarvan — wracajmy do naszego obozu; namyślmy się, zbadajmy dobrze położenie, rozważmy przyjazne i nieprzyjazne okoliczności i zdecydujmy się na coś.

Wkrótce potem podróżni nasi posilali się po tylu trudach skromnem śniadaniem i rozpoczęła się rozmowa, do której wezwano wszystkich dla wypowiedzenia swego zdania.

Naprzód wypadało dowiedzieć się, jakie jest położenie obozowiska, ale to z jak największą dokładnością. Paganelowi powierzono tę pracę i wykonał ją z całą ścisłością, która wykazała, że znajdowali się pod 147° 53' długości, nad brzegiem rzeki Snowy.

— A gdzie leży wybrzeże zatoki Twofold — spytał Glenarvan.

— Pod sto pięćdziesiątym stopniem — odrzekł Paganel.

— A te dwa stopnie i siedem minut różnicy znaczą?...

— Siedemdziesiąt pięć mil (37 lieues).

— A jak daleko stąd do Melbourne?

— Dwieście mil co najmniej.

— Dobrze. Skoro tedy już znamy nasze położenie — pytał dalej Glenarvan — cóż teraz czynić wypada?

Wszyscy odpowiedzieli jednozgodnie, że wypada bez najmniejszej zwłoki podążać do wybrzeża. Lady Helena i Marja Grant podejmowały się iść po pięć mil dziennie. Odważne te kobiety nie ulękły się myśli przebycia pieszo przestrzeni, dzielącej Snowy od zatoki Twofold.

— Dzielną jesteś towarzyszką podróży, droga moja Heleno — rzekł lord Glenarvan — ale czy możemy być pewni, że w zatoce znajdziemy wszystko, co nam będzie potrzebne?

— Ani wątpić — mówił Paganel. — Eden jest dość już dawnem miastem; jego port musi miewać częste stosunki z Melbourne. Przypuszczam nawet, że o trzydzieści pięć mil stąd, w parafii Delegete, na granicy prowincji Wiktorji, znajdziemy i żywność, i konie.

— A *Duncan?* — spytał Ayrton — nie będzie wezwany do zatoki, milordzie?

— Jak ci się zdaje, kapitanie? — spytał Glenarvan.

— Sądzę, że Wasza Dostojność nie ma potrzeby śpieszyć się w tym względzie — odrzekł kapitan po pewnym namyśle. — Zawsze będzie czas posłać rozkazy Tomaszowi Austinowi i przyzwać go na wybrzeże.

— Zapewne, zapewne — potwierdził Paganel.

— Proszę pamiętać — mówił dalej John Mangles — że za cztery lub pięć dni będziemy w Eden.

— Za cztery lub pięć dni! — powtórzył Ayrton, potrząsając głową — powiedz pan piętnaście, lub dwadzieścia, panie kapitanie.

— Jakto, piętnaście lub dwadzieścia dni na przebycie siedmdziesięciu pięciu mil? — zawołał Glenarvan.

— Co najmniej, milordzie. Mamy dążyć przez najprzykrzejszą część prowincji Wiktorji, pustynię, w której brak wszystkiego, jak utrzymują hodowcy bydła. Są to płaszczyzny, zarosłe gęstemi krzakami, niepodobna było nawet stacji żadnej założyć. Wypadnie tam iść z siekierą i pochodnią w ręku, a więc na pośpiech rachować trudno.

Ayrton mówił bardzo stanowczo. Paganel, na którego zwróciły się pytająco oczy wszystkich, niemem potakiwaniem głowy przyznawał słuszność słowom kwatermistrza.

— Przypuszczam, że napotkamy wszystkie trudności — rzekł wtedy John Mangles — to i tak za piętnaście dni dość będzie czasu wysłać rozkazy *Duncanowi*.

— Proszę i o tem nie zapominać także, iż nie samo torowanie drogi nastręczy nam największych trudności; trzeba się będzie przeprawiać przez Snowy i prawdopodobnie czekać na opadnięcie wód.

— Czekać! — zawołał młody kapitan. — Czyż nie można znaleźć brodu?

— Wątpię — odpowiedział Ayrton — dziś z rana właśnie szukałem jakiego przejścia, ale napróżno; trudno znaleźć rzekę tak burzliwą o tej porze.

— Czy ta rzeka Snowy jest bardzo szeroka? — zapytała lady Helena.

— Szeroka i głęboka, pani — odpowiedział Ayrton — ma milę (angielską) szerokości, prąd bystry nadzwyczajnie. Najlepszy pływak nie przebyłby jej bez niebezpieczeństwa.

— A więc zbudujemy czółno — zawołał Robert, zawsze pełen ufności. — Ściąć drzewo, wydrążyć je, spuścić na wodę i rzecz skończona.

— Syn kapitana Granta wybornie usuwa trudności — zauważył Paganel.

— I ma słuszność — wtrącił John Mangles. — Chyba dojdzie do tego, i sądzę, że dalsza dyskusja jest zbyteczna.

— Cóż ty myślisz o tem, Ayrtonie? — spytał Glenarvan.

— Ja myślę, milordzie, że jeśli nam pomoc jaka nie nadejdzie, to za miesiąc jeszcze stać będziemy nad brzegami Snowy.

— Czy masz więc plan lepszy! — zawołał John Mangles z pewną niecierpliwością.

— Tak jest, jeżeli *Duncan* opuści Melbourne i zbliży się do wybrzeża wschodniego.

— A zawsze wyjeżdżasz z tym *Duncanem!* Czy obecność jego w zatoce ułatwi nam dostanie się do niej?

Ayrton namyślał się przez chwilę. Wreszcie odpowiedział dość wymijająco:

— Nie narzucam bynajmniej moich przekonań. Co robię i mówię, to w interesie ogółu, a gotów jestem do drogi na pierwszy znak dany przez Jego Dostojność.

To rzekłszy, skrzyżował ręce na piersiach.

— Nie odpowiada się tak, Ayrtonie — rzekł Glenarvan. — Objaw twój plan i oddaj go pod ogólną dyskusję. Cóż ty proponujesz?

Ayrton głosem spokojnym i pewnym tak mówić zaczął:

— Jestem zdania, że nie powinniśmy przeprawiać się przez rzekę Snowy, ogołoceni ze wszystkiego, jak obecnie jesteśmy. Tutaj właśnie czekać potrzeba na pomoc, a pomoc tylko *Duncan* dać nam może. Pozostańmy w tem miejscu, gdzie nam jeszcze nie brak żywności, a jeden z nas niechaj Austinowi poniesie rozkaz wpłynięcia do zatoki Twofold.

Niespodziewaną tę propozycję przyjęli wszyscy ze zdziwieniem, a John Mangles nie umiał nawet ukryć swej niechęci.

— Przez ten czas — mówił dalej Ayrton — wody Snowy opadną, co nam dozwoli znaleźć przejście, albo jeśli trzeba się będzie uciec do czółna, to będziemy mieli czas zbudować je. Oto mój plan, milordzie, i ten przedstawiam pod twoje uznanie.

— Dobrze, Ayrtonie — odpowiedział Glenarvan — myśl twoja zasługuje, aby ją wziąć pod rozwagę; ujemną jej stroną jest to, że każe czekać, ale zato oszczędza trudów, a może i chroni od niebezpieczeństw. Jak sądzicie, przyjeciele?

— Powiedz twoje zdanie, kochany Mac Nabbs — rzekła wówczas lady Helena — uważam, że od samego początku rozmowy słuchasz tylko w milczeniu, a zbyt skąpym jesteś w wyrazy.

— Jeśli żądacie mego zdania, wypowiem je otwarcie. Zdaje mi się, że Ayrton mówi jak człowiek rozsądny i przezorny, podzielam więc jego projekt.

Nikt się zapewne nie spodziewał takiej odpowiedzi, bo dotąd Mac Nabbs przeciwny był zdaniu Ayrtona w tym względzie; on sam nawet ze zdziwieniem szybko spojrzał na majora. Paganel jednak, lady Helena i majtkowie gotowi byli popierać projekt kwatermistrza.

Glenarvan oświadczył przeto, że plan Ayrtona przyjęty jest w zasadzie.

— A teraz John — mówił dalej, zwracając się do kapitana — i ty zapewne zgodzisz się, że roztropność nakazuje nam tak a nie inaczej postępować — to jest rozłożyć się nad brzegiem rzeki i czekać nadejścia środków przewozowych

— Zapewne — odpowiedział JohnMangles — jeśli tylko nasz posłaniec zdoła przebrnąć rzekę, której my przebrnąć nie możemy.

Spojrzano na kwatermistrza, który uśmiechał się, jak człowiek pewny siebie.

— Posłaniec nie przebrnie wcale rzeki — brzmiała jego odpowiedź.

— Tylko?... — spytał John Mangles.

— Tylko podąży poprostu ku drodze do Lucknow, a ta go doprowadzi do Melbourne.

— Dwieście pięćdziesiąt mil pieszo! — zawołał kapitan.

— Konno — odrzekł Ayrton. — Mamy przecież konia zdrowego i dobrego. Całą drogę odbyć można w cztery dni; dodajmy do tego dwa dni na przejazd *Duncana* do zatoki i jedną dobę na powrót do obozu, a zatem w ciągu tygodnia posłaniec nasz będzie zpowrotem wraz z ludźmi załogi okrętowej.

Major skinieniem głowy potwierdził słowa Ayrtona; a chociaż to nie przestawało dziwić kapitana, projekt wszakże kwatermistrza zyskał ogólne uznanie i już chodziło tylko o wykonanie go.

— Teraz, moi drodzy — mówił lord Glenarvan — trzeba wybrać posłańca; a nie taję, że będzie on miał i trudną, i niebezpieczną do spełnienia misję. Kto się poświęci dla swych towarzyszów i poniesie nasze polecenia do Melbourne?

Wilson, Mulrady, John, Paganel, a nawet Robert, oświadczyli swą gotowość. John szczególniej nalegał, aby jemu powierzono to poselstwo. Nareszcie milczący dotąd Ayrton odezwał się w te słowa:

— Jeżeli łaska Waszej Dostojności, to ja pojadę. Znam te okolice. Nieraz już przebiegałem gorsze jeszcze drogi; w interesie więc ogółu domagam się, aby mnie wysłano do Melbourne. Dacie mi, milordzie, pismo do waszego porucznika, a za tydzień podejmuję się sprowadzić *Duncana* do zatoki Twofold.

— Dobrze mówisz — odpowiedział Glenarvan. — Jesteś sprytny i odważny, Ayrtonie, i udać ci się powinno.

Bezwątpienia kwatermistrz zdolniejszy był niż ktokolwiek inny do spełnienia tego trudnego poselstwa. Każdy rozumiał to i chętnie ustępował. John Mangles ostatnią jeszcze zrobił uwagę, że obecność Ayrtona może być potrzebna do odszukania śladów *Britanji* lub kapitana Granta. Lecz major odpowiedział, że wyprawa pozostanie nad brzegami rzeki Snowy aż do powrotu Ayrtona; że bez niego żadne poszukiwania czynione nie będą, że zatem nieobecność jego w niczem nie przyniesie szkody interesom kapitana.

— A więc jedź, Ayrtonie — rzekł Glenarvan — śpiesz się i wracaj przez Eden do naszego obozu nad brzegiem Snowy.

Oczy kwatermistrza zajaśniały blaskiem zadowolenia. Odwrócił głowę — lecz jakkolwiek prędkie było to poruszenie, jednak John Mangles dojrzał ten odbłysk radości. John instynktownie powziął większą jeszcze nieufność względem Ayrtona.

Kwatermistrz sposobił się tedy do odjazdu przy pomocy obu majtków, z których jeden zajął się jego koniem, a drugi zaopatrzeniem go w żywność potrzebną. Glenarvan tymczasem pisał list do Tomasza Austina. Nakazywał w nim porucznikowi *Duncana*, aby bezzwłocznie udał się do zatoki Twofold. Kwatermistrza polecał mu jako człowieka, któremu zupełnie zaufać może, Tomasz Austin za przybyciem do wybrzeża miał oddać pod rozkazy Ayrtona oddział załogi okrętu.

Właśnie Glenarvan rozporządzenia te pisał, gdy Mac Nabbs, wodzący okiem po liście, dziwnym jakimś tonem zapytał go, jak pisze nazwisko Ayrtona?

— Tak, jak się wymawia — odrzekł Glenarvan.

— Jesteś w błędzie, mój kuzynie — powiedział spokojnie major — wymawia się to Ayrton, ale pisze się „Ben Joyce"!

XLVI.

ZEALAND I ALAND.

Wymówienie nazwiska Ben Joyce wstrząsnęło wszystkich, jak uderzenie gromu. Ayrton nagle się wyprostował. W ręce trzymał rewolwer. Huknął strzał. Glenarvan upadł, trafiony kulą. Nazewnątrz dało się słyszeć kilka wystrzałów.

John Mangles i majtkowie, ochłonąwszy ze zdziwienia, chcieli się rzucić na Ben Joyce'a; lecz zuchwały zbrodniarz uciekł już i połączył się ze swą bandą, czatującą na brzegu lasu gumowego.

Namiot nie ochraniał dostatecznie od strzałów. Trzeba się było cofać. Glenarvan, lekko raniony, powstał.

— Do wozu, do wozu! — wołał John Mangles — ciągnąc lady Helenę wraz z Marją Grant, które wkrótce znalazły się bezpieczne poza mocnemi ścianami wozu.

Wtedy dopiero John, major, Paganel i majtkowie porwali strzelby, gotowi dać odpór zbójcom. Glenarvan i Robert pozostali przy kobietach, a p. Olbinett przyłączył się do obrońców.

Wszystko to stało się błyskawicznie. John Mangles obserwował pilnie brzeg lasu. Za przybyciem herszta bandy, strzały ustały nagle. Chwilowo głębokie nastało milczenie. Obłoczki białego dymu jeszcze rysowały się pomiędzy gałęźmi drzew gumowych, wysokie zarośla gastrolabium stały nieporuszone; znikły naraz wszelkie oznaki ataku.

Major i John Mangles posunęli się na rekonesans aż do wielkich drzew. Nie było tam jednak nikogo. Widniały jeno liczne ślady kroków i tlejące się flejtuchy, świeżo ze strzelb wypadłe. Major, jako człowiek przezorny, przygasił je nogą, bo dosyć było najmniejszej iskierki, aby w tym lesie suchych drzew wzniecić pożar straszny i niebezpieczny.

— Zbrodniarze uciekli — mówił major — i właśnie to ich zniknienie mocno mnie niepokoi. Wolałbym patrzeć im w oczy. Lepszy jest tygrys w otwartej płaszczyźnie, aniżeli wąż ukryty w trawie. Przebiegnijmy te krzaki naokoło wozu.

Major i John przejrzeli okolicę, lecz od skraju lasu aż do brzegu Snowy żadnego nie napotkali zbójcy. Banda Ben Joyce'a znikła, jak stado ptaków drapieżnych; zniknięcie to jednak było tak dziwne, że tem większą czujność nakazywało — i rzeczywiście miano się na baczności. Wóz, jako miejsce ufortyfikowane, stał się środkowym punktem obozowiska, a straż nieustanną pełnili dwaj ludzie, zmieniający się co godzina.

Pierwszem staraniem lady Heleny i Marji Grant było opatrzyć ranę lorda Glenarvana. Gdy padł ugodzony kulą, przerażona lady Helena zaraz pobiegła do niego. Wobec niebezpieczeństwa, odważna ta kobieta potrafiła pokonać swą rozpacz i co prędzej odprowadziła

męża do wozu. Tam obnażono ramię skaleczone, a major, obejrzawszy ranę, przekonał się, że kula rozdarła je, nie dotarłszy do wnętrza. Ani kości, ani muskuły nie były naruszone. Z rany sączyła się krew obficie, lecz Glenarvan uspokoił swych przyjaciół, pokazując im, że może swobodnie poruszać palcami i całą ręką, a po opatrzeniu rany prosił, aby się więcej nim nie zajmowano.

Oprócz Wilsona i Mulradyego, stojących na straży, wszyscy podróżni zgromadzili się około wozu, celem wspólnej narady. Majora proszono, aby rzecz całą wyjaśnił.

Przed rozpoczęciem opowiadania, Mac Nabbs uwiadomił najprzód kobiety o tem, czego nie wiedziały: to jest o ucieczce z Perth bandy złoczyńców, o ukazaniu się ich w prowincji Wiktorji i udziale w okropnym wypadku na drodze żelaznej. Pokazał im ów numer *Australian and New Zealand Gazette*, kupiony w Seymur, i dodał, że policja nałożyła cenę na głowę Ben Joyce'a, niebezpiecznego bandyty, którego tak okropnie wsławiły zbrodnie, od półtora roku bezkarnie spełniane.

Ale jakimże sposobem Mac Nabbs poznał tego Ben Joyce'a w Ayrtonie, kwatermistrzu z jachtu *Britannia?* Tego właśnie wszyscy byli bardzo ciekawi.

Od pierwszego zaraz spotkania major, instynktem jakimś wiedziony, nie ufał Ayrtonowi. Kilka nic napozór nieznaczących faktów, spojrzenie, wymienione pomiędzy kwatermistrzem i kowalem z Wimerra River, unikanie w drodze miast i miasteczek, nalegania jego co do sprowadzenia *Duncana*, dziwna i niepojęta śmierć zwierząt, jego staraniom powierzonych, nareszcie nieopisany brak szczerości w postępowaniu — wszystkie te szczegóły razem wzięte zwolna obudziły podejrzenia majora.

Nie mógł jednakże sformułować jeszcze wyraźnego oskarżenia. Stało się to dopiero po wypadkach nocy minionej.

Mac Nabbs, pełzając wśród wysokich i gęstych zarośli, w odległości pół mili od obozowiska napotkał owe cienie podejrzane, które tak obudziły jego uwagę. Rośliny fosforyczne rzucały słabe światełka wśród ciemności.

Trzej ludzie badali przy tych światełkach ślady, świeżo na gruncie pozostawione; pomiędzy nimi Mac Nabbs poznał kowala z Black Point. „To oni!" — mówił jeden. „Tak jest" — odpowiedział drugi — oto podkowa kształtu liścia koniczyny. To tak od samej Wimerra. Wszystkie konie pozdychały. Trucizna jest niedaleko. Możnaby nią ogołocić z koni kawalerję całego świata. Co to za wyborna i pożyteczna roślina to gastrolabium!"

— Potem zamilkli — mówił Mac Nabbs — i odeszli. — Poszedłem za nimi, bo byłem ciekawy. Wkrótce wznowili rozmowę. „Zręczny to człowiek ten Ben Joyce — rzekł kowal — znakomity kwatermistrz ze swoim konceptem rozbicia się okrętu. Jeśli jego projekt się uda,

będzie to gratką niełada. Cały szatan ten Ayrton!" „Nazywaj go Ben Joyce — mówił drugi — zasłużył na to nazwisko!"

— W tej chwili — opowiadał dalej major — łotry opuścili lasek gumowy. Wiedziałem wszystko, com chciał wiedzieć, i powróciłem do obozu z tem mocnem przekonaniem, że nie wszyscy zbrodniarze, skazani na wygnanie, stają się moralniejsi pod wpływem klimatu australijskiego, pomimo teorji szanownego Paganela.

Major umilkł, towarzysze jego rozmyślali tymczasem w cichości.

— Tak tedy — mówił Glenarvan blady z gniewu — ten łotr Ayrton aż tu nas przyprowadził, aby złupić i zamordować.

— Tak jest — odpowiedział major.

— I od Wimerra już banda jego idzie wślad za nami, czyhając na przyjazną sposobność.

— Tak!

— Ależ w takim razie ten nędznik nie jest kwatermistrzem *Britanji?* Przywłaszczył sobie nazwę Ayrtona, skradł widać jego papiery.

Oczy wszystkich zwróciły się na majora, który musiał zapewne dobrze się już wprzód nad tem zastanawiać.

— Oto — odparł major spokojnym, jak zwykle, głosem — sądzę, że takie możnaby z całej tej zagmatwanej sprawy wnioski wyprowadzić: Człowiek ten zapewne nazywa się rzeczywiście Ayrton, a Ben Joyce jest tylko przezwiskiem. Nie ulega wątpliwości, że on zna Henryka Granta i że był kwatermistrzem na pokładzie *Britanji*. Przekonanie to moje potwierdzają jeszcze dopiero co przeze mnie przytoczone słowa jego wspólników. Nie błąkajmy się przeto w próżnych przypuszczeniach, lecz uznajmy za pewnik, że Ben Joyce to Ayrton, a Ayrton to Ben Joyce, czyli majtek z *Britanji*, który stał się dowódcą bandy zbiegłych kryminalistów.

Objaśnienia Mac Nabbsa przyjęto bez oporu.

— Teraz — rzekł Glenarvan — powiedz mi, jak i dlaczego kwatermistrz Henryka Granta znajduje się w Australji?

— Jak? Tego nie wiem — odpowiedział Mac Nabbs — i ręczę, że policja sama nie więcej ode mnie wie pod tym względem. Jest w tem jakaś tajemnica, którą przyszłość dopiero wyjaśnić może.

— Policja — mówił John Mangles — i tego nawet zapewne nie wie, że Ben Joyce i Ayrton są jedną i tą samą osobą.

— Masz słuszność, panie Mangles — odpowiedział major — a jednakże ta szczególna okoliczność niemałoby może ułatwiła poszukiwania.

— Więc ten nędznik — mówiła lady Helena — wkradł się do folwarku poczciwego Paddy O'Moore'a w zamiarach zbrodniczych!

— To nie ulega najmniejszej wątpliwości — odpowiedział Mac Nabbs — knuł coś niedobrego przeciwko Irlandczykowi, gdy wtem lepsza mu się nastręczyła sposobność. Los nadarzył mu nas. Sły-

szał on opowiadaną przez Glenarvana historję rozbicia i z zuchwałością zbrodniarza postanowił natychmiast skorzystać z tego. Zdecydowano wyprawę. W Wimerra skomunikował się z jednym ze swoich, kowalem z Black-Point — i pozostawił ślad naszego przejścia, łatwy do rozpoznania. Jego banda ścigała nas. Roślina zjadliwa dopomagała mu do otrucia stopniowo wszystkich naszych wołów i koni. Potem w pewnej chwili zatopił nas w bagniskach Snowy i wystawił na łup podwładnych sobie złoczyńców.

Major odtworzył całą przeszłość Ben Joyce'a. Nędznik ten ukazał się tem, czem był w istocie: zbrodniarzem zuchwałym i niebezpiecznym. Zamiary jego, jasno wykazane, wymagały ze strony Glenarvana czujności nadzwyczajnej. Na szczęście, mniej był szkodliwy bandyta jawny, niżeli łotr ukryty.

Lecz z położenia tego wypływała bardzo ważna konsekwencja; nikt jeszcze o tem nie pomyślał, jedna tylko Marja Grant, słuchając o przeszłości, rozważała przyszłość.

John Mangles pierwszy spostrzegł bladość jej i niemą rozpacz; zrozumiał, co się działo w jej umyśle.

— Miss Marjo, miss Marjo! — zawołał. — Płaczesz?

— Płaczesz, moje dziecię? — spytała lady Helena.

— Mój ojciec, pani, mój biedny ojciec! — wyjąkało biedne dziecię.

Nie mogła mówić dalej, ale wszyscy zrozumieli jej boleść, łzy i powody powtarzania imienia ojca.

Odkrycie zdrady Ayrtona niszczyło odrazu wszelką nadzieję. Zbrodniarz ten dla uwiedzenia Glenarvana zmyślił rozbicie się okrętu; wspólnicy jego wyraźnie to powiedzieli, w rozmowie przez majora podsłuchanej. Nigdy jacht *Britannia* nie rozbił się o skały zatoki Twofold; nigdy Henryk Grant nogą nie postał na lądzie australijskim.

Mylne pojęcie dokumentu po raz drugi już na fałszywą drogę wprowadzało wyprawę, szukając śladów *Britanji*.

Wobec takiego położenia, wobec boleści dwojga nieszczęsnych dzieci wszyscy w smutnem trwali milczeniu. Któżby zdołał znaleźć jeszcze jakie słowo pociechy lub nadziei? Robert płakał w objęciach siostry. Paganel mruczał strapiony:

— Ach! przeklęty dokumencie! Możesz się pochwalić, żeś na ciężką próbę wystawił mózgi dwunastu poczciwych ludzi!...

Zacny geograf, zły sam na siebie, bił się w czoło, jakby je chciał potrzaskać na kawałki.

Glenarvan tymczasem wyszedł do Wilsona i Mulradyego, stojących na straży. Na płaszczyźnie, ciągnącej się od lasu do rzeki, głębokie panowało milczenie. Sklepienie niebios przesłoniły gęste, nieruchome chmury. Wśród tej atmosfery, pogrążonej w odrętwieniu, najmniejszy szmer dałby się słyszeć bardzo wyraźnie; nic jednak nie zakłócało spokoju. Ben Joyce ze swą bandą musiał odejść znacznie

dalej, nic bowiem nie zdradzało obecności człowieka: ptaki spokojnie siedziały na gałązkach niskich drzew, a kangury szczypały młode pączki bez najmniejszej trwogi.

— Czyście nic nie widzieli i nie słyszeli przez całą tę godzinę? — zapytał Glenarvan majtków.

— Nic — odpowiedział Wilson. — Złoczyńcy musieli się oddalić, przynajmniej na znaczną odległość.

— Widać, że nie czują się na siłach do atakowania nas — dodał Mulrady. — Ben Joyce będzie chciał zapewne powiększyć swą bandę przez namówienie do niej włóczęgów, snujących się u podnóża Alp.

— To być może — odrzekł Glenarvan. — Te łotry stchórzyły widocznie. Wiedzą, że jesteśmy uzbrojeni i dobrze uzbrojeni. A może czekają nadejścia nocy dla ponowienia napadu; przed wieczorem trzeba będzie podwoić czujność. Ach, gdybyśmy mogli wybrnąć z tej błotnistej płaszczyzny i puścić się w drogę ku wybrzeżu! Ale wezbrane wody rzeczne tamują nam przejście. Na wagę złota kupiłbym prom, mogący nas przenieść na drugą stronę rzeki.

— Dlaczego Wasza Dostojność nie rozkaże nam zbudować tego promu? Drzewa przecież nie brak — powiedział Wilson.

— Nie, Wilsonie — odpowiedział Glenarvan. — Ta Snowy to nie rzeka, lecz potok nie do przebycia.

W tej chwili nadeszli John Mangles, major i Paganel, którzy chodzili badać rzekę. Wskutek ostatnich deszczów woda znowu przybrała i jeszcze się podniosła o jedną stopę wyżej nad swój stan normalny. Prąd jej był rwący, jak na rzekach amerykańskich. Ani myśleć było o puszczeniu się na taką pieniącą się i gwałtowną rzekę. John Mangles oświadczył stanowczo, że przeprawa jest niemożliwa.

— Ale — mówił dalej — nie można tu pozostać bez przedsięwzięcia czegoś. Cośmy zrobić chcieli przed wykryciem zdrady Ayrtona, teraz tem bardziej uczynić wypada.

— O czem mówisz, Johnie? — spytał Glenarvan.

— Mówię, że pomoc jest obecnie dla nas niezbędna, a ponieważ nie można iść do zatoki Twofold, to trzeba udać się do Melbourne. Mamy jeszcze jednego konia, niech mi go Wasza Dostojność wziąć pozwoli, pojadę do Melbourne.

— Ależ to przedsięwzięcie bardzo niebezpieczne — rzekł lord Glenarvan. — Nie mówiąc już o trudnościach takiej dwustomilowej podróży przez kraj nieznany, ręczę, że na wszystkich drogach spotkać się można ze wspólnikami Ayrtona.

— Wiem o tem, milordzie, ale wiem także, iż w podobnem położeniu dłużej pozostać nie możemy. Ben Joyce prosił tylko o tydzień czasu na sprowadzenie załogi *Duncana;* ja będę się starał za sześć dni wrócić na brzegi Snowy. Jaka przeto jest wola Waszej Dostojności?

— Zanim lord Glenarvan odpowie — rzekł Paganel — zrobię z mej strony jedną uwagę. Przeciwko posłaniu do Melbourne nie mam nic — i owszem; ale żeby narażać na niebezpieczeństwo Johna Manglesa, na to stanowczo się nie zgadzam. Jest on kapitanem *Duncana* i dlatego narażać się nie może. Ja gotów jestem iść za niego.

— Masz słuszność, panie Paganel — rzekł major — tylko nie widzę powodu, dla którego tybyś miał iść a nie kto inny.

— Czyż nas tu niema? — zawołali Mulrady i Wilson.

— I czy sądzicie, że przestraszyłaby mnie przejażdżka podobna? — rzekł Mac Nabbs.

— Moi drodzy — oświadczył Glenarvan — skoro jeden z nas ma pojechać do Melbourne, to niechże los rozstrzygnie. Paganelu, napisz nazwiska nasze...

— Prócz pańskiego, milordzie! — wtrącił John Mangles.

— A to dlaczego? — spytał Glenarvan.

— Pan miałbyś się oddalić od lady Heleny? Pan, którego rana jeszcze się nie zabliźniła! Milordzie, ty nie możesz się stąd oddalić.

— Tak jest — dodał major. — Twoje miejsce jest tutaj, Edwardzie, ty nie powinieneś jechać.

— Skoro grozi niebezpieczeństwo — mówił Glenarvan — to i ja chcę je podzielić zarówno z innymi. Pisz, Paganelu; niech i moje nazwisko pomiesza się z imionami mych towarzyszy i daj Boże, aby najpierw było wyciągnięte.

Trzeba było ulec woli tak stanowczej. Nazwisko Glenarvana napisano i zmieszano wraz z innemi. Przystąpiono do ciągnienia... los wskazał na Mulradyego. Dzielny majtek wydał okrzyk radości niekłamanej.

— Milordzie — zawołał — jestem gotów do drogi!

Glenarvan uścisnął mu rękę, poczem powrócił do wozu, pozostawiając na straży przy obozowisku majora i młodego kapitana.

Lady Helenę zawiadomiono zaraz o postanowionem wysłaniu posłańca do Melbourne i o losie, jaki padł na wiernego majtka. Kilka wyrazów serdecznych, z jakiemi zwróciła się do Mulradyego, trafiły do głębi duszy tego mężnego marynarza. Wiedziano, że jest odważny, silny, roztropny, wyższy nad wszelkie trudy — i rzeczywiście los nie mógł lepszego zrobić wyboru.

Odjazd Mulradyego naznaczony był na ósmą godzinę z rana. Wilson zajął się przysposobieniem konia. Przyszło mu na myśl zmienić zdradliwą podkowę, jaką koń miał na lewej nodze, i zastąpić ją inną, oderwaną od kopyta jednego z koni padłych zeszłej nocy. Złoczyńcy nie mogliby rozpoznać śladów jeźdźca, ani gonić za nim, nie mając koni.

Gdy Wilson zajęty był temi szczegółami. Glenarvan tymczasem chciał pisać list do Austina, ale nie mógł tego uczynić z powodu ręki skaleczonej, prosił przeto Paganela, aby go zastąpił. Uczony geograf,

cały zajęty jedną myślą, zdawał się nie wiedzieć, co się w koło niego dzieje. Trzeba bowiem wiedzieć, że Paganel, wśród pasma tych nieprzyjaznych wypadków, głowę miał wciąż nabitą jedynie tylko dokumentem, tak fałszywie zrozumianym i wytłumaczonym. Przestawiał on ciągle wyrazy na najrozmaitsze sposoby, szukając w nich nowego jakiego znaczenia i całą myślą w tem zatonął. Dlatego też nie usłyszał prośby Glenarvana, tak, że lord musiał ją po raz drugi powtórzyć.

— A i owszem — odpowiedział Paganel — jestem na twe rozkazy, milordzie.

To mówiąc, wyjął machinalnie swą książeczkę notatkową, wydarł z niej kartkę czystego papieru, wziął do ręki ołówek i czekał. Glenarvan zaczął dyktować swe instrukcje:

„Polecam Tomaszowi Austinowi, aby bezzwłocznie wypłynął na morze i doprowadził *Duncana*...

Paganel kończył ostatni wyraz, gdy przypadkiem wzrok jego padł na numer *Australian and New-Zealand Gazette*, leżący na ziemi. Dziennik był tak złożony, że można było przeczytać tylko dwie ostatnie sylaby jego tytułu. Paganelowi wypadł z ręki ołówek, zamyślił się i zdawało się, że zapomniał o Glenarvanie, o jego liście i o dyktowaniu.

— Piszmy dalej, Paganelu — rzekł Glenarvan.

— Ach! — krzyknął nagle geograf.

— Co ci jest? — zapytał major.

— Nic! nic! — odpowiedział Paganel.

Potem ciszej nieco powtarzał: *aland! aland! aland!*

Wstał, pochwycił gazetę, przewracał ją i zwijał, powstrzymując się od wymówienia słów, cisnących mu się na usta.

Lady Helena, Marja, Robert i Glenarvan patrzyli na niego, nie mogąc zrozumieć tego wzruszenia.

Paganel podobny był do człowieka, który nagle zmysły utracił. Lecz stan ten wzburzenia nerwowego trwał krótko. Uspokajał się zwolna, radość, błyszcząca w jego oczach, gasła — powrócił na swoje miejsce i rzekł tonem zupełnie spokojnym:

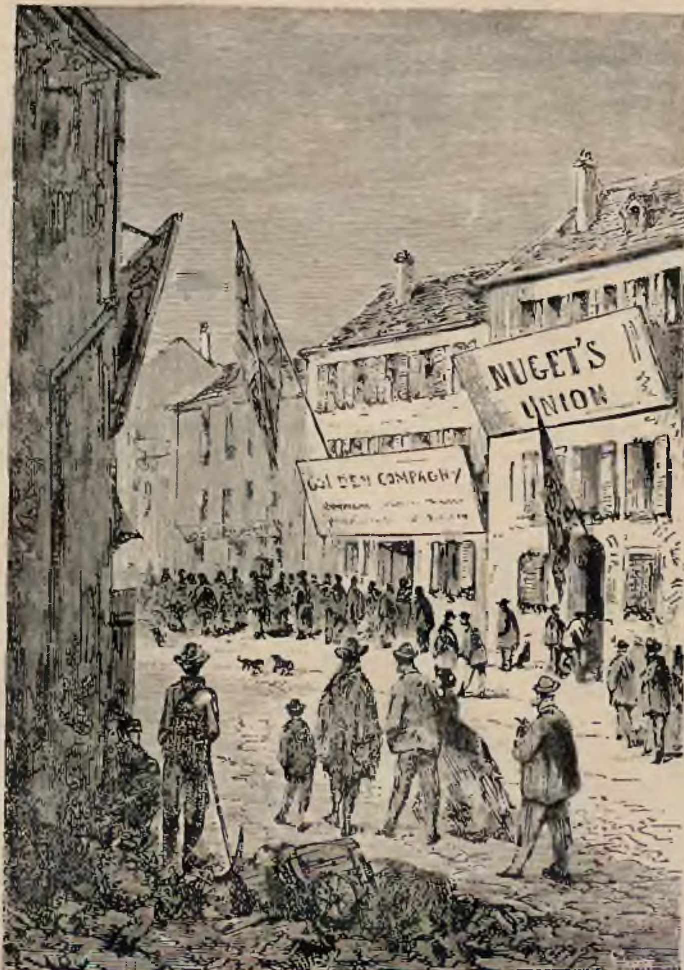
— Gdy zechcesz dalej dyktować, milordzie, jestem na twe usługi.

Glenarvan tedy dyktował dalej:

„Polecam Tomaszowi Austinowi, aby bezzwłocznie wypłynął na morze i doprowadził *Duncana* do trzydziestego siódmego stopnia szerokości wschodniego wybrzeża Australji"...

— Australji! — powtórzył Paganel. — Ach! tak! Australji.

Skończywszy list, dał go do podpisu Glenarvanowi, który dopełnił tego z wielką trudnością. Pismo złożono i zapieczętowano, a



Tam wznosiło się prawdziwe miasto... (str. 256).

Paganel drżącą jeszcze ze wzruszenia ręką położył adres następujący:

Tomasz Austin
Porucznik na pokładzie jachtu *Duncan*
w Melbourne.

Potem oddalił się od wozu, machając rękami i powtarzając te niezrozumiałe wyrazy:

Aland! Aland! Zealand!

XLVII.

CZTERY DNI NIEPOKOJU.

Reszta dnia minęła bez żadnego wypadku. Ukończono wszystkie przygotowania do drogi Mulradyego; dzielny majtek szczęśliwy był, mogąc swemu panu dać ten mały dowód przywiązania.

Paganel odzyskał zimną krew i powrócił do zwykłego stanu. Wzrok jego objawiał jeszcze żywe zajęcie, którego jednak, jak się zdawało, postanowił nie wyjawiać. Geograf musiał mieć ważne powody do takiego postępowania, bo major podsłuchał następujące wyrazy, które wymawiał jak człowiek, toczący walkę sam ze sobą:

— Nie, nie! Oni mi nie uwierzą! A zresztą na co się to przyda? Już jest za późno!

To postanowiwszy, zajął się daniem Mulradyemu informacyj, potrzebnych w podróży do Melbourne, a na karcie rozłożonej wskazywał mu drogę, jakiej się ma trzymać. Wszystkie szlaki (tracks) prowadziły do wielkiej drogi, wiodącej do Lucknow. Dążąc prosto na południe, do wybrzeża, droga ta nagle się załamywała w kierunku Melbourne, lecz wypadało ciągle się jej pilnować i nie szukać żadnych skróceń w kraju obcym. To mając na pamięci, Mulrady nie mógł zabłądzić.

Niebezpieczeństwa nie obawiał się wcale; złoczyńcy mogli się rozproszyć w obrębie kilkomilowym i czyhać z zasadzki, lecz Mulrady ufał szybkości swego konia i własnej zręczności; był przeto pewny, że wywiąże się dobrze ze swego poselstwa.

O szóstej godzinie wieczerzano wspólnie; deszcz ulewny padać począł, a gdy namiot nie osłaniał dostatecznie, każdy uciekał na wóz; było to zresztą schronienie pewne. Zagrzęzły mocno w glinie, trzymał się w niej silnie, jak twierdza jaka na swych fundamentach. Arsenał, składający się z siedmiu strzelb i tyluż rewolwerów, dozwalał wytrzymywać dość długie oblężenie, bo ani żywności, ani amunicji na pewnoby nie zabrakło; spodziewać się było można, że za sześć dni *Duncan* stanie w zatoce Twofold i że we dwadzieścia cztery godziny później osada jego znajdzie się na drugim brzegu Snowy. Gdyby zaś przeprawa była jeszcze i wtedy niemożliwa, to i tak złoczyńcy musieliby się cofnąć przed siłą przeważającą. Lecz przedewszystkiem szło o to, aby Mulrady nie doznał przeszkody w spełnieniu swego posłannictwa.

O ósmej ściemniało się zupełnie. Była to najprzyjaźniejsza pora do wyjazdu. Przyprowadzono konia, któremu przez ostrożność obwinięto płótnem kopyta, aby nietyle robiły hałasu. Zwierzę zdawało się być strudzone, a jednakże od siły jego i pewności nóg zależało ocalenie wszystkich. Major radził Mulradyemu oszczędzać konia,

skoro nie będzie mu grozić niebezpieczeństwo ze strony złoczyńców. Lepiej było spóźnić się o pół dnia, a przybyć na pewno.

John Mangles dał swemu majtkowi rewolwer, starannie przez siebie nabity. W ręku odważnego człowieka była to broń straszna, bo sześć strzałów, wypadających w ciągu kilku sekund, łatwo mogły oczyścić drogę, gdyby ją zastąpili złoczyńcy.

Mulrady wskoczył na siodło.

— Oto list, który oddasz Austinowi — rzekł lord Glenarvan. — Niechaj, nie tracąc ani chwili, płynie do zatoki Twofold, a jeśli nas tam nie znajdzie, bo może nie zdołamy przebyć Snowy, niechaj do nas przybywa bez najmniejszej zwłoki! Teraz, mój dzielny chłopcze, niech cię Bóg prowadzi!

Glenarvan, lady Helena i Marja Grant uścisnęli rękę poczciwemu majtkowi. Taki wyjazd w noc ciemną i dżdżystą, po drodze najeżonej niebezpieczeństwami, przez nieznane przestrzenie ogromnej pustyni, mógłby zatrwożyć odważniejszego nawet, niż Mulrady człowieka.

— Żegnam was, milordzie — rzekł marynarz spokojnym głosem i znikł na ścieżce, ciągnącej się wzdłuż brzegu leśnego.

W tej chwili zdwoiła się gwałtowność nawałnicy. Wysokie gałęzie eukaliptusów trzeszczały głucho. Można było zdaleka słyszeć, jak na grunt wilgotny spadały odłamki suchych gałęzi. Niejedno drzewo olbrzymie, pozbawione rdzenia, lecz stojące dotąd mocno, runęło podczas tej burzy gwałtownej. Świst wiatru mieszał się z trzeszczeniem drzew i z ponurym szumem Snowy. Ciężkie chmury, pędzone na wschód wiatrem, opadały aż ku ziemi, jakby łachmany pary. Posępna ciemność zwiększała jeszcze okropność nocy.

Po odjeździe Mulradyego podróżni ukryli się na wozie. Lady Helena, Marja Grant, Glenarvan i Paganel zajęli pierwszy przedział szczelnie zamknięty. W drugim pomieścili się wygodnie Olbinett, Wilson i Robert. Major zaś i John Mangles pozostali zewnątrz na straży. Przezorność ta była niezbędna, bo złoczyńcy mogli napaść co chwila.

Dwaj strażnicy filozoficznie znosili ulewę, plwającą im w twarz. Wzrokiem usiłowali przedrzeć ciemności tak przyjazne zasadzkom, gdyż ucho nic pochwycić nie mogło wśród huku burzy, świstu wichrów, trzeszczenia gałęzi, łamania się drzew, jęczenia fal wzburzonych i całej wrzawy zaniepokojonej przyrody.

Jednakże niekiedy zdarzały się krótkie przerwy w tej wrzawie; wiatr ustawał, jakby dla nabrania tchu, i sama tylko Snowy jęczała, rozbijając swe fale o trzciny i drzewa gumowe, nieruchomie stojące. W tych krótkich przerwach milczenie jeszcze się głębszem wydawało. Major i John Mangles słuchali wtedy z uwagą natężoną — i właśnie w jednej z takich chwil doleciał do nich odgłos gwizdnięcia.

John Mangles szybko podszedł do majora.

— Czy słyszałeś pan? — zapytał.

— Tak jest — odrzekł Mac Nabbs. — Czy to człowiek, czy zwierzę?

— Człowiek — odpowiedział Mangles.

Potem obaj słuchali. Gwizdnięcie znowu się powtórzyło, a jakby w odpowiedzi rozległ się huk podobny do wystrzału, ale tak niewyraźny i przytłumiony z powodu na nowo rozszalałej burzy, że zaledwie uchem pochwycić go było można. Mac Nabbs i John Mangles nie mogli się już porozumieć, podeszli przeto do wozu, aby się zasłonić przed wiatrem.

W tej chwili z pod skórzanej zasłony wychylił się Glenarvan i podszedł do swych towarzyszów. Również, jak oni, słyszał on gwizdnięcie owo złowróżbne i wystrzał, którego echo rozległo się pod przykrywającą wóz budą.

— Z której to strony? — zapytał Glenarvan.

— Tam — odpowiedział John, wskazując ręką w stronę, w którą odjechał Mulrady.

— W jakiej odległości?

— Wiatr unosi odgłos — zdaje się jednak, że najmniej o trzy mile (angielskie).

— Idźmy tam — rzekł Glenarvan, zarzucając strzelbę na ramię.

— Nie, nie chodźmy! — odpowiedział major. — Jest to pułapka, aby nas od wozu oddalić.

— A jeśli Mulrady padł pod strzałami tych nędzników? — rzekł szybko Glenarvan, chwytając za rękę majora.

— Dowiemy się jutro — odrzekł chłodno major, chcąc stanowczo niedopuścić, aby Glenarvan popełnił nieroztropność zbyteczną.

— Ty, milordzie, nie możesz oddalić się od obozowiska — rzekł John — ja sam pójdę.

— Ani ty kapitanie! — z energją oparł się Mac Nabbs. — Czyż chcecie, aby nas po jednemu zabijano, abyśmy tym sposobem uszczuplili nasze siły i pozostali na łasce tych zbrodniarzy. Jeśli Mulrady padł ofiarą ich łotrostwa, to nieszczęścia tego nie trzeba zwiększać wystawianiem się na drugi podobny wypadek. Los padł na Mulradyego i on pojechał. Gdyby los był wypadł na mnie, ja byłbym tak samo pojechał, ale nie żądałbym pomocy, anibym liczył na nią.

Major miał słuszność pod każdym względem i dobrze uczynił, zatrzymując swych towarzyszy. Puszczać się wśród ciemnej nocy i po drodze, na której z pewnością usadowili się zbójcy, było nierozsądnie i bezpożytecznie. Mały orszak Glenarvana nie mógł narażać się na nowe jeszcze straty.

Glenarvan, jak się zdawało, nie miał ochoty ulec temu rozumowaniu; targał swój karabin, chodził niespokojny naokoło wozu, na najmniejszy szmer nadstawiał ucha, a wzrokiem rad był przeniknąć zdradliwą ciemność. Dręczyła go myśl, że człowiek, który się

za wszystkich poświęcił, mógł być raniony śmiertelnie i napróżno oczekiwał ratunku od swoich. Mac Nabbs nie wiedział, czy zdoła powstrzymać Glenarvana, gdyby ten, słuchając tylko swego dobrego serca, zechciał bądź co bądź biec pod kule złoczyńców.

— Edwardzie — rzekł po chwili — uspokój się: usłuchaj przyjaciela. Myśl o twojej żonie, o Marji Grant i o wszystkich, którzy pozostają. Zresztą gdzie chcesz iść? Gdzie myślisz znaleźć Mulradyego? Co najmniej o dwie mile stąd był napadnięty! Ale jaką drogą, jaką ścieżką iść ku niemu?

W tej chwili, jakby w odpowiedzi na słowa majora, rozległ się głos, wzywający pomocy.

— Słuchajcie! — zawołał Glenarvan.

Głos ten dochodził z tej właśnie strony, skąd słychać było wystrzał, i w odległości nie więcej, jak ćwierć mili.

Glenarvan, odpychając majora, już biegł ku drodze, gdy już tylko o jakie sto kroków od wozu dało się słyszeć wołanie:

— Ratujcie! ratujcie!

Na to żałosne i rozpaczliwe wołanie John Mangles i major pobiegli co prędzej i spostrzegli niedaleko w zaroślach wlokącego się człowiecka, który jęczał okrutnie.

Był to Mulrady raniony, może umierający, a gdy go towarzysze podnieśli, uczuli krew na swych rękach.

Zdwoiła się właśnie gwałtowność deszczu i wiatr dął wściekle pomiędzy zaroślami; wśród największej nawałnicy Glenarvan, major i John Mangles przenosili biednego majtka.

Przybycie ich poruszyło wszystkich. Paganel, Robert, Wilson i Olbinett zeszli z wozu, a lady Helena ustąpiła swego przedziału rannemu. Major zdjął mu kamizelkę, przesiąkniętą krwią i wodą deszczową. Znalazł ranę: nieszczęśliwy dostał pchnięcie sztyletu w bok prawy.

Mac Nabbs opatrzył go bardzo zręcznie, lecz nie wiedział, czy rana była niebezpieczna; płynęła z niej struga krwi, a bladość i osłabienie ranionego dowodziły, że stan jego był groźny. Obmywszy ranę zimną wodą, major położył na nią kawał hubki, przykrył to szarpią i obandażował, przez co powstrzymał krwotok. Chorego położono na boku przeciwnym, z głową i piersiami podniesionemi, a lady Helena podała mu nieco wody do picia.

Po upływie kwadransa, chory się poruszył, otworzył oczy, wyszeptał kilka wyrazów bez związku, a major, nachyliwszy się, usłyszał:

— Milordzie... list... Ben Joyce.

Powtórzył więc te wyrazy, spoglądając na swych towarzyszów. Co Mulrady chciał powiedzieć? Ben Joyce napadł go, ale dlaczego? Zrobił to jedynie w celu zatrzymania go, przeszkodzenia mu w podróży do miejsca, gdzie stał *Duncan*. Ten list...

Glenarvan przeszukał kieszenie chorego, lecz nie znalazł listu, adresowanego do Tomasza Austina.

Noc przepędzono bardzo niespokojnie. Obawiano się co chwila, aby ranny nie umarł. Pożerała go gorączka; lady Helena i Marja Grant, jak dwie siostry miłosierdzia, nie odstępowały go ani na chwilę. Nigdy może chory nie był lepiej pielęgnowany.

Z nadejściem dnia deszcz przestał padać, lecz niebo okrywały jeszcze gęste chmury. Grunt zasłany był odłamkami gałęzi; glina przemiękła usuwała się z pod nóg; przystęp do wozu był coraz trudniejszy, ale zato wóz już nie mógł zagłębiać się bardziej.

O świcie John Mangles, Paganel i Glenarvan ruszyli na zwiady w okolice obozowiska; zwrócili się najprzód na drogę, zbroczoną jeszcze świeżemi krwi śladami, ale nigdzie nie spostrzegli nic, coby zdradzało obecność złoczyńców. Dotarli aż do miejsca, w którem napadu dokonano; tam leżały na ziemi dwa trupy, przeszyte kulami Mulradyego; w jednym z nich poznano kowala z Black-Point. Wstrętny był widok twarzy jego, śmiercią zmienionej.

Glenarvan nie chciał już dalej posuwać swych poszukiwań. Roztropność nie pozwalała mu zbytecznie się oddalać. Powrócił więc do wozu, myśląc o trudnem położeniu, w jakiem się znajdowali.

— Ani myśleć — rzekł — o wysyłaniu drugiego posłańca do Melbourne.

— A jednak trzeba koniecznie, milordzie — powiedział John Mangles — ja sam popróbuję przejść tam, gdzie nie udało się mojemu majtkowi.

— Nie, kapitanie! to być nie może; a nawet nie mamy konia, na którym mógłbyś przejechać te dwieście mil.

I w rzeczy samej koń Mulradyego, jedyny, jaki pozostał po wypadku swego jeźdźca, nie powrócił. Czy padł pod ciosami złoczyńców? Czy zabłąkał się w pustyni? Czy też sami zbójcy zatrzymali go dla siebie.

— Cokolwiek bądź przytrafi się dalej — mówił Glenarvan — nie rozłączymy się już więcej. Czekajmy osiem, a choćby i piętnaście dni, dopóki wody Snowy nie powrócą do normalnego swego poziomu; wtedy powoli dostaniemy się do zatoki Twowold, a stamtąd pewniejszą już drogą wyślemy do *Duncana* rozkaz połączenia się z nami.

— Podzielam w zupełności to zdanie — powiedział Paganel.

— Tak, moi drodzy — mówił Glenarvan — już się więcej nie rozłączajmy. Człowiek zawiele jest narażony, puszczając się sam jeden na tę pustynię, opanowaną przez zbójów. Niechaj Bóg tylko zachowa przy życiu biednego naszego majtka i nas nie wypuszcza ze swej opieki.

Glenarvan podwójnie miał słuszność: najpierw, że nie pozwalał na dalsze usiłowania odosobnione, a następnie, że postanowił cze-

kać, dopóki nie będzie możliwa przeprawa przez Snowy. Zaledwie trzydzieści pięć mil dzieliło go od Delgate, pierwszego miasta kresowego Nowej Południowej Walji, gdzie mógł znaleźć środki dotarcia do zatoki Twofold, a stamtąd przesłać telegraficznie do Melbourne rozkazy *Duncanowi.*

Wszystkie te środki były bardzo roztropne, ale, niestety, za późno przedsięwzięte. Gdyby Glenarvan nie był wysłał Mulradyego na drogę do Lucknow, ilużby nieszczęść uniknięto, nie mówiąc już o zamordowaniu majtka!

Za powrotem do obozowiska, zastał pozostawione tam osoby nieco weselsze. Zdawało się, że odzyskiwały nadzieję.

— Lepiej, lepiej! — wołał Robert, biegnąc na spotkanie lorda.

— Mulrady ma się lepiej?...

— Tak, Edwardzie — rzekła lady Helena. — Nastąpiło jakieś przesilenie; major jest spokojniejszy, nasz majtek żyć będzie.

— Gdzie jest Mac Nabbs? — spytał Glenarvan.

— Przy chorym. Mulrady chciał z nim mówić — nie trzeba im przeszkadzać.

W rzeczy samej, od godziny już przeszło chory odzyskał przytomność i gorączka znacznie się zmniejszyła. Jak tylko powróciła mu pamięć i mowa, Mulrady zażądał rozmowy z lordem Glenarvanem, lub w jego nieobecności z majorem. Mac Nabbs, widząc go tak osłabionym, chciał mu zabronić rozmowy, ale majtek z taką nastawał energją, że major musiał ulec jego żądaniu.

Już rozmowa trwała od kilku minut, gdy nadszedł lord Glenarvan. Wypadało więc tylko czekać na wyjście majora i od niego dowiedzieć się o jej treści.

Niedługo na to czekano. Major podszedł do zebranych pod wielkiem drzewem gumowem, gdzie rozpięty był namiot. Twarz jego tak zimna zazwyczaj, zdradzała w tej chwili troskę poważną, a wzrok posmutniał, skoro zatrzymał go na Marji Grant i lady Helenie.

Glenarvan niespokojny chciał co prędzej dowiedzieć się prawdy, major więc w krótkości powtórzył to, co słyszał od chorego.

Wyjechawszy z obozu, Mulrady trzymał się drogi przez Paganela wskazanej. Śpieszył o tyle przynajmniej, o ile na to pozwalały ciemności nocy. Tak przejechał ze dwie mile, gdy nagle konia jego zatrzymało kilku ludzi — pięciu — jeśli go pamięć nie myli. Koń stanął dęba; Mulrady pochwycił za rewolwer i dał ognia. Zdawało mu się, że dwóch napastników padło. Przy błysku strzałów poznał Ben Joyce'a, lecz nie miał już czasu dać więcej strzałów: cios gwałtowny, zadany mu w bok prawy, zwalił go na ziemię.

Nie zaraz jednak utracił przytomność, chociaż złoczyńcy mieli go za umarłego. Przetrzęśli jego kieszenie i jeden ze zbójców zawołał: „Mam list!" „Daj mi go!! — odparł Ben Joyce — Do nas już *Duncan* należy! Teraz pochwyćcie konia. Za dwa dni będę na po-

kładzie Duncana, za sześć w zatoce Twofold; tam bowiem spotkanie naznaczone. Tamci będą jeszcze siedzieli w błocie nad Snowy. Przejdźcie rzekę po moście Kempler-Pier, dotrzyjcie do wybrzeża i tam czekajcie na mnie. Znajdę ja sposób wprowadzenia was na pokład. Raz wypłynąwszy na morze z taką załogą i takim jak *Duncan* okrętem, staniemy się panami oceanu Indyjskiego". „Hurra Ben Joyce! niech żyje Ben Joyce!" — wrzasnęli złoczyńcy. Przyprowadzono konia Mulradyego. Ben Joyce dosiadł go i galopem popędził drogą do Lucknow, a banda jego tymczasem zwróciła się na południowo-wschód ku rzece Snowy. Mulrady, chociaż ciężko raniony, zdołał jednak dowlec się do miejsca, w którem znaleźliśmy go nawpół żywego. Rozumiecie więc teraz, dlaczego poczciwy majtek tak bardzo pragnął rozmowy.

Wiadomości powyższe trwogą najokropniejszą przejęły Glenarvana i jego towarzyszów.

— Piraci, piraci! — wołał Glenarvan. — Moi ludzie wymordowani! Mój *Duncan* w rękach tych bandytów!

— Tak jest — dodał major — bo Ben Joyce zdoła podejść Tomasza Austina i opanuje okręt, a wtedy...

— Potrzeba więc, abyśmy dostali się na wybrzeża wprzód, nim tam dojdą ci nędznicy — zauważył Paganel.

— Ale jakże przejść rzekę Snowy? — zapytał Wilson.

— Tak samo, jak oni — odrzekł Glenarvan. — Oni mają przejść po moście Kempler-Pier i my uczyńmy to samo.

— Ale cóż zrobimy z chorym? — pytała lady Helena.

— Poniosą go wszyscy na przemiany. Czyż mogę bez obrony zostawić mych ludzi i wydać ich na łup bandy tego łotra Ben Joyce'a?

Zamiar przejścia Snowy przez most Kempler-Pier możliwy był do wykonania, ale ryzykowny. Złoczyńcy mogli usadowić się w tym punkcie i napaść podróżnych. Byłoby ich co najmniej trzydziestu przeciwko siedmiu. Ale są chwile, w których się nie liczy nieprzyjaciela, lecz bądź co bądź idzie się naprzód.

— Milordzie — rzekł wtedy John Mangles — zanim zdecydujemy się na ten krok niebezpieczny a stanowiący dla nas ostatni ratunek, zanim pójdziemy na ten most, może byłoby roztropniej zbadać go naprzód! Ja się tego podejmuję.

— I ja pójdę z tobą, panie Mangles — rzekł Paganel.

Propozycję przyjęto. John Mangles i Paganel sposobili się do odjazdu. Mieli puścić się wdół rzeki Snowy, trzymając się brzegu, dopóki nie znajdą mostu, wskazanego przez Ben Joyce'a. Cała ta wycieczka miała się odbyć bardzo ostrożnie, aby uniknąć oka złoczyńców, włóczących się ponad rzeką.

Przez cały dzień oczekiwano ich powrotu; gdy wieczorem jeszcze nie było ich widać, trwoga i niepokój owładnęły wszystkie serca.

Nareszcie około jedenastej godziny Wilson oznajmił ich powrót. Paganel i John Mangles znękani byli trudem pochodu dziesięciomilowego.

— Cóż ten most? — Czy znaleźliście ten most? — pytał Glenarvan, wybiegając naprzeciw przybyszów.

— Znaleźliśmy — odpowiedział John Mangles — most... Złoczyńcy przeszli po nim, ale...

— Ale... — powtórzył Glenarvan, jakby nowe przeczuwając nieszczęście.

— Ale spalili go po przejściu! — dokończył Paganel.

XLVIII.

EDEN.

Nie czas było rozpaczać, działać było potrzeba. Chociaż most Kempler-Pier był zniszczony, trzeba było przeprawić się przez rzekę Snowy bądź co bądź i wyprzedzić bandę Ben Joyce'a w dostaniu się na brzeg zatoki Twofold. Więc nie tracono czasu i słów napróżno i nazajutrz zaraz, 16-go stycznia, John Mangles i Glenarvan poszli zbadać rzekę, w celu urządzenia przeprawy.

Burzliwe i deszczami wezbrane wody rzeczne nie opadały. Owszem, z nieopisaną wściekłością szalały coraz zawzięciej; puszczać się na nie, było to prawie to samo, co poświęcać się na śmierć. Glenarvan stał nieporuszony, z rękoma na piersi skrzyżowanemi i z głową nadół spuszczoną.

— Pozwól, milordzie, abym przepłynął rzekę wpław i dostał się na drugą stronę — rzekł John Mangles.

— Nie kapitanie — odpowiedział Glenarvan, powstrzymując za rękę zuchwałego młodziana — poczekajmy!

I obaj powrócili do obozowiska. Dzień cały przeszedł w najwyższym niepokoju. Po dziesięć razy Glenarvan powracał do rzeki, kombinując w swej głowie najzuchwalsze pomysły przebycia jej, lecz napróżno. Gdyby potoki lawy płynęły w jej łożysku, nie byłaby trudniejszą do przebycia.

Podczas tych długich godzin, na próżnem spędzanych rozmyślaniu, lady Helena, wspierana radami majora, najczulszem staraniem otaczała biednego majtka, wracającego pomału do życia. Mac Nabbs upewnił się, że niebezpieczeństwa nie było, a osłabienie łatwo było usprawiedliwić znacznym upływem krwi. Skoro więc rana się zamknęła i krwotok ustał, czasu już tylko było potrzeba i wypoczynku do zupełnego wyzdrowienia. Lady Helena domagała się, aby chory

zajął pierwszy przedział na wozie. Mulrady czuł się upokorzony taką dobrocią; bolała go ta myśl, że słabość jego może być dla Glenarvana powodem do opóźnienia podróży i nieprędzej się uspokoił, aż mu przyrzeczono, że pozostawią go w obozowisku pod opieką Wilsona, jeśli uda się wynaleźć przejście przez rzekę Snowy.

Na nieszczęście, o przeprawie nawet marzyć nie było można ani tego dnia, ani nazajutrz. Doprowadzało to Glenarvana do rozpaczy, lady Helena i major napróżno starali się go uspokoić i zachęcać do wytrwania, do cierpliwości. Do cierpliwości? — Wtedy, gdy Ben Joyce był bliski przybycia na pokład jachtu, gdy *Duncan* wytężał może całą siłę pary, aby co prędzej przybyć do tego nieszczęsnego wybrzeża, i gdy każda godzina zbliżała go do celu!

John Mangles rozumiał niepokój lorda Glenarvana; dlatego też, chcąc koniecznie pokonać trudności, zbudował czółno na sposób australijski, statek ten jednak bardzo był słaby i niepewny.

Przez cały dzień 18-sty stycznia kapitan wraz z majtkiem odbywali próby z tem lichem czółnem, robiąc wszystko, na co się tylko zdobyć może zręczność, odwaga, siła i przytomność. Dostawszy się na prąd, czółno się wywróciło; żeglarze omal życiem nie przypłacili tych zuchwałych doświadczeń, a statek, wciągnięty w wir — zatonął. John Mangles i Wilson nawet dziesięciu węzłów nie przepłynęli po rzece, wezbranej na milę przeszło szerokości wskutek deszczów i topniejących śniegów.

Dwa następne dni, 19-sty i 20-sty stycznia, minęły w tem samem położeniu. Major z Glenarvanem na długości pięciu mil zbadali rzekę, idąc ku jej źródłu, i nie znaleźli nigdzie możności przejścia jej w bród. Wszędzie ta sama gwałtowność wód, ta sama szybkość nawalna. Cały południowy stok Alp Australijskich w to jedyne łożysko zwalał z siebie wszystkie swe śniegi.

Trzeba się było wyrzec nadziei ocalenia *Duncana*. Pięć dni już upłynęło od wyjazdu Ben Joyce'a; jacht w tej chwili musiał już być na wybrzeżu i znajdować się w ręku złoczyńców!

Trudno jednak, aby taki stan rzeczy trwał dłużej. Powodzie czasowe krótko trwają, dlatego właśnie, że zbyt gwałtownie powstają. Dnia 21-go z rana Paganel dostrzegł, że wody zaczynają opadać, i zaraz zawiadomił o tem Glenarvana.

— I cóż mi z tego teraz — odpowiedział Glenarvan — już za póżno!

— Choćby i tak, to zawsze nie powód, abyśmy dłużej mieli tu bezczynnie pozostać.

— Tak jest — dodał John Mangles — jutro może już zdołamy przebyć rzekę.

— A czy to ocali nieszczęśliwą osadę *Duncana?* — zawołał Glenarvan w uniesieniu.

— Racz mnie, Wasza Dostojność, posłuchać — perswadował John. — Znam dobrze Tomasza Austina. Usłuchał on zapewne polecenia Waszego i wypłynął niezawodnie, jeśli tylko mógł. Ale któż wie, czy Duncan był gotów, czy naprawione już były jego uszkodzenia w chwili, gdy Ben Joyce przybył do Melbourne? A jeśli jacht nie mógł wypłynąć na morze, jeśli opóźnił się o dni parę?...

— Masz słuszność, kapitanie — rzekł Glenarwan, ożywiony nadzieją. — Trzeba co prędzej podążać do zatoki Twofold. Tylko trzydzieści pięć mil oddziela nas od Delegete.

— Tak, tak — powtórzył Paganel — a w tem mieście znajdziemy wszystkie środki do szybszego odbycia podróży. Kto wie, czy nie przybędziemy na czas, aby uprzedzić nieszczęście.

— Dalej więc w drogę! — zawołał Glenarvan.

John i Wilson zajęli się natychmiast zbudowaniem promu. Doświadczenie już ich nauczyło, że lekka kora nie zdolna jest oprzeć się gwałtowności fali. John przeto ściął kilka drzew gumowych, zbił z nich tratwę, niezgrabną wprawdzie, ale mocną. Była to ciężka i zmudna praca. Zeszedł na niej dzień cały i nazajutrz dopiero ją skończono.

Wody Snowy znacznie opadły. Potok gwałtowny znowu stawał się rzeką, choć jeszcze bystro płynącą; John wszakże nie tracił nadziei dopłynięcia do przeciwnego brzegu. O godzinie wpół do pierwszej z południa wzięto tyle żywności, ile kto mógł zabrać na potrzebę dwudniową; resztę wraz z wozem i namiotem pozostawiono. Mulrady miał się już tak dobrze, iż przenieść go było można; wyzdrowienie jego szybko postępowało. O pierwszej wszyscy weszli na tratwę, przywiązaną do brzegu na linie. John powierzył Wilsonowi umocowany z prawej strony rodzaj wiosła, mającego przeciwdziałać znoszenie tratwy przez prąd, a sam miał działać zapomocą niezgrabnie wyrobionej drygawki. Lady Helena, Marja Grant i Mulrady zajmowali środek, dokoła zaś nich stanęli Glenarvan, major, Paganel i Robert.

— Czyśmy gotowi, Wilsonie? — spytał John majtka.

— Gotowi, kapitanie — odpowiedział Wilson, silną dłonią porywając wiosło.

— Baczność! A uważaj na prąd!

John Mangles odwiązał linę, a odepchnąwszy się od brzegu, puścił prom na bystrą wodę Snowy. Z początku szło bardzo dobrze, przepłynięto z piętnaście sążni; lecz wkrótce statek, wirem porwany, kręcić się zaczął naokoło, tak, że go w linji prostej utrzymać było niepodobna. Cała zręczność i doświadczenie marynarzy, dzielnie pracujących, nanic się nie przydały. Nie było sposobu na powstrzymanie tego wirowania promu; kręcił się on z nadzwyczajną szybkością, a wciąż w kierunku ukośnym. John Mangles stał blady, z zębami zaciśniętemi i niespokojnie spoglądał na wirującą wodę.

Prom znajdował się na środku rzeki, a od punktu, z którego wypłynął, w odległości pół mili wdół rzeki. Prąd stawał się coraz silniejszym, co tamowało zbyteczne wirowanie wody i żeglarzom dawało większą możność kierowania statkiem.

John i Wilson pochwycili za narzędzia i zdołali przy ich pomocy posunąć się w kierunku ukośnym. Przez ten manewr przybliżyli się do lewego brzegu i byli od niego już tylko może o pięćdziesiąt sążni, gdy Wilsonowi złamało się wiosło, a prom znowu zaczął ulegać prądowi. John opierał się wszelkiemi siłami, Wilson pomagał mu zakrwawionemi rękami.

Nareszcie udało się im, po ciężkiej półgodzinnej pracy, przyprowadzić prom do pochyło wyniesionego brzegu. Uderzenie statku o ląd było tak gwałtowne, że bale się rozeszły, liny popękały, a woda z wrzeniem poczęła się wdzierać nawierzch. Podróżni zaledwie mieli czas uchwycić za krzaki nadbrzeżne i przyciągnąć do siebie Mulradyego i dwie kobiety zupełnie przemoczone. Ludzie wszyscy się ocalili, ale większa część zapasów żywności i wszystka broń, prócz karabinu majora, popłynęły wraz ze szczątkami promu.

Rzekę przebyto, ale podróżni pozbawieni byli wszystkiego prawie, a oddaleni o trzydzieści pięć mil jeszcze od Delegete, wśród nieznanych pustyń, ciągnących się na granicy prowincji Wiktorji. Nie można było spotkać tam ani kolonistów, ani hodowców bydła, bo kraj jest niezamieszkały; co najwyżej można było trafić na okrutnych i zbójeckich włóczęgów.

Postanowiono iść dalej bez najmniejszej zwłoki. Mulrady widział, że będzie dla nich ciężarem i bezpotrzebnym kłopotem; prosił więc, aby mu zostać pozwolono, i to samemu, dopóki nie dadzą mu pomocy z Delegete.

Glenarvan nie zgodził się na to. Nie mógł on dojść do Delegete prędzej, jak za trzy dni, a do wybrzeża za pięć, to jest zaledwie 26-go stycznia. Jeśli więc 16-go Duncan opuścił Melbourne, cóż wobec tego znaczyło kilka godzin opóźnienia?

— Nie, mój przyjacielu — rzekł do Mulradyego — nie chcę zostawić nikogo. Zrobimy nosze i zkolei nieść cię będziemy.

Nosze naprędce zrobiono z gałęzi eukaliptusa i Mulrady chcąc nie chcąc miejsce na nich zajął. Glenarvan chciał pierwszy ponieść swego majtka. Pochwycili nosze za jeden koniec, z drugiego wziął je Wilson i ruszono w drogę.

Cóż za smutny widok i jak źle kończyła się podróż, tak dobrze rozpoczęta! Już teraz nie myślano o poszukiwaniu kapitana Granta. Ten ląd, na którym on nigdy nie był, groził nieszczęściem szukającym jego śladów! A gdy dzielni rodacy jego zdołają dostać się do brzegów australijskich, nie znajdą tam nawet *Duncana*, aby ich odwiózł napowrót do ojczyzny.

Pierwszy ten dzień przeszedł w milczeniu i zgryzocie. Co dziesięć minut zmieniano się przy noszach; wszyscy towarzysze poczciwego majtka bez szemrania znosili ten dobrowolnie przyjęty trud, zwiększony jeszcze dość silnym upałem.

Do wieczora uszli zaledwie pięć mil (angielskich); rozłożono się obozem pod kępą drzew gumowych. Wieczerzę sporządzono z resztek zapasów, ocalonych z rozbicia, ale dalej już tylko na karabin majora liczyć było można.

Noc było przykra; deszcz padał nieustannie; zdawało się, że dzień nieprędko jeszcze nadejdzie. Puszczono się w dalszą drogę. Major nie znalazł ani jednej sposobności do strzału. Ten przeklęty kraj gorszy był od pustyni, bo nawet zwierzęta go nie nawiedzały.

Na szczęście, Robert znalazł gniazdo dropiów, a w niem dwanaście dużych jaj, które pan Olbinett upiekł w gorącym popiele, a dodawszy do tego trochę zielenin jadalnych, rosnących w wąwozie, zastąpił tem śniadanie.

Droga dalsza była bardzo przykra. Piaszczyste płaszczyzny najeżone były ciernistą rośliną „spinifex", którą w Melbourne nazywają jeżozwierzem. Kolce szarpały odzienie i kaleczyły nogi. Odważne i wytrwałe kobiety nie żaliły się bynajmniej, szły naprzód, dając z siebie przykład, zachęcając tego lub owego słowem lub spojrzeniem.

Wieczorem zatrzymano się u stóp góry Bulla-Bulla, nad brzegiem rzeczki Jungalla. Wieczerza byłaby bardzo licha, gdyby Mac Nabbs nie był ubił wielkiego szczura „Muc conditor", którego mięso uchodzi za wyborne do jedzenia. Upieczony przez Olbinetta, szczur ten byłby przewyższył dobrą swą sławę, gdyby wielkością dorównywał choćby baranowi. Trzeba jednak było i na tem poprzestać, co los zdarzył. Szczura zjedzono do kości.

Nazajutrz, dnia 23-go stycznia, podróżni, choć bardzo utrudzeni, ale zawsze energiczni, puścili się w dalszą drogę. Okrążywszy podstawę góry, weszli na łąki rozległe, na których trawa wygląda jakby z fiszbinu wyrobiona. Była to plątanina pręcików roślin, sterczących jak bagnety, przez które drogę trzeba było torować ogniem lub siekierą.

O śniadaniu dnia tego nie było nawet mowy. Grunt, zasłany odłamkami kwarcu, bardzo był suchy. Nietylko głód, ale i pragnienie strasznie odczuwać się dawało. Paląca atmosfera podwajała jeszcze te męczarnie. Podróżni nie byli w stanie pół mili na godzinę ujść. Gdyby ten brak wody i pokarmu potrwał do wieczora, wszyscy padliby zapewne, aby więcej nie powstać.

Lecz gdy wszystkiego brak człowiekowi, gdy sądzi, że już wszystko dlań stracone i śmierć go czeka niechybna, wtedy wdaje się Opatrzność.

Niebo dało podróżnym wodę w „cephalotes", rodzaju wiaderek, napełnionych dobroczynnym płynem, wiszących u gałęzi krzewów kształtu dzikiej róży. Wszyscy zaspokoili pragnienie i czuli, że życie się w nich odnawia. Za pożywienie posłużyło im to, czem karmią się krajowcy w braku zwierzyny, owadów i wężów. Paganel w wyschniętym łożysku rzeczki znalazł roślinę, której znakomite własności opisał jeden z jego kolegów w Towarzystwie Geograficznem. Była to „nardu", roślina skrytopłciowa z rodziny Marsileaces, ta sama, która w pustyniach środkowych uratowała życie Burkemu i Kingowi. Pod jej liśćmi, podobnemi do listków koniczyny, trzymały się zeschłe pęcherzyki roślinne wielkości soczewicy, które, utarte między dwoma kamieniami, dawały pewien rodzaj mąki; zrobiono z tego chleb gruby i zaspokojono męczarnie głodu. Rośliny tej była obfitość wielka, Olbinett mógł przeto zrobić zapas znaczny i tym sposobem zapewnić żywność na dni kilka.

Następnego dnia już Mulrady odbył część drogi o własnych siłach. Rana jego zabliźniła się zupełnie. Do Delegete było już tylko dziesięć mil, a wieczorem rozłożono się obozem pod 149° długości, na samej granicy Nowej Walji Południowej.

Drobny, ale przenikający deszcz padał od kilku godzin; nie było się gdzie schronić, lecz na szczęście John Mangles znalazł chatę drwalów, zniszczoną i opustoszałą. Trzeba się było zadowolić i tym nędznym przytułkiem. Wilson chciał rozpalić ogień dla przysposobienia chleba z nardu, poszedł więc nazbierać uschłych gałęzi, leżących na ziemi. Lecz drzewo to w żaden sposób zapalić się nie chciało, z powodu wielkiej ilości ałunu, jaką w sobie zawiera. Było to owo drzewo niepalne, o jakiem Paganel wspomniał, wyliczając dziwy australijskie.

Trzeba się było obejść bez ognia, a przeto i bez chleba, i spać w sukniach wilgotnych; tymczasem ptaki śmieszki, ukryte na wysokich gałęziach, zdawały się natrząsać z nieszczęśliwych podróżnych.

Mimo to, Glenarvan był bliskim kresu swych przeciwności. I czas już był wielki. Dwie kobiety bohaterskie robiły .wysilenia, ale siły opuszczały je co chwila i nie szły już, lecz wlokły się zaledwie.

Nazajutrz o świcie wyruszono w drogę. O jedenastej ujrzano Delegete, w hrabstwie Wellesley, o pięćdziesiąt mil od zatoki Twofold.

Tam znaleziono natychmiast środki do dalszej podróży. Czując się tak bliskim wybrzeża, Glenarvan poczuł w duszy nadzieję. Być może, że zdoła jeszcze przybyć do zatoki przed *Duncanem*, którego drogę mogło coś opóźnić. We dwadzieścia cztery godziny możnaby się dostać do zatoki.

W południe, po dobrym posiłku, podróżni opuścili Delegete w dyliżansie pocztowym, zaprzężonym w pięć silnych koni. Pocztyljoni, zachęceni obietnicą dobrego napiwku, pędzili szybko po dro-

dze doskonale utrzymanej. Na przestanki, co dziesięć mil odległe, nie tracili nawet dwu minut. Zdawałoby się, że Glenarvan udzielił im zapału, jaki go pożerał.

Nazajutrz, o wschodzie słońca, głuchy szum zapowiadał bliskość oceanu Spokojnego. Musiano okrążyć zatokę, aby się dostać do wybrzeża pod trzydziestym siódmym równoleżnikiem, w to właśnie miejsce, gdzie Tomasz Austin miał oczekiwać przybycia podróżnych.

Gdy morze się ukazało, wszyscy wzrok wytężyli w przestrzeń, chcąc się przekonać, czy cudem jakim *Duncan* był tam i pilnował brzegów, jak przed miesiącem niedaleko przylądka Corrientes, na wybrzeżach argentyńskich.

Nie zobaczono nic. Niebo i woda łączyły się na widnokręgu. Ani jeden żagiel nie ożywiał rozległej przestrzeni oceanu.

Jeszcze jedna pozostawała nadzieja. Może Austin zarzucił kotwicę w zatoce Twofold, bo morze było niespokojne, a więc okręt nie mógł się trzymać blisko brzegów tak niebezpiecznych.

— Do Eden! — zawołał lord Glenarvan.

Dyliżans zawrócił w prawo na drogę okrężną, biegnącą wzdłuż brzegów zatoki, i podążył do niewielkiego miasteczka Eden, oddalonego stamtąd o pięć mil.

Pocztyljoni zatrzymali się nieopodal od latarni morskiej, oznaczającej wejście do portu. W przystani stało kilka okrętów, ale na żadnym nie powiewała flaga Malcolmu.

Glenarvan, John Mangles i Paganel wysiedli z powozu, pobiegli na komorę, pytali urzędników i przeglądali spis przybyłych statków z ostatnich kilku dni.

Od tygodnia żaden okręt nie wpłynął do zatoki.

— Czyżby nie wyjechał jeszcze — zawołał Glenarvan, nie chcąc tracić nadziei. — Możeśmy przybyli przed nim?

John Mangles potrząsnął głową. Znał on Tomasza Austina. Jego porucznik nigdyby nie opóźnił spełnienia rozkazu o całe dziesięć dni.

— Chcę wiedzieć coś stanowczego — rzekł Glenarvan — jakakolwiek pewność lepsza jest od wątpliwości.

W kwadrans potem wysłano telegram do syndyka agentów okrętowych w Melbourne, poczem podróżni kazali się zaprowadzić do hotelu *Victoria*.

O godzinie drugiej wręczono Glenarvanowi depeszę tej treści:

Lord Glenarvan, Eden

Twofold-bay

Duncan 18-go bieżącego miesiąca odpłynął niewiadomo dokąd.

J. Andrew. S. A.

Depesza wypadła z rąk Glenarvanowi.

Wątpliwości nie ulegało, że poczciwy jacht szkocki w rękach łotra Ben Joyce'a — stał się okrętem rozbójniczym!

Tak się skończyła owa podróż przez Australję, rozpoczęta pod błogą wróżbą. Ślady kapitana Granta i rozbitków zdawały się być stanowczo stracone, a oprócz zawiedzionych nadziei, wypadek ten kosztował życie całej załogi. Lord Glenarvan uległ w tej walce; tego człowieka nieugiętej woli i wytrwałości, którego postanowienia nie mogły złamać żywioły sprzysiężone i zatrzymać go w pampach, pokonała przewrotność i złość ludzka na lądzie australijskim.

XLIX.

BRYG MACQUARIE.

Jeśli kiedykolwiek podróżni nasi mogli zwątpić o znalezieniu kapitana Granta, to chyba teraz. W jakąż stronę ziemi skierować poszukiwania? *Duncana* już nie było; więc nawet i powrót bezpośredni do ojczyzny stał się niemożliwy. Tak więc nie powiodły się zamiary szlachetnych Szkotów! Zupełne niepowodzenie! Smutna ta myśl nie złamie mężnej duszy; a jednak pod wpływem ciosów fatalności, Glenarvan musiał odczuć całą bezowocność dalszych swych wysiłków w tem dobroczynnem dziele.

Wobec takiego położenia, było męstwem ze strony Marji Grant nie wymawiać imienia ojca; powściągnęła swe męczarnie, myśląc o nieszczęsnej zaginionej osadzie. Nad córką wzięła górę przyjaciółka — i ona to, która doznała tylu pociech od lady Glenarvan, pocieszała ją teraz sama. Pierwsza wspomniała o powrocie do Szkocji. Męstwo jej i rezygnację podziwiał John Mangles; chciał on jeszcze przemówić za kapitanem Grantem, ale go Marja wstrzymała spojrzeniem, a potem rzekła:

— Nie, panie John — myślmy o tych, którzy się poświęcili. Lord Glenarvan powinien wrócić do Europy!

— Ma pani słuszność — odpowiedział John — trzeba. Należy też zawiadomić władze angielskie o losie *Duncana*. Ale nie wyrzekaj się nadziei; sam dalej prowadzić będę rozpoczęte poszukiwania. Znajdę kapitana Granta, albo zginę.

John Mangles mówił na serjo; pojęła to Marja i podała mu rękę jakby dla zatwierdzenia umowy. Mangles poświęcał jej swe życie, Marja ofiarowała mu wdzięczność niezmienną.

Dnia tego postanowiono nieodwołalnie odjazd; należało nie tracić czasu, aby się dostać do Melbourne. Nazajutrz John poszedł się wywiedzieć o statkach, mających wyjść pod żagle. Zdawało mu się, że nie powinno brakować komunikacji między Edenem a stolicą prowincji Wiktorja.

Zawiodły go oczekiwania. Statków było niewiele; trzy czy cztery stały na kotwicy w zatoce Twofold — a była to cała marynarka handlowa tych stron. Żaden nie płynął do Melbourne, do Sydney, albo do Pointe-de-Galle. A tylko w jednym z tych trzech portów Australji można było znaleźć okręt, idący do Europy. Istotnie, *Peninsular Oriental Steam Navigation Compagny* (Towarzystwo okrętowe „Peninsular - Oriental") utrzymuje regularny ruch statków między temi portami i Anglją.

Cóż tedy było zrobić w takiem położeniu? Czekać na statek? Mógłby się zdarzyć bardzo nieprędko, bo zatoka Twofold mało była zwiedzana. Tyle okrętów płynie morzem obok niej, a nie przybija do brzegu!

Po namyśle i naradzie miał już Glenarvan postanowić, aby się dostać do Sydney drogami nadbrzeżnemi, gdy Paganel zrobił niespodziewaną propozycję.

I on także chodził do zatoki i wiedział, że niema czem przeprawić się do Sydney lub Melbourne. Ale jeden ze statków, stojących w zatoce, gotował się w drogę do Auckland, stolicy wyspy Ika-na-Maoui, północnej z wysp tworzących Nową Zelandję. Paganel radził więc nająć ów statek do Aucklandu, gdzie już będzie można znaleźć okręt kompanji półwyspu, idący do Europy.

Zastanowiono się poważnie nad tym projektem, Paganel jednak, wbrew swemu zwyczajowi, nie sypał argumentami; poprzestał na zrobieniu propozycji i tylko dodał, że przeprawa nie potrwa dłużej nad pięć lub sześć dni, bo od Australji do Nowej Zelandji niema więcej, jak tysiąc mil angielskich.

Szczególny to był zbieg okoliczności, że Auckland znajdował się właśnie pod tym 37-ym równoleżnikiem, w którego kierunku dążyli nasi podróżni uporczywie, począwszy od brzegów Araukanji. Zaiste, nie można było posądzać geografa o stronność, gdyby był użył tego, jako argumentu na poparcie swego projektu. Sposobność zwiedzenia okolic Nowej Zelandji nastręczała się sama przez się.

A jednak Paganel ani pisnął o tem; po dwu zawodnych tłumaczeniach dokumentu, zapewne nie chciał tłumaczyć go jeszcze inaczej po raz trzeci. Cóżby wreszcie wydobył z niego? Przecież tam powiedziano wyraźnie, że na „ląd" a nie na wyspę dostał się kapitan Grant. A Nowa Zelandja, to przecież wyspa. Zdawało się, że niema nad czem się zastanawiać. Wreszcie z tego lub z innego powodu, Paganel nie wiązał propozycji tej przeprawy do Aucklandu z dalszem poszukiwaniem. Zwrócił tylko uwagę, że między tym punktem a Anglją istnieją stosunki regularne i że można będzie z tego korzystać.

John Mangles popierał projekt Paganela. Radził go przyjąć, bo trudno było liczyć na niepewne przybycie statku jakiego do zatoki. Był jednak zdania, żeby się nie decydować, przed obejrzeniem statku, o którym mówił Paganel. Zatem Glenarvan, major, Paganel, Robert

i Mangles wsiedli na czółno i popłynęli ku statkowi, który stał nie dalej, niż o parę węzłów od brzegu.

Był to bryg, o pojemności 250 tonn, zwany *Macquarie*, służył do żeglugi między różnemi portami Australji i Nowej Zelandji. Jego dowódca przyjął gości dosyć twardo; spostrzegli zaraz, że mają do czynienia z człowiekiem nieokrzesanym, którego postępowanie nie wyróżniało go z pośród pięciu majtków, jakich miał na pokładzie. Gruba i czerwona twarz, ręce potężne, nos spłaszczony, oczy zapadłe, usta zbrudzone fajką, mina zuchwała, wszystko to czyniło z pana Willa Halleya postać nieprzyjemną. Ale nie było wyboru, że zaś szło o podróż tylko kilkodniową, można więc było na to nie zważać.

— Czego wam potrzeba? — pytał Will Halley nieznajomych, wstępujących na pomost jego statku.

— Gdzie kapitan? — zapytał John Mangles.

— To ja — rzekł Halley — więc cóż?

— *Macquarie* płynie do Aucklandu?

— Tak; więc cóż?

— Co wiezie?

— Wszystko, co się kupuje i sprzedaje. Więc cóż?

— Kiedy odjeżdża?

— Jutro podczas południowego odpływu. Więc cóż?

— Czy nie wziąłby pasażerów?

— Jak jakich i to, gdyby przystali na pożywienie, jakie jest na statku.

— Mieliby swoje.

— Więc cóż?

— Jakto cóż?

— A ma się rozumieć. Ilu ich jest?

— Dziewięć osób, a między niemi dwie panie.

— Ja nie mam dla nich kajut.

— Pomieszczą się w ich braku na pomoście.

— Więc cóż?

— Więc zgoda? — rzekł Mangles niezmieszany prostactwem żeglarza.

— To się zobaczy — brzmiała odpowiedź.

Will Halley przeszedł kilka razy po pokładzie, stukając silnie butami ciężko podkutemi, poczem nagle zwrócił się do Johna.

— Ile mi dacie? — spytał.

— A ile żądacie? — odparł John.

— Pięćdziesiąt funtów.

Glenarvan dał znak, że się zgadza.

— Niechże będzie pięćdziesiąt funtów — rzekł John.

— Ale nic więcej, prócz miejsca — dodał Halley.

— Nic więcej.

— Żywność osobno.

— Zgoda. Więc cóż? — rzekł Will, wyciągając rękę.

— A co?

— Zadatek.

— Oto jest połowa umówionej ceny — odparł John, odliczając dwadzieścia pięć funtów szterlingów, które kapitan schował do kieszeni, nie podziękowawszy nawet.

— Jutro na statek — rzekł — przed południem. Będziecie, nie będziecie, a ja jadę.

— Będziemy.

Po tej rozmowie, Glenarvan z towarzyszami opuścili statek, a Will nawet nie pożegnał ich podniesieniem ręki do ceratowego kapelusza, wyglądającego, jakby był przylepiony nad jego czerwieniejącą się twarzą.

— Co za prostak — rzekł John.

— A mnie się podobał — rzekł Paganel — to prawdziwy wilk morski.

— Raczej niedźwiedź — wtrącił major.

— A mnie się coś zdaje, że ten niedźwiedź musiał kiedyś handlować ciałem ludzkiem.

— Mniejsza o to — rzekł Glenarvan — skoro ma statek, który popłynie do Nowej Zelandji. W podróży mało, a potem już wcale widzieć go nie będziemy.

Lady Helena i Marja rade posłyszały, że odjazd naznaczony był na jutro. Glenarvan zapowiedział im, że *Macquarie* to nie *Duncan* pod względem komfortu; ale tyle już doświadczyły niewygód, że się o taką drobną rzecz nie troskały. Olbinettowi poruczono przygotowanie zapasów. Biedak ten od straty *Duncana* płakał nieraz nad losem swej połowicy, która była tam na pokładzie, a więc wraz z całą załogą uległa okrucieństwu zesłańców więziennych. Niemniej spełniał swe obowiązki stewarta ze zwykłą gorliwością; zatem „żywność osobno” składała się z artykułów, których nie widywano na pokładzie brygu. Kilku godzin dosyć było Olbinettowi na przygotowanie wszystkiego.

Major tymczasem zmieniał u wekslarza przekazy Glenarvana na *Union-Bank* w Melbourne. Lord chciał mieć przy sobie złoto, równie jak broń i amunicję; odnowił też swój arsenał. Paganel ze swej strony zaopatrzył się w wyborną mapę Nowej Zelandji, wydaną przez Johnstona w Edynburgu.

Mulrady był już zdrów; zaledwie czuł ranę, która życiu jego zagrażała — a kilka godzin, spędzonych na morzu, powinnoby go wyleczyć doreszty. Liczył na powiew oceanu Spokojnego.

Wilsonowi polecono zająć się urządzeniem miejsca dla podróżnych na statku *Macquarie*. Jął się więc szczotki i miotły, a wszystko zaraz inną przybrało postać. Will Halley nie przeszkadzał mu w tej czynności, tylko wzruszał ramionami. Nie troszczył się o Glenarvana i jego towarzystwo, nie wiedział nawet, co byli za jedni. To tylko

wiedział, że ten ładunek przyniesie mu pięćdziesiąt funtów sterlingów; a to mniej znaczyło, niż dwieście tonn skór garbowanych, któremi naładowany był okręt. Skóry znaczyły dla niego więcej, niż ludzie, bo był handlarzem. Jako żeglarz używał opinji człowieka, znającego się dosyć dobrze na tamtych morzach, niebezpiecznych z powodu skał koralowych.

Ostatnie godziny dnia tego chciał poświęcić Glenarvan przejrzeniu raz jeszcze owego brzegu, przeciętego 37-ym równoleżnikiem. Dwa miał do tego powody. Chciał obejrzeć owo miejsce domniemanego rozbicia się okrętu. Że Ayrton był kwatermistrzem na *Britannii,* o tem nie było co wątpić; i czemużby statek ten nie miał się rozbić właśnie w tej stronie wschodniej a nie zachodniej? Nie należy lekkomyślnie opuszczać punktu, którego się już nigdy nie zobaczy. A potem, jeśli nie tu rozbiła się *Britannia,* to tutaj *Duncan* wpadł w moc złoczyńców. Może była przytem jaka walka? Więc czemuby się nie miał znaleźć na brzegu jaki ślad oporu rozpaczliwego? Jeśli zaś osada zginęła w bałwanach morskich, to czemużby one nie miały wyrzucić jakiego trupa?

Więc Glenarvan ruszył z wiernym Johnem na przegląd brzegów. Właściciel hotelu *Victoria* dał im dwa konie, na których pojechali drogą północną, dążącą wzdłuż zatoki Twofold.

Smutne było to poszukiwanie. Glenarvan i John jechali, nic nie mówiąc, ale się rozumieli; jedne były ich myśli, a więc i troski te same. Patrzyli na skały, porozdzierane uderzeniami fal, ale nie mieli ani o co się pytać wzajemnie, ni sobie odpowiadać. Znając gorliwość i baczność Johna, można było zaręczyć, że każdy punkt brzegu, każdy jego zaułek był zbadany. Przejrzano każdy spadek, każdą ławicę piasku, na które mogły być wyrzucone jakie szczątki przez nieodznaczające się wielkością fale oceanu Spokojnego. Ale nie dostrzeżono nic, coby zachęcało do nowych poszukiwań w tych stronach. Ani żadnego śladu rozbicia się okrętu, ani też śladów *Duncana.*

Jednak na krawędzi brzegu dostrzegł John świeże ślady obozowiska, resztki ogni, porozkładanych pod osobno stojącemi majolisami. Czy jakie koczujące pokolenie przechodziło tędy przed kilku dniami? Bynajmniej; to zbiegowie z więzień tu przebywali, bo pozostał tego dowód nieomylny. Był to kitel szary, zżółkły, zużyty, połatany, złowrogi łachman, porzucony pod drzewem. Był na nim numer porządkowy więzienia z Perth. Złoczyńcy nie było, ale była wstrętna jego opończa i mówiła o nim. Ta liberja zbrodni okrywała przez czas pewien nędznika, a teraz gniła tu, na opustoszałym brzegu.

— Patrz, Johnie — rzekł Glenarvan — te łotry były tutaj! A gdzie są teraz nasi nieszczęśliwi towarzysze z *Duncana?*

— Tak — odpowiedział John głosem stłumionym — to widoczne, że ich na ląd nie wysadzono. Zginęli.

— Nędznicy! Niech się tylko dostaną w me ręce, a pomszczę się za mą osadę.

Pod wpływem boleści stwardniały rysy Glenarvana. Przez kilka minut patrzył na fale bez końca, szukając może ostatniem jeszcze spojrzeniem jakiego okrętu, błądzącego w przestrzeni. Potem wzrok jego przygasł. Glenarvan stał się, jakim był zazwyczaj, i nie wymówiwszy słowa, nie skinąwszy nawet, puścił się galopem drogą ku Eden.

Jedną jeszcze formalność należało spełnić: pozostawić konstablowi zeznanie o zaszłych wypadkach. Przyjął je Thomas Banks tego jeszcze wieczora. Urzędnik ten zaledwie zdołał powściągnąć swe zadowolenie, spisując protokół; poprostu rad był, że już niema Ben Joyce'a i jego bandy — a całe miasto równie było temu rade. Prawda, że złoczyńcy popełnili nową zbrodnię, opuszczając Australję, ale opuścili te strony. Zatelegrafowano ważną tę wiadomość władzom w Melbourne i w Sydney.

Złożywszy zeznanie, Glenarvan wrócił do hotelu *Victoria*. Smutnie spędzili podróżni ten ostatni wieczór. Myśli ich błądziły po tej ziemi płodnej w nieszczęścia. Wspominali sobie owe piękne nadzieje, powzięte na przylądku Bernouilli, tak okropnie zawiedzione przy zatoce Twofold.

Paganelem owładnął niepokój gorączkowy. John obserwował geografa i uważał, że już od wypadku nad Snowy River chciał i nie chciał coś powiedzieć. Naciskał go nieraz pytaniami, ale beskutecznie. Tego jednak wieczora, odprowadzając geografa do jego pokoju, zapytał, czem jest tak zaniepokojony.

— Mój przyjacielu — odparł wykrętnie Paganel — nie jestem więcej zaniepokojony, niż zazwyczaj.

— Panie Paganel — rzekł John — masz jakąś tajemnicę.

— A cóż — zawołał Paganel, gestykulując — nie umiem się ukrywać!

— I czego to nie możesz ukryć?

— Tego, co mnie przejmuje radością, a zarazem rozpaczą.

— Co? Rozpacz i radość zarazem?

— Tak, podróż do Nowej Zelandji przenika mnie radością i rozpaczą.

— Czy miałbyś jakie wskazówki? — zapytał żywo Mangles. — Czy wpadłeś na ślad zgubiony?

— Nie, mój przyjacielu. *Nie wraca się z Nowej Zelandji*.... a jednak!... Wiesz, jaka jest ludzka natura; człowiekowi dosyć jest mieć nadzieję, żeby oddychał. A ta moja dewiza: *spero, spero,* to najpiękniejsza w świecie dewiza!

L.

PRZESZŁOŚĆ KRAJU, DO KTÓREGO SIĘ JEDZIE.

Nazajutrz, dnia 27-go stycznia, podróżni umieścili się na pokładzie statku *Macquarie* w ciasnym baraku na rufie brygu. Gospodarz nie ofiarował paniom swej kajuty; mało je obeszła ta niegrzeczność, bo było to legowisko dobre tylko dla niedźwiedzia.

O wpół do pierwszej ruszono z miejsca wraz z odpływem morza. Z trudnością podniesiono kotwicę, mocno w gruncie zahaczoną. Lekki wiatr południowo-zachodni wzdymał żagle, zaciągane jedne po drugich. Pięciu ludzi, należących do osady, niebardzo się jakoś zwijało, i Wilson chciał im pomagać. Ale Halley poprosił go, by siedział spokojnie i nie wtrącał się do tego, co do niego nie należy, bo zwyczajem jego było radzić sobie samemu, rady zaś i pomocy nie potrzebował. Pił wyraźnie do Johna, który się uśmiechał, patrząc na niezgrabne obroty osady. To też John zrozumiał, o co idzie, i postanowił nie wdawać się w nic, chyba, gdyby niezdarność majtków narażała bezpieczeństwo statku.

Ale nadeszła wkońcu chwila, że podniecani przekleństwami swego pana, majtkowie zdołali rozwinąć wszystkie żagle. Pomimo to jednak bryg, będący istnem pudłem o szerokim dziobie i spodzie, tudzież o ciężkiej rufie, zaledwie posuwał się naprzód.

Ha, trudno! Trzeba było i z tem się pogodzić. Bo choć *Macquarie* płynął tak wolno, to jednak musiał przecież w ciągu dni pięciu, a najwyżej sześciu, dowlec się do Aucklandu.

O siódmej wieczorem stracono z oczu brzegi Australji i światło latarni morskiej w porcie Eden. Falowanie morza dawało się we znaki statkowi. Ciężko zapadał w próżnię po ustępujących bałwanach. Pobyt podróżnych w baraku przykry był z powodu gwałtownych wstrząśnień, a nie mogli pozostać na pokładzie, bo deszcz padał gwałtowny. Zmuszeni więc byli siedzieć, jak w więzieniu.

Mało rozmawiano, każdy oddawał się swoim myślom; tylko lady Helena i Marja zamieniały niekiedy zdania. Glenarvan nie mógł usiedzieć na miejscu, wstawał i chodził; zato major ani się ruszył. John z Robertem wychodzili na pokład od czasu do czasu, żeby spojrzeć na morze. Paganel zaś, siedząc w swym kącie, mruczał coś niezrozumiałego.

O czemże myślał szanowny geograf? O tej Nowej Zelandji, ku której wiodła go fatalność. Przechodził właśnie myślą jej dzieje, złowroga jej przeszłość stawała mu przed oczyma.

Ale czy w tej całej historji zdarzył się choć jeden fakt, jeden wypadek, z któregoby ci, co tę ziemię odkryli, mogli wnosić, że była lądem a nie wyspą? Nowożytny geograf, żeglarz nie mogli jej nazywać niewłaściwie! Widać było, że Paganelowi ciągle tkwiło w myśli

tłumaczenie dokumentu, jakby go jakie widzenie opętało. Po Patagonji, po Australji, wyobraźnia jego, pobudzona jednym wyrazem, czepiła się teraz Nowej Zelandji. Jeden tylko punkt zatrzymywał go na tej drodze przypuszczeń.

— *Contin... Contin...* powtarzał sobie; przecież to znaczy: kontynent, ląd stały.

I zaczął przechodzić myślą wszystkich żeglarzy, którzy odwiedzali te dwie wielkie wyspy mórz australijskich.

Dnia 13-go grudnia 1642 r. Holender Tasman, odkrywszy ziemię Van-Diemen, przybił do nieznanych brzegów Nowej Zelandji; kilka dni płynął wzdłuż brzegu, a 17-go wpłynął do obszernej zatoki, zakończonej wąską cieśniną między dwiema wyspami. Wyspa północna, to Ika-na Maoui, które to wyrazy zelandzkie znaczą „ryby Mauwi", wyspa południowa, to Tawai Pouna-Mon — co znaczy: wieloryb, wydający jaspis zielony[1]). Abel Tasman wysłał łodzie ku ziemi i powróciły w towarzystwie dwu czółen napełnionych hałaśliwymi krajowcami. Dzicy byli średniego wzrostu, koloru skóry brunatno-żółtego; kości mieli wystające, głos twardy, włosy czarne, związane na głowie na sposób japoński, z zatkniętem w nie wielkiem piórem białem.

Pierwsze to widzenie się Europejczyków z krajowcami zdawało się zapowiadać stosunki przyjazne i trwałe. Ale nazajutrz, gdy jedna z łodzi Tasmana udała się ku brzegom dla wyszukania miejsca stosownego do zarzucenia kotwicy, napadło na nią siedem piróg, czyli wielkich czółen z krajowcami. Łódź holenderska przechyliła się i nabrała wody; dowodzący nią oficer pierwszy ugodzony był w gardło piką, niezgrabnie wyrobioną, i padł w morze. Z sześciu jego towarzyszów czterech poniosło śmierć; dwaj inni, również jak i oficer, ocaleli, dostawszy się wpław do okrętu. Po smutnem tem zajściu, Tasman odpłynął, ograniczając swą zemstę do kilku strzałów muszkietowych, które prawdopodobnie żadnego z dzikich nie dosięgły. Opuścił tę zatokę, która dostała nazwę *Morderczej,* zwrócił się w stronę zachodnią i 15-go stycznia zbliżył się do cypla północnego. Tutaj znów gwałtowność fal, odbijających się od skalistego brzegu, i niechętne usposobienie dzikich krajowców nie dozwoliły mu nabrać wody do picia; opuścił więc stanowczo te strony, nadawszy im nazwę Staten-Land, to jest *Ziemia Stanów*, na cześć Stanów jeneralnych Holandji. Żeglarz holenderski mniemał naprawdę, że te ziemie sąsiadują z wyspami tejże nazwy, odkrytemi na wschód *Ziemi Ognistej,* na południowym krańcu Ameryki; mniemał, że znalazł „wielki ląd stały południowy".

---

[1]) Dowiedziano się później, że u krajowców cała Nowa Zelandja zwie się Teika-Maoui, a jedna miejscowość w środkowej wyspie zwana jest przez nich Tawai-Pouna-Mon.

— Ale — mówił sobie Paganel — jeśli uszło żeglarzowi z 17-go wieku nazwać tę ziemię kontynentem, to nie uszłoby żeglarzowi w XIX-ym wieku. Takiego błędu niepodobna przypuścić. Nie! Jest tu coś, czego nie pojmuję.

Więcej niż przez wiek cały zapomniano o odkryciu Tasmana; Nowa Zelandja zdawała się nie istnieć, gdy żeglarz francuski Surville zobaczył ją pod 35° 37' szerokości. Z początku nie miał powodu żalić się na krajowców; zdarzyły się jednak gwałtowne wichry, nadeszła burza, która rzuciła na brzegi zatoki *Schronienia* szalupę z chorymi, należącymi do wyprawy. Jeden z naczelników krajowców, zwany Nagui-Noui, dobrze przyjął Francuzów i dał im miejsce we własnej swej chacie. Szło wszystko dobrze, dopóki nie skradziono Europejczykom czółna. Surville daremnie żądał jego zwrotu i ukarał krajowców spaleniem całej ich osady. Straszna ta i niesprawiedliwa zemsta wpłynęła na okrutny odwet, którego Nowa Zelandja miała być polem.

W 1796 roku dnia 6-go października ukazał się przy tych brzegach słynny Cook i wpłynął ze swym okrętem *Endeavour* do zatoki Taoue-Rou, starając się o przychylność krajowców dobrem z nimi postępowaniem. Ale żeby dobrze z kimś postępować, trzeba go pierwej mieć w ręku; Cook nie wahał się schwytać dwu czy trzech krajowców, którym przemocą dobrodziejstwa swe narzucił i których obdarowanych i ugłaskanych odesłał na ziemię. Wkrótce wielu innych, skuszonych opowiadaniem tamtych, przybyło dobrowolnie na pokład i zamieniało wzajemne dary z Europejczykami. W kilka dni potem zwrócił cię Cook ku zatoce Hawkesa, wyżłobionej obszernie w lądzie od strony północnej. Spotkał się tam z plemieniem krajowców wojowniczem, krzykliwem i wyzywającem; doszło do tego, że musiał ich uspokoić strzałem kartaczami. — Dnia 20-go października zawinął do zatoki Toko-Malou; żyło tam około dwustu krajowców spokojnych. Botanicy okrętowi odbywali tam bardzo korzystne wycieczki, a krajowcy wozili ich własnemi czółnami. Cook zwiedził dwie wioski, otoczone palisadami, parapetami, podwójnemi rowami, z których znać było, że umiano jak należy budować warownie. Najważniejsze z miejsc obronnych otoczone było nieprzystępnemi błotami i wyglądało jak wyspa — nawet lepiej niż wyspa, bo nietylko, że woda je otaczała, ale jeszcze grzmiała, przedzierając się przez próg naturalny, wysokości 60 stóp, na którym właśnie zbudowany był ten „pah" niedostępny.

Nazbierawszy przez pięć miesięcy mnóstwo ciekawostek, roślin krajowych, okazów etnograficznych i etnologicznych, nadał Cook 31-go marca swoje imię cieśninie, rozdzielającej dwie wyspy, i opuścił Nową Zelandję. W późniejszych podróżach miał znów do niej powrócić. Istotnie, w 1773 roku znakomity ten żeglarz zawinął ponownie do zatoki Hawkesa i był świadkiem kanibalizmu (ludożerstwa) mieszkańców, za którego wywołanie spada zarzut na jego towarzyszów. Oficerowie Cooka znaleźli na brzegu członki rozszarpanego młodego kra-

jowca, sprowadzili je na okręt, „kazali je ugotować" i dali dzikim, którzy je z żarłocznością połknęli. Niegodna to igraszka, żeby stać się kucharzami uczty ludożerczej. Podczas trzeciej swej podróży odwiedził Cook jeszcze raz te wyspy, które szczególniej lubił i pragnął dopełnić ich obrazu hydrograficznego; opuścił je po raz ostatni 25-go stycznia 1777 roku.

Vancouver w 1791 r. zatrzymał się przez 20 dni w zatoce *Ciemnej,* nic nie zyskawszy dla nauk przyrodniczych ani geografji. D'Entrecasteaux zdjął w 1793 plan długości 25-cio milowej ze strony północnej Ika - Na - Maoui. Kapitanowie statków handlowych: Hausen i Dalrympe, potem Baden, Richardson, Moody zjawiali się tam na krótko; dr. Savage, podczas pięciotygodniowego tam pobytu, nazbierał ciekawych szczegółów, tyczących się życia Nowo-Zelandczyków.

Było to w roku 1808, kiedy rozumny Doua-Tara, synowiec wodza w Raszgui-How, wsiadł na pokład okrętu *Argo,* stojącego w zatoce *Wysp,* pod kapitanem Baden.

Jeśli się między Maorysami zjawi jaki Homer, to mu pięknego przedmiotu dostarczą losy Doua-Tara; doznał on niemało nieszczęść, niesprawiedliwości, złego obchodzenia się. Wzamian za swe usługi otrzymywał biedny dziki wszystko złe: niedotrzymywano mu słowa, więziono go, bito. Cóż za pojęcie musiał on wyrobić sobie o ludziach, pragnących uchodzić za cywilizowanych? Powieziono go do Londynu, kazano mu być majtkiem najniższego stopnia, popychadłem całej osady. Byłby umarł z trudów, gdyby nie wielebny Marsden. Misjonarz ten zajął się dzikim młodzieńcem, widząc w nim sąd zdrowy, charakter mężny, słodycz, wdzięk i łagodność. Za staraniem Marsdena dostał dziki kilka worków zboża i narzędzia do uprawy ziemi w swej ojczyźnie: ukradziono mu to wszystko. I znów nieszczęścia i cierpienia zwaliły się na biednego Doua-Tara; dopiero w 1814 r. powrócił do ojczyzny. Owoc tylu przejść i doświadczenia stracony był przez śmierć jego w 28 roku życia, właśnie gdy się brał do przekształcenia krwiożerczej Zelandji. Cywilizacja opóźniła się tam niezawodnie o wiele lat wskutek tego nieszczęścia, bo nic nie zastąpi człowieka rozumnego i dobrego, w którego sercu złączyła się miłość dobra z miłością ojczyzny.

Do r. 1816 zaniedbano Nową Zelandję. W owej epoce Thampton, w 1817 Lidiard Nicholas, w 1819 Marsden przebiegali częściowo te wyspy, a w 1820 Ryszard Cruise, kapitan z 84-go pułku piechoty, przebywał tam przez dziesięć miesięcy, które wiele znaczyły dla poważnych badań nad obyczajami stron tamtych. W 1827 r. Duperrey, dowódca statku *La Coquille,* spoczywał w zatoce *Wysp* przez dwa tygodnie i był zadowolony ze stosunków z krajowcami. W 1827 angielski statek wielorybniczy, *Mercury,* musiał się bronić przed rabusiami i mordercami; a jednak tego samego roku kapitan Dillon, podczas dwukrotnych swoich odwiedzin gościnnie był przyjmowany za

każdym razem. W marcu tego samego roku 1827 sławny Dumont d'Urville, dowódca okrętu *Astrolabe,* przepędził bezkarnie, acz bezbronny, kilka dni na lądzie między krajowcami; zamieniał z nimi podarunki i pieśni, sypiał w ich chatach i pracował bez przeszkody nad zdejmowaniem planów, z których powstały w zakładach marynarki piękne mapy. Tymczasem zaraz roku następnego przybyły w tamte strony bryg angielski *Hawes* pod kapitanem John Jamesem, który zbliżył się do zatoki *Wysp* i zwrócił się ku przylądkowi wschodniemu, wiele ucierpiał od zdradliwego naczelnika krajowców, Enararo. Wielu z osady okropną zginęło śmiercią.

Z tych sprzecznych z sobą wypadków, z tych przejść od łagodności do barbarzyństwa trzeba wnosić, że okrucieństwo Nowo-Zelandczyków często bywało tylko odwetem. Dobre lub złe stosunki zależały od dobrych lub złych dowódców europejskich. Zdarzały się zapewne ze strony krajowców napady bez powodu; ale częściej była to zemsta, wywołana przez postępowanie Europejczyków, i na nieszczęście spadała kara najczęściej na tych, którzy na nią nie zasłużyli.

Po d'Urville'u dopełnił etnografji stron tamtych zuchwały badacz, który ze dwadzieścia razy obiegł ziemię; ten koczownik, cygan naukowy, to Anglik Earle. Zwiedzając nieznane okolice dwu wysp, nie miał powodu osobistego do żalenia się na krajowców, ale bywał często świadkiem scen ludożerczych. Nowo-Zelandczycy pożerali się wzajemnie ze wstrętną rozkoszą. To samo dostrzegł w 1831 r. kapitan Laplace podczas spoczynku swego w zatoce *Wysp.* Bitwy bywały tam wówczas straszniejsze, niż poprzednio, bo dzicy z dziwną dokładnością umieli już posługiwać się bronią ognistą. To też okolice Ika-Na-Maoui, kwitnące dawniej, zmieniły się w głęboką pustynię. Całe plemiona zniknęły, jakby trzoda baranów, upieczone, zjedzone. Daremnie misjonarze usiłowali pokonać tę skłonność krwiożerczą. Od 1808 r. towarzystwo *Church Missionary* wysyłało najzręczniejszych ajentów — bo tak najwłaściwiej ich nazwać — do głównych stacyj na północnej wyspie; barbarzyństwo jednak krajowców zmusiło misjonarzów do zaniechania swego posłannictwa. Dopiero w 1814 r. Marsden (opiekun Doua-Tary), Hali i King, wylądowawszy w zatoce *Wysp,* nabyli od naczelników dwieście akrów gruntu za dwanaście siekier żelaznych i założyli tam siedlisko misji anglikańskiej. Trudno szło z początku; ale przynajmniej życie misjonarzów uszanowali krajowcy, przyjmowali od nich naukę i pomoc, a kilku bardzo srogich złagodniało. Nawet wdzięczność rozbudziła się w tych sercach nieludzkich; do tego nawet przyszło, że w 1824 roku bronili krajowcy swoich „ariki", jak nazywali misjonarzów, przed gwałtami ze strony nieokrzesanych majtków, którzy ich lżyli i traktowali brutalnie. Tak więc misje rozwijały się z biegiem czasu, pomimo obecności zesłańców, zbiegłych z Port Jackson i demoralizujących krajowców. W 1831 r. *Dziennik*

Misyj Reformowanych ogłaszał o dwu znacznych stacjach misyjnych z których jedna była w Kidi-Kidi, nad brzegami kanału, wpadającego do zatoki *Wysp,* a druga w Paï-Hra nad rzeką Kawa-Kawa. Pod przewodnictwem misjonarzy swoich, krajowcy, nawróceni do chrystjanizmu, poprzebijali drogi przez niezmierne lasy, budowali mosty na strumieniach. Każdy zkolei misjonarz szedł opowiadać naukę cywilizacyjną między odległe pokolenia; budował kaplice z trzciny lub z kory, szkoły dla młodych krajowców, a na dachach tych skromnych budowli powiewał sztandar misyjny, na którym widniał krzyż i słowa: „Rongo-Pai" to jest ewangelja.

Na nieszczęście, wpływ misjonarzy nie sięgał poza ich siedziby — i cała koczująca część ludności wymyka się z pod tego wpływu. Tylko między zyskanymi dla chrześcijaństwa krajowcami ustał kanibalizm — a i tych nie trzeba narażać na pokusy: drga w nich zawsze jeszcze instynkt krwi chciwy.

Zresztą wojna zawsze jest chroniczną chorobą tamtych okolic. Zelandczycy nie uciekają przed najazdem Europejczyków, jak zezwierzęceni Australijczycy; opierają się, bronią, nienawidzą najeźdźców, a straszna ich nienawiść zwraca się przeciwko wychodźcom angielskim. Przyszłość tych wielkich wysp zależy od losu. Albo szybko rozwinie się tam cywilizacja, albo głębokie barbarzyństwo przetrwa długie wieki. Oręż postanowi, jak będzie.

W taki to sposób snuła się historja Nowej Zelandji w rozgorączkowanym niecierpliwością umyśle Paganela. Nic przecież w całej tej historji nie było, coby pozwalało te dwie wyspy nazywać lądem stałym. I jeśli niektóre wyrazy dokumentu trapiły wyobraźnię Paganela, to ten jeden wyraz *contin* zagradzał mu uporczywie drogę nowych domniemiań.

LI.

RZEZIE NA NOWEJ ZELANDJI.

Dnia 31-go stycznia, więc w. cztery dni po puszczeniu się w drogę, jeszcze *Macquarie* nie przebył dwu trzecich oceanu między Australją a Nową Zelandją. Will Halley mało zajmował się obrotami statku, pozwalał robić majtkom, co im się zdawało. Rzadko go widywano, czego nikt nie żałował. Niechby sobie gburowaty ten dowódca statku nie pokazywał się, niktby mu tego nie miał za złe, ale upijał się codziennie, a majtkowie radzi go naśladowali i nigdy jeszcze okręt żaden nie był tak zdany na łaskę Boską, jak *Macquarie.*

Niedbalstwo takie nie do darowania zmuszało Johna do ciągłej czujności; żeby nie Mulrady i Wilson, to statek nieraz położyłby się na bok pod uderzeniem. Will Halley zasypywał w takich razach obu przekleństwami; oni zaś, niebardzo cierpliwi, gotowi byli nieraz sprawić mu łaźnię i zapakować na spód statku na całą resztę podróży. Ale Mangles powściągał ich i uspokajał słuszne ich oburzenie.

Niemniej jednak niepokoiło go położenie statku, ale nie chciał trwożyć Glenarvana, zwierzał się tylko ze swych obaw majorowi i Paganelowi. Mac Nabbs radził mu to samo, co chcieli .zrobić Wilson i Mulrady.

— Nie powinieneś się wahać w objęciu dowództwa, albo przynajmniej kierownictwa statkiem, jeśli ci się to zdaje pożyteczne. Niech sobie ten pijak, gdy wysiądziemy, obejmie znów dowództwo i pójdzie na dno morskie, jeśli mu się to podoba.

— Masz pan słuszność, majorze — odpowiedział John — i niezawodnie zrobię tak, gdy trzeba będzie koniecznie. Ale dopókiśmy na pełnem morzu, to dosyć będzie pilnować; ja i nasi majtkowie nie zejdziemy z pokładu. Dopiero gdy się zbliżymy do brzegów, a ten Will Halley nie okaże rozumu, to przyznam, że znajdę się w kłopocie.

— Czy nie mógłbyś zarządzić kierunku, w jakim powinniśmy płynąć? — pytał Paganel.

— To niełatwo — odpowiedział John — bo, czy wierzycie, że niema tu nawet karty morskiej.

— Doprawdy?

— Tak jest! Statek ten kursuje tylko między Edenem i Aucklandem, a Will Halley tak już zna te strony, że nie potrzebuje mapy.

— Zapewne też wyobraża sobie, że jego statek sam zna drogę i kieruje się sam — dorzucił Paganel.

— Nie wierzę w statki, znające tę sztukę, i przeczuwam, że znajdziemy się w kłopocie nielada, zbliżywszy się do brzegów, jeśli Will Halley będzie pijany.

— Miejmy nadzieję, że bliskość ziemi przywoła go do rozumu — rzekł Paganel.

— Zatem — dodał major — w razie przypadku nie umiałbyś poprowadzić statku do Aucklandu?

— Ani sposób bez karty tych wybrzeży — odpowiedział John.— Przystępy tam są nadzwyczaj niebezpieczne; jest to szereg małych zatoczek nieregularnych i fantazyjnych, jak na brzegach Norwegji, i trzeba mieć dużo doświadczenia, żeby wyminąć liczne skały, znajdujące się na dnie. Woda pokrywa je tylko na kilka stóp, a statek uderzenia o nie nie wytrzyma, choćby najmocniej był zbudowany.

— W takim razie — rzekł major — nie byłoby nic innego do roboty, jak tylko wysiąść na brzeg.

— Tak jest, majorze — odpowiedział John — i to, gdyby się dało.



...wóz wjechał w gęstwinę drzew olbrzymich (str. 263);

— A to smutna ostateczność — wtrącił Paganel — bo brzegi te nie są gościnne; równie na nich niebezpiecznie, jak w ich pobliżu.

— Czy mówisz, panie Paganel, o Maorysach? — zapytał Mangles.

— O nich, mój przyjacielu; wiem, jaka o nich jest opinja na całym oceanie Spokojnym. Nie tacy są oni bojaźliwi i zbydlęceni, jak Australijczycy; plemię to pojętne i krwi chciwe, ludożercy, łakomi na ciało ludzkie. Nie spodziewaj się od nich litości.

— Więc jeśli kapitan Grant rozbił się na brzegach Nowej Zelandji — rzekł major — to nie radziłbyś go szukać.

— Na wybrzeżach byłoby to możliwe — odpowiedział geograf — gdyż może znalazłyby się jakie ślady *Britannji;* ale nie w środku kraju, bo byłoby to bez skutku. Kto z Europejczyków zaawanturuje się w głąb wyspy, wpadnie między Maorysów; a kto wpadnie w ich ręce, będzie zgubiony. Namawiałem naszych przyjaciół do przebycia pamp argentyńskich, do przebycia wpoprzek Australji — ale nie będę ich zachęcał do puszczenia się ścieżkami po Nowej Zelandji. Niech nas ręka Boża prowadzi, a uchroni od dostania się pomiędzy tych okrutnych krajowców.

Obawy Paganela były aż nadto słuszne. Straszna jest opinja o Nowej Zelandji; daty, stojące w związku z jej odkryciem, są krwią zapisane.

Lista męczenników żeglarstwa jest długa; na jej czele stoi pięciu majtków Abla Tasmana, zabitych i pożartych przez tych straszliwych kanibalów. Potem kapitan Tukney z całą osadą swej szalupy uległ temu samemu losowi. Na wschodniej stronie zatoki Foveaux poszło pod zęby dzikich pięciu rybaków z *Sydney-Cove.* Nie trzeba zapominać o czterech ludziach z goeletty *Brothers,* zamordowanych w przystani Molineux; o żołnierzach generała Gatesa i trzech zbiegach ze statku *Matylda* — zanim się dojdzie na tej liście do smutnej sławy imienia kapitana Marion du Frêne.

Po pierwszej podróży Cooka przybyli dnia 11-go maja 1772 roku do zatoki *Wysp:* kapitan francuski Marion ze statkiem *Mascarin,* kapitan Crozet ze statkiem *Castries.* Podstępni krajowcy przyjęli wybornie przybyszów; zdawali się nawet lękliwi i trzeba było użyć podarunków, przysług, zbratania się z nimi, żeby ich ośmielić. Naczelnik ich, sprytny Takouri, należał — jak utrzymywał d'Urville — do plemienia Wangaroa i był krewnym owego krajowca, którego na dwa lata przed przybyciem Mariona uwiózł podstępnie kapitana Surville. W kraju, gdzie pojęcia honoru polegają na krwawej zemście za doznane krzywdy, nie mógł Takouri zapomnieć o krzywdzie, wyrządzonej swemu pokoleniu. Czekał cierpliwie, aż przybędzie jaki okręt europejski, przemyśliwał o zemście i dokonał jej z zimną krwią straszliwą.

Udając, że się obawia Francuzów, Takouri niczego nie zaniedbał, żeby uśpić ich czujność. Nieraz on sam i jego towarzysze spędzali noce na pokładzie okrętów, przynosili ryby wyborowe, przybywali z sieciami i kobietami swemi. Poznali wkrótce nazwiska oficerów i zapraszali ich do zwiedzenia swych wiosek. Usidleni takiem postępowaniem, Marion i Crozet przebiegali te okolice, zaludnione przez cztery tysiące mieszkańców. Krajowcy wychodzili bezbronni naprzeciw nich i starali się natchnąć najzupełniejszą ufnością.

Stojąc w zatoce *Wysp,* kapitan Marion miał zamiar zmienić omasztowanie okrętu *Castries,* bardzo uszkodzone w ostatnich burzach. Czynił więc poszukiwania i znalazł dnia 23-go maja pyszny las cedrowy o dwie mile od brzegu i wprost zatoki, która tylko o milę odległa była od okrętów. Urządził więc posterunek, w którym dwie trzecie osady pracowało siekierami nad ścinaniem drzew i tworzyło drogę ku zatoce. Obrano jeszcze dwa inne miejsca: jedno na małej wysepce Motou-Aro, wśród portu, i tam przeprowadzono tych z członków wyprawy, którzy zachorowali, oraz kowali i bednarzy ze statków, drugie zaś na wielkiej wyspie, nad brzegiem oceanu, o półtorej mili od okrętów. Tam założono punkt komunikacyjny z cieślami. Na każdem z tych stanowisk silni i chętni krajowcy pomagali marynarzom w pracy.

W każdym razie kapitan Marion nie zaniedbał pewnych ostrożności. Nigdy dzicy zbrojni nie wstępowali na pokład, a gdy szalupy udawały się ku brzegom, to dobrze uzbrojone. Ale tak oficerowie, jak i sam Marion, dali się uwieść postępowaniem krajowców, — i rozbrojono czółna. Kapitan Crozet namawiał Mariona, żeby cofnął ten rozkaz, ale go nie przekonał.

Nowo-Zelandczycy zdwoili wówczas usłużność swą i poświęcenie; ich naczelnicy żyli z oficerami zupełnie poufale; Takouri nieraz sprowadzał swego syna na okręt i pozwalał mu sypiać w kajutach. Dnia 8-go czerwca, przy uroczystych odwiedzinach wyspy, obwołano kapitana Mariona „wielkim naczelnikiem" całego kraju, a na znak godności ozdobiono jego włosy czterema białemi piórami.

Tak upłynęły trzydzieści trzy dni od chwili przybycia okrętów do zatoki. Roboty około masztów postępowały. Wodę do picia brano w Motou-Aro. Kapitan Crozet osobiście dyrygował cieślami i była wszelka nadzieja, że przedsięwzięcie szczęśliwie będzie doprowadzone do skutku.

Dnia 12-go czerwca, o drugiej godzinie, łódź dowódcy przygotowana była do połowu ryb u stóp wsi Takouri. Wsiadł na nią Marion z dwoma oficerami, jednym ochotnikiem, dozorcą broni okrętowej i dwunastu majtkami. Takouri i pięciu innych naczelników należeli także do wyprawy. Nic nie przepowiadało okropnej katastrofy, której miało ulec szesnastu Europejczyków na siedemnastu znajdujących się na łodzi. Odpłynęła, skierowała się do lądu i wkrótce nie można jej już było dojrzeć z obu okrętów.

Wieczorem kapitan Marion nie powrócił na okręt; nikt się tem nie niepokoił. Przypuszczano, że chciał odwiedzić warsztaty, gdzie pracowano około masztów, i tam noc spędzić zamierzył. Nazajutrz z rana szalupa okrętu *Castries* popłynęła po zapas wody w Motou-Aro. Wróciła bez żadnej przygody.

O dziewiątej majtek, stojący na straży na okręcie *Mascarin,* zobaczył człowieka prawie zupełnie wycieńczonego, płynącego ku okrę-

tom. Wysłano czółno po niego. Był to Turner, jeden z tych, którzy wyjechali szalupą z kapitanem Marionem. Miał w boku ranę od dwu pchnięć dzidą i sam jeden powracał z siedemnastu ludzi, którzy poprzedniego dnia odpłynęli na szalupie. Opowiedział wszystkie szczegóły okropnego dramatu.

Łódź kapitana przybiła do wsi o siódmej z rana; dzicy radośnie przyjęli przybywających. Kto z nich nie chciał się zamoczyć, wysiadając ze statku, tego wynosili na brzeg na swych ramionach. Później Francuzi rozproszyli się. Wówczas dzicy, uzbrojeni w dzidy, maczugi i pałki, rzucili się na nich, po dziesięciu na jednego, i pomordowali. Turner, otrzymawszy dwa pchnięcia dzidą, umknął w krzaki, gdzie ukryty, był świadkiem scen okropnych. Dzicy porozbierali pomordowanych, rozpłatali ich, porąbali na części. W tej chwili Turner niepostrzeżony rzucił się wpław ku okrętom i dostał się na wysłane ku niemu czółno, prawie umierający.

Osady obu okrętów, wstrząśnięte tym wypadkiem, pragnęły się pomścić. Ale przed pomszczeniem zmarłych, należało zabezpieczyć żywych, mieszkających w trzech posterunkach lądowych i otoczonych tysiącami nieprzyjaciół, spragnionych krwi i ciała ludzkiego.

W nieobecności kapitana Crozeta, który, jak wspominaliśmy, spędził noc przy warsztatach masztowych, objął dowództwo starszy oficer i przedsięwziął stosowne środki: wyprawił szalupę z żołnierzami, pod wodzą jednego z oficerów, który miał przedewszystkiem śpieszyć z pomocą cieślom. Wyprawa, przybijając do brzegu, ujrzała szalupę Mariona, wyciągniętą na ląd.

Kapitan Crozet nie wiedział nic o pomordowaniu towarzyszów, ale gdy zobaczył około godziny drugiej po południu zbliżający się oddział, przeczuł nieszczęście. Wyszedł sam jeden naprzeciw przybywających, a dowiedziawszy się o tem, co zaszło, zabronił rozpowiadania tego oddziałowi, pracującemu około masztów, żeby go nie trwożyć.

Dzicy, pozbierani w gromady, zajmowali wszystkie wzgórza. Crozet kazał pozabierać ważniejsze narzędzia, zakopać inne, spalić szałasy i ruszył do odwrotu z sześćdziesięciu ludźmi. Krajowcy szli za nim, wołając: „Takouri mate Marion (Takouri zabił Mariona"! Mniemali, że przerażą oddział, wyjawiając mu śmierć wodza. Rozwścieczeni Europejczycy chcieli się rzucić na tych nędzników; Crozet zaledwie ich powstrzymał.

Po przybyciu dwu mil, oddział dostał się do brzegu, zabrał ludzi z drugiego posterunku i odpłynął do okrętów. Tysiące dzikich siedziało przez ten czas na ziemi nieruchomo; lecz gdy szalupy oddaliły się nieco, zaczęły na nie spadać kamienie. Wówczas czterej majtkowie, celnie strzelający, pozabijali z karabinów wszystkich zkolei naczelników ku osłupieniu krajowców, nieznających jeszcze doniosłości broni palnej.

Wysłano niebawem szalupę do Motou-Aro. Oddział wojska usadowił się na tej wysepce na noc; chorych przewieziono na okręty. Nazajutrz przybył drugi jeszcze oddział dla wzmocnienia pierwszego. Należało oczyścić wyspę z dzikich i pilnować miejsca, które dostarczało wody do picia. Wioska na Motou-Aro liczyła trzystu mieszkańców; Francuzi uderzyli na nią. Sześciu naczelników zabito; resztę krajowców rozproszono bagnetami, a wieś spalono.

Jednak *Castries* nie mógł odpłynąć bez masztów; że zaś trzeba było się wyrzec masztów cedrowych jednolitych, musiano je poskładać z części.

Znów upłynął miesiąc. Dzicy usiłowali kilka razy odebrać wysepkę Motou-Aro, ale się im to nie udało. Gdy łodzie ich podpłynęły na donioSłość strzału, rozbijano je kulami działowemi. Nakoniec roboty ukończono. Należało się jeszcze dowiedzieć, czy która z szesnastu ofiar rzezi nie żyje dotąd, i pomścić innych. Liczny oddział oficerów i żołnierzy udał się do wsi Takouria. Za zbliżeniem się jego, zdradziecki i podły naczelnik uciekł, ubrany w płaszcz Mariona. Przetrząśnięto starannie wszystkie chaty we wsi; w chacie naczelnika znaleziono czaszkę świeżo ugotowaną, znać jeszcze było ślady zębów dzikiego ludożercy. Udo człowiecze było nadziane na rożen drewniany. Znaleziono koszulę Mariona z zakrwawionym kołnierzem, dalej odzienie różne, pistolety jednego z oficerów, broń z szalupy i różne szczątki. W drugiej wsi znaleziono wnętrzności ludzkie, oczyszczone i ugotowane.

Pozbierano te niewątpliwe dowody morderstwa i ludożerstwa; resztki ciał ze czcią pochowano, potem spalono wioskę Takouri i drugą Pik-Ore, współuczestniczącą w zbrodni. Dnia 14-go lipca 1777 r. okręty opuściły te smutne strony.

Pamięć tej strasznej katastrofy powinna być przytomna w umyśle każdego podróżnika, wstępującego na brzegi Nowej Zelandji. Niebaczny to dowódca, który nie korzysta z takiej nauki, bo mieszkańcy tamtejsi są ciągle zdradliwi i ludożercy. Przekonał się o tem także Cook w drugiej swej podróży w 1773 r. Jeden z jego okrętów, *Aventure,* wysłał do brzegów szalupę dnia 17-go grudnia, po zapas ziół dzikich; szalupa ta, na której znajdował się kadet i dziesięciu majtków, nie powróciła. Niespokojny o los tych ludzi, kapitan okrętu wysłał porucznika Burneya na zwiady. Ten, wylądowawszy, znalazł, jak mówił, „obraz rzezi i barbarzyństwa, o którym trudno mówić bez wstrętu". Głowy, wnętrzności, płuca leżały porozrzucane na piasku, a wpobliżu kilka psów pożerało inne szczątki tego rodzaju.

Na zakończenie tego krwawego wykazu wspomnieć wypada o okręcie *Brothers,* napadniętym w 1815 roku przez Nowozelandczyków, i o okręcie *Bayd,* którego kapitan Shompson i cała osada wymordowana byli w 1820 r. Wreszcie, dnia 1-go marca 1829 r., w

Walkitaa naczelnik Enaraco napadł i obrabował bryg angielski *Haves* z Sydney, a banda jego ludożerców zabiła kilku majtków, a zwłoki ich ugotowała i pożarła.

Taki to jest kraj ta Nowa Zelandja, do której brzegów zdążał statek *Macquarie* z bezmyślną załogą, dowodzoną przez pijaka.

LII.

SKAŁY.

Mozolna przeprawa zaczęła być przewlekłą; dnia 2-go lutego, w sześć dni po odjeździe, nie widziano jeszcze ze statku wybrzeża Aucklandu. Wiatr jednak był dobry, południowo-zachodni, ale mu prądy przeszkadzały — bryg więc ledwie się posuwał. Morze było niespokojne; źle naciągnięte liny nie utrzymywały masztów, któremi wstrząsało każde przechylenie statku. Ciężki jego korpus z trudnością się wydobywał na wierzch bałwanów i trzeszczał za każdem ich uderzeniem, którego nie umiał uniknąć. Szczęściem, że się dowódcy nie śpieszyło i nie walczył żaglami — boby całe omasztowanie zwaliło się niewątpliwie. Mógł się więc John Mangles spodziewać, że ta licha budowa dowlecze się do portu bez przypadku; przykro mu tylko było, że jego towarzystwo taką znosić musiało niewygodę na tym brygu.

Przecież ani lady Helena, ani Marja Grant nie narzekały, choć ciągły deszcz zmuszał je do siedzenia w baraku — a tam nie było wygodnie, z powodu braku powietrza i wstrząśnień. To też wychodziły niekiedy na pokład mimo deszczu, dopóki ulewa nie zmuszała ich do odwrotu w za ciasne schronienie, dobre może na towary, ale nie dla podróżnych, a szczególniej podróżniczek.

Towarzysze starali się je rozerwać. Paganel usiłował skrócić czas przez swe opowiadania, ale mu się nie wiodło. Bo istotnie umysły, skołatane myślą powrotu z bezowocnej wyprawy, nie mogły zajmować się opowiadaniem o szczegółach geograficznych, tyczących się pamp argentyńskich albo Australji, ani spostrzeżeniami nad Nową Zelandją. Do tego nieznanego sobie kraju, pełnego smutnego rozgłosu, podążano bez zapału, nie dobrowolnie, lecz pod naciskiem losu.

Najgorsze było położenie Glenarvana. Mało się pokazywał w baraku, nie mógł wytrzymać na miejscu. Jego temperament nerwowy, gorączkowy, nie zdołał się zamknąć między czterema ścianami. Przesiadywał na pokładzie dzień i noc, nie zważając na deszcz i uderzenia fal — to oparty o co, to przechadzając się niespokojnie. Wzrok

jego przepatrywał w chwilach jaśniejszego stanu atmosfery. Zdawał się pytać niemych fal, chcieć rozedrzeć gęstą zasłonę mgły i wyziewów wodnych. Nie mógł się poddać rezygnacji, a twarz jego tchnęła bólem ostrym. Człowiekowi szczęśliwemu i potężnemu, jak on, zabrakło naraz szczęścia i władzy.

Nie odstępował go John, znosząc razem z nim przykrości niepogody. Tego dnia właśnie ze szczególniejszą troskliwością badał Glenarvan widnokrąg, jak tylko ukazywała się przerwa we mgle, zalegającej morze. John zbliżył się do niego.

— Czy Wasza Dostojność chce dojrzeć ziemię?

Glenarvan ruchem głowy odpowiedział przecząco.

— Jednak — ciągnął dalej kapitan — zapewne Wasza Dostojność radby co prędzej wysiąść z tego brygu. Już od trzydziestu sześciu godzin powinnibyśmy widzieć światła Aucklandu.

Glenarvan nie odpowiedział. Patrzył zawsze w przestrzeń, a w owej chwili skierował lunetę pod wiatr, pchający statek.

— Nie w tamtej stronie jest ziemia — rzekł Mangles — trzeba raczej patrzeć w stronę przeciwną.

— Ależ ja nie szukam ziemi — odpowiedział Glenarvan.

— A czegóż, milordzie?

— Mego jachtu! Mego *Duncana!* — zawołał Glenarvan gniewnie. — Powinienby być w tych stronach i w tych stronach pruć fale morskie, oddając się złowrogiemu zawodowi korsarskiemu! Mam przeczucie, że go spotkam na tej drodze morskiej między Australją a Nową Zelandją.

— Niech nas Pan Bóg uchroni od spotkania się z nim.

— A to dlaczego?

— Wasza Dostojność zapomniał, jakie jest nasze położenie. Cóżbyśmy zrobili z tym brygiem, gdyby go *Duncan* ścigać zaczął? Niepodobna nawet uciec na takim statku.

— Ty, Johnie, mówisz o uciekaniu?

— Tak, milordzie! Nie udałoby się nam; bylibyśmy pojmani, dostalibyśmy się w moc tych nędzników, a Ben Joyce dowiódł, że nie uląkłby się zbrodni. Nie idzie mi o moje własne życie, bronilibyśmy się do ostatka. Ale coby było potem? Coby się stało z lady Glenarvan, z Marją Grant?

— Biedne kobiety — szepnął Glenarvan. — Wiesz, John, że mi serce pęka i nieraz napada mnie rozpacz. Zdaje mi się, że nowe nieszczęścia nas spotkają, że niebo z nami walczy. Strach mnie przejmuje. I nie o mnie mi idzie, ale o tych, których kocham, których i ty kochasz.

— Uspokój się, milordzie — odpowiedział John — niema się czego obawiać. Nasz statek nie umie śpieszyć, ale się posuwa. Will Halley, to bydlę, aleć ja tu jestem i jeśli przy zbliżeniu się do brzegów będę widział, że jest jakie niebezpieczeństwo, wyprowadzę statek na

pełne morze. Z tej strony niema się czego obawiać, a przynajmniej bardzo mało. Co innego, gdyby przyszło spotkać się z *Duncanem*. Niech Bóg od tego uchroni. I jeśli Wasza Dostojność chce go dojrzeć, to niech to będzie raczej dla uniknięcia go, dla uciekania przed nim.

John miał słuszność. Spotkanie się z *Duncanem* byłoby zgubne dla statku, na którym płynęli; a jednak można się było spodziewać tego spotkania na tem morzu nieprzestronnem, po którem rozbójnicy morscy mogli bez obawy myszkować. Jednak tego dnia jeszcze nie pokazał się jacht i nadeszła już szósta noc od wyjazdu z zatoki Twofold, a dotąd nie zdarzyło się nic z tego, czego się lękał John.

Ale ta właśnie noc miała być okropną. O siódmej godzinie ściemniło się prawie nagle, a niebo było bardzo groźne. Instynkt żeglarski przemógł w Halleyu nad bydlęcem upojeniem. Wyszedł ze swej kajuty, przetarł oczy i wstrząsnął swą potężną głową; potem zaczerpnął obficie powietrza, tak, jak kto inny połknąłby szklanicę wody, żeby się otrzeźwić — i jął się przyglądać omasztowaniu.

Wiatr dął teraz mocniejszy, a zmieniwszy kierunek bardziej od zachodu, pchał okręt wprost ku brzegom zelandzkim. Halley przekleństwami zwołał swoich ludzi, kazał zwinąć żagiel rejowy i zaciągnąć mniejszy. John pochwalał w duchu tę zmianę; postanowił był sobie nie wdawać się z nieokrzesanym dowódcą — pilnował jednak tego, co się dzieje na statku wraz z Glenarvanem. W dwie godziny potem zerwał się wicher. Will Halley dał znów nowe rozporządzenia co do żagli; osada, z pięciu tylko ludzi złożona, niełatwoby je spełniła, gdyby szczęściem reje brygu nie były urządzone na sposób amerykański, co znacznie ułatwiało pracę.

I znów minęły dwie godziny; morze coraz było burzliwsze. Statek wstrząsał się niekiedy od spodu, jakby się tarł o skały. Ale tak źle nie było. Tylko cała budowa statku, zbyt ciężka, nie pozwalała mu wypływać szybko na bałwany. To też tłukły boki jego, a jedno takie uderzenie porwało czółno, przyczepione do boku. John nie zupełnie spokojnie widział to wszystko; każdy inny statek mógłby żartować z fal tych, wcale nie groźnych. Na tym jednak ciężkim statku można się było obawiać zatonięcia, gdyż przy każdem uderzeniu fali pokład zalewała woda, która, nie znajdując odpływu szybkiego przez luki w burtach, mogła pociągnąć go na dno. Warto byłoby rozrąbać burty siekierą, ale Will Halley nie zgodził się na to. Zresztą groziło statkowi coś gorszego, czemu nie można było zapobiec.

Około północy John Mangles i Wilson, będący na pokładzie od strony wiatru, posłyszeli odgłos niezwykły. Obudził się ich instynkt żeglarski. John chwycił majtka za rękę:

— Słyszysz, jak się fale odbijają.

— Słyszę, fala tłucze o mieliznę.

— I nie dalej jak o dwa węzły od nas.

— Nie dalej! Wyraźnie jest tam ziemia.

John przechylił się przez burtę, popatrzył na ciemne bałwany i zawołał:

— Sonduj, Wilson, sonduj!

Stojący na dziobie właściciel statku zdawał się niedomyślać nawet stanu rzeczy. Wilson porwał sondę, poskoczył z nią w stronę przedniego masztu i zapuścił ją w wodę. Przy trzecim węźle ołów zatrzymał się na dnie morskiem.

— Trzy sążnie! — krzyknął Wilson.

— Kapitanie — zawołał John, biegnąc ku Willowi — jesteśmy przy skałach podwodnych.

Może i nie widział, jak Will wzruszył na to ramionami. Bądź co bądź poskoczył do steru i zwrócił go wpoprzek, podczas gdy Wilson, cisnąwszy sondę, jął naprowadzać żagiel tak zwany „bocianiego gniazda", żeby zmusić statek do zawrócenia.

— W bok wiatru, na pełne morze! — wołał John, usiłując ze swej strony rudlem odeprzeć statek od skał.

W tej chwili Will Halley zrozumiał nakoniec niebezpieczeństwo, ale stracił głowę. Jego majtkowie, napół tylko roztrzeźwieni, nie mogli zrozumieć rozkazów; wreszcie wyrazy jego nie trzymały się jedne drugich — a sprzeczność rozkazów świadczyła, że ogłupiałemu pijakowi brakło zimnej krwi. Zdziwił się, że ziemia tak blisko, gdy tymczasem sądził, że jeszcze do niej bardzo daleko. Był to rutynista i nic wiecej; to też nie umiał sobie radzić, gdy go fala spędziła z drogi, którą zazwyczaj przebywał.

Nagłe manewry Johna oddaliły statek od skał podwodnych; ale Mangles nie znał położenia — a być mogło, że jest otoczony wieńcem skał. Niech się statek zanurzy przodem lub tyłem, a może dostać do gruntu. Istotnie dał się słyszeć łoskot z prawej strony dzioba i znów trzeba było zażyć wiatru, żeby się od tego miejsca oddalić. John jął się znów steru i pokierował przód statku inaczej, ale spostrzeżono, że i tu są skały; należało ponownie oddalić się od nich. Trudna to była sprawa ze statkiem źle zbudowanym w chwili, gdy jego żagle były spuszczone. Ale trzeba było próbować. Nowy obrót statku znów powiódł go ku skałom i wkrótce zobaczono pieniące się wały morskie.

Była to chwila niewypowiedzianego niepokoju. Na falach połyskiwała piana. Możnaby powiedzieć, że wystąpiło na nich nagle zjawisko fosforescencji. Morze ryczało, jakby obdarzone głosem, który w starożytności mitologja pogańska przypisywała jego skałom, branym za istoty żywe. Wilson i Mulrady, nachyleni nad kołem sterowem, napierali na nie całą siłą. Niemniej spód statku otarł się o dno morskie.

I w tej chwili dało się czuć uderzenie — statek wpadł między skały, ogromny bałwan podbił go od spodu, popchnął jeszcze dalej,

a usuwając się, zmusił do spadnięcia całym ciężarem. Pękły wiązadła, trzymające maszty, statek zachwiał się kilkakrotnie i stanął nieruchomy, pochyliwszy się na prawy bok pod kątem jakich trzydziestu stopni.

Szyby w baraku rozprysły się w kawałki. Podróżni wyskoczyli na pokład, ale nie mogli na nim pozostać bez niebezpieczeństwa, bo fale zamiatały pokład od końca do końca. John wiedział, że statek silnie osadzony jest na ławicy piasku; żądał więc, by weszli napowrót do baraku.

— Powiedz mi całą prawdę, Johnie! — pytał spokojnie Glenarvan.

— Prawdą jest, żeśmy osiedli na mieliźnie, ale nie zatoniemy. Czy bałwany nie rozbiją statku, to inne pytanie; ale mamy czas radzić sobie.

— Teraz jest północ.

— Tak milordzie, trzeba czekać do rana.

— Czy nie można spuścić czółna na morze?

— Niepodobna na taką falę i w taką ciemnicę. A zresztą, w którem miejscu przybić lądu?

— A więc pozostańmy tu aż do dnia.

Tymczasem Will Halley biegał po pokładzie jak szalony. Majtkowie jego, wyszedłszy z osłupienia, rozbili baryłkę wódki i zaczęli pić. John przewidział, że gdy się popiją, to może przyjść do scen okropnych. Nie można było spodziewać się, że ich powściągnie ich dowódca. On załamywał ręce i targał sobie włosy, myśląc tylko o ładunku, który nie był zabezpieczony.

— Zgubiony jestem, zrujnowany! — wrzeszczał, biegając od burty do burty.

John nie myślał go pocieszać; kazał się uzbroić swym towarzyszom i być wpogotowiu do odparcia napaści majtków, którzy pijąc, okropnemi miotali przekleństwy.

— Pierwszy z tych nędzników — rzekł zimno major — padnie trupem jak pies, jeśli się tylko zbliży do baraku.

Majtkowie, spostrzegłszy te przygotowania do przyjęcia ich, jak należy, pokręcili się więc w pewnej odległości, jakby badając, czy nie da się co porwać, poczem zniknęli. John nie zajmował się więcej nimi. Czekał tylko dnia niecierpliwie.

Statek był zupełnie nieruchomy; morze uspokoiło się, wiatr przycichał; mógł więc statek wytrzymać przez pewien czas. — Gdy słońce wzejdzie — myślał sobie John — trzeba będzie przypatrzeć się ziemi. Jeśli się okaże, że wylądowanie jest łatwe, to jedyne czółno, jakie jeszcze pozostało, musi przewieźć na brzeg wszystkich. Trzeba będzie odbyć trzy podróże co najmniej, bo na czółnie zmieszczą się tylko cztery osób. Co za szkoda, że fala porwała drugie, większe czółno!

Tak rozmyślając o położeniu, John nasłuchiwał odgłosu fal, bijących o skały — ale daremnie chciał okiem przebić ciemności. Starał się odgadnąć, jak daleko jest do tej ziemi tak pożądanej i tak strasznej zarazem. Ławy skaliste ciągną się niekiedy o kilka mil od brzegu; czy takie liche czółno, jak to, na które liczyli, wytrzyma dłuższą przeprawę?

Gdy tak John rozmyślał, błagając chmurnego nieba o odrobinę światła, inni podróżni, ufni w jego słowo, spoczywali. Nieruchomość brygu poręczała im spokój kilkogodzinny. Nie słysząc już krzyków osady, upojonej widać na dobre, czerpali siły we śnie dorywczym. O pierwszej po północy głęboka cisza zapanowała na statku, który także spał na piaskowem łożysku.

Gdy o czwartej z rana ukazały się pierwsze oznaki nadchodzącego dnia; oświetlając blado-ciemne tło chmur, John wyszedł na pokład. Na widnokręgu wisiała zasłona mglista; z pomiędzy wyziewów porannych wyzierały zarysy niepewne, ale na znacznej jeszcze wysokości. Morze bałwaniło się lekko przy statku; dalej fale zlewały się z chmurami widnokręgu.

John czekał. Światło wzrastało stopniowo i widnokrąg zaczął się rumienić. Wierzchołki czarne skał ukazały się nad falami; na wodzie spienionej zalśniła nitka świetlna; wyżej w jednym punkcie trysnęła jasność, jakby aureola ogniska, jeszcze ukrytego. I ukazała się ziemia o jakie dziewięć mil (angielskich).

— Ziemia! — zawołał Mangles.

Zbudzeni tym okrzykiem towarzysze wybiegli na pomost i patrzyli w milczeniu w stronę rozjaśnionego widnokręgu — bo ten ląd gościnny, czy wrogi, miał być teraz miejscem ich schronienia.

— Gdzie jest Will Halley? — zapytał Glenarvan.

— Nie wiem, milordzie — odpowiedział John.

— A jego majtkowie?

— I oni gdzieś zniknęli.

— Zapewne leżą gdzie bez duszy upici — dodał major.

— Trzeba szukać — mówił Glenarvan — przecież nie można zostawić ich na tym statku.

Mulrady i Wilson zajrzeli do kajuty, zeszli pod pomost, nawet pod dolny pokład — i w parę minut wrócili, mówiąc, że żywej duszy nie znaleźli.

— Jakto, nikogo? — pytał Glenarvan.

— Czyżby powpadali w morze? — wtrącił Paganel.

— Wszystko to być może — rzekł John, zakłopotany tem zniknięciem osady statku.

Potem, zwracając się ku rufie, rzekł:

— Idźmy do czółna.

Wilson i Mulrady poszli za nim, żeby spuścić czółno na wodę. Czółna nie było.

LIII.

IMPROWIZOWANI ŻEGLARZE.

Korzystając z ciemności nocy i snu podróżnych, Will Halley wraz z całą swą osadą uciekł na jedynej łodzi, jaka była przy brygu. Nie można było o tem wątpić. Kapitan, którego obowiązkiem było do ostatniej chwili pozostawać na pokładzie, pierwszy go opuścił.

— Ci nicponie uciekli — rzekł John Mangles. — Tem lepiej, milordzie, unikniemy przez to wielu zajść przykrych!

— Ja też tak myślę — odpowiedział Glenarvan — a zresztą pozostaje nam jeszcze na pokładzie kapitan John i jego towarzysze, jeżeli niekoniecznie zręczni, to przynajmniej odważni. Wydawaj rozkazy, a my je spełniać będziemy.

Major, Paganel, Robert, Wilson, Mulrady a nawet i Olbinett przyklasnęli słowom Glenarvana, a zgromadziwszy się na pokładzie, oczekiwali na rozkazy Johna.

— Od czegóż zaczniemy? — spytał Glenarvan.

Młody kapitan powiódł wzrokiem po morzu, zauważył brak niektórych masztów na brygu i rzekł po chwili namysłu:

— Dwa mamy sposoby wydobycia się z tego położenia; podnieść statek i udać się na morze, albo też dostać się do brzegu zapomocą tratwy, której budowa dość będzie łatwa.

— Jeżeli okręt da się podnieść, to go podnieśmy — rzekł Glenarvan — to będzie najlepszy sposób, nieprawdaż?

— Tak, panie, bo inaczej, gdybyśmy się już raz dostali na ląd, to cóż poczęlibyśmy, nie mając sposobu przewiezienia naszych pakunków?

— Unikajmy brzegu — dodał Paganel. — Nie trzeba ufać Nowej Zelandji.

— Tem więcej, żeśmy daleko od właściwego miejsca zapędzeni — dodał John. — Widoczne jest, że przez nieradność Halleya posunęliśmy się na południe. Około dwunastej będę mógł zbadać nasze położenie i jeżeli, o ile mi się teraz zdaje, jesteśmy poniżej Aucklandu, postaram się, aby poprowadzić statek wzdłuż brzegów.

— A uszkodzenia brygu? — spytała lady Helena.

— Nie zdaje mi się, pani, by były znaczne — odpowiedział John Mangles. — Maszt przedni zastąpię jakkolwiek i popłyniemy wolno wprawdzie, ale tam, gdzie będziemy chcieli. Gdyby jednak korpus brygu był uszkodzony, niepodobnaby było zepchnąć go na wodę; wtenczas zmuszenibyśmy byli dostać się na brzeg i udać się lądem do Aucklandu.

— Najważniejszą więc teraz jest rzeczą zbadanie stanu okrętu — zadecydował major.

Glenarvan, John i Mulrady zeszli na spód okrętu. Było tam mniej więcej dwieście tonn skóry wyprawnej, niedbale umieszczonej; łatwo było je wydobyć zapomocą windy. John kazał część tych pak wyrzucić w morze, żeby ulżyć okrętowi. Po trzech godzinach ciężkiej pracy, można było nareszcie dobrać się do samego dna. Pokazało się, że z lewej strony są dwa pęknięcia w tej wysokości, gdzie jest obłożenie bali wiązaniem. Że zaś statek pochylony był na prawy bok, więc otwory były nad wodą, która zatem nie mogła niemi wchodzić. Wilson zatkał je we właściwy w takich zdarzeniach sposób i pokrył blachą miedzianą, przystającą szczelnie.

Wody na dnie okrętu nie było więcej nad dwie stopy.

Przy pomocy pomp łatwo było ją stamtąd usunąć i tem samem ulżyć okrętowi. Zbadawszy tak kadłub okrętu, John przekonał się, że niewiele ucierpiał przy osiadaniu na mieliźnie. Wprawdzie część belkowania, wzmacniającego spód statku, skruszyła się i ugrzęzła w piasku, lecz można się było bez niej obejść.

Wilson, obejrzawszy wnętrze okrętu, wszedł w wodę, by zbadać jego położenie od spodu. Pokazało się, że statek, zwrócony na północno-zachód, trafił na ławicę piasku grubego, jak stroma ściana przy głębszej wodzie ubitego; wpadł na nią przednią częścią spodu i werżnął się w nią głęboko dwoma trzeciemi swej długości. Część tylna statku leżała na wodzie głębokości pięciu sążni; ster był zatem wolny i do użycia. Było to bardzo szczęśliwe, bo nie potrzeba go było oswobadzać i można było użyć przy pierwszej sposobności.

Na oceanie Spokojnym woda niewiele się wznosi w czasie przypływu — John jednak liczył na niego, że podniesie statek. Bryg wpadł na mieliznę na godzinę przed dojściem wody do zupełnej wysokości; od chwili, gdy morze opadać zaczęło, statek pochylał się coraz bardziej na prawą stronę, a o szóstej z rana, gdy stan wody był najniższy, pochylenie statku doszło do swego *maximum;* nie było więc już potrzeby podpierać go z tej strony. Sztuki drzewa, którychby na podpory użyć należało, pozostały na pokładzie — i John zamyślał zrobić z nich improwizowany maszt przedni. Pozostawało jeszcze ściągnąć statek na wodę, a tej pracy długiej i ciężkiej niepodobna było załatwić na czas, w którym przypływ morza będzie najwyższy. Należało stwierdzić, co się wówczas stanie ze statkiem, któremu znacznie ulżono.

— Do roboty! — zawołał John. Improwizowani żeglarze stanęli gotowi na jego rozkazy.

John kazał przedewszystkiem zwinąć żagle, które jeszcze nie były pościągane. Robert, major i Paganel, pod kierunkiem Wilsona, weszli na maszt bocianiego gniazda; party wiatrem jego żagiel przeszkadzał wydobyciu się okrętu z mielizny. Trzeba więc było go zwinąć, co też, choć z trudnością, uskuteczniono. Następnie z wielką pracą i trudem, szczególniej dla rąk, które nie były do tego przyzwy-

czajone, załatwiano się z innemi żaglami, w czem Robert, zwinny jak kot, śmiały jak chłopiec okrętowy, bardzo był pożyteczny.

Teraz trzeba było spuścić na dno morskie ztyłu okrętu jedną albo dwie kotwice, a umieścić je tak, żeby działały w kierunku długości okrętu. Przy wznoszeniu się poziomu wód, kotwice, przytrzymujące tył statku, zmuszałyby tem samem przód jego do dźwigania się wgórę. Mając czółno, łatwo spełnić taką czynność i zrzucić kotwicę w morze w miejscu zbadanem poprzednio; ale nie było żadnej łodzi i trzeba było radzić sobie inaczej. Glenarvan był dość praktyczny, by rozumieć, że potrzeba kotwice zapuścić, żeby pomagały do oswobodzenia okrętu osiadłego na mieliźnie w czasie niskiego stanu wody.

— Cóż poczniemy bez łodzi? — spytał się Johna.

— Użyjemy szczątków masztu przedniego i próżnych beczek — odpowiedział młody kapitan. — Wprawdzie robota trudna będzie, ale nie niemożliwa; kotwice tego statku nie są wielkie — a byle się nie wyrwały z gruntu, w który będą zapuszczone, to mam zupełną nadzieję powodzenia.

— A więc nie traćmy czasu, Johnie.

Zwołano wszystkich, będących na okręcie, na pokład, żeby każdy przyłożył się do roboty. Odcięto toporem liny, przytrzymujące maszt złamany: z jego wiązań dolnych zrobiono rodzaj tratwy, pod którą przytwierdzono beczki, tak, że można było liczyć na to, że zniesie ciężar kotwic. Urządzono drygawkę dla władania tratwą, którą wreszcie sama podnosząca się woda posunie na tył statku, gdy zaś kotwica będzie już zapuszczona, to tratwę będzie można przyciągnąć do okrętu zapomocą lin.

Zaledwie połowę roboty wykonano, gdy słońce stanęło już na południku; John pozostawił więc Glenarvanowi doglądanie roboty, a sam zajął się badaniem, w jakim punkcie się znajdują — bo na tej wiadomości wiele zależało. Na szczęście, znalazł w kajucie Halleya rocznik obserwatorjum astronomicznego w Greenwich i sekstant, zabrudzony wprawdzie, ale dający się użyć; wyczyścił go i wyniósł na pokład. Narzędzie to zapomocą szeregu ruchomych zwierciadeł zwraca na widnokrąg promienie słońca, gdy ono jest najwyżej. Żeby się obserwacja udała, trzeba skierować lunetę sekstantu na prawdziwy widnokrąg, tam, gdzie się łączy niebo z wodą; a tu właśnie ziemia wznosiła się w kształcie przylądka i, przecinając obserwatorowi widok horyzontu, niedopuszczała spostrzeżeń. W takim razie, zamiast widnokręgu prawdziwego, trzeba sobie utworzyć sztuczny; używa się do tego płaskiego naczynia, wypełnionego merkurjuszem, nad którem odbywa się manipulacja. Na pokładzie nie było merkurjuszu, ale John poradził sobie, używając płynnej smoły, której powierzchnia odbijała słońce wcale dobrze. Szczęście i to, że wiedział, pod jakim znajdują się stopniem długości, bo bez chronometru nie mógłby dojść

tego; szło więc już tylko o wyszukanie szerokości i zajął się jej znalezieniem. Zdjął więc zapomocą sekstantu wysokość słońca nad widnokręgiem i znalazł, że wynosi 68°30'; odległość więc słońca od zenitu musiała wynosić resztę tego, co brakowało jeszcze do 90, zatem 21°30'. A że to było 3-go lutego, w którym to dniu, podług greenwichskiego rocznika, nachylenie ziemi do słońca wynosi 16°30', więc dodawszy do tego owe 21°30', pokazało się, że szerokością geograficzną, pod jaką się znajdują, jest 38-my stopień. Tak więc okręt znajdował się pod 171°21' długości a 38° szerokości. Może w tem obliczeniu były jakie błędy, wynikające z niedokładności narzędzi — ale nie mogły być znaczne i nie było co na nie zważać.

Punkt ten odszukano na mapie Johnsona, którą Paganel kupił w Eden; pokazało się, że statek uwiązł przy wejściu do cieśniny Aotea, powyżej cyplu Cahna i na wybrzeżach prowincji Auckland. Że zaś samo miasto Auckland leżało na 37-ym równoleżniku, zatem burza spędziła statek z jego drogi o cały jeden stopień; o tyle więc trzeba było się posunąć, żeby się dostać do stolicy Nowej Zelandji.

— Zatem będziemy musieli przebyć około 25 mil — rzekł Glenarvan — to bagatela.

— Co jest bagatelą na morzu, byłoby bardzo trudne na lądzie — zauważył Paganel.

— Zatem postaramy się, o ile to jest w siłach naszych, aby nasz statek spłynął na wodę.

Postanowiwszy to, wzięto się znów do roboty. O kwadrans na pierwszą przypływ dosięgnął najwyższego punktu, ale nie dało się skorzystać z tego, bo kotwice nie były jeszcze zapuszczone. Niemniej John czuwał nad statkiem z pewnym niepokojem. Czy też spłynie, pod działaniem fal? Za pięć minut miała się rzecz rozstrzygnąć.

Czekano. Coś trzasło kilka razy, jeśli nie wskutek podnoszenia się okrętu, to wskutek wstrząśnienia spodniej części pudła okrętowego. John dobrze wróżył sobie z tego na przyszłość, choć okręt dotąd nie ruszył się z miejsca.

Pracowano dalej i o drugiej już tratwa była gotowa. Władowano na nią kotwicę, a John i Wilson zeszli na nią, przyczepiwszy do niej linę z okrętu. Odpływ morza sam ich unosił. Kotwicę zarzucili w odległości liny okrętowej, w miejscu, gdzie woda sięgała dziesięciu sążni głębokości.

Trzeba jeszcze było zarzucić drugą, większą kotwicę. Spuszczono ją ze statku nie bez trudności, ale nareszcie i ją zarzucono dalej jeszcze niż pierwszą, na głębokości piętnastu sążni. John i Wilson powrócili na statek. Wciągnięto liny i bloki i czekano przypływu morza, który powinien dać się uczuć o pierwszej po północy. Mangles chwalił majtków, a Paganelowi dał do zrozumienia, że przy odwadze i pilności mógłby wyjść na jakiego niższego oficera marynarki.

Olbinett pomagał także w robotach, poczem udał się do kuchni, żeby przygotować posiłek, bo wszyscy byli wygłodzeni.

Po obiedzie John jeszcze raz rozważał, czy wszystko zrobiono, jak należy, bo nie trzeba nic zaniedbywac, gdy idzie o wydobycie statku z mielizny. Czasem obciążenie bagatelne nie da się rufie wydobyć z piasku. To też John kazał wiele z ładunku wyrzucić w morze, a różne ciężary poznosić na tył okrętu, by pomogły do wyważenia przodu. Nawet baryłki wodą ponapełniane tam zatoczono, żeby zwiększyć ciężar, a więc i siłę wyważającą.

Już północ nadeszła, gdy tych ostatnich prac dokończono. Wszyscy byli niezmiernie strudzeni, co wcale nie było na rękę w chwili, gdy nie byłoby za wiele sił świeżych do spodziewanych czynności. To skłoniło Johna do urządzenia się inaczej.

W tej chwili wiatr zesłabł znacznie, zaledwie kapryśna jaka fala pokazywała się na spokojnej wód powierzchni. Przyglądając się widnokręgowi, John spostrzegł, że ma się na zmianę wiatru z południowo-zachodniego na północno-zachodni. Z układu i koloru obłoków dobry żeglarz pozna takie szczegóły; Wilson i Mulrady potwierdzili zdanie kapitana.

John udzielił swych spostrzeżeń Glenarvanowi i proponował, aby na jutro odłożyć operację ściągnięcia okrętu na wodę.

— Moje powody są następujące — mówił. — Najpierw jesteśmy wszyscy niezmiernie strudzeni pracą całodzienną, a wielkich sił potrzeba do tego, co nas czeka. A potem, jeśli statek spłynie, to jakże nim kierować po nocy pomiędzy temi grożnemi skałami? Toć już lepiej działać przy świetle dziennem. Zresztą jest jeszcze jeden powód do zwłoki; wiatr, jak się zdaje, przyjdzie nam z pomocą, a to rzecz bardzo ważna; będzie popychał kadłub statku w tym samym czasie, kiedy woda go będzie podnosić. Jeśli się nie mylę, to jutro wiatr będzie wiał od północno-zachodu; wzniesiemy żagle na wielkim maszcie, a to nam pomoże do cofnięcia brygu na wodę.

Powody były słuszne, Glenarvan i Paganel, najniecierpliwsi ze wszystkich, sami to przyznali i postanowiono czekać do jutra.

Noc minęła szczęśliwie; swoją drogą zmieniano się dla baczenia na to, co się dzieje, szczególniej z kotwicami.

Z nadejściem dnia sprawdziły się przypuszczenia Johna; — zaczął dąć od północno-zachodu wiatr dosyć mocny i wzmógł siły osady do operacji, której miano dokonać. John rozporządził wszystkimi, gdzie mają stanąć, co mają robić, gdy chwila stanowcza nadejdzie — a przygotowano wszystko w omasztowaniu i ożaglowaniu, co się dało przygotować.

Była już dziewiąta rano; jeszcze więc cztery godziny trzeba było czekać do najwyższego przypływu morza. I tego czasu darmo nie stracono, bo urządzono maszt improwizowany na przodzie okrętu, żeby z jego pomocą tem łatwiej można było się oddalić z tych stron

niebezpiecznych, jak tylko okręt spłynie. Do południa i to było skończone; nawet lady Helena i Marja Grant nie były nieczynne, bo pracowały przy urządzeniu żagli — z czego niewymownie były rade. Po tych wszystkich przygotowaniach statek niebardzo pięknie wprawdzie wyglądał, ale można było na nim puścić się na morze, byle nie bardzo oddalać się od brzegów.

Przypływ wznosił się tymczasem; na morzu powstawały małe fale, wierzchołki skał i mielizn kryły się pod wodą, jakby morskie zwierzęta, zagłębiające się w płynny swój żywioł. Chwila stanowcza zbliżała się; gorączkowa niecierpliwość w naprężeniu trzymała umysły osób, znajdujących się na statku. Wszyscy milczeli, patrząc na Johna, i czekali jego rozkazów.

John, przechylony przez poręcz, przyglądał się przypływowi, badając niespokojnem okiem liny, łączące kotwice z okrętem, a silnie naprężone.

O pierwszej godzinie morze doszło największej wysokości; właśnie było w stanie spoczynku, to jest w owej krótkiej chwili, w której woda się już wznosi, ale nie opada jeszcze. Nie było co ociągać się z działaniem. Rozpięto żagle tak, by dął w nie wiatr w kierunku morza, a John wydał polecenie, by natychmiast wprawiono w ruch windy i dźwignie. Pod potężnem działaniem naprężyły się liny kotwiczne — kotwice trzymały wybornie i ani ruszyły się z miejsca. Należało działać szybko, bo pełne morze trwa zaledwie kilka minut i wkrótce miało opadać.

Zdwojono usiłowania; wiatr dął tak gwałtownie, że żagle uderzały o maszty. Pewne drgnięcia dały się uczuć, statek zdawał się podnosić. Może siła jednego więcej ramienia pomoże do wyrwania statku z ławicy piaszczystej!

— Heleno! Marjo! — wołał Glenarvan.

Obie kobiety pośpieszyły przyłączyć swe siły do wysiłku towarzyszów. Nastąpiło jeszcze jedno drgnięcie, ale nic więcej — bryg nie ruszył się z miejsca. Odpływ morza już się rozpoczął — i okazało się, że nawet z pomocą wiatru i morza osada statku nie zdoła ściągnąć go na wodę.

LIV.

W KTÓRYM JEST TEORJA LUDOŻERSTWA.

Pierwszy środek ratunku, którego chwycił się John Mangles, zawiódł zupełnie. Trzeba więc było bez zwłoki chwycić się drugiego. Niepodobieństwo oswobodzenia statku było widoczne, i jedynem wyjściem z tego położenia było opuszczenie go. Czekać na wątpliwą pomoc było nierozsądkiem i szaleństwem. Zanimby przybył jaki sta-

tek, zesłany przez Opatrzność, *Macquarte* mógł być roztrzaskany. Pierwsza burza, a choćby tylko rozigrane wiatrem morze mogłoby go rzucić dalej na piasek, rozbić, potrzaskać na drzazgi. John chciał się dostać na ląd, nim to nieuniknione zniszczenie statku nastąpi.

Zaproponował więc zbudowanie tratwy dość mocnej, by można było na niej przewieźć podróżnych i dostateczną ilość potrzebnych rzeczy na brzegi Nowej Zelandji.

Nie było tutaj nad czem debatować, lecz należało działać. Wzięto się więc do roboty i, nim noc nadeszła, posunięto się w niej znacznie.

Około godziny ósmej wieczorem, po wieczerzy, kiedy lady Helena i Marja Grant spoczywały na posłaniach w baraku, Paganel i jego przyjaciele, przechadzając się po pokładzie, o ważnych rozmawiali rzeczach. Robert nie chciał się z nimi rozłączyć. Odważny chłopiec słuchał z natężoną uwagą, gotów do poświęcenia się w razie niebezpiecznego przedsięwzięcia.

Paganel spytał Johna, czyby na tratwie nie można płynąć brzegiem aż do Aucklandu, zamiast wysadzać osadę na ląd.

John odpowiedział, że taka żegluga na tak niedokładnym statku jest niepodobieństwem.

— A więc to, czego z tratwą nie możemy próbować, byłoby możebnem na łodzi, która się znajdowała na brygu? — zapytał Paganel.

— Ściśle rzeczy biorąc, możnaby — odpowiedział John — ale pod warunkiem, aby żeglować tylko w dzień, a zatrzymywać się na noc.

— Więc ci nędznicy, którzy nas opuścili...

— Tak, ci nędznicy — odrzekł John Mangles — byli pijani i bodaj czy wśród owej ciemnicy nie przypłacili życiem tego nikczemnego opuszczenia nas.

— Tem gorzej dla nich i tem gorzej dla nas — zauważył Paganel — bo ta łódź byłaby się nam bardzo przydała.

— Więc cóż robić, mój Paganelu — dodał Glenarvan. — Na tratwie dostaniemy się do lądu.

— A ja właśnie chciałbym tego uniknąć — odpowiedział geograf.

— Jakto, miałażby podróż co najwięcej dwudziesto-milowa zastraszyć ludzi, zaprawionych do trudów takich, jakie ponosiliśmy w pampach i w Australji?

— Moi przyjaciele — odpowiedział Paganel — nie wątpię o waszej odwadze i męstwie: te dwadzieścia mil byłyby niczem w każdym innym kraju, ale nie w Nowej Zelandji. Nie posądzicie mię o tchórzostwo, bo wszakże ja to pierwszy poprowadziłem was do Ameryki i Australji; lecz tutaj, powtarzam, lepiej na wszystko się narazić, niż zapuszczać się w ten kraj zdradziecki.

— Raczej na wszystko się odważyć, niż narażać się na śmierć niechybną na tym statku, osiadłym na mieliźnie — odrzekł John Mangles.

— Czegoż się tak obawiać mamy w Nowej Zelandji? — zapytał Glenarvan.

— Dzikich — odpowiedział Paganel.

— Dzikich? — powtórzył Glenarvan. — Czy nie można ich uniknąć, trzymając się wybrzeża? Zresztą utarczka z kilku nędznikami nie może kłopotać dziesięciu Europejczyków dobrze uzbrojonych i gotowych do boju.

— Nie o nędznikach jest tu mowa — rzekł Paganel, potrząsając głową. — Nowo-Zelandczycy są to straszni ludzie, którzy toczą walkę z władzą angielską, biją się z najeźdzcami, zwyciężają ich często, a zawsze zjadają.

— Ludożercy — zawołał Robert — ludożercy!

Potem słyszano go, jak szeptał: — Moja siostra! Pani Helena!

— Nie obawiaj się niczego, moje dziecko, nasz przyjaciel Paganel przesadza! — odezwał się Glenarvan dla uspokojenia chłopca.

— Bynajmniej nie przesadzam — odrzekł Paganel. — Robert dowiódł, że jest mężczyzną, nie ukrywam więc przed nim prawdy. Nowo-Zelandczycy są najokrutniejsi, jeżeli już nie najżarłoczniejsi ze wszystkich ludożerców. Pożerają wszystkich, których w swe ręce dostaną. Wojna jest dla nich polowaniem na wyśmienitą zwierzynę, która zowie się człowiekiem, i przyznać należy, że to jest jedyna wojna logiczna. Europejczycy zabijają i grzebią swych nieprzyjaciół — dzicy zabijają i jedzą swoich wrogów; a mój współrodak Toussenel utrzymuje, że złe nietyle polega na upieczeniu nieprzyjaciela, gdy już nie żyje, ile na zabiciu go, gdy nie chce umierać.

— Paganelu — rzekł major — byłoby o czem rozprawiać, ale nie pora po temu. Czy to jest logiczne czy nie, aby być zjedzonym, nie chcemy, by nas zjedzono. Lecz czemuż to jeszcze chrystjanizm nie wytępił ludożerstwa?

— Czy sądzisz, że wszyscy Nowo-Zelandczycy są chrześcijanami? — odrzekł Paganel. — Tylko mała ich liczba, a misjonarze są i teraz jeszcze bardzo często ofiarami tych bydląt. Niedawno umęczyli ze strasznem okrucieństwem czcigodnego Walknera. Maorysi go powiesili, kobiety ich wyłupiły mu oczy, wypito jego krew, zjedzono jego mózg. Morderstwo to zdarzyło się w roku 1864, w Opotiki, o kilka mil od Aucklandu, w oczach, że tak powiem, władz angielskich. Wieków potrzeba, moi przyjaciele, by zmienić naturę jakiego plemienia ludzi. Maorysi pozostaną jeszcze długo tem, czem byli. Cała ich historja na krwi się opiera. Ileż to pomordowali osad okrętowych i pożarli, począwszy od żeglarzy Tasmana, aż do marynarzy Hawesa! I to nie mięso białych obudziło w nich ten apetyt. Na długi już czas przed przybyciem Europejczyków Zelandczycy

szukali w zbrodniach rozkoszy zaspokojenia podniebienia. Niejeden podróżnik był obecny ucztom tych ludożerców, na które zaproszeni przybywali bynajmniej nie dla nasycenia głodu, ale dla zjedzenia delikatnej potrawy, naprzykład kęska mięsa z kobiety lub dziecka.

— Czy tylko nie zawdzięczamy większej części tych wieści bujnej wyobraźni podróżników? — zauważył major. — Oni tak lubią rozprawiać o niebezpiecznych krajach i żołądkach ludożerców!

— To i ja przesadzam — odpowiedział Paganel. — Ale ludzie godni wiary, jak misjonarze: Kendall, Mordsen, kapitanowie: Dillon, d'Urville, Laplace i inni jeszcze tak opowiadali, a ja powinieniem wierzyć i wierzę w ich opisy. Zelandczycy są z natury okrutni. W razie śmierci swojego naczelnika, składają ofiary w ludziach. Utrzymują, że tym sposobem łagodzą gniew nieboszczyka, który mógłby szkodzić żyjącym i że zarazem przygotowują mu służbę do drugiego życia! Ale ponieważ po zamordowaniu zjadają tę służbę pośmiertną, trzeba więc przypuścić, że raczej żołądek, niż przesąd, kieruje ich postępowaniem.

— Jednak — rzekł John Mangles — przypuszczam, że religja gra ważną rolę w ludożerstwie. Dlatego też ze zmianą religji następuje i zmiana obyczajów.

— Dobrze, przyjacielu Johnie — odpowiedział Paganel — dotknąłeś ważnej kwestji, początku ludożerstwa. Czy religja, czy też głód posunął ludzi do wzajemnego zjadania się, o tem niema co rozprawiać w tej chwili. Na pytanie: dlaczego ludożerstwo istnieje, niema jeszcze odpowiedzi; ale istnieje, a fakt to dość ważny, by zastanawiać się nad nim.

Paganel miał słuszność. Ludożerstwo stało się chorobą chroniczną w Nowej Zelandji, tak, jak na wyspach Fidżi i w cieśninie Torresa. Przesąd wpływa widocznie na te wstrętne zwyczaje, ale ludzie ludzi zjadają i dlatego także, że są głodni, a często nie mają zwierzyny. Dzicy zaczęli z początku jeść ciało ludzkie dla zaspokojenia głodu; potem kapłani ujęli w pewne prawidła i uświęcili te potworne przyzwyczajenia. Posiłek stał się obrzędem — ot i wszystko.

Zresztą u Maorysów nic naturalniejszego, jak zjadać się wzajemnie. Misjonarze zadawali im częste pytania co do ludożerstwa. Pytali ich, dlaczego pożerają swych braci — na co im odpowiadali naczelnicy, że ryby zjadają ryby, psy zjadają ludzi — ludzie jedzą psy, a psy pożerają się wzajemnie. W ich teogonji nawet jest podanie, że jakiś bożek zjadł drugiego boga. Przy takich przykładach, jak oprzeć się przyjemności pożerania się nawzajem?

Zelandczycy utrzymują także, że pożerają ciało umarłego nieprzyjaciela, niszczą jego część duchową i odziedziczają jego duszę, siłę i odwagę, za których siedzibę uważają szczególniej mózg, i który z tego powodu podawany bywa na ich ucztach, jako najwyśmienitsza potrawa.

Jednakże Paganel słusznie twierdził, że zmysłowość, a nadewszystko potrzeba pobudza Zelandczyków do ludożerstwa i to nietylko dzikich w Oceanji, ale i dzikich w Europie.

— Tak — dodał — ludożerstwo długo istniało między przodkami ludów najwięcej ucywilizowanych i nie bierzcie tego za przymówkę, ale szczególniej u Szkotów.

— Naprawdę? — spytał Mac Nabbs.

— Tak, majorze — odrzekł Paganel. — Przeczytaj niektóre ustępy świętego Hieronima o Atticolach w Szkocji, a pojmiesz, czem byli twoi przodkowie. Nie zapuszczając się w ciemne czasy historyczne, toć za panowaniaElżbiety, w czasie kiedy Szekspir marzył o swym Shylocku, Sawney Bean, bandyta szkocki, ścięty był za zbrodnię ludożerstwa. I jakąż była jego pobudka do jedzenia ciała ludzkiego? Czy religja? Nie, głód!

— Głód? — powtórzył pytająco John Mangles.

— Głód — odpowiedział Paganel — a nadewszystko ta potrzeba, jaką czują istoty żywiące się mięsem, odświeżania ciała i krwi swej azotem, zawartym w materji zwierzęcej. Dla czynności płuc starczy pożywanie roślin bulwiastych i mączystych; ale kto chce być silnym i czynnym, powinien szukać części pożywniejszych, które wzmacniają muskuły. Dopóki Maorysi nie zostaną członkami Towarzystwa Jaroszów, to jest ludzi, żywiących się wyłącznie pokarmami roślinnemi, będą jedli mięso, a więc mięso ludzkie.

— Czemu nie mięso zwierząt? — zawołał Glenarvan.

— Bo nie mają zwierząt — odrzekł Paganel — a trzeba o tem wiedzieć, nie dla uniewinnienia ich, lecz dla zrozumienia ich zwyczajów ludożerczych. Zwierzęta czworonożne, a nawet ptaki, rzadko się ukazują w tym kraju niegościnnym: to też Maorysi zawsze żywili się mięsem ludzkiem. Są tam nawet „pory do jedzenia ludzi”, tak jak w krajach cywilizowanych pory właściwe do polowania. Wtenczas to rozpoczynają się wielkie obławy, to jest długie wojny, i całe plemiona idą na stół zwycięzcy.

— Więc podług ciebie, Paganelu — wtrącił Glenarvan — ludożerstwo nie przestanie istnieć aż do czasu, w którym barany, woły i wieprze rozmnożą się na łąkach Nowej Zelandji?

— To widoczne, mój kochany lordzie, i jeszcze potrzeba będzie wielu lat, aby Maorysi odzwyczaili się od mięsa ludzkiego, które przekładają nad wszelkie inne; bo synowie będą przez długi czas lubowali się w tem, co przyjemne było dla rodziców. Jeśli im mamy wierzyć, to mięso ludzkie ma smak wieprzowiny, lecz więcej łechce powonienie. Mięso białych mniej im smakuje, gdyż biali używają do potraw soli, która nadaje ich ciału smak odrębny i czyni je mniej pożądanem dla znawców.

— Wybredni są — dodał major — ale niech sobie będzie mięso białych czy czarnych; jakżeż je dzicy jedzą, surowe czy gotowane?

— Chyba jest to zupełnie obojętne, panie Mac Nabbs! — zawołał Robert.

— Jakto, mój chłopcze? — odpowiedział poważnie major. — Jeżeli kiedykolwiek mam kończyć życie pod zębami ludożercy, to już wolę być ugotowany.

— Dlaczego?

— Żeby mieć pewność, że nie będę zjedzony żywcem.

— Tak majorze — powiedział Paganel — a jeżeliby cię ugotowano żywcem?

— Doprawdy — rzekł major — nie chciałbym wybierać.

— Bądź co bądź, dowiedz się, Mac Nabbsie, a może nawet będzie ci przyjemnie — mówił Paganel — że Nowo-Zelandczycy jedzą mięso ludzkie tylko ugotowane lub wędzone. Są to smakosze, doskonale znający się na kuchni... Ale doprawdy! Myśl, że można być zjedzonym, dziwnie mi jest nieprzyjemna. Skończyć istnienie w żołądku dzikiego człowieka! Fi!...

— Koniec końców wynika z tego wszystkiego, żeśmy się powinni strzec, aby nie popaść w ich ręce; a z drugiej strony miejmy nadzieję, że przyjdzie dzień, w którym chrześcijaństwo obali ten potworny zwyczaj.

— Tak — odpowiedział Paganel — powinniśmy się tego spodziewać; ale wierzajcie mi, że gdy dziki już raz skosztuje mięsa ludzkiego, to trudno mu będzie się go wyrzec. Przekonać się o tem możecie z dwu następujących faktów.

— Słuchamy cię, Paganelu — rzekł Glenarvan.

— Pierwszy fakt jest zapisany w kronikach Zgromadzenia Jezuitów w Brazylji. Misjonarz portugalski spotkał raz pewną starą Brazyljankę, tak chorą, iż jej zaledwie kilka dni życia pozostało. Jezuita nauczył umierającą zasad chrześcijaństwa, które ona przyjęła z zupełną uległością, a po udzieleniu jej posiłku duchowego, pomyślał o pokrzepieniu ciała, ofiarowując swej penitentce kilka przysmaków europejskich. „Niestety! — rzekła stara — mój żołądek nie zniesie żadnego pożywienia; na jedną tylko rzecz mam ochotę — lecz na nieszczęście niepodobna jej dostać. — Cóż takiego? — spytał jezuita. — Ach mój synu! Jest to rączka małego chłopczyka! Zdaje mi się, żebym ją nawet z kostkami pogryzła z największą przyjemnością".

— I to ma być smaczne? — zapytał Robert.

— Drugi fakt odpowie ci na to pytanie — rzekł Paganel.

— Pewien misjonarz przedstawiał ludożercy całą szkaradę zwyczaju, sprzecznego nawet z prawami Boskiemi. — A zresztą musi to nawet być bardzo niesmaczne — dodał. — Ach mój ojcze! — odpowiedział dziki, spoglądając na misjonarza pożądliwym wzrokiem — powiedz, że Bóg tego zabrania, ale nie mów, że mięso to musi być niesmaczne! Żebyś tylko skosztował!...

LV.

PRZYBYCIE DO ZIEMI, KTÓREJ UNIKNĄĆ NALEŻAŁO.

To, co Paganel opowiadał o Nowo-Zelandczykach, było prawdziwe; o ich okrucieństwie nie można było wątpić. Niebezpiecznie zatem było wysiąść na ląd. Ale gdyby to niebezpieczeńswo sto razy było większe, trzeba było narazić się na nie. John wiedział dobrze, że trzeba co prędzej opuścić statek, który niedługo już wytrzyma. Pomiędzy dwoma niebezpieczeństwami, z których jedno było niezawodne, a drugie prawdopodobne, trudno było się wahać z wyborem. Nie można zaś było rozsądnie liczyć na to, że trafi się statek, na który podróżni mogliby się przesiąść. *Macquarie* zeszedł z drogi, którą płyną okręty, zdążające do Nowej Zelandji. Płyną albo powyżej, do Aucklandu,. albo poniżej, do New-Plymouth. A *Macquarie* uwiązł właśnie pomiędzy temi dwoma punktami, niedaleko pustych brzegów Ika-Na-Maoui. Stolica ta jest niebezpieczna i złego używa rozgłosu. Statki nie lubią do niej się zbliżać; a jeśli je tam wiatr poniesie, to starają się co prędzej od niej oddalić.

— Kiedyż się tam udamy? — spytał Glenarvan.

— Jutro z rana o 10-ej — odpowiedział John — zacznie się przypływ, który poniesie nas ku ziemi.

Nazajutrz, 5-go lutego, o ósmej godzinie z rana budowa tratwy była skończona. John zwrócił całą troskliwość na jej urządzenie. To, co było dostateczne do przewiezienia kotwic, nie mogło być dobre dla podróżnych i zapasów, które z sobą wziąć mieli. Trzeba było coś mocnego, dającego się kierować i zdolnego wytrzymać na morzu podczas dziewięciomilowej przeprawy. Trzeba było użyć do tego masztów. Wilson i Mulrady jęli się roboty. Wiązania masztów u dołu rozebrano, a wielki maszt, ścięty siekierą, rozbił padając prawą burtę brygu. *Macquarie* wyglądał ogołocony z masztów, jak ponton. Pospuszczano na wodę popiłowane bale, powiązano je silnie, a w przedziałach spodu umieszczono próżne baryłki, żeby pomogły całej konstrukcji do unoszenia się na wodzie.

Na tym pierwszym pokładzie Wilson ułożył drugi, nieścisły, żeby się woda na nim żatrzymywać nie mogła, gdyby fale zalewały, i żeby podróżni nie potrzebowali stać w wodzie. Zrobiono wreszcie z czego się dało rodzaj obramowania tratwy, żeby ją uchronić od napływu fal większych.

Wiatr zapowiadał się pomyślny tego ranka; John więc kazał postawić w środku maszt niewielki i przywiązać do niego żagiel. Szeroka drygawka, umieszczona na tyle tratwy, miała służyć do kierowania nią, jeśliby wiatr nadał jej szybkość odpowiednią. Taka tratwa mogła przy sprzyjających okolicznościach oprzeć się zwykłym falom

morskim; ale czy wytrzyma, czy da się kierować, jeśli się wiatr odwróci? To wielkie pytanie.

O dziewiątej rozpoczęto ładowanie.

Przedewszystkiem umieszczono żywności tyle, żeby jej starczyło aż do Aucklandu, bo nie było co liczyć na znalezienie czegoś na tej niewdzięcznej ziemi.

Niewielkie były to zapasy. Reszta solonych mięsiw, które zabrano z sobą, wsiadając na *Macquarie,* i mało co więcej. Musiano pomnożyć to sucharami okrętowemi i dwoma baryłkami ryb solonych, czem Olbinet był bardzo zgorszony. Wszystkie prowizje umieszczono w skrzynkach, które zamknięto hermetycznie, żeby się do nich woda morska nie dostała, i dobrze przywiązano do masztu na tratwie. W suchem też miejscu złożono broń i amunicję, bo szczęściem karabinów i rewolwerów nie brakowało.

Wzięto też mniejszą kotwicę na przypadek, gdyby się nie dało dosięgnąć brzegu za jednym przypływem morza i trzeba było wyczekać na drugi.

O dziesiątej zaczęło morze przybierać, wiatr dął północno-zachodni, więc przyjaźny dla podróżnych; falowanie też morza było niewielkie.

— Czyśmy gotowi? — zawołał John Mangles.

— Najzupełniej, kapitanie — odpowiedział Wilson.

— A więc siadajmy.

Lady Helena i Marja zeszły na tratwę po drabinie ze sznurów i zajęły miejsce przy maszcie, na skrzyniach z zapasem żywności; inni umieścili się naokoło. Wilson jął się drygawki sterowniczej, John stanął przy żaglu, a Mulrady odciął linę, przytrzymującą tratwę przy brygu. Rozwinięto żagiel i tratwa powoli ruszyła z prądem wody ku brzegom.

Do brzegu było około dziewięciu mil angielskich. Przestrzeń tę przebyłoby we trzy godziny dobre czółno, ale nie tratwa. Jeśli wiatr dotrwa, to może za jednym przypływem morza dałoby się dobrnąć do lądu; gdyby jednak ustał, to odpływ porwie statek znów ku morzu i trzeba będzie zapuścić kotwicę, a i czekać na nowy przypływ. Była to sprawa dosyć kłopotliwa dla Johna.

Miał jednak nadzieję, że się podróż uda odrazu. Wiatr dął silnie, a że morze miało jeszcze przez kilka godzin przybierać, około trzeciej możnaby dotrzeć do brzegu. Jeśli nie, to trzeba będzie czekać.

Początek drogi był pomyślny. Wierzchołki skał i ławic ginęły pod wodą, wzbierającą coraz więcej; trzeba było wielkiej baczności i nie mniejszej zręczności, by nie potrącić o te ukryte zawały statkiem niedołężnym, nie dającym się łatwo i nagle skierować.

Już nadeszło południe, a jeszcze pięć mil dzieliło tratwę od brzegu. Powietrze było dosyć jasne i można było widzieć ważniejsze wyniosłości na ziemi. Od północno-wschodu zarysowała się góra

2500 stóp wysokości. Góra ta posiadała kształt dziwny: jakby skrzywiony profil małpiej twarzy, osadzony na wygiętej szyi. Była to *Pirongia,* góra leżąca na samym trzydziestym ósmym równoleżniku, jak wskazywała mapa.

O wpół do pierwszej Paganel zauważył, że wszystkie skały skryły się już pod wodę.

— Wyjąwszy jednej — rzekła lady Helena.

— Której, pani? — zapytał Paganel.

— Oto tej — odparła lady Helena, wskazując punkt czarny w odległości mniej więcej mili.

— To prawda! — rzekł Paganel. — Uważajmyż dobrze, gdzie ona leży, żeby o nią nie uderzyć, gdy się schowa pod wodę.

— Leży zupełnie nawprost północnego krańca góry; Wilsonie, uważaj, aby ją ominąć.

— Dobrze, kapitanie — odparł Wilson, napierając na drygawkę z całych sił.

W pół godziny upłynęli jeszcze z pół mili; ale dziwna rzecz, punkt czarny ciągle wystawał nad wodą.

John zaczął mu się bacznie przyglądać, ażeby zaś lepiej widzieć, wziął perspektywę od Paganela.

— To nie jest skała — rzekł, przypatrzywszy się dobrze — to coś pływającego; wznosi się i opada z falą.

, — Może kawał masztowizny z *Macquarie* — odgadywała lady Helena.

— Nie — rzekł Glenarvan — żadna część okrętu nie mogłaby popłynąć tak daleko.

— Poczekajcie! — zawołał John. — Już wiem! To czółno.

— Czółno brygu! — rzekł Glenarvan.

— Tak milordzie, czółno brygu, do góry dnem wywrócone!

— Nieszczęśliwi — krzyknęła lady Helena — zginęli!

— Tak, pani — rzekł John — i musieli zginąć, bo pomiędzy temi skałami, na morzu wzburzonem i w noc ciemną, narażali się na śmierć niezawodną.

— Niech się Bóg zlituje nad nimi! — szepnęła Marja Grant.

Wszyscy milczeli chwil kilka. Patrzyli na ten słaby statek, do którego się zbliżali. Przewrócił się widocznie o cztery mile od brzegu i zapewne nikt z tych, którzy na nim byli, nie ocalał.

— Ale to czółno może się nam przydać — rzekł Glenarvan.

— Zapewne — odparł John. — Wilsonie, skieruj tratwę ku niemu.

Zmieniono kierunek, ale wiatr przycichał i zaledwie około godziny drugiej zbliżono się do łodzi. Mulrady, stojąc na przodzie tratwy, nie dopuścił uderzenia jej o czółno, do którego bokiem dotarła.

— Czy jest co w niem? — pytał John Mangles.

— Nic niema, a burty są strzaskane — rzekł Mulrady.

— Więc się na nic nie przyda? — pytał major.

— Nanic — rzekł John. — Chyba na opał.

— Szkoda — wtrącił Paganel — bo moglibyśmy na niem popłynąć do Aucklandu.

— Cóż robić — odparł John — musimy sobie radzić inaczej. A wreszcie na morzu niespokojnem wolałbym naszą tratwę, niż tak lichą łódź. Dosyć było byle uderzenia, żeby się popsuła. Nie mamy tu co dłużej robić. W drogę, Wilsonie, prosto do brzegu.

Woda miała się wznosić jeszcze blisko przez godzinę i można było posunąć się o jakie dwie mile dalej. Ale wiatr ustał prawie zupełnie i zdawało się, że obróci się od ziemi. Tratwa stanęła, a nawet wkrótce zaczęła się cofać, niesiona prądem odpływającej wody. Nie można było się wahać ani chwili.

— Kotwica! — krzyknął John.

Mulrady przewidział ten rozkaz i natychmiast zarzucił kotwicę na wodzie głębokości pięciu sążni. Statek, niesiony odpływem, cofnął się jeszcze ze dwa sążnie, ale go lina kotwiczna wstrzymała; stanął, przodem zwrócony do lądu. Żagiel zwinięto i zaczęto się gotować do dosyć długiego postoju.

Istotnie, zaledwie około dziewiątej wieczorem morze miało znów przybierać, że zaś John ani myślał puszczać się dalej nocą, trzeba więc było czekać do piątej z rana. Ziemia znajdowała się już w odległości niespełna trzech mil.

Morze falowało dosyć silnie i zdawało się bić ku brzegom. To też Glenarvan, dowiedziawszy się, że noc mają spędzić na miejscu — zapytał Johna, czemu nie korzysta z tej fali, żeby się podsunąć jeszcze do brzegu.

— Wasza Dostojność się myli — rzekł kapitan — to tylko złudzenie optyczne. Fala zdaje się sunąć naprzód, a istotnie stoi na miejscu. To tylko wahanie się cząstek płynnych i nic więcej. Proszę rzucić kawałek drzewa pomiędzy te ruchome fale, aby się przekonać, iż się nie poruszy, dopóki nie nastąpi odpływ morza. Musimy więc być cierpliwi.

— I zjeść obiad — dodał major.

Olbinett wydobył ze skrzyni kilka kawałków suszonego mięsa i dwanaście sucharów, a chociaż rumienił się za tak skromny posiłek, wszyscy przyjęli go mile, nie wyłączając pań, jakkolwiek nagłe podskoki fal morskich nie zaostrzały im bynajmniej apetytu.

W istocie tratwa, podrzucana falami, wstrząsała się gwałtownie. Niekiedy zdawało się, iż uderza o wierzchołek skały podwodnej, tak gwałtowne były uderzenia fal krótkich i kapryśnych. Lina kotwiczna, szarpana ustawicznie, usłabiała się bardzo i John co pół godziny wzmacniał ją tu i owdzie. Bez tej ostrożności byłaby się niezawodnie zerwała, a statek, zdany na łaskę bałwanów, byłby porwany na pełne morze, gdzie musiałby zatonąć. Łatwo więc było pojąć tro-

ski Johna — bo tak w razie zerwania się liny, jak i puszczenia kotwicy, mogliby być narażeni na wielkie niebezpieczeństwo. Noc się zbliżała. Tarcza słoneczna koloru krwistego, przedłużona łamaniem się światła, kryła się już poza widnokrąg. Kraniec wody na zachodzie lśnił się, jakby pokryty łuską srebrną, a prócz szkieletu *Macquarie*, nieruchomo stojącego na mieliznie, widać było tylko niebo i wodę.

Nagły zmierzch o kilka minut zaledwie poprzedził zupełną ciemność i wkrótce ląd, stykający się wdali z widnokręgiem od wschodu i północy, zniknął pod zasłoną nocy.

Jakże okropne było położenie rozbitków, na wąskiej tratwie, wśród ciemności otaczającej ich zewsząd! Jedni popadli w drzemkę niespokojną, przerywaną strasznemi snami; inni oka zmrużyć nie mogli — a wszyscy nazajutrz byli jak zbici po tej nocy męczącej.

Wraz z przypływem morza o 4-ej z rana, zerwał się wiatr od morza. Czas naglił i John rozkazał przygotować się do drogi. Chciano podnieść kotwicę, lecz zęby jej tak zagłębiły się w piasek, że bez windy, przy pomocy samych tylko bloków i sznurów, niepodobna jej było wyrwać. Pół godziny upłynęło na próżnych usiłowaniach. John, chcąc wyruszyć co prędzej, kazał odciąć linę, zostawiając kotwicę zapuszczoną w morze, choć przez to tracił środek zatrzymania się na miejscu, gdyby przypływ morza nie poniósł jeszcze tratwy do brzegu. Nie chciał jednak zwlekać dłużej, i jedno uderzenie siekiery oswobodziło statek, zdając go na wolę wiatrów.

Rozwinięto żagiel. Wolno zbliżano się ku ziemi, która, jak szara masa, rysowała się na tle nieba oświetlonego promieniami wschodzącego słońca. Ominięto zręcznie skały podwodne, lecz przy niepewnym i coraz słabiej wiejącym wietrze, tratwa zdawała się zwalniać biegu i nie dążyć ku brzegowi. Ileż trudów trzeba było zwalczyć, aby przybić do Nowej Zelandji, tak strasznej i niebezpiecznej dla przybywających!

O siódmej jednakże ziemia była już oddalona nie więcej, jak o milę angielską. Brzeg jej najeżony skałami niezmiernie był urwisty i trzeba było upatrzyć miejsce stosowne do wylądowania. Wiatr słabł ciągle, nakoniec ustał zupełnie; opadł bezwładny żagiel i uderzył o maszt. John kazał go zwinąć. Tylko fale unosiły teraz tratwę ku brzegowi, a olbrzymie rośliny morskie utrudniały tę przeprawę.

O ósmej tratwa prawie się już nie poruszała, a ponieważ nie było kotwicy do zarzucenia, odpływ z łatwością mógł ją popchnąć na pełne morze. John, zacisnąwszy pięści, z rozpaczą w sercu spoglądał dzikim wzrokiem na brzeg nieprzystępny.

Na szczęście — prawdziwe szczęście w tej chwili — uczuto nagle wstrząśnienie i tratwa stanęła, osiadając na mieliźnie o 25 sążni od brzegu.

Glenarvan, Robert, Wilson i Mulrady skoczyli do wody. Tratwę przywiązano linami do skał sąsiednich; kobiety przeniesiono na ląd, nie zmoczywszy ani jednej nitki ich odzienia, i wkrótce wszyscy, zaopatrzeni w broń i żywność, stanęli na groźnych brzegach Nowej Zelandji.

LVI.

STAN KRAJU, W KTÓRYM ZNALEŹLI SIĘ PODRÓŻNI.

Glenarvan pragnął co prędzej dostać się do Aucklandu, lecz zbierające się od rana chmury spłynęły około 10-ej deszczem ulewnym. Zamiast więc udać się w drogę, trzeba było myśleć o schronieniu. Wilson w samą porę wynalazł grotę, wyżłobioną przez wodę w skałach bazaltowych, i podróżnicy schronili się tam z bronią i zapasami. Mnóstwo zeschłych roślin morskich, zaniesionych tam przez fale, zastąpiło posłanie. Przy wejściu do groty ułożono i zapalono stos drzewa, przy którym wszyscy osuszyli przemokłe odzienie. John wnosił po gwałtowności deszczu, że niedługo potrwa — lecz się omylił.

Godziny upływały bez żadnej zmiany, a o 11-ej zerwał się wiatr i zwiększał gwałtowność burzy. Cóż było robić? Szaleństwem byłoby puszczać się w drogę, bez przewodnika, w czasie takiej nawałnicy. Zresztą dosyć było kilku dni na dojście do Aucklandu, i gdyby tylko krajowcy nie nadeszli, to mniejsza o dwunastogodzinną zwłokę.

W czasie tego przymusowego odpoczynku rozmowa toczyła się o wypadkach wojny, której teatrem była wówczas Nowa Zelandja. Lecz aby należycie zrozumieć i ocenić okoliczności, w których znajdowali się rozbitkowie z *Macquarie,* trzeba obeznać się z historją walki, zalewającej krwią wyspę Ika-Na-Maoui.

Od czasu przybycia Abla Tasmana do cieśniny Cooka, dnia 1 grudnia 1642 r., Nowo-Zelandczycy, odwiedzani często przez okręty europejskie, pozostali wolni na niezależnych swych wyspach. Żadna potęga europejska nie pomyślała o opanowaniu archipelagu, królującego na oceanie Spokojnym. Misjonarze tylko, osiedlający się w rozmaitych punktach, rozsiewali w tych okolicach nasiona cywilizacji chrześcijańskiej. Niektórzy z nich jednak, mianowicie anglikanie, starali się namówić wodzów zelandzkich do uznania nad sobą władzy Anglji; a nawet, podszedłszy ich zręcznie, wymogli podpis na liście do królowej Wiktorji, z prośbą o opiekę. Przenikliwsi z wodzów przewidywali całą niedorzeczność podobnego postępowania, a jeden z nich, narysowawszy na liście, zamiast podpisu, deseń, w który był tatuowany, wyrzekł następujące słowa prorocze: „Zgubiliśmy kraj nasz; wkrótce cudzoziemiec go opanuje, a nas zamieni w niewolników”.



Lecz najbardziej ze wszystkiego zajmujące było polowanie na kangury (str. 285).

W istocie, 29 stycznia 1840 r., korweta *Herald* wpłynęła do zatoki, położonej na północy Ika-Na-Maoui, a kapitan Hobson wylądował w wiosce Kerra-Reka. Zgromadzono mieszkańców w kościele protestanckim i odczytano im pełnomocnictwa, w które kapitan Hobson zaopatrzony był przez rząd angielski w imieniu królowej. Piątego stycznia znamienitszych wodzów zelandzkich wezwano do rezydenta angielskiego, do wioski Païa. Kapitan Hobson starał się nakłonić ich do uległości, mówiąc, że królowa wysłała wojska i okręty dla ich

obrony, że prawa ich będą poszanowane, a wolność zabezpieczona. Posiadane jednak przez nich ziemie miały należeć do królowej Wiktorji, której powinni byli je odprzedać.

Większość wodzów nie chciała się zgodzić na tak ciężkie warunki; ale obietnice i podarki więcej miały wpływu na te dzikie natury, niż górne słowa kapitana Hobsona, i zajęcie ziemi zatwierdzono.

Od tego to 1840 r. aż do dnia, w którym *Duncan* opuścił zatokę Clyde, cóż tam zaszło ważnego? Co zaszło, o tem wiedział Jakób Paganel i o wszystkiem mógł objaśnić swych towarzyszy.

— Nowo-Zelandczycy — mówił, zarzucony pytaniami przez lady Helenę — to ludzie odważni, którzy uległszy na krótko, opierają się wszelkiemi siłami zaborom Anglji. Pokolenia Maorisów dzielą się na klasy, jak dawni Szkoci; są pośród nich znaczne rodziny, uznające nad sobą władzę wodza, baczącego pilnie na względy przynależne jego osobie. Ludzie tej rasy są dumni i waleczni; jedni wysokiego wzrostu, lśniących włosów, podobni są do Maltańczyków i żydów z Bagdadu; drudzy niżsi, krępi, przypominający Mulatów, nieprzystępni są i wojowniczego ducha. Mieli oni sławnego wodza, Hihi, prawdziwego Vercingetorixa. Nic dziwnego, że wojna z Anglikami trwa długo na wyspie Ika-Na-Maoui, bo mieszka tam mężne plemię Wajkatów, których William Thompson podnieca do obrony swych posiadłości.

— Czy więc Anglicy nie są panami główniejszych miejscowości w Nowej Zelandji? — zapytał John Mangles.

— Są bezwątpienia, mój kochany Johnie — odpowiedział Paganel. — Po zajęciu wysp przez kapitana Hobsona, który mianowany był gubernatorem, utworzyło się stopniowo, od 1840 do 1862 roku, dziewięć kolonij w najdogodniejszych punktach. Stąd powstało tyleż prowincyj. Cztery z nich, t. j. prowincje: Auckland, Taranaki, Wellington i Hawkes-Bay — powstały na wyspie północnej; a pięć t. j. Nelson, Malborough, Canterbury, Otago, Southland — na południowej. Ludność ich wynosi 180,346 mieszkańców. Ważne i handlowe miasta wyrosły zewszechstron; a gdy staniemy w Auckland, sami podziwiać będziecie piękne położenie tego Koryntu południowego, panującego nad wąskim przesmykiem, rzuconym nakształt mostu, na ocean Spokojny, a który liczy 12 tysięcy mieszkańców. Na zachodzie jest New-Plymouth, na wschodzie Abuhiri, na południu Wellington; są to już miasta kwitnące i uczęszczane. Na wyspie Tavai-Pounamon trudno byłoby wam zrobić wybór pomiędzy miastem Nelson, tem Montpellier antypodów, tym ogrodem Nowej Zelandji, a miastami Picton nad cieśniną Cooka, Christchurch, Invercargill i Dunedin, położonemi w prowincji Otago, dokąd przybywają ciągle poszukiwacze złota, ze wszystkich stron świata. Pamiętajcie, że nie mówię tu o gromadzie lepianek, o nagromadzeniu rodzin dzikich, lecz o rzeczywistych miastach, w których są porty, katedry, banki, ogrody botaniczne, muzea

historji naturalnej, towarzystwa aklimatyzacyjne, dzienniki, szpitale, zakłady dobroczynne, instytuty filozoficzne, loże wolnych mularzy, kluby, teatry i pałace wystawy powszechnej, zupełnie jak w Londynie lub Paryżu. I jeżeli pamięć mnie nie zawodzi, to w tym właśnie roku 1865, może nawet w chwili, gdy to mówię, płody i wyroby przemysłowe świata całego są zgromadzone w tej krainie ludożerców.

— I to pomimo wojny z krajowcami? — zapytała lady Helena.

— Anglicy umieją radzić sobie z wojnami — odrzekł Paganel. — Biją się i urządzają jednocześnie wystawy. Jedno drugiemu nie przeszkadza. Budują nawet koleje żelazne pod strzałami Nowo-Zelandczyków. W prowincji Aucklandu drogi żelazne Drury i Mere-Mere przecinają najważniejsze punkty, zajęte przez buntowników. Założyłbym się nawet, że robotnicy strzelają z lokomotyw.

— A jakże stoi teraz ta wojna bez końca? — zapytał John Mangles.

— Już upłynęło sześć miesięcy, jakeśmy opuścili Europę — odpowiedział Paganel — nie wiem więc, co zaszło od naszego wyjazdu, prócz kilku faktów, o których czytałem w dziennikach z Malborough i z Seymour, w czasie naszej podróży przez Australję. Wiem tylko, że niedawno walczono zacięcie na wyspie Ika-Na-Maoui.

— Kiedyż zaczęła się ta wojna? — zagadnęła Marja Grant.

— Chce pani powiedzieć: kiedy się odnowiła — odrzekł Paganel — bo pierwsze powstanie wybuchło w 1847 r. Pod koniec 1863 r. Maorysi usiłowali zrzucić z siebie jarzmo angielskie, a narodowe stronnictwo krajowców popierało silnie wybór wodza dla całej krainy. Chciało ono obwołać swym królem starego Potataua, a z jego wioski rodzinnej, położonej pomiędzy rzekami Wiakatai i Wajpa, uczynić stolicę nowego państwa. Ów Potatau był to starzec podstępny raczej niż śmiały, lecz pierwszym ministrem jego był energiczny i rozumny potomek plemienia Nagatihahuas, zamieszkującego międzymorze Aucklandu przed osiedleniem się tam cudzoziemców. Minister ten, nazwiskiem William Thompson, stał się duszą wojny o niepodległość. Uorganizował on wojsko Maorysów i skłonił wodza Taranaki do zgromadzenia w tym samym celu rozpierzchłych plemion. Naczelnik znowu Waikatów utworzył stowarzyszenie *land league,* prawdziwą ligę dobra publicznego, w celu niedopuszczenia, aby krajowcy sprzedawali swe posiadłości rządowi angielskiemu. Dzienniki angielskie zaczęły zwracać uwagę na tę zatrważające symptomaty, a rząd zaniepokoił się niezmiernie. Krótko mówiąc, umysły były wzburzone, wybuch bliski; brakowało tylko iskry, albo raczej starcia się dwu przeciwnych sobie interesów, aby go przyśpieszyć.

— A starcie to? — zapytał Glenarvan.

— Zdarzyło się w 1860 r. — odpowiedział Paganel — w prowincji Taranaki, na południowo-zachodniem wybrzeżu Ika-Na-Maoui. Jeden z krajowców, posiadający 600 akrów ziemi, w sąsiedztwie New-

Plymouth, sprzedał ją rządowi angielskiemu. Lecz gdy przybyli geometrzy, aby wymierzyć grunt sprzedany, dowódca Kingi zaprotestował przeciwko temu i w marcu wybudował na sześciuset akrach ziemi obóz, otoczony wysokiemi palisadami. W kilka dni potem pułkownik Gold zdobył obóz ten na czele swych wojsk i tego to dnia padł pierwszy strzał w wojnie narodowej.

— Czy Maorysowie są liczni? — zapytał John Mangles.

— W r. 1769 Kook podawał ludność tamtejszą na 400 tysięcy mieszkańców, lecz od owego czasu liczba ta bardzo się zmniejszyła, bo już w 1845 r., według obliczeń miejscowego naczelnika, było ich tylko 109 tysięcy. Cywilizacyjne rzezie, choroby i wódka zdziesiątkowały ludność na obydwu wyspach; jednak pozostało jeszcze 90 tysięcy Maorysów, a pomiędzy nimi 30 tysięcy wojowników, którzy długo jeszcze stawiać będą opór wojskom europejskim.

— Czy powstańcom powodziło się dotąd? — zapytała lady Helena.

— Tak pani, sami Anglicy podziwiali często odwagę Nowo-Zelandczyków. Prowadzą oni wojnę partyzancką, staczają ciągłe utarczki, a rzucają się na małe oddziały i rabują osady kolonistów. W 1863 roku, po długiej, krwawej walce, Maorysowie zajęli bardzo obronne stanowisko na wierzchołkach łańcucha wzgórz skalistych. Prorocy ludowi powoływali mieszkańców do obrony gruntu, przepowiadając zupełne wytępienie *pakeków,* czyli białych. Trzy tysiące ludzi, pod rozkazami generała Camerona, stanęło wówczas do walki z Maorysami, tępiąc ich bez miłosierdzia od chwili barbarzyńskiego zamordowania przez nich kapitana Sprenta. Rozpoczęły się krwawe bitwy. Niektóre z nich trwały po 12 godzin. Maorysowie nie cofali się nawet przed armatami europejskiemi. Dzikie plemię Waikatów tworzyło niejako jądro wojsk narodowych pod dowództwem Williama Thompsona; generał ten miał z początku pod swemi rozkazami 2,500, a później 8,000 wojowników. Prócz tego Shongi i Heki, obaj potężni wodzowie, przybyli mu w pomoc. Kobiety podczas tej świętej wojny brały udział w najuciążliwszych pracach; że jednak przewaga niezawsze idzie w parze ze słusznością, więc udało się generałowi Cameronowi opanować obwód Waikato, wprawdzie opustoszały i niezaludniony, bo Maorysowie wszędzie wymykali się wrogowi. Powstańcy na każdym kroku dawali dowody bohaterstwa. Czterystu Maorysów, zamkniętych w fortecy Osakan, oblężonych przez tysiąc Anglików pod dowództwem generała brygady Careya, odmówiło poddania się, pomimo braku wody i żywności, a pewnego dnia, w samo południe, utorowało sobie drogę przez zdziesiątkowany pułk 40-ty i ukryło się w bagnach.

— Czy poddanie się obwodu Waikato zakończyło tę krwawą wojnę? — zapytał John Mangles.

— Bynajmniej, mój drogi — odpowiedział Paganel. — Anglicy postanowili iść na prowincję Taranaki i oblec Mataitawę, fortecę Williama Thompsona. A w chwili wyjazdu z Paryża dowiedziałem się, że gubernator i generał przyjęli poddanie się plemienia Taranga, pozostawiając im trzy czwarte ich ziem. Mówiono także, iż główny naczelnik powstania, William Thompson, zamyślał o poddaniu się, ale dzienniki australijskie zaprzeczyły tej wiadomości. Zdaje się więc, że teraz opór nowej nabrał siły.

— I czy teatrem tej walki będą według twego zdania, Paganelu, prowincje Taranaki i Aucklandu?

— Tak sądzę.

— A więc ta właśnie prowincja, w której wylądowaliśmy wskutek rozbicia się *Macquarie?*

— Nieinaczej. Wylądowaliśmy o kilka mil powyżej portu Kawhia, w którym powiewa jeszcze narodowa chorągiew Maorysów.

— W takim razie lepiej byłoby skierować się ku północy — zauważył Glenarvan.

— Słuszna uwaga, zaprawdę — odrzekł Paganel. — Nowo-Zelandczycy pałają nienawiścią ku Europejczykom, a szczególniej ku Anglikom. Strzeżmy się więc dostać w ich ręce.

— Może napotkamy jaki oddział wojsk europejskich — rzekła lady Helena. — Byłoby to szczęśliwe zdarzenie.

— Zapewne pani, ale ja powątpiewam o takiem zdarzeniu. Pojedyncze oddziały niechętnie się biją w polu, gdzie najmniejszy krzak, każde zarośle ukrywać może zręcznego strzelca. Nie liczę więc zupełnie na żołnierzy z 40-go pułku, ale więcej na misje, założone na zachodniem wybrzeżu. Z łatwością możemy się dostać etapami od jednej do drugiej, a najlepiej będzie udać się drogą, którą przebył Hochstetter, wzdłuż rzeki Waikato.

— Czy to był podróżnik, panie Paganel? — zapytał Robert Grant.

— Tak, mój chłopcze; był on członkiem wyprawy naukowej, żeglującej na austrjackiej fregacie *Novara*, w czasie podróży jej naokoło ziemi w 1858 roku.

— Panie Paganel — odrzekł Robert, którego oczy zajaśniały dziwnym blaskiem na myśl o wielkich wyprawach geograficznych — czy Nowa Zelandja, podobnie jak Australja, była zwiedzana przez podróżników tak znakomitych jak Burke i Stuart?

— Była, była, moje dziecko, np. przez doktora Hookera, profesora Brizarda, naturalistów Dieffenbacha i Juljusza Haasta. Nie są oni przecież tak sławni, jak podróżnicy australijscy albo afrykańscy, lubo niejeden z nich życiem przypłacił awanturniczy zapał.

— I pan zna ich historję? — zapytał młody Grant.

— Doskonale, mój chłopcze; a ponieważ widzę, iż jesteś ciekawy, opowiem ci ją.

— I my także posłuchamy pana — dodała lady Helena. — Nie pierwszy to raz nauczymy się czegoś dzięki niepogodzie. Mów dla wszystkich, panie Paganel.

— Jestem na rozkazy pani — odrzekł geograf — lecz uprzedzam, iż opowiadanie moje nie będzie długie. Nowa Zelandja jest za mała, aby jej nie przejrzały poszukiwania człowieka; dlatego też bohaterowie nie byli śmiałymi podróżnikami, ale poprostu turystami, którzy padli ofiarą najprozaiczniejszych przygód.

— I jakżeż się nazywają? — zapytała Marja Grant.

— Geometra Witcombe i Charlton Howitt, ten sam, który odnalazł zwłoki Bunkego w owej pamiętnej wyprawie, której szczegóły opowiadałem, gdyśmy spoczywali na brzegach Wimerry.

Witcombe i Howitt dowodzili dwiema wyprawami do wyspy Tawai-Pounamon. Obaj wyjechali z Christchurch, w pierwszych miesiącach 1863 r., dla wyszukania rozmaitych przejść w górach północnej prowincji Canterbury. Howitt, kierując się ku zachodniej granicy, założył główne swe siedlisko nad jeziorem Brunner. Witcombe, przeciwnie, znalazł w dolinie Rakaja przejście, dotykające do wschodniej strony góry Tyndalla.

Witcombe miał za towarzysza podróży Jakóba Loupera, który całą tę podróż i smutne jej następstwa opisał w *Lyttelton-Times*.

O ile sobie przypominam, dnia 22-go kwietnia 1863 r. obaj poszukiwacze stanęli u stóp lodowca, z którego Rakaja bierze początek, a wszedłszy na szczyt jego, zaczęli szukać nowych przejść w okolicy. Nazajutrz Witcombe i Louper, wycieńczeni, skostniali z zimna, obozowali wśród śniegów, o cztery tysiące stóp nad poziomem morza. Przez siedem dni błądzili po górach i w głębi dolin, których urwiste ściany tamowały wyjście, zmuszeni obywać się bez ognia a często i bez pożywienia, bo cukier zmienił się w syrop, a suchary zwilgotniały zupełnie. Nakoniec 29-go kwietnia napotkali chatkę Maorysów, a w ogrodzie znaleźli kilka garści kartofli. Był to ostatni ich posiłek, wspólnie spożyty. Wieczorem przybyli na brzeg morza, u ujścia rzeki Taramakau, którą trzeba było przebyć, aby skierować się na północ, ku rzece Grey. Taramakau był głęboki i szeroki. Louper, po długiem szukaniu, znalazł dwie uszkodzone łódki, które, naprawiwszy jako tako, połączył z sobą. Obaj podróżnicy wypłynęli wieczorem, lecz nagle łódki zaczęły się napełniać wodą.

Witcombe rzucił się wpław i powrócił na lewy brzeg; Louper, nie umiejąc pływać, pozostał, trzymając się silnie łódki. To go ocaliło, lubo co chwila nowe groziły mu niebezpieczeństwa. Nieszczęśliwy popchnięty był ku skałom; fale morskie to pogrążały go w głębiny, to znów wydobywały na powierzchnię. Noc ciemna zapadła, deszcz lał strumieniem, a Louper, pokaleczony i zlany krwią, przez kilka godzin podrzucany był ustawicznie przez fale.

Nakoniec łódki uderzyły o ląd, a rozbitek wyrzucony z nich, padł na brzeg bez zmysłów. Nazajutrz zaczołgał się o świcie do pobliskiego źródła i przekonał się, że prąd wody uniósł go o milę od miejsca, w którem usiłował przebyć rzekę. Podniósł się i, idąc brzegiem, znalazł wkrótce nieszczęśliwego Witcomba. Leżał on nieżywy, z głową zanurzoną w mule. Louper własnemi rękoma wykopał dół wśród piasków i złożył w nim zwłoki swego towarzysza. W dwa dni potem jego samego, umierającego z głodu, przyjęli gościnnie Maorysowie, bo są i między nimi dobrzy ludzie; a 4-go maja dostał się do jeziora Brunner, do obozowiska Charltona-Howitta, który w sześć tygodni potem miał zginąć podobną, co i nieszczęśliwy Witcombe, śmiercią.

— Dziwna rzecz — zauważył John Mangles — iż wszystkie te straszne wypadki zdają się być połączone jakimś tajemnym łańcuchem; wszyscy giną, jeżeli jedno ogniwo się zerwie.

— Masz słuszność, Johnie; często już zastanawiałem się nad tem. Jakiem prawem solidarności Howitt zginął w podobnych prawie okolicznościach, co i Witcombe? Był on wezwany przez p. Wyde, naczelnika robót rządowych, do wytknięcia drogi dogodnej dla koni, od równin Hurunui aż do ujścia rzeki Taramakau. Wyjechał tam 1-go stycznia 1863 r. z pięciu ludźmi, wywiązał się zaszczytnie z danego sobie polecenia, i zdołano przebić drogę długości 40 mil do nieprzystępnego do owego czasu punktu na rzece Tamarakau. Howitt powrócił tedy do Christchurch i, mimo zbliżającej się zimy, pragnął prowadzić dalej rozpoczęte prace. P. Wyde przystał na to, a Howitt więc wyjechał dla zaopatrzenia obozowiska, w którem miał przebyć przykrą porę roku. W tym to właśnie czasie przybył tam Jakób Louper. Dnia 27-go czerwca Howitt i dwaj jego towarzysze, Robert Cittle i Henryk Mullis, opuścił obozowisko. Przebyli jezioro Brunner i odtąd nigdy już ich nie widziano. Łódkę ich znaleziono rozbitą na brzegu, lecz ich samych szukano napróżno przez dziewięć tygodni. Zapewne nieszczęśliwi ci, nie umiejąc pływać, utonęli w wodach jeziora.

— Kto wie, czy też cali i zdrowi nie znajdują się wśród jakiegoś zelandzkiego plemienia — zauważyła lady Helena. — Można przynajmniej powątpiewać o ich śmierci.

— Niestety, pani — odpowiedział Paganel — nie można o niej wątpić, bo w sierpniu 1863 r., to jest w rok już po tym nieszczęsnym wypadku, nic o nich słychać nie było... A gdy kto w Nowej Zelandji nie odnajdzie się w przeciągu takiego czasu — dodał cichym głosem — to już stracony jest bez nadziei.

LVII.

O TRZYDZIEŚCI MIL NA PÓŁNOC.

Dnia 7-go lutego, o szóstej godzinie z rana, Glenarvan dał znak do odjazdu. Deszcz ustał w nocy, a niebo, zarzucone małemi szaremi chmurkami, zatrzymywało promienie słońca o trzy mile angielskie nad ziemią. Temperatura umiarkowana pozwalała narazić się na trudy całodziennej podróży.

Paganel wymierzył na mapie odległość pomiędzy wierzchołkiem Cahna i Aucklandu; wynosiła ona ośmdziesiąt mil, była to więc podróż na dni osiem, a na dobę wypadało mil angielskich dziesięć. Ale zamiast postępować krętemi brzegami morza, zdawało mu się korzystniejszem dotrzeć do zbiegu rzek Waikato i Wajpy, znajdującego się o mil trzydzieści, pod wioską Ngarnavahia. Tam przechodzi *overland mail track*[1]), droga, a raczej ścieżka, po której mogą dążyć powozy i która przecina wielką część wyspy od miasta Napier wzdłuż zatoki Hawkesa do Aucklandu. Wtenczas byłoby łatwo dostać się do Drury i spocząć w doskonałym hotelu, zaleconym przez naturalistę Hochstettera.

Podróżni, zaopatrzeni w żywność, zaczęli okrążać zatokę Aotea. Przez ostrożność nie rozłączali się i z nabitemi karabinami badali wzrokiem faliste równiny wschodu. Paganel, ze swą doskonałą mapą w ręku, rozkoszował się jak artysta, odkrywając dokładność, z jaką odznaczono na niej szczegóły najdrobniejsze.

Przez pewną część dnia małe grono podróżnych postępowało po piasku, złożonym ze szczątków muszli i części wapnistych mięczaka sepji, a zawierającym wielką ilość tlenków żelaza. Gdyby kto zbliżył do ziemi magnes, to magnes pokryłby się natychmiast błyszczącemi kryształkami.

Na brzegu, obmywanym przez przypływ morza, igrało kilka zwierząt morskich, nie myślących wcale uciekać. Były to foki, na których okrągłe głowy, szerokie czoła, wyraziste oczy można patrzeć prawie z przyjemnością i rozumieć, dlaczego bajka, poetyzując na swój sposób tych ciekawych mieszkańców wód, zrobiła z nich zachwycające syreny, chociaż głos ich jest tylko niemiłem chrząkaniem. Zwierzęta te, liczne na brzegach Nowej Zelandji, są przedmiotem handlu; łowią je dla ich tłuszczu i skóry.

Odróżniały się od fok leżące śród nich trzy czy cztery słonie morskie, szaro-niebieskiego koloru, mające długości od 25 do 30 stóp. Te ogromne zwierzęta ziemnowodne, wyciągnięte leniwie na olbrzymich porostach wodnych z rodzaju *Laminaria,* podnosiły swoje łby i zabawnie poruszały twardo-jedwabistemi długiemi wąsami, wy-

---

[1]) Lądowy szlak pocztowy.

glądającemi jak korkociągi lub fryzowane wąsy eleganta. Robert przyglądał się z zajęciem tym ciekawym stworzeniom, gdy nagle zawołał zdziwiony:

— Patrzcie! Te foki jedzą kamienie!

I rzeczywiście, niektóre z tych zwierząt łykały chciwie kamyki, leżące na brzegu.

— Przecież to rzecz znana — odpowiedział Paganel. — Istotnie, zwierzęta te łykają kamienie.

— Szczególne pożywienie! — zawołał Robert. — Przecież to trudne do strawienia!

— Zwierzęta ziemnowodne nie dlatego połykają kamienie, aby się niemi żywić, mój chłopcze, ale aby napełnić żołądek. Jest to sposób powiększania ciężaru gatunkowego, dla ułatwienia sobie zagłębiania się na dno wód. Gdy powrócą na ląd, wyrzucą z siebie te kamienie. Zobaczysz, że wnet pogrążą się i zagłębią w wodzie.

Rzeczywiście, wkrótce potem z pół tuzina fok, dostatecznie obciążonych, posunęło się zwolna wzdłuż brzegu i zniknęło w morskich odmętach. Ale nie można było tracić drogiego czasu i oczekiwać na ich powrót; z wielkim żalem Paganela wznowiono marsz, wstrzymany na chwilę.

O dziesiątej godzinie zatrzymano się, aby zjeść śniadanie u stóp skał bazaltowych, ułożonych na podobieństwo ołtarzy na uroczyskach celtyckich. Znaleziono pokład ostryg, których nieco zjedli podróżni. Małe one były i niezbyt przyjemnego smaku, ale Olbinett posłuchał rady Paganela i piekł je na gorących węglach: tak przygotowane, znikały tuzinami w żołądkach podróżników.

Posiliwszy się, ruszono dalej brzegami zatoki. Zębate i urwiste jej skały były schronieniem mnóstwa ptaków morskich; fregaty, głuptaki, mewy i ogromne żaglościgi (albatrosy) nieruchomo siedziały na wierzchołkach ostro zakończonych. O czwartej godzinie wieczorem dziesięć mil było już przebytych bez trudu i zmęczenia. Podróżni chcieli iść dalej aż do nocy. Lecz właśnie wtenczas kierunek drogi musiał być zmieniony; trzeba było, okrążając podnóża kilku gór, które widniały na północy, wkroczyć do doliny Wajpa. Ziemia przedstawiała się zdaleka, jakby pokryta ogromnemi łąkami, które się ciągnęły, jak tylko wzrok mógł zasięgnąć, i obiecywały łatwy pochód. Podróżni, przybywszy na krańce tych pól zielonych, zostali jednak nagle rozczarowani. Zamiast łąki znaleźli krzaki gęste o małych, białych kwiatkach; pomiędzy niemi rosły wysokie i gęste paprocie, w które szczególniej obfituje Nowa Zelandja. Trzeba było się przedzierać przez te krzewy drzewiaste, a to był kłopot nielada. Jednakże do ósmej wieczorem przebyto pierwsze grzbiety Hakarihoata-Ranges i zaraz zabrano się do urządzenia obozowiska. Można było pomyśleć o spoczynku, przebywszy bez zatrzymania się mil czternaście. Nie mieli ani wozu, ani namiotu i trzeba było wybierać miejsce spo-

czynku u stóp wspaniałych jodeł norfolkskich. Kołder nie brakowało, zastępowały one łóżka i okrycia.

Glenarvan przedsięwziął konicczne środki ostrożności na noc: On i jego towarzysze, dobrze uzbrojeni, mieli czuwać po dwu aż do świtu.

Ognia nie rozniecano wcale. Takie zapory płonące są konieczne dla obrony przeciwko dzikim zwierzętom; ale w Nowej Zelandji niema ani tygrysów, ani lwów, ani niedźwiedzi, ani żadnych dzikich zwierząt, chociaż byli tam Nowo-Zelandczycy; ale właśnie dla niezwabienia tych dwunożnych jaguarów nie rozpalono ognia. Gdyby nie muchy, zwane „ugamu" w języku krajowym, których ukłucie jest przykre, i szczury, które dobierały się śmiało do zapasów żywności, noc przeszłaby najspokojniej.

Nazajutrz, 8-go lutego, Paganel obudził się już więcej jakoś pogodzony z krajem, w którym przebywał. Maorysi, których się najbardziej obawiał, nie pokazali mu się ani we śnie, ani na jawie. Zadowolenie jego objawiło się w tych słowach, skierowanych do Glenarvana:

— Zdaje mi się, że ta mała nasza przechadzka skończy się szczęśliwie. Dziś wieczorem dosięgniemy połączenia się Wajpy z Waikato, a przeszedłszy je, już nie będziemy się potrzebowali obawiać spotkania krajowców na drodze do Aucklandu.

— Ileż drogi mamy jeszcze przed sobą, aby dosięgnąć zbiegu Wajpy i Waikato? — zapytał Glenarvan.

— Piętnaście mil; to jest mniej więcej tyle, ile przebyliśmy wczoraj.

— Ale opóźnimy się bardzo, jeżeli te zarośla bez końca będą nam zawadzać!

— Nie — odpowiedział Paganel — będziemy się trzymać brzegów Wajpy, a tam nie będzie już przeszkód, lecz, przeciwnie, droga łatwa.

— A więc idźmy — rzekł Glenarvan, ujrzawszy, że i panie gotowe już są do drogi.

Przez kilka pierwszych godzin gęste zarośla utrudniały pochód; podróżni przedzierali się tam nawet, gdzieby ani wóz, ani konie nie przeszły; niebardzo więc żałowali, że nie mają takiego wozu, jak w Australji. Dopóki w Nowej Zelandji nie powstaną drogi dla wozów przez te gąszcze krzaczaste, dopóty będzie ona dostępna tylko dla piechurów. Niezliczone gatunki paproci, zarastające tam ziemię, bronią jej równie zacięcie, jak Maorysi.

Grono podróżnych naszych doświadczało zatem tysiąca trudności, przebywając równiny, na których się wznoszą pagórki Hakarihoata. Ale przed południem dosięgli brzegów Wajpy i już bez trudu zwrócili się ku północy urwistemi wybrzeżami rzeki.

Była to śliczna dolina, poprzerzynana przez małe strumyki, których orzeźwiająca i przezroczysta woda wesoło przebiegała pod zaroślami. Podług botanika Hookara, Nowa Zelandja posiada dwa tysiące gatunków roślin, z których pięćset tylko jej właściwych. Kwiatów tam niewiele i o barwach nieurozmaiconych. Wogóle niema tam prawie wcale roślin rocznych, ale zato obfitość trawiastych, paproci i baldaszkowatych.

Tu i owdzie wznosiły się wielkie drzewa w głębi krajobrazu: *metrosiderosy* ze szkarłatnemi kwiatami, jodły norfolkskie, tuje z gałęziami strzelającemi prostopadle i rodzaj cyprysu, zwanego „rimu", również smutnego, jak jego bracia europejscy; wszystkie te pnie były otoczone niezliczonemi odmianami paproci.

Pomiędzy gałęźmi wielkich drzew i ponad krzakami latały i szczebiotały nieliczne kakadu; zielone *kukarik* z różową przepaską na szyi; *taupo,* ozdobiony pięknemi czarnemi faworytami, i papugi tak wielkie, jak kaczki, o rudych piórach i z błyszczącemi skrzydłami. Naturaliści nazwali ten gatunek Nestorem południowym.

Major i Robert, nie oddalając się od towarzystwa, zastrzelili kilka kszyków i kuropatw, gnieżdżących się pod gęstemi liściami krzaków, a Olbinett, nie tracąc czasu, zajął się oskubywaniem podczas drogi.

Paganel, mniej zważając na pożywność zwierzyny, byłby wolał mieć jakiego ptaka właściwego tylko Nowej Zelandji. Ciekawość naturalisty zagłuszyła w nim apetyt podróżnego. Przypomniał sobie dziwne kształty ptaka, zwanego *tui* przez krajowców, albo *żartownisiem,* z powodu głosu jakby szyderczego, wreszcie *plebanem,* ponieważ na czarnych piórach ma biały kołnierz i wygląda, jakby był w sutannie.

— Ten *tui* tak się robi tłusty podczas zimy — mówił Paganel do majora — że choruje i nie może latać. Wtenczas rozdziera sobie piersi końcem dzioba, aby się oswobodzić od tłuszczu i stać się lżejszym. Czy to nie dziwne, majorze?

— Tak dziwne, iż nic a nic temu nie wierzę.

Paganel żałował bardzo, że nie schwytał podobnego ptaka, żeby pokazać niewiernemu majorowi dowody krwawego poświęcenia na piersiach *tui.*

Szczęśliwszy był jednakże co do pewnego dziwacznego stworzenia, które ścigane przez ludzi, psy i koty, ucieka w okolice niezamieszkane i podobno zaginie z fauny nowozelandzkiej. Robert, szperając jak prawdziwy myśliwy, odkrył w gnieździe, zrobionem z korzeni posplatanych, parę kur bez skrzydeł i bez ogona, mających po cztery palce u nóg, długi dziób jak u słomki, a ciało pokryte białem pierzem, wyglądającem jak włosy. Dziwne te zwierzęta zdawały się stanowić przejście od ptaków do ssących.

Był to *kiwi* zelandzki, *„apetrix australis"* przyrodników, który się żywi poczwarkami, owadami i robakami, albo nasionami. Ptak

ten jest właściwy tylko temu krajowi i z trudnością można było sprowadzić go do ogrodów zoologicznych Europy. Nierozwinięte jego kształty i zabawne ruchy zwracały zawsze uwagę podróżnych; podczas zwiedzania Oceanji przez wyprawę na *Astrolabie* i *Zelei,* Dumont d'Urville miał sobie szczególniej polecone przez Akademję Nauk przywiezienie okazu tego szczególnego ptaka. Ale pomimo wynagrodzenia, obiecanego krajowcom, nie mogli oni dostarczyć ani jednego żyjącego *kiwi.*

Paganel, uszczęśliwiony powodzeniem, związał dwie kury i podjął się nieść je, mając zamiar ofiarowania ich do ogrodu botanicznego w Paryżu. *„Dar p. Jakóba Paganela",* oto zachęcający napis, jaki czytał już w swej wyobraźni naiwny geograf na pięknej klatce w tym ogrodzie. Tymczasem grono podróżnych szło bez zmęczenia wzdłuż brzegów Wajpy. Okolica była pusta; nie było ani śladu krajowców, żadnej nawet ścieżki, którąby kazała się domyślać obecności człowieka na tych równinach. Wody rzeki płynęły między wysokiemi krzakami, albo prześlizgiwały się po żwirowatej płaszczyznie. Można było wówczas dosięgnąć wzrokiem niewielkich gór, zamykających dolinę od wschodu. Dziwne ich kształty, otoczone mgłą zwodniczą, czyniły je podobnemi do olbrzymich zwierząt, godnych przedpotopowych czasów. Powiedziałby kto, że to ogromna gromada wielorybów nagle skamieniałych. Pochodzenie wulkaniczne widoczne było w tych masach pokręconych. Nowa Zelandja jest rzeczywiście niedawnym utworem ogniowym i wyłania się coraz więcej z pod wody, a tak szybko, iż niektóre miejsca podniosły się o cały sążeń w przeciągu lat dwudziestu. Ogień przebiega jeszcze jej wnętrze, wstrząsa niem i wybucha niejednokrotnie przez otwory gejzerów i kratery wulkanów.

Do czwartej godziny popołudniu już dziewięć mil przebyli raźni wędrowcy, a podług mapy, której Paganel ciągle się radził, powinni byli natrafić najdalej o pięć mil na zbieg Wajpy i Waikato.

Stamtąd szła już droga do Aucklandu; tam zamierzano rozłożyć się obozem na noc. Co zaś do 5-ciu mil, które podróżnych oddzielały od stolicy, to dwa albo trzy dni wystarczyłyby na ich przebycie, a nawet co najwyżej osiem godzin, gdyby trafili na dyliżans, który krąży co dwa tygodnie pomiędzy Aucklandem a zatoką Hawkesa.

— A więc — rzekł Glenarvan — będziemy zmuszeni jeszcze obozować i następnej nocy.

— Tak — odpowiedział Paganel — ale mam nadzieję, że to już będzie po raz ostatni.

— Tem lepiej, bo tułaczka ta ciężką jest próbą dla lady Heleny i Marji Grant.

— A one znoszą ją bez skargi — dorzucił John Mangles. — Ale jeżeli się nie mylę, panie Paganel, wspomniał pan o wiosce, położonej przy zbiegu dwu rzek.

— Tak — odpowiedział geograf — widzi ją pan oznaczoną na mapie Johnstona. To Ngarnarahia, o dwie mile blisko od zbiegu rzek.

— Czy więc nie możnaby tam spędzić nocy? Lady Helena i miss Grant nie będą się wahały zrobić o dwie mile więcej, aby tylko znaleźć hotel przyzwoity.

— Hotel! — zawołał Paganel. — Hotel w wiosce Maorysów? Ale ani nawet oberży, ani karczmy. Ta wioska jest tylko gromadą szałasów, powznoszonych przez krajowców i, mojem zdaniem, zamiast szukać w niej schronienia, najlepiej będzie unikać jej przez samą ostrożność.

— Zawsze te twoje obawy, Paganelu! — wtrącił Glenarvan.

— Kochany milordzie, lepiej jest nie ufać niźli zaufać Maorysom. Nie wiem, na jakiej są oni stopie z Anglikami, czy powstanie jest przytłumione, czy też zwycięskie lub czy nie wpadniemy w sam wir wojny. Zresztą nie będzie to chwalbą, gdy powiem, że ludzie tacy, jak my, stanowiliby dobrą gratkę dla krajowców — i nie radbym z własnej woli zakosztować gościnności zelandzkiej. Właściwiej będzie podług mnie unikać wioski Ngarnarahia, okrążyć ją i nie szukać spotkania z krajowcami. Gdy się już dostaniemy do Drury, to zapomnimy o trudach, a nasze odważne towarzyszki wypoczną sobie należycie.

Zdanie geografa przeważyło. Lady Helena wolała przepędzić ostatnią noc pod otwartem niebem, niż narażać swych towarzyszów. Ani ona sama, ani też Marja nie żądały wypoczynku i szły dalej brzegiem rzeki.

W dwie godziny potem pierwsze cienie wieczorne zaczęły zstępować z gór. Słońce, korzystając z nagłej przerwy w chmurach, przesłało jeszcze, przed zniknięciem z widnokręgu, kilka spóźnionych promieni. Dalekie szczyty na wschodzie pokryły się po raz ostatni barwą purpurową. Było to jakby szybkie pożegnanie podróżnych.

Glenarvan i towarzystwo jego przyśpieszyli kroku, gdyż wiedzieli, jak szybko zmrok zapada pod tą szerokością geograficzną i jak prędko obejmuje ziemię swym czarnym płaszczem. Chodziło więc o to, aby dosięgnąć zbiegu rzek, zanim się zrobi zupełnie ciemno. Ale gęsta mgła wzniosła się ponad ziemią i utrudniła rozpoznanie miejsc, któremi wypadało postępować.

Na szczęście słuch zastąpił wzrok, który stał się nieużyteczny wśród ciemności, i wkrótce szmer wyraźny wód oznajmił o połączeniu się rzek w jedno łożysko. O ósmej małe grono przybyło do tego miejsca, gdzie Wajpa niknie w Waikacie, wśród ryku wód, uderzających o siebie.

— Waikato jest tam — zawołał Paganel — i droga do Aucklandu prowadzi wzdłuż jej prawego brzegu.

— Zobaczymy ją jutro — odpowiedział major. — Obozujmy tutaj. Zdaje mi się, że te cienie, które tam oto widzę, to mały gaik, wyrosły tu jakby umyślnie, aby nam dać schronienie. Zjedzmy wieczerzę i idźmy spać.

— Jedzmy — potwierdził Paganel — ale tylko suchary i mięso suszone, aby nie palić ognia. Przybyliśmy tu incognito, starajmyż się wyjść stąd tak samo. I to nam bardzo na rękę, że mgła nas ukrywa.

Dotarto do gaiku i każdy poddał się surowym przepisom geografa. Zimną wieczerzę spożyto w cichości: wkrótce potem głęboki sen ogarnął podróżnych, zmęczonych piętnastomilowym pochodem.

LVIII.

NIEWOLA.

Nazajutrz o wschodzie słońca gęsta mgła ciążyła nad rzeką. Para, przepełniająca powietrze, gęstniała pod wpływem zimna i ciężką chmurą okrywała powierzchnię wód. Lecz słońce przebiło tę pęcherzowatą masę, która rozpłynęła się pod spojrzeniem promieniejącej gwiazdy; mgły pierzchły, a brzegi i cały pas wodny rzeki Waikato zajaśniały w piękności porannej.

Klin ziemi, ostro zakończony i jeżący się krzakami, wciskał się między zbieg dwu potoków. Rozhukane wody Wajpy przez jakie ćwierć mili pruły wody Waikato, nim zmieszały się z niemi; ale silna i spokojna rzeka opanowywała szybko wściekłe prądy i niosła je cicho swojem łożyskiem aż do oceanu Spokojnego.

Gdy znikły mgły, ukazał się statek, płynący wgórę Waikato. Była to łódź siedemdziesięciu stóp długości, pięciu szerokości, a trzech głębokości. Przód miała wzniesiony, jak u gondoli weneckiej, a wyciosana była z jednej sztuki jodły Kahikatea. Spód jej zasłany był suchą paprocią; osiem wioseł od przodu niosło ją tak szybko, że zaledwie muskała powierzchnię wody, a kierował nią człowiek siedzący ztyłu zapomocą szerokiego krótkiego wiosła.

Człowiek ten był krajowcem; wysoki, o szerokiej piersi, o potężnych nogach i rękach, muskularny, liczył lat około czterdziestu pięciu. Wypukłe i poorane gęstemi brózdami czoło, gwałtowne spojrzenie i twarz złowroga czyniły go groźnym.

Musiał to być jeden ze znakomitych wodzów Maorysów. Świadczyło o tem delikatne i gęste utatuowanie, zdobiące jego twarz i ciało. Od nozdrzy orlego nosa skręcały wgórę dwie czarne pręgi, które,

okrążywszy żółte oczy, łączyły się na czole i ginęły pod gęstym na głowie włosem. Usta, przez które błyszczały świetne zęby, i podbródek kryły się pod pstrokacizną regularnego rysunku, którego zakręty wytworne sięgały piersi szerokich.

Tatuowanie, a jak mówią Nowo-Zelandczycy „moko", jest oznaką wysokiej u nich godności; ten tylko dostępuje tego zaszczytnego odznaczenia, kto dzielnie walczył w kilku utarczkach. Niewolnicy i pospólstwo nie mogą ubiegać się o tę ozdobę. Sławni wodzowie rozpoznają się po delikatności, wyrazistości i rodzaju rysunku, wyobrażającego często postać jakiego zwierzęcia. Niektórzy z nich podlegają do pięciu razy tym bolesnym operacjom, a im kto sławniejszy, tem więcej ma na sobie takich obrazków.

Ciekawe szczegóły o tym zwyczaju skreślił Dumont d'Urville i słuszną zrobił uwagę, że „moko" zastępuje u dzikich herby, któremi tak się szczycą niektóre próżne rodziny w Europie. Jest jednak pewna różnica pomiędzy temi oznakami godności, a mianowicie, że herby Europejczyków są tylko zwykle dowodem zasługi indywidualnej tego, który pierwszy zdołał herb taki otrzymać, bez żadnego dowodu zasługi ze strony następców, gdy tymczasem herby osobiste Zelandczyków dowodzą najwidoczniej, że, aby mieć prawo noszenia ich, trzeba dowieść nadzwyczajnej odwagi osobistej.

Zresztą *moko* Maorysów, niezależnie od szacunku, jakiego doznaje, ma jeszcze tę niezaprzeczoną korzyść, że pogrubia skórę, co ją chroni od wpływu pór roku i ustawicznych ukąszeń owadów jadowitych.

Co do wodza, kierującego łodzią, nie można było wątpić o znaczeniu okrywających go rysunków. Ostro zakończona kość żaglościga (albatros) [1]), jakiej używają operatorowie do tatuowania, po raz już piąty głęboko poryła jego twarz, a i z całego wzięcia się jego było widać to piąte jego wydanie.

Okryty obszernym płaszczem z phormium [2]), obszytym skórami psiemi, przepasany był skrwawioną w ostatnich walkach chustą; u uszu wisiały mu kolczyki z zielonego jaspisu, a na szyi drgały sznury z „punamus", kamieni świętych, którym zabobonni Zelandczycy przypisują różne własności. Przy nim leżała strzelba z fabryki angielskiej i „patupatu", rodzaj siekiery długości osiemnastu cali, o dwu ostrzach szmaragdowego koloru.

Obok niego dziewięciu zbrojnych wojowników niższej rangi, o dzikim wyrazie twarzy, niektórzy ranni, siedzieli nieruchomo, owinięci w płaszcze z phormium; u nóg ich leżały trzy psy groźnej postaci. Ośmiu wioślarzy, siedzących na przodzie, wyglądało na służbę lub niewolników dowódcy. A dzielnie wiosłowali! To też łódź płynęła wgórę prądu Waikato, zresztą słabego, z szybkością niezmierną.

---

[1]) Żaglościg, największy z ptaków morskich.
[2]) Len nowozelandzki.

Pośrodku długiej łodzi siedziało z wolnemi wprawdzie rękami, ale z powiązanemi nogami, dziesięciu jeńców europejskich, jeden obok drugiego. Byli to Glenarvan, lady Helena, Marja, Robert, Paganel, major, John Mangles, Olbinett i dwaj majtkowie.

Wieczorem dnia poprzedniego, mały ten oddział, zwiedziony gęstą mgłą, stanął na nocleg pośród licznego oddziału krajowców. Około północy pogrążonych we śnie uwięziono, a później przeniesiono do łodzi. Do tej chwili obchodzono się z nimi jak najlepiej, daremnym jednak byłby wszelki z ich strony opór gwałtowi. Broń i amunicja były w ręku dzikich i własne podróżnych kule mogły ich powalić na ziemię.

Niebawem zrozumieli z kilku wyrazów angielskich, użytych przez krajowców, że ci ostatni, pobici i zdziesiątkowani przez oddziały angielskie, wracali w okolice górnego Waikato. Po długim oporze, wódz Maorysów, straciwszy głównych wojowników w walce z 42-im pułkiem, wracał, by zarządzić nowy pobór w nadrzecznych osadach i połączyć się z nieugiętym Williamem Thompsonem, walczącym ciągle z najezdnikami. Wódz zwał się Kai-Koumu — nazwa złowroga, znacząca w narzeczu krajowców „ten, który pożera członki nieprzyjaciół". Był to dzielny i śmiały człowiek, ale niemniej okrutny i nie można było spodziewać się po nim żadnej litości. Żołnierze angielscy znali jego imię, a gubernator Nowej Zelandji nałożył cenę na jego głowę.

Ten straszny cios spadł na Glenarvana w chwili, gdy był tak blisko upragnionego portu Auckland i powrotu do Europy. A jednak, patrząc na jego obojętną i spokojną twarz, niktby się nie domyślił ogromu jego cierpienia. Glenarvan w ważnych chwilach okazywał się wyższym ponad wszelkie udręczenie, czuł, że jako mąż i naczelnik, powinien być siłą i przykładem dla żony i towarzyszów; gotów był zresztą umrzeć pierwszy dla ich dobra, gdyby tego wymagały okoliczności. Pobożny w głębi duszy, nie rozpaczał o sprawiedliwości Bożej wobec świętości swego przedsięwzięcia. Śród gromadzących się w tej podróży niebezpieczeństw, nie żałował jeszcze ani na chwilę szlachetnego uniesienia, które go zaniosło do tego dzikiego kraju.

Towarzysze podzielali w zupełności jego myśli i, patrząc na ich spokojny i dumny wyraz twarzy, niktby nie przypuszczał, że się spodziewają strasznej katastrofy. Zresztą wynikało to i z pojęć, i z porady Glenarvana, że postanowili udać przed krajowcami najzupełniejszą obojętność. Jedyny to sposób zaimponowania tym nieokrzesanym naturom. Wogóle dzikie ludy, a szczególniej Maorysowie, mają poczucie godności, które nie opuszcza ich nigdy; szanują też tych, którzy swoją zimną krwią i odwagą nakazują szacunek. Wiedział Glenarvan, że działając w ten sposób, zabezpieczy siebie i swoich towarzyszy od złego obchodzenia się z nimi.

Po opuszczeniu obozu, krajowcy małomówni, jak zwykle dzicy, zaledwie przebąkiwali czasem coś do siebie; jednak z kilku dosłysza-

nych wyrazów poznał Glenarvan, że język angielski nie był im obcy — postanowił więc wybadać wodza zelandzkiego co do przeznaczonego im losu. Zwrócił się tedy do Kai-Kumu, zapytując go śmiałym i pewnym siebie głosem.

— Gdzie nas wieziesz, wodzu?

Kai-Kumu spojrzał na pytającego obojętnie, nie dając żadnej odpowiedzi.

— Co chcesz zrobić z nami? — pytał dalej Glenarvan.

Oczy Kai-Kumu zaświeciły nagłym blaskiem i odpowiedział poważnym głosem.

— Wymienić was, jeśli twoi przystaną; zabić was, jeśli odmówią zamiany.

Glenarvan nie pytał więcej; nadzieja wstąpiła w jego serce. Zapewne w ręce Anglików dostało się kilku wodzów armji Maorysów i krajowcy chcieli wydostać ich drogą wymiany. Była więc nadzieja ocalenia, a tem samem i położenie przestawało być rozpaczliwe.

Łódź płynęła szybko wgórę rzeki. Paganel, którego ruchliwość charakteru przechodziła z jednej ostateczności w drugą, odzyskał zupełną nadzieję, utrzymując, że krajowcy oszczędzają im trudu dostania się do posterunków angielskich, co stanowi zysk oczywisty. Zdawszy się na los szczęścia, przyglądał się na swej karcie kierunkowi Waikato wśród równin i dolin okolicznych. Helena i Marja, tłumiąc obawę, rozmawiały półgłosem z Glenarvanem, a najbieglejszy w fizjognomice krajowiec nie dostrzegłby na ich twarzach wewnętrznego udręczenia.

Waikato jest domową rzeką Zelandczyków; Maorysowie są z niej tak dumni i tak o nią zazdrośni, jak Niemcy o Ren, a Słowianie o Dunaj. Długości dwustu mil, Waikato użyźnia najpiękniejsze okolice północnej wyspy, od Wellingtonu do Aucklandu. Rzeka ta nadała swe imię wszystkim nadbrzeżnym plemionom, które nieugięte i niedające się poskromić powstały w masie przeciw najeźdźcom.

Wód jej dotąd prawie nie zamącił żaden obcy statek; otwierała swe łono tylko na przyjęcie miejscowej *pirogi* — i zaledwie kilku śmiałych turystów zaawanturowało się na jej święte brzegi, jakby wstęp nad górną Waikato wzbroniony był europejskim profanom.

Paganel wiedział o czci, jaką mieli krajowcy dla tej głównej arterji ziem zelandzkich; wiedział, że ani jeden z angielskich i niemieckich naturalistów nie doszedł dalej, jak do miejsca, w którem się Waikato łączy z Wajpą. Dokądże Kai-Kumu zawiezie swych więźniów? Nie byłby zgadł, gdyby wyraz Taupo, często wymawiany przez wodza i wojowników, nie zwrócił jego uwagi.

Przyjrzał się mapie i stwierdził, że wyraz Taupo tyczy się jeziora słynnego w rocznikach geograficznych, leżącego w najgórzystszej części wyspy, po stronie południowej prowincji Aucklandu. Waikato wybiega z tego jeziora, przepłynąwszy je w całej jego sze-

rokości; od jeziora zaś aż do połączenia swego z Wajpą Waikato płynie na przestrzeni około stu dwudziestu mil angielskich.

Paganel, nie chcąc, by go dzicy zrozumieli, po francusku pytał się Johna, z jaką też szybkością łódź się posuwa; John odpowiedział, iż około trzech mil na godzinę.

— Jeżeli będziemy się zatrzymywali nocą — mówił geograf — to podróż do jeziora potrwa około czterech dni.

— A gdzież są angielskie posterunki? — spytał Glenarvan.

— Trudno wiedzieć! — odpowiedział Paganel. — Wojna, jak się zdaje, przeniosła się do prowincji Taranaki i podług wszelkiego prawdopodobieństwa oddziały wojsk są nagromadzone przy jeziorze, po drugiej stronie gór, w miejscu, gdzie się zbiegło jak w ognisku całe powstanie.

— Daj Boże, żeby tak było! — szepnęła lady Helena.

Glenarvan smutnie spojrzał na młodą żonę i Marję, wystawione na łaskę dzikich krajowców, pośród nieucywilizowanego kraju, zdala od wszelkiej ludzkiej pomocy. Spostrzegłszy, że Kai-Kumu zaczął mu się przyglądać, a nie chcąc mu dać poznać, że jedna z uwięzionych kobiet jest jego żoną, zapędził smutne myśli do serca i z najobojętniejszą w świecie miną przyglądał się okolicy.

Upłynąwszy pół mili od zbiegu rzek, łódź minęła, nie zatrzymawszy się wcale, dawną rezydencję króla Potatau. Żadnej innej łodzi nie spotkano; tu i ówdzie porozrzucane nad brzegami chaty opustoszałe dowodziły okropności obecnej wojny. Zdawało się, że wszystkie nadbrzeżne wioski wymarły. Tylko kilka ptaków wodnych ożywiało to smutne ustronie; to „taparunga" czarnopióry, z białym brzuchem i czerwonym dziobem, uciekał na wysokich nogach; to czaple trojakiego gatunku; to „matuku" popielaty, z rodzaju butorów, głupią mający minę; to pyszne „kotoku" o białych piórach, żółtym dziobie i czarnych nogach, przyglądały się spokojnie łodzi krajowców. W miejscach, gdzie brzeg spadzisty wskazywał, że woda jest głęboka, zimorodek, zwany u krajowców „kotare", czatował na drobne węgorze, wijące się miljonami w tamtejszych rzekach.

Tam znów, gdzie krzaki wieńcem porastały nad rzeką, pyszne dudki, chróściele i perliczki porządkowały swoje ranne ubranie przy pierwszych słońca promieniach. Cały ten ptasi świat używał spokojnie swobody, jaką mu dawała nieobecność ludzi, wypędzonych lub zdziesiątkowanych wojną.

W pierwszej części swego biegu Waikato płynie szeroko wśród rozległych równin; wyżej spotyka wzgórza, zacieśniające wąwóz, przez który wije się jej łożysko.

Na mapie Paganela o dziesięć mil wgórę zlewu obu rzek, na lewym brzegu oznaczona była wieś Kirkiriroa; istniała rzeczywiście, ale Kai-Kumu nie zatrzymał się wcale przy niej. Kazał podać więźniom ich własne pożywienie, zabrane razem z nimi na noclegu; sam

zaś ze swymi wojownikami i niewolnikami posilał się krajową potrawą z paproci jadalnej, zwanej przez botaników „Pteris esculenta”, korzeni pieczonych na węglach, i „kapanas”, to jest kartofli, uprawianych obficie na obu wyspach. Pożywienie to było czysto roślinne i zdawało się, że suszone mięso, jakie jedli więźniowie, nie obudzało w dzikich zazdrości.

O trzeciej po południu na prawym brzegu zarysowały się góry Pokoroa-Ranges, niby zburzony mur pomiędzy dwoma bastjonami. Na szczytach tu i owdzie wisiały ruiny fortec, zbudowanych kiedyś przez krajowców w niezdobytych położeniach, wyglądające, jak jakieś ogromne gniazda orle.

Słońce znikło już z widnokręgu, gdy łódź dobiła do brzegu, zawalonego odłamami pumeksu, jakich wiele unoszą wody Waikato, wypływając z gór wulkanicznych. Rosnąca tam kępa drzew zdawała się być dostateczną do osłonienia koczowiska. Kai-Kumu kazał przeprowadzić więźniów; mężczyznom związano ręce, kobiety szły wolne; umieszczono ich wszystkich pośrodku obozowiska, a rozpalone ogniska wieńcem płomieni opasały obóz, tworząc nieprzebytą zaporę.

Nim Kai-Kumu zawiadomił więźniów o zamiarze wymienienia ich za swych rodaków, Glenarvan z Johnem podawali sobie nawzajem różne sposoby odzyskania wolności.

To, czego nie mogli zrobić w łodzi, mieli na myśli próbować na lądzie podczas noclegu i pod opieką ciemnej nocy. Ale po rozmowie Glenarvana z wodzem, rozsądek nakazywał cierpliwość i to było najrozsądniej. Zamiana przedstawiała pewną szansę ocalenia, jakiej nie dawała walka lub ucieczka przez nieznaną okolicę. Wprawdzie mogły zajść okoliczności opóźniające lub niweczące rokowania; ale najlepiej było poczekać, jaki obrót sprawa przybierze. Bo i cóż mogło zrobić dziesięć bezbronnych osób przeciw trzydziestu uzbrojonym dzikim? Zresztą Glenarvan przypuszczał, że pokolenie Kai-Kumu straciło wysokiej rangi wodza, na którego odzyskaniu wiele dzikim mogło zależeć, i nie omylił się wcale.

Nazajutrz łódź sunęła po rzece z tą samą, jak wczoraj, szybkością. O dziesiątej zatrzymała się na chwilę przy ujściu Pahaiwhenna, małej rzeczki, płynącej kręto z równin prawego brzegu do Waikato.

W tem miejscu złączyła się z łodzią Kai-Kumu inna łódź z dziesięciu krajowcami; osady obu czółen zamieniły słowa pozdrowienia: „Aire mai ra”, co znaczy: Przybywajcie zdrowi! Poczem obie łodzie sunęły jedna za drugą. Nowo przybyli walczyli widać świeżo z Anglikami; znać to było po ich ubraniu poszarpanem, po pokrwawionej broni i ranach, sączących krwią przez szmaty odzienia. Ponurzy, milczący, z obojętnością zwykłą u dzikich, nie zwrócili żadnej uwagi na Europejczyków.

O południu szczyt Maungatotari zarysował się na zachodzie, dolina Waikato zaczynała się ścieśniać, a rzeka, płynąca ciasnem korytem, wyrywała się z więzów gwałtownym prądem. Lecz siła krajowców, zdwojona i utrzymywana w jednostajności śpiewem, którego rytm wybijały wiosła, unosiła łódź ponad spienione wody. Przepłynięto wir, a Waikato toczyła znów łagodnie swe nurty, rozbijając je często o wystające brzegi.

Pod wieczór łódź Kai-Kumu przybiła do stóp góry, której podnóże prostopadle ciągnęło się ponad wąskim brzegiem. Dwudziestu krajowców, opuściwszy łodzie, urządziło nocleg; ognie paliły się pod drzewami. Wódz, równy widać stanowiskiem Kai-Kumuwi, zbliżył się do niego powolnym krokiem, a pocierając nosem o nos jego, pozdrowił go kordjalnie: „Chongui”! Więźniów umieszczono pośrodku obozu i pilnowano ich z nadzwyczajną czujnością. Nazajutrz z rana udano się w dalszą drogę; bocznemi rzeczkami przypłynęły inne łodzie i zebrało się około sześćdziesięciu wojaków, widocznie uciekających z ostatniego powstania. Niejednego poznaczyły kule angielskie, a teraz wracali w swoje górzyste ustronia. Z łódek, płynących jedna za drugą, chwilami unosił się śpiew. Jeden z dzikich zaintonował patrjotyczną odę tajemniczego „Pike”:

Papa ra ti wati tidi,
Z dunga nei...

Jest to początek hymnu narodowego, wiodącego Maorysów na wojnę o niepodległość. Głos śpiewaka, pełny i donośny, odbijał się echem w górach, a po każdej zwrotce krajowcy, uderzając się w piersi, z których wydobywał się odgłos niby bębna, powtarzali chórem wojowniczą strofkę. Poczem ze zdwojoną siłą wioseł łodzie zaledwie muskały powierzchnię wody, śmiałe stawiając czoło jej prądom.

Dzień ten zaznaczyło ciekawe zjawisko. Około czwartej łódź, kierowana silną ręką wodza, bez namysłu i zwalniania biegu puściła się wąskiem korytem. Bałwany rozbijały się z wściekłością o liczne wysepki, między któremi łatwo o wypadek. Tutaj trzeba było staranniej niż kiedykolwiek unikać przechylenia się łodzi, gdyż brzegi w tem miejscu były całkiem nieprzystępne i nie mogły dać żadnego schronienia; ktokolwiek odważyłby się stanąć nogą na wrzącym mule nie uniknąłby śmierci.

Rzeka płynęła pomiędzy gorącemi źródłami, o których oglądanie ubiegali się nieraz ciekawi turyści. Niedokwas żelaza mocno czerwienił muł nadbrzeżny, a noga ludzka nie znalazłaby ani jednej stopy ziemi, na której można by stanąć. Powietrze przepełnione było silną wonią siarki. Krajowcy znosili to łatwo, ale więźniom dokuczały mocno przykre wyziewy, wydobywające się szczelinami w postaci baniek, pękających pod ciśnieniem wewnętrznych gazów. Ale jeżeli powonienie cierpiało, to oczy mogły podziwiać wspaniały widok.



Na widnokręgu ukazywały się od czasu do czasu błyskawice... (str. 293).

Łodzie zapędziły się w gęstą chmurę białej pary, która lśniącem sklepieniem układała się ponad rzeką. Na brzegach setki tryskających wgórę gejzerów wyrzucały to masę pary, to rozlewając się w płynne kolumny, sprawiały wrażenie wodotrysków i wodospadów, urządzonych ręką ludzką. Zdawało się, że jakaś maszyna kieruje podług swej woli perjodycznemi rzutami źródeł. Wody i pary, zawarte w powietrzu, mieniły się w słońcu tęczowemi barwami.

W tem miejscu Waikato płynęła łożyskiem wrzącem bezustannie pod działaniem ogni podziemnych. Nieopodal jeziora Rotorua, od

wschodu, wrzały gorące źródła i dymiące kaskady Rotomahana i Tetarata, dojrzane zdaleka przez podróżników. Okolica ta podziurawiona jest cała gejzerami, kraterami i solfaterami, któremi wydobywają się nadmierne gazy, jakie nie znalazły ujścia przez niedostateczne otwory Tongarino i Wekari, jedyne czynne wulkany na Nowej Zelandji.

Przez dwie mile łodzie krajowców płynęły pod tem sklepieniem z gazów. Ale nakoniec rozwiał się dym siarczany, a czyste powietrze, pobudzone gwałtownością prądu, orzeźwiło spragnione piersi. Przebyto okolice źródlisk mineralnych.

Jeszcze dwa wiry, Hipapotua i Tamatea, przepłynięto dnia tego. dzięki dzielnemu wiosłowaniu dzikich. Wieczorem stanął Kai-Kumu na nocleg o sto mil od zlewu Wajpy z Waikatą; rzeka, skręcając ku wschodowi wpadała do południowej części jeziora Taupo, jak ogromny wodotrysk do swego basenu.

Nazajutrz, Paganel, wpatrując się w mapę, poznał na niej górę Taubara, wznoszącą się o trzy tysiące stóp nad powierzchnią morza, na prawym brzegu rzeki.

O południu wypłynięto na jezioro Taupo; krajowcy okrzykiem namiętnym powitali płachtę, poruszaną wiatrem, tkwiącą na szczycie szałasu. Była to chorągiew narodowa.

LIX.

JEZIORO TAUPO.

Kiedyś, za czasów przedhistorycznych, rozwarła się niezgłębiona otchłań, długości dwudziestu pięciu a szerokości dwudziestu mil, przez zawalenie się grot wśród trachitowych law środka wyspy. Wody, pędzone z otaczających ją szczytów, zalały całe to ogromne wydrążenie. Otchłań, zamieniwszy się w jezioro, pozostała jednak przepaścią, której głębokości do dziś zmierzyć nie zdołano. Takiem jest to dziwne jezioro Taupo, wyniesione na 1250 stóp nad powierzchnię morza, otoczone półkolem gór wysokości czterystu sążni. Z zachodu wysokie śpiczaste skały, z północy kilka oddalonych wierzchołków, uwieńczonych drzewami, od wschodu szeroka płaszczyzna, przerżnięta drogą i przyozdobiona bryłami pumeksu, błyszczącego z pod pnących się krzaków, z południa ostrokręgi wulkaniczne, poza leżącemi na pierwszym planie lasami — obejmują majestatycznie tę rozległą przestrzeń

wody, na której burze huczą odgłosem, nie ustępującym łoskotowi fal morskich.

Cała ta kotlina wre, jak niezmierny kocioł, zawieszony nad podziemnemi płomieniami. Ziemia drży pod wpływem wewnętrznego ognia, gorące błoto przeciska się mnóstwem szpar. Skorupa ziemi rozpada się z gwałtownym trzaskiem, jak zanadto wyrośnięte ciasto — i niewątpliwie całą tę przestrzeń pochłonęłoby rozżarzone ognisko, gdyby uwięzione gazy nie znalazły sobie w odległości dwunastu mil ujścia przez kratery Tongariro.

Od północy, ponad pagórkami ziejącemi ogniem, wulkan ukazywał się przystrojony dymem i płomieniami, jak piórami. Tongariro zdaje się należeć do systemu gór dosyć zawikłanego. Poza nią góra Ruapahou, oddzielnie stojąca na równinie, wznosi na dziewięć tysięcy stóp swoje czoło, ginące w obłokach. Żaden śmiertelnik nie stanął jeszcze nogą na jej niedostępnym szczycie, ni oko ludzkie nie zmierzyło głębi krateru, gdy tymczasem trzy razy w przeciągu dwudziestu lat Bidwill i Dyson, a świeżo Hochstetter, zmierzyli dostępniejsze szczyty Tongariro.

Wulkany te mają swoje legendy i przy każdej innej okoliczności Paganel nie omieszkałby zapoznać z niemi swoich towarzyszów. Opowiedziałby im ów spór o kobietę, jaki wiodły z sobą Tongariro i Taranaki, wówczas jeszcze jego sąsiad i przyjaciel. Tongariro, gorączka, jak wszystkie wulkany, uniósł się do tego stopnia, że uderzył Taranaki. Ten, pobity i upokorzony, uciekł doliną Whangenui, w drodze zgubił odłamy gór i doszedł nad brzeg morza, gdzie wznosi się samotnie pod imieniem góry Mont-Egmont.

Paganel nie był wcale usposobiony do opowiadania, ani jego przyjaciele do słuchania. Milcząc, przyglądali się północno-wschodniemu brzegowi jeziora Taupo, dokąd ich wiodła zwodnicza fatalność. Osada misjonarska, założona przez wielebnego Grace w Pukawie, na zachodnich brzegach jeziora, już nie istniała. Duchownego tego usunęła wojna daleko od głównego ogniska powstania. Więźniowie byli na łasce Maorysów, chciwych odwetu, i właśnie w tej dzikiej części wyspy, do której nie dotarło chrześcijaństwo.

Kai-Kumu, opuszczając wody Waikato, przepłynął małą przystań, stanowiącą początek rzeki, opłynął śpiczasty przylądek i przybił do wschodniej płaszczyzny jeziora w miejscu, gdzie pierwsze fale omywają podnóżek góry Monga, trzystasążniowego olbrzyma. Stamtąd ciągnęły się pola, okryte bujnem „phormium", rodzajem drogocennego lnu Nowej Zelandji, nazywanego „harakeke" przez krajowców. Każda część tej rośliny jest użyteczna. Kwiat dostarcza doskonałego miodu; łodyga kleistej substancji, zastępującej wosk lub krochmal; liść, pożyteczniejszy jeszcze, daje się używać na różne potrzeby: świeży służy za papier, wysuszony staje się wyborną hubką; z pociętego robią się sznury, liny i sieci; rozdrobniony i zmiędlony przerabia się

na okrycie; rogożę lub tunikę krajowca; ufarbowany na czerwono lub czarno, służy do stroju wykwintnisia maoryskiego.

To też wszędzie, na obu wyspach, można się spotkać z tą dobroczynną rośliną: nad brzegiem morza, wzdłuż rzek i nad jeziorami. Tutaj właśnie dzika ta roślina pokrywała całe pola; jej-ciemno-różowe kwiaty, podobne do kwiatu agawy, strzelały z pomiędzy gęstwy liściastej, splecionej jakby jakie trofeum z ostrzy mieczów. Zręczne *miodniki,* ptaki przywykłe do pól, porosłych tą rośliną, licznemi wzlatywały stadami, rozkoszując się słodkim sokiem kwiatów. Na powierzchni jeziora pluskały się łatwo przyswajane stada czarnopiórych kaczek, upstrzonych szaremi i zielonemi lotkami.

O ćwierć mili, na urwistej pochyłości góry ukazywał się „pah", twierdza Maorysów, postawiona na niezdobytem miejscu. Więźniów, wysadzonych po jednemu i uwolnionych z więzów, zaprowadzili tam wojownicy. Ścieżka, prowadząca do twierdzy, szła przez pola okryte phormium i przez gaje pięknych drzew; były tam ‚kaiketeas", których liście nie opadają nigdy, a jagody są czerwone; „Dracenas australis", zwane „ti" przez krajowców, których wierzchołek zastępuje wybornie palmową kapustę; „huious" używane do farbowania materyj na czarno. Za zbliżeniem się krajowców pierzchły ogromne gołębie o złoto-srebrnych piórach, oraz ciemno-popielate wróble i mnóstwo szpaków o czerwonych gardzielach.

Po przejściu dość krętej drogi, Glenarvan, lady Helena, Marja Grant i ich towarzysze weszli do wnętrza twierdzy. Pierwszą jej linję obronną tworzyły silne palisady, wysokości na piętnaście stóp; drugą — belki poprzecznie ułożone; ogrodzenie z łoziny ze strzelnicami zamykało okrąg czyli płaszczyznę, na której wznosiły się budynki Maorysów i ze czterdzieści szałasów, rozłożonych symetrycznie.

Na samym wstępie więźniowie ulegli strasznemu wrażeniu na widok głów, zdobiących słupy drugiego ogrodzenia. Kobiety odwróciły głowy ze wstrętu raczej niż z przerażenia. Były to głowy nieprzyjacielskich dowódców, poległych w walce, których ciała pożarte były przez zwycięzców. Tak dowodził geograf, wnioskując z pustych wklęsłości, z których oczy wyłupiono. I rzeczywiście, oczy z głowy zabitego dowódcy bywają tam zjadane, a głowa sama przyrządzona w sposób niezwykły. Wyjmują z niej mózg, odzierają ją z wierzchniej skóry a zostawiają nos, przytrzymując go patyczkami; w nozdrza napychają phormium, usta i powieki zaszywają, i tak spreparowaną głowę kładą w piec stosownie urządzony, by się przez trzydzieści godzin wędziła. Takie z nią postępowanie czyni, że może być przechowywana przez czas nieograniczony; nie ulega zepsuciu, nie marszczy się nawet i stanowi trofeum zwycięskie.

Maorysowie przechowują często głowy swoich własnych dowódców; ale w takim razie oczy pozostają w swej oprawie, wiecznie patrzące. Nowo-Zelandczycy z dumą pokazują te szczątki młodym wo-

jownikom, aby je podziwiali, i urządzają na ich cześć obchody uroczyste. Ale w twierdzy Kai-Koumu tylko głowy nieprzyjaciół tworzyły to straszne muzeum i zapewne niejeden Anglik z wyłupionemi oczyma zwiększył kolekcję naczelnika Maorysów.

Szałas Kai-Kumu wznosił się w głębi twierdzy, pomiędzy mniejszemi szałasami. Przed nim roztaczała się płaszczyzna, którąby Europejczycy nazwali polem Marsowem. Ściany tego szałasu zrobione były ze słupów, przeplecionych gałęźmi, wewnątrz wybite rogożą z phormium. Długości dwudziestu, szerokości piętnastu, a wysokości dziesięciu stóp, tworzyły mieszkanie, obejmujące trzy tysiące stóp sześciennych. Wódz Nowo-Zelandczyków nie potrzebuje większego mieszkania. Jedno tylko było wejście do tego szałasu, rodzaj ruchomych drzwi, utworzonych z gęstej tkaniny roślinnej. Z ponad ścian wystawał dach jak parasol; zewnętrzną stronę szałasu zdobiły figury, umieszczone na końcach krokwi i „Wharepuni", to jest podsienie, w którem przybysz mógł podziwiać liście, wycięte nożycami krajowego artysty w symboliczne figury, straszne potwory i inne tego rodzaju pomysły.

Wewnątrz szałasu ubita ziemia na grubość pół stopy nad poziom zwykły tworzyła podłogę; łóżka były z trzciny uplecione, a na nich leżały materace z wysuszonej paproci, okryte rogożami z giętkich i długich liści rośliny „typha". W środku stał kamień wyżłobiony i służył za ognisko, a dziura w dachu zastępowała komin. Gdy się dymu dużo nazbierało, musiał wkońcu uchodzić tym otworem, pozostawiając wszakże na ścianach mieszkania powłokę czarną.

Obok szałasu stały składy, zawierające zapasy wodza: zbiór „phormium", patatów, „taras", paproci jadalnych oraz piece, w których przyrządzają się te pokarmy na kamieniach rozpalonych. Nieco dalej, w małych zagrodach mieściły się świnie i kozy, rzadko spotykane potomstwo tych użytecznych zwierząt, zaaklimatyzowanych tam przez kapitana Cooka. Psy biegały po wszystkich kątach, szukając pożywienia. Jak na zwierzęta, któremi zwyczajnie żywią się Maorysi, psy te wcale nieosobliwie były utrzymywane.

Glenarvan i towarzysze jego objęli wszystko to jednym rzutem oka, czekając przy jednym z pustych szałasów, co z nimi zrobi dowódca, i wystawieni tymczasem na obelgi tłumu starych kobiet. Jędze te otoczyły ich, groziły im pięściami, wymyślały i wrzeszczały; kilka wyrazów angielskich wywarło się z ich gęb ogromnych i jasno wskazywało, że domagały się zemsty natychmiastowej.

Pośród tych klątw i wrzasków lady Helena powierzchownie okazywała spokój, jakiego nie mogła mieć w duszy. Mężna ta kobieta robiła nadludzkie wysiłki, dla utrzymania zimnej krwi swego męża. John Mangles podtrzymywał biedną Marję, upadającą na siłach, gotów zginąć w jej obronie. Towarzysze ich różnie znosili ten potop obelg; major obojętnie, Paganel ze wzmagającem się rozdrażnieniem.

Glenarvan, chcąc uchronić żonę od napaści starych meger, podszedł do Kai-Kumu i, wskazując na wstrętną grupę, rzekł:

— Odpędź je!

Dowódca spojrzał bystro na swego jeńca, nic nie odpowiedziawszy; potem jednym gestem nakazał milczenie wyjącej hordzie. Na znak podziękowania, skłonił się Glenarvan wodzowi i wolnym krokiem powrócił między swoich.

W tym samym czasie ze stu Zelandczyków zebrało się w twierdzy; byli tam starcy, ludzie w sile wieku i młodzież. Jedni spokojni, choć chmurni, czekali rozkazów Kai-Kumu, na innych znać było gwałtowną boleść; rozpaczali po ojcach lub krewnych, poległych w ostatnich potyczkach.

Ze wszystkich dowódców, jacy powstali na wezwanie Williama Thompsona, jeden tylko Kai Kumu wracał do okręgów nad jeziorem i pierwszy ogłaszał swemu pokoleniu upadek narodowego powstania, zwalczonego na równinach niższej Waikato. Z dwustu wojowników, którzy podążyli pod jego rozkazami na obronę rodzinnej ziemi, stu pięćdziesięciu nie wróciło. Jeżeli kilku z nich dostało się w ręce najeźdźców, to o ile więcej było takich, którzy pozostali na polu walki i nie mieli nigdy oglądać ziem swoich przodków!

Tem się tłumaczy głęboka rozpacz, jaką dotknął pokolenie powrót Kai-Kumu; dotąd nie mieli wieści o ostatniej porażce i właśnie w owej chwili dowiedzieli się całej okropnej prawdy. U dzikich cierpienie moralne objawia się zawsze znakami zewnętrznemi. To też rodzina i przyjaciele, a nadewszystko żony poległych wojowników kaleczyli sobie twarze i ramiona ostremi muszlami. Krew tryskająca mieszała się ze łzami, głębokość ran oznaczała wielkość rozpaczy. Strasznie było patrzeć na pokrwawione i rozszalałe z boleści nieszczęśliwe Zelandki.

Inny jeszcze powód, bardzo ważny w oczach krajowców, przyczyniał się do zwiększenia ich rozpaczy. Nietylko że już nie było opłakiwanych krewnych i przyjaciół, ale jeszcze ich kości nie mogły być pochowane w grobach rodzinnych. W religji Maorysów posiadanie tych szczątków uważane jest za konieczne dla przyszłego życia; nie znikome ciała, ale właśnie kości zbierają starannie, czyszczą, skrobią, gładzą, pokostują nawet i składają w „oudoupa", czyli domu czci. Groby te zdobi się posągami drewnianemi, na których jak najwierniej jest odwzorowane utatuowanie całego ciała nieboszczyka. A teraz groby będą próżne, nie odbędą się ceremonje religijne, a kości, któreby należało ochronić przed zębami psów dzikich, będą bielały na polu walki, bez pogrzebu.

Myśl ta zdwajała oznaki żalu; po pogróżkach kobiet nastąpiły przekleństwa mężczyzn, sypały się obelgi, ruchy stawały się gwałtowniejsze — groźby mogły się w czyn zamienić.

Kai-Kumu, lękając się, aby fanatycy nie wzięli nad nim góry, kazał odprowadzić jeńców do poświęconego miejsca w drugim końcu twierdzy, na urwistej płaszczyźnie. Stojący tam szałas przytykał do skały, wznoszącej się o sto stóp wyżej i kończącej tę stronę twierdzy prostopadłą spadzistością nazewnątrz. W tem „Ware-Atona”, to jest świątyni, kapłani, zwani „ariki”, nauczali Zelandczyków o jednym Bogu w trzech osobach, ojcu, synie i ptaku czyli duchu. Szałas obszerny, dobrze zamknięty, zawierał wyborową świętą żywność, którą ustami kapłanów zjadał Maui Ranga Rangui.

W tem to miejscu, chwilowo zabezpieczeni od wściekłości krajowców, spoczęli więźniowie na rogożach z phormium. Lady Helena, wycieńczona na siłach, złamana cierpieniem moralnem, rzuciła się w objęcia męża.

Glenarvan, przyciskając ją do piersi, powtarzał:

— Odwagi, kochana Heleno, Bóg nas nie opuści.

Zaledwie ich zamknięto, Robert wspiął się na ramiona Wilsona i wsunął głowę w przedział między ścianą i dachem, pod którym wisiały amulety, nawleczone na sznurki, a stąd mógł objąć okiem cały obszar twierdzy aż do szałasu Kai-Kumu.

— Stoją wszyscy około dowódcy — mówił cichym głosem... — poruszają rękami... wrzeszczą... Kai-Kumu chce mówić.

Na chwilę chłopiec zamilkł, potem znów opowiadał:

— Kai-Kumu przemawia... Dzicy zdają się uspokajać... słuchają, co mówi...

— Widocznie — odezwał się major — wódz ma jakiś osobisty interes, broniąc nas; chce widać zamienić nas na dowódców swego pokolenia! Lecz czy oni przystaną?

— Przystaną, bo go słuchają... — rzekł Robert. — Rozchodzą się... Jedni wchodzą do szałasów... Inni opuszczają twierdzę...

— Doprawdy? — zawołał major.

— Doprawdy, panie Mac Nabbs — odpowiedział Robert. — Kai-Kumu pozostał tylko z tymi, którzy byli w jego łodzi... Ach, jeden z nich idzie ku naszemu szałasowi!..

— Zejdź, Robercie — rozkazał Glenarvan.

W tej chwili Helena podniosła się z siedzenia i schwyciła męża za rękę.

— Edwardzie — mówiła stanowczym tonem — ani Marja Grant, ani ja nie powinnyśmy się dostać żywe w ręce tych dzikich!...

Wymówiwszy to, podała Glenarvanowi rewolwer nabity.

— Broń! — zawołał lord i rozjaśniły mu się oczy.

— Maorysowie nie rewidują swoich więźniów! Ale ta broń nie dla nich, tylko dla nas, Edwardzie.

— Schowaj ten rewolwer — zawołał prędko major — jeszcze nie czas...

Zaledwie rewolwer znikł pod ubraniem lorda, rogoża, zamykająca wejście szałasu, podniosła się i ukazał się krajowiec.

Dał znak więźniom, aby szli za nim. Glenarvan ze swymi towarzyszami w ścieśnionej gromadce ruszyli przez twierdzę i stanęli przed Kai-Kumem.

Dokoła wodza zebrali się najznaczniejsi wojownicy pokolenia. Pomiędzy nimi widać było tego samego Maorysa, którego czółno złączyło się z łodzią Kai-Kumu przy ujściu Pohainhenay do Waikato. Był to człowiek czterdziestoletni, silny, o wejrzeniu dzikiem, okrutnem. Nazywał się Kara-Tete, co znaczy w języku krajowców „popędliwy". Kai-Kumu obchodził się z nim z pewnemi względami, a po subtelności centkowania na ciele można było się dorozumieć, że Kara-Tete zajmował wysoką godność w okręgu. Ktoby miał sposobność do obserwacji, byłby dostrzegł, że dwaj dowódcy rywalizowali z sobą. Major zauważył, że Kai-Kumu niechętnie znosi wpływ swego kolegi w zwierzchnictwie; obaj równą mieli władzę nad znakomitem plemieniem, mieszkającem nad Waikato. Więc i teraz Kai-Kumu uśmiechał się niby ustami, ale oczy jego zdradzały głęboką niechęć.

Kai-Kumu zaczął badać Glenarvana.

— Jesteś Anglikiem? — zapytał go.

— Tak jest — odpowiedział lord bez wahania, bo czuł, że jego narodowość pohopniejszymi uczyni dzikich do wymienienia go na krajowca.

— A twoi towarzysze? — pytał dalej Kai-Kumu.

— Moi towarzysze są tak, jak ja, Anglikami; jesteśmy podróżni i rozbitki. Lecz jeżeli ci co na tem zależy, to wiedz, że nie mieliśmy żadnego udziału w wojnie.

— Mało nas to obchodzi — odpowiedział brutalnie Kara-Tete — każdy Anglik jest naszym nieprzyjacielem. Twoi najechali naszą wyspę! Skradli nam pola, spalili nasze wioski!

— Źle postąpili — odpowiedział poważnie Glenarvan. — Mówię ci to dlatego, że takie jest moje przekonanie, a nie dlatego, żem jest w twojej mocy.

— Słuchaj — ciągnął Kai-Kumu. — Tohonga, arcykapłan Nui-Atona (bożka Zelandczyków), dostał się w ręce twoich braci. Jest więźniem Pakeków (Europejczyków); nasz Bóg kazał nam go wykupić. Wolałbym wydrzeć ci serce, wolałbym twoją głowę i głowy twoich towarzyszy zatknąć na wieki na słupach tej palisady, ale Nui Atona przemówił.

Umiejący panować nad sobą Kai-Kumu trząsł się z gniewu, gdy to mówił; a na twarz jego wystąpił wyraz uniesienia namiętnego.

Po kilku chwilach zaczął chłodniejszym tonem.

— Czy myślisz, że Anglicy wydadzą Tohonga za ciebie?

Glenarvan wahał się z odpowiedzią i przyglądał się uważnie naczelnikowi Maorysów.

— Nie wiem — odpowiedział po chwili milczenia.

— Powiedz — mówił z naciskiem Kai-Kumu — czy twoje życie warte życia naszego Tohonga?

— Niewarte — odpowiedział Glenarvan. — Pomiędzy swymi nie jestem ani naczelnikiem, ani kapłanem.

Paganel osłupiał na taką odpowiedź i patrzył z głębokiem zdziwieniem na Glenarvana.

Kai-Kumu zdawał się również zdziwiony.

— A zatem powątpiewasz? — zapytał go znowu.

— Nie wiem — powtórzył Glenarvan.

— Więc twoi nie przystaną na zmianę naszego Tohonga za ciebie?

— Za mnie jednego nie przystaną — odpowiedział Glenarvan — ale za nas wszystkich, to może.

— U nas — odrzekł Kai-Kumu — idzie głowa za głowę.

— Zaproponuj im te dwie kobiety wzamian za kapłana — mówił Glenarvan, wskazując lady Helenę i Marję Grant.

Lady Helena chciała zbliżyć się do męża, ale major zatrzymał ją.

— Te dwie damy — mówił Glenarvan, pochylając się z uszanowaniem przed lady Heleną i Marją Grant — zajmują w swoim kraju wysokie stanowisko.

Wojownik spojrzał zimno na więźnia. Po jego ustach przebiegł złośliwy uśmiech, ale powstrzymał go i, miarkując głos, mówił:

— Przeklęty Europejczyku! Czy sądzisz, że oszukasz Kai-Kumu kłamstwem? Czy myślisz, że moje oczy nie umieją czytać w sercach?

A wskazując na lady Helenę, zawołał:

— To twoja żona!

— Nie, to moja! — krzyknął Kara-Tere i, rozpychając więźniów, oparł rękę na ramieniu lady Heleny, zbladłej pod tem dotknięciem.

— Edwardzie! — jęknęła nieszczęśliwa kobieta, straciwszy przytomność.

Glenarvan, nie wymówiwszy ani słowa, podniósł rękę; rozległ się wystrzał i Kara-Tere legł nieżywy.

Na huk strzału wybiegł z szałasów tłum krajowców, twierdza napełniła się w jednej chwili. Sto rąk podniosło się na nieszczęśliwych; wyrwano rewolwer z ręki Glenarvana.

Kai-Kumu dziwnym wzrokiem spojrzał na niego i, zasłaniając jedną ręką zabójcę, drugą powstrzymał tłum, rzucający się na Europejczyków.

— Tabu! Tabu! — zawołał głosem potężnym.

Słowa powyższe powstrzymały tłum przed Glenarvanem i jego towarzyszami, osłoniętymi chwilowo jakąś siłą nadmierną. W kilka chwil potem odprowadzono ich do Ware-Atona, mającego służyć im za więzienie. Nie było jednak pomiędzy nimi Roberta i Paganela.

LX.

POGRZEB NACZELNIKA MAORYSÓW.

Obyczajem dosyć częstym w Nowej Zelandji, Kai-Kumu, oprócz tytułu naczelnika pokolenia, miał jeszcze tytuł „ariki", to jest kapłan. Piastując ten urząd, miał prawo podciągnąć osoby lub przedmioty pod zabobonną opiekę *tabu.*

Tabu, właściwe wszystkim ludom rasy polinezyjskiej, ma własność bezpośrednią zakazania stosunku lub użytku przedmiotu lub osoby tabuowanej. Według religji ludów Polinezji, ktokolwiek ośmieliłby się podnieść świętokradzką rękę na to, co jest uznane za tabu, będzie karany śmiercią przez rozgniewanego Boga. Gdyby zaś bóstwo opóźniało pomstę swojej własnej zniewagi, kapłani nieomieszkaliby ją przyśpieszyć.

Wodzowie posługują się tem tabu, ale także dla celów politycznych, nietylko w zwykłych zdarzeniach życia prywatnego. W rozlicznych okolicznościach krajowcy przez kilka dni ulegają takiemu tabu; np. jeżeli obetną sobie włosy, poddają się operacji tatuowania, robią czółno, budują dom, gdy są śmiertelnie chorzy i w razie śmierci. Jeżeli nadzwyczajne ryb połowy zagrażają wyjałowieniem rzece, albo zbyteczne wyczerpanie głównych plonów ziemi, np. słodkich patatów, uszczerbek mogłoby przynieść polom, wtenczas przedmioty te bywają ochraniane opiekuńczem i ekonomicznem tabu. Jeśli naczelnik jaki chce usunąć natrętnych ze swego domu, ogłasza go tabu; chcąc przywłaszczyć sobie wyłączność stosunków handlowych z jakim okrętem ucieka się tabu; jeżeli niezadowolony jest z jakiego kupca europejskiego, to obezwładnia go swojem tabu. Wyraz ten bardzo przypomina pod względem znaczenia przywilej królów „veto".

Nikomu nie wolno bezkarnie dotknąć się tabuowanego przedmiotu. Krajowiec, podlegający takiemu zakazowi, nie może przez czas określony dotykać pewnych pokarmów. Jeżeli skazany na taki post jest bogaty, niewolnicy kładą mu w usta potrawy, których nie wolno mu dotknąć rękoma; ale jeżeli jest ubogi, to zmuszony jest ustami chwytać pokarm. Tabu zamienia go w zwierzę. Koniec końców, ten oryginalny obyczaj kieruje i rządzi wszystkiemi czynnościami Nowo-Zelandczyków. Jest to ciągłe wdawanie się bóstwa w życie towarzyskie. Obyczaj ten jest prawem; a nawet można powiedzieć, że cały kodeks krajowców, nieulegający roztrząsaniu i nieroztrząsany, zasadza się na częstem użyciu tabu. Ale tabu, które zastosowano do jeńców zamkniętych w Ware-Atona i które osłoniło ich przed wściekłością dzikich, było tylko despotycznie narzucone. Pewna część krajowców, przyjaciół i stronników Kai-Kumu zatrzymała się nagle na głos swego naczelnika i ocaliła więźniów.

Pomimo to Glenarvan wiedział, co go czeka; swojem życiem tylko mógł przypłacić zabicie naczelnika, a śmierć u dzikich ludów bywa dopiero skutkiem męczarni. Oczekiwał więc na straszną pokutę za słuszne oburzenie, które go do tego czynu doprowadziło; miał jednak nadzieję, że jego tylko samego dosięgnie gniew Kai-Kumu.

Jakąż straszną noc przebył ze swymi towarzyszami! Kto byłby w stanie odmalować ich dręczenie i boleść? O biednym Robercie i dzielnym Paganelu żadnej nie było wieści; a czyż można było powątpiewać o losie, jaki ich spotkał? Nie byłyż to pierwsze ofiary, poświęcone zemście krajowców? Nadzieja opuściła wszystkich, nawet niełatwo rozpaczającego Mac Nabbsa. John Mangles myślał, że oszaleje wobec ponurej rozpaczy Marji Grant, rozłączonej z bratem. Glenarvan rozmyślał nad okropnem żądaniem lady Heleny, która, chcąc uchronić się od mąk lub niewoli, pragnęła śmierci z jego ręki! Czyż zdobędzie się na czyn tak straszny?

— Jakie mam prawo zabić Marję? — pytał się samego siebie John, któremu na tę myśl serce się krajało.

O ucieczce nie było mowy; dziesięciu uzbrojonych od stóp do głów wojowników pilnowało drzwi Ware-Atona.

Nadszedł poranek 13-go lutego. Pomiędzy krajowcami i więźniami, osłoniętymi przez tabu, nie było żadnych stosunków. W szałasie znajdowało się trochę żywności, której jednak prawie nie tknięto; nieszczęśliwi wobec troski nie czuli głodu. Dzień przeszedł, nie przyniósłszy ani nadziei, ani też żadnej zmiany. Widocznie godzina męczarni Glenarvana i pogrzebu naczelnika miały wybić jednocześnie.

Pomimo to jednak, że Glenarvan był pewien, iż Kai-Kumu myśl zamiany więźniów porzucił w zupełności, major w tem właśnie pokładał jeszcze źdźbło nadziei.

— Kto wie — mówił, przypominając Glenarvanowi wrażenie widoczne, jakie na naczelnika wywarła śmierć Kara-Tetego — kto wie, czy Kai-Kumu w głębi serca nie poczuwa się do pewnej względem ciebie wdzięczności?

Pomimo tych uwag Mac Nabbsa, Glenarvan nie chciał łudzić się nadzieją. Następny dzień upłynął znów bez żadnych przygotowań do spodziewanych męczarni. Powodem tego opóźnienia była wiara Maorysów, że przez trzy dni po śmierci dusza przebywa w ciele nieboszczyka; zatem przez ten czas trup pozostaje bez pogrzebu. Zwyczaj ten zachowany bywa u nich bardzo ściśle.

Do piętnastego lutego twierdza zdawała się pusta. John Mangles, stojąc na ramionach Wilsona, przyglądał się często temu, co się działo zewnątrz szałasu, ale nie zobaczył żadnego krajowca; straż tylko zmieniała się, strzegąc pilnie drzwi Ware-Atona. Dopiero trzeciego dnia pootwierały się szałasy i dzicy z kobietami i dziećmi w liczbie kilkuset gromadzili się milczący i spokojni.

Kai-Kumu wyszedł ze swej chaty, otoczony przez głównych naczelników pokolenia, i usiadł na wzniesieniu pośrodku twierdzy. Tłum krajowców o kilka sążni w tyle tworzył półkole, pogrążony w milczeniu. Na znak Kai-Kumu, jeden z wojowników skierował się ku Ware-Atona.

— Nie zapomnij! — szepnęła lady Helena mężowi.

Glenarvan przycisnął żonę do serca. W tej chwili Marja Grant, zbliżywszy się do Johna Manglesa, rzekła:

— Lordzie i lady Glenarvan! Jeżeli słusznem jest, aby żona ginęła z ręki męża dla uchronienia się od strasznej przyszłości, to z równem prawem i dla tej samej przyczyny narzeczona powinna ginąć z ręki narzeczonego. Johnie, w tej uroczystej chwili mogę się zapytać: czy nie jestem oddawna twoją narzeczoną w głębi twego serca? Czy mogę liczyć na ciebie, kochany, jak lady Helena na lorda Glenarvana?

— Marjo! — zawołał zrozpaczony młody kapitan. — Droga Marjo...

Nie mógł dokończyć; rogoża się podniosła i zaprowadzono więźniów do Kai-Kumu. Kobiety zrezygnowane poddały się swemu losowi, mężczyźni ukrywali cierpienie pod maską spokoju, będącego dowodem energji nadludzkiej.

Stanęli przed wodzem nowo-zelandzkim, który nie zwlekał z rozpoczęciem sprawy.

— Zabiłeś Kara-Tetego — rzekł do Glenarvana.

— Tak jest — odpowiedział lord.

— Umrzesz jutro, o wschodzie słońca.

— Sam? — zapytał Glenarvan, z bijącym gwałtownie sercem.

— Ach! czemuż życie naszego Tohonga droższe jest, niż wasze! — zawołał Kai-Kumu, a w oczach jego widniała żałość dzika.

W tej chwili powstał ruch pomiędzy krajowcami. Tłum rozsunął się, przepuszczając okrytego potem i upadającego ze znużenia posłańca.

Kai-Kumu zapytał go po angielsku, pragnąc widocznie, aby więźniowie wiedzieli, o co idzie:

— Wracasz z obozu Europejczyków?

— Tak jest — odpowiedział Maorys.

— Widziałeś naszego Tohonga?

— Widziałem.

— Czy żyje?

— Nie żyje, rozstrzelali go Anglicy.

Był to wyrok na Glenarvana i jego towarzyszów.

— Wszyscy umrzecie jutro o wschodzie słońca! — krzyknął Kai-Kumu.

Tak więc jednakowy los czekał nieszczęśliwych więźniów. Lady Helena i Marja Grant wzniosły dziękczynny wzrok ku niebu.



Koń stanął dęba... (str. 315).

Nie odprowadzono ich już do Ware-Atona, ale zatrzymano, by byli świadkami pogrzebu i towarzyszących mu krwawych obrzędów. Odprowadzono ich tylko nabok, zawsze pod pilną strażą krajowców. Inni, pogrążeni w żałobie urzędowej, zdawali się zapominać o ich obecności.

Trzy dni od śmierci Kara-Tetego upłynęły już w zupełności, dusza opuściła zatem swoją śmiertelną powłokę. Obrzęd się zaczął.

Przyniesiono ciało na marach, ubrane w świetną odzież i owinięte pyszną opończą z phormium. Głowa ozdobiona była piórami i wieńcami z zielonych liści. Twarz, piersi i ramiona, natarte oliwą, nie okazywały rozkładu.

Krewni i przyjaciele zbliżyli się do mar i nagle, jakby za uderzeniem pałeczki dyrektora orkiestry na znak rozpoczęcia żałobnego hymnu, rozległy się w powietrzu płacz, jęki i łkania. Najbliżsi sercu nieboszczyka bili się po głowach, krewni ranili twarz paznokciami i więcej wylewali krwi niż łez. Nieszczęśliwe żony spełniały sumiennie ten dziki obowiązek. Wszystko to było za mało dla uspokojenia duszy nieboszczyka, której gniew mógł spaść na wszystkich, co go przeżyli w pokoleniu, i jego wojownicy, nie mogąc powrócić mu życia, chcieli, aby nie żałował na tamtym świecie rozkoszy pobytu na ziemi. To też żona Kara-Tety powinna była zstąpić z mężem do grobu. Nieszczęśliwa nie chciałaby nawet żyć bez niego. Obyczaj zgadzał się zatem z pojęciem obowiązku i przykładów podobnego poświęcenia nie brak wcale w historji Zelandczyków.

Ukazała się żona, młoda jeszcze; rozpuszczone i potargane włosy spadały jej na ramiona. Jej płacz i łkanie wznosiły się do nieba. Słowa niedokończone wyrażały żal, urywki frazesów, któremi ogłaszała cnoty zmarłego, przerywane były jękami; a gdy rozpacz doszła do najwyższego stopnia, wdowa padła u stóp noszów, tłukąc głową o ziemię.

Wtenczas zbliżył się do niej Kai-Kumu. Nieszczęśliwa ofiara powstała; ale gwałtowne uderzenie potężną maczugą, zwaną „mere", którą wywijał naczelnik, powaliło ją o ziemię. Runęła zdruzgotana.

W tej chwili rozległ się przeraźliwy krzyk. Sto ramion wzniesionych groziło więźniom, ale nikt się nie poruszył, bo obrzęd pogrzebowy nie był jeszcze skończony.

Małżonka Kara-Tetego połączyła się z nim w grobie. Oba ciała leżały obok siebie; ale na życie wieczne za mało było nieboszczykowi wiernej towarzyszki. Któżby im posługiwał w Nui-Atona, jeżeliby ich niewolnicy nie poszli z nimi na tamten świat.

Przyprowadzono sześciu nieszczęśliwych i stawiono ich przed ciałem dawnych ich panów. Byli to ludzie, których nielitościwe losy wojny zamieniły w niewolników. Za życia dowódcy znosili najcięższe obejście i tysiące ograniczeń. Licho żywieni, używani byli bezustannie do pracy, jak bydlęta; teraz, stosownie do zwyczajów religijnych Zelandczyków, mieli znów iść na wieczne czasy, wieść życie poddańcze.

Nieszczęśliwi ci zdawali się zgadzać z przeznaczeniem, nie dziwiło ich to, co oddawna przewidzieli. Ręce ich, wolne od więzów, dowodziły, że przyjmą śmierć bez oporu.

Zresztą śmierć to była nagła i oszczędzała im długich cierpień. Długie męczarnie przeznaczono sprawcom zabójstwa, stojącym o

dwadzieścia kroków i odwracającym oczy od strasznego widoku, którego okropność miała się jeszcze zdwoić.

Sześć uderzeń maczugą z rąk sześciu silnych wojowników położyło nieszczęśliwe ofiary na ziemi, w potoku krwi: był to znak rozpoczęcia oburzającej sceny ludożerstwa.

Ciała niewolników nie bywają osłaniane takiem tabu, jak ciała panów: są one własnością pokolenia. Była to niby zapłata płaczkom pogrzebowym. Cały tłum krajowców — naczelnicy, wojownicy, starcy, kobiety i dzieci, bez różnicy wieku i płci — porwany zwierzęcym szałem, rzucił się na nieżywe ofiary. Prędzej, niż to zdoła szybkie pióro nakreślić, dymiące jeszcze ciała zostały rozerwane, rozdzielone, porozcinane nie na kawałki, lecz na odrobiny. Każda osoba z dwustu obecnych otrzymała cząstkę ludzkiego mięsa. Wyrywali je sobie, bili się o najmniejszy kawałek. Krople gorącej krwi bryzgały na tych potwornych biesiadników, krzątających się pod czerwonym jej deszczem. Był to jakiś szał i rozwścieczenie znęcających się nad swą zdobyczą tygrysów; coś w rodzaju cyrku, w którym jedne zwierzęta pożerają drugie. Na dwudziestu przynajmniej punktach rozpalono ogniska i powietrze przeniknęła woń spalonego mięsa. Gdyby nie straszny rozgwar tego przejmującego zgrozą bankietu, gdyby nie krzyki, wydzierające się z gardzieli zapchanych mięsem ludzkiem, jeńcy mogliby słyszeć odgłos kości chrupanych zębami ludożerców.

Glenarvan z towarzyszami starali się oszczędzić oczom biednych kobiet widoku tej strasznej sceny. Zrozumieli, jakie męczarnie czekały ich nazajutrz o wschodzie słońca i jakie tortury mogą poprzedzić śmierć podobną. Zamilkli z oburzenia.

Rozpoczęły się tańce pogrzebowe. Mocny trunek z ,Ciper excelsum", niby wywar z tureckiego pieprzu, podsycał szał dzikich. Nic już nie było w nich człowieczego. Doprowadzeni do szału, mogli nawet zapomnieć o tabu i rzucić się na więźniów.

Jednakże Kai-Kumu zachował przytomność umysłu pośród ogólnego szaleństwa. Zostawił tyle czasu, ile było potrzeba, aby krwawa orgja doszła do ostateczności, i umiał ugasić ją tak, że ostatnie obrzędy pogrzebowe odbyły się podług zwyczajnego ceremonjału.

Podniesiono trupy Kara-Tetego i jego żony i według zwyczaju zelandzkiego zgięte ułożono w ten sposób, że głowy opierały się o podniesione kolana. Trzeba było ciała pogrzebać nie na zawsze, ale na czas, dopóki nie opadnie ciało i pozostaną tylko kości.

Poprzednio już wybrano miejsce na „Udu-Pa", czyli do grobu poza fortecą, w odległości dwu mil, na wierzchołku małej góry, zwanej Maunganamu, leżącej na prawej stronie jeziora.

Tam miały być przeprowadzone ciała. Przyniesiono dwie lektyki bardzo proste, a raczej dwoje noszów; złożono na nich ciała zgięte, na których sznury przytrzymywały ubiór. Czterech wojowników poniosło je na ramionach, a inni, rozpocząwszy na nowo swój

hymn narodowy, postępowali procesjonalnie aż na miejsce pogrzebu. Więźniowie, zawsze pod strażą, widzieli cały ten kondukt wychodzący z twierdzy i dochodziły ich cichnące krzyki i śpiewy.

Na jakie pół godziny stracili z oczu orszak pogrzebowy; potem znów ujrzeli go, jak się wił na krętych ścieżkach góry. W oddaleniu fantastycznie przedstawiała się cała ta długa i kręta kolumna.

Pokolenie zatrzymało się na wysokości ośmiuset stóp; był to już szczyt góry Maunganamu i miejsce przeznaczone na grób.

Dla zwyczajnego krajowca dół i kupa kamieni byłyby dostatecznym grobem. Ale dla potężnego i groźnego dowódcy, który stanie się może niezadługo bóstwem, pokolenie przygotowało grób godny jego czynów.

Otoczono grób palisadami; pale, ozdobione postaciami, malowanemi żółtą farbą, okalały dół, w który miano złożyć ciała nieboszczyków. Krewni ich nie zapomnieli, że „Waidua", duch zmarłych, żywi się takiemi samemi pokarmami jak i ciało na tym nędznym padole; dlatego też w głębi złożono żywność, broń i ubranie nieboszczyka.

Niczego nie brakowało przy pogrzebie; małżonków złożono obok siebie, nakryto ich ziemią i ziołami, poczem znów nastąpiły krzyki rozpaczne. Nareszcie orszak zeszedł z góry w milczeniu, i nikomu pod karą śmierci nie wolno było wejść na Maunganamu, bo teraz góra stała się tabu, równie jak Tongariro, na której spoczywają szczątki dowódcy, zabitego przez trzęsienie ziemi w 1846 roku.

LXI.

OSTATNIE GODZINY.

W chwili, gdy zachodzące słońce znikało poza jeziorem Taupo, zasłonięte wierzchołkami Tuhahua i Puketapu, odprowadzono jeńców do więzienia. Nie mieli już wyjść z niego przed zabłyśnięciem w pierwszych promieniach słońca szczytów łańcucha Wahiti.

Noc mieli na przygotowanie się do śmierci. Pomimo przygnębienia i całej okropności położenia swego, zjedli wspólnie wieczerzę.

— Nie będziemy mieli zanadto sił, aby spojrzeć w oczy śmierci — mówił Glenarvan. — Trzeba pokazać tym barbarzyńcom, jak umierają Europejczycy.

Po wieczerzy, lady Helena odmówiła głośno wieczorne modlitwy, a wszyscy, obnażywszy głowy, przyłączyli się do niej.

Gdzież jest człowiek, któryby wobec śmierci nie pomyślał o Bogu?

Po modlitwie więźniowie uściskali się serdecznie. Marja Grant z Heleną, usunąwszy się w kącik chaty, położyły się na posłaniu, a sen łagodzący cierpienia, niezadługo osiadł na ich powiekach; zasnęły w objęciu jedna drugiej, zwalczone trudem i ciągłą bezsennością.

Wtedy Glenarvan, odprowadziwszy swych przyjaciół nabok, rzekł do nich:

— Drodzy towarzysze! Życie nasze i życie tych biednych kobiet jest w ręku Boga; jeżeli zapisano w niebie, że mamy umrzeć jutro, potrafimy, jestem tego pewien, umrzeć, jak przystało na ludzi z sercem i chrześcijan, gotowych stanąć bez obawy przed Sędzią Przedwiecznym. Bóg, czytający w głębi naszych serc, wie, że nasz cel był szlachetny. Jeżeli, zamiast powodzenia, śmierć nas czeka, to widocznie taka Jego jest wola. I choć ciężki jest ten wyrok, nie będę szemrał. A jednak śmierć tutaj, to nietylko śmierć; to męczeństwo i hańba może — a tu dwie kobiety...

Głos Glenarvana, spokojny do tej chwili, zadrżał. Lord umilkł, aby zapanować nad wzruszeniem. I znów po krótkiej przerwie odezwał się do młodego kapitana:

— Johnie, obiecałeś Marji Grant to, co ja lady Helenie. Cóż postanowiłeś?

— Poczuwam się przed Bogiem do prawa spełnienia tej obietnicy.

— I słusznie, ale nie mamy broni.

— Mamy — odrzekł John Mangles, pokazując sztylet — wyrwałem go z za pasa Kara-Tetego w chwili, gdy padł przy twoich nogach, milordzie. Ten z nas, który przeżyje drugiego, spełni żądanie lady Heleny i Marji Grant.

Po tych słowach w szałasie zapanowało głębokie milczenie; przerwał je nareszcie major temi wyrazy:

— Wstrzymajcie się do ostatniej chwili ze spełnieniem tej ostateczności, moi przyjaciele; nie lubię tego, czego już w żaden sposób odrobić nie można.

— Nie mówiłem tu o nas — odpowiedział Glenarvan — jakąkolwiek będzie śmierć nasza, potrafimy ją znieść. Oh! gdybyśmy byli sami, byłbym już ze dwadzieścia razy powiedział: Przyjaciele, spróbujmy ucieczki! Uderzmy na tych nędzników! Ale one, one!

W tej chwili John, uchyliwszy rogoży, dojrzał i naliczył dwudziestu pięciu krajowców, pilnujących drzwi Ware-Atona. Płomień ogniska rzucał złowrogie światło na otaczające przedmioty. Ze stróżujących jedni leżeli przy ogniu, drudzy stali nieruchomo, a czarne ich kontury rysowały się na jaskrawem tle płomieni; ale i jedni, i drudzy spoglądali często na szałas, powierzony ich baczności.

Utrzymują, że pomiędzy strażnikiem czuwającym i więźniem, chcącym uciec, szanse są po stronie tego ostatniego. I słusznie, bo więzień jest daleko więcej zainteresowany w swem położeniu. Straż-

nik może zapomnieć, że pilnuje kogoś — więzień nie zapomni, że go pilnują. Częściej przytem myśli o ucieczce, niż strażnik o przeszkodzeniu mu w niej. Stąd tak częste i cudowne ocalenia.

Ale w wypadku, o którym mowa, nienawiść i zemsta, a nie obojętni strażnicy, pilnowali jeńców. I jeśli pozostawiono ich bez więzów, to tylko dlatego, że u jednego wyjścia z szałasu czuwało dwudziestu pięciu ludzi.

Do szałasu, którego ścianę tylną tworzyła skała, zamykająca twierdzę, nie można było dostać się inaczej, jak po wąskim pasie gruntu, łączącym szałas z placem twierdzy. Dwie pozostałe ściany wznosiły się nad stromemi urwiskami, opadającemi w przepaść około stu stóp głębokości. Zejść tamtędy było niepodobieństwem, równie jak przez stanowiącą pancerz szałasu ogromną skałę. Wydobyć się można było jedynem tylko wyjściem; a krajowcy pilnowali tego pasa ziemi, jakby zwodzonego mostu. Ucieczka była niemożliwa i Glenarvan, obejrzawszy po dwudziesty raz mury swego więzienia, musiał przyznać, że tak jest istotnie.

A jednak mijały godziny tej nocy strasznej. Ani księżyc, ani też gwiazdy nie rozpraszały gęstej ciemności, zalegającej góry. Kilkakrotnie wiatr zawiał na płaszczyźnie twierdzy, słupy szałasu trzeszczały, ognisko krajowców buchało żywym niekiedy płomieniem wskutek chwilowego podmuchu, a odblask światła oblewał nagłą jasnością wnętrze Ware-Atona i uwidoczniał więźniów, pogrążonych w ostatnich dumaniach. Cisza śmiertelna zalegała szałas.

Musiało już być około czwartej nad ranem, gdy zwrócił uwagę majora lekki szmer, wychodzący jakby z poza tylnej ściany, w miejscu, gdzie opierała się o skałę. Z początku Mac Nabbs nie zwracał na to uwagi, ale ciągłość tego odgłosu zaciekawiła go. Przyłożył ucho do ziemi, aby lepiej słyszeć, i zdawało mu się, że ktoś skrobie i kopie z zewnątrz. Upewniwszy się pod tym względem, poczołgał się major do Glenarvana i Johna i, wyrwawszy ich ze smutnych marzeń, pociągnął w głąb szałasu.

— Słuchajcie! — rzekł do nich, dając znak, żeby się nachylili.

Skrobanie stawało się coraz wyraźniejsze; można było słyszeć skrzyp kamieni pod ostrem narzędziem i osuwanie się ich potem na zewnątrz.

— Jakieś zwierzę w swojej norze — rzekł John Mangles.

Glenarvan uderzył się w czoło:

— Kto wie? — szepnął. — A jeżeli to jest człowiek?

— Człowiek czy zwierzę, muszę wiedzieć, co to jest!

Wilson i Olbinett przyłączyli się do towarzyszów i wszyscy zaczęli podkopywać ścianę, John sztyletem, inni kamieniami wydobytemi, a raczej wydrapanemi, z ziemi. Mulrady tymczasem, rozciągnięty przy wejściu do szałasu, przez szparę w rogoży przyglądał się

stojącym nieruchomo obok ogniska krajowcom, ani się domyślającym. co się dzieje o dwadzieścia kroków od nich.

Ziemia pod pokładem krzemionki była miękka i krucha; to też, pomimo braku narzędzi, otwór szybko się rozszerzał i wkrótce można było być pewnym, że człowiek lub kilku ludzi przebija otwór w zewnętrznej ścianie budynku. W jakim celu? Czy wiedzą o bytności tam więźniów, lub też może tak się zdarzyło, że ktoś zabrał się przypadkowo właśnie w tej chwili do przebijania otworu w celach osobistych.

Jeńcy podwoili usiłowania; z palców ciekła im krew, niemniej wciąż kopali. Po półgodzinnej pracy dziura wydrążona przez nich miała około pół sążnia głębokości, a po wyraźniejszym odgłosie mogli poznać, że już tylko cienka warstwa ziemi dzieli ich od kopiącego z zewnątrz.

Upłynęło jeszcze kilka minut, gdy nagle major, kopiący najgłębiej, wydobył rękę skaleczoną ostrem narzędziem. Zaledwie powstrzymał się od okrzyku.

John Mangles kopał sztyletem, uniknął więc skaleczenia nożem, świdrującym z drugiej strony w ziemi, i pochwycił władającą nim rękę.

Była to ręka kobiety lub dziecka, ale ręka Europejczyka.

Ani z jednej, ani z drugiej strony nie wymówiono słowa; widać, że obie strony rozumiały konieczność milczenia.

— Czy to ty, Robercie? — szepnął wreszcie Glenarvan.

Jakkolwiek cicho wymówił to imię, Marja, przebudzona ruchem będącym w szałasie, podsunęła się do Glenarvana i, uchwyciwszy za rękę zwalaną ziemią, zaczęła ją całować.

— To ty Robercie, to ty! — mówiła, czując, że się nie myli. — Tak, to on!

— To ja siostrzyczko — odpowiedział Robert — jestem tu, aby was uratować wszystkich. Tylko cicho!

— Dzielne dziecko, dzielne dziecko! — powtarzał Glenarvan.

— Pilnujcie dzikich, tam na placu — mówił Robert — a rozszerzcie otwór.

Mulrady, którego zajęło na chwilę zjawienie się chłopca, powrócił na swoje stanowisko obserwacyjne.

— Wszystko dobrze — powiedział — już tylko czterech czuwa. Inni odeszli.

— Odwagi! — dorzucił Wilson.

W jednej chwili rozszerzono otwór i ukazał się Robert, owinięty długą liną z phormium. Uściśnięty przez siostrę, przeszedł w ręce lady Heleny.

— Dziecko moje, dziecko kochane! — mówiła młoda kobieta. — A więc dzicy cię nie zabili?

— Nie wiem jakim sposobem — odpowiedział Robert — udało mi się wymknąć podczas zamieszania. Pobiegłem za ogrodzenie i przez dwa dni ukrywałem się pod krzakami. W nocy błąkałem się, bo chciałem zobaczyć się z wami. I kiedy wszyscy byli zajęci pogrzebem, przyszedłem rozpoznać tę stronę twierdzy, gdzie było więzienie, i spostrzegłem, że będę się mógł dostać do was. Z pustego szałasu ukradłem ten nóż i tę linę. Wdrapałem się po kępach trawy, po gałęziach krzaków, jak po drabinie, i znalazłem jakby grotę, wykutą w skale w tem miejscu, gdzie do niej przytyka szałas; przekopałem parę stóp ziemi i oto jestem z wami.

Dwadzieścia cichych pocałunków odpowiedziało Robertowi na to opowiadanie.

— Uciekajmy! — rzekł chłopiec głosem stanowczym.

— A Paganel czeka nas na dole? — zapytał Glenarvan.

— Pan Paganel? — odpowiedziało dziecko, zdziwione zapytaniem.

— Przecież uciekł z tobą, więc musi czekać na nas.

— Ależ nie, milordzie! Więc pana Paganela niema tutaj?

— Niema go — odpowiedziała Marja Grant.

— Jakto? Więc nie widziałeś go? — zapytał Glenarvan. — Nie spotkaliście się w tem zamieszaniu? Nie razem zatem umknęliście?

— Nie, milordzie — odparł Robert, zmartwiony tem zniknięciem przyjaciela.

— Uchodźmy — wołał major — nie mamy chwili do stracenia! Cokolwiek się stało z Paganelem, nie może mu być gorzej jak nam. Uchodźmy!

I rzeczywiście, nie było się nad czem namyślać. Ucieczka zdawała się łatwa, bo zsunąwszy się po ścianie, opadającej prawie prostopadle na przestrzeni jakich dwudziestu stóp, dalej spotykało się niewielką spadzistość, po której łatwo było zejść nadół. Stamtąd zaś mogli jeńcy dostać się w doliny, gdy tymczasem krajowcy, spostrzegłszy ucieczkę więźniów, musieliby zrobić ogromne koło, aby ich dopędzić, ponieważ nie wiedzieli o otworze przebitym do Ware-Atona.

Zaczęła się więc ucieczka, a przedsięwzięto wszystkie ostrożności, aby się udała. Jeńcy jeden po drugim przedostali się przez ciasny otwór do groty. John Mangles spuścił się ostatni, zacierając, jak się dało, ślady otworu: usunął rumowisko i naciągnął na otwór maty, na których leżeli.

Teraz trzeba było spuścić się z prostopadłej ściany i byłoby to niepodobieństwem, gdyby nie lina, przyniesiona przez Roberta.

Rozwiązawszy ją, umocowali u wystającej skały i rzucili na dół.

Zanim John Mangles pozwolił przyjaciołom zawiesić się na tem włóknie, skręconem w linę, sam spróbował jej mocy. Zdawała mu się niedość mocna, a nie trzeba się było narażać nieroztropnie, bo zerwanie się liny groziło śmiercią.

— Ta lina — rzekł — nie wytrzyma ciężaru więcej, niż dwu ludzi, zatem działajmy rozważnie. Niechże najprzód opuszczą się po niej lord i lady Glenarvan; gdy staną na ziemi, trzy szarpnięcia sznurem będą znakiem, że możemy podążyć za nimi.

— Ja opuszczę się pierwszy — odrzekł Robert — bo wynalazłem w dole zagłębienie, gdzie będą się mogli ukryć ci, którzy zsuną się pierwsi.

— Idź, moje dziecko — rzekł Glenarvan, uścisnąwszy rękę młodego chłopca. — Robert znikł z groty, a w chwilę potem potrójne szarpnięcie liny dało znać, że szczęśliwie dostał się nadół.

Natychmiast wyszedł z groty Glenarvan z żoną; ciemno jeszcze było, ale już sterczące od wschodu szczyty przybierały barwę szarawą.

Szczypiące zimno poranku orzeźwiło młodą kobietę, poczuła się silniejszą i zaczęła niebezpieczną przeprawę.

Najpierw Glenarvan a za nim lady Helena zsuwali się wzdłuż liny aż do miejsca, w którem prostopadła ściana kończyła się na szczycie spadzistego zbocza. Glenarvan zaczął dalej schodzić tyłem, by podtrzymywać żonę. Wyszukiwał kęp trawy i krzaków, mogących mu dać oparcie; sam je pierwej wypróbował, zanim postawił na nich nogi lady Heleny. Kilka ptaków, zbudzonych nagle, zerwało się, lekko pokrzykując, a każdy kamień oderwany i toczący się z hałasem nadół przejmował uciekających strachem.

Byli w połowie drogi ze wzgórza, gdy dał się słyszeć głos z groty.

— Stójcie! — szepnął John Mangles.

Glenarvan, trzymając się jedną ręką kępy tetragonji, a drugą podpierając żonę, zatrzymał się, zaledwie śmiąc oddychać.

Wilson był przyczyną tego popłochu. Usłyszawszy bowiem ruch poza Ware-Otona wrócił do szałasu, uniósł zasłonę, a spojrzawszy na strażników, dał znak, wobec którego wstrzymano Glenarvana.

I rzeczywiście, jeden ze stróżujących Maorysów, uderzony widocznie dziwnym szmerem, wstał i podsunął się ku Ware- Atona; stanął o dwa kroki od szałasu z pochyloną głową, natężonym słuchem i wzrokiem i pozostał w tej postawie z minutę, która dla nieszczęśliwych zbiegów wydawała się godziną. Ale, potrząsnąwszy głową, jak człowiek, który się omylił, powrócił do towarzyszów, wziął szczapę drzewa, dorzucił ją na ognisko już gasnące, które znów buchnęło płomieniem. Na twarzy dzikiego, oświetlonej ogniem, malował się spokój. Przyjrzawszy się pierwszym brzaskom jutrzenki, bielącej widnokrąg, położył się przy ogniu, by ogrzać zziębnięte członki.

— Wszystko dobrze! — szepnął wreszcie Wilson, a John dał znak Glenarvanowi, by się posuwali dalej.

Schodzili cichaczem i wkrótce stanęli na wąskiej ścieżce, gdzie czekał na nich Robert.

Pociągnięto trzykrotnie za linę i John Mangles, poprzedzając Marję Grant, puścił się w niebezpieczną drogę.

Odbywszy ją, połączył się z lordem i lady Glenarvan w zagłębieniu, wskazanem przez Roberta.

W pięć minut potem wszyscy zbiegowie, szczęśliwie uszedłszy z Ware-Atona, opuszczali chwilowe schronienie i, unikając zamieszkałych brzegów jeziora, zagłębiali się ciasnemi dróżkami w góry.

Szli prędko, starając się omijać wszystkie miejsca, na których mogli być dostrzeżeni; milcząc, sunęli jak cienie przez krzaki. Gdzież szli? Na los szczęścia, ale przynajmniej czuli się wolni.

Około godziny piątej zaczęło dnieć; niebieskawe obłoczki opasywały smugi chmur. Zaciemnione dotąd wierzchołki otrząsały się z mgły porannej; niezadługo miało się ukazać słońce, a zamiast oznaczyć godzinę męczeństwa skazanych, odkryć miało ich ucieczkę.

Trzeba więc było koniecznie zabezpieczyć się przed pościgiem przez odsunięcie się jak najdalej od twierdzy. Zbiegowie jednak nie mogli iść prędko, bo ścieżki były strome. Lady Helena wdzierała się na zbocza, podtrzymywana, prawie niesiona przez męża; Marja Grant wspierała się na Johnie; Robert, triumfujący z powodzenia, z sercem przepełnionem radością, szedł przodem; dwaj majtkowie zamykali pochód.

Za pół godziny promieniejące słońce przebije mgły na widnokręgu. Przez te pół godziny podróżni szli na los szczęścia, a nie było z nimi Paganela, aby ich prowadził; jego nieobecność trapiła ich i ciążyła kamieniem na sercu. Śpieszyli, o ile mogli ku wschodowi, jakby na spotkanie jutrzenki. Doszli wkrótce do wysokości pięciuset stóp nad poziom jeziora Taupo, a zimno silniejsze na tej wysokości dokuczało im dotkliwie. Niewyraźne kształty wzgórków i gór rysowały się jedne ponad drugiemi; Glenarvan pragnął tylko ukryć się gdziekolwiek, odkładając na później wydobycie się z tego górzystego labiryntu.

Nareszcie ukazało się słońce, wysyłając pierwsze swoje promienie na spotkanie uciekających.

W powietrzu rozległ się nagle stugębny wrzask; pochodził on z twierdzy. Choć Glenarvan nie miał w owej chwili pojęcia, z której strony była twierdza, tem bardziej, że gęsty obłok mgły rozesłanej pod jego nogami przeszkadzał do rozejrzenia się w otaczających przedmiotach — jednak nie można było powątpiewać ani na chwilę, że odkryto ucieczkę zbiegów. Czy potrafią ujść przed pogonią krajowców? Czy dostrzeżono ich?

Czy jakie ślady ich nie zdradzą?

W tej chwili podniosła się mgła, owijająca ich chwilowo wilgotnym całunem, i spostrzegli o trzysta stóp pod sobą wściekłą bandę krajowców.

Ujrzeli dzikich, ale i tamci ich dostrzegli, bo znów powtórzył się krzyk, do którego dołączyło się szczekanie psów i cała zgraja, próbując bezskutecznie zejść po skale przy Ware-Atona, śpieszyła poza ogrodzeniem fortecy i rozpierzchła się najkrótszemi ścieżkami za uciekającymi przed jej zemstą więźniami.

LXII.

GÓRA TABU.

Do wierzchołka góry pozostawało jeszcze z jakie sto stóp; dosięgnąć go jak najprędzej było celem uciekających, by mogli się schronić przed oczyma dzikich na przeciwnej stronie góry. Spodziewali się znaleźć tam przełęcze dostępne, umożliwiające im dotarcie do dalszych szczytów, zlewających się wdali w jeden węzeł górski, którego szczegóły wyjaśniłby im niezawodnie biedny Paganel, gdyby był z nimi. Podniecani przez zbliżające się wrzaski, śpieszyli pod górę. Horda zbliżała się.

— Odwagi, odwagi, przyjaciele! — wołał Glenarvan, pobudzając towarzyszów głosem i gestami.

W niespełna pięć minut stanęli na szczycie i tam dopiero obejrzeli się, aby rozejrzeć się w położeniu i puścić się w kierunku, mogącym zwieść Maorysów.

Z tej wysokości wzrok ich mógł objąć całe jezioro Taupo, ciągnące się ku zachodowi w malowniczych ramach górzystych. Z północy były szczyty Pirongia; z południa buchający ogniem krater Vongariro, ale od wschodu wzrok zatrzymywał się, nie mogąc przebić szczytów i grzbietów, tworzących Wahiti-Ranges, ten wielki łańcuch gór, którego ogniwa nigdzie nieprzerwane opasują całą północną część wyspy, od cieśniny Cooka aż do wschodniego przylądka. Trzeba zatem było zejść po przeciwnej stronie góry i zapuścić się w ciasne wąwozy, bez żadnego wyjścia z nich. Glenarvan rzucił naokoło siebie wzrokiem stroskanym. Mgły już nie było, wzrok jego sięgał zatem bez żadnej przeszkody do drobniejszych zaklęsłości gruntu. Najmniejszy ruch dzikich nie mógł ujść jego spojrzenia.

Gdy stanęli na szczycie, krajowcy byli już tylko o pięćset stóp oddaleni od nich. Jakkolwiek krótki był przystanek, Glenarvan nie mógł go przedłużyć; wycieńczeni zbiegowie musieli uciekać, z obawy, by ich nie osaczono.

— Schodźmy! — nalegał. — Schodźmy! zanim przetną nam drogę.

Lecz w chwili, gdy biedne kobiety podnosiły się z wysiłkiem ogromnym, Nabbs zawołał:

— Niema najmniejszej potrzeby! Patrz, Glenarvanie!

I wszyscy spostrzegli niewytłumaczoną zmianę w poruszeniach Maorysów. Nagle wstrzymali się w pogoni. Atak na górę ustał, jakby powściągnięty jakimś stanowczym rozkazem. Horda krajowców, chłodnąc w zapale, stanęła jak fala morska wobec niedostępnej skały.

Chciwi krwi dzicy, znalazłszy się u podnóża góry, krzycząc grozili strzelbami i siekierami, ale ani na krok nie posunęli się dalej. Psy ich, tak jak oni, wrósłszy niejako w ziemię, szczekały z wściekłością.

I cóż się stało? Jakaż niewidzialna siła powstrzymała dzikich? Uciekający patrzyli, nie rozumiejąc przyczyny, pełni obawy, aby nie rozwiało się oczarowanie, krępujące pokolenie Kai-Kuma.

Nagle wydarł się okrzyk z piersi Johna i wszyscy się zwrócili w inną stronę. John wskazywał im ręką małą forteczkę, zbudowaną na samym szczycie góry.

— To grób Kara-Tetego! — zawołał Robert.

— Czy nie mylisz się, Robercie? — zapytał Glenarvan.

— Niezawodnie, milordzie, to jest grób wodza, poznaję go dokładnie.

Robert miał słuszność. O pięćdziesiąt stóp ponad nimi, na najwyższym punkcie góry, świeżo pomalowane słupy tworzyły niewielkie zagrodzenie, które wkońcu i Glenarvan uznał za grobowiec naczelnika zelandzkiego. Dziwny traf zawiódł uciekających na to miejsce.

Lord na czele swych towarzyszów dotarł do stóp grobowca. Szeroki otwór, zasłonięty rogożami, służył za wejście. Glenarvan, przekraczając próg tego ustronia, cofnął się z pośpiechem, mówiąc:

— Jakiś dziki.

— Dziki w tym grobowcu? — zapytał major.

— Tak jest, majorze.

— Mniejsza o to, wejdźmy!

Glenarvan, major, John Mangles i Robert weszli. Znajdował się tam Maorys, osłonięty obszernym płaszczem z phormium. Rysów jego z powodu ciemności nie było można poznać; siedział spokojnie i najobojętniej w świecie zajadał.

Glenarvan chciał się do niego odezwać, gdy krajowiec, uprzedzając lorda, odezwał się miłym głosem i dobrą angielszczyzną.

— Siadajże, kochany lordzie, śniadanie jest gotowe.

Był to Paganel. Usłyszawszy jego głos, wszyscy pośpieszyli do wnętrza i zkolei zaczęli ściskać poczciwego geografa. Znaleziono Paganela; wszystkim się zdawało, że znaleźli z nim zbawienie. Zaczęto go wypytywać, chciano wiedzieć, jakim sposobem i dlaczego znajdował się na szczycie Maunganamu, ale Glenarvan jednem słowem przerwał tę niewczesną ciekawość.

— Dzicy! — zawołał.

— Dzicy? — odpowiedział Paganel, wzruszając ramionami — są to istoty, któremi pogardzam.

— Ależ czy oni nie mogą?...

— Co, oni? Te bydlęta! Chodź i spojrzyj na nich.

Wszyscy poszli za wychodzącym z grobowca Paganelem. Zelandczycy stali w tem samem miejscu u stóp wzgórza, miotając przekleństwa.

— Krzyczcie, wyjcie, zrywajcie sobie piersi, głupie stworzenia! — wołał Paganel. — Zabraniam wam wejść na tę górę.

— A jakiem prawem? — spytał Glenarvan.

— Prawem tabu, które osłaniając grób wodza i nas broni. Wiecie więc teraz, dlaczegom się tu schronił, jakby do jednego ze średniowiecznych miejsc przytułku.

— Pan Bóg opiekuje się nami! — zawołała lady Helena, wznosząc ręce ku niebu.

Paganel prawdę mówił. Tabu, osłaniające górę, było jakoby tarczą przeciw gwałtom ze strony zabobonnych krajowców.

Dla uciekających nie było to jeszcze portem zbawienia, ale chwilą zbawczego spoczynku, z której starali się korzystać.

Glenarvan ze wzruszenia nie mógł wymówić słowa; major tylko kiwał głową z widocznem zadowoleniem.

— Moi przyjaciele — mówił dalej Paganel — jeżeli dzicy zechcą pokonać nas swoją cierpliwością, to się zawiodą, bo te łotry za jakie dwa dni nic nam nie będą mogli zrobić.

— Uciekniemy — zawołał Glenarvan — ale jakim sposobem?

— Nie wiem jakim — odpowiedział Paganel — ale jestem pewien, że tak będzie.

Wszyscy chcieli zaraz dowiedzieć się czegoś o przygodach Paganela. Ale rzecz dziwna i szczególna! On, zwykle tak wymowny, teraz zbywał półsłówkami zapytania przyjaciół.

— Jak też oni go przeistoczyli! — myślał Mac Nabbs.

I rzeczywiście nie był to już ten sam człowiek, co dawniej. Owijał się starannie swem okryciem z phormium, widocznie unikając ciekawych spojrzeń. W rozmowie z nim wszystkich uderzało jakieś zaambarasowanie z jego strony, choć przez delikatność udawali, że tego nie widzą. Gdy się przestano nim zajmować, bywał ożywiony, jak dawniej.

Co do swoich przygód, to uznał za stosowne opowiedzieć tylko nieco przyjaciołom, gdy go obsiedli u stóp poświęconych palów Udu-Pa. W zamieszaniu pozostał pomiędzy krajowcami w chwili zabicia Kara-Tetego przez Glenarvana i skorzystał z niej tak samo, jak Robert; ale nie tak mu się powiodło jak młodemu Grantowi, bo wpadł na koczowisko Maorysów. Naczelnik, człowiek wysokiego wzrostu, inteligentnej powierzchowności, wyróżniał się śród wszystkich wojow-

ników swego pokolenia. Mówił dobrze po angielsku i pozdrowił przychodnia, głaszcząc końcem swego nosa nos jego. Paganel pytał sam siebie, czy go traktują jako wolnego, czy też jako więźnia? Widząc jednak, że ani kroku zrobić nie może bez uprzejmego towarzystwa swego gospodarza, zrozumiał wnet, co się święci.

Naczelnik ów, zwany „Hihy", co znaczy w języku krajowców „promień słońca", nie był złym człowiekiem, a okulary i luneta geografa zdawały się wpływać na wysokie o nim mniemanie dzikiego. To też starał się przywiązać go do siebie nietylko uprzejmością, ale i mocnemi z phormium powrozami, szczególniej w porze nocnej.

Trwało to tak przez trzy długie dni; czy zaś przez ten czas obchodzono się z Paganelem dobrze lub źle, trudno było wiedzieć, bo zbywał badających go półsłówkami. Koniec końców był więźniem, a choć nie obawiał się bezpośrednio o swoje życie, nie uważał jednak swego położenia za lepsze od położenia swoich przyjaciół. Pewnej wreszcie nocy zdołał przegryźć sznury i uciec. A ponieważ, choć zdala, był na pogrzebie Kara-Tetego i wiedział, iż pochowano wodza na szczycie Maunganamu i że góra od tej chwili stała się tabu — postanowił zatem schronić się tam, nie chcąc opuścić kraju, w którym pozostawali towarzysze wyprawy. Niebezpieczne to przedsięwzięcie spełnił tej właśnie nocy; dostał się do grobu Kara-Tetego i „pokrzepiając siły", czekał, aż niebo jakim trafem szczęśliwym oswobodzi jego przyjaciół.

Oto co opowiedział Paganel o sobie. Może ukrył coś ze swych przygód, jak można było wnosić nieraz z jego zakłopotania w opowiadaniu. Pomimo to wszyscy winszowali mu jednomyślnie, poczem wrócili do chwili obecnej.

Położenie było ciągle groźne, bo krajowcy, nie śmiąc wejść na Maunganamu, liczyli na takich pewnych sprzymierzeńców, jak głód i pragnienie. Jest to rzecz czasu — a dzicy są bardzo cierpliwi.

Glenarvan nie mylił się co do trudności położenia, ale postanowił czekać sposobnej chwili, a nawet sam ją nastręczyć. To też chciał jak najprędzej obeznać się z położeniem swej improwizowanej twierdzy nie w celu obrony, bo nie było potrzeby obawiać się napadu, lecz aby wynaleźć sposób jej opuszczenia. Z pomocą majora, Johna, Roberta i Paganela przypatrzyli się dobrze położeniu, zbadali kierunek dróg, ich stosunek i spadzistość. Grzbiet, łączący Maunganamu z łańcuchem Wahiti, długości mili, opadał ku równinom. W razie ucieczki, jedną tylko można było obrać drogę tym wąskim i fantastycznie porzniętym grzbietem; a gdyby pod zasłoną nocy udało się uciekającym przejść go niepostrzeżenie, to może zdołaliby zapuścić się w głębokie wąwozy łańcucha gór i krajowców stropić. Ale droga ta dosyć była niebezpieczna; dolną jej część mogły dosięgnąć strzały karabinowe, a szeregi krajowców, ustawione na zboczach, byłyby w



Była to łódź siedemdziesięciu stóp długości... (str. 378).

stanie ogniem krzyżowym utworzyć w tem miejscu zaporę, której przejść nie dałoby się bezkarnie.

Glenarvan z przyjaciółmi zapuścił się w owe niebezpieczne miejsce i rzeczywiście przywitano ich gradem ołowianym, który ich jednak nie dosięgnął. Jak się przytem okazało, przybitki ładunków, uniesione przez wiatr aż do zbiegów, sporządzone były z papieru zadrukowanego.

Paganel, zdjęty ciekawością, zbierał te szczątki i odczytywał nie bez pewnego trudu.

— A to wyborne! — zawołał. — Zgadnijcie, czem te zwierzęta przybijają swoje ładunki?

— Czemże? — spytał Glenarvan.

— Kartkami Biblji! Jeżeli taki tylko użytek robią z Pisma Świętego, to żal mi misjonarzy! Trudno im będzie założyć bibljotekę śród Maorysów.

— A jakiż ustęp z Biblji cisnęli nam w oczy? — zapytał Glenarvan.

— Słowo wszechmocnego Boga — odpowiedział John Mangles, wziąwszy jeden z zatartych wybuchem prochu papierków — a słowo to Boże każe nam ufać — dodał, pełen niezłomnej wiary prawdziwego Szkota.

— Jakże brzmi ono? — rzekł Glenarvan.

John więc odczytał ustęp zachowany od wpływu prochu.

— Psalm 90. „Ponieważ zaufał mi, oswobodzę go".

— Przyjaciele! — zawołał Glenarvan. — Zaniesiemy tę kartkę naszym kochanym i odważnym towarzyszkom, doda ona im otuchy.

Zawrócili napowrót urwistą ścieżką w kierunku grobowca, chcąc mu się dobrze przypatrzeć. Idąc, odczuwali od czasu do czasu dziwne drżenie ziemi. Nie było to trzęsienie, ale rodzaj ciągłego drgania, jakiego doznaje naczynie pod wpływem wrzącej w niem wody. Gwałtowna para, utworzona wskutek działania ogni wewnętrznych, nagromadziła się widocznie pod powierzchnią ziemi. Nie mogło to zadziwić ludzi, którzy przebyli już drogę pomiędzy gorącemi źródłami Waikato. Wiedzieli, że natura pasa środkowego Ika-Na-Maui jest wulkaniczna. Jest on niby przetakiem, przez którego osnowę wydobywa się z ziemi para źródeł wrzących i kraterów wygasłych.

Paganel zauważył to pierwszy i zwrócił uwagę swoich przyjaciół na wulkaniczną naturę góry. Maunganamu, będący właśnie jednym z licznych stożków, sterczących w środkowej części wyspy, stanowił widocznie wulkan przyszłości. Najmniejsze działanie mechaniczne mogło dokończyć tworzenia się krateru w skorupie białawego krzemienistego łupku.

— A jednak — dodał Paganel — niebezpieczeństwo tu nie jest większe, niż przy kotle parowym *Duncana;* skorupa ziemi równie jest mocna, jak blacha żelazna.

— Ani słowa — odparł major — ale każdy kocioł, choćby najmocniej zbudowany, pęka po długiem użyciu.

— Ależ majorze, ja nie myślę wiekować na tej górze! Ucieknę natychmiast, jak tylko, za pomocą Bożą, wynajdziemy środek wydostania się z tej góry.

— Czemuż ta góra nie może nas sama gdzie przenieść! — odezwał się John Mangles. — Tyle sił nagromadziło się w jej wnętrzu!

Być może, że pod naszemi nogami spoczywa bezowocnie siła kilku miljonów koni! *Duncan* nie potrzebowałby nawet tysiącznej części tej siły, by nas zawieść na koniec świata.

Wspomnienie *Duncana*, wywołane przez przez Johna, ogarnęło smutkiem Glenarvana, bo jakkolwiek rozpaczliwe było jego położenie osobiste zapominał często o niem w trosce o los swego statku.

W takich myślach pogrążony, spotkał na szczycie Maunganamu towarzyszki swej niedoli. Lady Helena podbiegła do męża.

— I cóż, kochany Edwardzie, z czemże wracacie? Z nadzieją czy też zwątpieniem?

— Z nadzieją, droga Heleno — odpowiedział Glenarvan. — Żaden z krajowców nie poważy się przestąpić granicy góry, będziemy zatem mieli czas na obmyślenie środków ucieczki.

— Zresztą i sam Pan Bóg każe nam ufać — odezwał się John Mangles, podając lady Helenie kartkę z Biblji, że świętemi słowami. Młode kobiety pełne ufności, z sercami otwartemi na przyjęcie wszelkich łask Opatrzności, widziały w tych słowach niezawodną przepowiednię ocalenia.

— A teraz wejdźmy do Udu-Pa — zawołał wesoło Paganel — jest on naszą twierdzą, pałacem, jadalnią i pracownią! Nikt nam nie przeszkodzi. Pozwólcie, panie, bym was przyjął w tym rozkosznym domku.

Ruszyli więc wszyscy za geografem. Dzicy, ujrzawszy profanację grobowca, dali ognia, wyjąc przeraźliwie. Szczęściem, kule nie dosięgały tak daleko, jak krzyki; padły w połowie pochyłości wzgórza, gdy tymczasem wrzaski przenikały przestrzeń i w niej się rozpływały. Lady Helena z Marją Grant i towarzyszami, widząc, że zabobon krajowców silniejszy jest, niż ich gniew, weszli spokojni zupełnie do grobowca zelandzkiego wodza. Było to ogrodzenie z pali pomalowanych na czerwono; symboliczne postacie, wytatuowane na drzewie, oznaczały dostojność i wielkie czyny nieboszczyka. Amulety z muszli lub szlifowanych kamieni bujały, zawieszone pomiędzy słupami. Wewnątrz ziemia była zasłana liściem zielonym, a lekka wyniosłość w pośrodku wskazywała świeżą mogiłę. Na niej leżała broń wodza, strzelby nabite i podsypane na panewce, dzida, pyszny topór z zielonego jaspisu, oraz zapas prochu i kul, mogący wystarczyć na wieczyste łowy.

— To cały arsenał! — zawołał Paganel. — Zrobimy z niego lepszy użytek niż nieboszczyk; ci dzicy mają rozum, że zabierają z sobą broń na tamten świat!

— Ależ to są strzelby z fabryk angielskich — rzekł major.

— Nieinaczej — odparł Glenarvan. — Trzeba jednak przyznać, że to dość głupi obyczaj, żeby dawać dzikim w podarunku broń palną. Używają jej potem przeciw zdobywcom i słusznie nawet. Koniec końców, ta broń może nam się przydać.

— Co zaś niezawodnie nam się przyda — odezwał się Paganel — to żywność i woda, przeznaczone dla Kara-Tetego.

Przyjaciele i krewni nieboszczyka świetnie się sprawili pod tym względem. Ilość pokarmów dowodziła szacunku dla wodza; było ich tyle, że dla dziesięciu osób mogło śmiało starczyć na jakie dwa tygodnie, a dla nieboszczyka na całą wieczność. Roślinne te pokarmy składały się z korzeni paproci, ze słodkich patatów i z kartofli, wprowadzonych oddawna do tego kraju przez Europejczyków. Były tam jeszcze ogromne naczynia, napełnione czystą wodą, której Zelandczycy przy wszystkich ucztach używają, i z jaki tuzin koszyków plecionych misternie, napełnionych tabliczkami zielonej gumy, zupełnie nieznanej podróżnym.

Na pewien więc czas zbiegowie byli zabezpieczeni od głodu i pragnienia, a nie potrzeba ich było wcale prosić, żeby się pożywili kosztem nieboszczyka. Glenarvan powierzył pokarmy staraniu Olbinetta; ale ten, formalista nawet w najważniejszych chwilach, uznał to wszystko za coś niezmiernie nędznego. Nie wiedział też, jak przyrządzić korzenie paproci, a do tego jeszcze brakowało mu ognia.

Paganel wybawił go z kłopotu, radząc, aby poprostu zakopał korzenie i słodkie patąty w ziemi.

I w samej rzeczy temperatura zwierzchnich pokładów ziemi była tak wysoka, że gdyby zagłębiono termometr, niezawodnie wskazałby od sześćdziesięciu do sześćdziesięciu pięciu stopni. Olbinett omal się na dobre nie poparzył, bo w chwili, gdy wyżłabiał otwór, by w nim upiec żywność, buchnął na niego z sykiem słup pary wodnej na wysokość sążnia. Przerażony Olbinett upadł nawznak.

— Trzeba zakręcić kurek — krzyknął major i z pomocą majtków zatykał otwór odłamkami pumeksu. Paganel, przypatrując się z dziwną miną temu zjawiskowi, mruczał sobie pod nosem.

— Patrzcie, patrzcie! No, no... i czemużby nie!

— Ale przynajmniej nie oparzyło cię — pytał Mac Nabbs Olbinetta.

— Nie oparzyło mnie, panie majorze — odpowiedział Olbinett, alem się nie spodziewał...

— Takich dobrodziejstw ze strony nieba — zawołał wesoło Paganel — aby znalazłszy żywność i wodę u Kara-Tetego, znaleźć nadto ogień w ziemi! Ta góra, to raj prawdziwy, proponuję więc, abyśmy założyli na niej kolonję, uprawiali ją i zamieszkali na niej do końca życia! Będziemy nazwani Robinsonami z Maunganamu! Doprawdy, naprózno łamię sobie głowę, szukając, czegoby nam jeszcze brakowało na tym obfitującym we wszystko szczycie góry.

— Niczego, oprócz trwałości — odpowiedział John Mangles.

— A to dobrze! Przecież nie od wczoraj istnieje — mówił Paganel — od wieków opiera się działaniu ogni wewnętrznych i możemy być spokojni, że i przez czas naszego pobytu nic mu się nie stanie.

— Śniadanie na stole — przemówił Olbinett z taką powagą, jakby pełnił swój obowiązek w zamku Malcolm.

Zasiedli natychmiast i wzięli się do jednego z tych bankietów, jakie im od niejakiego czasu zsyłała Opatrzność w najtrudniejszych okolicznościach.

Wprawdzie wybór potraw nie był bogaty, jednak, co do korzeni paproci, zdania się podzieliły. Jedni utrzymywali, że smakują słodko i przyjemnie; drudzy, że są klejowate, bez żadnego smaku i łykowate; ale zato pataty, upieczone w gorącej ziemi, uznano za doskonałe. Paganel zauważył, że niema co oszczędzać zapasów Kara-Tetego.

Gdy zaspokojono głód, Glenarvan radził, aby bezwłocznie zająć się ułożeniem projektu ucieczki.

— Jakto, już? — zawołał Paganel takim tonem, jakby go to zmartwiło. — Więc już naprawdę myślisz, milordzie, opuścić to miejsce rozkoszne?

— Ależ, panie Paganel — wtrąciła lady Helena — gdybyśmy nawet byli w Kapui, nie należy naśladować Hannibala.

— Nie mam zamiaru sprzeciwiać się państwu — odpowiedział Paganel — i ponieważ chcecie projektować, więc projektujmy.

— Ja sądzę — odezwał się Glenarvan — że należy postarać się uciec pierwej, nim będziemy do tego zmuszeni głodem. Sił nam nie brak i trzeba z nich korzystać. Dzisiejszej nocy spróbujemy przedostać się do wschodnich wąwozów pod osłoną cieniów nocy.

— Bardzo dobrze — zauważył Paganel — jeżeli dzicy pozwolą nam się przedrzeć.

— A jeżeli przeszkodzą? — zapytał John Mangles.

— Wtenczas użyjemy wielkich środków — odparł Paganel.

— Więc pan rozporządza wielkiemi środkami? — spytał major.

— Aż do zbytku — odpowiedział Paganel bez żadnego objaśnienia.

Trzeba było czekać nocy, by spróbować przedostania się przez linję krajowców. Nie ruszyli się oni z miejsca; owszem liczba ich zwiększyła się, bo przybyło wielu takich, którzy nie zdążyli zgromadzić się z rana. Rozłożone tu i owdzie ognie opasywały wieńcem podnóże góry. Gdy ciemność zaległa okoliczne doliny, Maunganamu zdawała się wznosić z ogromnego ogniska, choć szczyt jej ginął w ciemności. Z obozu nieprzyjaciela, o sześćset stóp poniżej, dolatywały odgłosy krzątania się i okrzyków.

O dziewiątej godzinie było już zupełnie ciemno. Glenarvan postanowił ruszyć z Johnem na zwiady, zanim wezmą towarzyszy do niebezpiecznej drogi. Przez jakie dziesięć minut schodzili cicho, zapuszczając się właśnie na ów wąski grzbiet, przedzielający linję krajowców o pięćdziesiąt stóp ponad jego obozem.

Do tej chwili wszystko szło dobrze. Dzicy, porozkładani przy ogniskach, zdawali się nie spostrzegać obu zbiegów, posuwających się ostrożnie. Nagle z prawej i lewej strony posypał się podwójny grad kul.

— Wracajmy! — zawołał Glenarvan. — Te łotry mają oczy jak koty, a strzelby jak myśliwi.

Zawrócili więc natychmiast na górę, śpiesząc do przerażonych odgłosem strzałów towarzyszów. Kapelusz Glenarvana, przestrzelony w dwu miejscach, dowodził, że nie można było narażać się na przebycie długiego grzbietu pośród dwu linij strzelców.

— Czekajmy jutra — mówił Paganel — a ponieważ nie można podejść czujności krajowców, to pozwolicie, że ja ich poczęstuje potrawą z mojej kuchni.

Powietrze było bardzo chłodne. Szczęściem Kara-Tete miał przy sobie najlepsze swoje odzienie i ciepłe okrycia z phormium. Owinęli się w to wszystko tułacze bez żadnego skrupułu i wkrótce, pod strażą zabobonu krajowców, zasnęli spokojnie obok palisady na ciepłej ziemi, drżącej od wrzenia wewnętrznego.

LXIII.

WIELKIE ŚRODKI PAGANELA.

Nazajutrz, 17-go lutego, pierwsze promienie wschodzącego słońca zbudziły śpiących mieszkańców Maunganamu. Krajowcy oddawna kręcili się tam i sam u stóp góry, nie oddalając się jednak od linji strzeżonej. Wściekłym okrzykiem powitali wychodzących ze sprofanowanego grobowca Europejczyków, którzy pierwsze swe spojrzenia zwrócili na otaczające góry, doliny zasłonięte jeszcze mgłą gęstą i powierzchnię jeziora Taupo, lekko wiatrem poruszaną. Potem, zdjęci ciekawością, zbiegowie zwrócili się do Paganela, pytając go wzrokiem o wspomniane wieczora poprzedniego środki ocalenia.

Paganel nie nadużył ich cierpliwości.

— Drodzy przyjaciele — mówił — projekt mój z tego względu jest dobry, że jeżeli nie wywoła skutku, jakiego się spodziewam, to gdyby się nawet nie udał, w niczem nie pogorszy naszego położenia. Ale powinien się udać i uda niezawodnie.

— Jakiż to projekt? — zapytał Mac Nabbs.

— Powiem w tej chwili — odpowiedział Paganel. — Zabobon krajowców uczynił z tej góry dla nas miejsce schronienia, trzeba więc, żeby zabobon wyprowadził nas z niego. Jeżeli uda mi się przekonać Kai-Kumua, że padliśmy ofiarą pogwałcenia tabu, że nas do-

sięgła pomsta bogów, słowem: żeśmy zginęli i to zginęli śmiercią straszną, czy sądzicie, że opuści podnóże Maunganamu, by powrócić do swej siedziby?

— To nie ulega żadnej wątpliwości — odpowiedział Glenarvan.

— A jakąż śmiercią nam grozisz? — zapytała lady Helena.

— Śmiercią świętokradców! — odpowiedział Paganel. — Mściwe ognie są pod naszemi nogami, ułatwijmy im drogę do wyjścia.

— A to co? Czy chciałby pan zrobić wulkan! — zawołał John Mangles.

— Nieinaczej. Wulkan sztuczny, zaimprowizowany, którego wściekłością będziemy kierować. Jest tu ogromny zapas pary i podziemnego ognia, urządzimy więc na naszą korzyść sztuczny wybuch.

— Myśl wcale dobra — zauważył major — pomysł wyborny.

— Domyślacie się — mówił dalej geograf — że udamy, iż nas pochłonął ogień zelandzkiego Plutona — a my schowamy się zręcznie w grobowcu Kara-Tetego.

— Pozostaniemy w nim trzy, cztery, a gdyby było trzeba to i pięć dni — podchwycił Glenarvan — to jest do chwili, w której dzicy, przekonani o naszej śmierci, pójdą sobie precz.

— A jeśli przyjdzie im myśl przekonać się o naszej karze? — spytała Marja. — Jeżeli wejdą na górę?

— Nie wejdą, kochana miss Marjo — odpowiedział Paganel — nie zrobią tego, bo górę broni tabu, a będzie ono więcej jeszcze znaczyło, gdy samo pochłonie świętokradców.

— Doskonały projekt — rzekł Glenarvan — w jednym razie tylko może nam się nie udać, mianowicie, jeżeli dzicy uprą się pilnować nas, dopóki nie zbraknie żywności. Nie jest to jednak prawdopodobne, szczególniej, jeśli zręcznie odegramy naszą komedję.

— I kiedyż spróbujemy tego ostatecznego środka? — zapytała lady Helena.

— Dziś wieczorem, gdy już będzie zupełnie ciemno — odpowiedział Paganel.

— Nic nie mam przeciw temu — zauważył Mac Nabbs. — Genjalny z ciebie człowiek, Paganelu! Ja nie mam zwyczaju zapalać się do czegoś, ale na ten raz jestem pewny dobrego skutku. A, łotry! Sprawimy im coś nakształt cudu, który o jaki wiek opóźni ich nawrócenie; niech nam to wybaczą misjonarze!

Przyjęto więc jednogłośnie projekt Paganela, który wobec zabobonnych pojęć Maorysów mógł i miał się udać. Należało go tylko wykonać, a nie było to tak łatwo. Pytanie, czy wulkan nie pochłonie śmiałków, otwierających mu krater? Czy można będzie kierować wybuchem uwolnionej pary, płomieni i lawy? Czy cały szczyt nie pogrąży się w ognistą przepaść? Jak tu się wziąć do wywołania zjawiska, którego monopol objęła przyroda sama?

Paganel przewidywał trudności; liczył jednak na to, że postępując ostrożnie, nie doprowadzi rzeczy do ostateczności. Dla oszukania krajowców dosyć było naśladownictwa, nie zaś strasznego i rzeczywistego wybuchu.

Jakżeż długim dzień ten się wydawał! Godziny wlokły się bez końca. Wszystko przygotowano do ucieczki. Żywność porozdzielano na niewielkie paczki, kilka mat i broń palna dopełniały zasobów zabranych z grobowca. Oczywiście, wszystkie te przygotowania odbyły się wewnątrz ogrodzenia, żeby ich krajowcy nie widzieli.

O szóstej Olbinett podał posilny obiad. Gdzie i kiedy potem jeść będą, tego nikt nie mógł przewidzieć. Jedli więc, żeby się nasycić na przyszłość. Na środkowe danie miano z pół tuzina ogromnych szczurów, schwytanych przez Wilsona i ugotowanych w parze podziemnej. Lady Helena i Marja za nic nie chciały skosztować tej ulubionej zwierzyny Zelandczyków; mężczyźni zato raczyli się nią jak prawdziwi Maorysi. Mięso to było naprawdę wyborne i smaczne; obgryziono do kości sześć gryzoniów.

Nareszcie zapadł zmrok wieczorny. Słońce znikło poza masą czarnych chmur, zwiastujących burzę; błyskawice rozjaśniały widnokrąg i w dali gdzieś huczał grzmot po przestworzu niebios. Paganel błogosławił burzy, przychodzącej na pomoc jego zamiarom, służącej mu za rodzaj dekoracji.

Dzicy zabobonni są do najwyższego stopnia we wszystkiem, co tyczy się zjawisk przyrody. Zelandczykowie uważają grzmot za głos rozgniewanego Nui Atony, a błyskawice mają za pociski ogniste gniewnych jego oczu. Będzie się więc zdawać dzikim, że samo bóstwo osobiście wymierza karę za sprofanowanie tabu. O ósmej wieczorem szczyt Maunganamu znikł w złowrogiej ciemności; czarna barwa nieba służyć miała za tło dla płomieni, mających buchnąć za sprawą Paganela.

Krajowcy nie mogli dojrzeć swoich więźniów, więc i chwila działania nadeszła — a trzeba było śpiesznie działać. Glenarvan, Paganel, Mac Nabbs, Robert, Olbinett i dwaj majtkowie zabrali się jednocześnie do roboty.

Na krater wybrano miejsce o trzydzieści kroków od grobowca odległe. Zależało bowiem wiele na tem, aby grobowiec ocalał, bo razem z nim znikłoby i tabu, osłaniające górę. Paganel zauważył, że około ogromnego głazu, leżącego w obranem miejscu, z większą niż gdzie indziej siłą wydobywa się para. Bryła ta zakrywała mały krater, zrobiony przez samą naturę, i tylko swoim ciężarem przeszkadzała wydobyciu się wewnętrznych ogni. Jeśliby zdołano ruszyć ją z posady, to gazy i lawy wydostałyby się natychmiast na wierzch przez otwór.

Pali, wyrwanych ze środka ogrodzenia, użyto jako dźwigni; wszyscy wytężyli siły swoje, by poruszyć skalistą masę, tak, że wkoń-

cu ruszyła z miejsca. W miarę podważania bryły mogła ona obsuwać się do jamy, którą pod nią w zboczu góry wydrążono. Drganie ziemi stawało się coraz silniejsze. Pod cienką powłoką ziemną rozlegał się głuchy huk płomieni i syk, jak z rozpalonego tygla. Odważni pracownicy, niby cyklopi władający ogniem, zawartym w łonie ziemi, działali w milczeniu. Wkrótce tworzące się szczeliny i wydostająca się niemi gorąca para ostrzegły ich, że już im samym grozi niebezpieczeństwo. Wreszcie zdobyli się na jeden jeszcze nadzwyczajny wysiłek i wyważyli bryłę. Głaz zniknął, tocząc się po zboczu góry. Natychmiast pękła cienka warstwa ziemi, dotąd głasem przywarta. Słup gorejący strzelił ku niebu z hukiem gwałtownym, strumienie wrzącej wody i lawy popłynęły ku obozowi krajowców i niskim dolinom. Szczyt cały zatrząsł się i zdawało się, że runie w bezdenną przepaść.

Glenarvan z towarzyszami zaledwie zdołali umknąć przed strasznym wybuchem. Schronili się do Udu-Pa, ale nie bez tego, aby każdemu nie dostało się po parę kropli wody gorącej o temperaturze dziewięćdziesięciu czterech stopni. Początkowo woda ta miała woń rosołu, wkrótce jednak dał się czuć silny wyziew siarki.

Muł, lawa i materje wulkaniczne zlały się w jedną całość. Potoki ognia pruły zbocze Maunganamu, sąsiednie góry rozjaśniły się od wybuchającego ognia, a głębokie wąwozy, silnie oświetlone, rysowały się wdali.

Dzicz cała zerwała się, wyjąc, kąsana zębem law, bałwaniących się pośród jej obozu. Ci, których nie dosięgła ognista powódź, uciekali na przyległe wzgórza; a gdy już czuli się bezpieczni, obracali się przerażeni, by podziwiać to straszne zjawisko, ten wulkan, któremu rozgniewane bóstwo kazało pochłonąć świętokradców. W chwilach, w których słabł łoskot wybuchu, słychać było ich sakramentalny okrzyk: „Tabu, tabu, tabu!”

Niezmiernia ilość pary, rozpalonych kamieni i law wydobywała się ciągle z krateru Maunganamu. Nie był to już gejzer, taki naprzykład, jak te, które sąsiadują z Heklą na Islandji, ale sam wulkan Hekla. Dotychczas wszystkie gazy, skoncentrowane pod szczytem, uchodziły otworem Tongarira; ponieważ zaś znalazły sobie inne wyjście, więc rzuciły się niem z nadzwyczajną gwałtownością i tej właśnie nocy, prawem równowagi, inne wulkany wyspy musiały stracić na swej sile.

W godzinę po zjawieniu się nowego wulkanu na widowni świata szerokie strumienie rozpalonej lawy płynęły jego bokami, a całe legjony szczurów uciekały ze swoich kryjówek, nie zdatnych im już odtąd na mieszkanie. Przez całą noc, wśród burzy rozhukanej na przestworze niebieskim, wulkan buchał z gwałtownością niepokojącą Glenarvana; płomień kruszył brzegi krateru, rozszerzając go! Więź-

niowie, ukryci za palisadą, niespokojnie śledzili przeraźliwy postęp zjawiska.

Nadszedł ranek, a gwałtowność wulkanu nie zmniejszyła się wcale; gęsta żółtawa para mieszała się z płomieniem, a strumienie lawy wiły się na wszystkie strony.

Glenarvan z bijącem sercem przykładał oczy do wszystkich szpar ogrodzenia, śledząc obóz krajowców. Uciekli oni na sąsiednie płaszczyzny, w miejsca niedosięgłe przez wulkan. Kilka trupów zwęglonych leżało u stóp góry; nieco dalej, a bliżej twierdzy, lawa dosięgła ze dwadzieścia chat, z których się jeszcze kurzyło. Tu ówdzie Zelandczycy stali gromadami, przypatrując się z religijnem przerażeniem strojnemu płomienną kitą wierzchołkowi Maunganamu.

Glenarvan dojrzał, jak Kai-Kumu stanął między swymi, podszedłszy do góry od strony nietkniętej przez lawę. Ale nie wszedł na nią, jeno wyciągnął ręce i niby czarnoksiężnik wykonał kilka ruchów obrzędowych, których znaczenia domyślili się zbiegowie.

— Kai-Kumu — tłumaczył Paganel — obarcza sroższem jeszcze tabu karzącą górę.

Wkrótce potem krajowcy zaczęli odchodzić jeden za drugim, krętą ścieżką, wiodącą do twierdzy.

— Odchodzą! — krzyknął Glenarvan. — Opuszczają swoje stanowiska! Bogu dzięki! Udał się nasz wybieg! Droga Heleno! Drodzy przyjaciele! Więc jesteśmy umarli i pogrzebani! Dziś w nocy zmartwychwstaniemy, wyjdziemy z naszego grobu i umkniemy z pomiędzy tego barbarzyńskiego plemienia.

Trudno wyobrazić sobie radość, panującą w Udu-Pa; nadzieja ogarnęła wszystkich. Dzielni podróżni zapomnieli o przeszłości i o przyszłości, używając szczęścia obecnej chwili. A jednak niełatwo było dostać się do osady europejskiej, idąc przez nieznaną okolicę. Ale mieli nadzieję, że pozbywszy się Kai-Kumu, nie spotkają już więcej dzikich.

Major ze swej strony nie ukrywał wcale najwyższej wzgardy, jaką wzbudzili w nim krajowcy, i nie zbywało mu na wyrażeniach, któremi mógł godnie ich nazywać. Sadził się na nie z Paganelem, nie mogąc wybaczyć dzikim ich nieokrzesania.

Trzeba było czekać dzień cały, nim nadejdzie chwila ucieczki; użyto go na obmyślenie planu przyszłej wędrówki. Paganel zachował starannie mapę Nowej Zelandji, mógł zatem wyszukiwać na niej najbezpieczniejsze drogi. Po wielu dyskusjach, postanowiono uchodzić w kierunku wschodnim, ku zatoce Plenty. Droga wypadała przez nieznane strony, prawdopodobnie niezamieszkałe. Podróżni, przywykli do wydobywania się z różnych przeciwności i do obracania na swoją korzyść trudności fizycznych, obawiali się tylko spotkania z krajowcami. Chcieli za jaką bądź cenę unikać ich i przedostać się na wschodni brzeg wyspy, jako do miejsca, w którem misjonarze za-

łożyli parę osad. A przytem ważne było to, że tę część wyspy nie nawiedziła klęska wojny.

Odległość od jeziora Taupo do zatoki Plenty wynosiła sto mil: trzeba było zatem robić dziesięć mil dziennie. Była to rzecz możliwa, choć wymagała pewnego wysiłku. Odważna garstka nie lękała się tego w nadziei, że dostawszy się do osad misjonarskich, odpocznie, czekając na szczęśliwą okazję do Aucklandu, gdyż to miasto zawsze leżało w jej planie.

Ułożywszy to wszystko, przyglądali się bacznie krajowcom aż do wieczora. Ani jeden nie pozostał u stóp góry; a gdy zupełne ciemności zaległy dolinę Taupo, ani jeden ogień nie ukazał się w bliskości. Droga była wolna.

O dziewiątej Glenarvan dał znak do drogi. Wszyscy uzbrojeni i ubrani kosztem Kara-Tetego, zaczęli schodzić ostrożnie po zboczu Maunganamu. Na czele kroczyli: John Mangles i Wilson, nadstawiając uszu i wytężając oczy. Przystawali za najmniejszym szelestem; badali najdrobniejsze światełko, a każdy z idących za nimi zsuwał się niejako po pochyłości góry, aby nie odstawać od niej.

O dwieście stóp poniżej szczytu stanęli nad niebezpiecznem przejściem, tak bacznie strzeżonem poprzednio przez krajowców. Gdyby ci ostatni, przebieglejsi niż ich więźniowie, cofnęli się poto tylko, aby zwabić nieszczęśliwych, i jeżeli wulkan nie uśpił ich czujności, to w tem właśnie miejscu powinniby się ukryć. Glenarvan, pomimo całej ufności i pomimo żartów Paganela, nie mógł nie doznawać obawy. Ocalenie ich wszystkich miało się rozstrzygnąć w przeciągu tych dziesięciu minut, których potrzeba było na przebycie wąskiego grzbietu; a Glenarvan czuł bicie serca Heleny, opartej na jego ramieniu.

Nie myślał jednak wcale o cofnięciu się, tak samo jak John, za którym wszyscy postępowali w zupełnej ciemności. John sunął wąskim grzbietem, zatrzymując się, gdy jaki oderwany kamień staczał się do wąwozu. Gdyby dzicy stali na czatach, każdy taki odgłos mógł wywołać strzelaninę straszną z obu stron grzbietu.

Pełznąc jak węże po tym pochyłym grzbiecie, zbiegowie nieprędko się posuwali; John, dotarłszy do najniższego punktu grzbietu góry, znalazł się zaledwie o dwadzieścia pięć stóp od miejsca, w którem wczoraj obozowali krajowcy; dalej wznosiła się droga dosyć stromem zboczem ku laskowi odległemu o kilka staj.

I tę najniższą część minięto bez żadnego wypadku; podróżni już pięli się w milczeniu pod górę. Lasku nie widzieli, ale wiedzieli, że jest tam niezawodnie, i aby tylko nie było jakiej zasadzki, to spodziewali się znaleźć tam bezpieczne ukrycie. Glenarvan zrozumiał, że tabu nie osłania ich już w tej chwili. Część grzbietu pod górę idąca nie łączyła się z Maunganamu, ale z systemem wzgórz, jeżących się na wschodniem wybrzeżu jeziora Taupo. Nietylko zatem groziły im

strzały krajowców, ale można się było obawiać osobistego starcia się z dzikimi.

Jeszcze przez jakie dzisięć minut podróżni posuwali się zwolna pod górę. John nie mógł dojrzeć gęstego gaju, choć gaj ten musiał znajdować się niedalej, jak o dwieście stóp. Nagle zatrzymał się, a nawet prawie cofnął; zdawało mu się, że słyszy szmer w ciemności. I cały szereg idących za nim przystanął.

John stał, nie poruszając się, tak długo, że zaniepokoił resztę zbiegów. Czekali, a w jakiej trwodze, to trudno opowiedzieć. A nuż będą musieli cofnąć się i powrócić na szczyt Maunganamu?

Nareszcie John, nie słysząc więcej szmeru, ruszył wgórę po wąskim grzbiecie.

Niezadługo pożądany gaj zarysował się wyraźnie na tle nocy. Po kilku jeszcze krokach uciekający zniknęli, ukryci w gęstwinie.

LXIV.

WZIĘCI WE DWA OGNIE.

Noc sprzyjała ucieczce; należało z niej korzystać, by ujść z groźnych okolic jeziora Taupo. Paganel objął dowództwo nad garstką rozbitków, a cudowny jego instynkt podróżniczy znów świetnie zaznaczył się podczas tej trudnej wędrówki w górach. Z zadziwiającą zręcznością kierował się pośród ciemności, bez wahania wybierał niewidzialne prawie ścieżki, trzymając się niezmiennie jednego kierunku. Prawda, że natura pomagała mu w tem niezmiernie. Jego kocie oczy dozwalały mu rozróżnić najdrobniejszy przedmiot w ciemności. Przez trzy godziny szli bez przerwy po urwiskach wschodniego zbocza; potem Paganel skręcił w kierunku południowo-wschodnim, dla dostania się do wąskiego przejścia, przekopanego pomiędzy Kaimanawą i Wahiti-Ranges, przez które dąży droga z Aucklandu do zatoki Hawkesa. Przekroczywszy drogę, miał zamiar puścić się jej bokiem i pod osłoną wysokich dębów iść przez niezamieszkaną okolicę. Do 9-tej z rana, to jest w przeciągu dwunastu godzin, zrobiono tyleż mil; nie można było już więcej żądać od kobiet, a zresztą i miejscowość zdawała się dogodna do spoczynku. Doszli właśnie do wąwozu, dzielącego dwa łańcuchy. Droga do Oberlandu pozostawała na prawo, w kierunku południowym. Paganel z mapą w ręku zwrócił się w kierunku północno-wschodnim i o dziesiątej godzinie mały oddział dosięgnął rodzaju urwistego wału, utworzonego z wystającej części góry.



— Tabu! Tabu! — zawołał głosem potężnym (str. 393).

Wydobyto z worków żywność i zaczęto się posilać. Marja i major, którym dotychczas niebardzo smakowały korzenie paproci, teraz uznali je za przewyborne! Spoczywano do drugiej po południu, poczem puszczono się dalej ku wschodowi, a wieczorem zatrzymano się o ośm mil od gór na nocleg pod gołem niebem. Nazajutrz droga była bardzo uciążliwa; trzeba było przechodzić przez ów ciekawy pas jezior wulkanicznych, owych gejzerów i solfatarów, ciągnących się na wschód Wahiti-Ranges. Droga ta o wiele była milsza dla

oczu, jak dla nóg, gdyż co ćwierć mili trzeba było okrążać zawady, zbaczać w załamki i trudzące przejścia. Ale jakież zato spotkali oryginalne widoki, co za nieskończoną rozmaitość przyrody.

Na rozległej przestrzeni dwudziestu mil kwadratowych podziemne siły działały w najrozmaitszy sposób. Źródła słone dziwnej przezroczystości, zaludnione miljardami robaczków, wydobywały się z gajów drzew, dających herbatę krajową, źródła te wydzielały silną woń spalonego prochu i pozostawiały na ziemi osad olśniewającej białości śniegu. Kryształowe ich wody kipiały wrzątkiem, podczas gdy sąsiednie źródła ścinały się, rozlewając jakby tafle szklane. Olbrzymiej wielkości paprocie rosły na ich brzegach, śród warunków właściwych roślinności syluryjskiej.

Ze wszystkich stron wytryskiwały z ziemi snopy płynne, otoczone tumanem pary, niby fontanny. Jedne biły bez przerwy, inne perjodycznie, jakby zależne od fantazji kapryśnego Plutona. Wodotryski owe ciągnęły się półkolem, rozłożone kondygnacjami, na naturalnych tarasach, wznoszących się jedne nad drugiemi. Wody ich łączyły się zwolna, strojne białym tumanem, zalewając półprzezroczyste stopnie tych olbrzymich schodów i zasilając całe jeziora swemi wrzącemi kaskadami.

Dalej, poza gorącemi źródłami i burzliwemi gejzerami, ciągnęły się solfatary. Ziemia wyglądała, jakby pokryta ogromnemi kretowiskami. Były to nawpół wygasłe i popękane kratery, z których szczelin wydobywały się różne gazy. Powietrze napełnione było mocnym i niemiłym wyziewem siarki, która zeskorupiała i w różne kryształy ułożona przystrajała całą powierzchnię gruntu. Tam to gromadzą się od wieków niezliczone i niewyzyskiwane dziś bogactwa; kiedyś, gdy wyczerpią się kopalnie siarki w Sycylji, przemysł będzie się mógł w nią zaopatrywać w tej tak mało znanej dziś prowincji Nowej Zelandji.

Można sobie łatwo wyobrazić, jakich niewygód zażyli podróżni w przeprawie przez tę część drogi pełnej przeszkód. Trudno było znaleźć dogodne miejsce do spoczynku; strzelby próżnowały, nie spotkano bowiem ani jednego ptaka, któregoby warto oddać do oskubania panu Olbinettowi. To też musieli się zadowolić skromnym posiłkiem z paproci i patatów, choć on wcale nie pokrzepiał wyczerpujących sił wędrowców. Pragnęli oni jak najprędzej rozstać się z tą bezpłodną i pustą okolicą; a przecież co najmniej czterech dni było jeszcze potrzeba, żeby się wydostać z tej niedogodnej przeprawy. Dopiero 23-go lutego, w odległości pięćdziesięciu mil od Maunganamu, wypoczywali u stóp góry wyraźnie oznaczonej na karcie Paganela, ale nie mającej nazwy. Przed nimi ciągnęła się równina porosła krzakami, wdali, na widnokręgu, ukazywały się bory.

Była to dobra wróżba, ale pod warunkiem, żeby ta okolica, nadająca się na siedziby ludzkie, nie była zbyt zaludniona. Dotychczas

podróżni nie spotkali ani cienia krajowca. Dnia tego Robert i Mac Nabbs ubili kilka kiwisów, które uświetniły bankiet wędrowców, choć nie na długo, gdyż w niewiele minut pozostały z nich tylko kosteczki. Podczas deseru, pomiędzy słodkiemi patatami a kartoflami, Paganel wniósł projekt, który przyjęto z zapałem. Szło o nadanie bezimiennej górze, pietrzącej się na trzy tysiące stóp w chmurach, nazwiska lorda szkockiego; Paganel napisał starannie na mapie obok góry nazwisko: Glenarvan.

W dalszej podróży nie zdarzyło się nic, coby przerywało jej jednostajność. Zaledwie kilka ważniejszych wypadków urozmaiciło pochód od jezior do oceanu Spokojnego.

Przez cały dzień podróżni szli przez lasy i równiny. John kierował się po słońcu i gwiazdach. Niebo łaskawie oszczędzało deszczów i upałów; a mimo to wzrastające utrudzenie coraz więcej opóźniało pochód strapionych tylu trudami wędrowców, pragnących jak najśpieszniej dostać się do kolonij misjonarskich.

Rozmawiali jednak z sobą, tylko że już rozmowa nie bywała ogólną. Mały oddział podzielił się na cząstki nie podług sympatji, ale wedle kierunku myśli, Glenarvan szedł najczęściej sam, rozmyślając coraz więcej w miarę zbliżania się do brzegu o *Duncanie* i jego załodze; zapomniał o niebezpieczeństwach, grożących mu jeszcze w drodze do Aucklandu, zajmował się pomordowanymi majtkami. Straszny ten obraz snuł mu się ciągle po głowie. Zaprzestano już mówić o Henryku Grancie; a zresztą i na cóżby się to zdało, skoro nie mogli nic dla niego zrobić? Nazwisko kapitana wymawiane było jeszcze tylko w rozmowach Marji z Johnem. John nie przypomniał jej ani razu tego, co mu powiedziała ostatniej nocy w Ware-Atona. Delikatność nie pozwalała mu korzystać ze słów, wymienionych w chwili uważanej za ostatnią chwilę życia. Mówiąc o Henryku Grancie, John myślał o dalszych projektach poszukiwania. Zaręczał Marji, że lord Glenarvan przedsięweźmie na nowo chybioną na teraz wyprawę. Rozumował zaś tak: ponieważ nie można było powątpiewać o autentyczności dokumentu, więc Henryk Grant musi gdzieś być; choćby zatem przyszło przetrząść świat cały, to muszą go znaleźć. Marja upajała się temi słowy; wspólne więc były ich myśli i wspólne nadzieje. Lady Helena często przyłączała się do tych rozmów; a lubo nie poddawała się złudzeniom, nie śmiała jednak pozbawiać tych złudzeń młodą parę, sprowadzać ją na drogę smutnej rzeczywistości.

Mac Nabbs, Robert, Wilson i Mulrady polowali, nie oddalając się bardzo od towarzyszów, i każdy coś dostarczał ze zwierzyny. Paganel, owinięty w swój płaszcz, trzymał się na uboczu, niemy i zamyślony.

A jednak należy powiedzieć, że na przekorę zwykłemu prawu natury, które sprawia, iż pośród prób, niebezpieczeństw, trudów i pry-

wacyj ludzie najlepsi stają się cierpcy i zgryźliwi, śród całej tej garstki nieszczęśliwych panowały, jak dawniej, stosunki jak najlepsze. Każdy jej członek gotów był dać się zabić za innych.

Dwudziestego piątego lutego drogę zamknęła im rzeka, która, według mapy Paganela, zwała się Waikari. Przeszli ją w bród.

Przez dwa dni szli równiną, porosłą całkiem krzakami. Połowę odległości od jeziora Taupo do brzegu morza już przebyto — wprawdzie nie bez trudu, ale przynajmniej bez żadnego złego wypadku.

Teraz zaczęły się ogromne i nieskończenie długie lasy, przypominające bory australijskie — ale tu rosły już nie eukaliptusy, lecz drzewa zwane kauri. Podczas wędrówki czteromiesięcznej podróżni nasi stracili już całkiem prawie zdolność zachwycania się widokami, a jednak stanęli pełni podziwu na widok tych olbrzymich sosen, godnych rywali cedrów libańskich i „Mammouth trees" kalifornijskich

Pień kaurisów (Abietacea) od ziemi do miejsca rozgałęzienia miewa do stu stóp wysokości. Drzewa te tworzą samotne bukiety i las ich nie składa się z pni rozrzuconych, ale z niezliczonych grup, wznoszących o dwieście stóp w powietrze swe zielone gałęzie.

Niektóre z kaurisów, młode jeszcze, bo nie starsze nad lat sto, podobne były do czerwonych jodeł europejskich; ciemna ich korona kończyła się śpiczastym wierzchołkiem. Przeciwnie starsze, liczące pięć lub sześć wieków, tworzyły niezliczone zielone namioty ze zwikłanych i poplątanych gałęzi. Patrjarchinie te zelandzkich lasów dochodziły pięćdziesięciu stóp obwodu. Połączywszy ręce, wszyscy wędrowcy nasi nie mogli objąć pnia olbrzymiego.

Przez trzy dni mały oddział błąkał się pod rozległemi łukami liściastego sklepienia i po gliniastym gruncie, nietkniętym nogą ludzką. Że tak było, wnosić należy z ogromnych stosów gumy żywicznej, nagromadzonych w wielu miejscach u stóp kaurisów, a które wystarczyłyby na długo do prowadzenia handlu z krajowcami. Spotykano tam także bandy kiwisów, tak wytrzebione w miejscach zamieszkałych przez krajowców; schroniły się one do tych niedostępnych lasów przed psami zelandzkiemi. Podróżni mieli obfite i zdrowe z nich pożywienie. Paganelowi udało się nawet zobaczyć w gęstych zaroślach parę olbrzymich ptaków i natychmiast z całą gorączką naturalisty zawołał na towarzyszów. Pomimo zmęczenia, major i Robert puścili się za nim wślad za zwierzyną. Pojmiemy gorączkową ciekawość geografa, gdy się dowiemy, że poznał, a raczej że mu się zdawało, iż są to ptaki „moa", należące do rodzaju „Dinormis", przez niektórych uczonych zaliczane do rzędu zaginionych osobliwości. To spotkanie potwierdziło zdanie p. Hochstettera i innych podróżników o istnieniu jeszcze tych olbrzymów bezskrzydłych w Nowej Zelandji.

Moa, ścigane przez Paganela, gatunek sięgający czasów, w których żyły Megaterjum i Pterodactyles, musiały mieć jakich siedm-

naście stóp wysokości. Były to ogromne strusie, lękliwe bardzo; uciekały zaś z nadzwyczajną szybkością i ani jedna kula nie zdołała dosięgnąć ich w biegu. Po kilku minutach tego polowania, nie dające się ująć moa znikły poza wielkiemi drzewami, a strzelcy stracili daremnie proch i oddalili się od swoich.

Było to pierwszego marca. Glenarvan z towarzyszami wyszli nakoniec wieczorem dnia tego z ogromnego lasu i rozłożyli się obozem u podnóża góry Ikirangi, której wierzchołek wznosił się na pięć tysięcy pięćset stóp w powietrze. Uszli zatem zgórą sto mil od Maunganamu; pozostawało im jeszcze mil trzydzieści. John miał nadzieję, że na przebycie całej drogi starczy im dni dziesięć. Nie znał jednak wówczas trudności podróży po tych okolicach.

Okrążania, różne przeszkody, niedokładności mapy przedłużyły drogę o pięć dni i na nieszczęście, gdy podróżni przybyli do owej góry, poczuli się zupełnie wycieńczeni; a pozostawało jeszcze dwa dni śpiesznego pochodu, aby dotrzeć do brzegu morza. Położenie stawało się tem gorsze, że wchodząc w okolicę, uczęszczaną przez krajowców, należało zdwoić pośpiech i czujność.

Ale trzeba było zapanować nad utrudzeniem. Nazajutrz zatem o wschodzie słońca ruszono w dalszą drogę.

Wędrówka pomiędzy górą Ikarangi po prawej stronie a górą Hardy, wysokości 3,700 stóp — po lewej, była bardzo uciążliwa. Dziesięciomilową przestrzeń zapełniała roślina giętka i długa, sprawiedliwie nasząca nazwę „duszącej wikliny". Co krok zaplątywały się w nią ręce i nogi, a pnące się wicie, niby prawdziwe węże, okręcały ciało plątaniną zwojów. Przez dwa dni trzeba było iść z siekierą w ręku i walczyć z tą stugłową hydrą, dręczącą podróżnych. Paganel zaliczał tę roślinę do zoophytów.

Polowanie stało się niemożliwe w takich okolicznościach; strzelcy nie mogli dostarczyć zwykłej daniny. Zapasy kończyły się, a nie było sposobu dostarczenia innych; brak wody nie pozwalał ugasić zwiększonego trudem pragnienia.

Straszne były cierpienia wędrowców i po raz pierwszy opuściła ich tu odwaga. Wreszcie, nie idąc, ale wlokąc się ciałem bez ducha, wiedzeni tylko zachowawczym instynktem, który trwa dłużej niż inne uczucia, dostali się na cypel Jottin nad brzegiem oceanu Spokojnego. Zastano tam parę chat pustych — szczątków wioski, zniszczonej przez świeżą wojnę. Pola były spustoszałe i na każdym kroku widniały ślady rabunku i pożaru. W tem to przejściu fatalność zgotowała nieszczęśliwym wędrowcom nową, straszną próbę.

Błądzili nad brzegiem, gdy o milę (angielską) ukazał się oddział krajowców, pędzący na nich z bronią w ręku. Glenarvan, przyparty do morza, nie mógł uciekać; zbierając zatem ostatki sił, gotował się do walki, gdy John Mangles nagle zawołał:

— Czółno, czółno!

I rzeczywiście, o jakie dwadzieścia kroków stała na nadbrzeżnym żwirze łódź z sześciu wiosłami. Spuścić ją na wodę, wsiąść i odbić od niebezpiecznego brzegu było dziełem jednej chwili. John, Mac Nabbs, Wilson i Mulrady ujęli za wiosła — Glenarvan objął ster, a dwie kobiety, Olbinett i Robert usiedli obok niego. W dziesięć minut potem łódź znajdowała się już na pełnem morzu, o ćwierć mili angielskiej od brzegu. Morze było spokojne — pomiędzy uciekającymi panowało głębokie milczenie.

John Mangles, nie chcąc oddalać się zanadto od lądu, miał już zarządzić, aby się posuwano wzdłuż brzegu, gdy nagle zdrętwiała z przerażenia ręka jego wstrzymała wiosło.

Spostrzegł bowiem odbijające od cypla Jottin, z widoczną intencją ścigania ich, trzy łodzie krajowców.

— Na morze, na morze! — zawołał. — Lepiej zgińmy w falach morskich!

Łódź, pchnięta dzielnym wysiłkiem czterech wioślarzy, skoczyła na pełne morze. Przez pół godziny zdołali zbiegowie utrzymać się w jednej odległości od goniących, ale wycieńczeni na siłach, zaczęli słabnąć, gdy tymczasem trzy łodzie zbliżały się ku nim. Już tylko dwie mile dzieliły obie łodzie i nie było sposobu uniknięcia napadu krajowców, którzy uzbrojeni w długie karabiny, zabierali się do strzelania.

Cóż się działo wówczas z Glenarvanem? Stał na rufie łodzi i wypatrywał na widnokręgu pomocy. O czem myślał? Czego wyczekiwał? Czy miałby jakie przeczucie?

Nagle wzrok mu zajaśniał, a wyciągnięta ręka wskazywała punkt jakiś na morzu.

— Okręt, przyjaciele — wołał — okręt! Płyńcie co siły!

Ani jeden z czterech wioślarzy nie poruszył się, by zobaczyć ów niespodziewany przez nikogo statek, bo nie należało rąk opuszczać. Paganel tylko podniósł się i skierował lunetę na punkt oznaczony.

— Tak, to okręt, parowiec! Para wali z niego kłębami! Płynie ku nam! Odwagi, dzielni towarzysze!

Podnieciło to tak energję dzielnych żeglarzy, że jeszcze przez pół godziny mocnemi uderzeniami wioseł utrzymywali łódź w jednakowej odległości od łodzi jej prześladowców. Parowiec zarysował się coraz wyraźniej. Już można było rozróżnić dwa maszty ze zwiniętemi żaglami i wielkie kłęby dymu, buchające z komina. Glenarvan, powierzywszy ster Robertowi, pochwycił za lunetę i nie spuszczał oczu z okrętu.

Jakże zdziwili się jego towarzysze, gdy ujrzeli, że blednie, miesza się i wreszcie opuszcza lunetę. Jeden wyraz wytłumaczył im tę nagłą rozpacz.

— *Duncan!* — zawołał Glenarvan — *Duncan*, a na nim złoczyńcy!

— *Duncan!* — krzyknął John, puszczając wiosło i zrywając się z ławki.

— Tak jest, śmierć z obu stron! — wyszeptał Glenarvan, złamany tylu cierpieniami.

Nie ulegało wątpliwości, że był to istotnie jacht Glenarvana; jacht, mający na pokładzie zbrodniarzy.

Majorowi wyrwało się z ust przekleństwo, bo też już za wiele było tego wszystkiego.

Przestano wiosłować, bo nie wiedziano, gdzie płynąć i gdzie uciekać. Jak tu wybierać pomiędzy dzikimi a zbrodniarzami?

Z najbliższej łodzi krajowców padł strzał, kula trafiła w wiosło Wilsona. Mimowoli powiosłowano ku *Duncanowi*.

Statek pędził z nadzwyczajną szybkością; nie więcej już był oddalony, jak o jakie pół mili. John Mangles, naciśnięty z dwu stron, nie wiedział, jak się ruszać, gdzie uciekać. Przerażone kobiety modliły się na klęczkach. Dzicy strzelali bezustannie, kule padały obok łodzi. W tejże chwili rozległ się straszny huk i kula, wypadłszy z działa okrętowego, przeleciała ponad głowami uciekających, którzy, dostawszy się między dwa ognie, stanęli nieruchomi pomiędzy *Duncanem* a łodziami krajowców.

John w przystępie rozpaczy pochwycił za siekierę, chcąc rozbić czółno i zatopić je ze swymi nieszczęśliwymi towarzyszami w głębinie morskiej. Wstrzymał go okrzyk Roberta.

— Tom Austin, Tom Austin! — wołał chłopiec. — Widzę go! Stoi na pokładzie! Poznał nas, wznosi wgórę kapelusz.

Siekiera znieruchomiała w ręku Johna. Druga kula armatnia świsnęła nad jego głową i strzaskała najbliższą z trzech łodzi, a na pokładzie *Duncana* rozległ się okrzyk radosny. Przerażeni dzicy uciekali śpiesznie do brzegu.

W kilka chwil potem dziesięciu rozbitków, nie wiedząc jakim sposobem i nie rozumiejąc, co się dzieje, znalazło się w bezpieczeństwie na pokładzie Duncana.

LXV.

SKĄD SIĘ WZIĄŁ DUNCAN PRZY WSCHODNIM BRZEGU NOWEJ ZELANDJI.

Daremnie siliłoby się pióro na opisanie uczuć Glenarvana i jego towarzyszów w chwili, gdy wchodzili na pokład i gdy zabrzmiała im w uszach pieśń starej Szkocji. Kobziarz okrętowy wygrywał na kobzie

narodowy hymn klanu Malcolma i święcił nim, śród okrzyków osady, powrót lorda na pokład. Glenarvan, John Mangles, Paganel, Robert, nawet major, płacząc, ściskali się wzajemnie. Cieszyli się, jak pozbawieni zmysłów. Geograf, oszalały zupełnie, skakał i celował jak z karabinu nieodstępną swą lunetą do ostatniej łodzi krajowców, dobijającej do brzegu.

Jednak załoga statku, zauważywszy poszarpane odzienie i wynędzniałe twarze podróżnych, dowodzące strasznych cierpień, powściągnęła swoje uniesienia. Nie byli to ci sami podróżni, odważni i promieniejący nadzieją, którzy przed trzema miesiącami ruszyli szukać śladów kapitana Granta, ale jakieś widma. Przypadek sprowadził ich na okręt, którego nie spodziewali się zobaczyć nigdy, ale w jakimże smutnym stanie wycieńczenia i bezsilności!

Glenarvan, zamiast pomyśleć o wypoczynku, o zaspokojeniu gwałtownego głodu i pragnienia, wypytywał Toma, skąd się wziął w tej stronie? Jak się stało, że Duncan nie dostał się w ręce Ben-Joyce'a? Jakimże cudem Opatrzność sprowadziła jacht na pomoc uciekającym?

Dlaczego? Jakim sposobem? Czemu? Brzmiało mnóstwo jednoczesnych pytań, spadających natarczywie na Toma. Stary marynarz nie wiedział, na co wprzód odpowiadać. Postanowił wkońcu słuchać tylko pytań Glenarvana i jemu tylko dawać wyjaśnienia.

— Ależ ci złoczyńcy? — zapytał Glenarvan — coś z nimi zrobił?

— Złoczyńcy? — powtórzył Tom głosem człowieka nierozumiejącego pytania.

— Naturalnie, ci którzy napadli na jacht?

— Co za jacht? — pytał Tom Austin. — Jacht Waszej Dostojności?

— Naturalnie że mój! I cóż się stało z tym Ben-Joycem, który wszedł na pokład?

— Nie znam wcale Ben-Joyce'a i nigdy go nie widziałem — odpowiedział Austin.

— Jakto nigdy? — zawołał Glenarvan, zdumiony odpowiedziami marynarza. — Powiedz mi zatem, Tomie, skąd się wziął *Duncan* przy brzegach Nowej Zelandji?

Jeżeli wszyscy świeżo przybyli na statek nie mogli pojąć zdziwienia starego marynarza, to jakież było ich samych zdziwienie, gdy odpowiedział spokojnym głosem:

— Z rozkazu Waszej Dostojności.

— Z mego rozkazu? — zapytał Glenarvan.

— Nie inaczej, milordzie, zastosowałem się do instrukcyj, zawartych w liście pańskim z dnia 14-go stycznia.

— W moim liście? W moim liście? — powtarzał Glenarvan.

Dziewięciu podróżnych, otoczywszy Toma Austina, pożerało go wzrokiem. Więc list, pisany nad brzegiem Snowy, doszedł na pokład Duncana?

— Wytłumacz mi to — nalegał Glenarvan — zdaje mi się, że śnię. Więc odebrałeś list.

— Tak jest, list od Waszej Dostojności.

— W Melbourne?

— W Melbourne, w chwili, gdym kończył naprawę statku.

— Jakiż to list?

— Pisał go ktoś inny, ale jest podpisany ręką Waszej Dostojności.

— Dobrze. Ten list przyniósł ci zbieg złoczyńca, nazwiskiem Ben-Joyce.

— Bynajmniej, przyniósł mi go majtek nazwiskiem Ayrton, kwatermistrz statku *Britannia.*

— Ayrton czy Ben-Joyce, to jeden i ten sam djabeł. Cóż było w tym liście?

— Rozkaz natychmiastowego opuszczenia Melbourne i krążenia u wschodnich wybrzeży.

— Australji! — zawołał Glenarvan z taką pewnością, że zmieszał starego marynarza.

— Australji? — powtórzył Tom, otwierając szeroko oczy. — Ależ nie, Nowej Zelandji!....

— Australji, Tomie, Australji — zawtórowali jednogłośnie towarzysze Glenarvana.

Twierdzenie, wypowiedziane z taką pewnością, zakłopotało Toma. Przypuszczał, że być może omylił się istotnie, czytając list. Czy to jednak możliwe, by on, tak akuratny i baczny marynarz, do tego stopnia się pomylił? Zaczerwienił się więc i zmieszał.

— Uspokój się, Tomie — mówiła lady Helena. — Bóg tak chciał widocznie.

— O nie, niech Wasza Dostojność wybaczy — mówił Tom — ale to niepodobna! Ja nie omyliłem się. Ayrton czytał list tak, jak i ja go czytałem, i on to właśnie chciał koniecznie, abym płynął wzdłuż brzegów Australji!

— Ayrton? — zawołał Glenarvan.

— On! Utrzymywał, że to była pomyłka, że Wasza Dostojność kazał mi stanąć w zatoce Twofold.

— Czy masz list, Tomie? — zapytał major, zaintrygowany do najwyższego stopnia.

— Mam, panie Mac Nabbs, i pójdę go poszukać.

Pobiegł do swej kajuty na dziobie okrętu. Podczas jego nieobecności spoglądano na siebie w milczeniu; major tylko, wpatrzony w Paganela, odezwał się, zakładając ręce:

— Przyznaj, Paganelu, że to trochę za wiele!

— Co? — mruknął geograf. Zgarbiony i w okularach na nosię wyglądał jak olbrzymi znak zapytania.

Austin powrócił z listem, pisanym przez Paganela, a podpisanym przez Glenarvana.

— Czytaj, milordzie — mówił stary marynarz.

Glenarvan czytał, co następuje:

„Polecam Tomaszowi Austin, aby bezzwłocznie wypłynął na morze i doprowadził *Duncana*, trzymając się zawsze 38-go stopnia szerokości, do wschodniego wybrzeża Nowej Zelandji".

— Nowej Zelandji! — krzyknął, podskakując, Paganel.

I uchwyciwszy list z rąk Glenarvana, przetarł oczy, poprawił okularów i czytał od początku.

— Nowej Zelandji! — rzekł głosem, dowodzącym niezmiernego przygnębienia i upuszczając list.

W tej chwili poczuł, że ktoś oparł mu rękę na ramieniu, obrócił się zatem i stanął oko w oko z majorem.

— Ot, dzielny Paganelu! — mówił major z powagą — szczęście, żeś nie wyprawił *Duncana* do Kochinchiny.

Ten żart dobił biednego geografa; śmiech homeryczny ogarnął całą załogę; Paganel jak szalony biegał tam i napowrót, trzymając się rękoma za głowę i wyrywając sobie włosy. Nie wiedział ani co robi, ani co zamierza. Zeszedł machinalnie po drabinie, prowadzącej na dolny pomost, kręcił się tam bez celu i bez myśli, poczem wszedł znów na górny pokład od przodu okrętu. Nogi zaplątały mu się w pęku lin i potknął się, a upadając, schwycił rękoma za jakiś sznur. Nagle rozległ się huk. Z przodu okrętu padł wystrzał armatni, a grad kartaczów posiekł spokojne fale. To biedny Paganel uchwycił za sznur od nabitej armaty i wywołał wybuch zapału piorunującego. Geograf przewrócił się na drabinkę i spadł przez otwór, wiodący do izby majtków.

Po zdziwieniu, wywołanem hukiem, nastąpił okrzyk przerażenia; zdawało się, że nie obeszło się bez nieszczęścia. Dziesięciu majtków pobiegło na dół i wyniosło Paganela skulonego. Nie mógł już mówić. Przeniesiono go do kajuty kapitana; wszyscy byli w rozpaczy. Major, zawsze gotów w ważnych okolicznościach nieść pomoc lekarską, chciał rozebrać Paganela, aby go opatrzeć. Lecz zaledwie dotknął pozornie umierającego, ten wzdrygnął się, jakby uderzony prądem elektrycznym.

— Nigdy, nigdy! — zawołał, osłaniając się poszarpanemi sukniami i zapinając guziki z dziwnym pośpiechem.

— Ależ, Paganelu! — mówił major.

— Powiadam, że nie!

— Trzeba obejrzeć...

— Nie pozwolę oglądać.

— Możeś złamał... — mówił Mac Nabbs.

— Naturalnie, że złamałem — odpowiedział Paganel, powstając — ale to, co złamałem, naprawi cieśla!

— Cóż to takiego?

— Jedną z podpór pomostu: złamałem ją, upadając!

Ogólnym śmiechem powitano taką odpowiedź, gdyż dowodziła, że Paganel wyszedł zdrów i cały z awantury z armatą.

— W każdym razie dziwnie jest wstydliwy nasz geograf — mruknął major.

Paganel, przyszedłszy do siebie po tych przygodach, musiał odpowiedzieć na pytanie, którego nie mógł uniknąć.

— Teraz pomówmy szczerze, Paganelu — rzekł Glenarvan. — Przyznaję, że twoja omyłka wyszła nam na dobre, bo inaczej *Duncan* dostałby się w ręce zbrodniarzy, a my w ręce Maorysów! Ależ na miłość Boską! Jakim dziwnym kierunkiem myśli, przez jaki niesłychany obłęd umysłu doszedłeś do tego, żeby napisać Nowa Zelandja, zamiast Australja?

— Et, do wszystkich!... — zawołał Paganel — to...

Lecz w tejże samej chwili oczy jego spostrzegły Marję i Roberta i wstrzymał się nagle, potem zaś rzekł:

— Co chcesz, kochany Glenarvanie! Jestem warjat, głupiec postrzelony, istota niepoprawiona i umrę już w skórze najsławniejszego roztrzepańca.

— Jeżeli cię z niej tylko nie obedrą — odezwał się major.

— Mnie obedrzeć ze skóry! — krzyknął rozgniewany geograf.— Czy to nie aluzja?

— A jakażby to miała być aluzja, Paganelu? — pytał Mac Nabbs głosem spokojnym.

Na tem skończyła się rozprawa. Powód obecności tutaj *Duncana* odkryto, a podróżni tak cudownie uratowani myśleli już tylko o tem, żeby się dostać do swoich wygodnych kajut i zjeść śniadanie.

Wszyscy rozeszli się, ale Glenarvan i John Mangles pozostali— chcieli bowiem czegoś więcej się dowiedzieć.

— A teraz powiedz mi, stary — mówił Glenarvan do Austina — czy nie wydał ci się dziwnym ten rozkaz krążenia przy brzegach Nowej Zelandji?

— Istotnie, bardzo mi się zdawał dziwnym — odpowiedział Austin. — Ponieważ jednak, choć mnie zdziwił, nie mam zwyczaju roztrząsać dawanych mi rozkazów, byłem mu więc posłuszny. I nie mogłem postąpić inaczej, bo gdyby z tego wynikło co złego, byłbym winnym. Czybyś inaczej postąpił, kapitanie?

— Tak samo jak ty, Tomie — odpowiedział John Mangles.

— A cóżeś myślał sobie? — pytał Glenarvan.

— Myślałem, że to w interesie Henryka Granta kazano mi tam jechać. Sądziłem, że wskutek nowych kombinacyj popłyniecie państwo do Nowej Zelandji i że mam was czekać na wschodnim brzegu

tej wyspy. Gdym odpływał z Melbourne, nikt nie wiedział o przeznaczeniu okrętu; załoga dowiedziała się dopiero wówczas, gdyśmy wyszli na pełne morze i gdy Australja znikła nam z oczu zupełnie. Co zresztą nabawiło mnie niemałego kłopotu!

— Jakiego kłopotu? — badał Glenarvan.

— Oto — odpowiedział Austin — gdy kwatermistrz Ayrton dowiedział się nazajutrz o kierunku *Duncana* i jego przeznaczeniu...

— Ayrton! — zawołał Glenarvan — więc on jest tutaj?

— Jest na rozkazy Waszej Dostojności.

— Ayrton tutaj! — powtarzał Glenarvan, patrząc na Johna.

— To zrządzenie Boże! — szepnął młody kapitan.

I w jednej chwili z szybkością błyskawicy przesunęło się przed oczyma obu tych ludzi postępowanie Ayrtona; ta długo przygotowywana zdrada, zranienie Glenarvana, napad na Mulradyego, nędza wszystkich zatrzymanych wśród bagien Snowy — słowem, wszystkie sprawki tego nędznika. I oto teraz, dziwnym zbiegiem okoliczności, zbrodniarz dostał się w ich ręce!

— Gdzież on jest? — spytał żywo Glenarvan.

— W jednej z kajut od przodu okrętu, pod strażą — odpowiedział Tom Austin.

— Dlaczego pod strażą?

— Bo gdy dowiedział się, że statek płynie do Nowej Zelandji, zaczął się pienić ze złości, chcąc zmusić mnie do zmienienia kierunku drogi; odgrażał mi się i pobudzał załogę do buntu. Zrozumiałem, że to niebezpieczny ptaszek, i musiałem się mieć na ostrożności.

— A jakże się sprawia od tego czasu?

— Siedzi w swojej kajucie, nie starając się nawet wyjść z niej.

— To dobrze.

Właśnie w tej chwili zawołano ich na śniadanie, a potrzebowali go bardzo, zajęli więc swoje miejsca u stołu, nie wspominając nic o Ayrtonie. Ale gdy po skończonem śniadaniu wszyscy pokrzepieni zebrali się na pokładzie, Glenarvan doniósł im, że kwatermistrz jest na okręcie i oznajmił zarazem, że każe go przywołać.

— Zwolnij mnie od obecności przy tem badaniu — prosiła lady Helena. — Wierz mi, kochany Edwardzie, że widok tego człowieka niezmierną zrobi mi przykrość.

— To będzie konfrontacja — odpowiedział Glenarvan — i proszę cię, Heleno, pozostań. Niech Ben-Joyce spojrzy oko w oko wszystkim swym ofiarom.

Lady Helena przychyliła się do żądania męża i siadła z Marją obok Glenarvana, przy którym zajęli też miejsca: major, Paganel, John Mangles, Robert, Wilson, Mulrady i Olbinet — wszyscy, których zbrodniarz zdradził tak niegodziwie. Cała załoga, nic rozumiejąc znaczenia sceny, mającej się odbyć, stała w najgłębszem milczeniu.

— Niech się tu stawi Ayrton — rzekł Glenarvan.

LXVI.

AYRTON CZY BEN-JOYCE?

Ukazał się Ayrton i pewnym krokiem przeszedł pokład. Twarz jego nie zdradzała ani junactwa, ani też pokory. Wzrok miał pochmurny, zacisnął zęby i pięści. Stanąwszy przed Glenarvanem, skrzyżował ręce i spokojnie, w milczeniu, czekał na zapytanie.

— Ayrtonie — odezwał się Glenarvan — i otóż my i ty znaleźliśmy się na tym samym *Duncanie,* któregoś chciał oddać w ręce złoczyńców Ben-Joyce'a!

Na te słowa wargi kwatermistrza lekko drgnęły, rumieniec przebiegł po nieruchomej jego twarzy — rumieniec nie wyrzutu sumienia, ale wstydu z niepowodzenia. Na tym statku, gdzie chciał rozkazywać, pozostawał jako więzień i los jego miał się wnet rozstrzygnąć. A jednak nie odpowiedział ani słowa. Glenarvan czekał cierpliwie, ale napróżno, bo Ayrton postanowił milczeć.

— Mówże, Ayrtonie, co masz do powiedzenia — nalegał Glenarvan.

Ayrton wahał się przez chwilę, zmarszczył czoło i nareszcie odezwał się tonem spokojnym.

— Nie mam nic do powiedzenia, milordzie. Głupstwo zrobiłem, dawszy się złapać! Rób ze mną, co ci się spodoba.

Wymówiwszy te słowa, kwatermistrz zwrócił oczy na rozciągający się blisko ląd i udawał głęboką obojętność na to, co się dzieje obok niego. Zdawało się, że nic go nie obchodzi. Glenarvan postanowił być cierpliwym; zależało mu na tem, aby w sprawie Henryka Granta i *Britannji,* dowiedzieć się szczegółów z tajemniczego życia Ayrtona. Zaczął więc badanie niezmiernie łagodnym głosem, nakazując spokój gwałtownie burzącemu się sercu.

— Sądzę, że odpowiesz na niektóre pytania, jakie pragnę ci zadać — mówił Glenarvan — a przedewszystkiem, jak cię mam nazywać: Ayrton czy Ben-Joyce, i czy byłeś lub nie byłeś kwatermistrzem na statku *Britannji?*

Ayrton, głuchy na pytania, spokojnie przyglądał się brzegom.

Glenarvan, wrąc cały, ciągnął dalej badanie.

— Czy powiesz mi, dlaczego opuściłeś *Britannję* i znajdowałeś się w Australji.

Taż sama cisza i obojętność.

— Zważ, Ayrtonie, że powinieneś mówić we własnym interesie. Tylko szczerość zupełna może poprawić twą sprawę. Pytam po raz ostatni: czy odpowiesz na moje pytania?

Ayrton obrócił głowę i spojrzał w oczy Glenarvanowi.

— Nie mam nic do powiedzenia. To rzecz sądu nie moja, żeby mi co dowiódł.

— O dowody łatwo! — rzekł Glenarvan.

— Łatwo, milordzie? — odezwał się szyderczo Ayrton. — Sądzę, że się łudzisz. Zaręczam, że najlepszy z sędziów z Temple-Baru miałby kłopot ze mną! Kto wyjaśni, jak znalazłem się w Australji, gdy niema tam kapitana Granta? Kto dowiedzie, że jestem ów tak zwany przez policję Ben-Joyce, gdy mnie nigdy nie mieli w ręku, a wszyscy moi towarzysze są wolni? Kto odkryje na moją niekorzyść, oprócz pana, nie już zbrodnię, ale choćby jaki czyn naganny? Kto dowiedzie, żem chciał opanować okręt i oddać go w ręce zbrodniarzy? Nikt, rozważ, milordzie, nikt. Macie tylko podejrzenia, a tu trzeba pewników, by skazać człowieka; tych wam właśnie brakuje. Dopóki mi inaczej nie dowiedziecie, jestem Ayrtonem, kwatermistrzem statku *Britannia*.

Mówiąc to, zapalił się nieco, lecz prędko wrócił do zwykłej obojętności; przekonany był, że to, co powiedział, zakończy badania. Ale Glenarvan odezwał się temi słowy:

— Ayrtonie; nie mam zamiaru wytaczać ci sprawy, to nie należy do mnie. Określmy jasno nasze wzajemne stosunki. Ja nie chcę nic wiedzieć takiego, coby cię kompromitowało: to rzecz sądu. Wiesz jednak, co pragnę wiedzieć, a ty jednem słowem możesz mnie naprowadzić na ślad utracony. I cóż? Powiesz?

Ayrton poruszył głową przecząco.

— Powiesz mi, gdzie jest kapitan Grant? — pytał Glenarvan.

— Nie powiem, milordzie — odpowiedział Ayrton.

— To wskażesz przynajmniej, gdzie rozbił się statek?

— Także nie.

— Ayrtonie — ciągnął Glenarvan teraz głosem prawie błagalnym — jeżeli wiesz, gdzie jest Henryk Grant, to powiedz to przynajmniej jego biednym dzieciom, które czekają na jedno słowo twoje?

Ayrton zawahał się, ściągnęły mu się muskuły twarzy i wymruczał cicho:

— Nie mogę.

I w tejże chwili, jakby wyrzucając sobie chwilę słabości, dodał gwałtownie.

— Nie, nic nie powiem! Jeżeli pan chcesz, to możesz mnie kazać powiesić.

— Powiesić! — krzyknął Glenarvan, uniesiony gniewem. Pohamowawszy jednak gniew, dodał głosem poważnym:

— Ayrtonie, tutaj niema ani sędziów, ani oprawców; na pierwszym przystanku oddamy cię w ręce władzy angielskiej.

— Właśnie tego tylko pragnę! — odpowiedział badany.

I powrócił spokojnie do kajuty, służącej mu za więzienie. U drzwi pozostawiono na straży dwu majtków, by zważali na najmniejsze poruszenie więźnia. Wszyscy obecni tej scenie rozeszli się oburzeni i zrozpaczeni.



Druga kula armatnia... strzaskała najbliższą z trzech łodzi...
(str. 429).

Cóż mieli czynić, gdy wysilenia Glenarvana rozbiły się o upór Ayrtona? Chyba wrócić do zamiaru powziętego w Eden i udać się do Europy, choćby przyszło rozpocząć na nowo wyprawę, dokonywaną z takiem dotąd niepowodzeniem. Na teraz jednak ślad *Britannji* zdawał się niepowrotnie stracony, a dokument nie nadawał się do żadnego nowego tłumaczenia. Na trzydziestym siódmym równoleżniku nie było już innego kraju i nie pozostawało nic, jak wrócić.

Glenarvan, porozumiawszy się z przyjaciółmi, zaczął z Johnem rozważać kwestję powrotu. John przejrzał zapasy. Węgla było co najmniej na jakie dwa tygodnie, a zatem należało się zaopatrzyć w paliwo w najbliższym porcie.

John proponował Glenarvanowi, by zarzucić kotwicę w zatoce Talcahuano, tej samej, w której już raz zaopatrywał się *Duncan*, nim się puścił w swą okrężną podróż. Droga wypadała prosto, jak strzelił, wzdłuż trzydziestego siódmego stopnia. Poczem statek, zaopatrzony dostatecznie, udałby się ku południowi, opływając przylądek Horn, i przez Atlantyk wróciłby do Szkocji...

Zgodziwszy się na ten plan, wydano rozkaz maszyniście wzmocnienia pary i w pół godziny potem skierowano okręt ku zatoce Talcahuano. Stan oceanu usprawiedliwiał jego nazwę Spokojnego. O szóstej wieczorem znikały już wśród mgły ostatnie wierzchołki gór Nowej Zelandji.

Tak więc wracano ku domowi. Smutna to była podróż dla tych dzielnych ludzi, powracających bez Henryka Granta. To też i cała załoga, tak wesoła w chwili odjazdu, tak ufna w powodzenie na początku wyprawy, zgnębiona i zwątpiała, smutnie rozpoczynała powrotną do Europy drogę. Ani jeden z tych dzielnych marynarzy nie wzruszył się na myśl powrotu do kraju; wszyscy byliby chętnie długo jeszcze walczyli z niebezpieczeństwami morza, aby tylko odnaleźć kapitana Granta.

To też po okrzykach, jakiemi witano powrót Glenarvana zapanowało zniechęcenie. Zamiast dawnej ożywionej wymiany zdań, zamiast pogadanek, uprzyjemniających podróż, wszyscy trzymali się na osobności wśród czterech ścian kajut i rzadko bardzo ten lub ów ukazywał się na pokładzie *Duncana*. Paganel nawet, który zwykle do przesady uosabiał usposobienie załogi smutne lub wesołe i w potrzebie wymyśliłby nadzieję, teraz był milczący, ponury i zaledwie się pokazywał. Zwykła jego gadatliwość i żywość francuska zmieniła się w milczenie i przygnębienie, a nawet zdawał się być więcej osowiały, niż reszta jego towarzyszów. Bo jeżeli Glenarvan wspomniał o rozpoczęciu na nowo poszukiwań, to w odpowiedzi geograf wstrząsał głową, jak człowiek niemający najmniejszej nadziei i który już wie, co sądzić o rozbitkach *Britannji*. Czuli wszyscy, że Paganel miał ich za straconych nieodwołalnie.

Na pokładzie znajdował się jednak człowiek, który mógł coś o tem powiedzieć, który jednak milczał ciągle. Był nim Ayrton. Nie ulegało wątpliwości, że ten nędznik, jeżeli nie znał obecnego miejsca pobytu kapitana, to przynajmniej wie o miejscu rozbicia się jego okrętu. Ale Grant, gdyby się znalazł, byłby niedogodnym dla Ayrtona świadkiem, to też kwatermistrz milczał. Upór jego przyprowadzał majtków do wściekłości i koniecznie chcieli mu czemś dokuczyć.

Kilkakrotnie jeszcze Glenarvan ponawiał swe próby, ale tak wszelkie obietnice, jako też groźby okazały się bezowocne. Upór Ayrtona był wogóle tak zacięty i tak niezrozumiały, że wkońcu major doszedł do wniosku, iż kwatermistrz rzeczywiście nic nie wie. Przypuszczenie to zresztą podzielał też geograf, zgadzało się bowiem z jego poglądami osobistemi na sprawę kapitana Granta.

Jeżeli Ayrton nic nie wie, to czemuż nie przyznaje się do tego? Przecież niczby mu to nie szkodziło, a milczenie jego utrudniało powzięcie nowego projektu. Spotkawszy Ayrtona w Australji, czyż mogli nie przypuszczać, że tam znajduje się także kapitan? Za jaką bądź więc cenę należało skłonić kwatermistrza do wytłumaczenia się w tym względzie.

Lady Helena, widząc, że wszelkie usiłowania męża rozbijają się o upór Ayrtona, zażądała, aby pozwolono jej spróbować. Co nie uda się mężczyźnie, może się udać kobiecie. Czyż się nie powtarza wiecznie ta sama bajeczka o huraganie, który nie mógł zerwać płaszcza z ramion podróżnego, gdy tymczasem jeden mały promyk słońca zrobił to w jednej chwili.

To też Glenarvan znając bystrość swojej młodej małżonki, pozostawił jej swobodę działania. Było to piątego marca; do pokoju lady Heleny przyprowadzono Ayrtona. Marja miała byc obecna temu spotkaniu, gdyż wpływ młodej panienki mógł się przydać, a Helena nie chciała zaniedbać niczego, coby do powodzenia pomogło.

Przez godzinę całą były sam na sam z kwatermistrzem *Britannji;* ale co tam zaszło, pozostało tajemnicą. Co mówiły, jakich używały argumentów, by wydrzeć temu człowiekowi jego tajemnicę, słowem, wszystkie szczegóły badania pozostały nieznane nikomu. Gdy wreszcie rozeszły się z Ayrtonem, widoczne było, że ogarnęło je zwątpienie.

To też wracającego do kajuty Ayrtona majtkowie obsypali pogróżkami, na które tylko wzruszał ramionami, co wzmogło jeszcze wściekłość załogi do tego stopnia, że do powstrzymania jej potrzeba było wdania się Johna i Glenarvana. Lady Helena nie dała jednak za wygranę. Postanowiła do końca walczyć z tą bezlitośną duszą. Nazajutrz zatem poszła sama do kajuty Ayrtona, by uniknąć scen wywoływanych przez jego ukazanie się na pokładzie.

Przez dwie godziny dobra ta i łagodna Szkotka pozostawała sam na sam z hersztem zbrodniarzy. Glenarvan, trawiony nerwową niecierpliwością, krążył około kajuty, to postanawiając wytrzymać do ostatka, aby nie stracić ostatniej nadziei powodzenia, to znów gotów wyrwać żonę z tego przykrego posiedzenia.

Gdy wkońcu ukazała się lady Helena, na obliczu jej jaśniała ufność. Czyżby zdobyła tajemnicę, poruszając w sercu nędznika ostatki litości?

Mac Nabbs, który pierwszy wszystko spostrzegał, nie mógł się powstrzymać od bardzo naturalnego uczucia niewiary. A jednak natychmiast rozeszła się pogłoska pomiędzy załogą, że kwatermistrz uległ nareszcie naleganiu lady Heleny. Jakby uderzeniem iskry elektrycznej pobudzeni, wszyscy zebrali się na pokładzie prędzej, niż zdołałaby ich zwołać świstawka Toma.

Glenarvan pośpieszył naprzeciwko żony.

— I cóż? — zapytał.

— Nic — odpowiedziała lady Helena. — Ale ulegając moim prośbom, Ayrton chce się widzieć z tobą.

— Więc ci się udało, kochana Heleno!

— Tak mi się zdaje, Edwardzie.

— Czy przyrzekłaś mu co, coby wymagało mego potwierdzenia?

— Jedną rzecz tylko, mianowicie, że użyjesz całego swego wpływu, by złagodzić los, jaki czeka nieszczęśliwego Ayrtona.

— Dobrze, kochana Heleno. Niech tu Ayrton przyjdzie.

Lady Helena udała się do siebie w towarzystwie Marji, a kwatermistrza zaprowadzono do sali jadalnej, gdzie Glenarvan czekał na niego.

LXVII.

UKŁAD.

Gdy kwatermistrz stanął przed lordem, straż natychmiast się oddaliła.

— Wszak chciałeś ze mną mówić, Ayrtonie? — rzekł Glenarvan.

— Tak, milordzie — odpowiedział kwatermistrz.

— Czy tylko ze mną samym?

— Głównie z Wami, milordzie, ale sądzę, że byłoby lepiej, gdyby panowie Mac Nabbs i Paganel mogli być obecni przy naszej rozmowie.

— Dla kogóż to ma być lepiej?

— Dla mnie.

Ayrton mówił z zupełnym spokojem. Glenarvan kazał więc zawiadomić Mac Nabbsa i Paganela o jego żądaniu, a sam przypatrywał mu się badawczo. Gdy przywołani nadeszli i usiedli przy stole, rzekł do Ayrtona.

— Słuchamy cię.

Ayrton po chwili namysłu w te odezwał się słowa:

— Milordzie, zwyczaj każe, by przynajmniej dwaj świadkowie byli obecni przy zawieraniu kontraktu lub jakiegokolwiek układu mię-

dzy dwoma stronami. Oto powód, dla którego żądałem obecności panów Paganela i Mac Nabbsa. Bo, właściwie mówiąc, mam panu zaproponować pewien interes.

Glenarvan, znając dziwactwa Ayrtona, nie zmienił wyrazu twarzy, chociaż interes pomiędzy nim a tym człowiekiem wydał mu się rzeczą dość szczególną.

— Jakiż to interes? — spytał.

— Zaraz go wyłożę — odpowiedział Ayrton. — Ty, milordzie, chcesz się dowiedzieć ode mnie szczegółów, które ci mogą być pożyteczne. Ja wzamian chciałbym uzyskać coś dla mnie bardzo cennego. Jedno za drugie, nic darmo. Czy zgadzasz się, milordzie, na podobny układ?

— A jakież są te szczegóły, o których wspominasz? — zapytał żywo Paganel.

— Nie — rzekł Glenarvan — powiedz nam raczej, Ayrtonie, jakich korzyści żądasz dla siebie?

Ayrton schyleniem głowy dał poznać, że pojmuje różnicę między pytaniami Paganela i Glenarvana.

— Ty, milordzie — rzekł — masz zawsze jeszcze zamiar oddania mnie w ręce władz angielskich?

— Tak jest, Ayrtonie, bo tego wymaga sprawiedliwość.

— Zaprzeczyć temu nie mogę — rzekł spokojnie kwatermistrz. — A więc nie zgodzisz się na uwolnienie mnie?

Glenarvan zawahał się w odpowiedzi na to stanowcze pytanie, od niej bowiem zależał teraz może los Henryka Granta! Jednakże poczucie obowiązku i sprawiedliwości przeważyło.

— Nie, Ayrtonie — odrzekł — nie mogę cię uwolnić!

— Ja też o to nie proszę — rzekł dumnie kwatermistrz.

— A więc czego żądasz?

— Czegoś pośredniego między szubienicą, która mnie czeka, i wolnością, której nie mogę uzyskać.

— A to jakim sposobem?

— Pozostawcie mnie na jednej z wysp bezludnych oceanu Spokojnego, z przedmiotami niezbędnemi do utrzymania życia. Będę sobie sam radził, będę żałował za moje winy, jeżeli mi na to czas pozwoli.

Glenarvan, nieprzygotowany na podobną propozycję, spojrzał na swych milczących towarzyszów i po chwili namysłu rzekł:

— Ayrtonie, jeżeli zgodzę się na twoje żądanie, czy w takim razie powiadomisz mnie o tem, co potrzebuję wiedzieć?

— Nieinaczej, milordzie, to jest o tyle, o ile sam wiem o kapitanie Grancie i *Britannji*.

— Wszystko, co wiesz?

— Zupełnie wszystko.

— Ale któż zaręczy, że tak będzie istotnie?

— Domyślam się, co cię niepokoi, milordzie; musisz uwierzyć słowom moim, słowom złoczyńcy! Tak, to prawda! Lecz cóż robić? Okoliczności tak się złożyły, a wam wolno je przyjąć lub odrzucić.

— Zdaję się na ciebie, Ayrtonie — rzekł Glenarvan.

— I słusznie, milordzie. Zresztą jeżeli cię oszukam, będziesz miał zawsze sposobność zemszczenia się.

— Ciekawym jak?

— Zabierając mnie z wyspy, z której przecież nie będę mógł umknąć.

Ayrton miał zawsze odpowiedź gotową; sam przeciw sobie stawiał zarzuty i odpierał je zwycięsko. Widać było, że pragnął, aby traktowano z ufnością jego słowo. Z jego też strony było tu najzupełniejsze zaufanie, a znalazł jeszcze środek posunięcia dalej swojej bezinteresowności.

— Panowie — odezwał się — chciałbym, abyście byli przekonani o tem, że postępuję z wami otwarcie; nie myślę wcale was oszukiwać i dam wam nowy dowód mej szczerości w tej sprawie. Postępuję szczerze, bo sam liczę wiele na waszą prawość.

— Mów więc, Ayrtonie — rzekł Glenarvan.

— Tak, milordzie. Szczegóły, które mogę wam podać, odnoszą się do mnie, tyczą się mojej osobistości i nie na wiele wam się zdadzą do trafienia na ślad, którego szukacie.

Na twarzach Glenarvana i majora widać było żywe niezadowolenie. Zdawało im się, że Ayrton posiadał ważną tajemnicę, a tymczasem wyznaje, że to, co powie, na nic się im nie przyda. — Na twarzy Paganela nie było widać, co myśli.

Wszelako to oddawanie się im Ayrtona bez żadnej rękojmi usposobiło przychylnie dla niego słuchaczów, szczególniej też, gdy dodał:

— Uprzedziłem was, milordzie, że sprawa korzystniejsza będzie dla mnie, niż dla was!

— W każdym razie — rzekł Glenarvan — przyjmuję twoją propozycję, Ayrtonie. Daję ci moje słowo, że zawieziemy cię na jedną z wysp oceanu Spokojnego.

— Dziękuję ci, milordzie — odparł kwatermistrz.

Czy obietnica lorda ucieszyła tego szczególnego człowieka, trudno było zgadnąć; bo na jego obojętnej twarzy nie odbiło się żadne wrażenie. Zdawało się, jakby cała ta sprawa tyczyła się kogo innego.

— Więc jestem gotów odpowiadać na zapytania — rzekł Ayrton.

— Nie będziemy ci zadawać pytań — rzekł Glenarvan — mów sam, co wiesz, zaczynając od tego, kim jesteś.

— Panowie — rzekł Ayrton — jestem rzeczywiście Tomaszem Ayrtonem, kwatermistrzem okrętu *Britannia*. Opuściłem Glasgow na okręcie Henryka Granta d. 12-go marca 1861 roku. Przez czternaście miesięcy przebiegaliśmy razem wody oceanu Spokojnego, by znaleść

korzystną miejscowość dla założenia szkockiej osady. Henryk Grant był człowiekiem zdolnym do wielkich przedsięwzięć, ale często żywe pomiędzy nami toczyły się spory. Jego charakter nie zgadzał się z moim. Ja nie umiałem mu ulegać, a Henryk Grant, gdy raz co postanowił, nie można było mu się opierać; człowiek to żelaznej woli dla siebie i dla innych. Mimo to odważyłem się na bunt, usiłowałem przeciągnąć na moją stronę załogę i zawładnąć okrętem. Mniejsza o to, czy miałem słuszność, czy też nie; dosyć, że Grant nie mógł mnie dłużej znieść i wysadził mnie na zachodnim brzegu Australji.

— Australji? — rzekł major, przerywając opowiadanie Ayrtona. — A zatem opuściłeś okręt przed wypoczynkiem w Callao, skąd były ostatnie o nim wiadomości?

— Nieinaczej — odpowiedział Ayrton — bo *Britannia* nie zatrzymywała się wcale w Callao, gdy ja znajdowałem się na jej pokładzie. I jeśli wspominałem wam o Callao w posiadłości Paddy O'Moore'a, to wiedziałem o niem z waszego własnego opowiadania.

— Mów dalej, Ayrtonie — rzekł Glenarvan.

— Zostałem więc sam jeden, opuszczony, na wybrzeżu prawie zupełnie pustem, lecz o dwadzieścia mil tylko od zakładów poprawczych w Perth, stolicy Australji Zachodniej. Błąkając się po wybrzeżach, spotkałem bandę zbiegłych zbrodniarzy. Przyłączyłem się do niej. Zwolnij mnie, milordzie, od opowiadania mego życia w ciągu półtrzecia roku. Dosyć będzie, gdy powiem, że stałem się dowódcą zbiegów, pod imieniem Ben-Joyce'a. W miesiącu wrześniu 1864 roku przybyłem do osady irlandzkiej, gdzie pozostałem, pełniąc obowiązki służącego i nosząc własne moje imię Ayrtona. Tam wyczekiwałem na sposobność pochwycenia jakiego okrętu, bo to było głównym moim celem. W dwa miesiące później przybył *Duncan*. Od was to, milordzie, gdyście przybyli do naszej osady, dowiedziałem się o wypoczynku *Britanji* w Callao i ostatnich o tym okręcie wieściach z miesiąca czerwca 1862 r., więc w dwa miesiące po opuszczeniu go przeze mnie, równie jak o całej sprawie dokumentu, o rozbiciu się okrętu na jednym z punktów trzydziestego siódmego równoleżnika, nakoniec o ważnych powodach, które was skłoniły do szukania Henryka Granta na stałym lądzie Australji. Nie wahałem się ani na chwilę; postanowiłem opanować *Duncana*, bo to pyszny statek, któryby się wymknął najlepszym okrętom marynarki angielskiej. Ale ponieważ był bardzo uszkodzony, pozwoliłem wam zatem odesłać go do Melbourne, a sam przystałem do was jako przewodnik, mający was doprowadzić do fikcyjnie oznaczonego przeze mnie na wschodnim brzegu Australji miejsca rozbicia się *Britanji*. Kierowałem więc waszą wyprawą przez prowincję Wiktorja, mając jużto przed sobą, jużto poza sobą bandę złoczyńców. Moi ludzie popełnili, otwierając most w Camden, niepotrzebną zbrodnię, ponieważ *Duncan*, już znajdując się przy brzegu, nie mógł mi się wymknąć, a będąc panem tego jachtu, byłem panem

oceanu. Oto, czemu zaprowadziłem was nad brzeg Snowy z zupełnem z waszej strony zaufaniem. Konie i woły padały jedne po drugich, bo je trułem rośliną gastrolabium. Wprowadziłem wasz wóz w błota Snowy także umyślnie... Ale wiesz już resztę, milordzie, i możesz być przekonany, że gdyby nie roztargnienie pana Paganela, dowodziłbym dzisiaj na pokładzie *Duncana*. Taka jest moja historja, milordzie. Żałuję, że moje opowiadanie nie naprowadzi cię na ślady Henryka Granta, i teraz widzisz, że zawierając ze mną układ, zły zrobiłeś interes.

Ayrton zamilkł, skrzyżował, jak miał zwyczaj, ręce na piersi i czekał. Glenarvan i jego przyjaciele milczeli także. Czuli, że ten szczególny złoczyńca wszystko im już powiedział. Zajęcie *Duncana* nie udało mu się z powodów zupełnie niezależnych od jego woli. Jego wspólnicy przybyli do brzegów zatoki Twofold, jak tego była dowodem kurtka, znaleziona przez Glenarvana. Stosując się do rozkazów swego herszta, czekali na jacht, ale nie mogąc go się doczekać, powrócili zapewne do swego zwykłego rzemiosła łupieżców i podpalaczów w osadach Nowej Walji Południowej.

Major pierwszy rozpoczął na nowo badania, by być zupełnie pewnym dat, tyczących się *Britanji*.

— A więc było to 8-go kwietnia 1862 r., gdy cię wysadzono na wschodnim brzegu Australji?

— Tak jest — odpowiedział Ayrton.

— A czy wiesz, jakie były natenczas plany Henryka Granta?

— Niezupełnie.

— Powiedz nam jednak, co wiesz, Ayrtonie — rzekł Glenarvan. — Najmniejsza wskazówka może nas naprowadzić na ślad.

— Powiem, co mogę powiedzieć, milordzie — odpowiedział kwatermistrz — kapitan Grant miał zamiar zwiedzić Nową Zelandję. Ta część jego planu nie była jeszcze wykonana za mojej bytności na pokładzie. Jest więc prawdopodobne, że *Britannia*, opuściwszy Callao, udała się do Nowej Zelandji; toby się zgadzało z datą 27-go czerwca 1862 r., znajdującą się na dokumencie, donoszącym o rozbiciu się statku.

— Rzeczywiście — poświadczył Paganel.

— Ale — dodał Glenarvan — żadne szczątki wyrazów, zachowanych na dokumencie, nie odnoszą się do Nowej Zelandji!

— Na to ja już nic nie poradzę — odpowiedział Ayrton.

— Ayrtonie — rzekł Glenarvan — dotrzymałeś danego słowa, teraz ja dotrzymam swego. Zdecydujemy, na której z wysp oceanu Spokojnego masz być zostawiony.

— To jest dla mnie zupełnie obojętne, milordzie — odpowiedział Ayrton.

— Wracajże do kajuty — rzekł Glenarvan — i oczekuj naszego postanowienia.

Kwatermistrz odszedł pod strażą dwu majtków.

— Ten zbrodniarz byłby mógł być człowiekiem — zauważył major.

— Rzeczywiście — dodał Glenarvan. — Jest to umysł dzielny i inteligentny! I czy to nie szkoda, że te swoje zdolności wyzyskał w złym kierunku!

— Lecz Henryk Grant?

— Kto wie, czy nie na zawsze już jest stracony. Biedne dzieci! Któż może im powiedzieć, gdzie znajduje się ich ojciec?

— Ja — odrzekł Paganel. — Tak, ja!

Można było zauważyć, że Paganel, z natury niecierpliwy i gadatliwy, prawie nic nie mówił podczas badania Ayrtona. Słuchał z zaciśniętemi zębami. Ale jego ostatnie słowo więcej znaczyło, niż wiele innych. Glenarvan aż podskoczył z radości.

— Ty, Paganelu — zawołał — ty wiesz, gdzie jest kapitan Grant?

— O ile można wiedzieć — odpowiedział geograf.

— A skąd to wiesz?

— Z tego nieśmiertelnego dokumentu.

— O! — wykrzyknął major tonem pełnym niedowierzania.

— Najpierw słuchaj, majorze — powiedział Paganel — a potem będziesz wzruszał ramionami. Dotychczas nic nie mówiłem, ponieważ przypuszczałem, że bylibyście mi nie uwierzyli. Jeżeli zaś dziś to czynię, to dlatego, że Ayrton swojem opowiadaniem poparł moje przypuszczenia.

— Więc Nowa Zelandja... — spytał Glenarvan.

— Słuchajcie i sądźcie — odpowiedział Paganel. — Nie tak całkiem bezmyślnie, a raczej nie bez przejęcia się pewną myślą, popełniłem omyłkę, która nas ocaliła. W chwili, gdym pisał list, dyktowany mi przez Glenarvana, wyraz „Ze aland" stał mi ciągle na myśli. Przypominasz sobie, byliśmy wówczas na wozie, Mac Nabbs opowiadał lady Helenie historję złoczyńców i dał mi numer *Australian and Zealand Gazette,* gdzie się znajdowała wiadomość o wypadku z mostem w Camden. W chwili, gdy pisałem, dziennik leżał na ziemi, zgięty w taki sposób, że tylko dwie sylaby tytułu, mianowicie *aland* były widzialne. Jakże mi się rozjaśniło w głowie! *Aland* był to właśnie wyraz dokumentu angielskiego, któryśmy przetłumaczyli przez: *na lądzie,* a który jednak miał być zakończeniem nazwy *Zealand.*

— Tak myślisz? — rzekł Glenarvan.

— Tak, tak — odrzekł Paganel z głębokiem przekonaniem — przy tłumaczeniu nie dostrzegłem tego, a wiecie dlaczego? Bo moje poszukiwania opierały się, naturalnie, na dokumencie francuskim, dokładniejszym niż inne, którym brakowało tego ważnego wyrazu.

— No, no! rzekł major — to trochę za wiele imaginacji, Paganelu, i zbyt łatwo zapominasz o ostatnich twoich wywodach.

— Rób mi dalej zarzuty, majorze, gotów jestem ci odpowiadać.

— A cóż się stanie z twoim wyrazem *austr.*

— To, co było przedtem. Oznacza on strony południowe *).

— No, dobrze. A ta zgłoska *indi,* która najpierw była pierwiastkiem wyrazu *indiens,* a potem wyrazu *indigènes?*

— A więc po raz trzeci i ostatni będzie pierwszą w wyrazie *indigence* — odpowiedział Paganel.

— A *contin* — zapytał Mac Nabbs — czy jeszcze znany *continent?*

— Nie, bo Nowa Zelandja jest tylko wyspą.

— Zatem cóż? — spytał Glenarvan.

— Mój kochany lordzie — odpowiedział Paganel — wyłożę ci dokument podług mojego ostatniego tłumaczenia i dopiero wtenczas będziesz mógł słusznie sądzić. Zrobię jednak dwa zastrzeżenia: 1° Zapomnij, o ile to jest możliwe, poprzedzających tłumaczeń i uwolnij twój umysł od dawniejszych myśli; 2° niektóre ustępy będą ci się zdawały naciągane i być może, że ja je źle rozumiem, ale nie umiem go lepiej wytłumaczyć. Zresztą dokument francuski przyjąłem za podstawę wykładu — a nie trzeba zapominać, że go pisał Anglik, któremu duch języka nie był dobrze znany. To powiedziawszy, zaczynam.

I wymawiając wolno każdą zgłoskę, Paganel czytał następujące zdania:

„Le 27 *juin* 1864 le *trois-mâts Britannia* de *Glasgow* a *sombré* après une longue *agonie* dans les mers *australes* sur les côtes de la Nouvelle Zé *lande. Deux matelots* et le *capitaine Grant* ont pu y *aborder.* Là, *contin*uellement en *pro*ie à une *cruel*le *indi*gence, ils ont *jeté ce document* par... *de lon*gitude *et* 37° 11' de *lati*tude. *Venez à leur* secours, ou ils sont *perdus*".

(Dnia 27-go czerwca 1864 r. okręt trzymasztowy *Britannia* z Glasgowa zatonął po długiem kołataniu się po morzach południowych**), na brzegach Nowej Zelandji. Dwaj majtkowie i kapitan Grant zdołali się dostać na ląd. Tam, w ciągłym pozostając niedostatku, rzucili ten dokument pod... długości i 37° 11' szerokości. Przybądźcie im na pomoc, albo zginą).

Paganel zatrzymał się. Nowe to jego tłumaczenie mogło być równie prawdopodobne, jak poprzedzające; mogło być więc także mylne. Major i Glenarvan nie mieli zamiaru rozstrząsać tego. Ponieważ jednak nigdzie nie znaleziono śladów *Britanji,* ani na brzegach Patagonji, ani też na brzegach Australji, w miejscach, gdzie przecina

*) *Austral* — południowy.

**) Marynarze angielscy nazywają część południową oceanu Spokojnego: *South Sea,* co znaczy: morza południowe.

je trzydziesty siódmy równoleżnik, wszystko więc przemawiało za Nową Zelandją.

Tą uwagą Paganel uderzył szczególniej swych przyjaciół.

— Powiedz mi teraz, Paganelu, dlaczego od dwu niemal miesięcy trzymałeś to tłumaczenie w tajemnicy? — spytał Glenarvan.

— Bo nie chciałem wam robić próżnych nadziei. Zresztą jechaliśmy do Aucklandu, znajdującego się właśnie pod szerokością geograficzną oznaczoną w dokumencie.

— Ale potem, gdyśmy zboczyli z tej drogi, dlaczego także nic o niem nie wspomniałeś?

— Bo choćby nawet trafne było to tłumaczenie, nie pomoże nam do odnalezienia kapitana.

— A to dlaczego?

— Bo przypuszczając, że kapitan Grant był istotnie zapędzony na Nową Zelandję, to ponieważ od dwu lat niema żadnej o nim wieści, musiał zatem utonąć, albo stać się ofiarą Zelandczyków.

— Więc cóż mamy robić? — spytał Glenarvan.

— Choćbyśmy odnaleźli ślady rozbicia się statku, ludzie są niewątpliwie straceni.

— Sza o tem, moi przyjaciele — rzekł Glenarvan — pozostawcie mi wybór chwili, w której zawiadomię dzieci kapitana Granta o tej smutnej nowinie.

LXVIII.

KRZYK W NOCY.

Osada dowiedziała się wkrótce, że zeznania Ayrtona nie wyjaśniły tajemnicy losów kapitana Granta. Zniechęcenie było ogólne, bo liczono bardzo na kwatermistrza, okazało się tymczasem, że Ayrton nie wie nic, coby pozwalało trafić na ślad *Britanji.*

Nie zmieniono więc kierunku jachtu; należało tylko wybrać wyspę, na której miał pozostać Ayrton.

Paganel i John Mangles radzili się map okrętowych. Właśnie pod tym 37° szerokości oznaczona była samotna wysepka, znana pod imieniem *Marji Teresy,* skalisty punkt, rzucony śród pełnego oceanu, oddalony o 3500 mil od wybrzeży amerykańskich, a o 1500 od Nowej Zelandji. Ku północy ziemie najwięcej zbliżone tworzyły archipelag Pomotu, będący pod opieką Francji; ku południowi zaś było pusto zupełnie aż do wiecznych lodów bieguna południowego. Ani jeden okręt nie przybijał do tej samotnej wyspy, żadne echo świata nie dolatywało do jej wybrzeży; tylko ptaki odpoczywały tam w czasie dłu-

gich swych wycieczek. Na wielu nawet kartach geograficznych skała ta, otoczona przez fale oceanu Spokojnego, nie była oznaczona.

Nigdzie samotność nie mogła być zupełniejsza, jak na tej wyspie, zdala od dróg uczęszczanych przez ludzi. Wskazano położenie jej Ayrtonowi, a gdy zgodził się na życie tam samotne, skierowano statek ku Marji Teresie.

W dwa dni potem o godzinie drugiej marynarz na straży zwiastował bliskość ziemi. Była to Marja Teresa, wyspa zaledwie wynurzona z wody, podłużnym kształtem swym podobna do olbrzymiego wieloryba. Trzydzieści mil angielskich oddzielało ją jeszcze od statku, którego dziób pruł fale z szybkością szesnastu węzłów.

Kształty wyspy zarysowywały się zwolna na widnokręgu. Słońce, schylając się ku zachodowi, pełnem światłem uwydatniało kapryśne jej kształty. Kilka niewielkich szczytów błyszczało jaśniej w różnych miejscach wyspy.

O piątej po południu zdawało się Johnowi, że widzi dym, wznoszący się ku niebu.

— Czy to wulkan? — pytał Paganel, który przez lunetę przyglądał się nieznanej ziemi.

— Nie wiem, co myśleć o tym dymie — odpowiedział kapitan. — Marja Teresa jest prawie nieznana; nie należałoby się jednak dziwić, gdyby była pochodzenia wulkanicznego.

— Ależ — mówił Glenarvan — jeżeli powstała wskutek jednego wybuchu, to wolno przypuszczać, że drugi może ją zniszczyć.

— Nie sądzę — odpowiedział Paganel — a rękojmią tego jest istnienie tej wyspy od kilku wieków. Co innego nowe wyspy, naprzykład Julja, która ukazawszy się na morzu Śródziemnem, znikła w parę miesięcy potem.

— Jak myślisz, Johnie — mówił Glenarvan — czy przybijemy tam przed wieczorem.

— W żaden sposób. Nie mogę narażać *Duncana* na zarzucanie kotwicy po nocy przy nieznanym mi brzegu! Podpływać będziemy zwolna, a jutro, o wschodzie słońca, wyślemy szalupę.

O ósmej wieczorem wyspa, oddalona tylko o pięć mil, widniała, jak cień podłużny i zaledwie widzialny. *Duncan* przybliżał się ciągle. O dziewiątej dosyć mocne światło, niby ogniska, zabłysło w ciemności i trwało nieruchomo.

— I ten ogień dowodziłby istnienia tam wulkanu — rzekł Paganel, przyglądając się uważnie światłu.

— W tej odległości powinnibyśmy słyszeć trzask zwykły przy wybuchu — odpowiedział John — a wiatr wschodni nie przynosi najmniejszego nam odgłosu.

— To prawda — potwierdził geograf — ten wulkan świeci, ale się nie odzywa, możnaby powiedzieć, że wybucha z przerwami, jak świecą niektóre latarnie morskie.

— Masz pan słuszność — odparł John Mangles — a jednak nie jesteśmy przy oświetlonym brzegu. Ot — zawołał po chwili — i drugi ogień! I to na brzegu! Patrzcie, porusza się! Zmienia miejsce!

John nie mylił się. Ukazał się istotnie nowy ogień, który zdawał się to gasnąć, to znów płonąć jaśniej.

— Wyspa zatem jest zamieszkała — odezwał się Glenarvan.

— Zapewne przez dzikich — odpowiedział Paganel.

— W takim razie nie możemy pozostawić na niej Ayrtona.

— W żaden sposób — potwierdził major. — Byłby to zanadto zły podarunek nawet dla dzikich.

— Poszukamy jakiej innej wyspy — rzekł na to Glenarvan, nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu wobec uwagi Mac Nabbsa. Obiecałem Ayrtonowi wolność i muszę dotrzymać obietnicy.

— W każdym razie strzeżmy się — dodał Paganel. — Zelandczycy mają zwyczaj oszukiwać okręty ruchomemi ogniami, jak niegdyś mieszkańcy Kornwalji; a mieszkańcy Marji Teresy mogą znać ten podstęp.

— Jutro o wschodzie słońca — rzekł John — będziemy wiedzieli, czego się trzymać.

O jedenastej podróżni i John wrócili do kajut. Na dziobie okrętu przechadzała się po pokładzie straż, na rufie tylko sternik był przy rudlu.

Marja i Robert wyszli w tej chwili na pokład. Oparci o poręcz, spoglądali smutno na błyszczące fosforycznie morze i smugę światła, ciągnącą się za *Duncanem.* Marja myślała o przyszłości Roberta, on o przyszłości siostry — a oboje zarazem o ojcu. Czy żyje ten ukochany ich ojciec, czy też trzeba się go już wyrzec? Ale jakże żyć bez niego? Co się stanie z nimi i coby już się stało dotychczas, gdyby nie lord Glenarvan i jego żona!

Chłopczyna, dojrzały pod wpływem nieszczęścia, odgadywał myśli siostry. Ujął ją za rękę i rzekł:

— Mary, nie trzeba nigdy rozpaczać; przypomnij sobie, jak nas uczył nasz ojciec: „Odwaga wszystko zastąpi na ziemi". Miejmy więc tę odwagę, która go wynosiła nad innych. Dawniej tyś pracowała na mnie; teraz ja na ciebie będę pracował.

— Kochany Robercie! — szepnęła młoda dziewczyna.

— Muszę ci coś powiedzieć — mówił Robert — ale nie będziesz się gniewała, Mary?

— I za cóż miałabym się gniewać, dzieciaku?

— I pozwolisz mi na to, czego pragnę?

— O czem mówisz? — zapytała Marja z niepokojem.

— Siostrzyczko, ja będę marynarzem...

— I rozłączysz się ze mną, Robercie! — zawołała, ściskając rękę brata.

— Tak, będę marynarzem jak nasz ojciec, jak kapitan John. Mary, droga Mary! Kapitan John nie stracił nadziei, a ty nabierzesz, tak, jak ja, do niego zaufania. On zrobi ze mnie, przyrzekł mi to, dobrego i dzielnego marynarza, a tymczasem będziemy razem szukali naszego ojca. Powiedz, siostrzyczko, że się zgadzasz. Co ojciec zrobiłby dla nas, myśmy powinni, a raczej ja powinienem zrobić dla niego. Moje życie ma jedyny cel, do którego zdążać będzie: szukać ciągle tego, który nie byłby nigdy opuścił żadnego z nas. Kochana Marjo! Jakże dobry był ojciec dla nas!

— A jak szlachetny i wspaniałomyślny — dodała Marja. — Czy wiesz Robercie, że był chlubą naszego kraju i że, gdyby los nie był powstrzymał go w drodze, zaliczonoby go do wielkich ludzi.

— Ja miałbym nie wiedzieć o tem! — zawołał Robert.

Marja uścisnęła chłopca, który poczuł łzy jej, spływające mu po czole.

— Mary, kochana Mary — zawołał — niech nasi przyjaciele co chcą mówią, ale ja ciągle mam nadzieję i mieć ja będę! Taki człowiek, jak nasz ojciec, nie umiera, nie dokonawszy tego, co mu było przeznaczone.

Marja nie była w stanie odpowiedzieć, dławiło ją łkanie. Tysiące uczuć budziła w jej duszy myśl, że przedsięwzięte będą usiłowania, by odnaleźć jej ojca, tak wzruszało ją poświęcenie młodego kapitana.

— Więc pan John nie zwątpił jeszcze? — pytała.

— Nie zwątpił siostrzyczko; jest on dla nas bratem i nie opuści nas nigdy. Wszak zgodzisz się, abym i ja stał się żeglarzem i razem z nim poszukiwał naszego ojca.

— I owszem, pragnę tego — odpowiedziała Marja. — Ale w takim razie będziemy musieli się rozłączyć!

— Nie pozostaniesz sama, wiem dobrze; mówił mi nasz przyjaciel John, że lady Helena nie puści cię od siebie. Ty, jako kobieta, możesz, a nawet powinnaś przyjąć od niej tę łaskę. Odmówić byłoby niewdzięcznością. Co innego ja. Ojciec mówił nieraz, że mężczyzna sam sobie swój los wywalczyć powinien.

— Co się stanie z naszym kochanym domkiem w Dundee, z którym tyle łączy się wspomnień?

— Zatrzymamy go, siostruniu! Już o wszystkiem pomyślał i dobrze to urządził John, z pomocą lorda Glenarvana. Pozostaniesz u lorda, na zamku Malcolm, jak córka. Lord mówił o tem Johnowi, który mnie to powtórzył! Będziesz tam jak u siebie i będziesz mogła mówić o ojcu, nim ci go przywieziemy. A co to za szczęśliwy dzień będzie! — zawołał Robert z rozpromienionemi zapałem oczyma.



...to prawdziwy raj, ta wysepka! (str. 456).

— Mój bracie, moje dziecko! — zawołała Marja — jakżeby ojciec był szczęśliwy, gdyby mógł cię słyszeć w tej chwili! Jesteś niezmiernie do niego podobny. Gdy dorośniesz, będziesz zupełnie taki jak on.

— Oby Bóg cię wysłuchał — odparł Robert, pełen świętej dumy synowskiej.

— A jakim sposobem odwdzięczymy się lordowi i lady Glenarvan? — zapytała Marja.

— Nie będzie to trudne! — zawołał Robert z zapałem dziecięcym. — Wszak kochamy ich i czcimy, wszak składamy im tego dowody słowami i uściskami, a przy pierwszej sposobności dam się zabić za nich.

— Przeciwnie, żyj dla nich! — zawołało dziewczę, pokrywając pocałunkami czoło brata. — Z pewnością będą woleli to niemniej ode mnie.

I rozmarzone dzieci kapitana Granta spoglądały na siebie w milczeniu, śród głębokich ciemności nocnych. Pomimo jednak tego milczenia myśli ich zbiegały się i porozumiewały. Spokojne morze kołysało się długiemi falami, a z pod śruby jachtu tryskał w ciemności wir świetlany.

W owej chwili zdarzyło się coś dziwnego i nadnaturalnego. Brat i siostra wskutek związku magnetycznego, tajemniczo łączącego ich dusze, ulegli w jednej i tej samej chwili jednemu i temu samemu złudzeniu. Wydałi się Marji i Robertowi, że z pośród fal, to jasnych, to ciemnych, dochodzi ich wołanie, którego dźwięk głęboki i żałosny wzruszył ich do głębi serca:

— Do mnie! do mnie!

— Mary, czy słyszysz? Czy słyszałaś? — pytał Robert.

Przysunęli się nagle do poręczy i, przechyliwszy się, patrzyli w głębie nocy.

Nic jednak nie zobaczyli, prócz rozciągającej się przed nimi ciemności.

— Robercie — mówiła blada ze wzruszenia Marja — zdawało mi się... Tak, zdawało mi się, równie jak tobie. Musimy mieć gorączkę oboje, Robercie!

Lecz w tej chwili doszło ich nowe wołanie, a złudzenie było tak silne, że naraz z obu piersi wyrwał się okrzyk:

— Ojciec! Ojciec!

Zanadto było już tego dla Marji. Złamana wzruszeniem, upadła zemdlona na ręce Roberta.

— Ratunku! — krzyknął Robert. — Moja siostra! Mój ojciec! Ratunku!

Sternik przybiegł podnieść młodą dziewczynę, przybiegli także majtkowie z przodu okrętu i wyrwani ze snu: John Mangles, lady Helena i Glenarvan.

— Siostra umiera, a nasz ojciec tam! — zawołał Robert, wskazując na fale.

Nikt nie rozumiał, co to znaczy.

— Tak, mój ojciec jest tam! Słyszałem głos jego. Mary też słyszała!

— Ojciec! tam jest mój ojciec!

Biedna dziewczyna podniosła się i, przechylając się przez poręcz, chciała rzucić się w morze.

— Milordzie, lady Heleno — powtarzała, składając ręce — mój ojciec jest tam niezawodnie! Przysięgłabym, żem słyszała jego głos, wychodzący z pośród fali niby narzekanie lub pożegnanie ostatnie.

Spazmy i konwulsje wstrząsały biedną dziewczyną? Musiano przenieść ją do kajuty, dokąd udała się też lady Helena.

Robert powtarzał bezustannie:

— Ojciec mój jest tam! Jest tam niezawodnie, milordzie!

Obecni tej bolesnej scenie zrozumieli nareszcie, że dzieci kapitana Granta stały się igraszką przywidzenia. Ale jakżeż wyprowadzić z błędu ich zmysły, wstrząśnięte tak gwałtownie? Glenarvan chciał próbować. Wziął za rękę Roberta.

— Słyszałeś więc, drogi chłopcze, głos ojca?

— Niezawodnie — milordzie! Wołał z pośród fali: — Do mnie, do mnie!

— I tyś głos poznał?

— Jakto, czym poznał, milordzie! Przysięgam na to. I siostra słyszała i poznała, tak jak ja! Czy możesz przypuszczać, abyśmy się omylili oboje? Milordzie, śpieszmy na pomoc memu ojcu! Szalupy! Szalupy!

Glenarvan widząc, że nie potrafi wyperswadować złudzenia biednemu dziecku, spróbował jeszcze ostatniego środka i przywołał sternika.

— Hawkins, wszak byłeś przy rudlu w chwili, gdy upadła panna Marja?

— Byłem, milordzie — odpowiedział Hawkins.

— I nic nie widziałeś, ani słyszałeś?

— Nic.

— Więc widzisz Robercie!

— Gdyby to był ojciec Hawkinsa — odpowiedział chłopiec z nieposkromioną energią — Hawkins nie powiedziałby, że nic nie słyszał. To był mój ojciec, milordzie, mój ojciec!

Głos Roberta zamienił się w łkanie. Nagle chłopak pobladł, zamilkł i także stracił przytomność.

Glenarvan kazał przenieść go na swoje łóżko; chłopczyna, zwalczony wzruszeniem, zasnął głęboko.

— Biedne sieroty! — rzekł John Mangles — strasznie Pan Bóg je doświadcza.

— To prawda — odpowiedział Glenarvan — nadmiar boleści wywołał u obojga w jednej i tejże samej chwili to samo przywidzenie.

— U obojga! — powtórzył Paganel. — To rzecz dziwna! Nauka nie umiałaby tego objaśnić.

Więc i Paganel przechylił się nad morze i nadstawił ucha, dawszy poprzednio znak, aby milczano.

Zapanowała cisza zupełna; Paganel huknął silnym głosem — żadnej odpowiedzi.

— Dziwna rzecz! — powtarzał geograf, wracając do kajuty — łączność sympatyczna myśli i cierpienia nie może jeszcze dostatecznie wytłumaczyć tego fenomenu.

Nazajutrz, 8-go marca, o piątej z rana, gdy dopiero świtało, wszyscy podróżni, nie wyłączając Marji i Roberta, gdyż nie było środka na zatrzymanie ich w łóżkach, zgromadzili się na pokładzie *Duncana*, wszyscy bowiem chcieli przyjrzeć się ziemi, zaledwie dostrzeganej wczoraj.

Zbadano bacznie przez lunety wydatniejsze punkty wyspy. Jacht znajdował się w odległości mili angielskiej od brzegu i łatwo można było widzieć z niego, co się dzieje na wyspie.

Nagle rozległ się krzyk Roberta. Zaręczał, że widzi dwu ludzi, biegających i dających znaki, gdy trzeci poruszał flagą.

— To flaga angielska! — krzyknął John, spojrzawszy przez lunetę.

— Prawda! — potwierdził Paganel, obracając się żywo w stronę Roberta.

— Milordzie — prosił Robert, drżąc ze wzruszenia — milordzie! Jeżeli nie chcesz, bym się rzucił wpław do wyspy, to każ spuścić łódź na morze. Milordzie, błagam cię, niech pierwszy stanę na ziemi.

Nikt nie śmiał się odezwać. Jakto! Więc na tej wyspie, przez którą przechodzi trzydziesty siódmy równoleżnik, znajdują się istotnie trzej rozbitkowie, Anglicy! I każdy na pokładzie przypomniał sobie wczorajsze zdarzenie; ów głos, słyszany przez Marję i Roberta!

Może zatem rzeczywiście dzieci głos słyszały, a myliły się tylko pod tym względem, że to głos ich ojca. To też wszyscy obawiali się, aby straszny zawód, który spotkać je może, nie był nad ich siły. Ale jakże je powstrzymać? Glenarvan nie miał na to odwagi.

— Szalupa! — krzyknął na majtków.

W ciągu minuty łódź była na morzu. Dzieci kapitana, Glenarvan, John Mangles i Paganel wskoczyli szybko do niej i szalupa, pchana siłą sześciu majtków, wiosłujących gorączkowo, sunęła całym pędem.

O dziesięć sążni od brzegu z piersi Marji wydarł się krzyk rozdzierający:

— Ojciec!

Nad brzegiem, pomiędzy dwoma innymi ludźmi, stał mężczyzna wysokiego wzrostu, silnej budowy, o wyrazie twarzy śmiałym i łagodnym zarazem i o rysach tak Marji, jak i Roberta; taki właśnie, jakiego nieraz opisywały dzieci. Nie omyliły ich serca! Był to ich ojciec, kapitan Grant!

Kapitan, usłyszawszy krzyk Marji, wyciągnął ręce i upadł na ziemię, jak piorunem rażony.

LXIX.

WYSPA TABOR.

Nie umiera się z radości, skoro i ojciec, i dzieci przyszli do siebie pierwej, nim dostali się na okręt. Któż opisze scenę powitania? Nie starczyłoby słów nato. Załoga płakała, widząc te trzy istoty, tonące w niemym uścisku.

Henryk Grant, stanąwszy na pokładzie, ukląkł; pobożny Szkot chciał, stąpiwszy na statek, będący dla niego niejako ziemią ojczystą, najpierw podziękować Bogu za oswobodzenie.

Zwrócił się potem ku lady Helenie, lordowi Glenarvanowi i reszcie towarzystwa, dziękując im głosem złamanym ze wzruszenia. W kilku słowach, w czasie przeprawy z wyspy na jacht, dzieci powiadomiły go o całej historji *Duncana*.

Jakżeż niezmierny dług zaciągnął on względem tej szlachetnej kobiety i jej towarzyszów! Czyż wszyscy, począwszy od Glenarvana aż do ostatniego majtka, nie narażali się i nie cierpieli dla niego? Kapitan Grant wynurzył uczucie wdzięczności, przepełniające jego serce, z taką prostotą i godnością; jego męskie rysy jaśniały wzruszeniem tak czystem i łagodnem, że wszyscy czuli się dostatecznie wynagrodzeni za trudy przebyte. Nawet obojętny zwykle major nie był w stanie powstrzymać cisnących mu się do oczu łez. Poczciwy Paganel płakał, jak dziecko, nie myśląc wcale ukrywać się z tem, że płacze.

Henryk Grant przypatrywał się ciągle córce; wydawała mu się piękną, prześliczną! Mówił jej to i powtarzał głośno, biorąc na świadka lady Helenę, jakgdyby się chciał tym sposobem zabezpieczyć przeciw złudzeniom miłości ojcowskiej. To znów zwracał się do syna:

— Jakże on urósł a toż to już mężczyzna całą gębą — wołał uszczęśliwiony, nie szczędząc tysiąca pocałunków, zachowanych dla drogich istot przez dwa lata oddalenia od nich.

Robert przedstawiał mu kolejno swoich przyjaciół i umiał urozmaicać te rekomendacje, choć o każdym jedno i to samo miał do powiedzenia, mianowicie że każdy oddzielnie i wszyscy razem byli jak najlepsi dla obojga sierot. Gdy przyszła kolej na Johna, młody dowódca okrętu rumienił się, jak młoda panienka, i drżącym głosem odpowiadał ojcu Marji.

Lady Helena opowiadała kapitanowi takie szczegóły z podróży, że był dumny z córki i z syna. Dowiedział się o rycerskich czynach młodego bohatera i jakim sposobem chłopiec spłacił część długu ojcowskiego lordowi Glenarvanowi. John Mangles opowiadał mu znów o Marji w taki sposób, że Henryk Grant, uprzedzony już kilku słowami lady Heleny, włożywszy rękę córki w dzielną dłoń młodego kapitana, zwrócił się do lorda i lady Glenarvan ze słowami:

— Pobłogosławcie ze mną naszym dzieciom.

Gdy już wszystko powiedziano i powtórzono po tysiąc razy, Glenarvan zawiadomił Granta o Ayrtonie; kapitan poświadczył zeznanie kwatermistrza, co do wysadzenia go na brzegu australijskim.

— Rozumny to i śmiały człowiek, ale namiętności popchnęły go do złego. Oby rozwaga i pokuta sprowadziły go na lepszą drogę!

Kapitan Grant jednak chciał przyjąć nowych swych przyjaciół na wyspie Tabor, zanim jeszcze Ayrton będzie na nią przewieziony. Zaprosił ich, by odwiedzili jego drewniany domek i zasiedli przy stole Robinsona mórz południowych.

Zaproszeni przystali na tę propozycję z całego serca. Robert i Marja gorąco pragnęli zobaczyć miejsce, w którem ojciec opłakiwał ich przez dwa lata.

Przygotowano szalupę i niezadługo ojciec, dzieci, lady i lord Glenarvan, major, John Mangles i Paganel wysiedli na wyspie.

Parę godzin wystarczyło na obejrzenie posiadłości Henryka Granta. Był to tylko szczyt góry podmorskiej, którego powierzchnię okrywały odłamy skał bazaltowych i szczątki wulkaniczne. W geologicznej epoce ziemi góra ta zwolna wyłaniała się z głębi oceanu Spokojnego wskutek działania ogni wewnętrznych; od wieków jednak wulkan zamienił się w spokojną górę, a po zapełnieniu się krateru, stał się wysepką, otoczoną przez płaszczyznę wodną. Zczasem utworzyła się tam ziemia urodzajna, zakorzeniła się roślinność, a zapewne przyjezdni poławiacze wielorybów pozostawili tam niektóre zwierzęta domowe, jak kozy i świnie, mnożące się dziko. W ten sposób wszystkie trzy królestwa przyrody miały przedstawicieli na tej wyspie, sterczącej pośrodku oceanu.

Rozbitkowie z *Britanji,* wyrzuceni na nią, zagospodarowali wyspę. Przez półtrzecia roku Grant i dwaj będący z nim majtkowie pracowali nad tem. Kilką morgów ziemi uprawili starannie i mieli poddostatkiem jarzyn wybornego gatunku.

Goście przybyli do domku, ocienionego zieleniejącemi drzewami gumowemi, pod którego oknami roztaczało się lśniące jasnością słoneczną morze. W cieniu tych pięknych drzew Grant nakrył do stołu i częstował swych nowych przyjaciół polędwicą z kozy, chlebem, wyrobionym z kłosów traw rosnących na wysepce, mlekiem, dziką cykorją i czystą wodą. Oto bankiet godny arkadyjskich pasterzy!

Paganel był zachwycony; dawne jego zachcianki Robinsonowe napadły go znowu.

— Temu łotrowi Ayrtonowi nie będzie tu najgorzej; to prawdziwy raj, ta wysepka!

— Zapewne że raj dla trzech rozbitków—rzekł kapitan Grant—szkoda jednak, że Marja Teresa nie jest wyspą obszerną i urodzajną, że zamiast strumyka nie ma rzeki, i portu zamiast zatoczki, w której żaden statek schronić się przed burzą nie może.

— A nacóż to wszystko? — spytał Glenarvan.

— Założyłbym kolonję, którą chciałem na chwałę Szkocji założyć na oceanie Spokojnym.

— A więc, kapitanie, nie pozbyłeś się myśli, która cię tak rozsławiła w naszej starej Szkocji!

— Bynajmniej, milordzie! A ponieważ Pan Bóg mnie ocalił za twem pośrednictwem, sądzę, że mój zamiar doprowadzę do skutku. Trzeba przecież, żeby nasi bracia ze starej Kaledonji, żeby wszyscy, którzy cierpią, mogli uciec na tę nową ziemię przed ścigającą ich na starej ziemi nędzą. Nasza kochana ojczyzna powinna mieć w tych stronach swą kolonję, wyłącznie do niej należącą, gdzieby panowała ta niepodległość, którą straciliśmy w Europie!

— Jak to pięknie powiedziane! — rzekła lady Helena. — To pyszny projekt i godzien wielkiej duszy. Ale na takiej wysepce!...

— O nie, pani. Na tej skale zaledwie kilku ludzi mogłoby się wyżywić; nam trzeba kolonji obszernej i bogatej we wszystkie skarby natury dziewiczej.

— A więc kapitanie — zawołał Glenarvan — będziemy razem szukali takiej ziemi. Mamy przyszłość przed sobą.

Jakby na zatwierdzenie tej umowy, dłonie Henryka Granta i Glenarvana splotły się w gorącym uścisku.

Zaraz też, jeszcze na tej wysepce, w tym biednym domku, wszyscy pragnęli posłyszeć, co się działo z rozbitkami z *Britanji* przez te półtrzecia roku.

Henryk Grant nie dał się prosić.

— Moja historja—rzekł—jest taka sama, jak każdego rozbitka, wyrzuconego na bezludną wyspę; każdy z nich czuje, że nie mając na kogo liczyć, chyba na Boga i siebie samego, powinien życia swego bronić przed napaścią żywiołów. Było to nocą z 26-go na 27-my czerwca 1862 r. *Britannia,* kołatana burzą przez sześć dni, rozbiła się na skałach blisko Marji Teresy. Morze było rozhukane i ratunek niemożliwy; to też cała moja nieszczęśliwa osada zginęła. Tylko ja, oraz dwaj majtkowie, Bob Learce i Joe Bell, dostaliśmy się na brzeg po długich usiłowaniach. Ziemia, która nas przyjęła, była wysepką o dwu milach (angielskich) szerokości i pięciu milach długości; znaleźliśmy na niej około trzydziestu drzew, kilka łąk i źródło świeżej wody, które, szczęściem, nigdy nie wysycha. A choć sam byłem z dwoma tylko majtkami, nie poddałem się rozpaczy; zaufałem w Bogu i postanowiłem walczyć z trudnościami. Moi towarzysze i przyjaciele zarazem pomagali mi całemi siłami.

Rozpoczęliśmy od tego samego, od czego rozpoczął Robinson, opisany przez Daniela Foe, jakby dlatego, żeby nam być wzorem: zaczęliśmy zbierać szczątki okrętu. Dostało się nam trochę narzędzi, prochu, broń i worek z ziarnem. Pierwsze dni ciężko nam przyszło przebyć, ale potem polowanie i rybołóstwo ułatwiły nam utrzymanie życia, mnóstwo bowiem było dzikich kóz na wyspie, a na jej brzegach

dostatek zwierząt morskich. Powoli uporządkowaliśmy nasze życie. Położenie wyspy znałem doskonale, bo miałem narzędzia, wyratowane z rozbitego okrętu. Wiedziałem więc, że wyspa, na którą nas los rzucił, nie leży na drodze okrętów i że chyba nieprzewidziane okoliczności sprowadzą który w nasze strony. Choć mi boleśnie było żyć zdala od drogich mi osób, poddałem się z rezygnacją mej doli, a imiona dwojga moich dzieci wspominałem przy modłach codziennych. Pracowaliśmy wytrwale; zasieliśmy kilka morgów ziemi ziarnem, uratowanem z okrętu; kartofle, cykorja, szczaw zdrowszym uczyniły nasz pokarm codzienny; znalazły się też inne rośliny a kilkoro koźląt łatwo się dało przyswoić, mieliśmy więc i mleko, i masło. Ziarna traw, rosnąc w suchych rozpadlinach, dostarczały chleba dość pożywnego — to też nie troszczyliśmy się o życie materjalne. Zbudowaliśmy sobie domek z materjału po rozbitym okręcie, osłoniliśmy go płótnem, dobrze wysmołowanem — a pod takiem trwałem pokryciem przebyliśmy szczęśliwie porę deszczów. Dopóki trwały, rozważaliśmy niejeden projekt, tonęliśmy w niejednem marzeniu, z których najpiękniejsze spełniło się teraz. Chciałem z początku puścić się śmiało na morze, na łodzi zbudowanej z resztek okrętu; cóż, kiedy najbliższa ziemia, archipelag Pomotu, odległa jest od nas o tysiąc pięćset mil (angielskich). Na taką długą przeprawę nie mogliśmy zbudować łodzi dosyć trwałej. Trzeba się więc było wyrzec tej myśli i zdać się na opiekę Boską.

Ach, moje kochane dzieci! Żebyście wiedziały, ileśmy razy spoglądali z wierzchołka tej skały na przestrzenie morskie, czy nie zoczymy jakiego okrętu! Przez cały czas naszego życia pustelniczego dojrzeliśmy niewięcej niż trzy statki na widnokręgu, które jednak nikły nam z oczu bezpowrotnie. Tak upłynęło półtrzecia roku. Jużeśmy stracili nadzieję, aleśmy nie rozpaczali.

Nakoniec wczoraj wszedłem znów na najwyższe miejsce wysepki i zobaczyłem lekki dym na zachodzie. Powiększał się — i wkrótce dojrzałem okręt, który zdawał się płynąć prosto ku wysepce. Ale ominie ją z pewnością, pomyślałem, bo tu niema gdzie okręt wypocząć.

Ach, co to był za dzień niepokoju! Że też serce nie rozsadziło mi piersi! Moi towarzysze rozpalili ogień na jednym ze szczytów Marji Teresy. Noc nadeszła, a z jachtu nie dano znaku, że nasz sygnał dostrzeżono. A jednak stamtąd tylko przyjść mogło nasze wybawienie; czyż i tym razem mieliśmy się zawieść?

Przestałem się wahać. Ciemność rosła coraz bardziej, a okręt mógł nocą ominąć wyspę; rzuciłem się więc do morza i podążałem ku niemu. Nadzieja potrajała moje siły i prułem fale z siłą niemal nadludzką. Zbliżałem się do jachtu i już byłem o jakie 30 sążni od niego, gdy zwrócił w inną stronę. Wówczas zacząłem wołać rozpaczliwie i dzieci moje nie myliły się, utrzymując, że mnie słyszały. Powróciłem

na brzeg, wyczerpany wysiłkiem fizycznym i złamany moralnie. Towarzysze moi znaleźli mnie ledwie żywego. Okropna była ta noc ostatnia, spędzona na wyspie! Jużeśmy się mieli za opuszczonych na zawsze, rankiem jednak spostrzegliśmy, że okręt posuwa się małą parą. Spuściliście szalupę na morze... byliśmy ocaleni! Czy to nie miłosierdzie Boże? Dzieci moje biegły ku mnie, wyciągając ręce.

Henryk Grant skończył opowiadanie, pieszcząc i całując swe dzieci. I dopiero wówczas dowiedział się, że ocalenie winien był owemu dokumentowi zagadkowemu, który włożył w butelkę i rzucił na morze w tydzień po rozbiciu się *Britanji.*

Ale o czemże to rozmyślał Paganel podczas opowiadania kapitana? Oto zacny geograf po raz może już tysiączny zastanawiał się nad zagadkowym dokumentem. Teraz właśnie rozważał potrójny jego wykład, zawsze fałszywy. W jakiż sposób wskazana była ta wysepka na owym dokumencie, uszkodzonym przez wodę morską?

Wkońcu Paganel nie mógł dłużej wytrzymać i, chwytając kapitana za rękę, zawołał:

— Kapitanie, powiedzże mi nareszcie, coś napisał w tej twojej depeszy dla nas tak niezrozumiałej?

To zapytanie geografa obudziło ciekawość ogólną, bo spodziewano się nakoniec rozwiązania zagadki, nad którą męczono się przez dziewięć miesięcy.

— Czy pamiętasz kapitanie dokładnie wyrazy, które napisałeś? — pytał Paganel.

— Najdokładniej — odpowiedział Henryk Grant — bo nie było dnia, żebym sobie nie powtarzał tego, z czem może jedyna nadzieja naszego ocalenia była związana.

— I jakież to były wyrazy, kapitanie? — pytał zkolei Glenarvan — powiedz je nam, bo nasza miłość własna dotknięta jest do żywego.

— Z całego serca was zadowolę. Ale wiecie, że dla zapewnienia sobie tem lepszej szansy, włożyłem do butelki trzy dokumenty, każdy w innym języku. Któryż mam wam powtórzyć?

— Czy nie są jednoznaczne? — pytał Paganel.

— I owszem z maleńką różnicą.

— To prosimy o tekst francuski — rzekł Glenarvan — woda morska najmniej go zniszczyła i on to głównie był podstawą naszych dociekań.

— Więc powtórzę go, milordzie, słowo w słowo:

„Le 27 juin 1862, le trois-mâts *Britannia*, de Glasgow, s'est perdu à quinze cents lieues de la Patagonie, dans l'hemisphère austral. Portés à terre, deux matelots et le capitaine Grant, ont atteint l'ile Tabor.

— Aha!!... — wtrącił Paganel.

„Là (mówił dalej Grant), continuellement en proie à une cruelle indigence, ils ont jeté ce document par 153° de longitude et 37° 11' de latitude. Venez à leur secours, ou ils sont perdus."

Gdy kapitan, czytając słowa dokumentu, wyspę swoją nazwał *Tabor*, Paganel zerwał się z miejsca — a gdy dokończył, zawołał:

— Jakto Tabor? Przecież ta wysepka nazywa się Marja Teresa!

— Istotnie, panie Paganel, tak oznaczona jest na mapach angielskich i niemieckich, ale na francuskich widnieje, jako wyspa Tabor.

W tej chwili gwałtowne uderzenie pięścią w kark zgięło Paganela we dwoje. To major zapomniał się do tego stopnia.

— Oto mi geograf! — zawołał przytem z najwyższą pogardą.

Ale Paganel ani odczuł uderzenia, bo czemże ono było w porównaniu z ciosem geograficznym, jaki go dotknął?

Paganel, jak objaśniał Granta, i jak to wiedzieliśmy poprzednio, był coraz bliższy prawdziwego znaczenia wyrazów dokumentu. Zkolei to Patagonja, to Australja, to Nowa Zelandja zdawały mu się być wskazane niemylnie; inne wyrazy, ponadgryzane przez wodę morską, wykładał coraz lepiej — tylko ten jeden wyraz „abor" pomięszał mu szyki. Ani mu na myśl nie przyszło, że to ma być „Tabor". I rzeczywiście trudno było wpaść na ten wyraz, skoro mapy angielskie, które miał pod ręką, nazywały ową wyspę Marja Teresa.

— A jednak nie powinienem był zapomnieć o tej podwójnej nazwie — wołał geograf, chwytając się za głowę. — To błąd nie do darowania, zapomnienie niegodne sekretarza Towarzystwa Geograficznego! Jestem zhańbiony!

— Ależ panie Paganel — rzekła na to lady Helena — miarkuj swą boleść!

— Nie pani, nie! Jestem osioł!

— Ale osioł uczony — zauważył major, chcąc pocieszyć strapionego.

Skończył się bankiet improwizowany. Henryk Grant uporządkował swój domek, pozostawiając w nim wszystkie ruchomości, żeby winowajca, którego miano tu wysadzić, odziedziczył mienie po uczciwym człowieku.

Powrócono na okręt. Glenarvan chciał odjechać jeszcze tego samego dnia, kazał więc zaraz przewieźć na ląd kwatermistrza. Przyprowadzony na pokład, Ayrton spotkał się oko w oko z Henrykiem Grantem.

— To ja jestem — rzekł kapitan.

— Widzę — odparł Ayrton, nie okazując najmniejszego zadziwienia — i cieszę się, żeś zdrów, kapitanie.

— Zdaje mi się, Ayrtonie, żem źle zrobił, wysadzając cię niegdyś na ziemię zamieszkałą.

— Tak się zdaje, kapitanie.

— Więc teraz zajmiesz moje miejsce na tej bezludnej wysepce. Oby cię niebo natchnęło lepszemi uczuciami.

— Amen! — odpowiedział Ayrton spokojnym głosem.

Glenarvan przemówił także do kwatermistrza.

— Więc trwasz, Ayrtonie, ciągle w chęci pozostania na tej wysepce?

— Tak, milordzie.

— Więc posłuchaj moich słów ostatnich. Będziesz tu daleko od każdej innej ziemi, żadnych nie będziesz miał stosunków z ludźmi. Cuda rzadko się zdarzają, zatem nie umkniesz z tej wyspy, na którą cię *Duncan* przywiózł. Będziesz tam tylko z Bogiem, który czyta w sercach ludzkich, i będzie cię widział; ale nie będziesz zapomniany, nie zginiesz w miejscu nieznanem, jak to było z kapitanem Grantem. Jakkolwiek nie jesteś godny, aby ludzie pamiętali o tobie, nie zapomną cię oni. Ja wiem, że będziesz tutaj i gdzie cię szukać. Nie zapomnę o tem, Ayrtonie.

— Niech Pan Bóg szczęści Waszej Dostojności — odpowiedział Ayrton z prostotą.

Taka była ostatnia rozmowa Glenarvana z Ayrtonem. Łódź czekała, kwatermistrz zszedł do niej.

John Mangles kazał był już poprzednio przenieść na wysepkę kilka skrzyń z konserwami, odzieniem, narzędziami, bronią i zapasem prochu oraz ołowiu. Mógł więc Ayrton w pracy się odrodzić. Nic mu nie miało brakować, nawet książek, a była między niemi Bibija, którą tak szanują Anglicy.

Gdy nadeszła chwila rozłąki, podróżni i cała załoga zebrali się na pokładzie. Niejedno ściskało się serce. Marja Grant i lady Helena nie mogły powściągnąć wzruszenia.

— Czy tak być musi koniecznie? — rzekła lady do męża. — Czyż ten nieszczęśliwy ma tu zostać opuszczony?

— Tak być musi, Heleno — odpowiedział Glenarvan. — Będzie to pokuta!

Łódź odpłynęła pod zarządem Johna. Ayrton, wyprostowany, ciągle zimny, zdjął kapelusz i poważnie kłaniał się pozostałym na jachcie. Glenarvan obnażył głowę, to samo uczynili wszyscy inni, jak to jest zwyczajem czynić wobec umierającego człowieka. Łódź oddaliła się śród milczenia powszechnego.

Gdy przybiła do brzegu, Ayrton wyskoczył na ląd, a czółno odbiło od brzegu. Była czwarta po południu. Z pokładu widać było kwa-

termistrza ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, stojącego nieruchomo na skale i patrzącego na okręt.

— Czy mamy ruszyć? — spytał John Mangles Glenarvana.

— Tak — odparł krótko lord, by nie okazać wzruszenia.

— Puszczaj parę! — krzyknął John na maszynistę.

Para gwizdnęła, poruszyła się śruba i o ósmej wieczorem ostatnie szczyty wysepki Tabor rozpłynęły się w cieniach nocy.

LXX.

OSTATNIE ROZTARGNIENIE PAGANELA.

W jedenaście dni po opuszczeniu wysepki Tabor, dn. 18-go marca, *Duncan* był już przy brzegach Ameryki, a nazajutrz stanął w zatoce Telcahuano. Był w niej poprzednio, przed pięciu miesiącami, a od tego czasu, pilnując się skrupulatnie 37-go równoleżnika, opłynął świat wokoło. Uczestnicy tej wyprawy, bezprzykładnej w rocznikach *Traveller's* klubu, zwiedzili Chili, pampy, rzeczpospolitę Argentyńską, Atlantyk, wyspy Tristan d'Acunha, ocean Indyjski, wyspy Amsterdamskie, Australję, Nową Zelandję, wysepkę Tabor i ocean Spokojny.

I żaden nie ubył z tych dzielnych Szkotów, którzy puścili się w drogę ze swym lairdem, wszyscy wracali do starej Szkocji. Wyprawę ich możnaby nazwać wyprawą „bez łez", jak nazywają jedną z bitew starożytności.

Zaopatrzony w nowe zapasy, *Duncan* popłynął wzdłuż brzegów Patagonji, okrążył przylądek Horn i puścił się wpoprzek oceanu Atlantyckiego. Podróż odbyła się bez najmniejszej przygody. Jacht unosił cały ładunek szczęścia; już teraz nawet uczucia Johna dla Marji były wszystkim wiadome.

Ale pozostawała jeszcze jedna rzecz dotąd niedocieczona, intrygująca niepomału majora. Dlaczego Paganel zapinał tak hermetycznie ubranie, czemu się tak osłaniał chustką po uszy? Majora korciła niezmiernie ta manja geografa. Ale ani pytania, ani aluzje, ani podejrzenia majora nic nie pomogły. Paganel nie rozpiął się ani razu, ani wówczas nawet, gdy wszystko topniało na okręcie podczas pięćdziesięciu stopni gorąca przy przejściu równika.

— Ten Paganel tak jest roztargniony, że mu się zdaje, iż jest obecnie na Szpicbergu — mówił major, widząc geografa otulonego w szal, jakgdyby merkurjusz zamarzł w termometrze.

Nakoniec, dnia 9-go maja, w pięćdziesiąt trzy dni po opuszczeniu Talcahuano, John dojrzał światła na przylądku Clear. *Duncan*

wcisnął się w kanał Ś-go Grzegorza, przebiegł morze Irlandzkie i wpłynął d. 10-go maja do zatoki Clyde. O jedenastej godzinie stanął w Dumbarton, a o drugiej po południu podróżni wstępowali do zamku Malcolm, wśród radosnych okrzyków tamtejszych mieszkańców.

Zapisane widać było w księdze przeznaczeń, że Henryk Grant i jego dwaj towarzysze będą ocaleni; że John zaślubi Marję w starożytnej katedrze Saint-Mungo, w której przed dziewięciu miesiącami wielebny Paxton wznosił modły za powodzenie wyprawy i ocalenie ojca, a teraz błogosławił jego córce i dzielnemu Johnowi, który z taką gorliwością poszukiwał kapitana Granta. Było zapisane w owej księdze przeznaczeń, że Robert Grant stanie się marynarzem, jak jego ojciec i szwagier, i że razem z nimi przedsięweźmie ziszczenie wielkich zamiarów ojca, pod opieką lorda Glenarvana.

Czy i to zapisane było, że Paganel nie umrze w kawalerskim stanie? — Prawdopodobnie.

Czyny bohaterskie szanownego geografa rozsławiły jego imię, a jego roztargnienia były przedmiotem rozmów wyższego towarzystwa szkockiego. Wydzierano go sobie i niepodobna mu było uwolnić się od grzeczności, któremi go obsypywano. Wówczas to bardzo miła trzydziestoletnia panna, kuzynka Mac Nabbsa, trochę wprawdzie ekscentryczna, ale dobra i wcale ładna jeszcze, zachwyciła się oryginalnością geografa i ofiarowała mu swą rękę. Miała też swój miljonik, ale o tem nikt nie myślał.

Paganelowi nie była obojętna miss Arabella, ale nie mógł się zdecydować i trzeba było, żeby major się wdał między te dwa serca, jakby dla siebie stworzone. Paganelowi zaś oświadczył, że to małżeństwo powinnoby być ostatniem jego roztargnieniem.

Te wyrazy wzmogły jeszcze kłopot Paganela, który, jak prawdziwie osobliwy człowiek, nie mógł się zdecydować na ostatnie fatalne słowo.

— Czy ci się miss Arabella nie podoba? — nalegał major.

— Och, majorze, śliczna jest — wołał Paganel — zbyt piękna nawet i jeśli mam prawdę powiedzieć, to wolałbym, żeby mniej była piękna, żeby miała choć jedną wadę.

— Bądź spokojny — odpowiadał major — znajdziesz w niej wadę niejedną, bo ma swoje wady nawet najdoskonalsza kobieta. A więc cóż, czyś się zdecydował?

— Nie śmiem się decydować — wzdychał Paganel.

— Ależ mój przyjacielu, czemuż się wahasz?

— Niegodny jestem panny Arabelli — odpowiadał stale geograf.

— Masz tobie! — wołał major.

— Mówię ci istotną prawdę, majorze.

— Ale cóż to szkodzi?

— Czy i ty mniemasz tak samo?

— Przeciwnie! Jesteś tem osobliwszą jednostką; to cię podnosi, to cię czyni właśnie człowiekiem, o jakim marzyła miss Arabella.

Major mówił z niezachwianą powagą, a Paganel niepokoił się niezmiernie.

Przyszło do krótkiej rozmowy między majorem i miss Arabellą.

W dwa tygodnie potem obchodzono wystawnie zaślubiny w kaplicy zamku Malcolm. Paganel, jakkolwiek zapięty pod szyję, przepysznie wyglądał, a miss Arabella była olśniewająca.

Tajemnica Paganela byłaby zatonęła w otchłani rzeczy niedocieczonych, gdyby major nie szepnął słówka Glenarvanowi, który nic nie taił przed swą żoną, a ta znów zwierzyła się pani Mangles. I tak jakoś tajemnica dotarła do uszu żony Olbinetta i wyszła najaw.

Maorysowie *utatuowali* Paganela podczas trzydniowego pobytu jego między nimi, ale to od stóp do głów; zrobili mu na piersiach, jako herb, wizerunek ptaka kiwisa z rozpuszczonemi skrzydłami i kąsającego serce.

Śród wszystkich przygód, jakie spotkały Paganela, tej jednej tylko nie mógł darować Nowej Zelandji. To było także powodem, że mimo namów i zaproszeń nie chciał powrócić do Francji. Lękał się wystawić na śmieszność całe Towarzystwo Geograficzne, a siebie na szyderstwo karykaturzystów i małych pisemek, które przyczepiłyby się niewątpliwie do utatuowanego sekretarza.

Powrót kapitana Granta do Szkocji uważany był za wypadek obchodzący cały naród; kapitan Grant stał się najpopularniejszym człowiekiem w Starej Kaledonji, a syn jego, Robert, wykształciwszy się na żeglarza, postanowił, popierany przez lorda Glenarvana, założyć kolonję szkocką na oceanie Spokojnym.

KONIEC

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Str.